

ROBIA COOK

ZNIECZULENIE

Przełożył
Maciej Szymański



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

Tytuł oryginału
Host

Copyright © 2015 by Robin Cook
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2016

Redaktor
Elżbieta Bandel

Redaktor merytoryczny
lek, med. Anna Siedlecka

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce
© Triff/Shutterstock

Wydanie I
Poznań 2016

ISBN 978-83-7818-747-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp, z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

DTP: *AKAPIT*, Poznań, tel. 61-879-38-88

Druk i oprawa:
WZDZ - Drukarnia „LEGA”

*Cameronowi, wzorowemu chłopcu,
który szybko staje się mężczyzną -
znajdź swą pasję, synu,
i miej wspaniałe życie!*

Prolog

Poniższe zapiski pochodzą z prywatnego dziennika nieżyjącej już Kate Hurley, zdrowej i sprawnej trzydziestosiedmioletki (regularnie grała w tenisa i zdrowo się odżywiła) o umiarkowanym temperamencie, nauczycielki trzecich klas szkoły podstawowej oraz kochającej matki dwóch chłopców (jedenastolatka i ośmiolatka). Zanim zginęła we własnym domu w wyniku brutalnej napaści, mieszkała wraz z rodziną przy Bay View Drive 1440 w Mount Pleasant w Karolinie Południowej, miejscowości oddzielonej zatoką i portem od Charlestonu. Posesja Hurleyów położona jest w zacisznej, lesistej okolicy, przy samym końcu drogi. Mężem Kate był Robert Hurley, adwokat specjalizujący się w sprawach o pobicie z uszkodzeniem ciała.

Sobota, 28 marca, 8.35

Za oknem mego szpitalnego pokoju w Centrum Medycznym Mason-Dixon jest ponury, szary dzień. Nie takiej wiosny wyczekujemy. W ostatnim półroczu nie byłam zbyt sumienna w prowadzeniu dziennika, a przecież dawniej zawsze znajdowałam w nim pocieszenie. Niestety ostatnio wieczorami bywam zbyt wyczerpana, a za dnia brak mi czasu, i to już od rana, gdy trzeba przygotować do szkoły chłopców i siebie. Postanowiłam jednak, że bardziej się postaram. Już dawno pociecha nie była mi tak potrzebna jak teraz. Leżę w szpitalu i użalam się nad sobą po okropnej nocy. A wszystko zaczęło się tak obiecująco! Bob i ja wybraliśmy się na Sullivan's Island, na kolację z Ginny i Haroldem Lawlerami. Wszyscy zamówili rybę i z perspektywy czasu widzę, że powinnam była uczynić to samo. Niestety, wybrałam kaczkę, w dodatku raczej niedopieczoną. Jak dowiedziałam się później od lekarza z izby przyjęć, zapewne to właśnie było przyczyną zatrucia, najprawdopodobniej salmonellą. Ale ja już przy przystawkach czułam się jakoś niewyraźnie, a potem było tylko gorzej. Gdy Bob odwoził do domu opiekunkę do dzieci, wymiotowałam po raz

pierwszy - nic przyjemnego! Na szczęście zdążyłam doprowadzić łazienkę do porządku, zanim wrócił. Współczuł mi oczywiście, ale zmęczony po ciężkim dniu w biurze wkrótce położył się spać. Nadal czułam się fatalnie, dlatego postanowiłam zostać w łazience. Wymioty powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie, choć zdawało mi się, że w żołądku nie zostało już nic. O drugiej nad ranem dotarło do mnie, jak jestem słaba - i że nadal słabnę. Obudziłam Boba, a on spojrzał na mnie tylko raz i stwierdził, że powinien mnie obejrzeć lekarz. Ubezpieczenie zapewnia nam opiekę Centrum Medycznego Mason-Dixon w Charlestonie; na szczęście udało się ściągnąć mamę Boba i została z dziećmi, gdy tam pojechaliśmy. Lekarze i pielęgniarki z izby przyjęć byli świetni, czego nie można powiedzieć o moim stanie: wymioty nie ustawały i dołączyła do nich krwawa biegunka. Dostałam leki dożyłne - tłumaczyli mi jakie, ale już nie pamiętam. Doradzili też, żebym została w szpitalu. Byłam tak osłabiona, że nawet nie oponowałam, choć zawsze bałam się takich miejsc. Przypuszczam, że podano mi też leki nasenne, bo nie pamiętam, kiedy Bob odjechał i w jaki sposób dostałam się z izby przyjęć do sali szpitalnej. Ocknęłam się po paru godzinach, gdy ktoś - zapewne pielęgniarka - wszedł po ciemku i poprawiał coś przy mojej kropłówce. Miałam wrażenie, że to duch: bezszelestny, jasnowłosy, cały w bieli. Próbowałam coś powiedzieć, ale byłam w stanie jedynie bełkotać. Rankiem, gdy się obudziłam, czułam się tak, jakby przejechała po mnie ciężarówka. Usiłowałam wstać z łóżka, żeby skorzystać z toalety, ale brakło mi sił. Musiałam poprosić o pomoc. Właśnie dlatego nie lubię być w szpitalu: nie mam kontroli nad własnym ciałem. Pacjent praktycznie zrzeka się autonomii.

Pielęgniarka, która mi pomagała, uprzedziła, że wkrótce zjawi się lekarz. Dokończę ten wpis po powrocie do domu, bo czuję, że warto: ten przykry epizod uświadomił mi, że do tej pory traktowałam zdrowie jak coś oczywistego. Nigdy wcześniej nie przytrafiło mi się zatrucie pokarmowe; nie wyobrażałam sobie nawet, że to taka paskudna sprawa. I tyle na dziś.

Niedziela, 29 marca, 13.20

Naturalnie nie dotrzymałam mojego mocnego postanowienia o bardziej regularnym prowadzeniu dziennika. Choć obiecałam to sobie solennie, nie dokończyłam wczorajszego wpisu, a to dlatego, że sprawy nie ułożyły się po mojej myśli. Odwiedziła mnie rezydentka,

doktor Clair Webster, i zauważyła coś, co umknęło mojej uwadze, a mianowicie, że mam gorączkę. Nie była to wysoka gorączka, ale coś się jednak zmieniło, bo jeszcze poprzedniego wieczoru miałam prawidłową temperaturę. Choć nie zdawałam sobie z tego sprawy, maszyny nieustannie mierzyły i rejestrowały moje ciśnienie krwi, puls i temperaturę. To dlatego nikt do mnie nie zajrzał przez całą noc, jeśli nie liczyć owego ducha, który poprawiał coś w mojej kroplówce - nawiasem mówiąc również kontrolowanej przez niewielki komputer. To tyle, jeśli chodzi o ludzką rękę w nowoczesnym szpitalu! Doktor Webster stwierdziła, że temperatura zaczęła rosnać mniej więcej o szóstej rano. Chciała poczekać z wypisaniem mnie ze szpitala, by się przekonać, czy nie pojawią się nowe objawy. Zadzwoiłam do Boba, żeby mu powiedzieć o małym opóźnieniu.

Jak się okazało, było to coś poważniejszego niż „małe opóźnienie”. Moja temperatura nie wróciła do normy. W ciągu dnia była coraz wyższa, a i nocą rosła, aż do czterdziestu stopni - dlatego wciąż jestem w szpitalu. Pojawiły się też nowe powikłania. Gdy wczoraj zostałam sama po popołudniowej wizycie Boba i chłopców (synowie w zasadzie nie powinni mnie odwiedzać, bo są na to za mali, ale Bob jakoś ich przemycił), po raz pierwszy doświadczyłam tego, co ludzie nazywają bólami stawowymi. Co gorsza zaczęły się też problemy z oddychaniem, a jakby tego było mało, biorąc wczoraj prysznic, zauważyłam niewielką wysypkę pod pachami i pod piersiami: drobniutkie, płaskie, czerwone plamki. Dobrze, że przynajmniej nie swędzą. Pielęgniarka stwierdziła, że małe kropki widać też na białkach moich oczu. Wszystko to sprawiło, że rezydentka wróciła. Powiedziała, że jest zdziwiona, bo mam typowe objawy duru brzuszego. Uznała, że powinien mnie zbadać specjalista od chorób zakaźnych. Tak też się stało. Dzięki Bogu stwierdził, że to jednak nie dur, o czym świadczy przede wszystkim to, że wykryto u mnie szczep salmonelli niewywołujący tej choroby. Zaraz potem dodał, że tak naprawdę martwi go moje serce, którego akcja wyraźnie przyspieszyła, odkąd znalazłam się w szpitalu. Poprosił o konsultację kardiologa, doktora Christophera Hobarta, który także mnie zbadał. Czułam się jak na konferencji medycznej - tylu specjalistów naraz! Doktor Hobart zlecił natychmiastowe prześwietlenie płuc; podejrzewał zator tłuszczowy! Gdy tylko nadarzyła się okazja, zajrzałam do sieci (chwała Panu za Internet!), żeby sprawdzić, co to oznacza. Dowiedziałam się, że chodzi o obecność cząstek tłuszczu w krwiobiegu, czasem towarzyszącą urazom, przede wszystkim złamaniom kości. Tyle że ja nie doświadczyłam żadnego urazu - może poza

emocjonalnym - i dlatego kardiolog orzekł, że przyczyną może być silne odwodnienie. Skoro jednak i tak podawano mi kroplówkę, uznał, że nie ma potrzeby innego leczenia, zwłaszcza że przestałam odczuwać duszność. Nawet się ucieszyłam, ale jednocześnie moja szpitalna fobia sięgnęła nowego poziomu. Parę miesięcy temu czytałam artykuł w „Post and Courier” na temat powikłań w leczeniu szpitalnym - trudno było mi zachować spokój, gdy widziałam, jak bardzo mój przypadek przypomina te opisane. Gdy przyjęto mnie w piątkową noc, mówiło się jedynie o zatruciu pokarmowym, a teraz mam już jakoby zator tłuszczowy. Zadzwoniłam do Boba, żeby mu powiedzieć, jak się czuję i że chcę stąd wyjść, wrócić do domu. Odparł, że mam być cierpliwa i że pogadamy o tym później, przy kolejnej wizycie, czyli wtedy, gdy znowu uda mu się ściągnąć matkę, żeby zajęła się chłopcami. Dokończę ten wpis, gdy z nim porozmawiam. Prócz wielu innych dziwnych objawów zauważam też kłopoty z koncentracją.

Poniedziałek, 30 marca, 9.30

I znowu nie zajrzałam do dziennika, choć planowałam dokończyć notatkę po rozmowie z Bobem. To dlatego, że... odleciałam? Chyba tak to należy określić. Wspominałam wczoraj, że mam kłopoty z koncentracją - otóż teraz jest jeszcze gorzej. Nie pamiętam już nawet, o czym rozmawiałam z Bobem, gdy do mnie przyszedł. Pamiętam za to, jak bardzo zaniepokoiły go te objawy; zażądał konsultacji z lekarzem, który właśnie przyszedł, żeby mnie zbadać. Nie wiem, czy w końcu porozmawiali. Nie wiem nawet, o czym jeszcze mówił mi Bob. Możliwe, że obiecał zadzwonić do gabinetu doktora Curtisa Fletchera, naszego zaufanego lekarza rodzinnego, z prośbą o interwencję. Jak przez mgłę pamiętam, że gdy Bob wyszedł, byłam bardzo niespokojna - czułam się przecież coraz gorzej i gorzej. Dlatego zajrzała do mnie znowu doktor Webster i przepisała mi środek uspokajający, który zadziałał tak świetnie, że ocknęłam się dopiero po paru godzinach, znowu w środku nocy. Tym razem poczułam, że ktoś jakby nakłuł mój brzuch igłą. Być może była to ta sama osoba, która poprzedniej nocy regulowała mi kroplówkę, ale nie jestem pewna. Znowu zasnęłam, a rankiem gotowa byłam uwierzyć, że był to tylko sen, ale znalazłam na brzuchu bolesne miejsce. Czy w taki sposób podaje się środki nasenne? Spróbuję zapamiętać, że muszę o to spytać. Gorączka trochę spadła, ale temperatura jeszcze nie wróciła do normy. Najważniejsze

jest jednak to, że już nie odlatuję, a ibuprofen skutecznie złagodził ból. Może w końcu wypuszczą mnie do domu? Mam nadzieję. Moja niechęć do szpitali wcale nie zmalała. Przeciwnie, boję się ich jeszcze bardziej.

10.35

Znowu piszę! Jestem poważnie zmartwiona: jednak nie wracam do domu. Doktor Chris Hobart przyniósł mi przed chwilą złe wieści. Powiedział, że zlecił wczoraj badanie stężenia albuminy. Wynik, jak się okazało, mieści się w normie, za to odkryto podwyższone stężenie innego białka we krwi! Podobno mam jakąś gammapatię monoklonalną, cokolwiek to może oznaczać. Cholera, będę musiała sprawdzić w Internecie. Nie cierpię, gdy lekarze gadają tak, jakby chcieli, żeby człowiek nic z tego nie rozumiał. Wiem, trąci to paranoją, ale mam wrażenie, że oni to robią celowo. Trzeba jednak przyznać doktorowi Hobartowi, że zaraz spróbował mnie uspokoić: ponoć podwyższone stężenie tego białka to nie problem, ale warto poprosić o konsultację hematologa, a to oznacza, że nie mogą mnie jeszcze wypuścić.

15.15

Pani hematolog właśnie wyszła; obiecała, że wróci rano. Jeśli jej wizyta miała mnie uspokoić, to niestety nie udało się. Moja fobia szpitalna sięga zenitu! A to dlatego, że ta cała specjalistka od krwi jest tak naprawdę specjalistką od raka krwi. Onkologiem! Jestem przerażona - co będzie, jeśli się okaże, że mam białaczkę? Lekarka nazywa się Siri Erikson. Nazwisko ma skandynawskie i tak też wygląda. A ja mam do powiedzenia tylko jedno: chcę do domu! Niestety, gorączka jest dość wysoka i zdaniem doktor Erikson powinnam zostać w szpitalu jeszcze kilka dni. Trzeba ustalić przyczynę wzrostu temperatury, a w najgorszym razie - po prostu poczekać, aż gorączka minie. Jestem niespokojna. Wszystko, co się dotąd wydarzyło, utwierdza mnie w przekonaniu, że szpitale to niebezpieczne miejsca i trzeba się od nich trzymać z daleka, jeśli nie wydarzy się nagły wypadek - choćby taki jak ten, który przytrafił mi się w piątkową noc. Im dłużej tu jestem, tym więcej problemów się pojawia. Pogadam o tym z Bobem, gdy mnie odwiedzi po pracy. Dobrze, że chociaż mój układ pokarmowy jakby zaczął działać. Zmieniono mi dietę, dostaję normalne posiłki i

dobrze je toleruję. Chcę stąd wyjść; chcę wrócić do domu, do Boba i chłopców.

16.45

Bob ma tu być koło osiemnastej, ja tymczasem zadzwoniłam do doktora Fletchera, od dawien dawna naszego lekarza rodzinnego - Bob o tym zapomniał, choć sam deklarował, że to zrobi. Przypomniałam sobie, że badał mnie ledwie dwa miesiące wcześniej, gdy zastanawialiśmy się z Bobem nad założeniem polisy na życie. Zestaw badań krwi był wtedy dość ograniczony, ale ciekawa byłam, czy znalazł się wśród nich ten na stężenie białek. Tak czy owak, wyniki były całkiem dobre. Gdy doktor Fletcher oddzwonił, najpierw przekazał mi wyrazy współczucia z powodu zatrucia pokarmowego, a zaraz potem oznajmił, że istotnie zlecił wykonanie proteinogramu podczas ostatnich badań i że nie było odstępstw od normy. Zdziwił się, gdy mu powiedziałam, że teraz jest inaczej. Przyznał, że takie rzeczy się zdarzają, ale najczęściej u osób znacznie starszych ode mnie. Doradził mi powtórzenie badania, na co odparłam, że już zostało zlecone. Niestety, powiedział też, że nie może włączyć się w proces leczenia, którym zawiaduje szpital. Jak się wyraził, w Centrum Medycznym Mason-Dixon nie przysługują mu żadne przywileje, ale gdyby któryś z moich lekarzy chciał się z nim skonsultować, to służy pomocą. Podziękowałam i zapewniłam, że zasugeruję im to. Nie muszę chyba wyjaśniać, jak bardzo jestem zawiedziona takim obrotem spraw. Postanowiłam, że bez względu na wszystko jutro wypiszę się ze szpitala, jeżeli tylko Bob nie będzie miał nic przeciwko temu.

19.05

Bob właśnie wyszedł. Obawiam się, że mocno go zdenerwowałam. Gdy tylko usłyszał, czego dowiedziałam się od doktora Fletchera - o prawidłowym wyniku proteinogramu podczas badania sprzed paru miesięcy - oznajmił, że natychmiast wypisuje mnie ze szpitala. Może to dziwne, ale ta nerwowa reakcja kazała mi raz jeszcze przemyśleć moją decyzję. Czy naprawdę powinnam wrócić do domu, wiedząc, że robię to wbrew zaleceniom lekarzy? W końcu przekonałam Boba, że trzeba poczekać przynajmniej do rana, do kolejnej wizyty doktor Erikson. W końcu choroby krwi to jej specjalność, a ja chcę mieć pewność, że nie ma zagrożenia... na przykład rakiem.

Teraz, gdy tak leżę skazana na łaskę tutejszego personelu i nasłuchuję dźwięków dobiegających z korytarza, wciąż nie przestaję o tym myśleć. Może należało posłuchać Boba, podpisać papiery i uciec stąd jak najszybciej? Co gorsza, mam wrażenie, że właśnie zauważyłam nowy objaw choroby: lekki ból brzucha. Czuję go, gdy mocniej naciskam. A może to całkiem normalne? Właściwie to nie wiem. Może niepotrzebnie dramatyzuję, żeby nie powiedzieć wpadam w lekką paranoję. Poproszę o tabletkę nasenną i spróbuję zapomnieć, gdzie jestem.

Wtorek, 31 marca, 9.50

Właśnie rozmawiałam z Bobem. Obawiam się, że niechcący wywołałam burzę ogniową. Powiedziałam mu, że doktor Erikson przekazała mi informację, że ta cała gammapatia jest faktem, a wynik drugiego badania jest nawet trochę wyższy niż pierwszego. Widząc, jak bardzo mnie wystraszyła, zaraz spróbowała się wycofać, jakoś mnie uspokoić, ale daremnie. Jak mogę być spokojna po tym, co wyczytałam w Internecie na temat nieprawidłowości w proteinogramie? Gdy tylko Erikson wyszła, zadzwoniłam do Boba, wybuchnęłam płaczem i łkając, wyjaśniłam mu, co zaszło. Kazał mi pakować manatki, bo zaraz przyjedzie, żeby mnie stąd zabrać. Ale to nie wszystko: postanowił, że puści z torbami Middleton Healthcare, czyli firmę, do której należy Centrum Medyczne Mason-Dixon oraz trzydzieści jeden innych szpitali. Gdy spytałam dlaczego, odparł, że przesiedział całą noc, zbierając informacje z siebie tylko znanych źródeł (opłaca informatorów w okolicznych szpitalach i od nich dowiaduje się o ciężkich przypadkach - dzięki temu może docierać bezpośrednio do pacjentów i oferować im swoje usługi). Powiedział, że dane na temat szpitali Middleton Healthcare są wyjątkowo niepokojące, że musi im się bliżej przyjrzeć i że wszystko mi wyjaśni, gdy wrócę do domu. A tymczasem mam się ewakuować z Centrum Medycznego Mason-Dixon, i to *presto* (takiego słowa użył). Z informacji, które zdobył, wynika, że placówki Middleton Healthcare mają znakomite wyniki, jeśli chodzi o zapobieganie zakażeniom szpitalnym, za to odsetek ich pacjentów, u których wykryto niespodziewanie nieprawidłowości w proteinogramie, jest niespotykane, wręcz zatrważająco wysoki. Bob uważa, że to potencjalny materiał na proces sądowy, na którym zrobi wielką karierę. Intuicja podpowiada mu, że w Middleton dzieje się coś dziwnego, być może jakieś korporacyjne

machinacje, które trzeba zbadać i, co ważniejsze, skończyć z nimi! Rozmawialiśmy dość długo, choć tak naprawdę to głównie Bob mówił. A im dłużej go słuchałam, tym bardziej zdradzona się czułam: coraz mniej interesowało go moje zdrowie i stan psychiczny, a coraz bardziej potencjalny proces, rzekomo „w interesie społecznym”.

Gdy zapewniłam go, że będę gotowa, gdy po mnie przyjedzie, i rozłączyliśmy się, spojrzałam w okno. Czułam się taka samotna. Bałam się, że na dłuższą metę zapał Boba przysporzy nam jedynie kłopotów. Jesteśmy przecież skazani na usługi Centrum Medycznego Mason-Dixon - to jedyny szpital w okolicy współpracujący z naszą ubezpieczalnią. Problem polega na tym, że gdy już Bob dorwie się do sprawy tego typu, zachowuje się jak pies, który złapał kość. Nie pojmuję, dlaczego w szpitalach Middleton Healthcare częstotliwość występowania nieprawidłowości białkowych we krwi miałaby być wyższa niż w innych. Przecież to bez sensu. Czy Bob sądzi, że ktoś tu dla kasy świadomie zaniedbuje pacjentów? To nie może być prawda! A jednak jego agresywna postawa sprawia, że jestem pełna najgorszych przeczuc. W końcu tutejsi lekarze i pielęgniarki naprawdę mi pomogli, gdy tego potrzebowałam w piątkową noc. A jeśli pewnego dnia trzeba będzie zawieźć do szpitala naszych chłopców? Czy Bob nie naraża ich życia? Jak nikt inny wiem, że gdy Bob mówi, że kogoś pozwie, to tak się stanie. Pozostaje mi mieć nadzieję, że po powrocie do domu jakoś zdołam go uspokoić i nasze życie wróci do normy.

KSIĘGA 1

Rozdział 1

Poniedziałek, 6 kwietnia, 6.30

Wiosna w Charlestonie w Karolinie Południowej to zjawisko olśniewające, a z początkiem kwietnia nabiera już niezłego rozpędu. Azalie, kamelie, hiacynty, wczesnie kwitnące magnolie i forsycje przyciągają uwagę przechodniów tysiącem woni i barw. Na krótko przed wschodem słońca wszystko wskazywało na to, że będzie to wspaniały dzień dla wszystkich mieszkańców tego malowniczego, historycznego miasta. Dla wszystkich z wyjątkiem Carla Vandermera, wziętego młodego prawnika pochodzącego z pobliskiego West Ashley.

Bez względu na porę roku - ale ze szczególnym upodobaniem wiosną - Carl dołączał codziennie do licznej grupy miłośników joggingu po Battery, promenadzie biegnącej wzdłuż południowego krańca półwyspu, na którym leży Charleston, u ujścia rzek Cooper i Ashley. Wzdłuż trasy stały pięknie odnowione dziewiętnastowieczne rezydencje, przedzielone miejskim ogrodem - Battery to jedno z najatrakcyjniejszych i najpopularniejszych miejsc w całym mieście.

Jak większość z jego kolegów-biegaczy, Carl mieszkał w pobliskiej, klimatycznej dzielnicy znanej miejscowym jako SOB. Akronim pochodził od słów „South of Broad”, jako że teren ów rozciągał się na południe od Broad Street, arterii biegnącej między dwiema rzekami i przecinającej półwysep ze wschodu na zachód.

Jednakże w ten piękny wiosenny poranek Carl nie biegał - nie robił tego zresztą już od miesiąca, bo podczas ostatniego meczu koszykówki w minionym sezonie zerwał więzadło krzyżowe przednie w prawym kolanie. Wraz z kilkoma kolegami, z zawodu prawnikami, a z zamiłowania sportowcami, należał do drużyny, którą zgłosili do amatorskiej ligi miejskiej.

Carl już w liceum pasjonował się sportem, a podczas studiów na Duke University należał do czołowych graczy międzyuczelnianej ligi lacrosse'a. Wkuwał prawo, ale nie odpuszczał sobie aktywności

fizycznej i z czasem nabrał przekonania, że jest praktycznie odporny na kontuzje - w końcu miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat. W toku całej swej sportowej kariery nie doznał urazu cięższego niż skręcenie kostki.

Poważna kontuzja kolana była dla niego nieprzyjemną niespodzianką. Był w doskonałej formie: bez problemów rozegrał pierwszą połowę meczu, zdobywając osiemnaście punktów. Grał dalej, lecz gdy kozłując, wykonał ruch w lewo, markując zwód, po czym zniehacka ruszył w prawo, żeby zaatakować kosz, padł na parkiet jak rażony gromem, nie bardzo wiedział, co się stało. Zażenowany podniósł się czym prędzej. Czuł lekki ból w prawym kolanie, nic nadzwyczajnego. Zrobił kilka kroków, żeby rozchodzić uraz i nagle... upadł po raz drugi. Teraz już wiedział, że sprawa jest poważna.

Ortopeda, doktor Gordon Weaver, postawił jednoznaczne rozpoznanie: zerwanie więzadła krzyżowego przedniego. Nawet Carl, który nie miał o medycynie bladego pojęcia, był w stanie dostrzec uszkodzenie na obrazie z rezonansu magnetycznego. Jeżeli chciał myśleć o powrocie do sportu, musiał się poddać operacji. Zdaniem doktora Weavera, najlepszym rozwiązaniem było przeprowadzenie przez staw kolanowy części więzadła rzepki. Właściwie jedyną dobrą wiadomością owego dnia była informacja, iż ubezpieczenie zdrowotne Carla pokryje koszt operacji i rehabilitacji. Szefowie kancelarii prawniczej, w której pracował, naturalnie nie byli zachwyceni jego przymusową nieobecnością, ale nie to martwiło go najbardziej; prawdziwym problemem była jego głęboka niechęć do wszelkich zabiegów medycznych, a zwłaszcza do igieł. Zdarzało mu się tracić przytomność podczas zwykłego pobierania krwi; nie lubił nawet zapachu alkoholu używanego do dezynfekcji miejsca nakłucia - tak silne było skojarzenie. Nigdy dotąd nie leczył się w szpitalu, ale czasem odwiedzał tu przyjaciół i to wystarczało, by na długo wytrącić go z równowagi. Operacja, której miał się poddać tego ranka, była dlań, mówiąc najogólniej, niemałym wyzwaniem.

Wstydliva fobia medyczna, którą tak się starał ukrywać, była w przypadku Carla tym bardziej złośliwym kaprysem losu, że dziewczyna, z którą spotykał się od dwóch lat, Lynn Peirce, była studentką czwartego roku medycyny. Bywało, że od samych opowieści o tym, jak minął jej dzień w Centrum Medycznym Mason-Dixon - w którym za parę godzin czekała go operacja - robiło mu się słabo. To właśnie Lynn poleciła mu doktora Weavera i w nieznośnie szczegółowy sposób wyjaśniła mu, na czym będzie polegała naprawa uszkodzonego kolana.

Nalegała też, by była to pierwsza operacja doktora Weavera w poniedziałkowy ranek. Tłumaczyła to w całkiem rozsądny sposób: cały zespół będzie pełen energii po weekendowej przerwie, brak zmęczenia to mniejsze ryzyko błędów, a wczesna pora z reguły oznacza znikome prawdopodobieństwo, że ktoś zostanie wezwany do innego, pilnego przypadku. Carl wiedział, że Lynn chce dlań jak najlepiej, ale słuchając jej rad i komentarzy, czuł narastający niepokój.

Zaproponowała, że zostanie u niego na jeszcze jedną noc, aby dopilnować, czy przestrzega wszystkich zaleceń przedoperacyjnych, i na czas zawieźć go do szpitala, ale Carl zdołał jej to wyperswadować. Obawiał się, że - jak zwykle pełna najlepszych intencji - powie nieświadomie coś jeszcze, co do reszty odbierze mu spokój. O tym jednak, rzecz jasna, jej nie powiedział. Wyjaśnił tylko, że w samotności na pewno lepiej się wyśpi, a zaraz potem obiecał solennie, że wypełni zalecenia lekarza co do joty. Lynn nie nalegała. Obiecała, że odwiedzi go w szpitalu, gdy tylko opuści salę wybudzeń.

Carl nigdy nie wspominał Lynn o swojej szpitalnej fobii, podejrzewając, że zostałyby co najmniej wyśmiany. Nie zdradził się i z tym, że tak bardzo boi się operacji. Uważał, że warto milczeć, choćby po to, by nie ucierpiało na tym jego ego.

Pozwolił, żeby budzik dzwonił przez dłuższy czas - wolał nie ryzykować, że znowu zaśnie. Wieczorem długo walczył z gonitwą myśli, a potem spał bardzo niespokojnie. Pielęgniarka doktora Weavera poleciła mu, żeby po północy nie przyjmował doustnie już niczego poza wodą. Rankiem miał wziąć solidny, gorący prysznic, używając mydła antybakteryjnego, i szczególnie starannie umyć prawą, kontuzjowaną nogę. W szpitalu miał się stawić nie później niż o siódmej, a to oznaczało, że zostało mu już niewiele czasu - była szósta trzydzieści. Celowo tak ustawił budzik, zakładając, że gdy będzie się spieszył, zabraknie mu czasu na niepokojące rozmyślenia o zabiegu. Przeliczył się jednak; nie zdążył nawet wstać z łóżka, a już spadł go lęk.

Jakby wyczuwając jego rozterki, zwinna, ośmioletnia kotka burmańska imieniem Pep ocknęła się w nogach łóżka i przyszła, żeby potrzeć wilgotnym nosem o lekko zarośnięty podbródek Carla.

- Dziękuję, mała - mruknął Carl, a potem odrzucił kołdrę i pobiegł truchtem do łazienki. Pep, jak zawsze, podążyła za nim. Carl uratował ją, gdy był na przedostatnim roku studiów w Duke. Jego współlokator, który właśnie obronił dyplom, zamierzał zostawić ją w schronisku. Carl nie mógł na to pozwolić; wyczuwał, że ta decyzja może oznaczać wyrok śmierci dla Pep. Zabrał kotkę na lato do domu,

pokochoła beznadziejnie i tak została z nim aż do końca studiów na wydziale prawa. Frank Giordano, bliski przyjaciel Carla i kolega z koszykarskiej drużyny, który wkrótce miał go zawieźć do szpitala, podjął się opieki nad Pep - miał ją karmić i poić przez najbliższe trzy dni. Wszystko było więc w najlepszym porządku, a przynajmniej tak się Carlowi zdawało.

Gdy Carl Vandermeer wchodził pod prysznic, doktor Sandra Wykoff właśnie wysiadła ze swego bmw x3. Spieszyła się, ale nie dlatego, że była spóźniona, tylko dlatego, że kochała swoją pracę. W przeciwieństwie do Carla Vandermeera uwielbiała medycynę tak bardzo, że od trzech lat nie wzięła porządnego urlopu - a właśnie tak długo była zatrudniona w Centrum Medycznym Mason-Dixon jako anestezjolog z wszelkimi uprawnieniami, po studiach na Uniwersytecie Medycznym Karoliny Południowej. Miała trzydzieści pięć lat i była pracoholiczką, świeżo po krótkotrwałym małżeństwie z chirurgiem.

Zostawiwszy wóz na zarezerwowanym miejscu na parterze parkingu, zignorowała windę i ruszyła schodami w górę. Lubiła ruch, a pokonanie jednego ciągu stopni nie stanowiło żadnego problemu. Supernowoczesne sale operacyjne centrum medycznego, wybudowanego już w nowym tysiącleciu, mieściły się na pierwszym piętrze. W pokoju chirurgów zerknęła na monitor, na którym wyświetlony był grafik zabiegów. Czekają ją cztery zadania w sali operacyjnej numer 12 - na początek rekonstrukcja zerwanego więzadła krzyżowego przedniego pod kierunkiem Gordona Weavera, w znieczuleniu ogólnym. Ucieszyła się. Lubiła pracować z Weaverem. Był towarzyski i lubił swoją robotę. Dla Sandry najważniejsze było jednak to, że nie guzdrał się i meldował bez oporów, gdy na przykład pacjent tracił więcej krwi, niż zakładano. Ceniła dobrą komunikację, a nie z każdym chirurgiem udawało się ją utrzymać. Jak wszyscy anestezjologodzy była w pełni świadoma faktu, że nie od chirurga, lecz od niej zależy w głównej mierze życie pacjenta i dlatego była wdzięczna za wszelkie sygnały o niepokojących zmianach jego stanu.

Sandra sięgnęła po swój tablet i wpisała imię i nazwisko pacjenta - Carl Vandermeer - a następnie jego numer w szpitalnym rejestrze oraz swój PIN, żeby zajrzeć do jego niedawno założonej EMR, czyli elektronicznej karty pacjenta. Była ciekawa danych przedoperacyjnych i chwilę później wiedziała już wszystko: pan Vandermeer był zdrowym dwudziestodwuletnikiem, nie stwierdzono u niego

alergii na leki, ale też nigdy dotąd nie był znieczulany. Mało tego, nigdy wcześniej nie był pacjentem szpitala. Bułka z masłem, pomyślała Sandra.

Przebrawszy się, ruszyła prosto do sali operacyjnej, mijając po drodze kontuar dyżurki, królestwo nadzwyczaj kompetentnej Geraldine Montgomery, przełożonej pielęgniarek. Po prawej miała wejście do sali wybudzeń, oddziału dawniej nazywanego po prostu salą pooperacyjną, po lewej zaś salę przedoperacyjną. W obu pomieszczeniach panował spory ruch: zespół pielęgniarek i salowych przygotowywał się do kolejnego, zapewne jak zwykle pracowitego, poniedziałkowego poranka.

Sandra, osoba z natury przyjacielska, choć raczej małomówna, witała każdego, kto znalazł się w zasięgu wzroku, ale nie zatrzymała się ani razu, żeby z kimś porozmawiać, ba, nawet nie zwołniła kroku. Była jak zawsze skupiona na swojej porannej misji: zamierzała dokonać przeglądu aparatu do znieczuleń, który miał jej służyć tego dnia - był to obowiązkowy element codziennej procedury, lecz wyjątkowo sumienna Sandra podchodziła do sprawy poważniej niż większość anestezjologów i pielęgniarek anestezjologicznych.

Uwielbiała zwłaszcza to nowe, komputerowo sterowane urządzenie. Prawdę mówiąc, właśnie rosnąca rola komputerów obudziła w niej zainteresowanie anestezjologią, być może dlatego, że po ojcu odziedziczyła fascynację wszystkim, co mechaniczne. Steven Wykoff był inżynierem zatrudnionym w przemyśle samochodowym. W 1993 roku przeniósł się z Detroit w stanie Michigan do Spartanburga w Karolinie Południowej. Podobnie jak w motoryzacji, komputery liczyły się w medycynie coraz bardziej i to właśnie sprawiło, że Sandra wybrała karierę lekarza. Na trzecim roku, podczas praktyki chirurgicznej, po raz pierwszy zetknęła się z praktyczną anestezjologią - i połączyła bakcyła. Doszła do wniosku, że to idealna dla niej mieszanka fizjologii, farmakologii, komputerów i urządzeń mechanicznych.

Wchodząc do sali operacyjnej numer 12, Sandra przywitała się z pielęgniarką operacyjną Claire Beauregard, zajętą już przygotowaniem sali, ale i tym razem odpuściła sobie rozmowę. Chwilę później stanęła przed swym wiernym mechanicznym partnerem, z którym miała spędzić większość dnia. Aparat, najeżony zaworami różnokolorowych pojemników z gazem, wskaźnikami i monitorami, wyglądał imponująco. Podobnie jak reszta sprzętu w nowoczesnym kompleksie szpitalnym, był urządzeniem najnowszej generacji. Placówka zakupiła ich setkę; to miało numer 37, o czym informowała naklejka na bocznej ścianie obudowy, sąsiadująca z tabelą przeglą-

dów serwisowych.

W oczach Sandry aparat do znieczuleń, który miała przed sobą, był cudem współczesnej inżynierii. Wyposażono go między innymi w funkcję autotestu, w pełni odpowiadającą zaleceniom Agencji Żywności i Leków (FDA) i pod wieloma względami przypominającą listę czynności, które piloci są zobowiązani wykonać przed startem samolotu, a których celem jest sprawdzenie poprawności działania systemów pokładowych. Sandra jednak nigdy nie zaczynała pracy od uruchomienia programu autotestu. Lubiła testować swoje urządzenie starym sposobem: własnoręcznie. Szczególną uwagę poświęcała podzespołom wysokiego i niskiego ciśnienia, bo lubiła mieć pewność, że działają bez zarzutu. Nie tylko oglądała wszystkie zawory, lecz także dotykała ich, by sprawdzić, czy prawidłowo pracują. Po takim przeglądzie czuła się pewniej niż po autoteście wykonanym zgodnie z komputerowym algorytmem.

Zadowolona ze stanu aparatu Sandra przyciągnęła bliżej stółek, na którym miała spędzić sporą część dnia. Usiadła naprzeciwko konsoli sterującej i teraz dopiero włączyła urządzenie. Jak zwykle patrzyła jak urzeczona na monitor, na którym zaczęły się pojawiać komunikaty o kolejnych fazach autotestu, dublujących większość czynności, które właśnie wykonała. Po paru minutach zamigotała nowa wiadomość: wszystkie systemy są sprawne, w tym także alarmowe wskaźniki ciśnienia krwi pacjenta, akcji serca oraz niskiego stężenia tlenu we krwi.

Sandra była zadowolona. Gdyby testy wykazały choćby najdrobniejszą usterkę, miałyby obowiązek zameldować o tym w Dziale Inżynierii Klinicznej, który odpowiadał za przeglądy aparatów do znieczuleń, a zatrudnionych tam techników uważała za dość dziwną zgraję. Ci, z którymi miała kontakt, byli bez wyjątku imigrantami z Rosji. W różnym stopniu znali angielski, wszyscy natomiast zachowywali się jak niedojrzali maniacy komputerowi, których pamiętała z młodości. Nie lubiła zwłaszcza Miszy Zotowa, który polował na nią w szpitalnym bufecie i próbował zabawić rozmową parę dni po tym, jak zajrzała do nich w jakiejś banalnej sprawie dotyczącej konserwacji maszyn. Wzdrygała się na samą myśl o nim, zwłaszcza że kilka dni później zadzwonił do niej do domu i próbował namówić ją na drinka. Do dziś nie wiedziała, skąd zdobył jej zastrzeżony numer. Odruchowo skłamała, mówiąc mu, że jest w poważnym związku.

Upewniwszy się, że aparat jest gotowy do pracy, Sandra z równą pilnością zaczęła sprawdzać zapasy leków. Dotykała kolejno każdego

pojemnika, żeby lepiej zapamiętać ich położenie. Wiedziała, że w krytycznej sytuacji nie będzie czasu na poszukiwania; musiała mieć w zasięgu ręki wszystko, co potrzebne.

- Chcesz, żebym zaparkował i poszedł z tobą? - spytał Frank Giordano, kiedy kilka minut po siódmej skręcał na podjazd Centrum Medycznego Mason-Dixon. Do tej pory jechali w milczeniu. Frank zrezygnował z prób zabawiania przyjaciela rozmową, gdy tylko ruszyli King Street na północ. Carl wolał milczeć i łatwo było się domyślić, że jest zestresowany czekającą go operacją - zwłaszcza że zanim jeszcze wsiedli do samochodu, wspomniał coś o „cholernym zdenerwowaniu”.

- Nie, dziękuję - odparł Carl. - Jestem już trochę spóźniony, co, mam nadzieję, oznacza, że nie będę musiał siedzieć i czekać. - Niepokój w jego głosie był wyraźnie wyczuwalny.

- Stary, wyluzuj trochę! To naprawdę nic wielkiego. Gdy miałem dziesięć lat, wycięli mi migdałki. Łatwizna. Pamiętam, że kazali mi odliczać od pięćdziesięciu w dół. Dotarłem chyba do czterdziestu sześciu, a gdy mnie obudzili, było już po wszystkim.

- A ja mam złe przeczucia - odpowiedział Carl, patrząc mu w oczy.

- Kurde, człowieku, po cholerę wygadujesz takie bzdury? Myśl pozytywnie! Musisz to zrobić, i to teraz, zaraz! W grudniu będziesz gotowy na nowy sezon. Jesteś nam potrzebny na boisku, ale zdrowy.

Carl nie odpowiedział. Pod portykiem szpitalnego gmachu stał sznur samochodów, z których wysiadali pasażerowie z niewielkimi torbami. Domyślał się, że to pacjenci, którzy podobnie jak on, mają zostać przyjęci do szpitala. Zerknął na ekran telefonu. Prawie pięć po siódmej. Przybył na czas, zatem najprawdopodobniej nie będzie musiał czekać.

- Wsiądę tutaj - oznajmił niespodziewanie, otwierając drzwi.

- Jeszcze pół minuty i bylibyśmy przy wejściu - odpowiedział mu Frank.

- Chyba nie. Będzie szybciej, jeśli pójde pieszo. - Carl zatrzasnął drzwi i otworzył bagażnik. Zarzucił na ramię plecak z niezbędnymi drobiazgami. - Nie zapomnij o kotce!

- Bez obaw - mruknął Frank, wysiadając. Obszedł wóz, żeby pożegnać przyjaciela krótkim, męskim uściskiem. Carl nie zareagował, tylko popatrzył na niego w milczeniu. Dopiero gdy Frank uniósł pięść, odpowiedział tym samym. Ich knykie zetknęły się na moment.

- Na razie, stary - powiedział Frank. - Będzie dobrze.

Carl skinął głową, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi, przeciskając się obok samochodów wypływających kolejnych pasażerów. Przekraczając próg szpitala, myślał o jednej z lektur z czasów studiów, a ściślej o opisie piekła pióra Dantego.

Wolontariusz w różowym kitlu skierował go do izby przyjęć oddziału chirurgii. Przedstawił się recepcjonistce siedzącej za wysokim, sięgającym piersi kontuarem.

- Spóźnił się pan - zauważyła kobieta z lekka oskarżycielskim tonem. Była uderzająco podobna do nauczycielki, która uczyła Carla w szóstej klasie, panny Gillespie. To proste skojarzenie sprawiło, że wrócił myślami do dawnych czasów, kiedy nie miał wielkiego wpływu na własny los: znowu był niesfornym dwunastolatkiem toczącym prywatną wojnę z panną Gillespie. Recepcjonistka sięgnęła po plik papierów leżący na biurku i wręczyła go Carlowi.

- Proszę usiąść. Pielęgniarka zaraz po pana przyjdzie.

Choć stanowczością nie ustępowała recepcjonistce, pielęgniarka była o wiele sympatyczniejsza. Uśmiechnęła się nawet, prosząc go, żeby poszedł za nią za parawany, za którymi czekało już łóżko na kółkach okryte świeżą pościelą, na niej zaś leżała szpitalna koszula. Zerknęła do dowodu tożsamości ze zdjęciem, datą urodzenia i nazwiskiem, po czym umieściła na nadgarstku Carla opaskę identyfikacyjną. Gdy skończyła, poprosiła, by schował wszelkie cenne przedmioty do płóciennej torby z zamkiem, także leżącej na łóżku, a następnie rozebrał się, włożył szpitalną koszulę i położył się na łóżku. Zaciągnęła zasłonkę, by zapewnić mu stuprocentową prywatność, a potem przez chwilę patrzyła, jak Carl ogląda koszulę ze wszystkich stron, próbując odgadnąć, jak należy ją nosić.

- Rozcięcie powinno być z tyłu - odezwała się wreszcie, jakby to jedno zdanie miało wszystko wyjaśnić. - Wrócę za chwilę, gdy będzie pan gotowy - dodała, po czym zniknęła za parawanem. Najwyraźniej zależało jej na czasie.

Carl robił co mógł, ale nie obyło się bez kłopotów, zwłaszcza z zawiązywaniem troczków - jedną parę umieszczono na wysokości karku, lecz drugą gdzieś w pasie, w czym nie widział krzty sensu. W końcu jednak, jako tako ubrany, wskoczył na posłanie i przykrył się kołdrą po pierś. W tej samej chwili zza parawanu dobiegł głos pielęgniarki: upewniała się, czy już skończył.

Zaraz potem stanęła przy nim i rozpoczęła litanię pytań. Czy jadł pan coś dziś rano? Czy cierpi pan na alergię? Czy jest pan uczulony na jakieś leki? Czy nosi pan wyjmowane protezy zębowe? Pali pan? Czy

kiedykolwiek był pan poddany znieczuleniu ogólnemu? Czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przyjmował pan aspirynę? Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność, a Carl posłusznie odpowiadał „nie”, aż wreszcie pielęgniarka zapytała go, jak się czuje.

- W jakim sensie? - spytał zaskoczony. - Jestem zdenerwowany. Taką odpowiedź miała pani na myśli?

Pielęgniarka parsknęła śmiechem.

- Nie, nie, nie! Chodzi o to, czy czuje się pan zdrowy i czy tak było przez całą noc. Bo może na przykład łapie pana jakaś choroba? Nie ma pan dreszczy? Może gorączkę? Cokolwiek?

- Rozumiem - mruknął Carl, czując się jak ostatni naiwniak. - Niestety, czuję się znakomicie i nie mam w zanadru żadnego pretekstu do uniknięcia tego, co mnie czeka. Poza niepokojem nic mi nie dolega.

Pielęgniarka uniosła głowę znad tabletu, w którym rejestrowała wszystkie odpowiedzi pacjenta.

- Bardzo się pan niepokoi?

- A nie powinienem?

- Wizyta w szpitalu to stresujące przeżycie dla wielu pacjentów.

Dla nas, którzy tu pracujemy, oczywiście nie, to nasza codzienność. Proszę oszacować swoje zdenerwowanie w skali od jednego do dziesięciu.

- Może osiem! Naprawdę bardzo się boję. Nie znoszę igieł ani żadnych innych instrumentów medycznych.

- Zdarzył się panu kiedyś epizod hipotonii w warunkach szpitalnych?

- Proszę mi to przetłumaczyć na angielski.

- Zemdlał pan może?

- Obawiam się, że tak. Dwa razy. Najpierw podczas pobierania krwi do badania w przychodni studenckiej, a potem jeszcze raz, podczas oddawania krwi.

- Muszę to odnotować w karcie pacjenta. Jeśli pan chce, możemy panu podać coś na uspokojenie.

- Byłoby świetnie - odparł bardzo szczerze Carl.

Pielęgniarka zmierzyła mu puls i ciśnienie; były w normie. Następnie spytała, które kolano ma być operowane, a gdy Carl wskazał na prawe, zrobiła znak X niezmywalnym pisakiem na jego udzie, mniej więcej dziesięć centymetrów nad rzepką.

- Chcemy mieć pewność, że operujemy właściwe kolano - wyjaśniła.

- Też bym chciał - odparł nerwowo Carl. - Zdarzały się takie

pomyłki?

- Niestety tak. Nie tutaj, ale zdarzały się.

Kurwa mać, pomyślał Carl. Kolejny powód do niepokoju. Zastanawiał się, czy słusznie postąpił, zniechęcając Lynn do towarzyszenia mu podczas przygotowań do zabiegu. Przydałby mu się taki „rzecznik praw pacjenta”.

- Doktor Wykoff, pacjent jest już na sali przedoperacyjnej - zameldowała Claire, wróciwszy na salę operacyjną.

- Co z doktorem Weaverem? - spytała Sandra.

- Przebiera się. Możemy zaczynać.

- Doskonale. - Wstała, by sięgnąć po tabletki. - Jak idzie, Jennifer?

Jennifer Donovan, instrumentariuszka, miała już na sobie fartuch i rękawice; właśnie kończyła układać na tacy wysterylizowane narzędzia. Była 7.45.

- Zaraz będę gotowa - odpowiedziała.

Wracając do głównego korytarza, Sandra zerknęła na ekran tabletu, żeby przejrzeć notatki pielęgniarki w elektronicznej karcie pacjenta. Nie zauważyła w nich niczego niepokojącego, może poza uwagę o ponadprzeciętnym zdenerwowaniu Carla Vandermeera i dwóch przypadkach omdlenia sprzed lat, związanych z pobieraniem krwi. Sandra wielokrotnie miała do czynienia z osobami przejawiającymi podobne lęki i nigdy nie stanowiło to problemu. W końcu nie jest łatwo zemdleć, gdy się leży. Niepokój pacjenta uważała za rzecz normalną i dlatego wyjątkową sympatią darzyła specyfiki takie jak midazolam, sprzedawany między innymi jako Dormicum. Środek ten działał jak marzenie: relaksował nawet najbardziej przerażonych pacjentów. W kieszeni fartucha miała strzykawkę z odpowiednią dawką, stosowną do masy ciała Carla.

Znalazła go w jednej z sal przedoperacyjnych. Mimowolnie zauważyła, że jest przystojnym mężczyzną o ciemnych, gęstych włosach i uderzająco błękitnych, szeroko otwartych oczach. Wyglądał na okaz zdrowia, jeśli nie liczyć bardzo widocznych objawów silnego zdenerwowania. Przeszło jej nawet przez myśl, że przyjemnie będzie operować kogoś takiego.

- Dzień dobry, panie Vandermeer. Jestem doktor Wykoff, będę pańskim anestezjologiem - przedstawiła się Sandra.

- Chcę to przespać! - oświadczył Carl z całą stanowczością, na jaką było go stać w tym stanie ducha. - Omawiałem to już z doktorem Weaverem i obiecał mi znieczulenie ogólne. Nie chcę

zewnątrzoponowego.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała spokojnie Sandra. - Jesteśmy na to przygotowani. A pan, jak rozumiem, jest nieco zdenerwowany.

Carl zaśmiał się nerwowo.

- Spore niedopowiedzenie.

- Możemy panu pomóc, ale wymaga to wykonania zastrzyku. Wiem, że nie lubi pan igieł, ale czy zgadza się pan, żebym podała lek w taki sposób? Gwarantuję skuteczność.

- Szczerze mówiąc, nie szaleję z radości na myśl o zastrzyku. Gdzie chce mnie pani kląć?

- Najlepiej w ramię.

Carl zebrał się na odwagę, posłusznie odsłonił lewe ramię i odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na strzykawkę. Sandra przetarła wybrane miejsce środkiem antyseptycznym i szybko zrobiła zastrzyk.

Carl spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Nie bolało. Naprawdę już pani skończyła?

- Jak najbardziej. A teraz chciałabym omówić z panem informacje, które zanotowała pielęgniarka.

Nie tracąc czasu, wypytała Carla raz jeszcze o ostatni posiłek, o alergię, o tolerancję leków, problemy natury medycznej, poprzednie znieczulenia, protezy dentystyczne i wiele innych spraw. Zanim dotarła do końca listy pytań, zachowanie pacjenta zmieniło się diametralnie pod wpływem midazolamu. Niepokój znikł bez śladu, a cała sytuacja najwyraźniej zaczęła Carla bawić.

Sandra uznała, że to odpowiedni moment do założenia wenflonu. Carl nie miał nic przeciwko; przyglądał się jej poczynaniom z absolutną obojętnością. Pracowała sprawnie i pewnie, jako że wykonywała te czynności każdego dnia, przed każdym zabiegiem - najbardziej ufala własnym rękóm. Zakładając wenflon na przedramieniu, słuchała opowieści Carla o jego dziewczynie, studentce medycyny, najatrakcyjniejszej dziewczynie z całej grupy, która poleciła mu ten szpital. Sandra dyplomatycznie powstrzymała się od komentarza.

Kilka minut później do pokoju zajrzał doktor Gordon Weaver, żeby zamienić z pacjentem kilka słów i upewnić się, które kolano będzie operowane. Sprawdził, czy znak X wykonany przez pielęgniarkę niezmywalnym markerem na prawym udzie jest na swoim miejscu.

- Widzę, że właściwe kolano to temat dnia - zażartował Carl.

- Możesz mi wierzyć, że tak, przyjacielu - odparł doktor Weaver.

Chwilę później Sandra ciągnęła już łóżko za sobą, a doktor Weaver pchał je w stronę sali numer 12. Zatrzymali je równolegle do stołu

operacyjnego, pod potężną baterią świateł. Gdzieś po drodze Carl usnął w połowie zdania i Sandra po raz kolejny pomyślała o tym, jakim błogosławieństwem jest midazolam. Nie wiedziała, że już wkrótce będzie analizować każdą czynność wykonaną tego dnia, zastanawiając się, czy mogła omyłkowo przedawkować lek. Wspólnymi siłami - z doktorem Weaverem i Claire Beauregard - wprawnie przenieśli nieprzytomnego Carla na stół operacyjny.

Gdy Weaver wyszedł do umywalni, Sandra przyciągnęła aparat do znieczuleń w pobliże głowy pacjenta. Tę część swojej pracy lubiła najbardziej: była teraz centralną postacią w sali operacyjnej i jak co dzień miała dowieść, jak wiele znaczy farmakologia. Anestezjologia to specyficzna dziedzina medycyny: wymaga ogromnej koncentracji na detalach w cyklach falowej aktywności, przeplatanej długimi okresami względnej beczynności, podczas których utrzymanie należytego skupienia jest niełatwą sztuką. Za każdym razem, gdy Sandra zastanawiała się nad sensem swojej profesji, dochodziła do wniosku, że anestezjolog przypomina pilota samolotu. W tym momencie szykowała się do startu. Następnie czekał ją dłuższy okres lotu wspomaganego autopilotem, urozmaicanego jedynie zerkaniem na monitory i przyrządy. Pełną koncentracją będzie się musiała wykazać dopiero przy lądowaniu.

Jako że wywiad z pacjentem nie ujawnił żadnych przeciwwskazań do zastosowania popularnych anestetyków, Sandra zamierzała użyć izofluranu, z uzupełnieniem w postaci podtlenku azotu oraz tlenu. Stosowała tę kombinację tysiące razy i uważała ją za stuprocentowo pewną. Nie zachodziła potrzeba użycia środków zwiotczających, jako że operacja kolana - w przeciwieństwie do operacji w obrębie jamy brzusznej - nie wymagała całkowitego rozluźnienia mięśni. Rurka intubacyjna także była zbędna; Sandra zamierzała użyć LMA, czyli maski krtaniowej. Zawsze myślała o takich szczegółach z wyprzedzeniem - była drobiazgową we wszystkich dziedzinach życia, ale przede wszystkim w medycynie - i być może dlatego jeszcze nigdy nie doszło z jej winy do powikłań podczas zabiegu.

Jak wszyscy lekarze anestezjodzy i wszystkie pielęgniarki anestezjologiczne wiedziała doskonale, jakie cechy powinien mieć idealny gaz anestezjologiczny. Powinien być niepalny i łatwo rozpuszczalny w tłuszczu (aby szybciej docierał do mózgu), ale niezbyt dobrze rozpuszczalny we krwi, aby można było szybko go wyeliminować. Ponadto powinien być możliwie nietoksyczny dla narządów wewnętrznych i jak najmniej drażniący dla dróg oddechowych. Sandra była świadoma, że żaden ze współcześnie stosowanych

środków znieczulających nie spełnia wszystkich tych kryteriów, ale mieszanina, którą zamierzała podać Carlowi, była prawie idealna.

Na początek uruchomiła monitorowanie funkcji życiowych pacjenta, aby mieć stały wgląd w jego puls, EKG, saturację, temperaturę ciała oraz ciśnienie krwi, zarówno skurczowe, jak i rozkurczowe. Aparat do znieczuleń potrafił jednak znacznie więcej: mierzył i rejestrował praktycznie wszystkie istotne parametry, włącznie z zawartością dwutlenku węgla we wdychanej i wydychanej mieszance gazów.

Gdy Sandra zakładała elektrody EKG i mankiet do pomiaru ciśnienia, Carl odzyskał świadomość. Nie był zdenerwowany; próbował nawet żartować, twierdząc, że na widok masek na twarzach lekarzy i pielęgniarek czuje się jak na przyjęciu z okazji Halloween.

- Podam panu teraz tlen - powiedziała Sandra, delikatnie dociskając czarną maskę do nosa i ust Carla. - A potem znowu ułożymy pana do snu. - Wiedziała doskonale, że przyjemne metafory sprawdzają się w takich chwilach lepiej niż suche fakty; nie mogła przecież oznajmić pacjentowi, że za chwilę zostanie otruty w sposób kontrolowany oraz odwracalny.

Carl bez słowa skargi zamknął oczy.

Teraz Sandra zaaplikowała mu propofol, ów - bajeczny jej zdaniem - lek, któremu tak fatalną sławę przyniosła tragedia Michaela Jacksona. Wiedząc o tym, jaki wpływ ma ta substancja na ciśnienie krwi, wydolność oddechową oraz hemodynamikę mózgową, Sandra nigdy nie odważyłaby się podać jej pacjentowi, nie mając do dyspozycji aparatu do znieczuleń wraz z baterią czujników czynności fizjologicznych.

W fazie indukcji musiała zachować najwyższą czujność. Bacznie obserwowała wskazania przyrządów, wciąż używając czarnej maski, przez którą Carl oddychał czystym tlenem. Na poły świadomie zarejestrowała przybycie doktora Weavera, który właśnie wkładał sterylne fartuch i rękawiczki. Mniej więcej po pięciu minutach Sandra odłożyła maskę tlenową i sięgnęła po LMA w odpowiednim rozmiarze. Wprawnym ruchem wprowadziła trójkątną, nadmuchiwaną końcówkę do ust Carla i środkowym palcem umieściła ją we właściwej pozycji. Następnie szybko napompowała mankiet i podłączyła maskę do aparatu do znieczuleń, który natychmiast wykrył dwutlenek węgla w wydychanym powietrzu, co oznaczało, że LMA została poprawnie założona. Na wszelki wypadek Sandra osłuchiwała pacjenta stetoskopem, po czym, zadowolona w wyniku badania, plasterem przykleiła maskę krtaniową do twarzy Carla, by unieruchomić ją we właściwym

położeniu. Teraz ustawiła w maszynie odpowiednie stężenie izofluranu, podtlenu azotu oraz tlenu. Podtlenek azotu ma pewne właściwości znieczulające, ale niewystarczająco silne. Stosuje się go po to, by zredukować ilość potrzebnego izofluranu, który wprawdzie działa znakomicie, ale wywołuje lekkie podrażnienia dróg oddechowych. Sandra sklepiła taśmą powieki Carla, uprzednio zaaplikowawszy jego oczom odrobinę maści antybiotykowej, zapobiegającej wysychaniu rogówki.

Spokojnie obserwowała wskazania aparatu do znieczuleń - wszystkie funkcje życiowe pacjenta były w normie, zatem start przebiegł bez zakłóceń. Kontynuując w duchu lotniczą metaforę, Sandra pomyślała, że oto osiągnęli pułap przelotowy i lada chwila kapitan pozwoli pasażerom rozpiąć pasy. Jej puls, znacznie podwyższony w chwili, gdy podawała pacjentowi środek znieczulający, teraz wrócił do normy. Napięcie trwało kilka minut i jak zawsze nastąpiła po nim przyjemna reakcja organizmu: poczucie triumfu, dobrze wykonanej roboty. Pacjent był w dobrych rękach.

- Wszystko w porządku? - spytał doktor Weaver, gotów zabrać się do pracy.

Sandra uniosła kciuki i raz jeszcze ręcznie sprawdziła ciśnienie krwi Carla, a potem pomogła Claire rozstawić ekran anestezyjologiczny, który miał jałową zasłoną oddzielać głowę pacjenta od sterylnego miejsca operacji. Chwilę później wróciła na swoje miejsce. Lot trwał w najlepsze.

Reperując uszkodzone kolano Carla Vandermeera, doktor Weaver prowadził rozmowę niebezpiecznie przypominającą monolog, niezbyt przejmując się współpracownikami. Opowiadał głównie o czynnościach, które właśnie wykonywał - w tym momencie pobierał fragment więzadła rzepki - ale także o swoich dzieciach i o daczycy na Folly Island.

Sandra słuchała go tylko jednym uchem, przypuszczając, że i obie pielęgniarki nie poświęcają mu zbyt wiele uwagi. Odezwała się tylko raz, podczas krótkiej przerwy w monologu, żeby spytać, jak długo jeszcze potrwa operacja.

Chirurg wyprostował się i znieruchomiał na moment, oceniając postępy.

- Powiedziałbym, że mniej więcej czterdzieści minut. Wszystko przebiega gładko. U pani też wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - odpowiedziała Sandra. Zerknęła na swoje notatki. Aparat na bieżąco sporządzał raport anestezyjologiczny, ale Sandra Wykoff lubiła prowadzić odręczne zapiski, jak za dawnych lat

- to pomagało jej utrzymać koncentrację. Dodatkowe czterdzieści minut oznaczało, że operacja potrwa łącznie nieco ponad półtorej godziny. Doktor Weaver był w formie; inni ortopedzi potrzebowali niekiedy dwukrotnie dłuższego czasu.

Sandra zmieniała pozycję, by rozprostować zdrtwiałe nogi. Gdyby tylko zechciała, ktoś mógłby ją zastąpić na kilka minut, ale rzadko korzystała z tej możliwości i nie zamierzała korzystać z niej teraz, nawet jeśli operacja przebiegała bez najmniejszych kłopotów.

Dźwięk pracującej wiertarki podpowiedział jej, że doktor Weaver rozpoczął tworzenie przepustu w kości, przez który zamierzał przeprowadzić pobrany fragment więzadła rzepki. Wiedząc, że okostna jest dobrze unerwiona, Sandra odruchowo spojrzała na monitor, by się upewnić, czy w odczytach nie nastąpi zmiana sugerująca, że znieczulenie nie jest dostatecznie głębokie. Wszystkie parametry pozostały niezmienione. Przez chwilę obserwowała wskaźnik pulsu. Siedemdziesiąt dwa, bez najmniejszych odchyień. I wtedy, na jej oczach, wydarzyło się coś, czego nie doświadczyła nigdy wcześniej: ekran mignął, jakby na ułamek sekundy stracił zasilanie.

Zaniepokojona Sandra nachyliła się nieco w stronę urządzenia, czując, że jej puls przyspiesza. Myśl o tym, że mogłaby w samym środku operacji stracić wszelkie dane o stanie pacjenta, nie była przyjemna. Odruchowo wstrzymując oddech, czekała na kolejne mignięcie ekranu. Mijały sekundy, potem minuty. Nic się nie działo.

Po pięciu minutach Sandra poczuła się nieco pewniej, zwłaszcza że dane widoczne na monitorze, włącznie z odczytem EKG, były najzupełniej prawidłowe. Usterka, czymkolwiek była, już się nie powtórzyła. Jeżeli coś się zmieniło - a Sandra wcale nie była pewna, czy tak było - to być może wskazania przyrządów były nieco wyższe, jakby doszło do minimalnej rekaliibracji czujników. To jednak nie mogło się zdarzyć, bo przecież absolutnie niczego nie zmieniła w ustawieniach aparatu.

Sandra pokręciła głową, jakby chciała się uwolnić z niewidzialnych pajęczyn. Może jednak potrzebowała przerwy? Myśl o tym, że naprawdę mogło dojść do zakłócenia pracy urządzeń, nie pozwoliła jej odejść od stanowiska; przeciwnie, zmusiła ją do jeszcze bardziej intensywnego wpatrywania się w monitor. Było coś hipnotycznego w tych krzywych i liczbach tańczących na ekranie, a zwłaszcza w gwałtownych, powtarzalnych zmianach zapisu linii EKG.

Mniej więcej po dziesięciu minutach doktor Weaver oznajmił Sandrze, że za niespełna dwadzieścia minut zacznie zakładać szwy.

To oznaczało, że rozpoczyna się drugi etap najbardziej intensywnej pracy anestezjologa. Sandra odłączyła dopływ izofluranu, ale nie zamknęła zaworów podtlenku azotu oraz tlenu. I w tym momencie doszło do katastrofy: aż podskoczyła, gdy odezwał się alarm sygnalizujący obniżenie nasycenia krwi tlenem.

Spojrzała na monitor. Saturacja spadła ze stu do dziewięćdziesięciu dwóch procent. Nie była to wartość krytyczna, ale jednak doszło do istotnej zmiany. Po chwili sytuacja zaczęła się poprawiać: wartość wzrosła do dziewięćdziesięciu trzech procent i wolno rosła. Ale dlaczego spadła? Sandra nie miała bladego pojęcia. W tym momencie dopiero zauważyła, że i w EKG zaszła zmiana: w tej samej sekundzie, kiedy spadło stężenie tlenu, nastąpiło uniesienie załamka T, sugerujące niedokrwienie mięśnia sercowego. To nie był dobry znak. Ale jak mogło do tego dojść? Jakim cudem, u diabła, sercu mogło nagle brakować tlenu, skoro doszło do tak nieznacznej zmiany saturacji? To jakiś obłąd, pomyślała Sandra.

Wielkim wysiłkiem woli zmusiła się do zachowania zimnej krwi. Musiała myśleć, i to prędko. Coś poszło nie tak, to było pewne. Ale co? Zwiększyła podaż tlenu, jednocześnie ograniczając dopływ podtlenku azotu. Teraz zauważyła, że oddech Carla stał się płytszy i czym prędzej włączyła wspomaganie wentylacji. Chciała podać mu więcej tlenu, by wreszcie wyłączył się ten irytujący alarm.

- Hej! - zawołał nagle doktor Weaver. - Widzę przeprost w obu nogach. Dostał drgawek, czy co? Co się dzieje, do diabła?

- O Boże, nie! - krzyknęła niemal bezgłośnie Sandra. Zerwała się na równe nogi, w locie włączając latarkę. Zerwała plastry łączące powieki Carla i skierowała wiązkę światła na jego źrenice. To, co zobaczyła, przeraziło ją. Obie źrenice były mocno rozszerzone i praktycznie nie reagowały na światło! Poczowała, że nogi uginają się pod nią i na krótką chwilę musiała chwycić się skraju stołu operacyjnego, by nie upaść. Bała się, że przeprost kończyn dolnych może być objawem tak zwanej sztywności z odkorowania, co oznaczałoby, że najbardziej wrażliwa część mózgu, kora, nie dostaje wystarczającej ilości tlenu. A kiedy korze mózgowej brakuje tlenu, miliony komórek nie tylko słabną, jak to bywa z komórkami mięśnia sercowego, lecz umierają!

Rozdział 2

Poniedziałek, 6 kwietnia, 9.20

Lynn Peirce i jej koledzy wybuchnęli gromkim śmiechem. Jej pech polegał na tym, że akurat miała w ustach łyk kawy, która teraz efektownie rozbryznięła się po stole. Zażenowana nie mogła uwierzyć, że przytrafiło jej się coś takiego.

- Przepraszam - wymamrotała, osuszając usta serwetką.

Michael Pender, który siedział naprzeciwno, zerwał się z udawanym oburzeniem, przy okazji przewracając krzesło. Zebrani wokół stołu roześmiali się jeszcze głośniejszymi i chyba przesadzili, bo siedzący w pobliżu spojrzeli na nich z dezaprobatą.

Lynn i Michael oraz czworo innych studentów czwartego roku medycyny siedzieli w popularnej kawiarni na parterze Centrum Medycznego Mason-Dixon. Był to szpital na osiemset łóżek, należący do firmy Middleton Healthcare, podobnie jak trzydzieści jeden podobnych placówek rozsianych w południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Stolik, który wybrali, przeznaczony był dla czterech osób, ale zmieścili się jakoś, przystawiwszy dodatkowe dwa krzesła, by wspólnie cieszyć się przerwą na kawę. Sięgające od podłogi do sufitu szklane drzwi, przy których siedzieli, zostały rozsunięte i do wnętrza lokalu płynęło ciepłe wiosenne powietrze. Za oknami rozciągała się rozległa panorama znakomicie utrzymanych przyszpitalnych zieleńców.

Centrum Medyczne wybudowano na północno-wschodnim krańcu Charlestonu w Karolinie Południowej, w miejscu, z którego można było - ponad wierzchołkami magnolii rosnących wzdłuż ulicy - dostrzec fragment „Świętego Miasta”. Nazwa ta nawiązywała do licznych kościołów, których wieże, wznoszące się ponad dachami zabytkowych domów, widać było nawet zza kawiarnianego stolika. Jak większość wiosennych poranków w Charlestonie i ten był doprawdy piękny, głównie za sprawą słońca, mnóstwa kwiatów i beztroskiego śpiewu ptaków.

Tym, co wzbudziło tak gwałtowną wesołość Lynn, był dość czerstwy żart o anielicy, która zamieniła swą harfę na fujarę. Opowiedział go Ronald Metzner, typowy błazen klasowy, obdarzony fenomenalną pamięcią do dowcipów. Lynn była zdziwiona własną reakcją, bo zwykle jego żarty nie śmieszyły jej prawie wcale. Tym razem było inaczej i dopiero później uświadomiła sobie, że powodem było stłumione napięcie, które uparcie starała się ignorować.

Raz jeszcze przeprosiwszy kolegów za - jak jej się wydawało - poważne *faux pas*, podniosła spodek i filiżankę z kawą, żeby wytrzeć stolik. Zauważyła przy tym szeroki uśmiech zadowolenia na twarzy Ronalda, najwyraźniej uradowanego wrażeniem, jakie udało mu się wyrzeć na Lynn i pozostałych.

Sześcioro studentów medycyny - cztery kobiety i dwaj mężczyźni w regulaminowych białych fartuchach - nie bez powodu rozładowywało stres niewinnymi wyglupami. Czteroletni okres ciężkiej pracy, zwątpienia, poważnych wyzwań i odkrywania siebie dobiegał końca. Od dwóch tygodni znali już wyniki pracy Narodowego Programu Rezydentur - czas niepewności minął. Wiedzieli, dokąd wkrótce trafią; gdzie spędzą być może najważniejsze lata szkolenia zawodowego.

Ostatnie dwa miesiące przed ukończeniem studiów kilkudziesięcioosobowa grupa, do której należała Lynn, miała poświęcić na zgłębianie podstaw okulistyki, laryngologii i dermatologii. Zajęcia te nie były tak dobrze zorganizowane i tak istotne, jak choćby przedmioty z trzeciego roku: interna i chirurgia. Nie oczekiwano też od finiszujących studentów - przynajmniej na razie - pracy z pacjentami; zaplanowano dla nich jedynie nieszczególnie ciekawe wykłady i pokazy z owych trzech specjalności. I dlatego właśnie postanowili urwać się z zajęć w ten piękny poranek i nacieszyć sukcesem, którego już nikt nie mógł im odebrać: płynęli po spokojnych wodach wprost ku rozdaniu dyplomów.

- Nie wiedziałam, że interesuje cię ortopedia - powiedziała Karen Washington, gdy wreszcie przestali się śmiać.

Spośród wszystkich zebranych tylko Lynn potrafiła wyłowić specyficzny ton tej wypowiedzi. Na chwilę przed żartem o anielicy ujawniła kolegom swoje plany dotyczące rezydentury i Karen była wyraźnie zaskoczona. Obie pochodziły z Atlanty i znały się już w szkole średniej, a potem razem zaczynały studia w Duke. W tamtych czasach były nawet bliskimi przyjaciółkami, lecz gdy obie zdecydowały się na karierę lekarską, w ich wzajemnych stosunkach pojawił się nowy element: współzawodnictwo. Nie był to jedyny problem.

Problemy finansowe rodziców Lynn podczas drugiego roku jej studiów wywarły wpływ na bodaj wszystkie aspekty jej życia, w tym także na relacje z Karen, która pochodziła z wyjątkowo zamożnej rodziny.

Choć Lynn i Karen trafiły na tę samą uczelnię medyczną, ich dawna przyjaźń nie rozkwitła na nowo. Karen starała się ze wszystkich sił dowieść swojej wyższości, Lynn tymczasem wołała spędzać czas, rozwijając coraz bliższą platoniczną przyjaźń z Michaeliem Penderem. Na pierwszym roku medycyny Karen zwierzyła się jej, że może potrafiłaby zrozumieć tę zaskakującą znajomość lepiej, gdyby chodziło o zwykły romans. Lynn odpowiedziała, że sama jest zaskoczona tym, jak bliski stał się jej mężczyzna, którego przecież nie kocha. Naturalnie jej chłopak, Carl Vandermeer, był tym równie zdziwiony, a nawet, jak przyznała Lynn w rozmowie z Karen, miał poważny problem z zaakceptowaniem tego stanu rzeczy.

A wszystko zaczęło się całkiem niewinnie, z winy alfabetu: nazwiska Peirce i Pender sąsiadowały ze sobą na liście obecności. Z tego powodu praktycznie od pierwszego dnia nauki stali się partnerami podczas wszystkich zajęć wymagających pracy w parach, głównie w laboratorium i przy badaniu pacjentów. Zamiast jednak zakochać się w sobie, stali się z czasem świetnym zespołem, tandemem zgranym jak rodzeństwo. Zaczęli nawet zabiegać o to, żeby zawsze trafiać do tej samej grupy, chronili się nawzajem, uczyli się razem i mimowolnie, stopniowo oddalali się od pozostałych. W pewnym momencie koleldzy zaczęli nazywać Lynn i Michaela „bliźniakami”.

- Naprawdę? Ortopedia? - ciągnęła z niedowierzaniem Karen. - Kompletnie mnie zaskoczyłaś, zwłaszcza, że sama kiedyś mówiłaś, że wybierasz się na urologię. Ja z kolei przeczuwałam, że zostaniesz jednym z tych geniuszy od chorób wewnętrznych.

- Nie wiem, dlaczego tak się dziwisz - odparła Lynn, doskonale wyczuwając w głosie Karen nutę dawnych urażonych uczuć. - Akurat ty powinnaś wiedzieć, że już w ogólniaku należałam do tych wiecznie aktywnych. Nie pamiętasz, ile czasu poświęcałam na lacrosse'a? Sport zawsze był częścią mojej duszy. Ale ostateczną decyzję podjęłam nie tak dawno, na jesieni, gdy wybrałam ortopedię jako swój fakultet. Byłam zaskoczona tym, jak bardzo mi się to podobało. Mówię ci, to jest prawdziwa, radosna medycyna. Przynajmniej w większości. I to mnie skusiło.

- Ale ta chirurgia... - Karen westchnęła z przesadnym niesmakiem. - To nie to, co ludzie sobie wyobrażają. Wiem, bo sama się o tym przekonałam. Widziałam na własne oczy tych cieślów z młotkami

i piłami, wbijających gwoździe, a potem sprawdzających na zdjęciu rentgenowskim, czy weszły tam, gdzie chcieli. Okulistyka to co innego! To chirurgia w szczytowej formie: precyzyjna, bezkrwawa, a w dodatku można pracować na siedząco. - Wszyscy już wiedzieli, że Karen wybiera się do Emory w Atlancie, gdzie miała zostać rezydentką na oddziale okulistycznym.

- Każdemu to, co lubi - odpowiedziała Lynn. Nie zamierzała dać się wciągnąć w licytację zalet poszczególnych specjalności.

- Naprawdę chcesz tu zostać? - ciągnęła Karen, konsekwentnie uderzając w ton niedowierzania. - Właściwie to właśnie tym zaskoczyłaś mnie najbardziej. Sądziłam, że twoim przeznaczeniem jest któryś ze szpitali współpracujących z uczelniami Ivy League, choćby Mass General w Bostonie. Wyniki masz przecież wystarczające. - Wszyscy wiedzieli, że pod względem ocen Lynn była w ścisłej czołówce grupy, zresztą podobnie jak Michael, z którym zwykle sąsiadowała we wszelkich rankingach. To także ich łączyło.

- Choroby wewnętrzne i Ivy League są zarezerwowane dla Michaela - powiedziała Lynn, pamiętając o sukcesie swego przyjaciela. Michael tylko się uśmiechnął. Do Mass General i sal wykładowych Harvardu docierało bardzo niewiele osób z Uniwersytetu Medycznego Mason-Dixon, którego głównym zadaniem było kształcenie sprawnych lekarzy na potrzeby Karoliny Południowej, a nie luminarzy medycyny. - Ja będę szczęśliwa tu, w Mason-Dixon - ciągnęła Lynn. - Zresztą i ty świetnie trafiłaś, Karen. Okulistyka w Emory? Pozazdrościć. - Dla nikogo nie było tajemnicą, że Karen także należy do grona dziesięciorga najlepszych studentów.

- Chyba wiadomo, dlaczego Lynn zdecydowała się na rezydenturę właśnie tu - wtrącił Ronald z udawaną po gardą. - Podobnie jak aniela, zamieniła harfę na fujarę... Carla Vandermeera!

Znowu wybuchnęły śmiechem, tym razem kosztem Lynn, lecz i ona nie mogła powstrzymać uśmiechu. Rzuciła w Ronalda zgnicioną serwetką, on zaś znowu pławił się w krótkotrwałej chwale, na którą jego sprośne żarty nieszczególnie zresztą zasługiwały.

- Mam rozumieć, że gdy odbierzesz dyplom, ty i Carl Vandermeer nadal będziecie parą? - spytała Karen, próbując zdusić śmiech. Goście kawiarni siedzący przy sąsiednich stolikach znowu spoglądali na studentów z de aprobatą. W końcu znajdowali się na terenie szpitala.

Większość znajomych Lynn miała okazję poznać Carla - okazji towarzyskich nie brakowało, zwłaszcza że studia trwały już czwarty rok. Zostali parą, gdy była na drugim roku Duke, on zaś właśnie

kończył szkołę prawniczą. Od dwóch lat byli sobie bardzo bliscy, ale nikt nie był pewny, czy mają poważne, wspólne plany na przyszłość. Właściwie nawet Lynn tego nie wiedziała. Łączyła ich silna więź, ale Carl jakby unikał tematu.

- Zobaczmy, jak to będzie - odrzekła Lynn, odgarniając z twarzy długie kosmyki ciemnych włosów. Jeszcze nie zaczesła ich do tyłu i nie uwięziła w spince, jak to miała w zwyczaju, gdy wybierała się na zajęcia w szpitalu. Nie chciała wchodzić w szczegóły w rozmowie z dawną przyjaciółką, ale miała nadzieję, że ułoży sobie przyszłość z Carlem, bo prawdziwy powód jej rezygnacji z ubiegania się o rezydenturę w Atlancie czy Bostonie był taki, że to Carl był uwiązany do swej pracy w Charlestonie.

W głębi duszy nie miała wątpliwości, że zdobywa się dlań na spore poświęcenie. Już od pewnego czasu spodziewała się oświadczyć i nie byłaby zdziwiona, gdyby okazały się prezentem od Carla z okazji ukończenia studiów. Jako ambitna, nowoczesna kobieta Lynn nie stawiała miłości na pierwszym miejscu listy priorytetów, ale teraz, gdy nieoczekiwanie znalazła ją w udanym związku z Carlem, pragnęła zachować ją na dłużej. Z drugiej jednak strony miała dość samoświadomości, by podejrzewać, iż chęć szybkiego założenia rodziny może wynikać z faktu, że nie tak dawno straciła ojca. Jego przedwczesna śmierć była jednym z powodów, które przesądziły o tym, że postanowiła zostać lekarzem.

- To znaczy, że nie macie żadnych konkretnych planów, o których powinniśmy wiedzieć? - indagowała Karen. Dość szybko pogodziła się z tym, że jej przyjaźń z Lynn zesła na drugi plan, gdy na horyzoncie zjawił się Carl. Znacznie gorzej znosiła przegraną konkurencję z Michaeliem. Karen jeszcze nigdy nie straciła bliskiej przyjaciółki za sprawą mężczyzny, gdy w grę nie wchodziły romantyczne uczucia. Czasem zresztą zastanawiała się, czy owe uczucia naprawdę nie wchodzi w grę, nawet jeśli Lynn i Michael uparcie temu zaprzeczali.

Lynn wyciągnęła ku niej otwarte dłonie.

- Brak pierścionka, brak planów - powiedziała. - A w przyszłym roku, podobnie jak my wszyscy, będę mocno zajęta jako początkująca rezydentka. W końcu to moja pierwsza posada w zawodzie.

- Słuchajcie no - wtrącił znowu Ronald. - Znacie może ten kawał o urologu-transplantologu?

Tym razem to Karen rzuciła w niego serwetką.

- Przestań, zanim przeholujesz! - zawołała. - Nawet ja pamiętam ten dowcip. Tym bardziej nieśmieszny, że oparty na żalosenj, typowo

męskiej fantazji.

- Całe szczęście, że niedługo kończymy studia. Ronaldowi kończą się dowcipy! - stwierdził Michael.

- O, cholera! - mruknęła Lynn, zerknąwszy na zegarek. - Zaraz dziesiąta; muszę lecieć! - To rzekłszy, poderwała się i w pośpiechu zebrała swoje naczynia. - Carl miał dziś małą operację i chce być w pobliżu, gdy trafi do swojego pokoju.

- Naprawdę? - zdziwiła się Karen. - Nie wspominałaś, że wybiera się do szpitala.

- To była jego decyzja - odparła Lynn. - Nie chciał, żeby wszyscy o tym dyskutowali.

- Do zobaczenia później - powiedział Michael, wyciągając rękę na pożegnanie, ale nie wstał. Tylko on wiedział wcześniej o planowanej operacji Carla.

- Pozdrów go ode mnie - zawołała Karen za Lynn, która pędziła już, by zwrócić brudne naczynia, w szpitalnej kawiarni obowiązywały bowiem zasady typowe dla uczelnianego bufetu.

Lynn tylko skinęła głową, nawet się nie odwróciła. Spieszyła się. Była spięta, nie tylko z powodu zabiegu Carla, ale i dlatego, że zmarnowała w kawiarni zbyt dużo czasu. Pamiętała, jak szybki potrafi być Weaver. Wiedziała też, że im krócej trwa znieczulenie ogólne pacjenta, tym szybciej wraca do siebie. Nie byłaby specjalnie zdziwiona, gdyby zastała Carla już w jego pokoju, ale miała nadzieję, że tak nie będzie.

Rozdział 3

Poniedziałek, 6 kwietnia, 9.48

Lynn maszerowała szybkim krokiem w stronę bloku wind. Hol główny, jak zwykle o tej porze - a zwłaszcza w poniedziałek o tej porze - był mocno zatłoczony. Podobnie jak Uniwersytet Medyczny Karoliny Południowej, mieszczący się na przeciwległym krańcu miasta, Mason-Dixon był szpitalem specjalistycznym obsługującym cały obszar metropolitalny, którego populacja zbliżała się do miliona osób. Miasto rosło, a razem z nim rosła też jego baza biotechnologiczna, ulokowana głównie na północnych przedmieściach. Boeing rozbudowywał fabrykę maszyn typu 787, a ponadnarodowy koncern farmaceutyczny Sidereal Pharmaceuticals właśnie ogłosił, że stworzy tysiąc nowych miejsc pracy w ramach rozbudowy zakładu produkującego biofarmaceutyki.

Istniał jeszcze jeden powód wzmożonego ruchu na szpitalnych korytarzach. Odpowiadając na potrzeby kraju, firma Middleton Healthcare wybudowała supernowoczesny ośrodek zwany Instytutem Shapiro, zapewniający opiekę pacjentom w stanie wegetatywnym, a fizycznie połączony z Centrum Medycznym Mason-Dixon. Szczodrym fundatorem inwestycji był koncern Sidereal Pharmaceuticals. Choć Instytut był w dużej mierze samowystarczalny, w razie potrzeby korzystał z laboratorium klinicznego i sal operacyjnych szpitala. Lynn i jej koledzy niewiele wiedzieli o jego działalności - w Instytucie Shapiro nie prowadzono zajęć dydaktycznych - ale powszechnie wiadomo było, że do ośrodka trafiają chorzy z całych Stanów Zjednoczonych, a ich przyjmowanie zawsze odbywa się za pośrednictwem szpitala.

Studenci z grupy Lynn tylko raz, na drugim roku, mieli okazję odwiedzić instytut - intencją kierownictwa było zapewne zachęcenie ich, by w przyszłości kierowali tu własnych pacjentów w stanie wegetatywnym. Przewodnikiem był jeden z zatrudnionych tam lekarzy, ale program wycieczki był nader ograniczony. Chodziło o to, by

zrobić wrażenie na przyszłych medykach i przekonać ich, jak znakomicie skomputeryzowana i zautomatyzowana jest ta placówka, co umożliwi bardzo nielicznemu personelowi opiekę nad niezwykle dużą grupą pacjentów.

Nawykła do wielozadaniowości Lynn wyjęła z kieszeni tabletki i nie zwalniając kroku, wpisała nazwisko Carla, by sprawdzić, do którego pokoju został skierowany. Nie zmartwiła się zbyt, gdy system nie odpowiedział: wiedziała, na jakiej zasadzie działa. W przypadku pacjentów operowanych w dniu przyjęcia do szpitala numer pokoju wpisywano do bazy danych dopiero po tym, jak chory był gotowy do opuszczenia sali wybudzeń. To oznaczało, że Carl najprawdopodobniej jeszcze tam jest. Jednakże zdarzało się, że w porannym szczycie opóźnienia w uzupełnianiu tak nieistotnych danych sięgały nawet godziny. Lynn nie wybierała się na salę wybudzeń - była to jedna z tych części szpitala, do których studentów wpuszczano raczej niechętnie, nawet podczas ich praktyki chirurgicznej na trzecim roku. Dlatego postanowiła, że pojedzie od razu na czwarte piętro, gdzie trafiali pacjenci ortopedyczni świeżo po zabiegach, jeśli tylko były wolne miejsca.

- Przepraszam. - Miły głos z trudem przebił się przez zgiełk szpitalnego korytarza. W tej samej chwili Lynn poczuła, że ktoś delikatnie ciągnie ją za rękaw. Odwróciła się i spojrzała z góry na staruszkę o siwych włosach z odcieniem błękitu. Lynn miała sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i często spoglądała na kobiety z góry. - Pomoże mi pani doktor? - dodała staruszka, ściskając w dłoni plik skierowań do laboratorium.

- Jeszcze nie jestem lekarzem - odpowiedziała Lynn, jak zawsze szczerza do bólu. - Ale w czym mogę pomóc?

- Wygląda mi pani na lekarzkę, chociaż taka pani młoda. Muszę zrobić badanie krwi, ale nie wiem, dokąd pójść. Mówili mi w rejestracji, ale zdążyłam zapomnieć.

Lynn się zawahała. Jeżeli chce dotrzeć do celu przed Carlem, musi jak najszybciej dostać się na czwarte piętro, pomyślała stanowczo. Zmięknęła jednak, widząc panikę w oczach staruszki.

- Naturalnie, pokażę pani.

To rzekłszy, chwyciła starszą kobietę za rękę i poprowadziła w przeciwnym kierunku. Z holu głównego przeszły do łącznika między gmachem szpitala a przychodnią. Po chwili byli już przy kontuarze.

- Oczywiście - powiedziała rejestratorka z laboratorium. - Z przyjemnością pokażę tej pani, dokąd ma pójść.

Lynn wycofała się pospiesznie. Po krótkim oczekiwaniu wsiadła

do windy, lecz jak na złość w drodze na czwarte piętro kabina zatrzymywała się na wszystkich kondygnacjach. Stojąc w kącie, Lynn ponownie użyła tabletu, próbując znaleźć numer pokoju, do którego skierowano Carla, ale bez powodzenia. Oczekiwała, że dane zostaną lada chwila uzupełnione.

Wysiadła na czwartym piętrze i pobiegła prosto do dyżurki. Jak w całym szpitalu, i tu było tłoczno, a w dodatku trwało właśnie zbieranie tac po śniadaniu. Pielęgniarkom przydzielono już zadania. Jedne prowadziły pacjentów do gabinetów zabiegowych, inne odbierały tych, którzy wracali z bloku operacyjnego, roznosiły leki, rozmawiały z lekarzami albo organizowały podopiecznym transport na radiologię czy fizykoterapię. Dom wariatów, pomyślała Lynn.

Znała wiele pracujących tu osób - spędziła na tym piętrze październikową praktykę. Szukała przełożonej pielęgniarek, Colleen McPherson, z którą nieźle się dogadywała, ale nigdzie nie mogła jej znaleźć. Wreszcie spytała jedną z jej koleżanek i dowiedziała się, że Colleen jest u pacjenta po wszczępieniu protezy stawu biodrowego i pomaga mu stawiać pierwsze kroki. Lynn zmieniła więc plan i weszła za kontuar, żeby pogadać z Hankiem Thompsonem, pracownikiem administracyjnym. W przeciwieństwie do pielęgniarek studenci medycyny prawie się nie liczyli w szpitalnej hierarchii, ale Hank nigdy nie traktował Lynn z góry - być może dlatego, że sam studiował w College of Charleston, łącząc naukę z pracą.

Jak wszyscy dokoła zajmował się sześcioro sprawami jednocześnie - rozmawiał przez telefon z jednym interesantem, a kilku innych czekało na obsłużenie. W nadziei, że Hank znajdzie dla niej chwilę, Lynn wywołała na jednym z wolnych ekranów listę wszystkich pacjentów z czwartego piętra, uporządkowaną według numerów pokoi. Pomagając sobie palcem, przejrzała długi ciąg nazwisk, ale nie znalazła Carla Vandermeera. Nie ma problemu, pomyślała; są przecież jeszcze wolne pokoje. Była zadowolona, że Carl trafi właśnie tu, gdzie personel ma bogate doświadczenie w opiece nad pacjentami ortopedycznymi i gdzie szyny CPM, umożliwiające ciągły bierny ruch leczonych kończyn nie były dla nikogo nowością. Lynn była pewna, że jej chłopak będzie w ten sposób ćwiczył świeżo zoperowane kolano, bo doktor Weaver aplikował tę terapię wszystkim pacjentom z zerwanymi więzadłami krzyżowymi.

Gdy Hank uporał się z ostatnim z rozmówców, bez zwłoki zaczął wybierać kolejny numer na klawiaturze telefonu, ale Lynn w porę złapała go za rękę.

- Daj mi dwie sekundy, Hank! Lada chwila powinien tu dotrzeć

pacjent Carl Vandermeer, a może już tu jest? Kojarzysz nazwisko?

- Nie przypominam sobie - odparł Hank, kręcąc głową. - Kto go prowadzi?

- Weaver.

Hank sięgnął po grafik zabiegów operacyjnych.

- Faktycznie, mamy tu takiego. Operowany o siódmej trzydzięści. - Hank zerknął na zegarek. - I rzeczywiście, powinien już tu być, chyba że wystąpiły jakieś powikłania.

- Nie sądzę; sprawa była prosta. Pierwsza operacja, zdrowy, młody facet.

- Wobec tego nie podejrzewam kłopotów. Rano zwolniło się kilka pokoi i już zostały posprzątane. Pewnie zaraz tam trafi.

Lynn skinęła głową, machinalnie bawiąc się spinaczem do papieru. Hank znowu trzymał przy uchu słuchawkę. Każdego dnia spędzał tak dziewięćdziesiąt procent czasu.

Lynn zdawała sobie sprawę z tego, że w tej sytuacji zdecydowanie powinna pójść do kliniki okulistycznej. Wykład pewnie już się skończył... Z drugiej strony wiedziała doskonale, że nie będzie mogła się skupić, póki nie nabierze pewności, że operacja Carla się udała i że bez przeszkód trafił do szpitalnego pokoju.

Wstała, czując, że dłużej tu nie usiedzi. Postanowiła zejść na pierwsze piętro i sprawdzić uaktualniony grafik zabiegów. Może operacje były opóźnione? Może Weaver spóźnił się do pracy? A może zabrakło pielęgniarek? Istniał milion powodów, dla których zabieg mógł zostać odroczoney.

Zjechała windą trzy piętra w dół. Czując się trochę jak ryba wyjęta z wody, wkroczyła na oddział chirurgii. Było to jedno z tych miejsc, po których studenci medycyny raczej nie wälęsali się bez nadzoru. Jak w całym szpitalu, tu także panował spory ruch: sale operacyjne pracowały pełną parą. Większość foteli i kanap była zajęta przez lekarzy i pielęgniarki w strojach chirurgicznych. Wiszący w kącie telewizor odtwarzał serwis informacyjny CNN, bez fonii. Większość obecnych wołała jednak czytać gazety w oczekiwaniu na kolejny zabieg albo w krótkiej przerwie podczas dłuższych operacji.

Lynn nie mogła się wahać, jeśli nie chciała, by ktoś wreszcie zwrócił na nią uwagę i wyprosił z oddziału. Wsunęła głowę do dyżurki tylko na tyle, by zobaczyć naścienny ekran wyświetlający rozkład trwających zaplanowanych zabiegów. Szybko odszukała nazwisko Weavera: pracował w sali operacyjnej numer 12. Operował zerwane więzadło krzyżowe przednie, to się zgadzało, ale pacjentem był niejaki Harper Landry, a nie Carl Vandermeer. To oznaczało, że zabieg

Carla dobiegł końca.

Lynn rozejrzała się, szukając znajomej twarzy, kogoś, kto choćby mgliście pamiętałby ją z czasów zajęć z chirurgii na trzecim roku. Niestety, nikogo takiego nie znalazła. W nagłym przypływie determinacji wkroczyła do damskiej przebieralni.

Przebrała się szybko w szpitalną bluzę i spodnie, a własne ubranie zostawiła w pustej szafce. Włosy wcisnęła pod czepek, sięgnęła po maskę chirurgiczną i spojrzała w lustro. Biel stroju podkreślała oliwkowy odcień jej cery, a szczupłą twarz o lekko zadartym nosie, pozbawioną oprawy ciemnych włosów, wydała jej się jeszcze młodsza niż zwykle. Po namyśle włożyła maskę - bardziej po to, żeby ukryć swoją tożsamość niż dla zachowania higieny.

Zadowolona z efektu, wróciła do pomieszczenia dla personelu. Bała się, że jeśli przystanie choć na chwilę, zabraknie jej odwagi - bo naginanie zasad zdecydowanie nie było jej specjalnością - i dlatego pewnym krokiem ruszyła wprost na blok operacyjny. Miesiąc zajęć z ortopedii i praktyka na trzecim roku na oddziale chirurgii sprawiły, że niezłe orientowała się w topografii tej części szpitala, ale nigdy nie bywała tu sama. Zdarzyło się nawet, że asystowała Weaverowi i kilku innym chirurgom podczas zabiegów ortopedycznych. Uważała, że Karen nie ma racji, jeśli chodzi o tę specjalność. Oczywiście w niczym nie przypominała chirurgii oka, ale najnowsze narzędzia uczyły zeń dyscyplinę wymagającą wielkiej precyzji.

Lynn spodziewała się, że ktoś spróbuje ją zatrzymać, ale tak się nie stało. Maszerowała energicznie, by niepotrzebnym wahaniem nie dać po sobie poznać, że jest tu intruzem. Jej celem była sala wybudzeń i zmierzała tam najkrótszą drogą. Pchnęła kolejną parę uchylnych drzwi tak pewnie, jakby przepracowała tu całe życie, a potem zatrzymała się po kilku krokach.

Dla większości ludzi - i dla Lynn - sala wybudzeń była zupełnie obcym światem supernowoczesnych technologii, onieśmiałającym nawet najlepszych studentów. Pacjenci leżeli na wysokich łóżkach z bocznymi relingami; wolnych miejsc było niewiele. Poszczególne stanowiska nie były oddzielone parawanami. Przy każdym ze śpiących pacjentów czuwała co najmniej jedna pielęgniarka, gdzieś kręciły się asystentki. Ciała leżących spowijały - w rozmaitych miejscach - świeżutkie białe bandaże. Na wierzchołkach metalowych stojaków wisiały całe grona kroplówek, połączonych przezroczystymi wężykami z rękoma lub szyjami pacjentów. U węzłowia każdego z łóżek ustawiono monitory; na ekranach nieustannie rysowały się krzywe wykresów. Do plastikowych worków leżących pod łóżkami

splywał mocz u zacewnikowanych pacjentów. Kilkoro z nich oddychało z pomocą respiratorów. Ciszę zakłócały stłumione głosy pielęgniarek oraz basowy pomruk silników systemu wentylacyjnego, który oczyszczał i schładzał powietrze w sali.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i tuż obok Lynn przemknęły nosze na kółkach, wioząc pacjenta prosto z sali operacyjnej. Instynktownie uskoczyła na bok. Nosze ciągnęła pielęgniarka operacyjna, a popychał anestezjolog, pilnując jednocześnie, by nic nie zakłóciło oddechu chorego. Pielęgniarka zza kontuaru dołączyła do przybyłych, żeby pomóc ustawić nosze równolegle do jednego z wolnych łóżek.

Gdy przynosili pacjenta na posłanie, Lynn szybkim krokiem obezšla salę, starając się nie wyglądać zbyt podejrzanie. Personel jakby jej nie zauważał. Carla jednak tu nie było; rozpoznałaby go od razu. Tylko dwie osoby były po operacji kolana i korzystały z szyn CPM, by ich stawy pozostały w ciągłym ruchu, ale żadna z nich nie była Carlem.

Zbita z tropu Lynn nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby zrobić. Podeszła do kontuaru dyżurnych pielęgniarek. Czuła, że lada chwila ktoś wreszcie spyta ją, co tu robi, ale teraz było jej to obojętne. Skoro nie było Carla ani w sali pooperacyjnej, ani na czwartym piętrze, to gdzie, do ciężkiej cholery, zniknął? Dlaczego nie trafił na ortopedię? Według Hanka nie brakowało tam przecież wolnych łóżek. A może operacja skończyła się tak szybko, że łóżka nie były jeszcze gotowe? Hank wspomina, że zwolniły się dopiero rano. Lynn czuła, że tak właśnie się stało, lecz jednocześnie nie mogła wyzbyć się niepokoju, tego samego podświadomego niepokoju, z którym obudziła się tego ranka i który sprawił, że wybuchnęła dzikim śmiechem, gdy Ronald opowiedział swój czerstwy żart o anielicy.

- Mogę w czymś pomóc?

Lynn odwróciła się gwałtownie i ujrzała niemal równą jej wzrostem pielęgniarkę z oddziału opieki pooperacyjnej.

- Mam nadzieję - odpowiedziała. - Szukam pierwszego dzisiejszego pacjenta doktora Weavera, niejakiego Carla Vandermeera.

- A pani to...? - Pielęgniarka zawiesiła głos. To nie było wyzwanie ani zaczepka, a jedynie stanowcze pytanie.

- Lynn Peirce, studentka medycyny. Miałam fakultet z ortopedii i asystowałam doktorowi Weaverowi. - Była to pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy. Może i niczego nie wyjaśniała, ale brzmiała całkiem niezłe.

Pielęgniarka przyglądała się Lynn przez chwilę, po czym weszła

za kontuar.

- To nazwisko nic mi nie mówi - powiedziała, pochylając się nad listą pacjentów. - O, widzę. To podopieczny Glorii - dodała, po czym zawołała: - Gloria! Kto przejął przypadek Vandermeera?

- Konsultanci z neurologii zabrali go do siebie, na Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego - odrzyknęła Gloria.

Lynn wyciągnęła rękę i mocno chwyciła krawędź blatu, żeby nie upaść. Oddział Intensywnego Nadzoru? Neurologia?! Do licha, co to wszystko miało znaczyć? Lynn obróciła się na pięcie i wybiegła z sali, starając się nie myśleć o tym, co usłyszała. Problem polegał bowiem na tym, że miała całkiem niezłe pojęcie o tym, co mogło oznaczać skierowanie Carla na ten oddział.

Rozdział 4

Poniedziałek, 6 kwietnia, 11.05

Lynn prawie biegła, głównie po to, żeby nie myśleć. Nie wróciła nawet po swoje ubranie, tylko skierowała się wprost do wind, gdzie stała grupka oczekujących. Nie chcąc dać się wciągnąć w rozmowę, unikała kontaktu wzrokowego - wpatrywała się w ekranik nad rozsuwanymi drzwiami, na którym wyświetlały się numery pięter i nerwowo wciskała klawisz ze strzałką skierowaną ku górze. Przez chwilę miała wrażenie, że żadna z kabin nie jest w ruchu.

- To nie sprawi, że winda przyjedzie szybciej - ode zwała się stojąca obok kobieta.

Lynn milczała, mając nadzieję, że dzięki temu nie będzie musiała się uśmiechać ani prowadzić niezobowiązującej rozmowy, podczas gdy w jej głowie szalały emocje. Skierowanie Carla na oddział intensywnej opieki nie mogło oznaczać nic dobrego i trudno było nie wyobrażać sobie najgorszych scenariuszy.

- Pani jest studentką czwartego roku, jeśli się nie mylę - dorzuciła kobieta, niezrażona milczeniem Lynn.

Lynn odwróciła się niechętnie. W jednej chwili rozpoznała lekarkę z oddziału chirurgii, z którą miała kiedyś zajęcia. Jej wygląd - a ściślej biały fartuch narzucony na strój chirurga - wskazywał na to, że najprawdopodobniej ma przerwę między zabiegami i zamierza zajrzeć do któregoś z pacjentów.

Lynn próbowała przywołać uśmiech na usta, czując w skroniach nieprzyjemne pulsowanie. Zastanawiała się mimowolnie, czy zbladła, czy może wręcz przeciwnie - rumieniec wystąpił jej na policzki. Albo jedno, albo drugie, pomyślała, skoro czuję taki przyływ adrenaliny. Skinęła głową, starając się zapanować nad przyspieszonym oddechem.

- Lynn Peirce - dorzuciła lekarka, pochyliwszy się, by odczytać nazwisko z identyfikatora dyndającego na smyczy na szyi Lynn. - Pamiętam panią z fakultetu na trzecim roku. Jestem Patricia Scott.

- O, ja też panią pamiętam - zapewniła Lynn. - Wspaniałe wykłady i jeszcze te slajdy. - Znowu zmusiła się do półuśmiechu i ponownie wbiła wzrok w wyświetlacz. Modliła się w duchu, by jej zdenerwowanie nie rzuciło się zbyt w oczy. Bardzo, ale to bardzo nie chciała się nikomu tłumaczyć.

- Dziękuję. Widzę, że uważała pani na zajęciach. I o ile mnie pamięć nie myli, miała pani świetne wyniki. Domyślam się, że już od paru tygodni wie pani, gdzie będzie rezydować i w jakiej specjalizacji. Mam nadzieję, że chirurgia pozostała pani bliska?

- Ortopedia, mówiąc ściślej - odparła Lynn.

- Naprawdę? To wspaniale. Potrzeba nam więcej kobiet we wszystkich specjalnościach chirurgicznych, ale w ortopedii najbardziej. Jest nas tam jak na lekarstwo. A gdzie zamierza się pani szkolić?

- Zostaję tutaj.

- Doskonale - ucieszyła się szczerze doktor Scott. - Naprawdę świetnie. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczymy się w sali operacyjnej podczas pierwszego roku pani praktyki z chirurgii ogólnej.

- Jestem pewna, że będzie wspaniale, pani doktor - odparła Lynn, mając nadzieję, że lekarka nie zauważyła jej zdenerwowania. Wreszcie jedna z kabin, która najwyraźniej całą wieczność parkowała na parterze, ruszyła w górę.

- Mów mi po imieniu, skoro wkrótce masz do nas dołączyć. Jestem Patricia. I pamiętaj: drzwi mojego gabinetu będą zawsze otwarte, jeśli tylko będziesz potrzebowała porady. W końcu sama nie tak dawno byłam na twoim miejscu i wiem, jak to jest: niestety, choć to anachronizm, chirurgia nadal jest uważana za królestwo mężczyzn.

- Bardzo dziękuję - odrzekła Lynn.

Drzwi windy rozsunęły się, ukazując zwartą gromadę pasażerów. Doktor Scott gestem zaprosiła Lynn do środka i praktycznie siłą wcisnęły się do kabiny, umożliwiając domknięcie drzwi. Lynn zastanawiała się, czy nie warto zapytać doktor Scott czego należy się spodziewać, gdy pacjent prosto z bloku operacyjnego trafia na Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego, ale zrezygnowała. Problem polegał na tym, że domyślała się prawdy: albo wystąpiły powikłania anestezjologiczne, albo doszło do katastrofy. Mimo najgorszych przeczuć starała się wierzyć, że nie ziścił się najgorszy scenariusz. Może wiertarka uszkodziła nerw w kolanie Carla? Byłby to poważny uraz, ale nieporównywalnie lepiej rokujący niż inne ewentualności, o których próbowała nie myśleć.

Zanim dojechały na piąte piętro, gdzie mieściły się oddziały neurologii i neurochirurgii, winda prawie opustoszała. Lynn jeszcze raz podziękowała Patricii Scott, a potem wysiadła i oddaliła się szybkim krokiem. Wiedziała, gdzie szukać Oddziału Intensywnego Nadzoru Neurologicznego - była tu kilka razy podczas praktyki neurologicznej, a także później, gdy poznawała neurochirurgię.

Od odwiedzających oczekiwano, że zgłoszą się najpierw do dyżurki pielęgniarek, ale Lynn uznała, że najlepiej będzie - siłą rozpędu - zadzierać tak samo, jak uczyniła to wcześniej: jakby należała do personelu. Pewnym ruchem pchnęła drzwi i znalazła się na Oddziale Intensywnego Nadzoru Neurologicznego.

Oddział bardzo przypominał salę pooperacyjną - było tu mnóstwo supernowoczesnego sprzętu, jednakże specyfika oddziału była inna: pacjenci zostawali tu na dłużej, czasem tygodniami, a zdarzało się, że i miesiącami. Szklane ściany oddzielały przeznaczone dla nich, pojedyncze boksy. Wydawało się, że panuje tu znacznie mniejszy ruch; dominowała dość ponura cisza, przerywana jedynie pikaniem czujników i monotonnym szumem wentylatorów. Pośrodku sali znajdował się okrągły kontuar, zza którego można było śledzić to, co działo się we wszystkich szesnastu boksach. Łóżka były zajęte, ale tylko przy połowie z nich czuwały pielęgniarki.

Lynn omiotła oddział szybkim spojrzeniem i stwierdziła, że na szklanych ścianach boksów wiszą ramki z kartami informacyjnymi, na których wielkimi literami zapisano nazwiska pacjentów. Niemal od razu zatrzymała wzrok na pomieszczeniu numer 8, opatrzonym kartą z napisem VANDERMEER. Ruszyła ku niemu niespiesznie. Carl leżał na plecach, ale nie widziała jego twarzy. Tak, jak się spodziewała, szyny CPM nieustannie uginały i prostowały jego świeżo zoperowaną nogę. Widząc jego poruszającą się nogę, przez bardzo krótką chwilę czuła nadzieję, że jednak wszystko jest tak, jak powinno być.

Dwie osoby zajmowały się Carlem. Pielęgniarka stała po jego prawej stronie i ręcznym aparatem mierzyła mu ciśnienie, mimo iż na jednym z monitorów wyświetlał się wynik elektronicznego pomiaru. Po lewej stał rezydent w białym fartuchu; właśnie świecił małą latarką to w jedno, to w drugie oko Carla. Lynn nie potrzebowała wiele czasu, by się upewnić, że jej chłopak jest nieprzytomny.

Zauważyła też niezbyt częste, ale wyraźne mioklonie, czyli skurcze niektórych grup mięśni w jego lewej, zdrowej nodze. Wolna ręka spoczywała na piersi; druga - z wenflonem, do którego podłączono kroplówkę - była przypięta do relingu łóżka.

Lynn podeszła bliżej i zatrzymawszy się przy łóżku, spojrzała na

monitor. Ciśnienie krwi było prawidłowe, podobnie jak puls i EKG, choć interpretowanie tego ostatniego nie było jej najmocniejszą stroną. Zauważyła, że nasycenie krwi tlenem jest odrobinę niższe od optymalnego, ale uznała, że dziewięćdziesiąt siedem procent to prawidłowy wynik. Wydawało się, że Carl oddycha całkiem normalnie. Lynn zmusiła się do spojrzenia na jego twarz, którą z tej pozycji widziała całkiem wyraźnie. Był trochę bledszy niż zwykle. Najgorsze w tym wszystkim było to, że to naprawdę był Carl, a nie ktoś obcy.

Po chwili rezydent wyprostował się i wtedy spostrzegł Lynn. Wsunął latarkę do kieszeni na piersi i rzekł:

- Jesteś z radiologii? - Zaraz potem, nie czekając na odpowiedź, dodał: - Trzeba zrobić rezonans i tomografię, i to jak najszybciej.

Lynn odczytała napis z jego identyfikatora: doktor Charles Stuart, neurologia. Był mężczyzną raczej drobnej budowy, o rzednących włosach i popospolitej twarzy. Nosił okulary bez oprawek.

- Nie jestem z radiologii - wybąkała po chwili Lynn.

Widok nieprzytomnego Carla i mimowolnych skurczów w jego nodze był dla niej nieznośny. - Jestem studentką medycyny - dorzuciła. Oparła się rękami o reling w nogach łóżka, żeby nie stracić równowagi. Kręciło jej się w głowie, podobnie jak wcześniej w sali pooperacyjnej. Szpital to dom nadziei, ale czasem także tragedii. Ten przypadek zaś coraz mocniej trącił tragedią. - Co się dzieje? - spytała możliwie swobodnym tonem.

- Marnie to wygląda - odpowiedział Charles. - Zdaje się, że mamy do czynienia z opóźnionym powrotem świadomości po zupełnie standardowym znieczuleniu ogólnym do rutynowej operacji więzadła krzyżowego. Przyczyny jak dotąd nieznane.

- Czyli... nie obudził się? - spytała Lynn. Nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć, a jednocześnie czuła, że musi jakoś usprawiedliwić swoją obecność w tym miejscu, choćby zadając pytania.

- Najkrócej mówiąc, bo i dłużej nie trzeba - zgodził się raczej beztrudnie Charles. Lynn nie winiła go za takie nastawienie. Zdążyła się już nauczyć, że to jeden ze sposobów na utrzymanie bezpiecznego dystansu do ludzkich tragedii, z którymi pracownicy szpitala mają do czynienia praktycznie każdego dnia. Niektórzy wybierali inną metodę: zagłębiali się w akademicką wiedzę, w świat detali. Rezydent oddziału neurologii dowiódł po chwili, że oba sposoby są mu bliskie: - Zupełny brak reakcji na bodźce dźwiękowe i dotyk, jeśli nie liczyć słabego odruchu rogówkowego. Z drugiej strony, dobrze, że pacjent zachował szczątkową reakcję na światło. Wydaje się, że pień mózgu

funkcjonuje, gorzej z korą. Przyczyną było najprawdopodobniej niedotlenienie, wbrew temu, co wynika z raportu anestezyjologicznego. Niemożliwe, żebyśmy mieli do czynienia z ztorem: głębokie odruchy ścięgniste nie tylko zostały zachowane, ale są także symetryczne. Problem polega na tym, że w skali Glasgow możemy ocenić świadomość pacjenta na najwyżej pięć punktów. A to, jak zapewne wiesz, nie jest dobra wiadomość.

Lynn skinęła głową, choć prawda była taka, że niewiele rozumiała z tego, o czym mówił rezydent, może poza tym, że przyczyną uszkodzenia mózgu Carla był najprawdopodobniej brak tlenu. Praktyka neurologiczna, którą kiedyś odbyła, nie trwała długo, a jej program zbudowano bardziej wokół zagadnień neuroanatomii niż przypadków klinicznych.

- Ale jak to możliwe, że doszło do niedotlenienia mózgu, skoro sam pan powiedział, że to było standardowe znieczulenie ogólne, bez powikłań? - spytała, wiedzona raczej odruchem pilnej studentki medycyny niż czymkolwiek innym. Od studentów medycyny oczekiwano bowiem, że będą zadawali pytania.

- Pytaj mnie, a ja ciebie - odpowiedział rezydent, wracając do swobodniejszego tonu. - Obawiam się, że w tej sprawie będzie to pytanie za milion dolarów.

Pielęgniarka zdjęła opaskę ciśnieniomierza z ramienia Carla i wróciła za kontuar. Przechodząc obok Lynn, spojrzała na nią przelotnie, ale nie odezwała się. Lynn tymczasem zajęła jej miejsce przy łóżku i zmusiła się do spojrzenia na twarz Carla.

Wydawało się, że jest pogrążony w głębokim, spokojnym śnie, choć wrażenie to zakłócały skurcze lewej nogi. Widać było, że nie ogolił się tego ranka - zwykle wyglądał tak w niedzielę, gdy budzili się razem. Dla Lynn ten lekki zarost był symbolem bliskości i zupełnie nie pasował ani do tego miejsca, ani do okoliczności.

Lynn siłą woli powstrzymała odruch, który nakazywał jej potrząsnąć nim, spróbować go obudzić, powiedzieć coś, może nawet wrzasnąć - na tyle głośno, żeby odpowiedział, zaprzeczając rozpoznaniu postawionemu przez rezydenta. To, że twarz Carla wyglądała tak normalnie, tak spokojnie, tylko pogarszało sprawę. Przecież nic się nie zmieniło w jego aparycji od wczorajszego ranka, kiedy to obserwowała go we śnie, podziwiając jego atrakcyjne, męskie rysy.

- Jesteś może z grupy neurologicznej doktor Marshall? - spytał Charles, spoglądając na Lynn ponad łóżkiem Carla. Odniosła wrażenie, że wyczuł coś nieprofesjonalnego w jej zachowaniu.

- Tak - odpowiedziała zdawkowo. Rzeczywiście, należała kiedyś

do tej grupy, tyle że rok wcześniej. Serwowanie rozmówcom półprawd nie przychodziło jej łatwo, ale rozsądek podpowiadał jej, że jeśli przyzna, iż znalazła się tu z powodów innych niż czysto edukacyjne, wyrzucą ją w gniewie oka. W szpitalu ściśle przestrzegano zasad dotyczących tajności danych, a Lynn nie była spokrewniona z Carlem. Jeszcze nie. Przez chwilę celowo unikała kontaktu wzrokowego z rezydentem. Czuła, że jest bacznie obserwowana.

Po chwili wahania uniosła rękę i delikatnie dotknęła prawą dłońią policzka Carla. Był chłodny, ale poza tym - zupełnie normalny. Obawiała się, że będzie gorzej: że w dotyku okaże się gumowaty, sztuczny.

- Robiliście mu EEG? - spytała Lynn, wracając do roli zaciekawionej, wnikliwej studentki medycyny. Pomyślała, że może owo dotknięcie twarzy Carla wydało się Charlesowi Stuartowi osobliwe.

- Przeprowadzono je w trybie pilnym. Niestety, wykazało niską amplitudę i powolny przepływ fal delta. Wykres nie był może całkiem płaski, ale wyraźnie nieprawidłowy.

Lynn uniosła głowę, żeby popatrzeć w oczy rezydenta, choć czuła się z tym bardzo nieswojo. Siłąc się na profesjonalny ton, by zamaskować szalejące uczucia, spytała:

- Jakie są pańskie rokowania?

- Z pięcioma punktami w skali Glasgow? Raczej złe - odparł Charles. - Wynika to z naszego doświadczenia w opiece nad pacjentami w śpiączce, która nie została wywołana urazem. Moim zdaniem rezonans magnetyczny mózgu wykaże rozległe niedokrwienie kory mózgowej.

Lynn skinęła głową, jakby rozumiała każde słowo. W istocie jednak wystarczyła jej wiedza o tym, że niedokrwienie oznacza śmierć. Śmierć mózgu... Z trudem przełknęła ślinę. Chciała krzyknąć: „Nie, nie, nie!”, ale milczała. Chciała uciec, ale nawet nie drgnęła. Lynn uważała się za nowoczesną kobietę, świadomą swoich możliwości i życiowych szans. Jeśli była prymuską w szkole i na studiach, to głównie dlatego, że postanowiła wziąć życie we własne ręce. Pracowała tak ciężko, jak umiała, a kiedy napotykała problemy czy przeszkody - co oczywiście zdarzało się regularnie - pracowała jeszcze ciężiej. Teraz jednak stanęła przed największym bodaj wyzwaniem: oto człowiek, z którym była gotowa dzielić życie, leżał przed nią, najprawdopodobniej w stanie śmierci mózgowej - i absolutnie nic nie mogła na to poradzić.

- Hej - odezwał się nagle Charles. - Wiesz co? Może to świetna

okazja, żebyś zobaczyła, jak działa odruch przedsionkowo-oczny, który wywołujemy, żeby ocenić stan mózgu pacjentów w śpiączce. Widziałaś kiedyś coś takiego?

- Nie - bąknęła z trudem Lynn. Czowała, że nie ma najmniejszej ochoty na taką demonstrację, że nie chce, żeby Carl był jej obiektem. Nie potrzebowała jeszcze dobitniejszego dowodu na to, jak zły jest jego stan. Z drugiej strony, nie mogła odmówić, nie zdradzając przy tym, że przyszła tu z nader nieprofesjonalnych pobudek.

- No to ci pokażę - odpowiedział Charles. - Ale musisz mi pomóc. Otwórz mu oczy i przytrzymaj powieki, a ja będę poruszał głową.

Czując, że dotyka czegoś zakazanego, Lynn użyła kciuka i palca wskazującego lewej dłoni, by ostrożnie unieść górne powieki Carla. Dziwne to było doznanie, spoglądać w puste oczy o lekko rozszerzonych źrenicach - jakby włamywała się do jego duszy. Bezgłośnie krzyczała, żeby się wreszcie ocknął, uśmiechnął, żeby powiedział, że to wszystko było jedynie głupim dowcipem. Lecz reakcji nie było. Carl oddychał rytmicznie.

- No dobra - mruknął Charles. Pochylił się nad leżącym i otoczył jego twarz dłońmi. Poruszył głową Carla najpierw w stronę Lynn, a potem ku sobie. - Widziałaś?

- Co konkretnie? - spytała z wahaniem. Miała ochotę uciec.

- Obserwuj. Gdy poruszam głową, oczy przesuwają się w przeciwnym kierunku. - Charles znowu przechylił głowę Carla.

Tym razem Lynn bez trudu spostrzegła, że oczy jej chłopaka istotnie wykonują ruch opisany przez rezydenta, przez cały czas spoglądając obojętnie w sufit.

- To właśnie jest odruch przedsionkowo-oczny - oznajmił Charles monotonnym głosem, który nieomylnie kojarzył się Lynn z wykładami. - Jego obecność oznacza, że pień mózgu i grupa nerwów czaszkowych odpowiedzialnych za te ruchy działają prawidłowo. Gdyby pacjent symulował, udawał nieprzytomnego, czego świadkiem będziesz z pewnością niejedną raz na oddziale nagłych wypadków, oczy poruszałby się zgodnie z kierunkiem ruchów głowy. Kiedy pień mózgu nie funkcjonuje, nie poruszają się w ogóle. Efektowna prezentacja, nie sądzisz? Mógłbym ci pokazać to samo zjawisko, stosując symulację kaloryczną, czyli wlewając mu zimną wodę do uszu. Chcesz zobaczyć?

- Chyba mam dość - odpowiedziała Lynn. Cofnęła rękę, pozwalając, by powieki Carla wolno opadły. Musiała stąd wyjść. Dokądkolwiek. Jako członek szpitalnej społeczności, przyszły lekarz,

czuła się współodpowiedzialna za tę katastrofę. Nie chodziło tylko o to, że sama poleciła Carlowi doktora Weavera i Centrum Medyczne Mason-Dixon.

- Mam wszystkie potrzebne narzędzia - dorzucił zachęcająco Charles. - To dla mnie żaden kłopot, musisz tylko chwilę zaczekać.

- Dziękuję - odpowiedziała Lynn, oddalając się od łóżka. - Naprawdę doceniam to, że zechciał mi pan poświęcić swój czas, ale muszę już iść. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odparł Charles. Przez chwilę przyglądał się Lynn, marszcząc brwi; najwyraźniej coraz bardziej dziwiło go jej zachowanie. - Gdyby ktoś jeszcze z twojej grupy chciał popatrzeć na klasyczny przykład odruchu przedśionkowo-ocznego, z przyjemnością pokażę.

- Dziękuję - powtórzyła Lynn. - Przekażę kolegom.

To rzekłszy, uciekła z oddziału i zatrzymała się dopiero na korytarzu, żeby wziąć kilka głębokich wdechów. Jej serce wciąż było jak szalone. Nic nie mogła uczynić, żeby pomóc Carlowi, a gdy to sobie uświadomiła, jej myśli automatycznie skierowały się ku Michaelowi. Potrzebowała kotwicy, kogoś, na kim mogłaby się oprzeć, póki nie ustanie ta burza emocji i niepewności.

Rozdział 5

Poniedziałek, 6 kwietnia, 12.25

Lynn znalazła Michaela w bufecie. Wcześniej zajrzała do kawiarni, ale towarzystwa z jej roku już tam nie było. Pomyślała, że może wysłać do niego esemesa, lecz w gruncie rzeczy nie wiedziała, co napisać. Po prostu chciała go odnaleźć, nawet gdyby przez jakiś czas miała w ogóle nic mu nie powiedzieć.

Ze względu na godzinę postanowiła zajrzeć do bufetu. Prawdopodobieństwo, że go tam znajdzie, było wysokie; ceny potraw serwowanych w bufecie były zdecydowanie korzystniejsze niż w kawiarni, a Michael rzadko kiedy odpuszczał sobie południowy posiłek. Jak zawsze w porze lunchu, panował tu spory ruch. Lynn potrzebowała dłuższej chwili, by wypatrzeć przyjaciela w długiej kolejce oczekujących. Miała szczęście: był sam. Reszta kawiarnianego towarzystwa gdzieś się rozeszła. I dobrze, pomyślała. Chciała rozmawiać wyłącznie z Michaeliem.

- Cześć, Lynn. Jak się czuje Carl? - spytał, gdy się odwrócił, żeby sprawdzić, kto poklepał go po ramieniu.

- Musimy pogadać - odpowiedziała drżącym głosem. - Na osobności.

- Jasne, nie ma sprawy - odrzekł Michael. Znał ją dobrze i natychmiast wyczuł, w jakim jest stanie. Zmierzył ją wzrokiem. - Wszystko w porządku?

- To się okaże - wyszeptwała.

- Może weźmiesz sobie coś do jedzenia i siądziemy razem?

- W tej chwili nie jestem głodna.

- A masz coś przeciwko temu, żeby ja jadł?

- Oczywiście, że nie.

- Pozwól więc, że kupię sobie lunch, a potem siądziemy tam, po lewej, przy ścianie. Są dwa wolne stoliki, jeśli się nie mylę.

Lynn spojrzała we wskazanym kierunku i skinęła głową. Równie dobrze mogli tu porozmawiać; przyszło jej na myśl, że może nawet

łatwiej będzie wyrzucić z siebie wszystko w gwarnej sali pełnej ludzi.

Nie czuła głodu, a jedynie pragnienie, dlatego nałapała sobie wody, zanim zajęła miejsce przy jednym z wcześniej upatrzonych stolików, jak najdalej od okien z widokiem na nienagannie utrzymany wewnętrzny ogród szpitalny. Ustawiono w nim kilka stolików i w dni tak pogodne jak ten z reguły tam właśnie najchętniej siadali bywalcy bufetu. Lynn dostrzegła przy nich kilkoro znajomych z grupy.

Czekając, przyglądała się stojącemu przy kasie Michaelowi. Wyróżniał się w gronie studentów, podobnie jak on ubranych w białe fartuchy - nie tylko z racji swej postury, ale także tym, że był czarny. W grupie Lynn było tylko osiem osób pochodzenia afroamerykańskiego - trzech mężczyzn i pięć kobiet - zaledwie sześć procent, mimo wysiłków rekrutacyjnych uczelni. Michael był muskularny i miał potężny kark zawodnika uprawiającego futbol amerykański. Grał z powodzeniem w drużynie uniwersyteckiej, gdy zaczynał studia na Florydzie. Zapewne szukałby szczęścia w karierze zawodowego sportowca, gdyby nie wybrał profesji lekarza. Lynn wiedziała, że decyzję o podjęciu studiów medycznych podjął ze względu na matkę. Miał szeroką twarz, skórę w kolorze ciemnego mahoni i dość długie włosy splecione w osobliwe warkoczyki zwane lock-twist. Początkowo sądziła, że to krótkie dredy, ale szybko wyprowadził ją z błędu.

Drugiego dnia roku akademickiego, gdy po raz pierwszy rozmawiała z Michaeliem - zaraz po tym, jak dobrano ich w parę podczas zajęć z anatomii - była lekko przestraszona. Nie dość, że był potężny, to jeszcze odniosła wrażenie, że wrogo nastawiony, i to już od pierwszej chwili. Nie podobał mu się ton, jakim się do niego zwracała; odpłaciła mu tym samym zarzutem. W tamtych czasach ledwie się tolerowali i w miarę bezproblemowa wspólna praca podczas zajęć wymagała od nich niemałego wysiłku.

Lynn nigdy nie uważała się za rasistkę, lecz z czasem - dzięki Michaelowi - dostrzegła, że, po pierwsze, do pewnego stopnia nią była, a po drugie, że rasizm w Ameryce żyje i ma się doskonale. Michael z kolei uświadomił sobie dzięki niej, że po latach zmagania się z protekcyjnością białych sam zaczął ją prowokować. Dowiedział się także, że mimo ponad pięćdziesięcioletniej kariery feminizmu mizoginizm i dyskryminacja płci nie zniknęły. W końcu oboje odkryli, że rasizm i seksizm to problemy, których znaczenie i pozornie subtelne przejawy zrozumie jedynie ten, kto należy do grupy prześladowanych. Lynn zawsze czuła, że musi starać się bardziej niż mężczyźni, z którymi współzawodniczyła; Michael z kolei czuł, że musi się starać bardziej niż wszyscy inni ludzie.

Gdy wreszcie zrozumieli, że w gruncie rzeczy są pokrewnymi duszami, łatwiej im było przejść do porządku dziennego nad odmiennością płci, rasy i pochodzenia. Lynn dorastała w Atlancie, w rodzinie należącej do klasy średniej, z dwojgiem rodzeństwa, któremu niezbyt powiodło się w życiu. Michael mieszkał z matką i pięciorgiem rodzeństwa na nizinach Karoliny Południowej. Odkąd pamiętał, musieli martwić się nie tylko o dach nad głową, ale nawet o jedzenie. Były jednak i podobieństwa między nim a Lynn. Oboje, jakby na przekór stereotypom, doskonale radzili sobie w przedmiotach ścisłych. Oboje lubili gry komputerowe i z powodzeniem uczyli się programowania. Oboje wyróżniali się wynikami w college'u, a teraz, studiując medycynę, otrzymywali stypendium naukowe. Był to zresztą główny powód, dla którego wybrali właśnie Mason-Dixon University. Oboje zostali przyjęci do wszystkich uczelni medycznych, do których aplikowali, ale właśnie ten uniwersytet oferował najkorzystniejsze warunki finansowe. I wreszcie, choć Lynn była niegdyś zżyta z ojcem, doświadczyła życia bez niego, podobnie jak Michael.

Patrząc na nadchodzącego przyjaciela, w duchu dziękowała uczelni za tę znajomość, która zaczęła się od pracy w parach i tak znakomicie rozkwitła. Nigdy wcześniej nie miała kogoś takiego jak Michael. Czuła, że przyjaźń z nim pod wieloma względami odmieniła jej życie. Teraz zaś Lynn wiedziała, że jeżeli rezydent z oddziału neurologii się nie myli, bardziej niż kiedykolwiek będzie potrzebowała wsparcia ze strony Michaela.

- No, co tam? - rzucił dość nonszalancko, kładąc tacę na stoliku. Krzesło zatrzeszczało, gdy spoczął na nim stukilogramowy ciężar. Michael sięgnął po kanapkę i ugryzł solidny kęs.

Przez minutę Lynn nie mogła z siebie wydusić ani słowa. Niechęsto płakała - być może w podświadomej reakcji na stereotyp kobiety - i teraz też nie chciała tego robić. Czuła jednak, że jest rozdarta. Z jednej strony pragnęła wsparcia przyjaciela, by uniknąć poczucia izolacji, w którym pogrążała się coraz głębiej z każdą myślą o stanie Carla, z drugiej jednak obawiała się, że jeśli opowie Michaelowi o tym, co zaszło, cała sprawa stanie się jeszcze bardziej realnym problemem. Jako studentka medycyny wiedziała wystarczająco dużo o psychologicznych aspektach utraty bliskiej osoby, by mieć świadomość, że właśnie wkracza w fazę wyparcia.

Michael nie naciskał. Kęs po kęsie żuł niespiesznie swoją kanapkę, na pozór ignorując Lynn. Czekał i to mu wystarczało. Znał ją jednak dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że sprawa musi być poważna, że

wydarzyło się coś złego i najprawdopodobniej ma to związek z Carlem i jego operacją.

Lynn napiła się wody i mocno zacisnęła powieki, a gdy znowu otworzyła oczy, zaczęła mówić. Opisała wszystko, co zaszło: anestezjologiczną katastrofę podczas operacji, wyprawę na Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego, rozmowę z rezydentem. Na koniec wspomniała, że lekarz nie daje Carlowi wielkich szans i ocenia jego stan na zaledwie pięć punktów w skali Glasgow.

Michael odłożył kanapkę i odsunął talerz, jakby nagle stracił apetyt.

- To bardzo niski wynik.

Lynn spojrzała na przyjaciela. Zdziwił ją już wielokrotnie i tak też było tym razem. Nie miała pojęcia, czym jest skala Glasgow, on zaś najwyraźniej wiedział - a przecież razem uczyli się neurologii na trzecim roku. To był jeden z jego wyjątkowych talentów: Michael potrafił przywoływać z pamięci nawet najdrobniejsze fakty.

- Skąd wiesz o skali Glasgow? Ja pierwszy raz o niej usłyszałam.

- Powiedzmy, że mam powody. To metoda szacowania stanu świadomości pacjentów. Jak się nazywa ten rezydent?

- Zdaje się, że Charles Stuart, ale nie jestem pewna. Moja głowa nie pracuje dziś na pełnych obrotach.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli z nim zajęcia.

- Wiem na pewno, że nie. Pierwszy raz go widziałam.

- Co jeszcze mówił, poza tym, że wycenili Carla na pięć punktów w skali Glasgow i że prognozy są marne?

- Mówił, że rezonans najprawdopodobniej pozwoli stwierdzić rozległe niedokrwienie kory mózgowej. Nie trudno zgadnąć, co to oznacza.

Michael skinął głową.

- Rozmawiałas z kimś jeszcze? Z chirurgiem albo anestezjologiem?

- Z nikim nie rozmawiałam. Najpierw chciałam pogadać z tobą.

- Widziałas raport anestezjologa?

- Nie. Jak dotąd upewniłam się tylko, że naprawdę chodzi o Carla. On jest w śpiączce, na miłość boską! I to ja poleciłam mu tego lekarza; to ja go zachęcałam, żeby sobie zoperował to pieprzone kolano właśnie tu, w tym szpitalu.

Michael pochylił się i zamknął szczupły nadgarstek Lynn w swej wielkiej dłoni. Ścisnął mocno.

- Posłuchaj, siostró - zaczął. Gdy byli sami, często nazywali się wzajemnie „siostrą” i „bratem”; używanie murzyńskiego żargonu

było dla obojga wyrazem platonicznej bliskości, tego, jak swobodnie czują się w swoim towarzystwie. Równie często Michael serwował jej koszykarskie metafory, zapamiętane jeszcze w szkole średniej. - I od razu wbij to sobie do głowy: cokolwiek się stało w dzisiejszym meczu, to nie twoja wina. Nie było cię na boisku. Nie i już, do cholery!

Choć Lynn bardzo się starała zapanować nad sobą, łzy popłynęły strumieniami po jej policzkach. Otarła je knykiem palca wskazującego.

- Wiem, że bez względu na wszystko, będę się czuła do pewnego stopnia odpowiedzialna za to, co się stało. Zbyt dobrze się znam. Ale co powiedzą jego rodzice? Chcieli, żeby poszedł na zabieg do szpitala Ropera. Po co ja się wtrącałam?

Ojciec Carla, podobnie jak on sam, był prawnikiem w Charlestonie, ale pracował w innej kancelarii i w innej specjalności. Interesowało go przede wszystkim prawo karne i procesowe, podczas gdy jego syn był specjalistą od prawa handlowego i nieruchomości. Matka była nauczycielką w szkole podstawowej. Mieszkali w West Ashley, wciąż w tym samym domu, w którym dorastał Carl. Lynn spotykała się z nimi wielokrotnie, z biegiem lat tym częściej, im silniejszy był jej związek z ich synem. Nawet Michael widywał się z nimi podczas uroczystych urodzinowych kolacji.

- Vandermeerowie to mądrzy ludzie - rzekł. - I nietrudno zauważyć, że im na tobie zależy. Nie ma mowy, żeby mieli cię obwiniać.

- Nie jestem pewna, czy na ich miejscu byłabym taka wyrozumiała.

- Nie uprzedzajmy faktów. Przecież na razie nie mamy nawet pewności, co się dzieje z Carlem. Powiem ci, co zrobimy: jeszcze przed wykładem z okulistyki skoczmy na Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego i zajrzemy do karty Carla. - Centrum Medyczne Mason-Dixon posiadało w pełni skomputeryzowany system kart pacjentów, ale na wszelki wypadek wszystkim hospitalizowanym zakładano także tradycyjne karty. Wiele się mówiło o rezygnacji z papierowej dokumentacji medycznej, ale jak dotąd były to puste słowa.

- A co nam to da? - spytała Lynn. Nie była pewna, czy jest w stanie wrócić tam tak szybko. Widok Carla w stanie śpiączki był dla niej traumatycznym przeżyciem.

- Sam nie wiem, ale na pewno będziemy mieli lepsze pojęcie o tym, co zaszło. W karcie musi być opis procedury anestezyjologicznej. No przecież musi istnieć jakieś wytłumaczenie! Chodźmy. - Michael

zaczął już wstawać, ale Lynn chwyciła mocno za rękaw jego fartucha.

- Nie będą zachwyceni, jeśli przyłapią dwoje studentów grzebiących bez pozwolenia w kartach pacjenta.

- Zostaw to mnie - odparł Michael. - Nieraz ci mówiłem, że większość ludzi bierze mnie albo za żywy dowód równości rasowej, albo za proste Murzyniátko. Czasem oznacza to kłopoty, a czasem pomaga. Tym razem nam pomoże, zaufaj mi! Poza tym, już to robiłem.

- Na Oddziale Intensywnego Nadzoru Neurologicznego?

- Tak jest.

- Kiedy?

- Mniej więcej trzy miesiące temu.

- Po co?

- O tym później. A teraz chodźmy. Zajrzymy do Carla, może doktor Stuart się pomylił.

Michael wstał i pociągnął ją za sobą. Pomyślał, że Lynn wygląda jak sarna skamieniała ze strachu w blasku samochodowych reflektorów. Zabrał swoją tacę i odniósł ją do okienka. Lynn poszła za nim, wdzięczna, że ktoś inny podejmuje decyzje.

Rozdział 6

Poniedziałek, 6 kwietnia, 12.40

Gdy jechali windą, Michael zerknął ukradkiem na Lynn, wpatrzoną w wyświetlacz nad drzwiami, pokazujący numery pięter. Jej oczy były zaczerwienione i pełne łez. W kabinie było tłoczno; nie mieli szans na swobodną rozmowę o tym, co zamierzali zrobić. Michael czuł się dziwnie, miał *déjà vu* i nie było to przyjemne wrażenie. Cała nadzieja w tym, pomyślał, że ta sprawa potoczy się inaczej niż wtedy.

Nie tylko Lynn i Michael zamierzali wysiąść, gdy drzwi rozsunęły się na piątym piętrze. Lynn w porę chwyciła przyjaciela za ramię i zatrzymała, by przepuścić pozostałych pasażerów. Rozeszli się w różne strony, ale większość podążyła w kierunku kontuaru przed dyżurką. Na oddziale wciąż panował spory ruch.

- Potrzebny nam jakiś plan - wyszeptała Lynn, rozglądając się nerwowo. Nie chciała, by usłyszał ją ktoś z grupki osób czekających na windę jadącą w dół. - Wcześniej jakoś się tu wśliznęłam, bo rezydent wbił sobie do głowy, że mam fakultet z neurologii, ale tobie się to nie uda, za bardzo się wyróżniasz. A skoro tak, to co zamierzasz zrobić? Przecież wiesz, że studenci nie są mile widziani na oddziałach intensywnej terapii, jeśli nie mają ważnego powodu.

- Liczę, że nie będzie problemu, jeśli będziemy działać zdecydowanie.

- Dobrze, ale co konkretnie chcesz zrobić?

- Po prostu zajrzę do karty. Ale nie pójdziemy prosto do dyżurki i nie weźmiemy sobie karty, nie zajrzawszy najpierw do pacjenta. Tak się nie robi, jasne? Pamiętasz, gdzie leży Carl? Byłoby dobrze, bo nie chcemy zwracać na siebie uwagi, wyglądając na zagubionych.

- Boks numer osiem, jeśli się nie mylę, ale nie jestem pewna. Mam mętlik w głowie.

- Dobra, plan jest taki: idziemy prosto do boks numer osiem. Jeśli to właściwy adres, sprawdzimy, w jakim stanie jest Carl. Jeśli nie, to szukamy i znajdujemy go jak najszybciej. W porządku? Nie musisz

nic mówić, zachowaj spokój i po prostu trzymaj się blisko mnie. Już ja się postaram, żeby nasza wizyta wyglądała na całkiem oficjalną.

- Zgoda - szepnęła Lynn, choć nie była wcale pewna, czy w decydującym momencie zdoła zapanować nad emocjami.

- Do dzieła! - rzucił z przekonaniem Michael.

Trzymała się o pół kroku za nim, gdy szybkim marszem przebijali się przez tłumek zgromadzony w pobliżu dyżurki, kierując się w stronę Oddziału Intensywnego Nadzoru Neurologicznego. Michael zaważał się na ułamek sekundy dopiero przy drzwiach sali i spojrzał na Lynn spod uniesionej brwi. Uznała to za pytanie i nerwowo skinęła głową. Jakoś się trzymała; czuła, że bardziej gotowa już nie będzie.

Michael pchnął ciężkie drzwi i wkroczyli do innego świata. Tu nie skrzypiały koła kuchennych wózków, nie było gwaru i krzątania. Słyszał się jedynie ciche pomruki i piski elektronicznych urządzeń oraz szum rytmicznej pracy respiratorów. Trudno było oczekiwać czegoś innego: pacjenci tego oddziału byli nieprzytomni. » Michael ruszył prosto w stronę boksu numer osiem. Lynn jednak się nie pomyliła: Carl leżał na wysokim łóżku; był sam. Kilka pielęgniarek i salowych zajmowało się innymi pacjentami.

Michael stanął po prawej stronie Carla, Lynn po lewej. Gdyby nie skurcze zdrowej nogi, wyglądałby na pogrążonego w głębokim śnie. Pokusa, by wyciągnąć rękę, dotknąć go, spróbować obudzić, była dla Lynn niemal nieodparta. Przez krótką chwilę towarzyszyło jej uczucie gniewu, jakby Carl robił to wszystko celowo.

- Zwodniczy spokój - zauważył Michael.

Lynn skinęła głową, znowu bliska łez. Spróbowała pomyśleć obiektywnie o tym, co się może dzieć w mózgu Carla, jednocześnie obserwując Michaela, który właśnie wyjmował z kieszeni latarkę. Uniósłszy kolejno powieki, poświecił w oczy nieprzytomnego.

- Źrenice jednakowe, reagują wolno, ale jednak reagują. Nie ma się czym zachwycać, jednak to zawsze coś. Przynajmniej pień mózgu nadal działa.

Lynn w milczeniu skinęła głową. W obronnym odruchu skupiała myśli na odruchu przedśionkowo-ocznym, który na przykładzie Carla pokazał jej rezydent, a także na jego implikacjach.

- Parametry życiowe w normie - obwieścił Michael.

Lynn spojrzała na monitor. Rzeczywiście, wskazania nie uległy zmianie; nawet saturacja trzymała się uparcie poziomu dziewięćdziesięciu siedmiu procent.

- Dobra - mruknął półgłosem Michael, spoglądając na Lynn. - Na razie idzie nam nieźle. - Rzeczywiście, zajęte pracą pielęgniarki nie

zwracały na nich najmniejszej uwagi. - Chodźmy do dyżurki. I spróbuj się wyluzować, dziewczyno! Wyglądasz, jakbyś zamierzała obrabować bank.

Lynn nawet nie próbowała odpowiedzieć. Nauczyła się tolerować jego trochę bezczelne odzywki i sama od czasu do czasu nazywała go „chłopcem”. Oczywiście pozwalali sobie na to tylko wtedy, gdy byli sami; był to jeden z przejawów ich bliskości.

Za okrągłym kontuarem przy dyżurce rządziły zazwyczaj dwie osoby: oddziałowa Gwen Murphy oraz Peter Marshall, który mimo rozlicznych talentów tkwił w biurze oddziału neurologii od tak dawna, że wydawał się jego nieodłącznym elementem. Michael i Lynn zapamiętali oboje - z zajęć na trzecim roku - jako sprawnych i ze wszech miar pomocnych profesjonalistów. W tej chwili jednak Gwen najwyraźniej była zajęta czymś innym; za kontuarem siedział jedynie Peter i - jak wszyscy pracownicy administracyjni szpitala - nie odrywał od ucha słuchawki telefonu. Widząc nadchodzących, rzucił im tylko jedno spojrzenie i na moment pytająco uniośł brwi.

Za krawędzią blatu otaczającego stanowisko dyżurnych stały monitory wyświetlające parametry życiowe wszystkich pacjentów oddziału. Lynn interesowała się wyłącznie monitorem numer osiem: wszystkie wskaźniki były w normie. Na kontuarze stał obrotowy segregator z kartami pacjentów.

- Cześć, stary - rzucił na powitanie Michael, ale Peter w odpowiedzi tylko przewrócił oczami. Nie czekając na inną reakcję, Michael zakręcił segregatorem i pewnym ruchem zatrzymał go w chwili, gdy miał przed sobą przegródkę z dokumentacją medyczną pacjenta z boks numer osiem. Bez najmniejszego wahania wyciągnął kartę, uniośł dwa stojące przy kontuarze krzesła i ustawił je na uboczu. Następnie skinął na Lynn i gdy zajęli miejsca, swobodnym ruchem otworzył kartę, by wśród luźnych wydruków poszukać raportu anestezjologicznego.

Lynn tymczasem obserwowała Petera kątem oka. Było tek, jak przewidział Michael: mężczyzna nie interesował się nimi. Spokojnie prowadził rozmowę przez telefon i dopiero gdy skończył, zagadnął:

- Hej, w czym mogę wam pomóc?
- Kazano nam przejrzeć raport anestezjologiczny Vandermeera - odparł swobodnie Michael. - Już go znalazłem, więc dzięki. Popatrz tylko, Lynn!

Michael obrócił otwartą teczkę w taki sposób, by mogła czytać. Miała przed sobą odręczną notatkę sporządzoną przez anestezjologa, doktor Sandrę Wykoff, a także trzystronicowy wydruk z aparatu do

znieczuleń. W ostatnich latach mieli okazję czytać niezliczone zapiski lekarzy i zwykle przypominało to pracę kryptologa, na szczęście doktor Wykoff miała całkiem znośny charakter pisma.

29-letni mężczyzna rasy białej w doskonałej kondycji, przyjęty na zabieg rekonstrukcji zerwanego więzadła krzyżowego przedniego w prawym kolanie, w znieczuleniu ogólnym. Działanie aparatu do znieczuleń sprawdzone zarówno ręcznie, jak i autotestem. Pacjent niespokojny. Przed operacją, o 7.17, podaję dożylnie 10 mg midazolamu, z dobrym skutkiem. Pacjent odprężony. Wklucie dożylnie założone bez problemów. 7.22 - maska twarzowa, podaję tlen 100%. 7.28 - podaję dożylnie 125 mg propofolu. Zastępuję maskę twarzową (tlen 100%) maską krtaniową (LMA 4), pompowanie bez problemu. Parametry życiowe w normie, stabilne. EKG w normie. Saturacja krwi stabilna: 99-100%. Oddech spontaniczny o prawidłowej objętości i częstotści. Operacja zaczyna się od założenia opaski uciskowej na prawą nogę. Brak zmian parametrów życiowych, EKG i nasycenia tlenem. W pięćdziesiątej minucie (8.28) na moje pytanie chirurg informuje, że do końca zabiegu pozostało czterdzieści minut. 8.38 - wyłączam izofluran. Kontynuuję podawanie podtlenku azotu oraz tlenu. 8.39 - włącza się alarm niskiego nasycenia tlenem; następuje niebezpieczny spadek z 98 do 92%. W tej samej chwili EKG wykazuje uniesiony załamek T. Zwiększam przepływ tlenu. Saturacja raptownie rośnie, o 8.42 osiąga 97%. Wyłącza się alarm sygnalizujący spadek saturacji. 8.44 - redukuję przepływ podtlenku azotu, rozpoczynam ręczną wentylację. 8.50 - chirurg zauważa objawy sztywności z odkorowania w obrębie obu kończyn dolnych; źrenice pacjenta rozszerzone, słabo reagują na światło. 8.52 - wstrzymuję podawanie podtlenku azotu, kontynuuję podawanie czystego tlenu. 8.58 - pacjent oddycha spontanicznie, objętość i tempo w normie, przerywam wentylację. Chirurg zdejmuję opaskę uciskową i kończy operację o 9.05. Pacjent

*nie odzyskuje przytomności. Wzywamy
głównego anestezjologa, doktora Bentona Rhodesa.
Zgodnie z jego zaleceniem podaję trzykrotnie
0,2 mg flumazenilu, bez widocznego skutku.
9.33 - pacjent zostaje przewieziony do sali wybudzeń;
nadal oddycha 100% tlenem. W trybie pilnym
prosimy o konsultację neurologiczną. Parametry ży-
ciowe pacjenta, EKG i nasycenie tlenem pozostają
prawidłowe i stabilne.*

Sandra Wykoff, lekarz medycyny

Michael i Lynn skończyli lekturę niemal w tej samej chwili i spojrzeli po sobie.

- Niewiele pamiętam z anestezjologii - powiedziała Lynn. - Mieliliśmy przecież tylko jeden wykład, o podstawach, podczas fakultetu z chirurgii. Będę musiała sporo poczytać, żeby to wszystko zrozumieć.

- Ważne jest to, że mamy udokumentowane niedotlenienie - odparł Michael. - Stężenie tlenu obniżyło się na parę minut, widać było zmianę krzywej EKG.

- Tak, ale nie była to wielka zmiana: najpierw spadek do dziewięćdziesięciu dwóch procent, a potem szybki powrót do dziewięćdziesięciu siedmiu. To naprawdę mało; przypuszczam, że większej różnicy nasycenia tlenem doświadczają pasażerowie wysiadający z samolotu w Aspen, wysoko w górach Kolorado. W dodatku trwało to raptem trzy minuty - dodała Lynn, wskazując palcem fragment tekstu.

- Skąd więc zmiana w EKG?

Lynn wzruszyła ramionami.

- Za mało wiem, żeby próbować choćby zgadnąć.

- Obejrzyjmy jeszcze wydruk z aparatu.

Michael przerzucił kartkę, odsłaniając drugą z trzech stron automatycznego raportu anestezjologicznego. Interesowały ich tylko te dane, które dotyczyły samej operacji. Wiedzieli, że sercem nowoczesnego aparatu do znieczuleń jest komputer, który w czasie rzeczywistym analizuje wszelkie dostępne dane dotyczące pacjenta - włącznie z tymi, które wyświetlane są na monitorze - a po skończonym zabiegu drukuje je w formie graficznej. Nie mógł pominąć żadnego parametru, rejestrował przepływy gazów, płynów, leków, a także wszystkie dane z czujników monitorujących stan pacjenta.

- A co wy tu robicie? - odezwał się nagle głos, może nie wrogi, ale z pewnością władczy.

Lynn i Michael zadarli głowy. Stała nad nimi pielęgniarka oddziałowa Gwen Murphy - niewysoka, korpulentna niewiasta o ogniste rudy włosach i rumianych policzkach.

- Przysłali nas z anestezjologii, żebyśmy się zapoznali z tym nowym przypadkiem śpiączki - odparł bez mrugnienia okiem Michael.

Przez chwilę Gwen przyglądała się milczącej Lynn, a potem skinęła głową, jakby zaakceptowała wyjaśnienie Michaela.

- Dziś po południu robimy temu pacjentowi rezonans - odpowiedziała, po czym odwróciła się i odmaszerowała ku swemu okrągłemu kontuarowi obudowanemu monitorami.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała szeptem Lynn, nachylając się ku Michaelowi.

Była pod wrażeniem. Nagłe pojawienie się Gwen porządnie ją wystraszyło - w końcu wiedziała, że wieść o tym, co tu robią, wywołałaby coś więcej niż zwykle niezadowolenie władz uczelni. Była też w pełni świadoma, że gdyby sama spróbowała odpowiedzieć pielęgniarce, potknęłaby się na pierwszym słowie. Dlatego cieszyła się w duchu z tego, że Michael ją wyręczył. Jak wszyscy studenci medycyny, doskonale pamiętała, czego jej zabroniono już na początku nauki: zaglądania do elektronicznych kart pacjentów - zwłaszcza tych, z którymi łączyła ich nie pokrewieństwa, przyjaźni, czy choćby znajomości - bez wyraźnego polecenia przełożonych. Ochronę danych traktowano tu bardzo serio, a szperanie w dokumentach pod fałszywym pretekstem było poważnym i surowo karanym wykroczeniem.

- To chyba kwestia praktyki - odparł Michael. - Zauważyłaś, że ona nawet na mnie nie popatrzyła?

- Tak, masz rację. Gapiła się tylko na mnie. To akurat zauważyłam; pomyślałam nawet, że doskonale widać moje wyrzuty sumienia.

- Nie sądzę, żeby o to chodziło - rzekł Michael. - Moim zdaniem unikanie kontaktu wzrokowego to element podświadomej dyskryminacji. Starszy personel, i lekarze, i pielęgniarki, często tak mnie traktuje. Ale nic nie szkodzi. Przyzwyczailem się. Czasem to nawet pomaga. Choćby teraz.

- Przykro mi - bąknęła Lynn.

- Hej, to nie twoja wina. Przecież wiesz, że się tym nie przejmuję. A teraz skupmy się wreszcie na tym, po co tu przyszliśmy.

Ponownie pochylił się nad raportem. Moment, w którym nasycenie tlenem spadło do dziewięćdziesięciu dwóch procent, był dosko-

nale widoczny na wykresach. Analizując równoległy wykres EKG serca, z łatwością dostrzegłi skorelowane zmiany krzywej.

- To ten moment niedotlenienia? - spytał Michael.

- Tak myślę - odrzekła Lynn. - Ale zamierzam się upewnić. Już wiem, co chcę zrobić.

- Co masz na myśli?

- Dowiem się, co się naprawdę wydarzyło.

- Ja już się spotkałem z takim przypadkiem.

Lynn spojrzała na przyjaciela ze zdziwieniem.

- Naprawdę? Kiedy?

Michael nie odpowiedział. Spojrzał na Gwen i Petera. Oboje byli zajęci. Postanowił wykorzystać tę chwilę. Sięgnął po smartfon, pospiesznie wyłączył dźwięk i lampę błyskową, po czym sfotografował wydruk z aparatu do znieczuleń. Sekundę później telefon zniknął w jego kieszeni.

- Jezu! - szepnęła ochryple Lynn. - Po co się tak narażasz? - spytała, spoglądając nerwowo na kontuar. Z ulgą spostrzegła, że Gwen pochłonięta jest rozmową z jedną z pielęgniarek, a Peter notuje coś, jak zwykle ze słuchawką przy uchu.

- Możliwe, że przyda nam się to zdjęcie - odpowiedział zagadkowo Michael. - Skończyłaś przeglądać kartę?

- Wprawdzie mniej więcej wiem, czego się spodziewać, ale chętnie przeczytałabym jeszcze notatkę z konsultacji neurologicznej.

- W takim razie zróbmy to i zabierajmy się stąd w cholerę. A potem opowiem ci o tym drugim przypadku.

Rozdział 7

Poniedziałek, 6 kwietnia, 12.55

Gdy tylko zamknęły się za nimi ciężkie drzwi oddziału, Lynn zasy-pała Michaela pytaniami o „podobny przypadek”, domagając się zwłaszcza wyjaśnienia, na czym właściwie polega owo podobień-stwo.

- Tak naprawdę był identyczny - odpowiedział.

Szli zatłoczonym korytarzem na piątym piętrze szpitala, schodząc z drogi kuchennym wózkiem, którymi właśnie rozwożono lunch.

- Niedokrwienie kory mózgowej po standardowym zabiegu chirurgicznym?

- Tak jest. Mówię ci, dokładnie ten sam scenariusz.

- Kiedy to było?

- Mniej więcej trzy miesiące temu, gdy przerabialiśmy pediatrię.

Lynn miała właśnie spytać, w jaki sposób Michael dowiedział się o tamtej sprawie, lecz w tym momencie spojrzała przed siebie i zobaczyła doktora Weavera. Znacznie bardziej przeraził ją fakt, że towarzyszyli mu rodzice Carla, Markus i Leanne Vandermeerowie.

Lynn zamarła. Jeszcze jej nie zauważyli, byli dość daleko, a na korytarzu panował totalny chaos - przynajmniej tyle miała szczęścia. Przez sekundę zastanawiała się, czy nie obrócić się i nie uciec w przeciwnym kierunku. Sama jeszcze nie panowała nad emocjami i nie umiała przewidzieć, jak zareaguje, jeśli rodzice Carla zaczną ją krytykować czy wręcz obwiniać. Co do tego, że są równie zdruzgotani jak ona, nie miała najmniejszych wątpliwości.

Michael zauważył Vandermeerów w tym samym momencie i wyczuwając reakcję Lynn, chwycił ją mocno za ramię.

- Zachowaj spokój, siostró - rzucił szeptem.

- Chyba nie jestem na to gotowa - wymamrotała w odpowiedzi.

Spróbowała wymknąć się z uścisku, ale Michael był zbyt silny.

- Zostań! - syknął stanowczo. - Poradzisz sobie. Nawet lepiej, że spotkałaś ich tutaj, w szpitalu.

Serce Lynn biło jak szalone, gdy przyglądała się nadchodzącym. Jako pierwsza dostrzegła ją Leanne. Była drobnej budowy i w swym dość tradycyjnym, szarym kostiumie rzeczywiście wyglądała na nauczycielkę z podstawówki. Gdy zauważyła Lynn, grymas głębokiej troski malujący się na jej twarzy w jednej chwili zmienił się w wyraz współczucia. Bez najmniejszego wahania podeszła do młodej kobiety i na długą chwilę zaniknęła ją w serdecznym uścisku. Dla Lynn była to przyjemna niespodzianka; wcześniej nie doświadczała ze strony matki Carla żadnych czułości, poza przelotnymi całusami w policzek.

- Jak sobie radzisz, moja droga? - spytała Leanne, odsunawszy się na odległość wyciągniętych ramion. Była o dobre piętnaście centymetrów niższa od Lynn i musiała zadzierać głowę, by spojrzeć jej w oczy. - Tylko proszę, obiecaj mi, że nie będziesz się zadręczać tym, co się stało. Carl lada chwila się obudzi. Zaufaj mi! Ta historia będzie miała szczęśliwe zakończenie; nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wiem, jak bardzo jesteś zajęta. Uważaj na siebie i wracaj do pracy.

Lynn zerknęła na Michaela, szukając wsparcia. Doskonale wiedziała, że matka Carla potrafi być niezwykle władcza, ale to przechodziło ludzkie pojęcie: Leanne mówiła jej, w jaki sposób ma reagować na tę tragedię.

- Żałuję, że doszło do tej drobnej komplikacji - ciągnęła Leanne. - Na szczęście wkrótce będzie po wszystkim. To pewne.

- Ja też żałuję - odpowiedziała Lynn. Leanne najwyraźniej postanowiła nie dopuścić do siebie myśli o prawdziwym stanie syna. Ten zaskakujący fakt pomógł Lynn zapanować nad emocjami. Bała się, że zostanie uznana za winną, a tymczasem ofiarowano jej współczucie. Czowała ulgę i wdzięczność.

- Pewnie jesteś zdruzgotana - kontynuowała Leanne. - Widziałaś go już?

Lynn skinęła głową, niepewna, czy powinna przyznawać się do tego w obecności doktora Weavera, który mógł uznać jej postępowanie za rażące naruszenie zasad obowiązujących w szpitalu, lecz chirurg, najwyraźniej pochłonięty własnymi sprawami, nie zareagował.

- Jak wygląda? - spytała Leanne. Jej twarz znowu wyrażała głęboką troskę.

- Jest bardzo spokojny - odrzekła Lynn. - Jakby spał.

Leanne cofnęła się nieco, a Markus zbliżył się, żeby ucisnąć Lynn. Podobnie jak jego syn, był postawnym mężczyzną, ale nieco tęższym. Jego zawsze opalona twarz pocięta była zmarszczkami. Był zapałonym golfistą i uwielbiał bourbona. W przeciwieństwie do żony,

sprawił wrażenie kompletnie oszołomionego i nie odezwał się ani słowem.

- Jego stan się nie zmienił? - zagadnęła Leanne, gdy Markus się wycofał.

- Niestety nie - odrzekła Lynn, po czym wskazała na swego przyjaciela. - Na pewno pamiętacie Michaela Pendera.

- Naturalnie. - Matka Carla skinęła mu głową na powitanie, po czym natychmiast skupiła się znowu na Lynn. - Dopilnujemy, żeby Carlem zajęli się wyłącznie najlepsi lekarze. Stąd moja pewność, że wkrótce nastąpi zmiana na lepsze.

- Taką mam nadzieję - odparła Lynn, kiwając głową.

Zerknęła na doktora Weavera, który nadal miał na sobie strój z sali operacyjnej. Chirurg jednak nawet na nią nie spojrział, tylko zachęcił Vandermeerów, by weszli już na oddział, póki jeszcze może im towarzyszyć.

Obiecawszy, że „będą w kontakcie”, rodzice Carla ruszyli korytarem, a Lynn i Michael oddalili się w przeciwnym kierunku, ku windom.

- Całkiem nieźle wyszło - zauważył Michael.

- Byli bardzo wyrozumiali - przyznała Lynn, a potem szybko wróciła do tematu, który tak ją zainteresował, zanim natknęli się na Vandermeerów. - Powiesz mi w końcu o szczegółach tego podobnego przypadku? I gdzie o nim słyszałeś?

- Chodziło o młodą Murzynkę, mniej więcej w wieku Carla. Była operowana w znieczuleniu ogólnym, rana postrzałowa. I już się nie obudziła. Doszło do chwilowego niedotlenienia, dokładnie tak samo jak u Carla, i już było po wszystkim.

- I operowano ją tu, w Mason-Dixon?

- Tak jest. Mówię ci, to identyczny przypadek.

Dotarli do wind. Lynn pociągnęła Michaela za rękaw, dając mu znak, żeby zaczekał. Woląla nie rozmawiać o tej sprawie w zatłoczonej windzie, ale bardzo chciała poznać szczegóły.

- A w jaki sposób się o tym dowiedziałeś?

- Mama zadzwoniła do mnie z Beaufort, żeby mi opowiedzieć o naszej dalekiej krewnej, która miała tu operację z poważnymi powikłaniami. Prosiła, żebym spróbował się czegoś dowiedzieć. I dowiedziałem się.

- Jak się nazwała ta pacjentka?

- Ashanti Davis.

- Byliście bliskimi krewnymi?

- Właściwie tylko powinowatymi. To kuzynka szwagra mojej

matki, czy jakoś tak. Rzadko się widywaliśmy, ona była starsza, a w dodatku nie skończyła szkoły. Poza tym obracaliśmy się w innych kręgach.

- Była operowana z powodu postrzału? Czyżby zaplątała się w jakąś wojnę gangów?

- Ktoś żywił do niej głęboką urazę, jak się domyślam.

- I co się z nią stało?

- Od czasu operacji jest w stanie wegetatywnym; przenieśli ją do Instytutu Shapiro.

- To straszne - szepnęła Lynn. - I nadal tam jest?

- O ile mi wiadomo tak. Nikt jej nie odwiedza, nikt nawet o nią nie pyta. Nikt z rodziny nie ma ochoty płacić tyle, ile tu żądają za nocleg. Rzecz w tym, że ogłędnie mówiąc, Ashanti nie była szczególnie popularna, nawet wśród swoich najbliższych. W szkole uchodziła za puszczalską, ze szczególnym apetytem na dobrze zapowiadających się członków gangów. Dlatego trzymałem się od niej z daleka. Zadawała się z niewłaściwymi ludźmi i to przez nią zginął jeden z moich kuzynów, więc może nie było dla nas wielką niespodzianką to, że w końcu i ją ktoś postrzelił. Była przysłowiovym zgniłym jabłkiem w koszyku.

- Okropna historia - stwierdziła Lynn. - Ale zanim Ashanti została postrzelona, była zupełnie zdrowa, tak jak Carl?

- Tak sądzę.

Lynn pokręciła głową. Fakt, że w tym samym szpitalu, w odstępie zaledwie trzech miesięcy, dwoje młodych, zdrowych ludzi nie obudziło się ze znieczulenia ogólnego, Wydawał się jej nawet nie niepokojący, ale wprost przerażający. Równie straszna była myśl o tym, że i Carl może pewnego dnia trafić do Shapiro. Była tam z krótką wizytą razem z kolegami z grupy i zgodnie uznali, że to ziemski odpowiednik Hadesu.

- Bardzo bym chciała zerknąć do karty Ashanti - powiedziała Lynn.

- Hola! - obruszył się Michael i odruchowo się cofnął, jakby miał się czymś od niej zarazić. - Za coś takiego można wylecieć ze studiów. Karta Carla to jedno, sprawa jest wciąż otwarta i wiele osób ma do niej dostęp. Ale z Ashanti to zupełnie inna sprawa: trzeba by wejść do elektronicznego systemu, a jeśli to zrobisz, natychmiast zostaniesz wykryta.

- Sama tego nie zrobię - odpowiedziała Lynn, zastanawiając się jednocześnie, kto mógłby ją w tym wyręczyć. Pomoc oferowała jej na przykład doktor Scott, twierdząc, że jej gabinet zawsze jest dla niej

otwarty. Lynn pomyślała też o doktor Wykoff, która znieczuliła Carla przed zabiegiem. Może dla niej byłby to interesujący trop? Pod warunkiem, rzecz jasna, że nie była też anestezjologiem podczas operacji Ashanti.

- Mam gdzieś zdjęcie raportu anestezjologicznego z tamtego zabiegu - odezwał się po chwili Michael. - Zrobiłem je na Oddziale Intensywnego Nadzoru Neurologicznego, dokładnie tak samo jak dziś.

- Naprawdę? - zdumiała się Lynn. - Gdzie ono jest? Możesz je znaleźć?

- Poszukam. O ile pamiętam, jest w moim peccie albo na pendrive, w każdym razie gdzieś w moim pokoju. - Od słuchaczy studiów dziennych korzystających ze stypendium oczekiwano, że będą mieszkali w akademiku mieszczącym się w osobnym budynku na rozległym terenie Centrum Medycznego. W praktyce jednak większość towarzystwa z czwartego roku wolała wynajmować prywatne mieszkania. Lynn nie miała nic przeciwko akademikowi; podczas praktyki w szpitalu wolała spać we własnym łóżku niż w dyżurce. Poza tym większość weekendów i tak spędzała u Carla.

- Poszukasz?

- Jasne, że tak. Ale nie w tej chwili, jeśli to miałaś na myśli. - Michael spojrzął na zegarek. - Jesteśmy już spóźnieni na wykład z okulistyki. Najwyższa pora zawlec dupska do gmachu kliniki.

- Nie idę na wykład - oświadczyła Lynn kategorycznym tonem. - W tym stanie umysłu nie wysiedziałybym dwóch godzin w sali. Gotuję się.

- No to co zamierzasz?

- Pojadę rowerem do domu Carla i spróbuję się uspokoić - odpowiedziała. - Muszę poczytać o powikłaniach anestezjologicznych, a zwłaszcza o niedokrwieniu kory mózgowej. Skorzystam z jego komputera. Może w ten sposób będę bliżej Carla. Kto wie, może nawet się pomodłę? Tak, jestem aż tak zdesperowana.

Michael spojrzął badawczo na Lynn. Często dyskutowali o religii, zwłaszcza na trzecim roku, gdy poznawali podstawy pediatrii, a także później, gdy wybrali tę dziedzinę jako fakultet. Obcowanie z cierpieniem dzieci chorych na raka sprawiło, że oboje zaczęli kwestionować istnienie Boga, a w każdym razie owego kochającego, miłosiernego Boga, który wysłuchuje modlitw.

- Wiem - powiedziała Lynn, jakby czytając w myślach Michaela. - To wbrew wszystkiemu, co usłyszałeś ode mnie podczas tych najszybszych nocnych rozmów, ale teraz, gdy zobaczyłam Carla w takim

stanie, nie zmarnuję żadnej szansy.

^ Michael skinął głową. Chyba rozumiał. Ostatnie wydarzenia rzuciły jego przyjaciółkę w emocjonalny dryf.

Rozdział 8

Poniedziałek, 6 kwietnia, 13.16

Lynn zrzuciła fartuch i włożyła „cywilne” ubranie. Kipiła gniewem. Była wściekła na tę anesteziolog, na szpital, na całą medycynę. Wróciły aż nadto wyraźne wspomnienia o tym, jak się czuła, gdy umarł jej ojciec. Miała ochotę kopnąć szafkę, w której trzymała swoje rzeczy. Czesząc włosy krótkimi, energicznymi ruchami, myślała o tym, że najchętniej by coś roztrzaskała.

Problem polegał na tym, że w pewnym sensie wiedziała zbyt wiele. Gdyby nie była studentką medycyny, być może miałyby nadzieję, że Carl po prostu się ocknie i będzie jak dawniej - najwyraźniej właśnie tą myślą żyli teraz Vandermeerowie. Lynn żałowała, że nie stać jej na optymizm, ale takie były fakty: nie zanosilo się na szczęśliwe zakończenie. Rezydent z neurologii spodziewał się, że rezonans magnetyczny wykaże rozległe niedokrwienie kory mózgowej. Lynn wiedziała o medycynie dostatecznie dużo, żeby zdawać sobie sprawę z tego, jakie będą skutki obumarcia dużej części komórek w tej partii mózgu, której człowiek zawdzięcza swoje człowieczeństwo.

Innymi słowy, była świadoma tego, że nawet jeśli Carl się kiedyś obudzi, nie będzie tym samym Carlem co przedtem. Tak czy owak, nie było powodów do optymizmu; z tej sytuacji po prostu nie było dobrego wyjścia. Przez głowę Lynn przemknęła myśl o tym, że byłoby lepiej, gdyby Carl umarł, ale zaraz po niej pojawił się wstyd. Jak mogę być tak samolubna, skarciła się w duchu. Przecież dopóki on żyje, zawsze może zdarzyć się cud.

Wkładając biały płaszcz, Lynn spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej wargi, zwykle pełne, były teraz zaciśnięte w wąską, zaciętą linię. Zielone oczy spoglądały na nią wrogo i zawzięcie. Bez wątpienia miała już za sobą fazę wyparcia; zaczynał się czas gniewu w reakcji na tragiczny los Carla. Nie mogła się uwolnić od myśli, że amerykańska służba zdrowia zawiodła ją po raz kolejny. Zaczęło się dawno temu, kiedy u jej ojca, Neda, rozpoznano rzadką genetyczną

chorobę krwi znaną jako PNH, napadową nocną hemoglobinurię. Na całym świecie chorowało na nią mniej niż dziesięć tysięcy osób. Teraz, po niemal czterech latach studiowania medycyny, Lynn wiedziała o niej znacznie więcej niż wtedy. Rozumiała już, w jaki sposób choroba nocami niszczy czerwone krwinki. Wiedziała też, że sama nie jest chora i nie jest nosicielem wadliwego genu.

W 2008 roku, gdy zaczęła się recesja, Lynn była na drugim roku college'u. Ned stracił wówczas pracę, a wraz z nią ubezpieczenie zdrowotne, które pokrywało zdecydowaną większość kosztów wyjątkowo drogich leków. Przez rok był w stanie kupować je za własne pieniądze - towarzystwo ubezpieczeniowe zrezygnowało z przedłużenia umowy, gdy tylko pojawiła się taka możliwość, a wprowadzona przez Obamę ustawa o dostępności opieki zdrowotnej jeszcze nie obowiązywała. Brak środków na lek ratujący życie oznaczał dla Neda wyrok śmierci. Wtedy jeszcze Lynn nie była świadoma wszystkich szczegółów sprawy - musiała jej wystarczyć informacja, że rodzina ma problemy finansowe. Gdy wreszcie poznała prawdę, z tym większą determinacją przystąpiła do studiowania medycyny. Miała nadzieję, że pewnego dnia zmieni system, a umocniła się w tym postanowieniu na wieść o tym, że ów kosmicznie drogi lek był nieporównywalnie tańszy w Europie, a nawet w Kanadzie. Teraz, rozmyślając o nieszczęściu Carla, poczuła, że amerykański system opieki zdrowotnej znowu próbuje jej dokopać.

Ochlapała twarz zimną wodą, żeby ochłonać. W tym momencie dostrzegła w lustrze wysoką postać doktor Scott, która właśnie przekroczyła próg przebieralni i szła w kierunku swojej szafki. Przez krótką chwilę Lynn zastanawiała się, czy nie powinna podejść do niej i zwyczajnie poprosić o pomoc, o analizę przypadku Carla. Postanowiła jednak, że na to jest jeszcze za wcześnie. Nie potrafiłaby nawet zadawać w miarę inteligentnych pytań, nie miała nawet pojęcia, jak często w skali kraju mają miejsce takie przypadki. Wiedziała tylko, że w Centrum Medycznym Mason-Dixon coś takiego zdarzyło się dwukrotnie w ciągu paru miesięcy.

Lynn nie myślała już o tym, jak zagadnąć panią chirurg; zastanawiała się, jak się ulotnić, zanim doktor Scott ją zauważy. Nie miała ochoty na żadne rozmowy; czuła, że w sensie emocjonalnym stąpa po bardzo kruchym lodzie.

Nie chcąc spotkać nikogo ze znajomych w windzie, postanowiła zejść schodami. Gdy dotarła na parter, ruszyła skrótem przez gmach kliniki, prosto w kierunku akademika. Zboczyła z kursu tylko po to, by w bezpiecznej odległości minąć drzwi auli, w której odbywał się

wykład z okulistyki.

Gdy wreszcie opuściła mury szpitala i otoczył ją cudowny blask wiosennego charlestońskiego słońca, poczuła coś na kształt ulgi. Ptaki ćwierkały w ukwieconych koronach drzew zdobiących trawniki wokół centrum medycznego. Lynn starała się w ogóle nie myśleć, lecz nie było to łatwe. Po prawej ciągnął się rozległy gmach Instytutu Shapiro i trudno było zapomnieć o niewesołym losie pacjentów w śpiączce.

W przeciwieństwie do pozostałych obiektów tworzących kompleks Centrum Medycznego Mason-Dixon Instytut Shapiro miał tylko dwie, może trzy kondygnacje - trudno było to ustalić, jako że architekci najwyraźniej zapomnieli o oknach: ściany były monstrualnymi prostokątami lśniącego granitu. Liczne pięknie kwitnące drzewa i krzewy nasadzono zapewne po to, by złagodzić przytłaczającą jednolitość prostej bryły budynku. Linię fasady zaburzał jedynie kamienny łuk, pod którym umieszczono samotne, solidne, niczym nieozdobione drzwi wejściowe. Zdarzało się czasem, że Lynn i Michael wychodzili ze szpitala o tej samej porze, o której kończyła pracę poranna zmiana w Instytucie.

Lynn przystanęła i przez chwilę patrzyła na gmach, zastanawiając się, czy Ashanti Davis jeszcze tam jest, a jeśli tak, to jak wygląda jej egzystencja. Wzdrygnęła się, bo zaraz naszła ją myśl o tym, co by było, gdyby Carl także tu trafił, i czy mogłaby go odwiedzać. Wątpiła w to, jako że nie należała do najbliższej rodziny.

Sięgnęła pamięcią do drugiego roku studiów, kiedy to wraz z Michaelem i resztą grupy wzięła udział w oficjalnej wycieczce do Instytutu. Pamiętała nawet, skąd wzięła się jego nazwa. Arnold Shapiro był dwudziestojednoletnim studentem z Teksasu, który w wyniku wypadku przez nieznaną czas był niedotleniony i w ostatniej chwili został uratowany przez ratowników medycznych, by następnie spędzić piętnaście lat w stanie wegetatywnym. Sprawa stała się przyczyną zażartej bitwy prawnej między rozwiedzionymi rodzicami Arnolda o to, czy należy utrzymywać go przy życiu w nieskończoność, czy może zaprzestać sztucznego odżywiania i pozwolić mu umrzeć. Jak na ironię obie strony sporu powoływały się na dobro Arnolda Shapiro. Lynn i Michael dowiedzieli się, że Instytut nazwano na cześć tego pacjenta głównie dlatego, że bez względu na to, jaki zgiełk panował wokół jego losu, właśnie tu zapewniono mu spokój i dyskretną, profesjonalną opiekę. Celem działania Instytutu Shapiro było zapewnienie równie doskonałych warunków każdemu, kto tego potrzebował, niezależnie od tego, czy był sławny czy nie.

Lynn wzdrygnęła się na myśl o tym, że Carl może trafić tu na długie lata i odruchowo odwróciła głowę, by nie patrzeć na posępny gmach. Ruszyła szybkim krokiem w stronę akademika, powtarzając sobie w duchu, że czym prędzej musi wziąć się w garść.

Od pierwszego dnia studiów mieszkała w pokoju na trzecim piętrze - niewielkim, ale przytulnym i co najważniejsze, z własną łazienką. Za oknem miała widok na rzekę Cooper i zgrabny łuk mostu Arthura J. Ravenela juniora, prowadzącego do Mount Pleasant. Rzeka rozlewała się w tym miejscu szeroko i bardziej przypominała wielkie jezioro.

Na biurku stała oprawiona w ramkę fotografia uśmiechniętego Carla trzymającego w dłoni szklankę piña colady z anansem, maraską i małą papierową parasolką. Było to zdjęcie z ostatniego lata; obchodził wtedy urodziny w Folly Beach, położonym niedaleko popularnym kurorcie. Wynajęli na weekend nieduży, urokliwy domek.

Lynn odwróciła fotografię. Zbyt boleśnie przypominała jej o innym, lepszym czasie, o innym miejscu. Rzuciła płaszcz na oparcie krzesła stojącego przy biurku, przebrała się w strój bardziej odpowiedni do jazdy rowerem, a potem wyjęła z szafy kask, plecak oraz okulary przeciwsłoneczne. Do plecaka wrzuciła telefon komórkowy, czysty notatnik i kilka ołówków, choć prawdę mówiąc, nie potrzebowała niczego prócz kasku - od pewnego czasu pomału przenosiła ubrania i przybory toaletowe do domu Carla.

Pojechała na południe, potem skręciła w Morrison Drive i dalej w East Bay Street, a w końcu w East Battery. Im dalej na południe, tym piękniejszy był to szlak, zwłaszcza gdy wjechała między zabytkowe domy. Gdy zjechała poniżej Broad Street, przy której stała większość z pięknie odnowionych budynków, minęła tak zwany Rainbow Row - kolonię domów szeregowych z początku osiemnastego wieku, stojących nad brzegiem rzeki Cooper. Zgodnie z historycznymi planami odmalowano je na pastelowe, karaibskie kolory, w uznaniu tradycji angielskich osadników z Barbadosu. Lynn poczuła się nieco rażniej. Pomyślała, że Charleston jest urzekająco pięknym miastem.

Rozdział 9

Poniedziałek, 6 kwietnia, 14.05

Michael wsunął długopis do kieszeni białego fartucha. Naprawdę starał się skupić na wykładzie i notować, ale bez powodzenia. Główny problem polegał na tym, że wbrew jego oczekiwaniom zajęcia nie dotyczyły okulistyki klinicznej. Był to raczej nudny monolog poświęcony anatomii oka i jego połączeń z mózgiem. Cała grupa przerabiała ten materiał dogłębnie już na pierwszym roku.

Jedna z tajemnic akademickich sukcesów Michaela polegała na tym, że potrafił czytać z ogromną szybkością, zapamiętując przy tym większość informacji. Od wczesnego dzieciństwa rozwijał w sobie tę umiejętność, jednocześnie starannie ukrywając ją przed rówieśnikami - zwłaszcza płci męskiej i zwłaszcza w szkole średniej. Obracał się wtedy w kręgach, w których dobre wyniki w nauce, a nawet samo wkładanie w nią wysiłku, nie były mile widziane. Przeciwnie: uchodziły za coś podejrzanego.

Odkąd sięgał pamięcią, jego ciężko pracująca matka, która całe życie sprzątała cudze domy i prała cudze ubrania, powtarzała mu, że nauka to ekspresowy pociąg pozwalający uciec z pułapki nędzy getta, umiejętność szybkiego czytania zaś to bilet na ów pociąg. Michael wziął sobie do serca jej słowa, a dzięki dobremu genom odziedziczonym i po matce, i po ojcu, którego nie znał, zdołał wcielić je w czyn. Teraz, gdy miał już w kieszeni posadę rezydenta, czuł niemal fizyczny ból, gdy musiał znieść dwugodzinny maraton powtórki z materiału, który doskonale pamiętał. Nawet gdyby musiał uczyć się podstaw okulistyki na nowo, samodzielnie uczyniłby to z lepszym skutkiem w nieporównywalnie krótszym czasie. W dodatku jego umysł wciąż błądził wokół innych spraw. Nie mógł przestać myśleć o Lynn, o Carlu i, co dziwne, o Ashanti Davis.

Michael spojrzał po twarzach towarzyszy niedoli: najwyraźniej wszyscy cierpieli podobnie jak on. Ci, którzy jeszcze nie zasnęli, mieli szkliste oczy, sugerujące aż nadto dosadnie, że w ich mózgach działa

już tylko garstka neuronów.

- Pieprzyć to - mruknął do siebie. - Zrywam się!

Korzystając z chwili półmroku, gdy przygaszono światła, by obrazy z komputerowego rzutnika były lepiej widoczne, poderwał się nagle i wyszedł z sali. Choć trwało to tylko chwilę, bo świadomie wybrał jeden z ostatnich rzędów w pobliżu drzwi, i tak ryzykował, że zostanie zauważony. Trudno mu było pozostać anonimowym w sytuacji, gdy odsetek czarnych lekarzy był tak niski i stale spadał.

Klinika działała na pełnych obrotach i na korytarzach wszystkie krzesła były zajęte przez pacjentów. Niektórzy z nich z nadzieją unieśli głowy, widząc biały fartuch Michaela. Żaden z nich nie miał pojęcia, że czekają tak długo głównie z powodu trwającego jeszcze wykładu. Większość białych pacjentów odwróciła wzrok. Podobne zachowanie ze strony lekarzy, wśród których prawie nie było Murzynów, był jednym z głównych powodów, dla których na pierwszym roku Michael czuł się co najmniej nieswojo, ucząc się kontaktu z pacjentami. Teraz nie zwracał już na to uwagi. Słusznie zakładał, że to ich problem, nie jego.

Kolor jego skóry zbijał z tropu pacjentów, którzy widzieli go po raz pierwszy, ale Michael nauczył się przewyżczać ich opory i generalnie miał dobry kontakt z chorymi, bez względu na ich rasę. Bywało zresztą i tak, że to biali szybciej się przyzwyczajali. Tymczasem niektórzy z jego pobratymców zakładali, że Michael to typowy „Oreo” - tak w murzyńskim slangu nazywano osoby zbyttno zasymilowane, „czarne na zewnątrz, a białe w środku”. Mylili się jednak, bowiem on był świadom swoich korzeni, identyfikował się w pełni ze społecznością czarnych i zamierzał służyć jej w bardzo konkretny sposób: sprowadzając harwardzki poziom wiedzy do Beaufort w Karolinie Południowej.

Michael opuścił klinikę tym samym wyjściem, którego wcześniej użyła Lynn, z zamiarem powrotu do akademika i odszukania zdjęcia karty Ashanti Davis. Co więcej, podobnie jak ona zatrzymał się na ścieżce - niemal w tym samym miejscu - żeby z tych samych powodów popatrzeć na gmach Instytutu Shapiro. Zastanawiał się, czy Ashanti Davis jeszcze tam jest, utrzymywana przez życie dzięki czarom współczesnej medycyny. Niepokoiła go myśl, że i Carl może tu wkrótce trafić - byłby to poważny cios dla Lynn.

Michael był doskonale wiedział, że pacjent w stanie wegetatywnym może - przynajmniej teoretycznie - żyć przez dowolnie długi czas. Znał przypadek osoby, którą udało się utrzymać w taki sposób przy życiu przez trzydzieści siedem lat. Nie wymagało to zresztą

szczególnie skomplikowanych zabiegów; wystarczyło starannie wyregulowane środowisko wewnętrzne, to jest odpowiednie nawadnianie i odżywianie chorego, utrzymywanie właściwego stężenia elektrolitów oraz dbanie o skórę. Gdy w grę wchodziła opieka długoterminowa, najbardziej praktycznym rozwiązaniem była PEG, przeszćkorna gastrostomia endoskopowa, czyli zabieg pozwalający na umieszczenie sondy bezpośrednio w żołądku pacjenta, przez którą można podawać pokarmy.

Naturalnie istniały i inne wymagania, dotyczące choćby właściwej ochrony chorego przed drobnoustrojami - bakteriami, grzybami i wirusami - z którymi organizm o osłabionej odporności nie mógł sobie poradzić samodzielnie. Niekiedy niezbędne było podawanie odpowiedniej mieszanki leków przeciwbakteryjnych i przeciwwirusowych, ale najskuteczniejszą ochroną była profilaktyka: ochrona pacjentów przed kontaktem z drobnoustrojami. I właśnie dlatego na wizyty w Instytucie pozwalano jedynie najbliższym krewnym, a i one nie były zbyt mile widziane - wszystko, rzecz jasna, w imię wspólnego dobra chorych. I nawet ci, którym udało się przyjść w odwiedziny, widywali swych nieprzytomnych bliskich jedynie przez szybę.

Z zajęć na oddziale intensywnej terapii podczas fakultetu z chirurgii na trzecim roku Michael pamiętał, że na nieprzytomnych pacjentów, których trzeba otaczać długoterminową opieką, cychają dwa najpoważniejsze zagrożenia: zapalenie płuc oraz zwykłe odleżyny. Przeciwdziałanie zaś polega na pilnowaniu, by chorzy nie spędzali zbyt dużo czasu w jednej pozycji, co sprzyja zakażeniom. Im częstsze zmiany pozycji ciała, tym lepiej i dlatego w większości ośrodków tego typu opiekę uważano za wyjątkowo pracochłonną - ale nie w Instytucie Shapiro. Podczas swej jedynej wizyty w tym przybytku, na drugim roku studiów, Michael dowiedział się, że sekretem tej placówki są komputeryzacja i automatyzacja. Nie był tylko pewny, co to tak naprawdę oznacza, ponieważ nikomu z grupy nie pozwolono nawet zobaczyć pacjentów. Wizytę ograniczono do wykładu i krótkiego spaceru po pokojach dla odwiedzających, gdzie do celów demonstracyjnych użyto manekina.

Wspominając Ashanti, Michael chcąc nie chcąc pomyślał o tym, że mimo podobnych przeciwności losu sam zdołał jednak osiągnąć sukces. Oto kończył studia medyczne i przymierzał się do rezydentury w szpitalu powiązonym z prestiżową uczelnią należąca do Ivy League, podczas gdy jego koledzy z dzieciństwa w większości albo byli mar-twi, albo siedzieli w więzieniach, albo wiedli marną egzystencję bez

widoków na świetlaną przyszłość - prawie jak Ashanti. Mniej więcej tydzień wcześniej, szukając odprężenia po nerwowym okresie dopasowywania rezydentur, zasiadł w swym pokoju przed komputerem i niemal do upadłego surfował po sieci, szukając na portalach społecznościowych tropów swych dawnych znajomych. Szybko się przekonał, że to nader przygnębiające zajęcie. I wtedy zaczął zadawać sobie pytanie: jak to możliwe, że tak mu się poszczęściło?

Doszedł do wniosku, że to przede wszystkim zasługa matki, która nieustannie przypominała mu, jak wielkie znaczenie ma wykształcenie. Z drugiej jednak strony sobie zawdzięczał coś równie ważnego: to, że nie padł ofiarą kultury, w której od dziecka był zanurzony. Sprawy mogły przecież ułożyć się zupełnie inaczej - niewiele brakowało, a osobiście wzbogaciłby statystyki morderstw w Beaufort. Jako cherlawy nastolatek przez jakiś czas handlował narkotykami, bo w ten sposób najłatwiej było podreperować budżet rodziny. Jego pozycję „na czele stada” umocnił fakt, że dobrze radził sobie w sporcie. Niestety przewodzenie grupie rówieśniczej oznaczało także kłopoty, a chronienie własnego honoru wymagało szybkiego reagowania na zagrożenia. Z początku wystarczało użycie pięści, ale od ósmej klasy musiał nosić przy sobie broń.

I właśnie to - mieszanka rozbuchanych emocji i pistoletów - sprawiło, że Michael przejrzał. Miał dość rozumu, by zrozumieć, że wymiana ognia to rozwiązanie, które nikomu nie przynosi pożytku. Pojął to szczególnie dobitnie po tym, jak jego kuzyn został zastrzelony przez rzekomego przyjaciela i kolegę z boiska, który miał nieszczęście zadurzyć się w zmiennej Ashanti. Od tamtej chwili Michael nie chciał mieć do czynienia z narkotykami, gangsterami na dorobku, pistoletami i melinami. Szalone życie przestało go pociągać. Zaczął unikać sytuacji, które mogłyby zakończyć się brutalną konfrontacją. Nie interesował się dziewczynami, które spotykały się z członkami gangów. Przestał nawet pyskować przeciwnikom na koszykarskim boisku i przechwalać się jakimikolwiek osiągnięciami. Michael ocknął się wreszcie z transu wspomnień i stwierdził ze zdziwieniem, że leży na jednej z parkowych ławek stojących wokół czworobocznego trawnika i wpatruje się w gmach Instytutu Shapiro. Przyszło mu do głowy, że właściwie nie wie, czy to zaklęcia matki, czyjego wrodzona ambicja sprawiła, że nie zginął albo nie zabił kogoś za wyimaginowane zniewagi. Nie znalazł odpowiedzi, ale czuł, że jego życie mogło potoczyć się zgoła inaczej. Tak czy owak, Michael uważał się za szczęściarza.

Rozdział 10

Poniedziałek, 6 kwietnia, 14.20

Lynn przyhamowała i skręciła na ceglany podjazd biegnący obok domu Carla aż do dawnej wozowni w głębi ogrodu. Nie dotarła tu bezpośrednio z kampusu, jak planowała. Jadąc rowerem na południe, zaczęła się zastanawiać, czy wizyta w domu Carla nie będzie aby czymś niestosownym. Dlatego najpierw wybrała się na East Battery Street i jakiś czas przesiedziała na umocnionym brzegu zatoki, próbując zapanować nad gonitwą myśli i chaosem uczuć. Siedząc na murze, dostrzegła w oddali Fort Sumter, położony na wschodnim krańcu wyspy James. Lubiła to miejsce; często przychodziła tu z Carlem. Żaden inny zakątek miasta nie budził w niej tak przyjemnych skojarzeń.

Wcześniej, gdy jechała rowerem, w pewnej chwili przyszła jej do głowy szokująca myśl. Przez pewien czas próbowała o niej zapomnieć, ale bez powodzenia. Nieproszona powracała uparcie i dręczyła ją, domagając się uwagi niczym mentalny odpowiednik bólu zęba. Gdyby Carl miał spędzić resztę życia tak, jak się obawiała, zamknięty w Instytucie Shapiro, główna przyczyna, dla której Lynn postanowiła poskromić swą ambicję i poprzestać na rezydenturze w Centrum Medycznym Mason-Dixon, zwyczajnie traciła sens. A nawet gdyby nie trafił do Instytutu, tylko wymagał całodobowej opieki - czy aby na pewno była stworzona do takiej roli? Do diabła, myślała, przecież nie byliśmy nawet zaręczeni. Kto wie, co było nam pisane? Przypomniała sobie, że za każdym razem, gdy próbowała rozmawiać z nim o przyszłości, Carl konsekwentnie zmieniał temat, a to sprawiało, że planowanie rezydentury było dla niej nadzwyczaj trudnym zadaniem.

Były to myśli głęboko niepokojące. Skłaniały ją do zastanawiania się, czy jest osobą samolubną i podłą z natury, skoro w ogóle ma takie pomysły, i to ledwie kilka godzin po nieszczęsnej operacji. W końcu jednak, gdy tak siedziała w głębokim spokoju nadbrzeżnej części East Battery, w miejscu jednoznacznie kojarzącym się jej z Carlem, doszła

do wniosku, że byłoby dobrze, gdyby pozostała wśród przedmiotów, które po części definiowały Carla jako osobę - aż do tego ranka. Pomyślała też, że z emocjonalnego punktu widzenia byłoby jej znacznie gorzej, gdyby teraz powróciła do akademika, w pełni świadoma, że jej mężczyzna leży w stanie śpiączki tak blisko niej, a jego mózg częściowo obumarł być może z jej winy. Gdyby Carl wybrał szpital Ropera, zapewne teraz oglądałby telewizję i zamęczał pielęgniarki pytaniem o to, kiedy zostanie wypisany.

Lynn trzymała klucze do garażu i domu na wspólnym kółku, wraz z kluczem do pokoju w akademiku. Zostawiła rower w garażu, tuż obok czerwonego jeopa cherokee, po czym ruszyła w stronę domu.

Obsługa prawna handlu nieruchomościami była głównym i ulubionym zajęciem Carla, a rynek w Charlestonie przeżywał istny boom. Poddano renowacji sporo osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych domów, a te, które jeszcze czekały na odnowienie, stały się poszukiwanym towarem. Carl przyłożył rękę do wielu transakcji, a doskonała znajomość lokalnego rynku i osobista znajomość z wieloma właścicielami nieruchomości sprawiły, że kupując dom dla siebie, mógł wykorzystać nadzwyczajną okazję. Church Street, przy której stał budynek, była wyjątkowo urokliwą uliczką. Był to tak zwany dom pojedynczy. Jako że dawniej podatek od nieruchomości w Charlestonie uzależniony był od długości odcinka ulicy, który zajmowała dana posesja, sprytni mieszkańcy wznosili domy na szerokość jednego pokoju, za to sięgające daleko w głąb działki. Wzdłuż jednej ze ścian domu Carla, na obu kondygnacjach, ciągnęły się długie werandy zwane piazza. Zanim wynaleziono klimatyzację, lokatorzy spędzali na świeżym powietrzu tyle samo czasu, ile w budynkach - lata w Charlestonie bywały bowiem długie i duszne.

Dom Carla był wyjątkowo cenny z dwóch powodów. Po pierwsze, choć wymagał renowacji, z biegiem lat nie zatracił detali z epoki, za to jego infrastruktura była sukcesywnie modernizowana. Po drugie, jego pierwotni właściciele zakupili sąsiednią działkę i zamienili ją w okazały ogród z sadzawką porośniętą liliami wodnymi, altaną, rozłożystymi drzewami i kolekcją palm. Mimo iż od niemal półwiecza nikt nie dbał o roślinność, ogród takiej wielkości był niezwykle cenny i Carl zamierzał to wykorzystać.

Obszedłszy dom dookoła, Lynn otworzyła to, co na pierwszy rzut oka wyglądało na typowe drzwi frontowe - tyle że jedynym miejscem, którego strzegły owe drzwi, była otwarta weranda, na którą równie łatwo można się było dostać, przeskakując przez balustradę. Osobliwość ta była cechą wielu charlestońskich domów. Lynn pomaszero-

wała werandą mniej więcej do połowy długości domu i tam dopiero stanęła przed głównym wejściem, ulokowanym w bocznej ścianie budynku. Po lewej miała zarośnięty, cienisty ogród; kakofonia głosów przywodziła na myśl ptaszarnię i w istocie było to zaciszne schronienie dla niemałej części skrzydlatych mieszkańców tej dzielnicy.

Lynn weszła do środka, zamknęła drzwi i przystanęła na chwilę, nasłuchując głębokiej ciszy i oddychając znajomym aromatem. W przeciwieństwie do niej, Carl był pedantycznym gospodarzem i sprzątał dom dwa razy w tygodniu. Wysokie drzewa rosnące dokoła rzucały mnóstwo cienia, co było błogosławieństwem w upalnych miesiącach, ale ceną chłodu był półmrok. Lynn musiała chwilę odczekać, zanim jej oczy przywykły do cienia. Z wolna z mroku wychynęły szczegóły schludnego, wysoko wysklepionego wnętrza. I w tym momencie Lynn podskoczyła, a z jej piersi wyrwał się cichy okrzyk. Coś otarło się o jej nogę.

- O mój Boże - jęknęła. Lekko zawstydzona własną reakcją, schyliła się, żeby pogłaskać Pep i przeprosić kotkę za to, że tak ją nastraszyła. - Zapomniałam o tobie - dodała po chwili. Pep napała łebkiem na jej dłoń, domagając się pieśczoł. - Pewnie czujesz się samotna. Niestety obawiam się, że tę noc spędzimy tylko we dwie.

Lynn podeszła do kuchni, żeby się upewnić, czy w miseczkach jest dostatecznie dużo suchej karmy i wody dla kota. Miseczki były prawie pełne, a na blacie leżała notatka adresowana do Franka Giordana, zawierająca instrukcję karmienia. Lynn zanotowała w pamięci, że trzeba będzie zadzwonić do Franka i zawiadomić go, że ma już spokój, jeśli chodzi o karmienie zwierzaka. Wiedziała, że to konieczne, ale nie miała na to wielkiej ochoty: spodziewała się niezliczonych pytań, na które nie będzie umiała odpowiedzieć.

Upewniwszy się, że kotce niczego nie brakuje, Lynn wróciła do głównego holu, by następnie wspiąć się schodami na piętro. Z trwogą myślała o tym, że za chwilę wejdzie do sypialni.

Przekraczając próg, spostrzegła z uznaniem, że Carl znalazł czas, by zaścielić łóżko. Cały on, pomyślała. Właśnie ta jedna różnica charakterów trochę ją martwiła w kontekście wspólnego życia: czy nie zmęczy jej kiedyś ten pedantyzm Carla? A może on będzie miał dość jej luzu? Owszem, potrafiła pracować nad sobą i skupiać się na pracy, ale te codzienne drobiazgi, takie jak ścielenie łóżka, składanie i wieszanie ręcznika kąpielowego czy wnoszenie brudnych ubrań - zwyczajnie nie były jej specjalnością.

Na biurku stało jej zdjęcie - Carl wykonał je w ten sam weekend, kiedy ona sfotografowała go z drinkiem w Folly Beach. Byli wtedy

tacy szczęśliwi. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś poczuje się podobnie. Podobnie jak uczyniła to w swoim pokoju w akademiku, odwróciła zdjęcie. Spoglądając na nie, czuła jedynie ból; nie chciała poczuć go ponownie, gdy wróci tu wieczorem. Zamierzała spać w sypialni Carla, żeby czuć jego bliskość i spróbować przekonać samą siebie, że nie jest tak samolubna, jak jej się chwilami zdawało.

Wyszła na korytarz i zajrzała do jednego z mniejszych pokoi, w którym Carl urządził sobie gabinet. Dom był wysoki - piętro wyżej znajdowały się jeszcze trzy sypialnie, a na zaadaptowanym strychu kolejne dwie. Ta, którą Carl zamienił na pokój do pracy, podobnie jak większość pokoi miała własne drzwi na werandę. Już na pierwszy rzut oka było widać, że to pokój mężczyzny. Ściany pokryte były ciemnym mahoniem. Regały z książkami sięgały od podłogi do sufitu; tylko jedną z półek zajmowały sportowe trofea, które zdobył Carl, począwszy od wczesnoszkolnych medali Małej Ligi Futbolowej i Baseballowej.

Lynn usiadła przy eleganckim, drogim biurku Carla i włączyła komputer, a potem wyjęła z plecaka telefon komórkowy, notatnik oraz ołówek. Czas ładowania systemu operacyjnego wykorzystwała, by przejrzeć kontakty w telefonie. Znalazłszy Giordana, wybrała jego służbowy numer. Dość dobrze znała siebie i swoją tendencję do odkładania przykrych obowiązków na później, dlatego wolała mieć tę sprawę za sobą i skupić się na medycznych aspektach sytuacji Carla.

Telefon odebrała sekretarka. Lynn przedstawiła się, zaznaczając, że chodzi o prywatną sprawę. Chwilę później w słuchawce rozległ się głos Franka.

- Co słysząc? - zapytał. Lynn wyczuła, że jest zaniepokojony. Wiedziała, że to on zawiózł rankiem Carla do szpitala.

- Obawiam się, że doszło do powikłań... - zaczęła.

- Nie gadaj! - wpadł jej w słowo Frank. - Carl przepowiedział, że coś pójdzie nie tak. Ale co się stało?

- Były problemy anestezyjologiczne - odpowiedziała. - Podczas operacji spadło stężenie tlenu i Carl się nie obudził. Jest w śpiączce.

- O kurwa! - wyrwało się Frankowi. - Co teraz będzie?

- Rozmawiałam chwilę z rezydentem z oddziału neurologii, który zajmuje się jego przypadkiem. Jest przekonany, że doszło do uszkodzenia mózgu. Dziś po południu zrobią rezonans magnetyczny.

- Jasna dupa.

- Przykro mi, że przynoszę takie wieści - ciągnęła Lynn. - Nic więcej nie umiem ci powiedzieć; sama niewiele wiem. Może jutro czegoś jeszcze się dowiem. Dam ci znać.

- Koniecznie! Jezu Chryste, czy jego rodzice już wiedzą? - Frank przyjaźnił się z Carlem od podstawówki, razem chodzili do ogólniaka i dobrze znał jego rodziców.

- Wiedzą.

- O Boże! Pewnie jesteś zdruzgotana. Tak mi przykro, Lynn. Jak sobie radzisz?

- Jestem w proszku - wyznała Lynn. - Co gorsza, czuję się odpowiedzialna za to, co się stało. W końcu to ja poleciłam mu tego chirurga. - O tym, że zadręcza się myślami o własnym egoizmie, wolała nie wspominać.

- Gówno prawda! - odparł bez wahania Frank, podobnie jak wcześniej Michael. - To nie twoja wina. Absolutnie nie! Równie dobrze mógłbym twierdzić, że moja, bo to ja zawiozłem go do szpitala. Brednie! Daj sobie spokój, Lynn.

- Spróbuję, ale przytłacza mnie to wszystko. Problem polega na tym, że nie do końca panuję nad własnymi uczuciami.

- Gdzie jesteś? - spytał Frank.

- W domu Carla. A właśnie: nie musisz się martwić o Pep. Zadbam o nią.

- Chcesz, żebym po ciebie przyjechał? Może chcesz zanoćować u nas? Naomi na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. - Frank mieszkał w podobnym domu, całkiem niedaleko. - Pomieszkasz z nami, ile tylko zechcesz. Miejsca nam nie brakuje.

- Dziękuję za propozycję, ale wolę zostać tutaj.

- Pewna jesteś?

- Na tyle pewna, na ile mogę być w takiej chwili. Jakoś sobie poradzę. Zadzwoń do ciebie, jeśli będę chciała pogadać. A tymczasem spróbuję dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co spotkało Carla.

- Masz numer mojej komórki. Dzwoni, kiedy tylko zechcesz. O dowolnej porze, słyszysz? I jeśli nie masz nic przeciwko temu, to ja się do ciebie odezwę jeszcze dziś wieczorem.

- Nie mam.

- Dobra, w takim razie do usłyszenia. Bardzo ci współczuję.

- Dziękuję - odrzekła Lynn, po czym zakończyła połączenie.

Spojrzawszy na monitor, upewniła się najpierw, czy ma połączenie z Internetem, po czym uruchomiła Google Chrome. Zanim jednak zdążyła wpisać coś do wyszukiwarki, znowu podskoczyła ze strachu, widząc nagły ruch po lewej. Odsunięte gwałtownie krzesło z hukiem zderzyło się z regałem na książki; kilka z nich, stojących pionowo, okładkami na zewnątrz, pofrunęło na podłogę. Kotka, która zapoczątkowała tę reakcję łańcuchową, miauknęła przeraźliwie i

pędem opuściła gabinet.

- Psiakrew - jęknęła Lynn, przyciskając do piersi otwartą dłoń. Serce waliło jej jak oszalałe. Już po raz drugi przeraził ją niewinny zwierzak, tym razem próbując wskoczyć na biurko. Gwałtowność reakcji pozwoliła jej zrozumieć, jak bardzo jest zestresowana. Pochyliła się, by zebrać z podłogi rozsypane tomy i ustawić je na półce, a potem przyciągnęła krzesło z powrotem i usiadła przy biurku.

Przez kilka chwil zbierała siły, by skupić się znowu na pracy. Interesowały ją głównie trzy zagadnienia. Pierwszym była częstotliwość występowania powikłań anestezyjologicznych. Drugim - anestezyjologia jako taka (Lynn miała nadzieję, że jeśli dowie się więcej o tym dziale medycyny, będzie w stanie lepiej zrozumieć dane z karty Carla). Przede wszystkim zależało jej na informacjach na temat niedotlenienia mózgu i możliwych przyczyn, bo wiele wskazywało na to, że właśnie niedotlenienie było przyczyną problemów Carla. Trzecim interesującym ją zagadnieniem była skala Glasgow.

Po paru minutach Pep wróciła do gabinetu. Tym razem, gdy wskoczyła na biurko i ułożyła się wygodnie na białej, Lynn nawet jej nie zauważyła. W skupieniu czytała artykuł o powikłaniach pooperacyjnych. Powódź danych statystycznych wprowadziła ją w zdumienie, a nawet sprawiła, że Lynn poczuła coś na kształt wstydu za wszystkich przedstawicieli profesji, do której tak bardzo chciała dołączyć. Była świadoma, że powikłania stanowią problem w niektórych szpitalach, ale nie przypuszczała, że jest to problem aż tak poważny. Zastanawiała się, dlaczego nie zorganizowano na uczelni ani jednego wykładu na ten temat, dlaczego nikt o tym nie mówi. Im dłużej czytała, w tym głębszym była szoku.

Notowała zawzięcie, aż wreszcie pomyliła się i musiała poszukać gumki. Zakładając, że to najważniejsze miejsce, otworzyła szufladę biurka. I rzeczywiście, znalazła tam nawet kilka gumek, ale gdy sięgnęła po jedną z nich, jej uwagę przykuło coś innego: niewielkie, charakterystycznie błękitne pudełko od Tiffany'ego.

Zamarła. Po krótkim wahaniu sięgnęła po nie drżącą ręką. Zsunęła białą kokardę i uniosła wieczko. W środku, jak się domyślała, znajdowało się kolejne, tym razem czarne pudełeczko pokryte aksamitem, a w nim - pierścionek zaręczynowy z brylantem. Lynn zamknęła je z trzaskiem, obwiązała błękitne puzderko kokardą i schowała na powrót do szuflady.

Przez chwilę patrzyła nieruchomo w dal. Teraz była już pewna, że Carl chciał ją poprosić o rękę i że być może już nigdy tego nie zrobi. Targały nią sprzeczne uczucia: niepowstrzymany smutek i paraliżu-

jący gniew, ale żadnemu z nich nie pozwoliła zwyciężyć. Stłumiła je w sobie i zamknawszy szufladę, powróciła do pracy. Czuła w sobie nową siłę: musiała za wszelką cenę ustalić, co się stało z Carlem i kto ponosi za to odpowiedzialność. Wolała to niż rozmyślanie o straconych szansach albo o niepokojącej kwestii wolności.

Rozdział 11

Poniedziałek, 6 kwietnia, 14.53

Michael siedział na ławce przez prawie pół godziny i przyglądając się gmachowi Instytutu Shapiro, zmagał się z balastem swego trudnego dzieciństwa: ze wspomnieniami obudzonymi myślą o Ashanti Davis. Nie mógł pojąć, jakim był szczęściarzem, w porę uciekając przed beznadziejnym życiem w biedzie i tym, co było jej najtragiczniejszym skutkiem: autodestrukcyjnymi zachowaniami, w które swego czasu był uwikłany tak jak większość jego rówieśników.

Nagle wyprostował się i zeszywniał. W drzwiach Instytutu, na które właśnie patrzył, stanął jakiś mężczyzna. Był to rzadki widok, i to z dwóch powodów: po pierwsze, o tej porze rzadko kiedy ktoś opuszczał budynek, a po drugie, nieznajomy był całkiem sam i nie miał na sobie charakterystycznego, białego kombinezonu, w których zwykle widywano pracowników Instytutu. Mało tego, wystroił się w efektowną marynarkę z czarnej skóry i drogie markowe dzinsy.

Zaskoczony własną spontanicznością Michael zawołał:

- Halo, proszę pana! Proszę zaczekać!

Przyciskając dłonie do kieszeni fartucha, żeby nie pogubić długopisów i całej reszty studenckiego ekwipunku - w tym tabletu - Michael puścił się biegiem w stronę mężczyzny, który szybkim krokiem szedł ścieżką wzdłuż ściany budynku, kierując się zapewne ku nieodległemu parkingowi po drugiej stronie.

- Przepraszam! - powtórzył Michael, doganiając go. - Czy możemy chwilę porozmawiać?

Nieznajomy zatrzymał się, mierząc go wzrokiem. Trudno było dostrzec jego oczy ukryte za okularami przeciwsłonecznymi. Był białym, masywnym mężczyzną o grubo ciosanej twarzy i wątłych, ciemnych włosach. Nosił kozią bródkę, podobną do tej, którą swego czasu zamierzał zapuścić Michael. Kabelki dousznych słuchawek ginęły gdzieś w wewnętrznej kieszeni jego marynarki. W prawej ręce mężczyzna niósł laptop, a w lewej aktówkę z miękkiej skóry.

- Widziałem, że wyszedł pan z Instytutu Shapiro - dodał Michael, cokolwiek zdyszany. - Jestem studentem czwartego roku medycyny, nazywam się Michael Lamar Pender. Zawsze fascynowało mnie to miejsce.

Mężczyzna wyjął z ucha jedną ze słuchawek; popłynęły z niej głośne tony jazzowej muzyki. Przekrzywił głowę, marszcząc brwi. Michael powtórzył swoją kwestię. Miał nadzieję, że chwila przyjacielskiej rozmowy wystarczy, że być może dzięki niej zyska źródło informacji, ale się przeliczył. Mężczyzna nie tylko nie odpowiedział, ale w dalszym ciągu patrzył na niego spod zmarszczonych brwi.

- Nasza grupa odwiedziła Instytut w ramach zajęć na drugim roku. Dowiedzieliśmy się co nieco o tym, jak działa, ale... - Michael urwał, licząc na jakąś odpowiedź, ale nie doczekał się jej. - Pracuje pan w Instytucie? - dodał zdesperowany.

- Nie - odpowiedział wreszcie nieznajomy.

- Był pan tylko z wizytą? - indagował Michael. - Ma pan krewnego, który jest pacjentem Instytutu?

- Nie rozumiem pytanie - odparł mężczyzna. Mówił z twardym akcentem. - Jestem programista. Rozwiązuje problem.

- Super - ucieszył się Michael, całkiem szczerze zresztą. W chwili, gdy rozpoznał rosyjski akcent, jego zainteresowanie jegomościem w skórzaney marynarce jeszcze wzrosło. Centrum Medyczne Mason-Dixon od lat zatrudniało Rosjan w Dziale Inżynierii Klinicznej, do którego należał dział IT. Michael kilkakrotnie miał okazję rozmawiać z nimi i przekonał się, że są w większości przyjacielscy i bardzo kompetentni.

Korzystając na co dzień z potężnych serwerów, na których dyskach przechowywane były między innymi wszystkie elektroniczne karty pacjentów, a także z innego skomputeryzowanego sprzętu, szpital potrzebował zespołu wybitnych fachowców. Michael wiedział skądinąd, że talent do komputerów jest niejako wrodzoną cechą Rosjan - w swoim czasie zyskali nawet sławę (lub niesławę) po tym, jak dokonali nielegalnych operacji, włamawszy się na serwery Wall Street. Niektórzy z owych specjalistów trafili wkrótce potem do szpitalnego zespołu informatyków.

- Pracujesz w naszym szpitalu? - spytał Michael, starając się mówić wolno i głośno. Jednocześnie wyciągnął rękę w stronę ośmiopiętrowej wieży szpitala, którą miał za plecami.

- Nie - odpowiedział zwięźle Rosjanin.

- Super - powtórzył Michael, kiwając głową, jakby się z czymś

zgadzał. Nagle uświadomił sobie, że jego rozmówca nie zna angielskiego nawet w przybliżeniu tak dobrze jak jego rodacy, z którymi miał kontakt w szpitalu. To jednak nie zniechęciło go do kontynuowania pogawędki. Nie mógł teraz odpuścić - za bardzo chciał poznać los Ashanti. Przyszło mu do głowy, że może będzie miał szczęście i okaże się administratorem systemu komputerowego Shapiro.

- Komputer naprawiony? - spytał, żeby podtrzymać konwersację. Jeśli gość ma dostęp do systemu i okazałby się skłonny do współpracy, mógłby być bezcennym sprzymierzeńcem. Michael wiedział, że osoby, które mają dostęp do systemu komputerowego szpitala, nie mają dostępu do sieci Instytutu Shapiro. Wiedział, bo próbował do niej wejść trzy miesiące wcześniej, szukając informacji na temat tego, co spotkało Ashanti.

- Komputer nienaprawiony - odparł mężczyzna. - Ale działa.

- Super - powtórzył znowu Michael, usilnie myśląc nad tym, w jaki sposób przeciągnąć go na swoją stronę. Ciężar nadziei dawało mu jedynie to, co zauważył, obracając się wśród jego rodaków w szpitalu: Rosjanie generalnie podziwiali czarnych i ich kulturę. Prawdopodobnie wynikało to z mieszanych uczuć, którymi darzyli Amerykę: ich sentymenty kształtowała zasada „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. Dla nikogo w Rosji nie było tajemnicą, że dawniej, delikatnie mówiąc, obywatele pochodzenia afrykańskiego nie mieli w Ameryce łatwego życia.

- Poznałem kilku Rosjan w szpitalu - ciągnął Michael, wolno i głośno. - Dla kogo pracujesz?

Mężczyzna rozejrzał się ukradkiem, jakby się obawiał, że ktoś może podsłuchiwać. Michael uznał to za zachęający znak; spodziewał się, że za chwilę powierzony mu zostanie jakiś sekret. Rosjanin jednak znowu go zaskoczył. Zamiast odpowiedzieć, położył na ziemi teczkę i laptop, by sięgnąć po smartfon. Uruchomił aplikację i zaczął pisać, a gdy skończył, skierował wyświetlacz w stronę Michaela. W górnej części ekranu widać było zdanie napisane cyrylicą, poniżej zaś tłumaczenie: *Pracuję dla Sidereal Pharmaceuticals w North Charleston.*

Michael kiwnął głową. Tak, to miało sens: wszyscy wiedzieli, że Middleton Healthcare i Sidereal Pharmaceuticals, od dawna współpracują. Sidereal sfinansował większą część budowy Instytutu Shapiro, ale mówiło się i o tym, że koncern ten, o wyjątkowo głębokich kieszeniach, stara się przejąć pakiet kontrolny udziałów w sieci szpitali.

Michael wziął do ręki telefon Rosjanina i szybko rozgryzł działa-

nie aplikacji. Zaczął pisać po angielsku, a system automatycznie przetłumaczył tekst na rosyjski i tak zaczęła się elektroniczna rozmowa:

Michael: *Nazywam się Michael Lamar Pender. Jestem studentem czwartego roku medycyny. Jak się pan nazywa i skąd pan przyjechał?*

Władimir: *Nazywam się Władimir Małakow. Pochodzę z Rosji, z Jekaterynburga w obwodzie swierdłowskim.*

Michael: *Od dawna jesteś w Stanach, Władimir?*

Władimir: *Od niedawna. Trzy miesiące temu przyleciałem do Nowego Jorku, a potem trafiłem tutaj.*

Michael: *Sprowadzili cię tu z konkretnego powodu?*

Władimir: *Jestem specjalistą od języka MUMPS, w którym napisano tutejsze oprogramowanie.*

Michael: *Pewnie niełatwo ci porozumieć się z ludźmi.*

Władimir: *Krucho z angielskim. Uczyłem się trochę w Rosji, ale niewielki z tego pożytek. Próbuję się doksztalczyć, ale to trudne.*

Michael: *Znasz może któregoś z Rosjan zatrudnionych w szpitalu?*

Władimir: *Tak. Z kilkoma studiowałem na tym samym uniwersytecie. I mieszkam u jednego z nich, co też nie jest łatwe. Mówi, że po całym dniu używania angielskiego ma dość i nie chce ze mną ćwiczyć.*

Michael: *Niedługo kończą studia, mam teraz trochę czasu. Może mógłbym cię poduczyć czarnomowy.*

Władimir: *Nie rozumiem. Co to czarnomowa?*

Michael: *To język moich czarnych braci i siostr. Ten, który słyszysz w ropowych kawałkach. Lubisz rap?*

Władimir: *Uwielbiam rap! Posłuchaj.*

Władimir uruchomił inną aplikację, wyjął z ucha drugą słuchawkę i podał obie Michaelowi, który natychmiast rozpoznał i artystę, i dzieło: to był Jay-Z, *Hard Knock Life*, świetnie mu znany kawałek.

Michael sięgnął po swój telefon, odnalazł ten sam utwór, włączył odtwarzanie i podał Władimirowi swoje słuchawki marki Beats. Rosjanin rozpromienił się w jednej chwili, miarowo kiwając głową do rytmu. Michael nie był zdziwiony. Wiedział, że jego słuchawki są nieporównywalnie lepszej jakości; kontrast musiał być uderzający.

Skinął dłonią w stronę telefonu Władimira i palcem w powietrzu udął, że pisze. W pierwszej chwili Rosjanin nie zrozumiał, ale zaskoczył, gdy Michael powiedział:

- Z angielskiego na rosyjski.

Michael: *W moich słuchawkach muzyka brzmi lepiej.*

Władimir skinął głową i uniósł kciuki, przyznając mu rację. Nadal kołysał się lekko w mocnym, perkusyjnym rytmie, uśmiechając się przy tym błogo. Michael był gotów wykorzystać jego zadowolenie.

Michael: *Przyjmij te słuchawki w prezencie. Witam w Stanach Zjednoczonych!*

Władimir: *Nie mogę ich przyjąć. Jesteś zbyt uprzejmy.*

Michael: *A właśnie, że musisz. Zrobisz mi przykrość, jeśli odmówisz, i będziemy mieli problem. W rapowym slangu powiedziałbym, że będzie pieprzona bitka, co oznacza, że być może będę musiał cię zastrzelić. Jak wiesz, w tym kraju każdy nosi spluwę.*

Michael obserwował Władimira czytającego tłumaczenie, zastanawiając się jednocześnie z pewnym niepokojem, w jaki sposób aplikacja poradzi sobie ze słowem „bitka”. Miał nadzieję, że nie zostanie przełożone jako „kotlet” albo „stek”, w czym nie byłoby krzty sensu. Z ulgą spostrzegł, że Rosjanin uśmiecha się szeroko. Chwilę później Władimir wpisał swoją wiadomość i podał telefon Michaelowi.

Władimir: *Przyjmuję prezent z radością, żeby uniknąć pieprzonego filetu wołowego, ale ty także musisz przyjąć dar. Mam trochę pamiątek z Rosji.*

Michael (gdy już przestał się śmiać): *Niech będzie pamiątka z Rosji. A co powiesz na selfie ze mną?*

Władimir: *Nie rozumiem, co to „selfie”.*

Michael najpierw napisał: *Fotka. My razem*, a potem szybko pstryknął sobie zdjęcie i pokazał Władimirowi. Pomyślał, że jeśli nie pokaże Rosjanina na fotografii, Lynn nie uwierzy, że naprawdę doszło do tego spotkania.

Władimir: *Zgoda, fotka, ale moim telefonem też.*

Michael otoczył Rosjanina ramieniem i pstryknął zdjęcie, odsuwając swój smartfon na odległość ręki. Władimir uczynił to samo, a wtedy Michael znowu wziął odeń telefon i wywołał aplikację tłumaczącą.

Michael: *Mam w komputerze całą kolekcję albumów Jaya-Z. Mogę się podzielić, jeśli jesteś zainteresowany.*

Władimir: *Nawet bardzo.*

Michael: *Jak mogę się z tobą skontaktować? Powiedzmy jutro albo pojutrze.*

Władimir: *Dam ci numer komórki i adres e-mail.*

Michael: *Doskonale. Ja dam ci swoje.*

Przez chwilę w skupieniu wpisywali dane do książek adresowych w swoich smartfonach. Michael zauważył, że dziesięć cyfr numeru Władimira poprzedza siódemka, kierunkowy Rosji. Zastanawiał się, ile też może kosztować wysłanie esemesa pod taki numer. Wprawdzie starał się zasilić swoje wątle przychody ze stypendium, mając się różnych zajęć w Centrum - na przykład w banku krwi - ale pod koniec miesiąca zawsze brakowało mu pieniędzy.

Gdy wreszcie wymienili się numerami telefonów i adresami poczty elektronicznej, Michael dał Władimirowi znak, że ma coś jeszcze do powiedzenia. Ponownie posłużył się aplikacją tłumaczącą.

Michael: *Miło było cię poznać. W czarnomowie żegnamy się, mówiąc „no to nara”.*

Władimir: *Jasne. No to nara! I dzięki za słuchawki.*

Uśmiechając się szeroko, Władimir z zapalem uściśnął dłoń Michaela. Gdy rozluźnił rękę, Michael zagiął jego palce w pięść i sam uczynił to samo. Zderzyli się knykciami.

- Tak robią czarni - wyjaśnił.

Władimir przećwiczył kilka razy nowy gest, kiwając głową i uśmiechając się.

- No to nara - powtórzył z twardym, rosyjskim akcentem.

- Spoko - mruknął Michael i parsknął śmiechem. Niezły z niego numer, pomyślał.

Rosjanin podniósł z ziemi teczkę, wcisnął pod pachę laptop i nalegał, by jeszcze raz powtórzyli „żółwika”. Uśmiechał się przy tym szeroko i widać było, że świetnie się bawi. W końcu pomachał Michaelowi, odwrócił się i ruszył w swoją stronę.

Michael zaczekał, aż Władimir oddali się o kilka metrów, po czym zawołał go po imieniu i podbiegł do niego.

Zatrzymawszy się, gestem pokazał, że chciałby jeszcze raz skorzystać z aplikacji tłumaczącej. Chwilę później napisał:

Michael: *Coś jeszcze przyszło mi do głowy. Mam daleką krewną, która parę miesięcy temu trafiła do Instytutu Shapiro. Nie mam o niej żadnych wieści, a obiecałam matce, że spróbuję się dowiedzieć, czy kuzynka nadal tam jest i czy dobrze ją traktują. Niestety, nie udało mi się. Czy mógłbyś, gdy będziesz znowu w Instytucie, sprawdzić w komputerze jej kartę?*

Mama się niepokoi.

Władimir: Musisz mi podać nazwisko.

Michael; Ashanti Davis.

Władimir: Możemy sprawdzić od razu, jeśli chcesz.

Michael: Byłbym bardzo wdzięczny. Nie należę do najbliższej rodziny, więc nie wolno mi jej odwiedzać. Ale w jaki sposób sprawdzimy?

Władimir: Wrócimy do Instytutu. To zajmie tylko chwilę.

Michael: Naprawdę mogę iść z tobą?

Władimir: Możesz, ale nie musisz. To naprawdę nie potrwa długo. Jeśli wolisz, zaczekaj tutaj.

Michael: Bardzo bym chciał pójść, ale nie spodziewałem się, że będę mógł.

Władimir: A kto ci zabroni? Do centrum operacji sieciowych Instytutu, rzadko kiedy ktoś zagląda, a w tej chwili nikogo tam nie ma. To dlatego, że pracę serwerów Instytutu można nadzorować także ze szpitalnego centrum. Pracuję tu od miesiąca i jeszcze nikogo nie spotkałem. Te drzwi, którymi przed chwilą wyszedłem, prowadzą prosto do centrum.

Michael: W takim razie idziemy!

Trzymając się pół kroku w tyle, Michael podążył za Władimirem w kierunku nieoznaczonych drzwi. Na prawo od ościeżnicy, na wysokości piersi, znajdowała się metalowa klapka na zawiasach. Rosjanin uniósł ją, odsłaniając czytnik. Przycisnął do niego kciuk i niemal natychmiast rozległo się kliknięcie: blokada została zwolniona. Władimir pchnął drzwi i skinął na towarzysza, by podążył za nim. Michael nie był pod wrażeniem. Zdawało mu się, że ultrafuturystyczny gmach Instytutu Shapiro wyposażony został w bardziej wymyślne zabezpieczenia, niż znany od dziesięciolecia banalny czytnik linii papilarnych.

Za drzwiami znajdował się przestronny hol o białych ścianach, oświetlony mocnymi żarówkami LED, ukrytymi za mlecznymi panelami sufitowymi. Idąc za Rosjaninem, Michael rozglądał się bacznie, szukając pod sufitem kamer. Dostrzegł tylko jedną podejrzaną kopułkę, pośrodku sufitu, mniej więcej sześć metrów od progu. Ciekawe było to, że nawet jeśli istotnie była to kamera, to Władimir wcale się tym nie przejmował, choć przecież jako komputerowiec musiał wiedzieć, jak działa tutejszy monitoring. Michael wrzucił ramionami. Skoro on się nie martwi, to i ja nie muszę, pomyślał. Może jeśli przez lata nikt nie próbował tu wtargnąć, to zwyczajnie odpuścili sobie

środki bezpieczeństwa.

Władimir otworzył pierwsze drzwi, do których doszli, i chwilę później obaj znaleźli się w dość małym pokoju z czterema terminalami komputerowymi, do których podpięto po kilka monitorów. Rozstawiono je na niewielkich biurkach, przed którymi stały cztery ergonomiczne, obrotowe krzesła. Podobnie jak w holu, i tu ściany pomalowano na biało, źródłem światła zaś były panele sufitowe. Ściana naprzeciwko drzwi była przeszklona, a za nią widać było rzędy szaf serwerowni. Pomieszczenie było klimatyzowane, i to na tyle skutecznie, że wchodziło się doń jak do przemysłowej chłodni.

Władimir bez wahania zasiadł przy jednej ze stacji roboczych. Michael przystanął tuż za nim, ale nawet jeśli Rosjanin miał coś przeciwko temu, to nie dał tego po sobie poznać. Podał szybko identyfikator użytkownika - był nim jego adres e-mailowy. Zanim zabrał się do wpisywania hasła, Michael zrobił pół kroku w bok, żeby móc obserwować klawiaturę. Hasło zaczynało się od siódemki. Przypatrywał się bacznie, bez najmniejszego problemu zapamiętując kolejne znaki - nie było to wielkie wyzwanie dla jego wyćwiczonej pamięci. Zanim jednak Władimir dotarł do szóstej cyfry, stało się jasne, że hasłem jest numer jego telefonu. Po jedenastej zaczęły się litery: pierwszą było małe „m”. Zaraz potem Michael uświadomił sobie, że i tu nie musi wysilać pamięci: Rosjanin wpisywał swoje nazwisko. To tyle, pomyślał, jeśli chodzi o profesjonalne zabezpieczenia.

- Dobra jest - mruknął Władimir, uruchamiając program z paska zadań. Gdy pojawiło się okno wyszukiwarki, wpisał „Ashanti Davis”, spoglądając na karteczkę, na której Michael na jego prośbę zanotował nazwisko krewnej. Sekundę później na ekranie pojawiła się strona Ashanti z nagłówkiem: Klaster 4-B 32. Poniżej widniał napis: DROZITUMAB +4 AKTYWNY.

- Nadal jest - stwierdził Rosjanin.

- Świetnie! - odpowiedział Michael, spoglądając na ekran. Przez moment zastanawiał się, co oznaczają hasła „Klaster 4-B 32” oraz „drozitumab +4 aktywny”, a potem postanowił przejść inicjatywę. Położył dłoń na myszce i skierował kursor na klawisz STAN ZDROWIA w pasku opcji. Z menu kontekstowego wybrał PARAMETRY ŻYCIOWE. Niemal natychmiast na ekranie pojawił się ruchomy wykres ukazujący w czasie rzeczywistym wskazania urządzeń monitorujących stan Ashanti: ciśnienie krwi, puls, częstotliwość oddechu, saturacja... Wszystkie parametry były w normie.

- Wygląda na to, że jeszcze jest wśród nas - powiedział Michael,

nie zdejmując dłoni z myszki. Szybko wybrał kolejną opcję z menu kontekstowego: POWIKŁANIA. Lista problemów wyświetliła się równie szybko, jak wcześniej wykres. Niektóre miały status „aktualne”, inne oznaczono jako „rozwiązane”. Jednych - takich jak BAKTERYJNE ZAPALENIE PŁUC/WYLECZONE czy ZAPALENIE PEŁCERZA MOCZOWEGO/WYLECZONE - nawet się spodziewał, ale sporym zaskoczeniem była inna złowieszcza diagnoza: SZPICZAK MNOGI. Wiedział, że to rodzaj poważnej choroby nowotworowej krwi, która dotyka znacznie częściej Murzynów niż białych, ale też znacznie częściej mężczyzn niż kobiet, u młodych ludzi zaś występuje niezmiernie rzadko.

Michael wyjął telefon i uniósł go na wysokość monitora, żeby zrobić zdjęcie.

- Chcę pokazać mamie, co się dzieje z Ashanti - wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Władimira.

Rosjanin skinął głową.

- Okej - powiedział, wzruszając ramionami.

Michael zrobił zdjęcie i sprawdził, czy jest dostatecznie ostre. Wyglądało, że jest. Bardzo chciał przyjrzeć się całej elektronicznej karcie pacjentki, ale wolał nie nadużywać uprzejmości swego nowego rosyjskiego kolegi - i tak zdołał dokonać czegoś, o czym pół godziny wcześniej nawet nie śnił.

- Idziemy? - spytał Władimir.

W odpowiedzi Michael uniósł dwa kciuki. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Lynn padnie, gdy jej powiem, pomyślał.

Rozdział 12

Poniedziałek, 6 kwietnia, 23.48

Zdaniem Darka Lebediewa pogoda była wręcz znakomita. Wiosenny dzień był wprawdzie słoneczny, za to wieczór przyniósł nagłą zmianę aury. Silny wiatr przywiął wilgotne, tropikalne powietrze z południa, które szybko zmieniło się w gęstą mgłę. Spoglądając przez przednią szybę niczym niewyróżniającego się vana marki Ford, Darko widział białawe wiry pary tańczące wokół drzew i krzewów otaczających cel: dom przy Bay View Drive 1440. Księżyc, jakże szczęśliwie, zniknął za chmurami. Trudno było o lepsze warunki do przeprowadzenia akcji.

Wczesnym wieczorem Darko i jego partner, Leonid Szubin, wybrali się do Summerville, odległego o trzydzieści dwa kilometry na północ od Charlestonu, by ukrąść furgonetkę, z której właśnie korzystali. Wóz był jednolicie granatowy, bez żadnych napisów - i właśnie dlatego go wybrali. Z Summerville udali się prosto do Mount Pleasant i kilkakrotnie przejechali obok domu, który był ich celem, uważnie go obserwując. Budynek stał na ostatniej posesji, na samym końcu ślepej uliczki. Tylko jedną drogą można było doń dojechać i właściwie był to jedyny, niezbyt poważny, potencjalny słaby punkt planu, który zamierzali zrealizować: planu napadu.

Ostatni przejazd wykonali przed półgodziną, a następnie zaparkowali przy krawężniku naprzeciwko sąsiedniego domu i wyłączyli silnik. Czekali na znak, że rodzina szykuje się do snu. Oczekiwanie nie trwało długo.

- Zgasło światło, zdaje się, że w jednej z sypialni - zameldował po rosyjsku Leonid.

Obaj dobrze znali angielski, jako że mieszkali w pobliżu Charlestonu od ponad pięciu lat, ale gdy byli sami, zdecydowanie woleli porozumiewać się w ojczystej mowie.

Znali się pod niemałą piętnastu lat, to jest od czasu wspólnej służby w rosyjskiej Specgrupie „B” Wega. Razem spędzili prawie dziesięć

lat w Czeczenii i razem dokonali tam kilkudziesięciu podobnych napadów. Uważali nawet, że to ich specjalność. Na północnym Kaukazie osoby podejrzane o działalność wywrotową - i ich rodziny - zwyczajnie likwidowano, nie przejmując się takimi drobiazgiami jak postępowanie sądowe. W taki sposób Rosjanie radzili sobie ze wszystkim, co arbitralnie uznali za terroryzm.

- Naprzód! - szczechnął po rosyjsku Darko.

Od niemal godziny gotowi do akcji błyskawicznie wyskoczyli z furgonetki. Mieli na sobie czarne kombinezony i czarne buty do biegania. Nieśli wszystko, co mogło im się przydać, włącznie z granatami ogłuszającymi i rosyjskimi pistoletami maszynowymi AF-1 z tłumikami. Wsiadając z wozu, natychmiast naciągnęli na twarze czarne kominiarki i włączyli gogle noktowizyjne. Z prawdziwą przyjemnością znowu zajmowali się tym, do czego ich tak świetnie wyszkolono. Odkąd przyjechali do Ameryki, czuli, że ich umiejętności zwyczajnie się marnują.

Darko, potężniej zbudowany, prowadził, gdy biegli podjazdem, mijając sedana marki Mercedes stojącego przed garażem i dalej, ścieżką do drzwi frontowych. Obaj byli w znakomitej formie fizycznej - codziennie ćwiczyli na siłowni i jeździli na rowerach albo biegali. Zgodnie z planem Darko stanął po prawej stronie od drzwi, a jego kolega po lewej. Wprawnymi ruchami Leonid założył mały ładunek materiału wybuchowego C4 w zakątku między skrzydłem drzwi a futryną, tuż przy gałce.

Odpalił ładunek, gdy Darko dał mu znak skinieniem głową. W wieczornej ciszy wybuch wydawał się tak głośny jak huk pękającego balonika urodzinowego. Sekundę później intruzi byli już w holu. Kluczowym zadaniem było teraz unieszkodliwienie dorosłych oraz wyłączenie alarmu - jeżeli był włączony. W Czeczenii takie zabezpieczenia były rzadkością, ale jednak się zdarzały. Zresztą i tu, gdyby system alarmowy wysłał automatyczny sygnał do centrali firmy ochroniarskiej, nie stanowiłoby to wielkiego problemu: mieliby mnóstwo czasu, zanim zjawiłby się patrol. Gdyby jednak alarmu nie było albo był wyłączony, mogliby bez pośpiechu dobrze się zabawić.

Przejeżdżali obok domu dostatecznie często, by mieć nie najgorsze pojęcie o rozkładzie pomieszczeń. Ostatnie pół godziny obserwacji utwierdziło ich w przekonaniu, że okno na piętrze, w którym nadal paliło się światło, należy do głównej sypialni. Dlatego też z pistoletami w dłoniach od razu wbiegli schodami na górę. Odkąd wysadzili zamek w drzwiach frontowych, nie odezwał się alarm, a to oznaczało, że są bezpieczni. Po paru sekundach byli już w sypialni gospodarzy.

Małżeńskie łóżko stało dokładnie naprzeciwko drzwi. Siedzieli na nim Kate i Robert Hurleyowie, zmartwiali z przerażenia. Spoglądali na intruzów szeroko otwartymi oczami.

Darko odnalazł na ścianie przycisk i włączył główne światło - nieduży kryształowy żyrandol.

Kate Hurley wstrzymała oddech, przyglądając się, jak Rosjanie zdejmują gogle noktowizyjne.

- Co to ma znaczyć? - wykrzyknął Robert Hurley. - Co tu się dzieje, do diabła?!

Darko nie odpowiedział, tylko skinął na Leonida, który natychmiast zniknął za drzwiami. Pracowali zgodnie z planem, nadszedł więc moment, by Leonid wykonał swoją część zadania: miał się zająć dziećmi. Zabójcy wiedzieli, że to dwaj chłopcy.

- Jak śmiesz!? - warknął Robert, starając się, by jego głos zabrzmiał władczo. Kate chwyciła go za ramię, chcąc go uciszyć, ale bez powodzenia. - Co, do ciężkiej cholery, robią antyterrorysty w moim domu?!

Darko nadal milczał. Spojrzał na konsolkę systemu alarmowego umieszczoną na ścianie, na prawo od drzwi. Alarm był wyłączony. Nie musieli się spieszyć.

Robert odrzucił kóldrę i zaczął wstawać z łóżka.

Darko wycelował w niego pistolet maszynowy.

- Siad! - rzucił z twardym, obcym akcentem.

- Kto was tu przysłał? - spytał gniewnie Robert, ale wykonał rozkaz. Jeszcze nigdy nie patrzył w lufę pistoletu i, delikatnie mówiąc, czuł się nieswojo. - Jesteście z policji, czy jak?

W tym momencie rozległ się stłumiony, acz dość głośny huk, a zaraz potem następny - jakby ktoś uderzył kijem baseballowym w miękką kanapę. Darko wiedział, co oznacza ten odgłos. Rodzice chłopców nie wiedzieli. Chwilę później Leonid powrócił i skinął głową, informując partnera, że wykonał zadanie.

- Gdzie twój komputer? - spytał Darko.

Robert zerknął na żonę z niedowierzaniem.

- Macie też laptop? A może tablet? I jeszcze telefony komórkowe; dawaj wszystko.

- Naprawdę o to wam chodzi? - upewnił się pan domu. Był coraz bardziej wściekły. - Przyszliście tu, żeby nam ukraść komputery? Proszę bardzo, bierzcie!

- Gdzie one są? - spytał spokojnie Darko. Misja przebiegała gładko i nie widział powodu, by niepotrzebnie drażnić Roberta. Potrzebował jego współpracy.

- Na dole, w gabinecie.
- Pokaż mi! - rozkazał Darko, po czym wskazał lufą pistoletu na drzwi.

- Zaraz wrócę - powiedział Robert do Kate, wstając z łóżka. Włożył szlafrok i wsunął stopy w kapcie. Mijając napastników, posłał im nienawistne spojrzenie, po czym wyszedł na korytarz.

- Baw się dobrze - rzucił Darko po rosyjsku do swego towarzysza, ruszając w ślad za Robertem.

Zanim włamali się do domu Hurleyów, rzucili monetą, by sprawiedliwie podzielić się zadaniami. Przegrany miał załatwić dzieci, ale w ramach rekompensaty mógł także zająć się żoną. Misja wszak polegała na tym, by pozostawić jednoznaczne ślady: oto doszło do włamania i brutalnej napaści na mieszkańców domu, nie do egzekucji. Wiedzieli z doświadczenia - bo mieli za sobą kilka podobnych akcji w Stanach, ostatnią w Connecticut - że przemoc jest kluczem do sukcesu: trzeba przede wszystkim dokonać gwałtu i morderstwa, a kradzieży niejako „przy okazji”. Chodziło o to, żeby media odpowiednio przedstawiły sprawę.

- Zamierzam - odparł Leonid, także po rosyjsku. - I nie trzeba mnie specjalnie namawiać; kobitka jest ni czego sobie.

Darko podążył za Robertem schodami w dół, do gabinetu. Włączywszy światło, gospodarz wskazał na komputer stojący na biurku.

- A laptop, tablet, telefon? - spytał Rosjanin.

Robert bez słowa opuścił gabinet, kierując się do kuchni. Darko poszedł za nim, z opuszczonym pistoletem w dłoni. Nie spodziewał się oporu, choć musiał przyznać, że Amerykanin wygląda na mniej wystraszonego niż ludzie, z którymi zwykle miał do czynienia w Czeczenii. Choć oczywiście Czeczeńcy, w przeciwieństwie do Roberta Hurleya, doskonale wiedzieli, jaki los ich czeka.

Zebrawszy wszystkie urządzenia elektroniczne, wrócili do gabinetu. Darko rozkazał jeńcowi usiąść przed komputerem.

- Zaloguj się na swoje konto na serwerze firmowym - polecił, wskazując lufą na ekran monitora.

- To chyba jakiś żart - odparł Robert z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Żaden żart. Rób, co mówię!

Robert spojrział wprost w lufę pistoletu. W pierwszej chwili zawałał się, ale po namyśle wykonał polecenie.

Darko przyglądał się przez ramię jego poczynaniom.

- A teraz - dodał spokojnie - wyszukasz i wykasujesz wszystkie

pliki, które mają związek z Middleton Healthcare i Centrum Medycznym Mason-Dixon, zarówno z serwera firmowego, jak i z dysku tego komputera.

- Zgoda - odpowiedział Robert. Kompletnie zaskoczony zastanawiał się usilnie, kto może stać za tym, co go spotkało. Sprawa szpitala Mason-Dixon była prawniczym pewniakiem i zdążył zainwestować w nią tydzień intensywnej pracy, ale był niemal pewny, że bez większego trudu zdoła przypomnieć sobie wszystkie źródła informacji, z których korzystał. Z tą myślą metodycznie i bez wahania kasował plik po pliku, a gdy skończył, odwrócił się i spojrzał na Darko.

- Gotowe - oznajmił swobodnym tonem, jakby nic ważnego nie zaszło.

- Niezupełnie - odparł Darko, po czym wskazał lufą pistoletu na pozostałe gadzety elektroniczne. - Teraz wszystkie pliki z tych urządzeń.

- Naprawdę we łbach się poprzewracało wam i waszym szefom - odpowiedział Robert, kręcąc głową. - Ciekaw jestem, kto wymyślił ten plan. Niech no zgadnę: Josh Feinberg, dyrektor Centrum Medycznego? Kurwa mać, to jakiś obłąd! Ale w porządku. Nie mam nic przeciwko temu. - Włączył laptop, a gdy wykasował żądane dokumenty, zajął się smartfonem. - Już - obwieścił, gdy uporał się z ostatnim plikiem. Rzucił telefon na biurko. - Na tablecie nic nie ma; używałem go rzadko i tylko do gier. To oznacza, że skasowałem już wszystkie dokumenty dotyczące Middleton Healthcare oraz Centrum Medycznego Mason-Dixon. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy.

Jako ktoś niezłe obeznany z komputerami i podobnymi urządzeniami Darko miał uzasadnione powody, by wierzyć, że Robert nie kłamie, i dlatego owszem, był „szczęśliwy”, choć może bardziej pasowałoby słowo „zadowolony”. Bez słowa sięgnął po laptop i smartfon. W tym momencie z góry dobiegł przeraźliwy krzyk, a zaraz potem stłumiony huk.

Robert zadarł głowę, jakby chciał dojrzeć coś przez strop.

- Co to było, u diabła? - spytał, podnosząc się z fotela.

Darko nie odpowiedział. Uniósł broń i wymierzył prosto w jego twarz. Tym razem dźwięk bardziej przypominał głośny syk niż huk. Głowa Roberta odskoczyła do tyłu, a zwiotczałe ciało opadło z powrotem na fotel. Ramiona zwisły bezwładnie. Dokładnie pośrodku czoła pojawiła się czerwona kropka wielkości monety.

Darko pospiesznie przeszukał biurko, wybierając co cenniejsze przedmioty, by zabrać je wraz z laptopem i smartfonem - skoro

pozorowali włamanie, należało zgromadzić łup. Po chwili dołączył do niego Leonid, dopinając kombinezon.

- Jak było? - spytał po rosyjsku Darko, trzymając w rękach zdobyte przedmioty.

- Wołę młodziutkie Czechenki - odparł Leonid. - Są bardziej waleczne. Ale jak chcesz, możesz skoczyć na górę i skorzystać. Jest jeszcze ciepła.

- Pieprz się - poradził mu Darko, pokazując partnerowi środkowy palec. - Pamiętałeś, żeby poszukać biżuterii?

- Tak, i nawet znalazłem trochę. Niewiele tego, ale zabrałem, co się dało. Trafił mi się też portfel pana mecenasa i jego rolex.

- Powinno wystarczyć. Zabierajmy się stąd w cholerę!

Rozdział 13

Wtorek, 7 kwietnia, 5.45

W pierwszej chwili Michael próbował włączyć natarczywy łomot w scenariusz nader przyjemnego snu, ale nie udało się. Z niechęcią musiał wreszcie uświadomić sobie, że ktoś puka do drzwi.

- Psiakrew - mruknął.

Doszedłszy do wniosku, że prześladowca nie zamierza zrezygnować, Michael wystawił nogi spod kołdry i spojrzął na budzik. Kwadrans przed szóstą, a wykład z dermatologii miał się zacząć dopiero o dziewiątej!

- Psiakrew - powtórzył, wstając z wysiłkiem.

Nie miał pojęcia, kto może go niepokoić o tej porze i z jakiego powodu. Choć miał na sobie tylko bokserki i koszulkę, z rozmachem otworzył drzwi na oścież. Ku swemu zdumieniu ujrzał Lynn, wyraźnie zniecierpliwioną faktem, że musiała czekać tak długo. Była ostatnią osobą, którą spodziewał się ujrzeć.

Poprzedniego wieczoru Michael pukał kilkakrotnie do jej pokoju, licząc na to, że jednak wróciła. Byli prawie sąsiadami, dzieliło ich zaledwie troje drzwi. Gdy minęła dwudziesta trzecia, a Lynn się nie pojawiła, pomyślał, że może powinien zadzwonić do niej albo przynajmniej wysłać esemesa, by się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Poza tym nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie opowie jej o niesamowitym spotkaniu z Władimirem i wizycie w Instytucie Shapiro. W końcu jednak doszedł do wniosku, że jeśli postanowiła zostać na noc u Carla, to być może już śpi, a jeśli nie, to z pewnością potrzebuje czasu dla siebie. Miała przecież numer Michaela; gdyby potrzebowała kontaktu, mogła po prostu zadzwonić.

- Musimy pogadać! - oznajmiła bez powitania, a potem przecisnęła się obok Michaela i usiadła przy biurku, by włączyć komputer służący mu zazwyczaj do grania.

- Ależ proszę, wejdz i czuj się jak u siebie w domu - rzekł sarkastycznie Michael.

- Chcę, żebyś przeczytał pewien artykuł, ale najpierw rusz dupę pod prysznic, czy co tam zwykle robisz zaraz po przebudzeniu. Musimy zajrzeć do Carla, a potem skoczmy na śniadanie. Padam z głodu; wczoraj wieczorem nic nie jadłam.

- A to dlaczego?

- Byłam zbyt zajęta. Naczytałam się przeróżnego gówna i teraz mam ochotę podzielić się z tobą tym wszystkim. No, ruszaj się!

- Tak jest! - odpowiedział Michael, salutując. Jego ojciec, o którym miał jedynie najbardziej mgliste wspomnienie, służył w Korpusie Marines. Stacjonował na Parris Island, mniej więcej pięć mil od Beaufort. Gdy rodzice się rozwiedli, Michael miał ledwie cztery lata, ale to akurat utkwilo mu w pamięci: ojciec salutował mu czasem, jakby i on był żołnierzem.

Michael w pośpiechu wziął prysznic, ogolił się i doprowadził do porządku włosy, co akurat nie wymagało wiele pracy. Gdy wyszedł z łazienki, Lynn stała przy oknie, wystukując stopą niespokojny rytm. Widać było, że jest pełna energii i mocno podekscytowana; nie zwróciła najmniejszej uwagi na to, że Michael jest praktycznie nagi, jeśli nie liczyć ręcznika, którym przewiązał się w pasie. Wyjął z komody czystą bieliznę, po czym stanął przed szafą, by wybrać resztę odzieży. Dopiero gdy skończył, zameldował się u Lynn, która jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pejzaż Mount Pleasant po drugiej stronie zatoki, jakby przez cztery lata mieszkania w akademiku nie miała okazji spojrzeć przez okno własnego pokoju.

- Artykuł, o którym mówiłam, masz na ekranie. Przeczytaj prędko i lecimy do szpitala.

Michael wyczuwał, że Lynn nie jest w nastroju do sporów, więc bez słowa usiadł przed monitorem i zaczął czytać. Po chwili uświadomił sobie, że podeszła do niego i zerka na ekran zza jego pleców.

U szczytu strony widniał nagłówek „Scientific American”, którego obecność oznaczała, że można śmiało wierzyć w prawdziwość informacji zawartych w artykule. Michael był w pełni świadomy, że do treści znalezionych w Internecie należy podchodzić z dużą rezerwą, ale tym razem mógł być spokojny. Tekst był dość krótki i nosił tytuł: *Ilu pacjentów umiera w amerykańskich szpitalach z powodu błędów medycznych*. Michaelowi wystarczyła niespełna minuta, by go przeczytać. Gdy to zrobił, spojrzał pytająco na Lynn.

- No weź - powiedziała z wyrzutem. - Nie mów, że już skończyłeś.

- No jasne.

- Zaraz się przekonamy, mądralo! Słucham, jaka jest największa szacowana liczba zgonów, które odnotowuje się corocznie w amerykańskich szpitalach z powodu „niekorzystnych zdarzeń, którym można było zapobiec”? Swoją drogą, wyjątkowo gładki eufemizm, co? Jakby nie mogli napisać tak jak w tytule! Przecież to zwykłe, cholerne błędy, nic więcej!

- Czterysta czterdzieści tysięcy - odpowiedział bez wahania Michael.

- Jezu - jęknęła Lynn. - Jakim sposobem, u licha, potrafisz tak szybko czytać i tyle zapamiętywać? Nie masz pojęcia, jak to zniechęca zwykłych śmiertelników.

- Mówiłem ci już: mama mnie nauczyła.

- Mamy nie uczą takich rzeczy. Ale wszystko jedno. Nie uważasz, że to przerażająca i zawstydzająca liczba? Z tego, co piszą, wynika, że błędy medyczne to trzecia pod względem liczebności przyczyna śmierci w tym kraju.

- Pozwól, że zgadnę: nabrałaś przekonania, że Carl padł ofiarą błędu medycznego albo, mówiąc wprost, że ktoś gruntownie spieprzył robotę. Przyznaj, że dobrze czytam między wierszami.

- Oczywiście! - odparła Lynn. - Atletycznie zbudowany, zdrowy dwudziestodwuletniak idzie na prostą operację kolana i zapada w śpiączkę. Ktoś spieprzył sprawę, i to bardzo, a jeśli Carl się nie obudzi, tegoroczny wynik zwiększy się do czterystu czterdziestu tysięcy i jednego przypadku. Po rutynowej rekonstrukcji więzadła!

- Słodki Jezu, Lynn, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, a Carl przecież nie umarł. Może kiedy do niego zajrzemy, będzie siedział na łóżku i jadł śniadanie, zastanawiając się, gdzie, u diabła, zniknął mu poniedziałek.

- Cudnie by było, co? - spytała sarkastycznie Lynn. - Tyle tylko, że neurolog twierdzi, że doszło do rozległego niedokrwienia mózgu. Przykro mi, że zgaszę twój optymizm, ale tego ranka Carl nie będzie siedział na łóżku i nie będzie jadł śniadania.

- Medycyna jest niedoskonałą nauką. Jeżeli czegoś się nauczyliśmy przez ostatnie cztery lata, to właśnie tego. Każdy człowiek jest inny, bo ma inny DNA. Może organizm Carla zareagował negatywnie i w nieoczekiwany sposób na któryś z leków znieczulających albo na inną podaną mu substancję? Może ktoś popełnił błąd, a może to nie była niczyja wina? Może doszło do awarii aparatu do znieczuleń? Mogło zająć tysiąc okoliczności, a błąd medyczny to tylko jedna z nich.

- Moim zdaniem to anestezjolog zawałił robotę - stwierdziła

twardo Lynn. - Intuicja podpowiada mi, że to problem ludzki, tak jak sugerują autorzy artykułu, a nie reakcja organizmu czy kłopoty techniczne. To błąd, a błędy popełniają ludzie.

- Jasne, że istnieje i taka możliwość, podobnie jak wiele innych. Prócz błędów ludzkich istnieją też błędy systemu. Popełniają je nawet komputery.

- Jedno ci powiem - odrzekła Lynn, bliska gniewu. - Spróbujemy się dowiedzieć, co zaszło, kto zawiódł. Postaramy się, żeby za to odpowiedział. I dopilnujemy, żeby nic podobnego nie zdarzyło się w przyszłości.

- Zaraz, zaraz - wtrącił Michael, uśmiechając się krzywo. - Jak to „my”, błada twarzy?

Była to puenta bodaj jedynego dowcipu Ronalda Metznera w ciągu całych czterech lat studiów, który Michael uznał za autentycznie zabawny. Chodziło o Samotnego Jeźdźca i jego indiańskiego druha imieniem Tonto. Pewnego razu, gdy jechali przez wąski kanion, otoczyła ich horda żądnych krwi Indian. Puenta zaś była odpowiedzią Tonto na słowa Samotnego Jeźdźca: „Wygląda na to, że wpadliśmy w niezłe gówno”.

Lynn milczała przez chwilę, bo nieszczególnie miała nastrój na wspomnianie głupich dowcipów Ronalda. W pierwszej chwili zareagowała niedowierzaniem, a zaraz potem rozczarowaniem postawą Michaela.

- Naprawdę nie jesteś wkurzony tym, co spotkało Carla? - spytała.

- Chodzi mi o to, że pod wieloma względami jest stanowczo za wcześnie, żeby rzucać się na głęboką wodę i na gwałt wyciągać wnioski z tego tragicznego zdarzenia.

- Cóż, nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam siedzieć na tyłku i czekać, aż Carl się ocknie, bo prawdę mówiąc, nie sądzę, że to się stanie. A w dodatku ktoś w tym czasie zatrze ślady. Dowiem się, co się wydarzyło. Nie spocznę, póki tego nie dokonam. Jestem to winna Carlowi. I przypomnę ci, że podobnie jak ty, dotarłam w życiu dotąd, dokąd dotarłam, ponieważ mam zwyczaj robić swoje, a nie gadać.

- Posłuchaj! Rozumiem, co czujesz - rzekł spokojnie Michael. - Masz pełne prawo wkurzać się na to, co zaszło. Ale jako twój przyjaciel, a prawdopodobnie nawet najbliższy przyjaciel, muszę spróbować przywołać cię do porządku. Możliwe, że kładziesz na szali swoją karierę medyczną. Zapewniam, że nikogo tu nie ucieszy twoje prywatne śledztwo. Wszyscy będą bardzo niezadowoleni, gdy zaczniesz węszyć. Co gorsza, przypominam ci, że zgodnie z ustawą HIPAA,

naruszenie tajemnicy lekarskiej pod fałszywym pretekstem jest przestępstwem. Pakujesz się w kłopoty, dziewczyno. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Skończyłeś? - spytała Lynn, opierając dłonie na biodrach.

- Chwilowo. A teraz chodźmy do bufetu. Mam wrażenie, że niskie stężenie glukozy we krwi sprawia, że tracisz rozsądek.

Przez kilka minut Lynn zdołała utrzymać język za zębami, ale w windzie akademika nie wytrzymała.

- To niesamowite, że przez całe studia nie zetknęliśmy się z informacjami na temat błędów popełnianych w szpitalach. A przecież błędy ze skutkiem śmiertelnym to ledwie wierzchołek góry lodowej. Pomyśl o tych wszystkich pacjentach, którzy przychodzą leczyć jedną chorobę, a wychodzą z inną, czasem znacznie poważniejszą. W tej kategorii notuje się ponad milion przypadków rocznie. To wręcz makabryczne.

- Wcale się nie dziwię, że nikt nie trąbi na cały świat o takich statystykach - odparł Michael. - Wiele szpitali, włącznie z tym, jest własnością firm nastawionych wyłącznie na zysk. Nawet te tak zwane placówki non profit są w istocie ukrytymi fabrykami pieniędzy. To oznacza, że istnieje inherentny konflikt interesów: właścicielom nie zależy na publikowaniu statystyk; pozostają tajemnicą, jak wiele innych spraw dotyczących służby zdrowia. Szpitale nie chwala się swoimi słabościami. My, studenci medycyny, wciąż jeszcze żyjemy złudzeniem, iż medycyna to powołanie, podczas gdy prawda jest inna: medycyna to biznes, wielki biznes, w dodatku, z punktu widzenia pacjenta, nie bardzo uczciwy. Niemal wszystkim tutaj zależy tylko na jednym: na robieniu forsy.

- Nie przypuszczałam, że taki z ciebie pieprzony cynik - przyznała z goryczą Lynn.

- Jako czarny usiłujący włamać się do grupy zawodowej zdominowanej przez białych muszę być realistą!

- W porządku, stary, ale przy takiej postawie nie są możliwe żadne zmiany na lepsze.

Michael się uśmiechnął.

- Przestajesz nad sobą panować, dziewczyno.

- Bo jestem wściekła - przyznała Lynn, a potem odetchnęła głęboko. - I przepraszam, jeśli byłam surowa. Naprawdę mam problem z tym, co się wydarzyło, a także z tym, czego dowiedziałam się z artykułu. O tym, że z amerykańską służbą zdrowia jest źle, wiedziałam od dawna; nie wiedziałam tylko, że aż tak źle.

- Spoko, blondie, ale musisz dać sobie na luz, przynajmniej na

jakiś czas.

- Ja tak nie uważam. Powiedziałam ci: dowiem się, co zaszło.
- Najpierw cię nakarmimy. W tej chwili twój łeb nie pracuje lepiej niż Carla, a powinnaś wiedzieć, że i ja mam ci coś ciekawego do opowiedzenia.

Rozdział 14

Wtorek, 7 kwietnia, 6.12

Gdy Lynn i Michael wychodzili z akademika, do wschodu słońca pozostała niespełna godzina. Wszystko wskazywało na to, że będzie to kolejny piękny wiosenny dzień: na pastelowej czaszy z wolna jaśniejącego nieba nie widać było ani jednej chmurki. Lynn jednak nawet tego nie zauważyła; głowę miała zajęta zgoła innymi sprawami. Właśnie postanowiła, że jeśli Michael nie zdecyduje się jej pomóc w odkryciu prawdy na temat przypadku Carla, dokona tego własnymi siłami. Doszła do wniosku, że tylko wtedy zdoła zapanować nad demonami, które kłębiły się w jej głowie.

- Wiesz, czego jeszcze dowiedziałam się wczoraj wieczorem? - zagadnęła. Musiała mówić nieco głośniejszym głosem, by przebić się przez głośny świegot ptaków obwieszczających światu rychły brzask.

- Boję się spytać - odparł Michael.

- Standardowa częstość występowania poważnych powikłań anestezyjologicznych u zdrowych pacjentów to jeden przypadek na dwieście tysięcy zabiegów operacyjnych. Jeśli policzymy tylko tę twoją krewniaczkę Ashanti oraz Carla otrzymamy dwa przypadki na pięć tysięcy zabiegów, przy założeniu, że codziennie dokonuje się tu stu operacji. Wiesz, co to oznacza z matematycznego punktu widzenia?

- Że to sporo? - zasugerował Michael. Dokonywanie obliczeń w pamięci nie było jego specjalnością.

- Osiemdziesięciokrotne przekroczenie normy. Osiemdziesięciokrotne! A przecież nawet nie wiemy, czy nie było takich przypadków więcej; wtedy statystyka wyglądałaby jeszcze gorzej.

- Skoro wspomniałaś o Ashanti - wtrącił Michael, nie mogąc dłużej zatrzymać nowin dla siebie. Zwłaszcza że widział, iż Lynn znowu się nakręca. - Dowiedziałem się, że nadal przebywa w Instytucie Shapiro. Parametry życiowe ma w normie, ale zdiagnozo-

wano u niej szpiczaka mnogiego.

- Skąd, u diabła, o tym wiesz?

- Zdziwisz się. Wczoraj po południu przysnąłem z wykładu z okulistyki, który nawiasem mówiąc, był gówniany. Wiesz, zwykła powtórka z neuroanatomii; właściwie nic nie straciłaś. I właśnie kiedy wracałem do akademika, żeby poszukać JPEG-a z kartą Ashanti, zanim się obejrzałem, już byłem w Instytucie.

Lynn stanęła jak wryta, spoglądając na niego tak, jakby właśnie się pochwalił, że jadł kolację z papieżem.

- Na Boga, jakim cudem ci się to udało?!

Michael parsknął śmiechem.

- Zdarzyło mi się małe sam-na-sam z pewnym Rosjaninem, który siedzi tu ledwie od paru miesięcy. To spec od komputerów; ściągnęli go, żeby zajął się jakimiś błędami w sieci Shapiro. Właśnie stamtąd wychodził, gdy sobie siedziałem na ławce, gapiąc się na budynek. - Mówiąc to, Michael wskazał na drzwi, które właśnie mijali.

- I tak po prostu zacząłeś z nim gadać?

- Trudno to nazwać gadaniem. Facet prawie nie zna angielskiego. Porozumiewaliśmy się przez tłumacza Google; odpalił aplikację na swoim smartfonie. Ale wiesz co? Przeczynałem, że mi nie uwierzysz, i dlatego strzeliłem sobie z nim fotkę. - Michael wyjął z kieszeni telefon i wyświetlił zdjęcie. - Gość ma dostęp do centrum operacji sieciowych Instytutu Shapiro.

Lynn przez chwilę przypatrywała się fotografii.

- Który to Rosjanin? - spytała wreszcie.

- Srała-mądrała - mruknął Michael, odbierając jej telefon.

- Widziałeś Ashanti?

- Ale skąd! Ale byłem w centrum operacji sieciowych i zdążyłem rzucić okiem na kilka stron z jej elektronicznej karty pacjenta.

- I ty mnie ostrzegasz przed naruszaniem przepisów! - zauważyła drwiąco Lynn.

- Ejże, ja się nie włamałem do systemu. Rosjanin zalogował się jak pan Bóg przykazał.

- Ty go poprosiłeś, a on tak po prostu się zgodził?

- No, trochę musiałem posmarować - przyznał Michael. - Dałem mu moje słuchawki i obiecałem, że podzielę się z nim plikami z muzyką Jaya-Z. Gdy się okazało, że może mieć status admina w tutejszej sieci, zasugerowałem tylko, żeby w wolnej chwili zajrzał do karty Ashanti. Nie spodziewałem się, że z miejsca zaprosi mnie do centrum.

- Zapamiętałeś może jego nazwisko? Boże, ależ on nam się może przydać!

- Władimir Małakłow. Mam też jego e-mail i numer telefonu.
- Genialnie! W ogóle nie przejmował się kwestią bezpieczeństwa?

- Takie odniosłem wrażenie. Domyślałem się, że po prostu wie, jak niewiele jest wart monitoring Instytutu. Przeszliśmy tuż pod kamerą wideo zainstalowaną w holu, a on nawet nie zwrócił na nią uwagi. Może zdążył się już przekonać, że nikt nawet nie ogląda nagrań? Powiedział mi, że odkąd tu pracuje, jeszcze nikogo nie spotkał w centrum operacji sieciowych.

- Dziwne - mruknęła Lynn. - Zawsze myślałam, że akurat w Shapiro zabezpieczenia są najwyższej klasy. Nawet wprost nam to sugerowali, gdy tam byliśmy. No i wyglądało tam prawie jak w skarbcu bankowym. - Mówiąc to, zerknęła na budowlę wyłożoną granitowymi płytami. Z miejsca, w którym się zatrzymali, nie było widać ani jednego okna.

- Może na początku rzeczywiście się pilnowali, ale skoro przez osiem lat nie mieli żadnych problemów, w końcu odpuścili. Nawet zabezpieczenia przy wejściu nie zrobiły na mnie wrażenia: mają tam zwykły czytnik linii papilarnych, żaden cud techniki.

- Skąd wiesz, że Ashanti ma szpiczaka?

- Władimir wywołał jej stronę w systemie. Kliknąłem w „stan zdrowia”, a potem „parametry życiowe” i „powikłania”. Fajnie byłoby poszperać głębiej, ale uznałem, że nie warto ryzykować. Zdążyłem za to zrobić zdjęcie listy powikłań.

- Pokaż!

Michael raz jeszcze wyjął telefon i wywołał zdjęcie.

- Trudno się doczytać - stwierdziła Lynn.

- W zamkniętym pomieszczeniu będzie lepiej.

- Nie do wiary, że ci się udało.

- W nagłówku jej strony napisali Klaster 4-B 32.

- Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Poza tym, była adnotacja „drozitumab plus cztery aktywny”. Oczywiście nie wiedziałem, co to jest drozitumab, ale sprawdziłem wieczorem: to ludzkie przeciwciało monoklonalne stosowane w leczeniu raka.

- Może właśnie tym próbują pokonać szpiczaka mnogiego? - zasugerowała Lynn.

- Wątpię - odparł Michael. - Z artykułów, które czytałem, wynika, że drozitumab stworzono z myślą o zwalczaniu innych nowotworów.

- W takim razie nie wiem, o co chodzi - przyznała, zwracając

telefon. - Powiedz mi, czy ten Władimir naprawdę nie miał żadnych oporów przed ujawnieniem danych pacjentki?

- Żadnych. Czuję, że w ogóle nie słyszał o ustawie HIPAA. W Rosji pewnie jeszcze nie wpadli na coś takiego jak tajemnica lekarska. Wiesz, że on nawet nie używa bezpiecznego loginu i hasła? Wystarczy mieć o nim parę podstawowych informacji, żeby bez trudu odgadnąć jedno i drugie. Jako konto użytkownika wprowadza swój adres e-mail, a hasłem są numer jego komórki oraz nazwisko.

- Zdziwiasz mnie. Jesteś pewny, że nie szkolłeś się w CIA?

- Sama poradziłabyś sobie równie dobrze jak ja. Mówię ci, on się w ogóle nie przejmował bezpieczeństwem. Stałem i patrzyłem mu na ręce, kiedy wpisywał nazwę użytkownika i hasło. I głównie go to obchodziło.

- Zatem Ashanti nadal jest w śpiączce - powiedziała Lynn, ruszając.

- Nie inaczej, skoro wciąż leży w Shapiro - odparł Michael, doganiając ją szybko.

- Ale z karty niczego się nie dowiedziałeś na ten temat? Szkoda, to była świetna okazja.

- Przecież słyszałaś: to był pierwszy raz i wolałem nie ryzykować.

- Nie krytykuję cię. Przeciwnie, podziwiam cię za to, ile zdołałeś się dowiedzieć.

- Sam się zdziwiłem - przyznał Michael. - Zamierzam spróbować jeszcze raz.

Gdy zbliżali się do drzwi gmachu kliniki, Lynn spytała:

- A co z fotografią raportu anestezjologicznego Ashanti? Znalazłeś ją?

- Znalazłem. Była w folderze ze zdjęciami w moim komputerze. Jak mówiłem, dane wydały mi się ludzako podobne do tych z karty Carla, ale będę musiał wydrukować jedno i drugie zdjęcie, żeby je w spokoju porównać.

- Chętnie je wtedy obejrzę.

- Pomyślę o tym - odparł kpiąco Michael.

Szli ramię w ramię niemal pustymi korytarzami kliniki. Od czasu do czasu mijali jedynie pracowników porządkowych zajętych polerowaniem podłóg i zmywaniem krzeseł płynem antybakteryjnym.

Gdy przeszli tunelem z gmachu kliniki do właściwego szpitala, natychmiast otoczył ich tłum. O tej porze klinika była jeszcze zamknięta; szpital zaczynał pracę znacznie wcześniej. Zanosilo się na kolejny pracowity dzień.

W pewnej chwili Michael skręcił w stronę bufetu, Lynn zaś udała się w przeciwnym kierunku, ku blokowi wind. Michael połapał się jako pierwszy, zawrócił, pobiegł za przyjaciółką i zatrzymał ją. Stała w środku korytarza, otoczeni rzeką ludzi.

- Zdawało mi się, że mieliśmy iść coś zjeść - powiedział podniesionym głosem, by przekrzyczeć zgiełk.

- Najpierw musimy sprawdzić, co u Carla! To najlepszy moment. Nocna zmiana kończy pracę, a poranna zaczyna i nikt nie będzie nam zadawał niewygodnych pytań.

- Słuszna uwaga - zgodził się Michael. - A co z twoim stężeniem glukozy? Na pewno wytrzymasz bez śniadania?

- Nic mi nie będzie - zapewniła go Lynn. - Chodźmy!

Ruszyli w stronę wind, z trudem trzymając się razem w tłumie pacjentów. Lynn odwróciła się po chwili.

- Może i kończy się zmiana, ale ktoś jednak może do nas zagaść. Jeśli tak się stanie, użyjemy tej gadki o znieczuleniu ogólnym, którą wymyśliłaś wczoraj. Moim zdaniem była genialna. Ale jeśli mamy być całkiem wiarygodni, powinniśmy się przebrać.

- Słusznie - zgodził się.

Zamiast dołączyć do czekających na windę, skręcili ku klatce schodowej. Rozdzielili się w pokoju chirurgów.

Gdy Lynn wchodziła do damskiej przebieralni, nie było jeszcze siódmej, a już panował tam spory ruch. Większość kobiet w chirurgicznych strojach stanowiły pielęgniarki rozpoczynające poranną zmianę. Lekarze, których wyznaczono do zabiegów o siódmej trzdzieści, przychodzili zwykle kwadrans po siódmej, po obchodzie, podczas którego odwiedzali swoich pacjentów pooperacyjnych. Lynn znalazła szafkę, ale w chwili, gdy zaczęła rozpinąć bluzkę, zatrzeszczał głośnik interkomu, zawieszony pod sufitem. Nieczęsto używano tego systemu, odkąd wszyscy nosili przy sobie telefony komórkowe. Głos należał do siostry oddziałowej urzędującej za kontuarem przed wejściem na blok operacyjny.

- Doktor Sandra Wykoff! Tu Geraldine Montgomery. Czy jest pani w przebieralni?

- Jestem! - zawołała doktor Wykoff, kierując głos w stronę sufitu. Rozmowy przycichły.

Lynn odwróciła się, słysząc znajome nazwisko: to właśnie ona była anestezjologiem podczas operacji Carla. Lynn patrzyła na nią z odległości półtora, może dwóch metrów. Wykoff była niska i filigranowa, dobre piętnaście centymetrów niższa od niej. Miała wąską twarz o ostrych rysach i mysie włosy, ale mimo drobnej postury

wydawała się osobą energiczną i konkretną. Jej nagie ramiona, choć szczupłe, były całkiem niezłe umięśnione. Dba o formę, pomyślała Lynn. Może i wygląda niepozornie, ale to na pewno nie jest osoba, którą łatwo zastraszyć.

- Doktor Wykoff - kontynuowała Geraldine przez interkom - chyba wyłączyła pani dzwonek w telefonie. Mam Dorothy Wiggins z izby przyjęć na drugiej linii. Nie mogą się z panią skontaktować.

Lynn patrzyła, jak lekarka wyjmuje z kieszeni telefon i zerka na wyświetlacz.

- Racja! - zawołał Wykoff. - Proszę ich przeprosić ode mnie.

- Nie ma sprawy. Chcieli, żebym pani przekazała wiadomość, że pierwszy dzisiejszy zabieg został odwołany. Pacjent zapomniał o procedurze przedoperacyjnej i zjadł śniadanie.

- Rozumiem. Dziękuję za informację.

- Zawiadomię też doktora Barkera, z którym ma pani robić drugiego pacjenta. Może uda się przenieść zabieg na wcześniejszą godzinę. Będziemy w kontakcie.

- Byłoby świetnie. Dziękuję.

W chwili, gdy głośnik kliknął cicho i umilkł, rozmowy w przebiegalni jak na komendę stały się głośniejsze.

Doktor Wykoff spojrzała na Lynn, która patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Lepiej dowiedzieć się o tym, kiedy pacjent jest na dole, niż w ostatniej chwili, na sali operacyjnej - zagaiła rozmowę doktor Wykoff.

- Też tak myślę - odpowiedziała Lynn i odwróciła głowę, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, że od dłuższego czasu gapi się na lekarkę. Nie bardzo wiedziała, co ma teraz zrobić. Spotkanie było przypadkowe, ale głupio byłoby nie wykorzystać takiej okazji. W nocy przez kilka godzin czytała o standardowych procedurach anestezyjologicznych i czuła, że jest w stanie poprowadzić sensowną rozmowę o technicznej stronie operacji Carla. Ale czy to dobre miejsce i właściwa pora na poruszanie tematu, który bez wątpienia jest dla Wykoff drażliwy? Lynn narzuciła fartuch na uniform chirurga i zatrzasnęła szafkę, w której schowała swoje ubranie. Pod wpływem impulsu postanowiła jednak spróbować:

- Przepraszam, doktor Wykoff - zaczęła, nie do końca wiedząc, od czego ma zacząć, zwłaszcza że z trudem panowała nad emocjami.

Kobieta zamknęła szafkę i spojrzała na nią bardzo jasnymi, błękitnymi oczami.

- O ile wiem, to pani znieczuliła wczoraj Carla Vandermeera.

Sandra Wykoff zmrużyła powieki, nie spuszczając wzroku z Lynn.

Nie odpowiedziała od razu, a po chwili zlustrowała studentkę od stóp do głów przenikliwym spojrzeniem.

- Zgadza się. A o co chodzi?

- Wczoraj, na Oddziale Intensywnego Nadzoru Neurologicznego, czytałam pani raport w karcie pacjenta. I chciałabym z panią o tym porozmawiać.

- Naprawdę? - Doktor Wykoff była zaskoczona i ostrożna. - A kim pani jest?

- Nazywam się Lynn Peirce. Jestem studentką czwartego roku. - Celowo uniknęła wzmianki o tym, z jakiego powodu znalazła się poprzedniego dnia na Oddziale Intensywnego Nadzoru Neurologicznego i po co przeglądała kartę. Wiedziała, że w tej rozmowie bajka o fakultecie z anestezjologii nie zabrzmi wiarygodnie.

- Ale dlaczego interesuje panią akurat ten nieszczęśliwy przypadek? - spytała nieufnie Wykoff.

- Dowiedziałam się niedawno, że co roku milion osób trafia do szpitala z powodu jednej choroby, a wychodzi ze szpitala z inną, tam nabytą. Myślę, że to ważny temat, o którym nie wspomina się studentom medycyny podczas zajęć. Chciałabym się o tym dowiedzieć czegoś więcej.

- Myślę, że mogłybyśmy o tym porozmawiać - odpowiedziała Sandra Wykoff, jakby swobodniej. - Ale nie tutaj i nie teraz. Pewnie słyszała pani, że anulowano zabieg o siódmej trzydzieści. Jeśli drugi nie zostanie przyspieszony, będziemy mogły się spotkać jeszcze dziś rano.

- Byłabym wdzięczna - zapewniła ją Lynn. - Jak mam się z panią skontaktować?

- Najlepiej przez Geraldine. Będzie wiedziała, gdzie mnie znaleźć.

Rozdział 15

Wtorek, 7 kwietnia, 6.33

Michael zarzucił biały fartuch na dwuczęściowy strój chirurga. Nie zamierzał kręcić się teraz po pokoju lekarzy, bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było tłumaczenie się z tego, czego tu, do cholery, szuka i dlaczego ubrał się jak do zabiegu, skoro jest ledwie studentem czwartego roku medycyny. Dlatego też opuścił szatnię i postanowił poczekać na korytarzu, przy windzie. Nie czekał długo.

- Mogłam spotkać każdego, a wpadłam akurat na doktor Sandrę Wykoff - obwieściła dyskretnym szeptem Lynn. Jak zwykle, na windę czekała gromadka ludzi. - Przebierała się tuż obok mnie.

- A doktor Sandra Wykoff to kto? - spytał Michael tonem belfra.

- Och, daj że spokój! - Lynn była mocno zirytowana. - To ta pieprzona anestezjolożka, która uśpiła Carla. Jest odpowiedzialna za to, co się stało. Jak mogłeś zapomnieć?

- Przecież wiem, tylko próbuję ci coś uświadomić, moja droga. Nie masz pojęcia, czy to jej wina czy nie. Takimi komentarzami możesz ściągnąć na siebie bardzo poważne kłopoty.

- Masz rację, ale tylko teoretycznie - odparowała Lynn. - Prawda jest taka, że to ona odpowiadała za znieczulenie pacjenta, i nikt temu nie zaprzeczy. Nawet jeśli nie spowodowała śpiączki swoim błędem, to powinna była zapobiec wypadkowi.

- Nie masz pojęcia, jak było, dziewczyno. I dlatego mówię ci, jak jest: pogrążysz się, szafując takimi opiniami.

Otworzyły się drzwi windy. Kabina była pełna ludzi, którzy niezbyt chętnie cofnęli się, gdy Lynn, Michael i kilka innych osób spróbowali wcisnąć się do środka. Rozmowa w zatłoczonej windzie nie miała sensu. Zatrzymywali się na każdym piętrze, a gdy wreszcie dotarli na piąte, nie spieszyli się: szli wolnym krokiem, pozwalając, by wyprzedzili ich wszyscy współpasażerowie, którzy wysiedli wraz z nimi. W większości były to pielęgniarki i salowe rozpoczynające poranną zmianę.

- Odwołano pierwszą dzisiejszą operację z udziałem Wykoff - powiedziała Lynn, gdy była pewna, że nikt nie podsłuchuje. - Zgodziła się porozmawiać ze mną, jeśli druga nie zacznie się wcześniej.

- Będzie lepiej, jeśli pójdę z tobą i popilnuję, żebyś czegoś nie palnęła - odparł Michael. - Zauważam w tobie ostatnio skłonność do autodestrukcji.

- Naprawdę chcesz ze mną iść? - spytała Lynn jakby lekceważąco. - Zdawało mi się, że nie zamierzasz mi pomagać.

- Jak powiedziałem: ktoś musi cię chronić przed samą sobą i pilnować, żebyś nie przycisnęła za mocno tej Wykoff. Rozumiesz?

Puls Lynn przyspieszał, w miarę jak zbliżali się do wejścia na oddział. Czowała strach. Nie należała do rodziny i nawet gdyby stan Carla zmienił się dramatycznie, nikt nie poinformowałby jej o tym. Nie, nie spodziewała się przełomu, ale szanse na zmianę - na plus albo na minus - zawsze istniały. Niestety, robocza diagnoza mówiąca o rozległym niedokrwieniu mózgu oznaczała, że są to szanse niezmiernie małe, a pogorszenie stanu pacjenta jest znacznie bardziej prawdopodobne niż poprawa.

Lynn zawahała się, stając przed podwójnymi drzwiami. Co czekało ją po drugiej stronie? Michael wyczuł jej opory.

- Chcesz, żebym tam poszedł i dowiedział się co i jak? - spytał. - Wrócę i wszystko ci opowiem.

- Nie. Chcę tam wejść, zobaczyć go. Nic mi nie będzie.

Mieli nadzieję, że o tej porze personel będzie zajęty, i tak też było. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, ujrzeni, że pielęgniarki kończące nocną zmianę i te, które rozpoczynały poranną, zgromadziły się wokół boksu numer pięć, w którym pojawił się nowy pacjent. Chwilowo wszyscy pozostali, a wśród nich Carl, byli sami.

Peter Marshall siedział jak zawsze za okrągłym kontuarem dyżurki, od dawna na służbie, wpatrzony w monitory. Choć teoretycznie mógł się zjawiać w szpitalu o siódmej, jego dzień pracy już się zaczął. Lynn pamiętała, że nigdy nie narzekał: rozmyślnie przychodził za wcześniej, by zmierzyć się z wyzwaniem nowego dnia.

Za kontuarem siedziała też lekarka, a przed nią piętrzył się stos kart pacjentów - jedna z nich była otwarta. Jej strój wskazywał na to, że na pewno jest specjalistką, nie rezydentką. Lynn i Michael nie znali jej.

Ruszyli w stronę boksu numer osiem. Lynn nieco się ociągała; bała się tego, co może zobaczyć za parawanem. Carl nie siedział na łóżku i nie pałaszował śniadania, ale nie był też martwy. Wyglądał na równie spokojnie śpiącego jak poprzedniego dnia. Nadal leżał z zamkniętymi

oczami, nadal na plecach, nadal z operowaną nogą lekko uniesioną w górę i nieustannie poruszaną przez CPM. Kroplówka nadal sączyła się w jego ciało, tyle że nowe wkłucie założono teraz w jego szyi.

- Wygląda na to, że nic się nie zmieniło - skomentował Michael.

Lynn skinęła głową, powstrzymując się, by nie pogłodzić policzka Carla. Zauważyła, że na jego twarzy pojawił się ciemny zarost, a ramiona, spoczywające wzdłuż ciała, nareszcie się rozluźniły - objaw sztywności z odkorowania najwyraźniej minął. Nie wiedziała tylko, czy to dobry znak, czy może przeciwnie. Ustały także niepokojące mioklonie w jego lewej, zdrowej nodze.

Michael starał się, by ich wizyta wyglądała na nieprzypadkową: wyjął z kieszeni latarkę, żeby sprawdzić reakcję źrenic Carla. Lynn tymczasem spojrziała na monitor - wolała nie patrzeć w niewidzące oczy swojego chłopaka; pamiętała, jak bardzo było to dla niej trudne poprzedniego dnia. Ciśnienie i saturacja krwi były prawidłowe. EKG także nie wykazywał odchyień. Wreszcie spojrziała na wykres temperatury. Carl miał gorączkę! W tej chwili 39,5 stopnia, ale wcześniej nawet o stopień więcej! Nie była to dobra wiadomość.

- Reakcja źrenic lepsza niż wczoraj - orzekł Michael, prostując się. - Ciekawe, czy to dobry znak.

- Za to ma dziś wyższą temperaturę - odpowiedziała mu przygnębiona Lynn, wskazując na monitor.

- Rzeczywiście - mruknął, spojrzawszy na wykres. - To niedobrze.

- Niedobrze. Zapalenie płuc to poważne zagrożenie dla pacjenta w śpiączce. Czytałam o tym wczoraj.

- Zdaje się, że wiele się nauczyłaś tej nocy.

- Zdziwiające, ile można dokonać, gdy się nie ma ochoty ani jeść, ani spać.

- W takim razie zejdźmy do bufetu, zanim padniesz.

- Najpierw zajrzemy do karty. Chcę zobaczyć, czy są już wyniki rezonansu magnetycznego.

Opuścili boks numer osiem i pomaszzerowali prosto do kontuaru. Po drodze Lynn na krótką chwilę poczuła na sobie spojrzenie Gwen Murphy, która wraz ze świtą pielęgniarek przenosiła się właśnie do pacjenta numer sześć. Wyraz twarzy oddziałowej na szczęście się nie zmienił.

Lynn przyjęła to z ulgą; źle się czuła w roli nieproszonego gościa. Z drugiej strony, kamienny spokój Michaela wywierał na niej spore wrażenie.

Stanąwszy przy okrągłej ladzie, Michael uśmiechnął się do Petera,

a ten odpowiedział mu tym samym. Rozmawiał właśnie z laboratorium, próbując pozyskać jakieś wyniki, których nie wklepano jeszcze do systemu. Lekarka nie uniosła głowy znad stosu kart, który wciąż piętrzył się przed nią.

Podobnie jak poprzedniego dnia Michael bez wahania sięgnął do obrotowego segregatora i zakręcił nim zdecydowanym ruchem, po czym zatrzymał na przegródce numer osiem. Była pusta.

Michael delikatnie trącił ramię Petera i niemal bezgłośnie powiedział:

- Vandermeer - wskazując na segregator. Nie przerywając rozmowy telefonicznej, kancelista wskazał palcem na lekarkę. Michael zrozumiał. Specjalistka korzystała z karty Carla Vandermeera, a to, przynajmniej potencjalnie, oznaczało problem.

Michael wzruszył tylko ramionami, po czym ruszył w stronę nieznaną lekarki, ale Lynn zatrzymała go w porę, chwytając za rękaw fartucha.

- Co chcesz jej powiedzieć? - spytała szeptem.

Michael znowu wzruszył ramionami.

- Jak zwykle, będę improwizował.

- Nie możesz opowiadać o fakultecie z anestezjologii, bo niewykluczone, że ona jest anestezjologiem.

- Święte słowa - zgodził się Michael, kiwając głową.

- Zaczekaj.

Lynn podeszła do Petera i bez słowa zapisała pytanie w leżącym przed nim notatniku:

Kim ona się opiekuje i z którego jest oddziału?

Peter odpisał, nie przerywając konwersacji:

Dr Siri Erikson, hematologia.

Lynn podziękowała mu bezgłośnie, po czym wróciła z notatką do Michaela.

- Hematologia? - powtórzył szeptem. - Co to może znaczyć? Carl ma problemy z krwią?

- A kto to może wiedzieć? - odpowiedziała Lynn. - Mam nadzieję, że nie. Może to ma związek z tą gorączką?

- Powiedziałbym, że podwyższona temperatura u pacjenta w śpiączce to raczej wskazanie do konsultacji z dziedziny chorób zakaźnych niż hematologii.

- Zgadza się. Tak czy inaczej musimy się przekonać, czy doktor Erikson lubi studentów medycyny.

Oboje doskonale wiedzieli, że wśród specjalistów nie brakuje ani tych, którzy w rolę mentorów wcielają się z rozkoszą, ani tych, którzy

nauczanie uważają za zbędny, dodatkowy obowiązek i dają to odczuć swoim podopiecznym.

- Dobra wiadomość jest taka, że ona nie jest z anestezjologii - zauważył Michael. - Nasza przykrywka może zadziałać, jeśli będzie potrzebna.

- Ty z nią gadaj. Jesteś lepszym kłamcą niż ja.

- Będę udawał, że tego nie słyszałem, dziewczyno.

- W porządku, chłopcze - odparowała. Michael podszedł do leżarki, odchrząknął i zagaił:

- Przepraszam, doktor Erikson...

Kobieta uniosła głowę znad papierów. Była atrakcyjną, choć może nieco przysadzistą, dojrzałą kobietą koło pięćdziesiątki. Nazwisko pasowało do niej jak ulał - ze swymi jasnymi włosami, bladą cerą i niebiańsko błękitnymi oczami niewątpliwie wyglądała na Skandy-nawkę.

- Tak? - odpowiedziała.

- Zastanawialiśmy się z koleżanką, czy moglibyśmy zajrzeć do karty pacjenta Vandermeera, jeśli nie jest pani w tej chwili potrzebna.

Doktor Erikson przebiegła palcami po grzbietach teczek i wyłu-skała spośród nich kartę Carla. Podała ją Michaelowi, ale nie puściła od razu.

- Jeszcze z nią nie skończyłam - zastrzegła. - Niedługo będzie mi potrzebna.

- Oczywiście - odpowiedział prędko Michael. - My tylko na chwilę.

- Domyślam się, że jesteście studentami - dodała Erikson, spoglądając przelotnie na Lynn. Nadal zaciskała palce na teście Carla. - Co właściwie macie wspólnego z tym przypadkiem?

- Nazywam się Michael Pender, a to Lynn Peirce. To zadanie z anestezjologii: mamy śledzić ten przypadek.

- Rozumiem - mruknęła doktor Erikson i teraz dopiero oddała mu kartę. - Czy to dlatego, że mamy tu do czynienia ze śpiączką, która nastąpiła bezpośrednio po zabiegu w znieczuleniu ogólnym?

- Otóż to - przytaknął Michael, a potem uśmiechnął się dyplomatycznie, podał papiery Lynn i zaczął się wycofywać, mając nadzieję, że to już koniec rozmowy, ale doktor Erikson odezwała się ponownie: - Przyglądacie się tylko przypadkowi Vandermeera czy także Scarlett Morrison?

- A powinniśmy? - spytał przytomnie Michael.

- Niekoniecznie, ale to podobna sprawa.

- Czyli jeszcze jeden przypadek śpiączki o niejasnej etiologii? -

upewnił się Michael. Zerknął ukradkiem na Lynn, która mimo zmęczenia przysłuchiwała się rozmowie z szeroko otwartymi oczami. Była wyraźnie poruszona.

- Tak jest - potwierdziła lekarka. - Operacja odbyła się w piątek. I niestety, z podobnym skutkiem. Dziwię się, że nikt z anesteziologii wam o tym nie wspomniał.

- Ja też - odparł Michael. - Bo z pewnością byłoby dobrze, gdybyśmy śledzili i ten przypadek - dodał, spoglądając na Lynn, która wyglądała tak, jakby ktoś właśnie wymierzył jej policzek.

- Karta Morrison jest mi w tej chwili potrzebna, ale dam wam ją, gdy skończycie z Vandermeerem.

- Doskonale. - Michael chwycił Lynn pod ramię i niemal siłą odciągnął w stronę dwóch wolnych krzeseł. Usiedli z ulgą.

- Jeżeli to prawda z tym trzecim przypadkiem, to jest o wiele gorzej, niż sądziłam - wyszeptwała Lynn, podniecona i przerażona zarazem. - Bo skoro to sprawa z zeszłego tygodnia, to znaczy, że w Centrum Medycznym Mason-Dixon zdarzają się trzy przypadki śpiączki na pięć tysięcy zabiegów, a to już nie osiemdziesięciokrotnie, tylko studwudziestokrotnie większa częstość w porównaniu ze średnią!

- Uspokój się! - szepnął z naciskiem Michael. Spojrzał przez ramię na doktor Erikson, w nadziei, że przestała się nimi interesować. Na szczęście wyglądała na całkowicie pochłoniętą pracą. - Przyszliśmy tu, żeby zajrzeć do karty Carla, więc zrobmy to i wynośmy się stąd w cholerę!

Nie było łatwo zastosować się do polecenia Michaela, ale po chwili Lynn wreszcie otworzyła kartę. Ostatniego wpisu dokonał rezydent z neurologii, Charles Stuart, którego wezwano nocą, gdy Carl dostał gorączki. Stuart zlecił natychmiastowe prześwietlenie płuc aparatem przenośnym. Na zdjęciu nie stwierdzono oznak zapalenia płuc. W operowanym miejscu nie wystąpiło zaczerwienienie ani obrzęk. Próbkę moczu odesłano do badania bakteriologicznego, pobrano też próbkę krwi i zlecono badanie ogólne. Notatki kończyły się następującym wnioskiem: „Przyczyny gorączki nieznane. Obserwować. Konieczna konsultacja”.

- Może doktor Erikson przyszła właśnie na konsultację - zasugerowała Lynn.

- Może i tak. Ale dlaczego z hematologii, a nie chorób zakaźnych? To się nie trzyma kupy.

Lynn przekartkowała resztę dokumentacji, szukając wśród wyników badań wydruku z rezonansu magnetycznego. Dowiedziała się

przy okazji, że wykonano także tomografię komputerową. Ułożyła teczkę tak, by oboje mogli przeczytać raport. Michael skończył pierwszy i w milczeniu zaczął na Lynn.

- Sporo tu terminów, których nie rozumiem - powiedział.

- Właśnie - przytaknęła Lynn. - Ale nawet jeśli nie ogarniamy detali, ogólny wydzźwięk jest jasny: sytuacja nie jest dobra. Z podsumowania wynika, że tomografia komputerowa ujawniła rozległy obrzęk mózgu, a w rezonansie magnetycznym hiperintensywny sygnał korowy wskazuje na rozległe niedokrwienie mózgu. Czyli zgodnie z przewidywaniami doktora Stuarta. Innymi słowy: śmierć mózgową... - Lynn nie dokończyła zdania.

- Przykro mi. - Michael współczuł jej z całego serca.

- Dziękuję - odpowiedziała zduszonym głosem. Próbowwała nie płakać, chociaż było to najgorsze rozpoznanie z możliwych. Miała przecież być trzeźwo myślącą, obiektywną studentką medycyny.

- Chcesz jeszcze czegoś poszukać w karcie? - spytał Michael.

Pokręciła głową. Nie widziała w tym sensu, werdykt został już ogłoszony. Trudno było przewidzieć, czy pewnego dnia Carl w jakimś stopniu odzyska świadomość, ale nawet gdyby tak się stało, nie było szans na to, że kiedykolwiek będzie tym samym człowiekiem, którego znała. Prawdopodobnie w najlepszym razie należało się spodziewać, że wejdzie w permanentny stan wegetatywny, o którego upiornej rzeczywistości naczytała się ostatniej nocy. Pień mózgu funkcjonowałby latami bez sygnałów z kory. Występowałyby pewne cechy cyklu snu i aktywności, ale w praktyce Carl byłby nieświadomy siebie i otoczenia. Wymagałby troskliwej opieki aż do śmierci. Krótko mówiąc, czekała go nieludzka egzystencja. Lynn wzdygnęła się mimowolnie, zastanawiając się, czy wytrzyma takie obciążenie.

Michael wstał i spróbował dodać jej otuchy, po przyjacielsku ściskając jej ramię. Potem odniósł doktor Erikson kartę Carla i powrócił z dokumentacją medyczną Scarlett Morrison. Położył jej teczkę przed Lynn, która siedziała jak w transie, zapatrzona w przestrzeń.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak dobrze, jak można się czuć w takiej sytuacji - odpowiedziała drżącym głosem. Wreszcie jakby się ocknęła, potrząsnęła głową, usiadła prosto i otworzyła teczkę Scarlett Morrison.

Rozdział 16

Wtorek, 7 kwietnia, 6.52

Początkowo milczeli i tylko skinieniem głowy dawali sobie sygnał, gdy któreś z nich doczytało stronę do końca. Z początku Lynn nie mogła przestać myśleć o tym, dlaczego Charles Stuart nie wspomniał jej ani słowem o tym, że tak niedawno miał do czynienia z niemal identycznym przypadkiem. Odpowiedź pojawiła się dość szybko: tę pacjentkę badała inna rezydentka, doktor Mercedes Santiago. Wiedzieli już dostatecznie dużo na temat komunikacji - albo braku komunikacji - między lekarzami, żeby zdawać sobie sprawę, że istnienie niemal identycznych przypadków mogło pozostać tajemnicą aż do czasu wspólnego obchodu dwojga neurologów.

Czytając kartę pacjentki, Lynn i Michael z każdą chwilą dopatrywali się coraz bardziej uderzających podobieństw. Przede wszystkim Scarlett Morrison była niemal w tym samym wieku co Carl i podobnie jak on była singlem. Po drugie, była zupełnie zdrowa, jeśli nie liczyć kłopotów z kamieniami żółciowymi. Tak jak Carl na zabieg zgłosiła się sama, nie był to nagły wypadek. Poddano ją laparoskopowej cholecystektomii, czyli zabiegowi usunięcia pęcherzyka żółciowego. Zgodnie z raportem, operacja przebiegła bez najmniejszych problemów, podobnie jak rekonstrukcja więzadła Carla. Zgadzała się nawet godzina - siódma trzydzieści rano - zatem zespół lekarzy musiał być świeży i wypoczęty.

Brakowało osobnego, odrębnego raportu anestezjologa, doktora Marka Pearlmana - pojawiła się tylko krótka wzmianka o niedokrwieniu kory mózgowej, a następnie lista medykamentów, którymi daremnie próbowano odwrócić działanie środków znieczulających i zwioteczających, gdyż pojawiło się podejrzenie ich przedawkowania. Chcąc poznać dokładny przebieg procesu znieczulania pacjentki, Lynn i Michael musieli wczytać się w automatyczny raport wygenerowany przez aparat do znieczuleń.

Dowiedzieli się z niego, że podobnie jak w przypadku Carla,

znieczulenie przebiegało prawidłowo przez większą część operacji aż do chwili, w której nastąpił niespodziewany i niewyjaśniony spadek natlenowania krwi pacjentki. Z załączonego wykresu odczytali, że saturacja spadła ze stu do dziewięćdziesięciu procent, by po paru minutach powrócić do dziewięćdziesięciu ośmiu procent. Tak jak u Carla, u Scarlett Morrison także wystąpiła niemiaraowa akcja serca wywołana niedotlenieniem - dokładnie w tym samym czasie, gdy spadała saturacja.

Im dłużej czytali wydruk z aparatu, tym więcej dostrzegali drobnych różnic między obiema sprawami - i nie chodziło tylko o to, że jedną operację przeprowadzono w sali numer osiemnaście, a drugą w sali numer dwanaście. Po pierwsze, w przypadku Scarlett anestetykiem był desfluran, a nie izofluran. Po drugie, użyto rurki intubacyjnej, a nie maski krtaniowej. Po trzecie, jako dodatkowego środka zwiotczającego na czas operacji jamy brzusznej użyto sukcylocholino. Wystąpiły jednak i kolejne podobieństwa: w obu przypadkach podano pacjentom midazolam i propofol, w dodatku w bardzo podobnych dawkach, naturalnie uzależnionych od masy ciała.

Gdy Lynn doczytała ostatnią stronę raportu, spojrzała na Michaela, który - siedząc plecami do Petera i doktor Erikson - właśnie przymierzał się do sfotografowania dokumentu. Skinął na nią, by uniosła kartę Morrison nieco wyżej, tak aby mógł wykonać zdjęcie raportu anestezjologicznego, nie wstając z krzesła. Zrobiła to, choć gryzła ją poczucie winy. Gdy tylko Michael pstryknął zdjęcie, aparat zniknął w jego kieszeni.

Zerknęli niespokojnie w stronę Petera i doktor Erikson. Na szczęście nikt niczego nie zauważył. Lynn odetchnęła z ulgą; Michael zachowywał kamienny spokój.

- Co myślisz o różnicach? - spytał.

- Wyczytałam wczoraj, że wybudzanie po zastosowaniu desfluranu przebiega szybciej niż po izofluranie, więc ta różnica nie ma wielkiego znaczenia. Poza tym rurka intubacyjna jest zasadniczo bezpieczniejszym środkiem niż maska krtaniowa. I to wszystko, zatem nie widzę problemu. Użycie substancji zwiotczającej także nie powinno być groźne, jeśli pacjent jest zaintubowany. Krótko mówiąc, nie uważam, żeby te różnice miały istotne znaczenie.

- Dziewczyno, widzę, że naprawdę nie próżnowałaś tej nocy.
- Miałam do dyspozycji sporo bezsennych godzin.

Odwróciła kartkę raportu, żeby spojrzeć na wykres parametrów życiowych Morrison, rejestrowanych od chwili przewiezienia jej na Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego. Wskazała palcem

na krzywą temperatury ciała. Scarlett Morrison przeżyła gwałtowny atak gorączki dzień po operacji - dokładnie tak samo jak Carl. W dodatku temperatura sięgnęła identycznego poziomu: 40,5 stopnia. Gorączka utrzymała się przez całą niedzielę i poniedziałek, powoli spadając do poziomu 37,8 stopnia, co zdaniem wielu oznacza stan podgorączkowy.

- Zdumiewające - dodała półgłosem po krótkiej pauzie. - W sensie klinicznym jak dotąd te dwa przypadki wydają się praktycznie identyczne. Czy możliwy jest tak dziwny zbieg okoliczności?

Michael wzruszył ramionami.

- O ile pamiętam, z Ashanti było podobnie. Jestem niemal pewny, że też miała gorączkę. Sądzisz, że może chodzić o nową, nieznaną reakcję na anestetyki, wywołującą także wzrost temperatury?

- W tym momencie nikt tego nie wie - odparła Lynn. Wróciła jeszcze raz do wyników badania krwi. - Wygląda na to, że gorączce towarzyszył wzrost liczby białych krwinek. To z kolei sugeruje zakażenie.

Michael skinął głową.

- Zgoda, ale nie nastąpiło namnożenie neutrofilów ani przesunięcie w lewo.

Oboje wiedzieli, że w obliczu zakażenia organizm zwykle reaguje natychmiastowym zwiększeniem liczby neutrofilów - komórek zwalczających zakażenia bakteryjne. Wtedy też zaczynały przeważać młode komórki nad tymi z wielosegmentowym jądrem, a to właśnie nazywano przesunięciem w lewo w rozmazie krwi.

- Ale spójrz na to - zaproponowała Lynn. - Może nie ma zmiany liczby neutrofilów, ale przybyło limfocytów. Czy nie jest tak, że zwykle taki właśnie jest skutek odpowiedzi odpornościowej w późniejszej fazie zakażenia?

- Tak to powinno działać.

- W takim razie popatrz tutaj: z każdym dniem zwiększała się liczba limfocytów. Co to oznacza?

- Uwaga, będę oszukiwał - odparł Michael, sięgając po tabletkę. Wpisł w wyszukiwarce „przyczyny wzrostu liczby limfocytów” i dzięki błogosławieństwu Internetu w ułamku sekundy otrzymał długą listę odpowiedzi. Wymienił na głos najczęstsze przyczyny: - Białaczka, mononukleozę zakaźną, HIV, CMV, inne wirusy, gruźlica, szpiczak mnogi, zapalenie naczyń oraz krztusiec.

Nie doczekawszy się reakcji, Michael zerknął na Lynn. Była zajęta przeglądaniem wyników konsultacji pod kątem chorób zakaźnych.

- „Nie wykryto źródła zakażenia” - przeczytała. - Prześwietlenie klatki piersiowej w porządku, badanie ogólne moczu w normie, stanu zapalnego w miejscu operacji nie stwierdzono.

- Słuchałaś listy przyczyn limfocytozy? - spytał Michael.

Lynn pokręciła głową.

- Przepraszam. Możesz przeczytać jeszcze raz?

Przeczytał. Tym razem słuchała uważnie, a potem zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Większość możemy zignorować - stwierdziła wreszcie. - Zdaje się, że najbardziej prawdopodobne przyczyny to „zapalenie naczyń” oraz „inne wirusy”.

- Może - zgodził się Michael. - Ale naprawdę nie widzisz tu nic uderzającego?

- Co masz na myśli?

- Szpiczak mnogi powoduje wzrost liczby limfocytów. Zwróciłem na to uwagę, bo akurat wczoraj dowiedziałem się, że szpiczaka wykryto u Ashanti. Może Morrison też go ma?

- To byłby już niewiarygodny zbieg okoliczności - odparła Lynn.

- W życiu nie miałam do czynienia z przypadkiem szpiczaka mnogiego i niewiele o nim wiem, poza tym, że chodzi o nadmiar plazmacytów w szpiku. Dobrze mi się wydaje, że to dość rzadka choroba?

- Nie aż tak bardzo, jeśli dobrze pamiętam. Choć oczywiście wszystko jest względne. Zdaje się, że mieliśmy jeden wykład z patologii, podczas którego była mowa o szpiczaku mnogim.

- Zdaje ci się, że mieliśmy wykład? - powtórzyła Lynn, nie kryjąc rozczarowania.

- Ale niewiele z niego pamiętam ponad to, o czym już mówiłaś: że ma związek z liczbą plazmacytów. I jeszcze jedno: że należy do pierwszej dziesiątki nowotworów powodujących zgony wśród czarnych braci. Może dlatego tak mi utkwił w pamięci. Tak czy owak, trudno mi było nie zauważyć szpiczaka wśród wszystkich potencjalnych powodów limfocytozy, które wymieniłem.

- Ciekawe, czy właśnie wzrost liczby limfocytów sprawił, że pojawiła się ta doktor Erikson - powiedziała Lynn.

- Brzmi to sensownie - przyznał Michael. - Myślisz, że powinniśmy zaryzykować i... zapytać ją o to?

Lynn spojrzała na lekarzkę, wciąż pochyloną nad papierami i zajęętą dyktowaniem notatki do elektronicznej karty pacjenta. Kilka minut wcześniej była pochłonięta sporządzaniem odręcznej notatki. Szpital nie był jeszcze gotowy na stuprocentowo skomputeryzowany obieg

informacji - do czasu ostatecznej rezygnacji z papierowych kart pacjentów konsultanci musieli posługiwać się oboma systemami i kleli na czym świat stoi.

- Chyba nie - odpowiedziała po krótkiej pauzie. - Jeśli zaczniemy rozmowę, w końcu spyta nas o szczegóły, będzie chciała wiedzieć, dlaczego tu przyszliśmy. Jak mówiłeś, lekarze prowadzący takie sprawy są wyjątkowo drażliwi.

- Racja, dziewczyno.

- Ale sprawdźmy, czy sporządziła notatkę do tej karty. Może tam znajdziemy odpowiedź.

Lynn znowu zaczęła wertować papiery i rzeczywiście, na ostatniej pozycji wśród codziennych raportów znalazła notatkę doktor Erikson. Miała straszny charakter pisma.

Dziękuję za zaproszenie mnie do ponownej konsultacji. Jak sygnalizowałam w poprzednim [nieczytelne], u pacjentki występuje stale podwyższona temperatura ciała. Spadek jest powolny, dzisiejszy pomiar wykazał 37,8 stopnia. W badaniu krwi stwierdzono umiarkowaną i [nieczytelne] limfocytozę. Aktualny stan: 6300 limfocytów I mikrolitr, co stanowi 45 procent WBC. Z przyjemnością informuję, że nie znaleziono żadnego źródła zakażenia. Ogólna liczba globulin jest [nieczytelne] podwyższona. Elektroforeza białka wykazuje niewielki przyrost liczby gammaglobulin, co wskazuje na [nieczytelne] rozwoju gammapatii monoklonalnej (MGUS). Jednakże nie uważam, by ta ewentualność albo długotrwała gorączka stanowiły przeciwwskazanie wobec planu przeniesienia pacjentki do Instytutu Shapiro. Uważam, że transfer ten leży w jej najlepszym [nieczytelne] i zamierzam śledzić przypadek tej pacjentki. Dr Siri [nieczytelne, prawdopodobnie Erikson]

- Kurwa mać, co to jest ta gammapatia albo MGUS? - spytał sfrustrowany Michael. - Nienawidzę, kiedy konsultant rzuca jakimiś słówkami prosto z dupy, tylko po to, żeby człowiek się poczuł niekompetentny.

- Teraz moja pora na oszustwo.

Lynn wyjęła tablet i wpisała w Google hasło „gammapatia”. Może

nie znała dokładnej definicji, ale mniej więcej wiedziała, o co chodzi. Wybrała odpowiedź z Wikipedii i położyła tablet na stoliku, by razem mogli przeczytać hasło zatytułowany „Gammapatia monoklonalna o nieokreślonym znaczeniu”.

Gdy skończyła lekturę, Michael spytał:

- I co o tym myślisz, poza tym, że już znasz znaczenie skrótu MGUS?

- Jestem tak zmęczona, że prawie nie myślę - wyznała.

- Nie dziwię się. Jesteś niewyspana i głodna. Chodźmy wreszcie! Zjemy coś na dole, zanim całkiem skończy ci się paliwo.

- Jeszcze moment. - Lynn zebrała siły. - Jeśli dobrze zrozumiałam, MGUS to występowanie zwiększonej liczby nieprawidłowych immunoglobulin produkowanych przez grupę komórek plazmocytowych bez żadnych objawów szpiczaka. Ale naprawdę zaskakujące jest dla mnie to, jak powszechna jest ta choroba, a przecież na zajęciach z chorób wewnętrznych ledwie o niej wspomniano.

- Owszem, jest dość częsta, ale u ludzi po pięćdziesiątce. A ta pacjentka ma dwadzieścia osiem lat.

- Prawda. A sama gammapatia monoklonalna nie jest aż tak groźna.

- Nie jest, dopóki nie przekształci się w szpiczaka mnogiego. Zastanawiam się, czy w przypadku Ashanti też zaczęło się od MGUS, z której potem dopiero rozwinął się szpiczak.

- Nie można tego wykluczyć - odrzekła Lynn. - Popatrzmy jeszcze na wynik badania, o którym wspomniała Erikson w swojej nocie: na elektroforezę białka. Coś pamiętam na ten temat; w zeszłym roku musiałam obserwować wyniki leczenia pacjentki z ostrym zapaleniem wątroby.

Lynn wróciła do tej części karty pacjenta, w której zgromadzono wyniki badań laboratoryjnych. Nie potrzebowała wiele czasu, by odnaleźć wydruk z elektroforezy. Stężenie rozmaitych białek ujęto w postaci listy oraz wykresu. Lynn i Michael skupili się na postaci graficznej. Po prawej stronie, gdzie należało oczekiwać względnie gładkiego pagórka reprezentującego gammaglobuliny, widniał ostro zwieńczony, wąski wierzchołek.

- Łatwo to zauważyć - stwierdził Michael. - Widać, że układ odpornościowy tej kobiety produkuje konkretne przeciwciała. Jak sądzisz, dlaczego to robi?

- Pod wpływem jakiegoś antygeny. Może antygen, który zmusił pierwszy limfocyt do produkcji konkretnej immunoglobuliny, nadal jest obecny w ciele Scarlett Morrison i nadal stymuluje produkcję

coraz większej i większej liczby jednakowych przeciwciał? Co o tym myślisz?

- Nie można wykluczyć takiego scenariusza. Chyba że ów pierwszy limfocyt po prostu dostał szajby, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Sugerujesz, że zachowuje się jak komórka rakowa?

- Mniej więcej - odparł Michael. - Komórkowa maszyna do produkcji przeciwciał została uruchomiona i ktoś zapomniał ją wyłączyć.

- Wracając do twojego pytania o to, czy znieczulenie ogólne mogło wywołać gorączkę... Ja mam jeszcze ciekawsze pytanie: czy znieczulenie ogólne mogło spowodować włączenie produkcji owego przeciwciała monoklonalnego?

Michael popatrzył w oczy Lynn, doskonale rozumiejąc, skąd w jej głowie takie pomysły: rozpaczliwie poszukiwała wyjaśnienia fatalnego stanu Carla i gotowa była strzelać na oślep.

- Mówię o jakiejś idiopatycznej reakcji, która jeszcze nie została zaobserwowana.

- Nie - odparł stanowczo Michael. - Znieczulanie nie ma nic wspólnego z przeciwciałami. Chciałbym przytaknąć, żeby cię zepchnąć z kursu kolizyjnego, na który wracasz uparcie podejrzewając, że ktoś tu popełnił błąd. Ale anestetyki stosowano już u tak wielu ludzi i od tak dawna, że nie ma mowy, by istniała jeszcze nierozpoznana odpowiedź immunologiczna na ich działanie, objawiająca się gorączką i produkcją przeciwciał monoklonalnych. A tym bardziej wywołująca śpiączkę u zdrowych ludzi. Nie ma mowy. Przykro mi, dziewczyno.

- Wiedziałam, że to powiesz.

- I powiedziałem, bo taka jest prawda. A teraz marsz do bufetu. O dziewiątej mamy wykład z dermatologii.

- Jeszcze nie skończyłam - odpowiedziała Lynn. Wyłączyła tablet i schowała do kieszeni, po czym otworzyła kartę Morrison na wyniku rezonansu magnetycznego. Podobnie jak u Carla, i tu stwierdzono rozległe niedokrwienie mózgu. Lynn zamknęła kartę i spojrzała na doktor Erikson, wciąż zajęta na przemian dyktowaniem do telefonu i sporządzaniem odręcznych notatek.

- Chcę jeszcze raz zajrzeć do karty Carla - powiedziała i zerwała się, pchnięta nagłym impulsem. Sięgnęła po teczkę Scarlett Morrison.

- Ale po co? - jęknął Michael, łapiąc Lynn za rękaw fartucha. - Dlaczego chcesz ryzykować? Przecież nic się tam nie zmieniło.

- Nie patrzyliśmy na wyniki badania krwi Carla - odparła,

wyrywając rękaw z jego uchwytu. - Poza tym możliwe, że Erikson dopisała coś ciekawego w jego karcie. A jeśli tak, to chcę to zobaczyć.

Rozdział 17

Wtorek, 7 kwietnia, 7.20

- Przepraszam - powiedziała Lynn, podchodząc do doktor Erikson. Podała jej kartę Morrison. - Dziękuję, że zwróciła pani naszą uwagę na ten przypadek. Rzeczywiście, jest bardzo podobny do sprawy Vandermeera i zdecydowanie powinniśmy się z nim bliżej zapoznać. Lekarka spojrzała na nią przelotnie.

- Mam odłożyć kartę Morrison z powrotem do segregatora czy będzie jej pani potrzebować? - spytała Lynn.

Lekarka wskazała na sąsiedni pulpit.

- Może tu - odpowiedziała w roztargnieniu, nie patrząc nawet w stronę Lynn.

- Strasznie mi przykro, że zawracam głowę, ale chcielibyśmy jeszcze raz zajrzeć do karty Vandermeera. Zdaje się, że przeoczyliśmy coś ważnego.

Doktor Erikson uniosła głowę dość gwałtownym ruchem i zmierzyla Lynn lodowatym błękitnym spojrzeniem. Jej nozdrza rozszerzyły się ostrzegawczo. Przez chwilę Lynn miała wrażenie, że nic nie wskóra, lecz nagle rysy kobiety złagodniały.

- Ale jeśli to dla pani kłopot, to wrócimy później - dodała prędko Lynn. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi, lecz teraz, z bliska, twarz lekarki wydawała jej się nie zdrowa. Policzki były zapadnięte, a blada skóra tak cienka, że niemal przezroczysta. Pod oczami zaznaczały się sinawe, ciemne półkola. - Po prostu pomyślałam, że już pani skończyła.

- Nie, to nie kłopot - odpowiedziała wreszcie doktor Erikson. Wydobyła kartę Carla spod sterty innych i podała ją Lynn. - To z którego właściwie roku jesteście? - spytała.

- Z czwartego - odparła Lynn, przeczuwając kłopoty. Jej puls nagle przyspieszył. Dopiero teraz, stojąc tuż obok, zauważyła, że doktor Erikson ma dość wydatny brzuch, jakby była w czwartym lub piątym miesiącu ciąży, co wydawało się niemożliwe, jeśli wziąć pod

uwagę jej wiek.

- Macie fakultet z anestezjologii?

Lynn skinęła głową.

- To jedna z ostatnich specjalizacji, które poznajemy przed dyplomem. - Miała nadzieję, że doktor Erikson nie wie, iż szpital Mason-Dixon oferuje studentom czwartego roku zaawansowane szkolenie jedynie z okulistyki, laryngologii i dermatologii.

- Udało wam się odkryć prawdopodobną przyczynę wystąpienia śpiączki u tych pacjentów? - spytała lekarka.

- Niestety, nie - odrzekła Lynn. Żałowała, że dała się wciągnąć w tę rozmowę. - A pani ma jakieś podejrzenia?

- Jasne, że nie. Jestem hematologiem, a nie anestezjologiem.

Lynn chciała się oddalić, ale doktor Erikson nie pozwoliła jej na to: wciąż trzymała kartę Carla. Po chwili niezręcznego milczenia, wciąż spoglądając przenikliwie w oczy studentki, lekarka spytała:

- Intuicja też wam nie podpowiada, co się mogło zdarzyć?

- Jak dotąd nie.

- Dajcie mi znać, jeśli coś ciekawego przyjdzie wam do głowy! - powiedziała doktor Erikson i zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba. W końcu wypuściła z ręki kartę Carla.

- Z przyjemnością się z panią skontaktuję, jeśli coś odkryjemy - odrzekła z ulgą Lynn.

- Liczę na to. - Doktor Erikson podała jej wizytówkę wyjętą z kieszeni fartucha. - Oto mój telefon. Chętnie posłucham, jeśli będziecie mieli coś do powiedzenia.

- Dziękuję - bąknęła Lynn. Spojrzała na wizytówkę i uśmiechnęła się niepewnie. Właśnie miała uciec, gdy lekarka odezwała się raz jeszcze:

- Jakies pytania?

Mimo zmęczenia i strachu Lynn gorączkowo próbowała wymyślić pytanie. Marzyła o tym, żeby zapaść się pod ziemię, lecz jednocześnie wiedziała, że najlepiej będzie nadal grać rolę pilnej studentki medycyny i trzymać się „naukowych” tematów. Inaczej z pewnością czekała ją rozmowa o tym, czego dopuściła się do spółki z Micha-elem: o złamaniu obowiązujących zasad i samowolnym przeglądaniu kart pacjentów.

- Otóż - zaczęła wreszcie - w nocy konsultacyjnej, którą dołączyła pani do karty Scarlett Morrison, pojawiła się wzmianka o możliwej gammopatii monoklonalnej. Sądzi pani, że mógł to być uboczny skutek znieczulenia?

- Wykluczone! - Doktor Erikson parsknęła lekceważąco, jakby

właśnie usłyszała najbardziej niedorzeczne pytanie świata. - Nie ma mowy, by znieczulenie wywołało gammadatię. Pacjentka musiała na nią chorować jeszcze przed operacją. W przypadku bezobjawowo przebiegającej gammadatii jedynym sposobem na jej wykrycie jest wykonanie proteinogramu, a Morrison nigdy nie była poddana takiemu badaniu, do czasu, aż sama je zleciłam, gdy zaczęła się ta niewyjaśniona gorączka.

- Rozumiem - odrzekła Lynn, myśląc usilnie nad kolejnym pytaniem. - Czy w przypadku Carla Vandermeera także będzie pani udzielać konsultacji hematologicznej?

- A dlaczego pani pyta? - zainteresowała się doktor Erikson.

- Bo przeglądała pani jego kartę, a wcześniej konsultowała Scarlett Morrison.

- Odpowiedź brzmi: nie. Przyglądałam się temu pacjentowi niejako grzecznościowo, bo pielęgniarki wspominały, że podobnie jak Morrison ma podwyższoną temperaturę bez śladów zakażenia.

- Myśli pani, że w jej przypadku powodem jest gammadatia? - spytała Lynn.

- To akurat znakomite pytanie - pochwaliła ją doktor Erikson.

Lynn odetchnęła z ulgą.

- Odpowiedź immunologiczna istotnie może wywołać wzrost temperatury - zaczęła doktor Erikson nieco belferskim tonem. - Nie sposób ustalić tego ponad wszelką wątpliwość, ale jako że udało się wykluczyć możliwość zakażenia, możemy założyć, że to gammadatia spowodowała wystąpienie gorączki.

- Zatem jakiś czynnik stymuluje jej układ odpornościowy, wywołując przy tym wzrost temperatury?

- Tak przypuszczam. Może to stres wywołany tym, co ją spotkało? Naprawdę trudno orzec.

- A czy istnieje jakiś sposób leczenia gammadatii?

- W zasadzie nie trzeba jej leczyć, póki podwyższone stężenie białka nie zaburza pracy nerek i póki gammadatia nie przekształca się w szpiczaka.

- W szpiczaka mnogiego?

- Właśnie. W szpiczaka mnogiego albo białaczkę plazmatycznokomórkową.

- Czy skoro Vandermeer ma podwyższoną temperaturę i żadnych objawów zakażenia, pani zdaniem też ma gammadatię?

Doktor Erikson nie odpowiedziała od razu. Lynn wystraszyła się, że w końcu znowu zdołała wyprowadzić ją z równowagi. Trzeba było się wycofać, kiedy była ku temu okazja, skarciła się w duchu,

spoglądając na zwężone źrenice i rozszerzone nozdrza lekarki.

- Możliwe, że u Vandermeera choroba zakaźna dopiero się rozwija - wycodziła wreszcie doktor Erikson. - Poczekamy, zobaczymy.

- Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas - powiedziała Lynn, po czym prędko wróciła na swoje miejsce. Kładąc na blacie kartę Carla, spojrzała na Michaela, który najwyraźniej zaczął się nudzić.

- Niezła wymiana ognia - zauważył półgłosem.

- Przepraszam, nie mogłam się wcześniej wycofać - odpowiedziała równie cicho.

- Akurat.

- Naprawdę. Najpierw trzymała kartę, a potem mnie przepytowała. Chciała wiedzieć, z którego roku jesteśmy. Byłam pewna, że przyczepi się do bajki o fakultecie z anestezjologii, na szczęście myliłam się. Co do jednego nie mam wątpliwości: ona jest trochę dziwna.

- Naprawdę? Oświeć mnie.

- Trudno mi to wyjaśnić. Przez chwilę zdawało mi się, że jest wściekła o to, że tu w ogóle jesteśmy, że grzebiemy w kartach. Obawiałam się najgorszego. A potem nagle jej zachowanie się zmieniło... a przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Prawdę mówiąc, jestem tak padnięta, że moja głowa raczej nie pracuje zbyt sprawnie i pewnie wyobrażam sobie Bóg wie co. Ale sam powiedz: czy twoim zdaniem ona wygląda na zdrową?

- Właściwie nie zwróciłem uwagi - przyznał Michael i zaczął się odwracać, by spojrzeć na doktor Erikson. Lynn w porę go zatrzymała.

- Nie patrz! - syknęła z naciskiem. - Zachowaj spokój. Powtarzam: ona jest dziwna i może nam narobić kłopotów. Zaufaj mi. Nie dawajmy jej więcej powodów do kontynuowania przesłuchania. Ja naprawdę byłam pewna, że zaraz każe mi tłumaczyć, co tu robimy. Zauważyłeś może, że ma wzdęty brzuch, jakby była w ciąży?

- Naprawdę? - zdziwił się Michael, unosząc brwi. Raz jeszcze zaczął obracać się w stronę lekarki i raz jeszcze powstrzymała go Lynn.

- Powiedziałam: nie patrz! - warknęła.

- Nie wierzę, że to ciąża. Przecież ona ma już swoje lata.

- Ja też sobie tego nie wyobrażam, chociaż trudno to na sto procent wykluczyć przy dzisiejszym zaawansowaniu technik sztucznego zapłodnienia. Ale sądzę, że w tym przypadku chodzi raczej o jakąś chorobę wątroby albo nerek.

- Może masz rację - odparł Michael. Cała ta sytuacja zaczynała go nudzić. Był też coraz bardziej głodny.

- Ale najdziwniejsze było to, że poprosiła, żebyśmy koniecznie

się do niej odezwali, jeśli dojdziemy do jakichś ciekawych wniosków w sprawie czynników, które mogły sprawić, że Carl i ta Morrison nie wybudzili się ze znieczulenia.

- Mam nadzieję, że nie wyskoczyłaś z czymś w rodzaju „na pewno ktoś spieprzył robotę”...

- Nie wyskoczyłam.

- Dzięki Bogu.

- Powiedziałam, że nie mamy pojęcia.

- Czyli szczerą prawdę. Zaczynasz się uczyć, dziewczyno.

- Kazała mi obiecać, że skontaktujemy się z nią, gdy coś nam przyjdzie do głowy. Dała mi nawet swoją wizytówkę. - To mówiąc, pokazała wizytówkę Michaelowi, który bez słowa wzruszył ramionami. - Naprawdę nie widzisz w tym nic dziwnego? - spytała. - Dlaczego tak ją obchodzi to, co się zalegnie w głowach dwojga studentów? Przecież mogłaby zapytać o zdanie każdego, wszystkich anestezjologów, od szefa oddziału w dół.

- Fakt, to trochę dziwne - przyznał Michael. - Jesteś zadowolona?

Lynn na chwilę przymknęła powieki, jakby musiała się zresetować, a gdy znowu je uniosła, powiedziała:

- Na koniec spytałam ją, czy to możliwe, że gorączka Carla może być wywołana tym samym czynnikiem co u Morrison, czyli gammapatią. I w tym momencie jakby znowu się na mnie wściekła.

- Ciekawe. I co powiedziała?

- Powiedziała, że musimy poczekać i poobserwować go, bo być może choroba dopiero się rozwija. Wyglądała przy tym na wkurzoną tym, że w ogóle śmiem o to pytać.

- Dobra, rozumiem, ona jest dziwna. Czy teraz już możemy kopnąć się do bufetu?

- Pozwól tylko, że zajrzę jeszcze na moment do karty Carla. - Lynn otworzyła teczkę w części przeznaczoną na dopiski o zmianach w stanie chorego. Nie było tam notatki doktor Erikson. Dopiero na stronie zaleceń zauważyła podpisaną przez nią prośbę o wykonanie proteinogramu. Lynn zapatrzyła się w dal, myśląc intensywnie.

- No dobra, skończyliśmy? Rusz się; musimy stąd zniknąć - zniecierpliwił się Michael.

- Jeszcze tylko wyniki badania krwi - odpowiedziała, przewracając kartkę. - No dobra - mruknęła po chwili. - Leukocyty: jedenaście tysięcy. Ktoś mógłby powiedzieć, że to nie jest podwyższony stan, ale ja tak uważam. Kluczowy jest fakt, że podwyższona jest też liczba limfocytów, prawie pięć tysięcy, co raczej przeczy teorii o zakażeniu.

- Super. Czy możemy już iść na śniadanie?
- Dobrze, ale muszę zwrócić kartę.
- Tylko nie pakuj się w kolejną pogawędkę - napomniał ją Michael.

- W życiu. Oddam kartę Peterowi.

Ulotnili się w ostatniej chwili: gdy oddalali się od okrągłego konuaru dyżurki, obchód właśnie dobiegł końca i ze wszystkich stron schodziły się pielęgniarki. Ich przełożona, Gwen Murphy, spojrzała uważnie na odchodzących studentów, ale nie odezwała się. Na oddziale intensywnej terapii nader niewiele było spraw, które uchodziły jej uwagi.

Zanim Lynn pchnęła ciężkie drzwi prowadzące na korytarz przecinający całe piąte piętro gmachu, przystanąła i po raz ostatni zerknęła na Carla. Stała przy nim pielęgniarka manipulująca przy sprzęcie. Nadal wyglądał na spokojnie śpiącego; nadal też maszyna cierpliwie wprawiała w ruch jego zoperowane kolano.

Lynn wzdygnęła się. Wiedziała, że ów pozorny spokój żywo kontrastuje z kompletnym chaosem, który spustoszył mózg Carla. Rezonans i tomografia potwierdziły jej najgorsze obawy, a ponura rzeczywistość przydała jej nowej energii, poczucia misji. W tym momencie już nie dbała o to, czy jakaś częśćka jej motywacji do działania wynika z poczucia winy za to, że podświadomie postawiła znak równości między nieszczęściem Carla a swoją wolnością. Intuicja, która do tej pory nigdy jej nie zawodziła, wysyłała jej teraz gwałtowne sygnały alarmowe: coś tutaj było nie tak, i to bardzo. Lynn przeczuwała, że władze szpitala z lubością przymkną oczy na tę sprawę, pozwolą jej umrzeć śmiercią naturalną, ponieważ leży to w ich interesie. Lecz ona nie zamierzała na to pozwolić. Postanowiła, że dowie się, co naprawdę zaszło. Przynajmniej tyle była winna Carlowi i przyszłym pacjentom.

- Chodźże! - ponaglił ją Michael. - Brakuje mi kalorii tak samo jak tobie, a wykład z dermatologii nie będzie na nas czekał.

- Już idę - odparła Lynn.

Kiedy ruszyli w głąb korytarza, zatrzeszczały ścienne głośniki. Jak wszyscy inni pracownicy szpitala zatrzymali się, żeby posłuchać. Dawniej niemal bez przerwy można było usłyszeć wezwania adresowane do lekarzy poszukiwanych na tym czy innym oddziale. Teraz, w epoce smartfonów i tabletów, nikt już nie używał głośników w tym celu. W Centrum Medycznym Mason-Dixon służyły już tylko po to, by obwieszczać nadejście prawdziwych katastrof. I właśnie dlatego, gdy tylko włączały się głośniki, wszyscy pracownicy szpitala, nawet

ci z sal operacyjnych, zatrzymywali się, żeby posłuchać.

Do całego personelu medycznego! Na drodze międzystanowej w pobliżu naszego kampusu doszło do poważnego czołowego zderzenia autobusu z samochodem ciężarowym. Jako najbliższa placówka medyczna wkrótce przyjmimy najciężiej rannych. Każdy, kto może, niech stawi się natychmiast na izbie przyjęć! Personel sal operacyjnych zwolni i przygotowuje tyle sal operacyjnych, ile tylko zdoła. Dziękuję!

Lynn i Michael spojrzeli po sobie.

- Co ty na to? - spytał Michael. - Myślisz, że wezwanie dotyczy także studentów?

- Jesteśmy prawie lekarzami - odparła. - Chodźmy!

Pobiegli korytarzem, starając się nie wpadać na pielęgniarki, salowe, pacjentów ambulatoryjnych oraz wózki z jedzeniem. Po chwili byli już przy windach, lecz zamiast czekać na kabinę, puścili się schodami w dół. Bębniąc butami po stalowych stopniach, dotarli na parter i włączyli się w skłębiony, rosnący z każdą chwilą tłum lekarzy i pielęgniarek.

Rozdział 18

Wtorek, 7 kwietnia, 7.52

Szpitalny Oddział Ratunkowy przypominał dom wariatów. Niekończący się strumień rannych wlewał się do holu, skąd rozwożono ich do pokoi zabiegowych. Salki wyposażone w sprzęt ratunkowy były już zajęte. Kilkoro lekarzy pracowało w pośpiechu na zewnątrz, przed wejściem do oddziału, dokonując wstępnej segregacji pacjentów dowożonych kolejnymi karetkami. Ciężej ranni trafiali natychmiast na nosze, w ręce lekarzy i pielęgniarek, którzy w biegu przystępowali do działań ratunkowych. Ci, których obrażenia okazały się mniej groźne, czekali na zabiegi na wózkach ustawionych pod ścianą.

Ani Lynn, ani Michael nie mieli wielkiego doświadczenia w medycynie ratunkowej, jeśli nie liczyć serii krótkich i mocno dydaktycznych wykładów oraz raczej zapoznawczej wizyty na oddziale podczas zajęć z chirurgii, na trzecim roku. Nie znali też nikogo z tutejszego personelu. Większość lekarzy, którzy odpowiedzieli na wezwanie przez szpitalny interkom, dobrze wiedziała, co robić. Lynn i Michael nie mieli pojęcia. Nie widząc innej możliwości, pobiegli do kontuaru recepcji. W pierwszej chwili nikt nawet nie zwrócił na nich uwagi, ale nie trwało to długo: jako że pod białymi fartuchami nosili chirurgiczne stroje, pielęgniarki wzięły ich za rezydentów, a nie studentów medycyny.

- Możemy w czymś pomóc? - spytała Lynn jedną z zabieganych pielęgniarek, która, jak się wydawało, kierowała poczynaniami pozostałych: rozsyłała pacjentów w stronę wolnych pokoi i wykrzykiwała rozkazy. Stała za sięgającym jej piersi kontuarem, otoczona zespołem liczącym może dwadzieścia osób zajętych głównie rozmowami telefonicznymi i pospiesznym wypełnianiem formularzy. Raz po raz ktoś odrywał się od swego zajęcia i pędził w stronę któregoś z pokoi zabiegowych, a jego miejsce zajmowali inni. Kakofonię głosów potęgowało wycie syren; na podjeździe przed wejściem do oddziału hamowały kolejne ambulanse.

Pielęgniarka, do której zwróciła się Lynn, w pierwszej chwili nie odpowiedziała, tylko zmierzyła ją wzrokiem. Sądząc po jej nieobecny spojrzeniu, najprawdopodobniej próbowała analizować zbyt wiele danych naraz. Dopiero gdy Lynn powtórzyła pytanie, kobieta otrząsnęła się z transu. Sięgnęła po kartę leżącą na wierzchu sterty i wręczyła ją Lynn, mówiąc:

- Zajmijcie się tym przypadkiem! Pokój badań numer dwadzieścia dwa. Mężczyzna, lekkie problemy z oddychaniem, mechaniczny uraz klatki piersiowej.

Zanim Lynn zdążyła odpowiedzieć, oddziałowa ryknęła ile tchu w płucach w kierunku koleżanki pracującej w przeciwnym końcu holu, by sprowadziła więcej przenośnych aparatów rentgenowskich i przydzieliła je do poszczególnych pokoi. Następnie odwróciła się i rozkazała innej pielęgniarce sprawdzić, co się dzieje w sali urazowej numer jeden, i czy pacjent jest już gotowy do transportu na chirurgię.

Lynn odczytała z formularza przyjęcia pospiesznie nabazgrane nazwisko pacjenta: Clark Weston. Trudności z oddychaniem. Uraz mechaniczny. Ciśnienie krwi w normie, nieco przyspieszony puls: sto uderzeń na minutę. Dopisek u dołu: *Uzucie duszności, ale kolor właściwy. Uraz mostka, ale brak punktowego bólu wskazującego na uszkodzenie żeber. Ran nie stwierdzono. Kończyny w normie. Kości całe.* To wszystko. Żadnych wskazówek. Lynn rozejrzała się, w nadziei, że będzie mogła zamienić choć słowo z oddziałową, ale już jej nie było w zasięgu wzroku. Popatrzyła na Michaela, który razem z nią przeczytał notatkę z formularza.

- Jak myślisz? Damy radę? - spytała.

- Do roboty - odparł krótko.

Rozumieli, że pielęgniarka oddziałowa nie miała pojęcia, kim są naprawdę. Owszem, nosili na szyjach smycze z identyfikatorami, ale trzeba było pochylić się nad nimi i wyteńczyć wzrok, żeby zauważyć, że brakuje na nich słów „lekarz medycyny”.

Choć dookoła trwało pandemonium i nie było nikogo, kto miałby czas, żeby wskazać im drogę, bez problemu odnaleźli pokój numer dwadzieścia dwa. Lynn weszła pierwsza, a Michael podążył za nią i cicho zamknął drzwi. Znaleźli się w oazie spokoju ukrytej w epicentrum burzy.

Clark Weston leżał na plecach, podparty łokciami. Oddychał płytko, łąpczywie i szybko. Był jasnowłosym mężczyzną w średnim wieku, z lekką nadwagą. Miał na sobie białą koszulę, krawat, marynarkę i ciemne spodnie. Krawat na szczęście ktoś mu poluzował, a rozpięta koszula odsłaniała bladą pierś z doskonale widoczną siną

plamą pośrodku. Studenci zauważyli natychmiast, że wbrew temu, co napisano w formularzu, kolor jego skóry nie jest normalny: mężczyzna zaczynał sinieć, co widać było zwłaszcza po wargach. Spoglądał na nich z rozpaczą w oczach i zbyt mocno skupiał się na oddychaniu, by mógł wydobyć z siebie głos. Widać było, że bardzo się boi.

Lynn i Michael stanęli po bokach łóżka. Oboje czuli głównie przerażenie na myśl o tym, że mają do czynienia z czymś znacznie poważniejszym niż zwykła duszność, a jako nowicjusze pozostawieni sam na sam z umierającym pacjentem zostali rzućeni na zdecydowanie zbyt głęboką wodę.

- Mam nadzieję, że masz pojęcie, co powinniśmy zrobić - wymamrotał Michael.

- Liczyłam na ciebie - odpowiedziała Lynn.

Słyszając tę wymianę zdań, pacjent przewrócił oczami, a potem zacisnął powieki, koncentrując się w stu procentach na chwytaniu powietrza.

- Lepiej polecę po rezydenta - wypalił Michael i zanim Lynn odpowiedziała, ulotnił się z pokoju, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

Skazana tylko na siebie Lynn skoczyła po butlę z tlenem, przyciągnęła aparat bliżej, w pośpiechu przeciągnęła rurkę wokół głowy pacjenta i umieściła końcówki w jego nozdrzach. Założyła stetoskop, przycisnęła jego głowicę do piersi mężczyzny i nasłuchiwała. Oddech był tak szybki i płytki, że prawie nic nie słyszała; w badaniu z pewnością nie pomógł jej hałas dobiegający zza drzwi.

Dopiero teraz Lynn uświadomiła sobie, jak bardzo wydęta jest pierś Clarka Westona - przypominała balon. Co to mogło oznaczać? Starła się myśleć, sięgnąć do banków pamięci, przypomnieć sobie, czego ją uczono na zajęciach z diagnozowania, ale zmęczenie i strach, a także obezwładniające przekonanie o własnej niekompetencji nie ułatwiały jej zadania. Miała wrażenie, że to rozszerzenie klatki piersiowej oznacza coś ważnego, ale co? Nie pamiętała.

Przesunęła głowicę stetoskopu nieco w lewo i ze zdziwieniem skonstatowała, że i tu prawie nic nie słyszy. W pierwszej chwili pomyślała, że to jej błąd, ale potem porównała odgłos z obu stron klatki piersiowej: po prawej wyraźnie słyszała dźwięk słabego, nierównego oddechu, za to po lewej - praktycznie nic. I wtedy w jej głowie zaświtała myśl. Wyjęła z uszu oliwki stetoskopu i spróbowała opukać pierś pacjenta, kładąc na niej środkowy palec lewej dłoni i stukając środkowym palcem prawej. Odgłos opukowy z prawej strony brzmiał względnie normalnie i zdecydowanie różnił się od tego z

lewej, dźwięcznego jak huk bębna. Michael wpadł do pokoju, dysząc ciężko.

- Nie znalazłem nikogo wolnego; tylko jeden lekarz z tego oddziału, który dwa pokoje dalej walczy z krwotokiem, obiecał mi, że przyjdzie, gdy tylko skończy. Jak sobie radzi nasz pacjent?

- Dałam mu tlen, to powinno trochę pomóc - odpowiedziała Lynn. - Sytuacja jest poważna, ale chyba wiem, co mu jest.

- No to mnie oświeć! - zażądał Michael.

- Ośłuchaj go i powiedz, co o tym myślisz. Tylko prędko.

Michael drżącymi rękami nałożył stetoskop. Zaczął od lewej strony, potem osłuchiwał prawą i znowu wrócił na lewą, nie odwracając wzroku od Lynn zajętej mierzeniem pulsu.

- Nie słyszę oddechu w prawym płucu - stwierdził.

- Opukaj go! - zakomenderowała. - Prędejj, prędejj.

Sto dwadzieścia uderzeń serca na minutę to zdecydowanie za szybko. - Lynn miała wrażenie, że krew w jej skroniach pulsuje w równie zabójczym tempie.

Michael opukał pierś pacjenta i bez trudu zauważył bębenkowy odgłos po lewej stronie.

- Nic ci się nie przypomina? - spytała Lynn. - To spójrz jeszcze na te nabrzmiałe naczynia na jego szyi.

- Odma prężna! - wykrzyknął Michael.

- No właśnie! - zawtórowała mu Lynn. - A skoro tak, to naprawdę musimy działać. Lewe płuco musi być zapadnięte i z każdym oddechem rośnie ucisk na prawe. Potrzebne prześwietlenie, ale nie ma na to czasu.

- Nie prześwietlenie, tylko nakłucie lewej jamy opłucnej! Trzeba go kluć, i to natychmiast!

Spoglądali na siebie w panice ponad siniejącym ciałem pacjenta. Wahali się przez sekundę, bo nie tylko nigdy nie wykonywali torakocentezy, ale nawet nie widzieli takiego zabiegu. Czytali o nim, rzecz jasna, ale istnieje gigantyczna różnica między tym, co się czyta, a tym, co się wykonuje w sali operacyjnej.

- Jak sądzisz, kiedy ten lekarz będzie nam mógł pomóc? - spytała nerwowo Lynn.

- Nie wiem - odparł Michael. Na jego czole perlił się pot.

- Panie Weston - zawołała Lynn, potrząsając ramieniem pacjenta. Mężczyzna nie zareagował: nie miał już siły podpierać się łokciami, leżał płasko na łóżku. - Panie Weston! - krzyknęła głośniejj, potrząsając jeszcze mocniej. Bez rezultatu. Pacjent nie reagował.

- Nie możemy czekać.

- Zgadzam się.

Razem podbiegli do stolika ze sprzętem ratunkowym. Wybrali dużą strzykawkę, kaniulę dożylną w rozmiarze szesnaście oraz garść jałowych tamponów. Pędem wrócili do pacjenta.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, trzeba celować w drugą przestrzeń międzyzębrową, czyli między drugie a trzecie zebro.

- Ty to zrób! - krzyknęła Lynn, wpychając opakowanie z wenflonem w rękę Michaela. - Jakim cudem, do cholery, pamiętasz takie szczegóły?!

- Sam nie wiem - mruknął Michael, pospiesznie wkładając sterylne rękawiczki. Teraz dopiero otworzył opakowanie. Plastikowa rurka była zakończona igłą ułatwiającą wprowadzanie kaniuli.

- A jeśli to krwiak opłucnej? Jeśli jest tam krew, a nie powietrze? - zaniepokoiła się nagle Lynn. - Może mu zaszkodzimy?

- Nie wiem - przyznał Michael. - Wkraczamy na niezbadany grunt. Ale jeśli czegoś nie zrobimy, facet wykituje!

Lynn otworzyła kilka nasączonych alkoholem tamponów i pospiesznie przemyła spore miejsce poniżej lewego obojczyka pacjenta. Michael wyczuł palcami właściwą przestrzeń międzyzębrową i przyłożył do niej końcówkę igły, ale jeszcze się wahał. Nie było mu łatwo zmusić się do tego, by na oślep wbić ostre narzędzie w czyjąś pierś, zwłaszcza po lewej stronie, w pobliżu serca.

- Zrób to! - warknęła Lynn. Doskonale wiedziała, że jest jak ślepiec prowadzący ślepcą, ale nie mieli wyboru: trzeba było wykonać to nakłucie, i to natychmiast. Pacjent, choć oddychał tlenem, był coraz bardziej siny.

Michael zacisnął zęby i wepchnął wenflon w ciało Clarka Westona. Zatrzymał się dopiero, gdy poczuł, że czubek igły zahaczył o zebro. Wtedy skierował ją nieco ku górze i nacisnął ponownie. Zagłębiwszy się jeszcze o centymetr, poczuł, że coś strzeliło mu pod palcami.

- Chyba wszedłem - powiedział.

- Świetnie! - ucieszyła się Lynn. - Wyciągaj igłę.

Michael wykonał polecenie, ale nic się nie wydarzyło.

- Chyba muszę dopchnąć trochę głębiej - stwierdził. - Widocznie nie dotarłem jeszcze do jamy opłucnowej.

- Albo to, albo postawiliśmy błędną diagnozę - zauważyła Lynn.

- Cóż za pocieszająca myśl - odparł sarkastycznie Michael.

Wprowadził ponownie igłę do plastikowej rurki i pchnął głębiej. Coś znów trzasnęło pod jego palcami i tym razem, gdy wycofał igłę, usłyszeli syk powietrza uchodzącego przez wenflon jak z

napompowanego balonu.

Lynn i Michael spojrzeli sobie w oczy. Pozwolili sobie nawet na nieśmiały uśmiech. A potem z każdą minutą uśmiechali się coraz szerzej, bo pacjent oddychał coraz pewniej i rytm jego serca pomału wracał do normy. Skóra odzyskiwała naturalną barwę. Po chwili zaczął odzyskiwać przytomność, a wtedy Lynn i Michael musieli go przytrzymać, bo od razu spróbował sięgnąć do wenflonu sterującego z jego piersi. Czekali.

- Może powinniśmy zgłosić się na rezydenturę jako jedna osoba - powiedział Michael. - Chyba nieźła z nas ekipa.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Może - zgodziła się, próbując jednocześnie odsunąć od siebie myśl o tym, jak bardzo chce wyjechać do Bostonu z Michaeliem.

W tym momencie do pokoju wpadł Hank Cotter, lekarz z SOR-u - w zbryzganym krwią kitlu - a zaraz potem pielęgniarka. Podbiegli do pacjenta, bez ceregieli odsuwając na bok Lynn i Michaela. Pielęgniarka przystąpiła do mierzenia ciśnienia, a Hank do osłuchiwania płuc Clarka Westona. Teraz dopiero zauważył sterujący z piersi pacjenta dowód niedawno przeprowadzonej torakocentezy.

- To wasza robota? - spytał.

- Nasza - odpowiedzieli jednocześnie Lynn i Michael.

- Uznaliśmy, że pacjent ma objawy odmy prężnej - dorzuciła Lynn.

- Musieliśmy działać, bo jego stan szybko się pogarszał - dodał Michael. - Naprawdę nie mogliśmy dłużej czekać.

- I naprawdę jesteście studentami? - upewnił się Hank. - Jestem pod wrażeniem. Któż z was było tu już w ramach fakultetu?

Pokręcili głowami.

- Wobec tego tym bardziej jestem pod wrażeniem. Trafna decyzja - oznajmił Hank, po czym zwrócił się do drugiej pielęgniarki, która właśnie zajrzała do pokoju. - Proszę natychmiast sprowadzić aparat rentgenowski i zestaw do drenażu opłucnowego. - Ponownie odwrócił się do Lynn i Michaela. - Pozwolę wam założyć drenaż. Mam nadzieję, że jesteście gotowi?

KSIEGA 2

Rozdział 19

Wtorek, 7 kwietnia, 9.38

Zadanie założenia drenażu opłucnowego w znieczuleniu miejscowym przypadło w udziale Lynn; Michael tylko się przyglądał. W porównaniu z samodzielnym wykonaniem torakocentezy nie było to szczególnie trudne, ponieważ Hank - od trzech lat rezydent specjalizujący się w medycynie ratunkowej - był niezłym instruktorem i asystował jej podczas całej procedury. Zabieg przebiegł bez większych kłopotów i Lynn z Michaeliem poczuli się różnie: wiedzieli, że w przyszłości będą znacznie lepiej przygotowani do niesienia pomocy pacjentom z urazem klatki piersiowej.

Wycofali się z pokoju badań, gdy Hank orzekł, że „pacjent jest stabilny”, by sprawdzić u oddziałowej, czy mogliby się jeszcze przydać. Ku ich zdziwieniu stan pogotowia już minął - podczas gdy oni ratowali Clarka Westona, wielu pacjentów przewieziono do Centrum Medycznego MUSC, ci zaś, którzy trafili do szpitala Mason-Dixon, zostali opatrzeni i trafili do oddziałów na dalsze leczenie.

Gdy stali przy kontuarze recepcji, rozmawiając z pielęgniarką, Lynn dostrzegła kątem oka doktor Sandrę Wykoff, która także zjawiała się na dole, gdy wezwano wszystkich wolnych lekarzy. Wiedzioną impulsem, podbiegła do wychodzącej anestezjolożki, przypomniawszy jej i spytała, czy mogłyby się spotkać.

Wykoff zgodziła się bez oporu.

- Ale koniecznie teraz, bo potem będziemy operować. Może być?

- Oczywiście - odparła Lynn.

- W takim razie proszę przyjść do pokoju anestezjologów, pierwsze piętro. Porozmawiamy, tylko proszę się nie guzdrać.

- Za chwilę przyjdę - zapewniła ją Lynn. Wróciwszy do Michaela, spytała półgłosem: - Widziałeś tę kobietę, z którą rozmawiałam? To właśnie Wykoff, anestezjolożka, która schrzaniła operację Carla - wyjaśniła.

Michael odprowadził kobietę wzrokiem, zanim odpowiedział.

- Daj spokój, siostrzo, przecież już to przerabialiśmy. Opanuj się! Powtarzam po raz dziesiąty, że nie masz pojęcia, czy naprawdę popełniła błąd.

Lynn zaśmiała się gorzko.

- Zobaczymy. Ważne jest to, że zgodziła się ze mną porozmawiać. Idę do niej. Jesteś zainteresowany?

- Jako że wykład z dermatologii i tak już nam przepadł, raczej nie mam solidnej wymówki. Poza tym ktoś cię musi pilnować. Ale pójdziemy do niej przez bufet, żeby wciągnąć parę kalorii. Kończy mi się paliwo; ty zresztą też jedziesz na pustym baku już od ładnych paru godzin.

- Zgoda, ale ekspresem i bierzemy coś na wynos. Mamy naprawdę niewiele czasu; ona ma w planie operację. Powiedziała wyraźnie: proszę się nie guzdrać. Dasz wiarę? Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałam, żeby ktoś mówił „guzdrać się”.

- Widzę, że za wszelką cenę chcesz znaleźć dziurę w całym - zauważył Michael. - Zapewniam cię, że istnieje pojęcie „guzdrać się”. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba - mruknęła niechętnie Lynn.

Była gotowa zaryzykować stratę cennego czasu na wizytę w bufecie, bo wiedziała, ile znaczą dla Michaela regularne posiłki. Czasem kpiała z niego, nazywając „chłopcem w fazie intensywnego wzrostu”. Nie żałując czasu na to, co było dla niego ważne, chciała okazać mu wdzięczność za to, że był gotów pójść z nią do Sandry Wykoff. Stać ją było na obiektywną samoocenę; wiedziała, że rzeczywiście ktoś powinien jej pilnować, a Michael nadawał się do tej roli. Nie umiała zapanować nad gniewem, choć była świadoma, że werbalny atak na Sandrę Wykoff najprawdopodobniej byłby działaniem przeciwnym.

Wizyta w bufecie nie trwała długo: kupili bułki i owoce, zapłacili i ruszyli w drogę. Lynn dostrzegła jeszcze jeden powód, dla którego dobrze się złożyło, że nie usiedli przy stoliku: była w takim stanie psychicznym, że zdecydowanie wolała uniknąć spotkania ze znajomymi i odpowiadania na pytania o to, jak się udała operacja Carla.

Po pięciu minutach byli już pod drzwiami pokoju anestezjologów. Michael pociągnął Lynn za rękaw.

- Zaczekaj chwilę. Musimy się zastanowić, co powiemy, jeśli ona nas spyta, dlaczego interesuje nas przypadek Carla i jakim cudem dotarliśmy do jej notatki. A na pewno spyta. Z bajeczki o zajęciach z anestezjologii przecież nie skorzystamy.

- To jasne - odrzekła zniecierpliwiona Lynn. Chciała już wejść do gabinetu. Bała się, że lada chwila ktoś wezwie Wykoff i spotkanie zostanie przerwane.

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie - ciągnął Michael. - Powiemy, że mamy fakultet z neurologii. Będzie nawet zabawnie: przed neurologami tłumaczmy się anestezjologią, a przed anestezjologami neurologią.

- Sama nie wiem - zawahała się Lynn. Pomysł jej nie zachwycił, ale nie miała lepszego. - Zgadzam się, że pewnie nas spyta. I masz rację, że sprawa Carla na pewno jest dla niej drażliwa. Problem polega na tym, jak łatwo będzie doktor Wykoff ustalić, że kłamiemy. Wystarczy jeden telefon i będziemy po pachy w głównej, a wszystkie drzwi prowadzące do sprawy Carla zatrzaskną się raz na zawsze. Nie, Michael, musimy wymyślić coś lepszego. Coś, co nie będzie kłamstwem. Może na przykład powiemy jej, że prowadzimy badanie na temat chorób nabytych podczas leczenia szpitalnego? Bo przecież to prawda.

- Nie jestem pewny, czy temat chorób nabytych w szpitalu to taki świetny pomysł - odparł Michael. - Zapewniam cię, że wieścią o tym, że dwoje studentów prowadzi tu takie badania, administracja szpitala będzie jeszcze mniej ubawiona niż my dowcipami Ronalda.

- Innych pomysłów nie mam - przyznała Lynn. - I dlatego twierdzę, że musimy się trzymać tej wersji, jeżeli Wykoff w ogóle poruszy temat. A może nie poruszy? Idziemy! Nie ma na co czekać.

- W porządku. - Michael westchnął, rozkładając ręce. - Ty tu rządzisz.

- Nie bardzo - odpowiedziała Lynn.

Zatrzymała się przed drzwiami pokoju anestezjologów i po krótkim wahaniu zapukała - przyszło jej do głowy, że jeśli się pomylić, to lepiej w stronę staroświeckiej kultury. Na tabliczce zdobiącej drzwi widniało tylko jedno słowo: ANESTEZJOLOGIA.

- Proszę! - odezwał się głos z gabinetu.

Pokój był raczej niewielki i nie było w nim okien. Nie było też sekretariatu, tylko cztery dość nowoczesne biurka z komputerami. Wszyscy anestezjologowie zatrudnieni w szpitalu musieli się nimi jakoś dzielić, by uporać się z papierkową robotą. Wzdłuż ściany po prawej stronie ciągnęła się półka, na której ustawiono długim rzędem książki i czasopisma anestezjologiczne. Doktor Sandra Wykoff była sama w biurze. Gdy podeszli bliżej, skinęła na nich zza biurka, by przynieśli sobie krzesła.

- A zatem... - zaczęła, gdy zajęli miejsca - Kim pan jest, jeśli

wolno spytać? - spytała, patrząc na Michaela.

W przeciwieństwie do większości lekarzy, nie miała problemu z utrzymaniem kontaktu wzrokowego.

- Także studentem czwartego roku medycyny - wyjaśnił. Fakt, że otwarcie patrzyła mu w oczy, wywarł na nim jak najlepsze wrażenie.

- I razem z panną Peirce bada pan przypadek Vandermeera? - Ton głosu doktor Wykoff był zaskakująco rzeczowy, ani przyjazny, ani wrogi.

- Tak - potwierdził Michael, ale nie rozwinął tematu. Opowiadanie bajek wolał pozostawić Lynn; w końcu przyszedł tu głównie po to, żeby ją ratować, gdyby miała się wpakować w kolejne kłopoty.

- Dlaczego interesuje was akurat ta sprawa?

Michael zauważył, że wzrok lekarki spoczął teraz na Lynn.

Dwoje studentów wymieniło niespokojne spojrzenia.

- Dotarło do nas, jak poważnym problemem są choroby i urazy, których pacjenci nabywają podczas pobytu w szpitalu - odpowiedziała Lynn. - Uznaliśmy, że ten przypadek niestety pasuje do tej kategorii.

Doktor Wykoff skinęła głową i zamyśliła się.

- Czytaliście może moją notę dołączoną do karty Vandermeera? - spytała po chwili.

Jak na komendę pokiwali głowami, przeczuwając, że zbliża się najgorsze, to znaczy pytanie o to, kto im pozwolił grzebać w dokumentacji pacjenta.

Lecz ku ich zdziwieniu lekarka spytała:

- O czym konkretnie chcielibyście ze mną porozmawiać?

- Co tam się, u diabła, stało? - wypaliła Lynn. Michael skrzywił się w duchu. - To znaczy: jak to jest w ogóle możliwe, że zdrowy, dwudziestodziewięcioletni mężczyzna idzie na rutynowy zabieg chirurgiczny kolana, a kończy w stanie śmierci mózgowej?

- Skoro czytaliście mój raport, to już wiecie, że nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego - odpowiedziała doktor Wykoff, najwyraźniej niezrażona wybuchem Lynn. Michael najpierw się zdumiał, a potem poczuł głęboką ulgę. - To była zwykła operacja. Dokładnie sprawdziłam aparat do znieczuleń i przed zabiegiem, i po nim. Działał bez zarzutu, pod każdym względem. Dwa razy skontrolowałam zbiorniki z gazami i same gazy. Wszystkie leki i ich dawkowanie. Wierzcie mi, że zrobiłam to z najwyższą starannością, podobnie jak kilkoro innych anestezjologów. Naszym zdaniem nie zdarzyło się nic, co mogłoby spowodować tak tragiczne skutki. Dlatego uważam, że to, co się stało, było indywidualną reakcją pacjenta.

- Ktoś musiał coś spieprzyć - wycedziła Lynn.

Dobór słów oraz ton jej głosu sprawiły, że tym razem Michael skrzywił się naprawdę. Odezwał się, zanim lekarka zdążyła zareagować:

- Rzeczywiście, oboje czytaliśmy pani notatkę i wynika z niej, podobnie jak z elektronicznego raportu, że w pewnym momencie nagle spadła saturacja. - Celowo mówił spokojnie i niespiesznie, by zatrzeć wrażenie po nieprzemyślanej odzywce Lynn. - Czy ma pani jakieś podejrzenia co do tego, jak to się mogło stać?

- To prawda, saturacja spadła - przyznała doktor Wykoff - ale tylko do dziewięćdziesięciu dwóch procent, co nie jest niebezpiecznie niskim stężeniem, a co najważniejsze, natychmiast zaczęła rosnąć. W ciągu paru minut wróciła do niemal stu procent. A moja odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie mam pojęcia. Nie zmieniło się ani stężenie podawanego tlenu, ani objętość oddechowana pacjenta.

Lynn chciała coś powiedzieć, ale Michael w porę ścisnął jej ramię i rzekł:

- Domyślamy się, że to dla pani bardzo trudna sprawa.

- Nie macie pojęcia, jak bardzo - odparła doktor Wykoff i dodała po krótkiej pauzie: - Jeszcze nigdy nie zdarzyły mi się takie powikłania. To mój pierwszy przypadek śpiączki.

- Czy patrząc z perspektywy czasu na to, co zaszło, zrobiłaby pani coś inaczej? - spytał Michael, skrupulatnie pilnując, by w rozmowie nie zagościł oskarżycielski ton.

Lekarka zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

- Zadałam sobie to samo pytanie, ale odpowiedź brzmi: nie, niczego nie zrobiłabym inaczej. Zajmowałam się tym pacjentem dokładnie tak samo jak tysiącami innych. Nie popełniłam błędu! Możecie być pewni, że nie.

- A jednak musiał zaistnieć jakiś powód - wtrąciła Lynn, nie zważając na coraz silniejszy uścisk dłoni przyjaciela. Jej ton nie był już tak zaczepny, jak wcześniej, ale nadal, zdaniem Michaela, zbyt szorstki. - Musiało zajść coś niecodziennego, jakieś drobne odstępstwo od procedury, które być może pani zdaniem nie miało najmniejszego znaczenia.

Doktor Sandra Wykoff patrzyła w oczy Lynn tak długo, że Michael zdążył nabrać przekonania, iż w końcu się doigrali. Spiął się wewnętrznie, oczekując wybuchu, ale nic takiego nie nastąpiło. Ku jego zdziwieniu, po dojmująco długiej chwili lekarka odpowiedziała:

- Rzeczywiście, zdarzyło się coś takiego, ale taki drobiazg nie mógł mieć żadnego znaczenia. I nie chodziło o moje poczynania,

tylko o coś, co przypadkiem zauważyłam. Zmartwiło mnie to w pierwszej chwili.

- Co takiego? - spytała Lynn, znowu tonem zbyt mocno naładowanym emocjami.

Michael rozpaczliwie szukał w głowie słów, którymi mógłby zarzucić złe wrażenie. Nie miał wątpliwości, że takie przesłuchiwanie Wykoff nie przyniesie nic dobrego - nie tylko Lynn, ale i jemu. Fakty bowiem były takie, że rażąco naruszyli zasady, zaglądając do dokumentacji medycznej Carla i Scarlett, a następnie fotografując raporty anestezyjologiczne. Teraz zaś Lynn była na najlepszej drodze do wzbudzenia wrogości w kobiecie, która okazała się zaskakująco skłonna do współpracy - rzeczowo odpowiadała na pytania studentów, choć z pewnością sama ciężko przeżywała to, co się wydarzyło. Michael wyczuwał to doskonale i podejrzewał, że właśnie dlatego anestezyjolożka tak im sprzyja - potrzebowała rozmowy o tym, co ją gryzło.

- Chodzi o sprzęt - wyjaśniła doktor Wykoff.

Michael odetchnął z ulgą. Nadal mówiła spokojnie, spokojnie też spoglądała w przestrzeń, gdy umilkła.

- Ma pani na myśli aparat do znieczuleń? - podpowiedział. Zaciśnął mocniej palce na ramieniu Lynn; w tej chwili musiała milczeć, a z tempa jej oddechu wnioskował, że bardzo chciała coś powiedzieć.

- Właściwie to nawet nie aparat, tylko monitor. Zauważyłam to tylko dlatego, że akurat patrzyłam na ekran w chwili, gdy to się stało. Gdy chirurg zaczął wiercić otwór w kości piszczelowej, chciałam się upewnić, czy pacjent jest wystarczająco znieczulony. Okostna jest silnie unerwiona, więc nie mogłam tego zlekceważyć.

- I co się wtedy stało? - spytał Michael.

- Pokażę wam - odpowiedziała doktor Wykoff, spoglądając na monitor. - Widać to nawet w raporcie z aparatu - wyjaśniła, wstukując komendy na klawiaturze komputera.

Korzystając z okazji, Michael zacieśnił uścisk jeszcze bardziej, a gdy Lynn na niego spojrzała, popatrzył na nią srogo i bezgłośnie poruszając ustami, przekazał jej rozkaz: „Uspokój się”. Nie żartował. W odpowiedzi Lynn spróbowała uwolnić ramię, ale bez powodzenia.

- O, tutaj.

Gdy doktor Wykoff odwróciła ekran w ich kierunku, zobaczyli generowany automatycznie raport przedstawiający w formie graficznej wskazania wszystkich czujników monitorujących stan pacjenta, w tym ciśnienie krwi, puls, EKG, saturację, stężenie dwutlenku węgla w wydychanym powietrzu czy temperaturę ciała. Michael i Lynn po-

wstali, by przyjrzeć się wykresom z bliska, choć wcześniej widzieli te same dane w karcie Carla.

- Przyjrzyjcie się uważnie. - Lekarka powiększyła obraz i posłużyła się długopisem jako wskaźnikiem. - W tym miejscu widać spadek saturacji z niemal stu procent do dziewięćdziesięciu dwóch. Dokładnie o ósmej trzydziści dziewięć, czyli w sześćdziesiątej pierwszej minucie operacji. Wtedy też odezwał się alarm. Jak widzicie, na wykresie EKG widać też uniesiony załamek T, co sugeruje, że w tym momencie serce nie dostawało odpowiedniej dawki tlenu. Tylko że nie ma w tym sensu. Nasycenie krwi tlenem na poziomie dziewięćdziesięciu dwóch procent nie powinno spowodować pojawienia się uniesionego załamka T, gdy mamy do czynienia z prawidłowym, zdrowym sercem. Poza tym nie zaszła żadna zmiana żadnych innych parametrów, a powinna zająć, gdyby rzeczywiście doszło do obniżenia saturacji do takiego poziomu, który spowodował uszkodzenie mózgu.

- To samo widzieliśmy w karcie pacjenta - powiedział Michael.

- Nietrudno zauważyć, że spadek rzeczywiście nastąpił - przyznała doktor Wykoff. - Jest wręcz oczywisty, skoro aż do tej chwili wykres saturacji tworzył praktycznie prostą linię. Jednak nie to chciałam wam pokazać. - Używając kursora, zaczęła przewijać wykres wstecz, aż do pięćdziesiątej drugiej minuty. Od razu zauważyli niewielki pionowy skok linii. - Widzicie?

- Ja widzę - mruknął Michael. - Wykres saturacji tworzy prawie prostą, wahając się jedynie od dziewięćdziesięciu siedmiu, do stu procent, a tu nagle mały skok w górę. Ale co on oznacza?

- Prawdopodobnie nic - przyznała doktor Wykoff. - Ale zauważcie, że identyczny skok nastąpił we wskazaniach wszystkich czujników. Tu, w saturacji, w ciśnieniu krwi, wszędzie. Wystraszyłam się, gdy to zauważyłam. Akurat w tym momencie obserwowałam pomiar pulsu. Gdy podczas wiercenia okostnej pacjent czuje ból, puls natychmiast skacze w górę i wiem, że znieczulenie jest zbyt słabe. Ale w tym przypadku puls nie przyspieszył, po prostu na moich oczach monitor jakby mruknął. Wszystkie wskazania na krótką chwilę podskoczyły i tyle.

- Mruknął? - powtórzył Michael. - Czy to się często zdarza?

- Nie mnie. Lecz z drugiej strony, my, anestezjolodzy, nie spędzamy operacji, gapiąc się w monitor. Nikt tego nie robi, póki nie ma ważnego powodu. Ale skoro akurat patrzyłam i dostrzegłam coś takiego, wystraszyłam się i zapamiętałam ten detal.

- Dlaczego tak się pani złąkla? - spytał Michael. Osobiście uwa-

żał, że był to nic nieznaczący fakt.

- Wystraszyłam się na myśl, że mogłabym nagle stracić wskazania wszystkich czujników, co oznaczałoby konieczność pracy bez elektronicznego monitoringu. Poczułam ulgę, kiedy stwierdziłam, że mrugnięcie już się nie powtarza.

- I nigdy wcześniej nie widziała pani niczego podobnego? - upewnił się Michael.

Widząc, że chłopak pochyla się nad monitorem, doktor Wykoff powiększyła obraz. Z bliska załamanie wykresu wyglądało jeszcze bardziej trywialnie.

- Nigdy - odparła lekarka. - Ale to nie znaczy, że to się nie zdarza. Może nawet zdarza się często, sama nie wiem. To taka drobna zmiana. A ja nie znam się na elektronice. Z drugiej strony, taka niewielka zmiana nie może mieć istotnego znaczenia, skoro, jak widać, parametry życiowe pozostały w normie aż do chwili, gdy odezwał się alarm obniżonej saturacji. Jak powiedziałam, pamiętam o tym detalu tylko dlatego, że my, anestezjolodzy, jesteśmy przyzwyczajeni do ciągłego elektronicznego monitorowania stanu pacjenta; bez niego czulibyśmy się jak piloci prowadzący samolot na ślepo.

- Widzisz? - spytał Michael, spoglądając na Lynn.

- Jasne, że widzę - burknęła w odpowiedzi. Michael przewrócił oczami, a potem pociągnął ją za ramię, by odsunęła się nieco od monitora. Czuł, że pora się ulotnić.

- Chcemy pani bardzo podziękować, doktor Wykoff, za... - nie dokończył, gdyż w tym momencie drzwi biura otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wkroczył mężczyzna.

Zerwał z twarzy maskę chirurgiczną i ruszył w stronę jednego z komputerów. Teraz dopiero zwrócił na nich uwagę. Przystanął. Widać było, że nie spodziewał się, że kogoś tu zastanie. Był mocno zbudowanym białym mężczyzną o golfowej opaleniznie, ubranym w strój chirurga. Miał duże dłonie i imponująco umięśnione przedramiona. W pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego, ale szybko zapalił się w nim gniew. Przez chwilę spoglądał to na Michaela, to na Lynn. Pamiętali go z trzeciego roku, z zajęć z chirurgii: był to doktor Benton Rhodes, humorzasty nowozelandczyk, szef zespołu anestezjologów, znany głównie z chłodnego stosunku do studentów medycyny.

- Właśnie wychodziliśmy - rzekł prędko Michael, po czym odwrócił się ku doktor Wykoff. - Dziękujemy, że poświęciła nam pani tyle czasu i że chciała pani rozmawiać o tak przykrych sprawach. Naprawdę doceniamy to.

- O jakiej sprawie? - spytał doktor Rhodes. Nie pozbył się jeszcze akcentu z antypodów.

- O sprawie Carla Vandermeera - odpowiedziała zaczepnie Lynn.

- Vandermeera? - Powtórzył Rhodes; wyglądał jakby był w szoku. - Kim jesteście?

- Studentami czwartego roku medycyny - odparł bez wahania Michael, popychając Lynn w stronę drzwi. Im mocniej się opierała, tym bardziej się obawiał, że to niespodziewane spotkanie zakończy się katastrofą.

- Wasze nazwiska? - rzucił wyzywająco Rhodes.

- Jestem Lynn Peirce, a to Michael Pender.

Doktor Rhodes zwrócił się teraz do Sandry Wykoff i zaczął pokrzykiwać na nią z mieszaniną złości i niedowierzania:

- Naprawdę gawędziłaś sobie o przypadku Carla Vandermeera z tymi studentami? W głowie się nie mieści. Ledwie wczoraj zarząd szpitala apelował do nas, byśmy z nikim nie rozmawiali o tej sprawie.

- Interesują ich urazy i choroby, na które pacjenci zapadają podczas pobytu w szpitalu - wyjaśniła doktor Wykoff. - To ważna sprawa i ciekawy temat. Przecież oni są naszymi studentami.

- Mam gdzieś, kim są - odparł podniesionym głosem Rhodes. - O sprawie nie dyskutujemy z nikim, kropka! A wy - dodał, zwracając się do Lynn i Michaela - zabierajcie się stąd. I ostrzegam: zamierzam przekazać wasze nazwiska zarządowi szpitala. Zakaz omawiania tej sprawy z kimkolwiek obowiązuje także was. Ani słowa o niej, nikomu: przyjaciołom, rodzinie, innym studentom, nikomu! Jeśli się nie zastosujecie do tego zalecenia, możecie się pożegnać ze studiami. Czy to jasne? Bo bardzo mi zależy na tym, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

- Jasne - odpowiedział Michael, ciągnąc Lynn w kierunku drzwi. Chciał wyprowadzić ją na korytarz, zanim z jej ust padnie choćby jedno słowo.

Rozdział 20

Wtorek, 7 kwietnia, 10.05

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi pokoju anestezjologów, Michael i Lynn usłyszeli dalszy ciąg tyrady doktora Rhodesa. Nowozelandczyk najwyraźniej nie posiadał się z wściekłości.

- Co to ja mówiłem o paleniu mostów i zdobywaniu wrogów? - odezwał się Michael, gdy ruszyli przed siebie głównym korytarzem. - Sprawa się gruntownie popieprzyła.

- Ale nie z naszej winy - odparła półgłosem Lynn. - Mielśmy pecha, że pojawił się ten Rhodes. Aż do tej chwili wszystko szło jak po maśle.

- Tak czy inaczej, do doktor Wykoff już nie wrócimy. Choć niewykluczone, że i tak nie moglibyśmy tego zrobić, skoro uparłaś się, żeby rozmawiać z nią w taki sposób.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - obruszyła się Lynn.

- Mówiłem ci, żebyś nie próbowała jej oskarżać, i właśnie to zrobiłaś. Tak się nie robi, dziewczyno, chyba że chcesz się pozbawić wszelkich opcji. Widzisz, ja nigdy nie dałem się postrzelić i nie wylądowałem w więzieniu, ponieważ dość wcześnie nauczyłem się nie wkurzać ludzi. Jeśli wziąć pod uwagę to, jak się zachowywałaś, szczerze mówiąc, dziwię się, że wyciągnęliśmy z doktor Wykoff aż tyle informacji.

- To ja tu jestem wkurzona, Michael. Nie miałam najmniejszej ochoty traktować jej ulgowo.

- I nie traktowałaś, to pewne.

- Nadal uważam, że ona coś ukrywa. Na pewno popełniła jakiś błąd. Przykro mi, ale tak to widzę.

- A ja nie - odparł Michael. - Moim zdaniem ona cierpi z powodu tego, co się stało, i nie ma pojęcia, jak do tego doszło. Inaczej w ogóle nie wspomniałaby o tym mrugnieniu monitora. Sprzęt elektroniczny czasem dostaje czkawki, zwłaszcza gdy analizuje dane z tyłu czujników i generuje obraz wideo. To się nazywa przesunięcie klatki.

Uważam, że Wykoff, podobnie jak ty, rozpaczliwie stara się wyjaśnić, co się, u diabła, wydarzyło.

- Będziemy musieli zgodnie uznać, że się w tej kwestii nie zgadzamy - oceniła Lynn. - Żałuję, że nie mieliśmy okazji zapytać jej o inne, podobne przypadki. Ciekawe, co by powiedziała o sprawie Morrison. Czy to możliwe, że znieczulenie ogólne spowodowało pojawienie się gammapatii. Albo że wywołało u obojga gorączkę. Do licha, za dużo mam pytań, a za mało odpowiedzi. Chyba powinniśmy spróbować nawiązać kontakt z innymi anestezjologami. Pamiętasz może, kto znieczulał Ashanti?

Michael wyhamował gwałtownie i równie energicznie osadził w miejscu Lynn. Znajdowali się na wysokości oddziału chirurgii.

- Żartujesz, oczywiście - powiedział, patrząc na nią z niedowierzaniem. - Powiedz mi, że żartujesz!

- Nie, nie żartuję. Moim zdaniem oni wszyscy popełnili ten sam błąd. Być może jest to jedyny sposób, żeby to ustalić. Nie jestem pewna, czy oni rozmawiają ze sobą, gdy przytrafi im się coś takiego. W tym sensie prawdopodobnie masz rację: są drażliwi, wykazują defensywną postawę.

- Po pierwsze, nie pamiętam, który anestezjolog znieczulał Ashanti. Ale nawet gdybym pamiętał, tobym ci nie powiedział. Słyszałaś chyba, jak wściekły był doktor Rhodes o to, że rozmawialiśmy z Wykoff o Carlu? Otóż gdyby się dowiedział, że choćby myślimy o spotkaniach z innymi anestezjologami, dostałby szau. I postarałby się, żeby nas wywalono z uczelni. Czyż nie byłoby pięknie, wylecieć stąd tuż przed dyplomem? Myślę, że Rhodes jest tak wkurzony właśnie dlatego, że Carl to już trzeci przypadek.

- Skończyłeś?

- Owszem, skończyłem. A teraz przeberzmy się i jazda stąd. - Chyba mieliśmy szczęście, że wyszliśmy z tego cało - dodał po chwili.

- Nie byłabym taka pewna - odrzekła Lynn. - Jak myślisz, jakie są szanse na to, że Wykoff albo Rhodes wspomną o nas pielęgniarkom z neurologii? Może na przykład dojdą do wniosku, że warto się dowiedzieć, w jaki sposób uzyskaliśmy wgląd w kartę Carla. Jeśli tak się stanie, będzie fatalnie. Nie będziemy mogli tam wrócić. Nie będę mogła nawet śledzić dalszych losów Carla, nie mówiąc o wyjaśnieniu zagadki.

- Trudno przewidzieć, co postanowią. Ale nie można wykluczyć, że będą rozmawiali z pielęgniarkami. W takiej sytuacji na naszą korzyść może zadziałać jedynie fakt, że tak naprawdę mają znacznie poważniejsze problemy na głowie, choćby takie, że umierają ze stra-

chu przed pozwem sądowym.

- Nie wydaje mi się, żeby rodzice Carla chcieli się sądzić ze szpitalem - odpowiedziała Lynn.

- A mnie się nie wydaje, żebyś miała powody w to wątpić. Ojciec Carla jest dobrym adwokatem, specem od prawa karnego i procesowego, dlatego uważam, że szanse są nawet całkiem spore. Któryś ze speców od błędów lekarskich może go namówić do napisania pozwu choćby po to, żeby ustrzec przyszłych pacjentów przed niebezpieczeństwem. Obawiam się, że zarząd szpitala zarządza milczenie właśnie ze strachu przed procesem.

Dotarli do bloku wind i zatrzymali się przy drzwiach pokoju chirurgów. Michael zerknął na zegarek.

- Pora wracać do kliniki dermatologii. Wykładowca nie będzie zachwycony, gdy się spóźnimy. Dzięki Bogu mamy wymówkę: gromady rannych na oddziale nagłych wypadków. Posłuchaj, spotkamy się tu zaraz, gdy tylko przeberzemy się w cywilne ciuchy.

- Nie wracam do żadnej kliniki - oznajmiła Lynn. - A już zwłaszcza do kliniki dermatologii. W tym stanie umysłu nie będę w stanie skupić się na przyszczach i wysypkach.

- Zatem co zamierzasz? Mam nadzieję, że nie przyszło ci do głowy, żeby na własną rękę rozmawiać z innymi anestezjologami?

- Nie! Muszę się zmusić do snu, przynajmniej na parę godzin. Wiem, że moja głowa nie działa teraz jak należy, a na dodatek jeszcze mnóstwo nauki przede mną. Muszę się dowiedzieć więcej na temat gammapatii monoklonalnych i szpiczaka mnogiego.

- Jak chcesz, ale ja idę do kliniki. Nie zamierzam wyprowadzać szefostwa z równowagi teraz, gdy tak niewiele mi zostało do końca studiów. Zwłaszcza że Rhodes prawdopodobnie i tak dobierze się nam do tyłków.

- Bądź rozsądny! Naprawdę uważasz, że mogliby cię wywalić ze studiów za to, że odpuścisz sobie parę drugorzędnych wykładów i zajęcia w klinice?

- Kto wie? Wiem tylko, że nie warto niepotrzebnie ryzykować. Jeżeli będzie lista obecności, spróbuję cię dopisać.

- Dzięki, bracie. I jeszcze jedno. Mogę rzucić okiem na to zdjęcie z raportu anestezjologicznego Ashanti, które masz w komputerze?

Michael zawahał się nieco, jakby poważnie rozważał wszelkie za i przeciw.

- Musiałbym ci dać klucz do mojego pokoju. A ty mogłabyś go skopiować, nachodzić mnie nocą i molestować.

- Kusząca perspektywa, ale daję ci słowo, że jakoś się powstrzy-

mam. I obiecuję, że nie tknę twojego zapasu hery.

- Ani się waż! Dobra, w takim razie widzimy się tu, przy windach, o piątej.

Przebijając się, Michael myślał o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie poszedł z Lynn na spotkanie z Sandrą Wykoff. Wizyta skończyła się raczej nieciekawie, ale chyba byłoby znacznie gorzej, gdyby nie wziął w niej udziału. Bez względu na to, co opowiadał Lynn, prawda była taka, że musiał jej pilnować, bo swoim zachowaniem prosiła się o kłopoty, i to nie tylko dla siebie, lecz i dla niego. Z drugiej jednak strony rozumiał ją i był po jej stronie. Gdyby to, co przytrafiło się Carlowi, przytrafiło się jego dziewczynie, Kiannie Young, zapewne zachowywałby się podobnie. Gdy wrócił do holu, z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że Lynn już czeka przy windach. Zdawało mu się, że przebrał się szybko i będzie musiał na nią zaczekać. Wręczył jej klucz do swojego pokoju, mówiąc:

- Skoro już tam będziesz, mogłabyś zaścielić łóżko i wyszorować łazienkę?

- Chciałbyś, męski szowinisto - odpowiedziała, porywając klucz.
- Wyślę sobie e-mailem zdjęcie Ashanti z twojego komputera i to wszystko. Ach, jeszcze jedno: mógłbyś mi wysłać zdjęcia z kart Carla i Morrison? Będę miała komplet. Może gdy zacznę je porównywać, zauważę coś ciekawego.

- Moim zdaniem na dobry początek powinnaś się przespać.
- Dziękuję, doktorze. A tymczasem poproszę o e-mail ze zdjęciami.

- Tak jest, proszę pani - rzucił Michael, salutując.

Rozdział 21

Wtorek, 7 kwietnia, 10.15

Benton Rhodes z hukiem zatrzaskał drzwi prywatnego gabinetu. Uczynił to z taką siłą, że przekrzywiły się jego dyplomy wiszące w ramach na ścianie, podszedł więc do nich i starannie naprostował. Domyślał się, że łomot był dostatecznie mocny, by sekretarka oddziału anestezjologii, urzędująca tuż za ścianą, podskoczyła w fotelu. Skupiona na przepisywaniu notatek z nagrań pochylała się nad monitorem i nawet nie widziała, gdy przechodził obok niej. Benton Rhodes nie czuł jednak żalu, nawet jeśli naprawdę ją przestraszył. Gdy był wściekły, często wyżywał się na przypadkowych osobach. Tak naprawdę myśli o tym, że mógł przerazić sekretarkę, nawet trochę go uspokajała.

Wciąż miał na sobie strój z sali operacyjnej, choć opuścił ją już jakiś czas temu, kierując się ku pomieszczeniom administracyjnym, gdzie mieściły się biura większości szefów. Zanim jednak przeniósł się na inne piętro, zaszedł jeszcze do swojej szafki po telefon. Teraz, siedząc za biurkiem, wyjął aparat z kieszeni i otworzył listę kontaktów. Po chwili znieruchomiał: właściwie nie wiedział, kogo w pierwszej kolejności powinien zawiadomić o ostatniej idiotycznej wpadce.

Za nic w świecie nie mógł zrozumieć, jakim cudem niektórzy ludzie mogą być tak mądrzy w jednych sprawach, a tak głupi w innych - i w gruncie rzeczy właśnie dlatego aż tak zwymyślał Sandrę Wykoff. Z pasją wykonywała trudny zawód anestezjologa, a jakoś nie umiała pojąć prostych instrukcji od Boba Hartleya, członka zarządu szpitala, gdy domagał się pełnej dyskrecji w sprawie Vandermeera. A przecież nie mógł wyrazić się jaśniej! Nie rozmawiać z nikim, koniec, kropka. A już zwłaszcza z parką ciekawskich studentów medycyny, gotowych narobić hałasu choćby po to, żeby wypromować własne nazwiska. Choroby nabyte w szpitalu, pomyślał ponuro. Gównu prawda. Zanim się obejrzymy, opiszą wszystko na Twitterze czy Facebooku, w przekonaniu, że dokonują jakichś niezmiernie mądrych odkryć. Boże,

to dopiero byłaby porażka!

Bębniąc palcami po blacie biurka, Benton pomyślał, że kierowanie Oddziałem Anestezjologii Centrum Medycznego Mason-Dixon jest znacznie bardziej męczące, niż sobie tego życzył. Gdy zwerbowano go pięć lat wcześniej do tej roboty, był sześćdziesięcioczerolatkiem i kierował anestezjologią w znacznie większym ośrodku, powiązanim z jedną z uczelni z Ivy League. Wykonywano tam dwukrotnie więcej zabiegów chirurgicznych, a oddział anestezjologii prowadził własny program rezydentur. Mimo to z perspektywy czasu praca w Nowej Anglii wydawała mu się łatwiejsza i z pewnością nie budziła w nim takiego niepokoju jak to, z czym miał do czynienia w Charlestonie. Na miłość boską, pomyślał, przecież to spokojne Południe! Ludzie powinni się tu byczyć od rana do nocy, popijając bourbona z miętą. Przyjeżdżając tu, planował cieszyć się spokojnym życiem, zanim przejdzie na emeryturę. Niestety, sprawy układały się inaczej.

Podjął decyzję. Wywołał na ekran numer biura Roberta Hartleya, ale nie zainicjował połączenia. Wybrał numer na klawiaturze stacjonarnego szpitalnego telefonu, wiedząc, że w ten sposób zostanie lepiej potraktowany przez pracowników kancelarii prawniczej. Centrum Medyczne Mason-Dixon było przecież jej ważnym klientem.

Czekając na połączenie, Benton uspokajał się z wolna. W przeszłości zdarzały się już kłopoty z prowadzeniem oddziału - może nie tak wielkie jak to ostatnie fiasko, ale jednak problemy. Z drugiej strony, dodatkowe korzyści, które zapewniała mu ta praca, a w szczególności akcje pracownicze, były nie do pogardzenia. Ich wartość rosła, zwłaszcza ostatnio, odkąd mówiło się o przejęciu Middleton Healthcare przez koncern Sidereal Pharmaceuticals, należący do rosyjskiego miliardera na wygnaniu, Borysa Rusnaka. Gdyby udało się dopiąć tę transakcję, Benton mógłby przejść na emeryturę w wielkim stylu.

Tak jak się spodziewał, połączono go bezpośrednio z Bobem Hartleyem. Prawnik niemal natychmiast podniósł słuchawkę.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Benton? - spytał Bob. Jego dźwięczny głos emanował pewnością. Pracowali ze sobą od lat i zdążyli poznać się na tyle dobrze, by mówić sobie po imieniu.

- Obawiam się, że zalecenia, które wydałeś doktor Wykoff, zostały złamane. Pomyślałem, że powinienem od razu cię zawiadomić.

- Niedobrze. A co dokładnie się wydarzyło?

- Przylapałem doktor Wykoff na rozmowie o wiadomej sprawie z parką studentów czwartego roku medycyny. I powiem ci, że, kurwa, nie wierzyłem własnym oczom. Przecież rozmawiałaś z nią ledwie

wczoraj!

- Ci studenci sami ją odszukali?
- Tak. Dziewczyna wpadła na Wykoff w damskiej szatni i ni stąd, ni zowąd spytała, czy mogłyby porozmawiać o przypadku Vandermeera. Z jakiegoś powodu Wykoff wyraziła zgodę.
- To znaczy, że nie wiesz dlaczego?
- Powiedziała mi, że jest głęboko poruszona tym, co się stało, i że rozmowa na ten temat była dla niej rodzajem terapii. Mało tego: dodała, że studentów medycyny traktuje jak swoją rodzinę. Jezu Chryste! Studentów... Dasz, kurwa, wiarę?
- Wiesz może, w jaki sposób dowiedzieli się o sprawie?
- Nie mam pojęcia.
- A nie mówili, dlaczego tak ich zainteresowała?
- Według Wykoff zajmują się kwestią chorób i urazów nabywanych w szpitalach; chcą zrozumieć, jak to jest, że ktoś przychodzi leczyć jedną dolegliwość, a tymczasem łapie coś znacznie gorszego. Obawiam się, że Vandermeer to dla nich świetny temat do rozważań. Prawdę mówiąc, całe to zagadnienie wcale nie jest błahe.
- Czy studenci wspomnieli o pozostałych dwóch przypadkach?
- Nie.
- Masz ich nazwiska?
- Mam. Michael Pender i Lynn Peirce. Sprawdziłem ich pobieżnie. To naprawdę dobrzy studenci, jedni z najlepszych w grupie.
- A zatem potencjalni przywódcy stada, co oznacza, że problem jest jeszcze poważniejszy. Wiadomo może, czy to jacyś aktywiści?
- Nie wiem, ale z ich uczelnianych papierów nic takiego nie wynika.
- Komu o tym mówiłeś?
- Tobie pierwszemu.
- Myślę, że należało zadzwonić najpierw do doktora Feinberga. Dyrektor szpitala musi wiedzieć, co się dzieje, bo jeśli zjawią się media, a będzie nieprzygotowany, potencjalne komplikacje mogą nawet zagrozić negocjacom w sprawie przejęcia przez Sidereal. A tego chyba byśmy nie chcieli, nieprawdaż?
- Jasne, że nie!
- Domyślałam się, że kazałeś studentom milczeć? Nie paplać o sprawie rodzinie czy znajomym? Ostro, mam nadzieję?
- Wyraziłem się bardzo dobitnie.
- Dlaczego z doktor Wykoff mamy większy problem niż z doktorami Pearlmanem czy Roux? Ci dwaj współpracują znakomicie.
- Trudno powiedzieć. Może dlatego, że to pierwsza tego typu

sprawa w jej karierze? Niektórzy lekarze bardziej biorą do siebie takie porażki. Powiem tylko tyle: Wykoff z całą pewnością nie boi się oskarżenia o błąd w sztuce. Jest absolutnie pewna, że się nie pomyliła.

- Jest więc naiwna. Sprawy o błąd w sztuce przyjmują rozmaity obrót, niezależnie od tego, po czyjej stronie leży wina.

- To pracoholiczka; nie udziela się zbyt towarzysko i mieszka sama. W sensie zawodowym jest niezwykle solidna i skrupulatna, ale to typowa outsiderka, przynajmniej w mojej ocenie.

- Dwaj pozostali anestezjologowie też są samotni.

- Cóż mogę powiedzieć? Nie wiem, dlaczego nie jest bardziej chętna do współpracy.

- Sądzisz, że trzeba ją usunąć? Tak na wszelki wypadek, skoro nie zastosowała się do mojego zarządzenia?

- Sądzę, że powinniśmy poczekać i zobaczyć, jak się będzie dalej zachowywała - odparł Benton. - Jest cholernie dobrym anestezjologiem i sprawdza się w zespole. Wiele zależy od tego, czy czeka nas proces. Ale ostateczną decyzję zostawię Joshowi Feinbergowi. W końcu płacą mu fortunę za rozwiązywanie takich problemów.

- To chyba niezły plan - przyznał Bob. - Dzięki, że mnie zawiadomiłeś. Pomyślę o sprawie. Być może wszystkie trzy osoby będą wymagały zdecydowanych działań z naszej strony, jeśli się nie podporządkują. Wprowadź Josha w szczegóły, a potem z nim pogadam. Będziemy w kontakcie.

Benton odłożył słuchawkę z westchnieniem ulgi. Poczul się znacznie lepiej, gdy zepchnął problem na silne barki Boba Hartleya. Intuicyjnie wyczuwał, że poczuje się jeszcze lepiej, gdy porozmawia z Joshem. Ten z pewnością nie będzie miał problemu z podjęciem decyzji w sprawie Wykoff, pomyślał. Może też zdusić w zarodku problem studentów, wystarczy jedna rozmowa z dziekanem.

Benton wyszedł zza biurka i zajął do swojej sekretarki. Kazał jej sprawdzić, czy doktor Josh Feinberg znajdzie dla niego teraz kilka minut. Chciał zamknąć sprawę, zanim wróci na blok operacyjny. Oddział pracował pełną parą i zdecydowanie lepiej było czuwać na miejscu nad poczynaniami podwładnych.

Minutę później sekretarka uchyliła drzwi gabinetu.

- Doktor Feinberg znajdzie dla pana czas dopiero o piętnastej.

- W porządku, dzięki - odpowiedział Benton. Radosne podniecenie minęło w jednej chwili, ale cóż mógł na to poradzić. Spotkanie z dyrektorem o piętnastej, zanotował w pamięci. A teraz sprawy bieżące.

Rozdział 22

Wtorek, 7 kwietnia, 10.43

Mimo zmęczenia Lynn postanowiła zahaczyć jeszcze o bufet w drodze do akademika: czuła, że głód dokucza jej bardziej niż brak snu. Już dawno zapomniała o bułce i bananie zjedzonych w pośpiesznym marszu na spotkanie z doktor Wykoff. Czuła się słaba, miała lekkie zawroty głowy, a chwilami nawet nudności.

Jako że koledzy z grupy zapewne w ogromnej większości wybrali się na zajęcia z dermatologii, nie musiała się obawiać przypadkowego spotkania. Doszła do wniosku, że może usiąść przy stoliku i zafundować sobie porcję białka. W mgnieniu oka pochłonęła solidną jajecznicę, popijając ziołową herbatą. Od razu poczuła się lepiej; wróciło też przyjemne przekonanie, że jest w stanie myśleć bardziej racjonalnie, a mniej emocjonalnie. Zawroty głowy i nudności minęły - i nie wróciły nawet wtedy, gdy idąc ścieżką w stronę akademika, przechodziła - zarówno w dosłownym, jak i metaforycznym sensie - w cieniu gmachu Instytutu Shapiro.

Podobnie jak poprzedniego dnia, zatrzymała się i przez kilka chwil, obserwowała budynek. Pomyślała o Scarlett Morrison, o zamiarze przeniesienia jej do Instytutu. Naturalnie zaraz potem pojawiła się myśl o tym, że i Carl wkrótce tu trafi. Lynn zadawała sobie pytanie, co będzie mogła wtedy zrobić, skoro nie należy do jego najbliższej rodziny. Będzie skazana na relacje rodziców. Owszem, gdy ich wczoraj spotkała, byli wyrozumiali, pełni współczucia, ale wiedziała, że to się może zmienić, gdy tylko przypomną sobie, że to ona namawiała Carla na zabieg w Centrum Medycznym Mason-Dixon. Spodziewała się najgorszego, lecz teraz mogła jedynie wzruszyć ramionami. Wybiegała myślą zdecydowanie zbyt daleko. Zrezygnowana, ruszyła znowu w stronę akademika.

Dziwnie się czuła, odwiedzając pokój Michaela pod jego nieobecność. Zamknąwszy za sobą drzwi, stała przez chwilę, chłonąc znajome widoki i zapachy. Michael prowadził gospodarstwo znacznie

schludniej niż ona; wszystko było na swoim miejscu. Nawet książki stawał na półce w grupach tematycznych. Przez lata naśmiewała się z tej jego pedantyczności, on zaś odpłacał drwinami z jej niechęci do porządku.

Lecz choć z jednej strony samotność w jego pokoju była dziwnym doznaniem, Lynn czuła jednocześnie, że jest tu bezpieczna. Od początku studiów spędzała tu sporo czasu, podobnie jak Michael u niej - zwłaszcza przez pierwsze dwa lata, gdy często się razem uczyli. Większość studentów wolała zacisze biblioteki albo klub studencki, jeśli potrzebowali towarzystwa do nauki. Ale nie Lynn i Michael. We wspólnym zdobywaniu wiedzy najbardziej podobało im się obustronne wsparcie: motywowali się wzajemnie do cięższej pracy i nie wątpili, że trudniej byłoby wzbudzić w sobie tę chęć bez pomocy przyjaciela.

Usiadła przy komputerze. Michael poskładał go sam, dobierając komponenty w taki sposób, by uzyskać idealną maszynę do gier. Lynn też miała za sobą etap fascynacji grami, ale zdążyła już z niego wyrosnąć. Michael nadal oddawał się tej pasji. Wiedziała, że w ten sposób daje upust stresom i niepokojom związanym z niełatwą rolą studenta medycyny, a zwłaszcza czarnoskórego studenta medycyny na Południu Ameryki, otoczonego w większości białą kadrą profesorską. Michael sam kiedyś przyznał, że zdarzają mu się krótkie, może piętnastominutowe sesje grania na komputerze późną nocą. Wyjaśnił wtedy, że gdy był nastolatkiem, tylko w ten sposób udawało mu się uciec przed presją „chłopaków z sąsiedztwa”, a czasem także rozładować skumulowaną agresję.

Włączywszy system, Lynn otworzyła przeglądarkę zdjęć. Spodziewała się, że zobaczy doskonale przemyślaną, świetnie zorganizowaną bibliotekę tematyczną - kolejny dowód wrodzonej skłonności Michaela do porządku - ale ujrzała coś innego. Fotografie były uporządkowane jedynie według daty wykonania, w porządku chronologicznym.

Pamiętając, że Ashanti przeszła operację trzy miesiące wcześniej, Lynn rozpoczęła poszukiwania od zdjęć ze stycznia. Ku swemu zdziwieniu natknęła się na serię fotek z wycieczki, na którą wybrali się kiedyś w sobotnie popołudnie. Odwiedzili wtedy Middleton Place - nie była pewna, czy istniał związek między tą nazwą a Middleton Healthcare - piękny, sześćcioakrowy ogród, utworzony w miejscu siedemnastowiecznej plantacji ryżu, a obecnie znajdujący się na liście chronionych zabytków. Naturalnie towarzyszyli im Carl i Kianna, dziewczyna Michaela.

Lynn poczuła ucisk w gardle, spoglądając na zdjęcie, na którym wraz z Kianną i Carlem siedziała w zabytkowym powozie. Michaela oczywiście nie było; ktoś przecież musiał nacisnąć spust migawki. To był szczęśliwy czas. Czas, który już nigdy nie wróci.

Lynn na sekundę przymknęła oczy i pozwoliła by ponura rzeczywistość śpiączki Carla zalała jej myśli. Do tej pory jakoś się trzymała, wypierając jedne, a racjonalizując inne oczywiste fakty, lecz teraz myśli o tym, że umysł i wspomnienia mężczyzny, którego kochała, zostały wymazane na zawsze, spadły na nią jak lawina. Po raz pierwszy od tragicznego w skutkach zabiegu pozwoliła sobie na to, by emocje zawałdnęły nią bez reszty. Zaczęła płakać, a po chwili szloch wstrząsał nią z siłą letniej burzy.

Wydawało jej się, że minęła wieczność, zanim potoki łez zaczęły wysychać. Wreszcie odzyskała siły na tyle, by wstać i wytrzeć policzki kawałkiem papieru toaletowego. Z symbolicznego makijażu zostały jedynie ciemne smugi na skórze.

Gdy uznała, że w miarę panuje nad sobą, wróciła do przeglądania imponującej kolekcji zdjęć w komputerze Michaela, starając się unikać tych, na których uwiecznił ją i Carla. Sporo ich zachował, więc nie było to łatwe. Lynn zdążyła już zapomnieć, jak często umawiali się z Michaeliem i Kianną na podwójne randki. Ale nie brakowało i innych fotek; historyczne budynki Charlestonu zostały uwiecznione dosłownie setki razy.

W końcu Lynn odnalazła fotografię, której szukała, i otworzyła ją na pełnym ekranie. Kompresja danych była minimalna; szczegóły obrazu zachowały się doskonale - mogła z powodzeniem powiększać wybrane fragmenty. Zadowolona, wysłała zdjęcie oryginalnej wielkości na swój adres mailowy. Chciała przyjrzeć się z bardzo bliska wskaźnikom funkcji życiowych. Chwilę później z kieszeni dobiegł pisk telefonu: wiadomość dotarła do jej skrzynki.

Kilka minut później Lynn była już w swoim pokoju. Rzuciła płaszcz na oparcie fotela, w którym zwykle czytała, obecnie zawałonego stertą niedawno wypranych ciuchów. Zawsze długo zbierała siły, zanim zabrała się do sortowania rzeczy przyniesionych z pralni mieszczącej się w podziemiach budynku. A czasem w ogóle tego nie robiła; wtedy wybierała rzeczy prosto ze sterty, w zależności od potrzeb.

Przez chwilę spoglądała na łóżko, które ścieliła tylko wtedy, gdy zmieniała pościel - raczej nieczęsto. Żywiła przekonanie, że istnieją znacznie lepsze sposoby na spędzanie czasu. Przyszło jej na myśl, że może warto byłoby się zdrzemnąć, ale zaraz zmieniła zdanie. Wie-

działa, że gdy już się położy, to nieprędko wstanie.

Usiadła więc przed laptopem i otworzyła skrzynkę pocztową. Na szczycie listy widniała nowa wiadomość, z załącznikiem w formacie JPEG, którą sama do siebie wysłała. Poniżej znalazła dwie inne, nadane przez Michaela. Sprawdziła, żeby się upewnić: zgodnie z obietnicą zawierały zdjęcia raportów anestezjologicznych z operacji Scarlett Morrison oraz Carla. Zgrała wszystkie trzy fotografie na pendrive'a, z którym zamierzała odwiedzić wspólną salę zajęciową na parterze, żeby skorzystać ze ogólnodostępnej drukarki. Zanim jednak to zrobiła, wpisała w Google hasło „gammapatia”, podobnie jak wcześniej uczyniła to na oddziale intensywnej terapii. Odnalazła ten sam artykuł: „Gammapatia monoklonalna o nieokreślonym znaczeniu”. Nagrała wersję PDF na ten sam pendrive, a potem jeszcze dorzuciła artykuły z Wikipedii o szpiczaku mnogim i elektroforezie białek surowicy krwi. Wydawało jej się, że potrzebuje jeszcze tylko tekstu o przeciwciałach monoklonalnych, ale gdy przejrzała go pobieżnie przed zgraniem, uświadomiła sobie, że przyda się coś jeszcze: artykuł o technologii hybrydomowej.

Tak zaopatrzona, Lynn zeszła na dół, żeby skorzystać z drukarki. Musiała przeciągnąć kartę studencką przez szczelinę czytnika, żeby uruchomić sprzęt, a potem, gdy ruszył wydruk, usiadła w skórzanym fotelu i omal nie zasnęła.

Wróciwszy do swojego pokoju z wydrukami w dłoni, rzuciła się na łóżko. Przez kilka minut zastanawiała się, od którego tekstu powinna zacząć. Najbardziej ciekawiły ją raporty anestezjologiczne, ale uznała, że musi mieć świeższy umysł, by się nimi zająć. Na pierwszy ogień poszedł więc artykuł o gammapatii, który już знаła z pobieżnej lektury. Drugi w kolejce był materiał o szpiczaku mnogim, ale zanim Lynn zdążyła przeczytać piąte zdanie pierwszego artykułu, zapadła w głęboki sen.

Rozdział 23

Wtorek, 7 kwietnia, 13.52

Sandra Wykoff opuściła salę wybudzeń z uczuciem ulgi, gdy upewniła się, że jej drugi i ostatni pacjent tego dnia wybudził się ze znieczulenia ogólnego w świetnej formie. Operacja polegała na wszczepieniu protezy stawu biodrowego i Sandra nie miała wątpliwości, że chory wkrótce bezpiecznie wróci na czwarte piętro. Podczas obu zabiegów czuła niepokój, gdy zbliżał się moment rozpoczęcia procesu wybudzania, ale nie nastąpiły żadne powikłania - tak samo jak podczas wszystkich innych operacji, w których brała udział od początku kariery, z wyjątkiem rekonstrukcji kolana Carla Vandermeera.

Wyszedszy do holu głównego, zatrzymała się przy tablicy, żeby się upewnić, czy nie przydzielono jej kolejnego zabiegu, co mogło się zdarzyć, jako że pierwszy, poranny, został odwołany. Właściwie nie musiała tego robić - wiedziała, że kierująca pracą bloku operacyjnego Geraldine Montgomery z pewnością przysłałaby jej wiadomość, gdyby coś się zmieniło - ale jak zwykle wolała sprawdzić. Poza tym po porannej awanturze z Rhodesem chciała mieć stuprocentową pewność, że nie sprowokuje kolejnego wybuchu. Znała jego reputację, nie od dziś był cholerykiem, ale aż do tego ranka nie doświadczyła na własnej skórze, jaki nieprzyjemny potrafi być.

Im dłużej rozmyślała o przypadku Vandermeera, tym mniej miała sobie do zarzucenia. Nie miała już żadnych wątpliwości co do tego, że postępowała zgodnie z procedurą. Nie poszła na skróty nawet w najdrobniejszych szczegółach, choć wiedziała, że zdarza się to jej kolegom, na przykład nagminnie odpuszczającym sobie ręczne sprawdzanie aparatu do znieczuleń przed każdym użyciem. Dla większości dostateczną gwarancją był autotest. Sandra uważała, że to błąd.

Po tym, jak rozwścieczony Benton Rhodes opuścił pokój anestezjologów, potrzebowała nieco ponad godziny, by odzyskać

pewność siebie i przekonanie, że w niczym nie zawiniła podczas operacji Vandermeera. Było tak, jak powiedziała studentom: przeanalizowała swoje działania w najdrobniejszych szczegółach, kwestionując każdy krok i zasięgając opinii innych anestezjologów, których podziwiała i którym ufała.

Próbowała nawet pogadać z Markiem Pearlmanem, który w ostatni piątek doświadczył uderzająco podobnych problemów podczas operacji, ale odmówił rozmowy - nie chciał dyskutować ani o jej przypadku, ani o swoim. Postanowił przestrzegać co do joty zaleceń Rhodessa i Hartleya, nawet gdyby miało to oznaczać odmowę kontaktu z koleżanką po fachu. Sandra uważała, że to błąd z jego strony - niezależnie od tego, jaka jest opinia zarządu szpitala. Wierzyła bowiem, że otwarta dyskusja o powikłaniach to jeden z motorów postępu w medycynie.

Tak czy inaczej, Sandra była przekonana, że nawet jeśli dojdzie do procesu sądowego, nikt nie będzie mógł obarczyć winą za to, co się stało, ani jej, ani szpitala. Nie zgadzała się też z opinią Rhodessa; nadal wierzyła, że studenci należą do rodziny Centrum Medycznego Mason-Dixon i że należy im ufać. Zanim się z nimi spotkała, zadała sobie nieco trudu: zadzwoniła do dziekana do spraw studenckich i ustaliła, że panna Peirce najprawdopodobniej zakończy studia z czołową lokatą - podobnie jak ona sama kilka lat wcześniej w MUSC. Nie widziała więc powodu, by odmówić spotkania z Lynn; miała nadzieję, że może w ten sposób z tragedii wyniknie jakiś pożytek. Muszą przecież zrozumieć, myślała, że medycyna nie jest wszechmocna i w stu procentach przewidywalna.

Rozmowa ze Lynn i Michaeliem przyniosła jeszcze jeden pozytywny skutek. Omawiając szczegółowo to, co się stało, Sandra wyzwoliła się wreszcie z poczucia winy, które prześladowało ją od czasu feralnej operacji; poczuła też, że wraca jej wiara we własne siły i umiejętności. A przecież trudno być anestezjologiem, gdy się utraciło pewność siebie.

Gdy omawiała ze studentami przypadek Vandermeera, przypominała sobie o czymś jeszcze: o owym tajemniczym mrugnięciu monitora. Z jednej strony był to nieistotny detal, z drugiej jednak - jedyne niecodzienne zdarzenie podczas całej operacji. Dlatego też Sandra Wykoff uznała, że warto sprawdzić, co mogło spowodować takie zachowanie sprzętu. Problem polegał na tym, że musiała w tym celu skontaktować się z Działem Inżynierii Klinicznej, a na to nie miała zbytnej ochoty, oznaczało to bowiem najprawdopodobniej konieczność rozmowy z Miszą Zotowem.

Zebrawszy siły na taką ewentualność, Sandra wróciła do holu bloku operacyjnego i skierowała kroki wprost ku pomieszczeniu, w którym przechowywano nieużywane sprzęty medyczne. Miała nadzieję, że trafi na któregoś z techników i będzie mogła zadać mu parę pytań na temat dziwnego zachowania monitora. Zdecydowanie wolała to niż wizytę na dole, w podziemiach budynku, gdzie znajdowała się siedziba działu i gdzie po raz pierwszy miała nieszczęście spotkać tego irytującego Rosjanina.

Dobra wiadomość była taka, że w składziku maszyn nie było Zoltowa. Gorsza wiadomość była zaś taka, że nie było tam nikogo. Sandra obróciła się na pięcie i wróciła do centralnego kontuaru. Wszystko wskazywało na to, że jednak czeka ją wizyta w biurach Działu Inżynierii Klinicznej.

Wokół dyżurki panował spory ruch, ale Sandra zdołała po chwili przywołać Geraldine i zawiadomić ją, że wychodzi z oddziału i gdyby była potrzebna, można ją wezwać esemesem. Geraldine odpowiedziała, unosząc w górę kciuki.

Włożywszy długi biały fartuch w damskiej przebieralni, Sandra znalazła jeszcze jeden powód, by choć o kilka chwil odroczyć wizytę w piwnicach gmachu: postanowiła sprawdzić, czy nie zmienił się stan Carla Vandermeera. Poprzedniego dnia po południu odwiedziła już raz Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego, zanim wyszła do domu; tego dnia, z samego rana, znowu tam była. Znała już wyniki rezonansu magnetycznego i tomografii komputerowej, a także treść notatki rezydenta neurologii, ale wbrew wszystkiemu tliła się w niej jeszcze iskra nadziei, że może coś się zmieni na lepsze - w końcu mózg pacjenta mógł być niedotleniony tylko w nieznacznym stopniu.

Dotarwszy na oddział, pomaszzerowała wprost do boksu numer osiem. Jedno spojrzenie na Carla wystarczyło: już wiedziała, że nic się nie zmieniło. Pielęgniarka właśnie ułożyła pacjenta na lewym boku, żeby umyć i napudrować mu plecy. Sandra wzdrygnęła się, widząc jak na dłoni całą złożoność sytuacji, za którą w pewnym sensie czuła się współodpowiedzialna. Wiedziała, że opieka nad pacjentem w stanie wegetatywnym wymaga niemal nieustannego wysiłku. Była świadoma i tego, że Carl najprawdopodobniej będzie potrzebował gastrostomii, a to oznaczało kolejną operację. Wzdrygnęła się raz jeszcze, zastanawiając się, co będzie czuła, jeśli przypadnie jej w udziale znieczulanie do tego zabiegu.

- Jakies postępy? - spytała, choć doskonale znała odpowiedź.
- O, tak - odpowiedziała wesoło pielęgniarka. - Świetnie sobie radzi. Parę minut temu kichnął.

Wielkie nieba, pomyślała Sandra, ale nie odezwała się. Kichnięcie było dość żalonym wskaźnikiem „poprawy”. Z drugiej jednak strony, był to pozytywny odruch, wskazujący na to, że przynajmniej pień mózgu jeszcze funkcjonuje. Sandra zerknęła na monitor. Temperatura ciała była lekko podwyższona, podobnie jak rankiem, ale inne parametry pozostały w normie. Opuściwszy boks, skierowała się ku dyżurce, po drodze zauważając, że Scarlett Morrison, pacjentka w śpiączce, którą znieczulił Mark, zniknęła z oddziału, a jej miejsce w boksie zajął niejaki Charles Humphries.

Poprzedniego dnia miała okazję porozmawiać chwilę z Gwen Murphy, pielęgniarką oddziałową, na temat Carla. Odszukała ją teraz bez trudu.

- Jakież zmiany u Vandermeera? - spytała, z odrobiną nieuzasadnionej nadziei.

- Nie - odpowiedziała Gwen. - Ale dobrze, że przynajmniej jest stabilny. Konsultant nie znalazł śladów zakażenia, które mogłyby wyjaśniać podwyższoną temperaturę. Na szczęście gorączka trochę spadła.

Sandra zerknęła przez ramię na boks, w którym jeszcze niedawno leżała pacjentka Marka Pearlmana.

- Widzę, że Scarlett Morrison zniknęła. Jest na neurologii?

- Nie - powtórzyła Gwen. - Zabrali ją prosto do Instytutu Shapiro. Szczerze mówiąc, na neurologii nie mają ani sprzętu, ani ludzi, żeby przez dłuższy czas zajmować się pacjentem w śpiączce. Za to w Shapiro mają wszystko, co potrzebne.

- Strasznie szybko to poszło - stwierdziła Sandra. - Poleżała tu ledwie trzy dni.

- Była stabilna, więc trzymanie jej tutaj nie miało sensu - odparła oddziałowa. - Tak jest lepiej dla wszystkich, z pacjentką na czele. Szpitalni księgowi też są zadowoleni. Przetrzymany pacjentów w szpitalu jest dziesięć razy droższe niż pobyt w Instytucie.

- Dziesięć razy! Rety. Wiedziałam, że jest różnica, ale że aż taka... To niezły powód do przenosin.

- Owszem. Mamy nadzieję, że Vandermeer też tam trafi.

- Naprawdę? - W głosie Sandry pobrzmiwało rozczarowanie. - Przecież leży tu dopiero od wczoraj. Może jego stan jeszcze się poprawi. - W wyobraźni Sandry Wykoff wysłanie pacjenta do Instytutu Shapiro było równoznaczne z ostatecznym wyłączeniem nadziei, nawet jeśli nadzieja była kompletnie oderwana od rzeczywistości.

Gwen wzruszyła ramionami.

- Rezydenci neurologii są innego zdania. Uważają, że im szyb-

ciej trafi do Shapiro, tym lepiej. A nam przydałoby się wolne łóżko.

Idąc do windy, Sandra była jeszcze bardziej przygnębiona. Chwilę później wcisnęła się do kabiny jadącej w dół - nie miała w zanadrzu więcej wymówek; musiała złożyć wizytę w Dziale Inżynierii Klinicznej. Gdy wsiadała, winda była pełna ludzi. Gdy zjeżdżała z parteru do podziemi, była w kabinie sama. Zawahała się, gdy drzwi się rozsunęły. A potem pokręciła głową, zażenowana własnym tchórzostwem. Wystarczyło przecież, że zignoruje Zotowa, jeśli się na niego natknie. Zachowuję się jak nastolatka, pomyślała ze złością.

Minęła najpierw Dział Patomorfologu i kostnicę, a potem Dział Informatyki, gdzie w klimatyzowanych pomieszczeniach pracowały szpitalne serwery. Dalej znajdowało się Centralne Biuro Ochrony; za jego szybami Sandra dostrzegła baterie monitorów, na których można było podglądać obraz z kamer rozsianych po całym gmachu.

Idąc w stronę siedziby Działu Inżynierii Klinicznej, zastanawiała się, dlaczego Misza Zotow tak bardzo ją irytuje. Chyba przypominał jej byłego męża, Adama Radica - i z wyglądu, i z zachowania. Obaj mieli dość ciemną cerę, byli wysocy i muskularni, ale przy tym szczupli. Mieli ciężkie powieki i przenikliwe oczy, ba, nawet obaj nosili gęste brody! I co najgorsze, obaj potrafili obrzydliwie się łąsić, sypiąc komplementami. W przypadku Adama okazało się, że tylko udawał przymilnego. Sandra przeczuwała, że z Misza byłoby podobnie.

Dawno temu, gdy poznała Adama jako początkująca rezydentka, jego umizgi i pochlebstwa nawet do niej trafiały. Uważała, że jest nie tylko atrakcyjny, ale i bardziej wyrafinowany od niej; studiował przecież w Europie i sporo podróżował. Przyjechał do Ameryki z Serbii, w ramach programu szkolenia chirurgów. Sandra uwierzyła w szczerść jego miłosnych wyznań i odwzajemniła uczucie. Była ambitnym, młodym lekarzem i spore wrażenie robiła na niej atencja, którą okazywał jej tak utalentowany i już doceniany chirurg.

Po niespełna roku od chwili, gdy zaczęli się spotykać, wzięli ślub. Niestety, wkrótce potem sprawy zaczęły przybierać zgoła odmienny obrót - zwłaszcza od czasu, gdy Adam dostał zieloną kartę. Zmienił się w tyрана, kilka razy mocno ją pobił. Dzięki wsparciu ojca Sandra dość szybko dostała rozwód, ale trauma, którą wcześniej przeżyła, pozostała w niej na zawsze. Przemoc domowa nie była dla niej pustym hasłem, lecz realnym, bolesnym doświadczeniem.

Otworzywszy drzwi Działu Inżynierii Klinicznej, wkroczyła do przestronnej sali pełnej stołów roboczych, na których spoczywały przeróżne szpitalne sprzęty - od aparatów do znieczuleń po respira-

tory. Panował tu imponujący porządek. Narzędzia wisiały na specjalnych tablicach z kołkami, umocowanych do ścian. Poziom hałasu był znośny; jazgot elektrycznych narzędzi konkurował z dźwiękami muzyki poważnej. Przy stoliku w głębi sali dwaj mężczyźni grali w szachy.

Omiótlszy pomieszczenie uważnym spojrzeniem, Sandra oceniła, że aktywną pracą zajmuje się może piętnastu ludzi w białych kombinezonach. Większość z nich nawet na nią nie spojrzała, inni na chwilę unieśli głowy. Kilku przypominało Miszę Zotowa; blondyni byli w zdecydowanej mniejszości. Kobiet nie było wcale.

Ku lekkiemu rozczarowaniu Sandry Zotow był jednym z tych, którzy unieśli głowy. Pracował przy aparacie do znieczuleń, stojącym na jednym z najbliższych stołów roboczych. Zauważyła, że natychmiast ją rozpoznał. Co gorsza, niemal od razu odłożył narzędzie, które trzymał w ręku, i wyszedł jej na spotkanie.

Raz jeszcze obiegła salę spojrzeniem, tym razem szukając Fiodora Rozowskiego, szefa działu. Poznała go podczas poprzedniej wizyty i to właśnie on udzielał jej fachowych odpowiedzi na pytania dotyczące sprzętu. Niestety nie było go w zasięgu wzroku.

- Ach, doktor Wykoff - powiedział Misza, zatrzymując się zbyt blisko. Odniosła wrażenie, że jego angielski nieco się poprawił, ale rosyjski akcent nadal był doskonale słyszalny. - Pięknie pani dziś wygląda. Czym mogę służyć?

- Gdzie jest Fiodor Rozowski? - spytała Sandra. Cofnęła się o krok, unikając kontaktu wzrokowego z Zotowem. Niestosowna i zapewne nieszczerza uwaga na temat jej wyglądu wskazywała na to, że nie zmienił się ani trochę. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Rozejrzała się po sali po raz trzeci.

- W biurze - odpowiedział Misza. - Proszę zaczekać, zaraz go zawołam, to żaden kłopot.

- Dziękuję, sama go znajdę - odpowiedziała chłodno i ruszyła przed siebie. Wejście do biura znajdowało się w głębi sali. Niestety Misza jakoś nie wyczuł niechęci i podążył w ślad za Sandrą, uparcie próbując wciągnąć ją w rozmowę. Właściwie nie zwracał uwagi na jej odpowiedzi; paplał coś o pogodzie i o tym, jak pięknie jest o tej porze roku w Charlestonie, pełnym kwitnących drzew, a jak okropnie w jego rodzinnym mieście w Rosji. Tak, jego zasób angielskich słówek zdecydowanie się poprawił.

Sandra milczała, w duchu nie mogąc się nadziwić, jak bardzo ten człowiek przypomina jej Adama, na którego wspomnienie czuła zimne dreszcze. Gdy stanęła przed drzwiami biura, Misza wciąż był o

krok za nią. Fakt, że kompletnie go ignorowała, nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia. Właśnie proponował, żeby wybrali się razem na drinka do jego ulubionego baru na dachu Vendue Inn; było to jego zdaniem najlepsze miejsce do podziwiania zachodów słońca nad Charlestonem. Sandra знаła ten lokal: Adam też uwielbiał tam bywać, tyle że bez niej.

Weszła do biura. Misza bez najmniejszego wahania wkroczył tam za nią. W pokoju zmieścił się niewielki stół roboczy oraz kilka biurek. Przy jednym z nich siedział szef Działu Inżynierii Klinicznej, pozostałe były wolne.

Zanim Sandra zdążyła się odezwać, Misza przecisnął się obok niej i rozpoczął ożywioną rozmowę z Fiodorem - po rosyjsku. Widząc, że Fiodor raz po raz zerka na nią zza rozgadanego kolegi, zaczęła się zastanawiać, o czym, na Boga, tak rozprawia, skoro usłyszał od niej ledwie kilka słów. Wreszcie Misza umilkł i odstąpił na bok, a wtedy Fiodor podniósł się z krzesła i gestem wskazał na krzesło. Misza przystawił je bliżej w gnieniu oka.

- Proszę spocząć, doktor Wykoff. - W przeciwieństwie do Zotowa, mówił po angielsku właściwie bez akcentu i prawie bez błędów. - Pamiętam panią. Ostatnio pytała pani, jak często aparaty do znieczuleń przechodzą przegląd okresowy.

Sandra usiadła i spojrzała na Miszę, w nadziei, że teraz w końcu się oddali, ale nie zrobił tego. Stał tuż obok niej z krzywym uśmiechem na ustach, jakby oczekiwał od niej jakiejś przysługi w zamian za to, że ją tu przyprowadził. Nie było to przyjemne, ale Sandra cieszyła się w duchu, że przynajmniej nie spotkała się z nim sam na sam na gorze, w składziku bloku operacyjnego.

- Tym razem także przychodzę z pytaniem - powiedziała, spoglądając na Fiodora.

- Jesteśmy do usług, pani doktor - odpowiedział.

Sandra miała wrażenie, że i od niego wręcz bije nieszczerłość. Poczula się nieswojo.

- Wczoraj doszło do bardzo niefortunnego wypadku anestezjologicznego... - zaczęła i zawahała się. Czuła, że powinna nakreślić tło wydarzeń, mimo iż Rhodes surowo jej zabronił rozmawiania z kimkolwiek o sprawie. W końcu od tych ludzi zależała sprawność aparatu, którego użyła podczas operacji. Musiała mieć pewność.

Jakby wyczuwając jej niepewność, Fiodor rzekł:

- Słyszeliśmy o sprawie od doktora Rhodesa. Po pierwsze, chcę panią zapewnić, że aparat, którego pani używała, był serwisowany

właściwie i terminowo. Jego dokumentacja jest w najlepszym porządku. Gdy tylko dowiedzieliśmy się, co zaszło, na polecenie doktora Rhodesa zabraliśmy go do warsztatu i dokonaliśmy drobiazgowego przeglądu. Zapewniam, że był i jest sprawny; zresztą wrócił już na oddział. Nie stwierdziliśmy najmniejszych problemów ani z urządzeniem, ani z czujnikami. Poinformowaliśmy o tym doktora Rhodesa.

Sandra skinęła głową. Nie spodziewała się, że usłyszy od Fiodora aż tyle informacji. Nie wiedziała, że Rhodes zlecił kontrolę urządzenia w Dziale Inżynierii Klinicznej, ale uważała, że była to słuszna decyzja. Być może sama powinna była wpaść na ten pomysł. Cóż, pomyślała, ważne, że już to zrobili.

- Ma pani jeszcze jakieś pytania? - spytał Fiodor.

- Wydaje mi się, że już wszystko jasne - odrzekła, wstając. I znowu się zawahała. Usiadła wolno i dodała: - No może jeszcze jedno.

- Ależ proszę - odparł uprzejmie Fiodor, pozwalając sobie nawet na obłudny uśmiech.

Sandra opowiedziała szefowi techników o owym dziwnym mrugnięciu czy podskoku - nawet nie wiedziała, jak fachowo nazwać to, co zauważyła - widocznym na wykresach wygenerowanych przez aparat do znieczuleń w chwili, gdy chirurg zaczynał wiercić otwór w piszczelu. Jeszcze zanim skończyła relację, dostrzegła na twarzy Fiodora grymas niedowierzania. Dodała więc, że ślad tego zdarzenia widać nawet na automatycznym raporcie.

- To niewielka, ale łatwa zauważalna zmiana - wyjaśniła. - Pokażę panu, jeśli może pan podejrzeć na swoim komputerze raport anestezyjologiczny z operacji Vandermeera.

Rosjanie wymienili spojrzenia. Fiodor nieznacznie skinął głową, a wtedy Misza podszedł do jego komputera, wywołał zapis z aparatu do znieczuleń i odsunął się na bok. Sandra przejęła stery. Dokładnie tak, jak uczyniła to w obecności studentów, powiększyła fragment wykresu przebiegu funkcji życiowych i wskazała na pięćdziesiątą drugą minutę zabiegu, kiedy to wszystkie linie ugięły się nieznacznie ku górze.

- Tutaj - powiedziała, wskazując palcem. - Widzi pan ten pionowy skok? Gdy to się stało, monitor zamrugał i dlatego zwróciłam uwagę na to zjawisko. Wystraszyłam się, że za chwilę utracę wskazania wszystkich czujników.

- Ciekawe - mruknął Fiodor, nachylając się w stronę monitora. - Rozumiem, o czym pani mówi. Jak pani sądzi, co to może być?

- Mnie pan pyta? - zdziwiła się Sandra. - Nie mam pojęcia. To panowie są tu ekspertami. Prawdę mówiąc, nie znam się zbyt na

elektronice. Dlatego tu przyszedłam.

Fiodor wyprostował się i przez krótką chwilę patrzył koledze w oczy.

- Nie wiem, co to mogło być, ale z pewnością nic ważnego - orzekł wreszcie, po czym znowu spojrzął na ekran. - Przed tym mrugnięciem i po nim wszystkie wskazania są prawidłowe. A co ty o tym myślisz, Misza? - Fiodor rozparł się w fotelu i widząc zdziwienie w oczach Sandry dodał: - Może i jestem tu szefem, ale to Misza jest naszym głównym technikiem, jeśli chodzi o aparaty do znieczuleń. Sprowadziliśmy go z Rosji specjalnie po to, żeby się nimi opiekował. Spora część oryginalnego oprogramowania tego modelu to jego dzieło. To właściwy człowiek na właściwym miejscu, jak to się mówi.

Sandra była pod wrażeniem - w końcu od dawna uważała, że to świetne maszyny - uznanie dla umiejętności Miszy nie zmieniło jednak jej odruchowego, negatywnego stosunku do tego człowieka.

Zotow z namaszczeniem pochylił się przed ekranem, studiując zapis z maszyny.

- Wiem, że to niewielkie odchylenie od normy - powiedziała Sandra - ale nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego, a jako że operacja skończyła się tak fatalnie, chcę być pewna, że to detal bez żadnego znaczenia. Gdyby pacjent wyszedł ze znieczulenia ogólnego bez problemu, pewnie nie zapamiętałabym tego dziwnego zachowania aparatu. No, choć może to nie do końca prawda, bo w końcu pamiętam strach, że sprzęt może mnie zawieść.

- To nic ważnego - obwieścił Misza, prostując się.

- Ale co to jest? - nie ustępowała Sandra.

- To tylko przesunięcie klatki - wyjaśnił Rosjanin. - Zupełnie nieistotne. Mogło się zdarzyć z kilku powodów, choćby... - Rozłożył ręce, szukając odpowiednich, angielskich słów.

- Choćby jakich? - spytała.

- Proszę pamiętać, że komputer wbudowany w ten aparat nieustannie kompresuje dane - odezwał się Fiodor, przychodząc koledze z pomocą. - Nie ma pani pojęcia, jak wiele informacji generowanych jest w każdej sekundzie. I dlatego nie można się dziwić, że na ekranie pojawiają się czasem drobne zmiany. Przyczyna może być sprzętowa, na przykład przedwczesne rozładowanie jednego z setek kondensatorów. Może też być programowa, gdy dochodzi do chwilowego przeciążenia potokiem danych albo system uruchomi zbyt wiele aplikacji naraz.

Sandra kiwała głową, jakby wszystko rozumiała. Nie było to prawdą, ale pojmowała to, co najważniejsze: zdaniem fachowców

owo przesunięcie klatki nie miało najmniejszego znaczenia. Właśnie miała podziękować im i wyjść, gdy nagle zaczęli między sobą ożywioną dyskusję po rosyjsku. Sandra miała wrażenie, że jest świadkiem meczu pingpongowego - przez chwilę spoglądała to na Miszę, to na Fiodora, a wreszcie spór zgasł równie nagle, jak wcześniej wybuchł.

Fiodor się uśmiechnął.

- Przepraszam, to niegrzeczne z naszej strony, tak rozmawiać po rosyjsku. Nie zgadzamy się w pewnej drobnej kwestii, ale to nieistotne. Ważne, że cokolwiek wywołało przesunięcie klatki na monitorze, które była pani uprzejma zaobserwować, z całą pewnością nie miało wpływu na funkcjonowanie aparatu do znieczuleń. Czy możemy w czymś jeszcze pomóc, doktor Wykoff? - spytał, uśmiechając się ponownie.

- Nie, to na razie wszystko - odpowiedziała, wstając. -Dziękuję panom.

- Zawsze do usług - odparł Fiodor. - Gdyby tylko chciała pani jeszcze o coś spytać, proszę dzwonić albo złożyć nam wizytę. Jak pani wie, nasi technicy pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Wychodząc z biura szefa działu, Sandra spodziewała się, że Misza podąży za nią. Nawet trochę się martwiła, w jaki sposób wreszcie się od niego uwolni, ale ku jej zaskoczeniu i niemałej uldze okazało się, że pozostał w pokoju Fiodora.

Idąc w stronę windy, Sandra pomyślała, że warto wrócić na blok operacyjny i sprawdzić, czy jest już grafik jutrzejszych operacji. Gdyby się okazało, że niektórzy z pacjentów są już w szpitalu, mogłaby ich odwiedzić, przeprowadzić wywiad. W przypadku tych, którzy mieli się zjawić w dniu zabiegów, pozostawała jedynie lektura elektronicznych kart pacjenta. Od czasu dramatu Carla Vandermeera myślała o swoich obowiązkach wręcz kompulsywnie. Postanowiła, że gdy tylko to załatwi, pojedzie do domu.

Rozdział 24

Wtorek, 7 kwietnia, 14.41

Przez kilka minut po wyjściu doktor Sandry Wykoff w biurze szefa Działu Inżynierii Klinicznej panowała głęboka cisza. Stłumione dźwięki dobiegały jedynie zza ściany - warkot elektronarzędzi i ledwie słyszalne tony muzyki poważnej. Dwaj Rosjanie spoglądali na siebie, pogrążeni w myślach. Obaj byli niezadowoleni, choć z nieco odmiennych powodów.

Fiodor Rozowski pracował w Charlestonie od kilku lat, nim zatrudnił Miszę Zotowa. Znali się jednak od dziecka; razem dorastali w Leningradzie, a potem razem studiowali w Moskwie, w Instytucie Fizyki i Techniki. Fiodor trafił do Stanów przed niespełna dziesięcioma laty, gdy koncern Sidereal Pharmaceuticals zgodził się ufundować Instytut Shapiro. Jako ekspert w dziedzinie programowania i robotyki był jednym z autorów sukcesu tego przedsięwzięcia. Wkład jego pracy był tak wielki, że gdy Instytut rozpoczął działalność, firma Middleton Healthcare zaproponowała Rozowskiemu posadę szefa Działu Inżynierii Klinicznej, obsługującego całe centrum. Inwestowanie w automatykę uznano za klucz do rozwoju nowoczesnego szpitalnictwa.

- Nie podoba mi się to - rzekł wreszcie Fiodor. Mówił po rosyjsku, nie kryjąc rozdrażnienia. - Siergiej będzie wściekły jak lichy, jeśli wszyscy anesteziolodzy zaczną nagle dyskutować o tajemniczym mrugnięciu monitora.

Siergiej Poluszyn, geniusz finansów, uważany był za najbliższego współpracownika Borysa Rusnaka, rosyjskiego oligarchy-miliardera i twórcy Sidereal Pharmaceuticals. To właśnie z pomocą Siergieja mieszkający w Genewie Rusnak dokonał agresywnego przejęcia licznych mniejszych firm z branży farmaceutycznej, tworząc najpotężniejszy na świecie koncern. Co ważniejsze, moloch ten miał wkrótce stać się najważniejszym graczem na nowym rynku, istnej zyle złota branży farmaceutycznej: miał podjąć produkcję i sprzedaż

biofarmaceutyków - leków wytwarzanych przez żywe organizmy, a nie drogą reakcji chemicznych. Siergiej Poluszyn był najważniejszą postacią w Instytucie Shapiro i traktował go jak swój prywatny folwark.

- Muszę odbyć szczerą rozmowę z moją ekipą programistów - odparł Misza. Teraz, gdy Sandra wyszła, po jego służalczym tonie nie pozostał żaden ślad. Misza Zotow był wściekły, podobnie jak jego kolega. - Efekt przesunięcia klatki widoczny na ekranie to dowód jednego: niedbałości w kodowaniu. Problem w tym, że sam nie zauważyłem błędu w programie.

- Chyba nie muszę ci mówić, że Siergiej bez wątpienia obarczy cię odpowiedzialnością, jeśli wynikną z tego większe kłopoty?

- Nie musisz. A ja dopilnuję, żeby błąd w oprogramowaniu został usunięty. Kiedy następną operacja?

- Dopiero w przyszłym tygodniu, więc masz mnóstwo czasu. Ale błąd musi zostać naprawiony, to ważne. Zgodnie z planem we wszystkich szpitalach Middleton Healthcare robimy jedną akcję w tygodniu. Nie chcę więcej słyszeć o błędach. Czy to możliwe, że ta sama usterka objawiła się podczas poprzednich dwóch zabiegów testowych?

- Nie wiem - odparł Misza. - Może od razu sprawdzimy ten pierwszy! - To rzekłszy, przyciągnął sobie krzesło i w komputerze Fiodora otworzył raport anestezjologiczny z operacji Ashanti Davis. Gdy dane pojawiły się na ekranie, powiększył środkową część wykresu, dokładnie tak samo, jak wcześniej uczyniła to Sandra z raportem Vandermeera.

- Jest zakłócenie - stwierdził Fiodor. - To niedobrze. Sprawdźmy jeszcze Morrison.

Misza pospiesznie otworzył kolejny archiwalny plik.

- Psiakrew! U Morrison to samo. Przepraszam.

- Napraw to! - warknął Fiodor.

Misza zamknął podgląd raportu.

- Na szczęście w tych dwóch przypadkach nikt nie zauważył przesunięcia klatki.

- Sugerujesz, że nie musimy niczego naprawiać?

- Dopilnuję, żeby błąd zniknął jeszcze dziś. Chodzi mi raczej o to, czy warto wracać do tych zapisów i spróbować usunąć przesunięcie klatki we wszystkich trzech plikach.

- A potrafiłbyś?

Misza wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Prawdopodobnie tak. Ale z drugiej

strony, moglibyśmy pogorszyć sprawę, zostawiając po sobie ślad. Ktoś mógłby odkryć, że dokonano zmiany w raportach. Może każę któremuś z naszych zrobić próbę, zanim pójdziemy na całość. Za godzinę pokażę ci, jak by to miało wyglądać.

- Zgoda. Ale najważniejsze jest to, żebyś usunął przyczynę błędu.

- Jasne. Pozostaje zatem sprawa tej całej Wykoff. Nie można wykluczyć, że będzie szukała pomocy kogoś, kto będzie umiał jej wytłumaczyć, skąd się wziął efekt przesunięcia klatki.

- Też o tym pomyślałem. Wiemy, że szef anestezjologii i prawnik obsługujący szpital zakazali personelowi wszelkich rozmów na ten temat. Moim zdaniem plotkowanie o najmniejszej nawet anomalii odczytu parametrów życiowych operowanego pacjenta spokojnie zalicza się do „wszelkich rozmów na ten temat”.

- To prawda, ale czy możemy ryzykować? Obawiam się, że ta kobieta stała się dla nas poważnym problemem. I dlatego sądzę, że to jedna z tych sytuacji, w których jak najszybciej należy skorzystać z usług Darka i Leonida.

Fiodor i Misza od dawna znali Darka Lebediewa i Leonida Szubina. Wiedzieli, że to byli żołnierze sił specjalnych, z doświadczeniem służby w Czeczenii, gdzie zajmowali się likwidowaniem ludzi nazywanych przez Moskwę terrorystami. Wiedzieli i o tym, że Borys Rusnak skusił ich pieniędzmi do opuszczenia szeregów armii, gdy zaczynał swą niezwykłą karierę w niespokojnych czasach burzliwych narodzin rosyjskiego biznesu. Korzystanie z umiejętności ludzi takich jak Darko i Leonid było wówczas koniecznością. Nie było dla Miszy i Fiodora tajemnicą także to, że obaj zabójcy niejedną raz wykonywali zlecenia dla swego pryncypała: Siergiej Poluszyn wysłał ich do Charlestonu specjalnie po to, by na swój sposób wspierali Sidereal w niełatwym procesie inwestowania w stanach Zjednoczonych.

Fiodor rozparł się wygodnie w fotelu i w zamyśleniu wbił spojrzenie w sufit. Misza miał rację. Doktor Sandra Wykoff była w tym momencie bardzo słabym ogniwiem bardzo mocnego łańcucha. Mogła nie tylko spowolnić postępy programu, który wdrażali; mogła wręcz doprowadzić do zatrzymania go na jakiś czas. Dopuszczenie do takiej sytuacji byłoby, zdaniem Fiodora, nieodpowiedzialnością - zwłaszcza, że tak łatwo było rozwiązać problem. Wykoff została wybrana jako jeden z nieświadomych uczestników fazy testowej właśnie dlatego, że była samotniczką, podobnie jak dwaj inni anestezjolodzy, których wykorzystano. Misza otrzymał zadanie zbliżenia się do niej, ale ta taktyka się nie sprawdziła. W przypadku

mężczyzn wystarczyło skorzystać z usług rosyjskich prostytutek, by trzymać ich w szachu - udało się bez najmniejszych kłopotów. Ale Sandra Wykoff była inna, a to oznaczało prawdziwy problem. Nikt naprawdę nie wiedział, co się dzieje w jej głowie.

Fiodor pochylił się, przysiadając na skraju fotela. Podjął decyzję.

- Nie podoba mi się ta kobieta - powiedział.
- Wyniosła suka - dorzucił Misza. - Próbowałem być dla niej miły, możesz mi wierzyć! Ale ona wyobraża sobie, że taki z niej cud. I będą z nią kłopoty.
- W porządku. Trzeba się nią zająć. Pogadasz z Darkiem i Leonidem, czy ja mam to zrobić? Wiem, że palą się do roboty.
- Zrobię to z przyjemnością - odparł Misza, wstając. - Zadzwońię do Darka, gdy tylko zagonię do pracy moich programistów.
- Informuj mnie o postępach - polecił Fiodor.
- Zrobi się - obiecał Misza.

Rozdział 25

Wtorek, 7 kwietnia, 15.04

Jedna z asystentek wprowadziła Bentona do eleganckiego gabinetu Josha Feinberga. Było to narożne biuro z widokiem na nieskazitelnie utrzymane przyszpitalne ogrody. Przestronne i równie dobrze wyposażone jak gabinety menedżerów z czołowej pięćsetki „Forbesa” stanowiło godną siedzibę nie byle jakiej osoby: dyrektora Centrum Medycznego Mason-Dixon i prezesa zarządu Middleton Healthcare w jednej osobie. Benton nie mógł nic na to poradzić - czuł zazdrość. Josh był lekarzem nowego typu. Równocześnie z dyplomem uczelni medycznej zdobył MBA, by w pełni odnaleźć się w gigantycznym i stale rozwijającym się biznesie zwanym służbą zdrowia, którego wartość w samych Stanach Zjednoczonych wyceniano na cztery biliony dolarów.

Benton wiedział też, że Josh zgarnia rocznie ponad cztery miliony dolarów, nie licząc szkodliwego podatku w akcjach. Za jego rządów firma Middleton Healthcare rozbudowała swoje aktywa z dwudziestu czterech szpitali na południowym wschodzie Stanów do trzydziestu trzech rozrzuconych po całym kraju. Równie imponująco prezentował się sojusz z Sidereal Pharmaceuticals. Jako szef oddziału, Benton doskonale wiedział, jak wielkie kwoty wpływają co miesiąc z koncernu Sidereal do kasy Middleton Healthcare, z przeznaczeniem na rozbudowę infrastruktury.

Z perspektywy Bentona Rhodesa Feinbergowi brakowało jedynie prezencji - nie tylko nie wyglądał na skutecznego menedżera, zarządcy wielkiego szpitala, ale i na lekarza. Był mężczyzną drobnej budowy ciała, o wychudzonej twarzy i ruchliwych oczkach sprzedawcy używanych samochodów. Choć jego garnitury niewątpliwie kosztowały majątek, wisały na jego kościstym ciele jak na drucianym wieszaku. Benton wiedział jednak, że to tylko mylące pozory, że Josh to prawdziwy rekin biznesu, a swoje MBA zdobył w tej samej uczelni należącej do Ivy League, w której i on się kształcił.

Zanim Josh Feinberg stanął na czele Middleton Healthcare, zasłynął stworzeniem niebywale skutecznej firmy konsultingowej o nazwie Feinberg Associates, działającej na rynku usług zdrowotnych. Działając za plecami wielkich graczy, miała ona swój udział we wprowadzeniu na rynek wielu doskonale sprzedających się produktów, począwszy od oprogramowania medycznego, a na paskach do wybielania zębów skończywszy. Źródłem sukcesu Feinberg Associates była kadra: setki rosyjskich naukowców z doktoratami, którzy stracili pracę po tym, jak rozpadł się Związek Sowiecki.

Benton wiedział, że zatrudniwszy się w Middleton Healthcare Feinberg nie tylko powiększył firmę, ale także robił wszystko, by doszło do lukratywnego połączenia z Sidereal Pharmaceuticals. Niejako po drodze zawarł bliską znajomość z unikającym rozgłosu miliarderem, Borysem Rusnakiem. Z opinii, które krążyły na temat tego człowieka, wynikało, że zawarcie przyjaźni z nim było bodaj największym osiągnięciem w karierze Feinberga.

Josh wskazał gościowi miejsce w jednym z foteli stojących naprzeciwko potężnego biurka, ale Benton grzecznie odmówił, tłumacząc, że woli postać, bo i tak zaraz musi wracać na salę operacyjną, a to, co ma do powiedzenia, nie zajmie wiele czasu.

- Rozmawiał pan może z Bobem Hartleyem? - spytał na początek.

- Nie. A powinienem?

- Niekoniecznie. Pozwoli pan, że wyjaśnię, o co chodzi.

To rzekłszy, powtórzył niemal wszystko, o czym wcześniej mówił Hartleyowi. Josh, podobnie jak wcześniej Bob, potraktował sprawę bardzo poważnie i zapisał sobie nazwiska dwojga studentów, o których wspominał Benton. Najdłuższa część rozmowy dotyczyła doktor Sandry Wykoff i tego, co można zrobić w jej sprawie. Rhodes był zdania, że jest dobrą anestezjolożką, oddaną swojej pracy, ale raczej stroni od ludzi i nie identyfikuje się z zespołem. Przyznał, że nie do końca ją rozumie.

- Powiada pan, że Hartley się ze mną skontaktuje? - upewnił się Josh.

- Tak mówił.

- To dobrze. A jeśli chodzi o tych studentów zainteresowanych problemem zakażeń szpitalnych: jestem pewny, że ten problem uda się zdławić w zarodku. Porozmawiam z dziekanem, niech im przypomni, jakie jest ich miejsce w szeregu. Gdyby jednak do któregoś z nich nie dotarło to życzliwe ostrzeżenie i gdyby nadal szukali informacji, proszę mnie o tym natychmiast zawiadomić.

- To znaczy, gdyby spróbowali ponownie skontaktować się z doktor Wykoff?

- Właśnie. Czy to z doktor Wykoff, czy z pozostałymi anestezjologami. Chcę wiedzieć, bo mogą z tego wyniknąć poważne problemy, zwłaszcza jeśli te ich badania zostaną nagłośnione. Nie chcemy przecież, żeby zwałała nam się na głowy inspekcja z Połączonej Komisji, prawda? Wystarczy, że zatruwają nam życie w sprawie dostępu do Instytutu Shapiro.

- W jaki sposób mam pana poinformować po godzinach pracy?

- Może być esemes. Poproszę jednego z moich asystentów o podanie panu mojego prywatnego numeru.

- Jasne - odparł Benton. Schlebiało mu to, że szef chce mu dać swój prywatny numer, ale nie był zbyt zdziwiony. W końcu to właśnie Josh Feinberg kusił go i namawiał pięć lat wcześniej do podjęcia pracy w Mason-Dixon. Od tamtej pory raz na jakiś czas spotykali się na gruncie towarzyskim.

- Cóż, doktorze, obiecuję, że zajmę się tą sprawą. Dziękuję. - Magicznym sposobem dokładnie w tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu Josha. Na progu stanął najważniejszy z jego asystentów, Fletcher Jefferson. Feinberg skinął na niego, by dać Bentonowi znak, że spotkanie dobiegło końca.

- Dziękuję - odrzekł Rhodes, trochę zaskoczony, że wyproszono go tak bezceremonialnie. Gdyby nie to, że przebieg rozmowy wprawił go w dobry humor, może nawet poczułby się urażony. Wychodząc z gabinetu, odebrał z rąk Jeffersona karteczkę z prywatnym numerem komórki Josha.

Po wyjściu Bentona Feinberg przez kilka minut w zamyśleniu bawił się myszką swego komputera, kreśląc nią kręgi i obserwując taniec kursora na ekranie. Nie cierpiał tych drobnych, irytujących spraw wymagających jego uwagi w samym środku innych, nieporównywalnie ważniejszych wydarzeń. Właśnie takich jak ta, którą musiał się teraz zająć: sprawa samotnej anestezjolożki i pary studentów.

Josh pracował właśnie z Borysem Rusnakiem nad absolutną rewolucją w przemyśle farmaceutycznym: modernizowali i znacząco ulepszali proces wytwarzania biofarmaceutyków. Wiedział, że musi się skupić na tym dziele w stu procentach. Biofarmaceutyki były przyszłością branży, głównie dlatego, że można było je sprzedawać po astronomicznych cenach. Sojusz Middleton Healthcare z Sidereal Pharmaceuticals był krokiem we właściwym kierunku, a jako że to on,

Josh Feinberg, z pomocą swojej ekipy, doprowadził do tego cudownego mariażu, należało mu się miejsce na samym szczycie piramidy i związane z nim bonusy, wysokością przekraczające nawet jego najbardziej szalone marzenia. Za godzinę miał odbyć telekonferencję z prawą ręką Borysa, Siergiejem Poluszynem. Wiedział już, czego będzie dotyczyła rozmowa: zamierzał zaproponować szefom Siderealu podwojenie planowanej produkcji przeciwciał, a to dzięki wykorzystaniu wszystkich trzydziestu paru szpitali należących do Middleton Healthcare, a nie tylko pięciu, jak pierwotnie zakładano. Tak korzystna oferta oznaczałaby praktycznie pewną fuzję między Sidereal Pharmaceuticals, a Middleton Healthcare. Przy takim stopniu wzajemnego uzależnienia Sidereal na dobre związałby się z Middleton, bo inaczej sieć szpitali mogłaby chcieć podjąć współpracę z innymi międzynarodowymi koncernami farmaceutycznymi.

Josh nacisnął guzik tuż pod krawędzią blatu biurka - ten sam, z którego skorzystał, by zakończyć spotkanie z Bentonem Rhodesem - i zaczął czekać, aż zjawi się Fletcher. Parę sekund później wręczył mu kartkę, na której zapisał nazwiska dwojga studentów.

- Chcę wiedzieć wszystko o tych smarkaczach, na wczoraj - oznajmił. - Gdzie mieszkają, skąd pochodzą, jaką mają sytuację rodzinną, wszystko. Szczegóły mogą być później, ale podstawowe fakty już!

Josh znowu czekał, a czekając, wrócił do zabawy kursorem. Miał świadomość, że rozmowa z Genewą może być najważniejszym wydarzeniem w całym jego życiu. Nie denerwował się jednak, ponieważ był przygotowany. Choć zdawało mu się, że potrafi punkt po punkcie przewidzieć, o czym będą rozmawiali, był gotów także na niespodzianki. A największą nadzieję pokładał w tym, że to Sidereal potrzebował Middleton Healthcare, a nie odwrotnie.

Minęło zaledwie pięć minut, nim rozległo się ciche pukanie i do gabinetu znowu zajrzał Fletcher. Podeszedł do biurka i położył przed Joshem pojedynczą kartkę z dwoma akapitami tekstu. Dyrektor pochwycił ją chciwie i szybko przeczytał noty o dwojgu studentach.

- Dobrze - mruknął, jeszcze raz przebiegając wzrokiem po tekście. - Doskonale. Oboje mieszkają w akademiku, to dobrze. Oboje są świetnymi studentami, to dobrze, bo mają dużo do stracenia. Oboje korzystają z pełnego stypendium, to świetnie, bo prawdopodobnie są wdzięczni uczelni. I na dodatek przyjaźnią się ze sobą, przez co tym łatwiej będzie ich kontrolować: wystarczy przekonać jedno, by dotrzeć do drugiego. - Po krótkiej pauzie Josh uniósł głowę. - Dobra robota. A teraz szczegóły!

Fletcher odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, a Josh sięgnął po słuchawkę telefonu. Wiedział, że sekretem najlepszych zarządców jest umiejętność cedowania pracy na właściwych ludzi - i właśnie to zamierzał uczynić. Dzięki Siergiejowi Poluszynowi dysponował odpowiednim personelem, by radzić sobie z problemami, takimi jak planowany pozew Roberta Hurleya, gadatliwość doktor Sandry Wykoff czy wścibstwo studentów. Wcisnął guzik i automat połączył go z biurem Fiodora Rozowskiego.

- Kolejne dwa problemy - powiedział Josh bez zbędnych wstępów. Nie musiał się nawet przedstawiać; rozpoznawali swoje głosy, „projekt” wymagał bowiem częstych kontaktów, a zdecydowanie woleli rozmawiać, niż pisać e-maile czy esemesy, które łatwo mogły posłużyć jako do wody przeciwko nim. - Ta anestezjolożka, Sandra Wykoff, stała się dla nas naprawdę niebezpieczna.

- Już o tym wiemy - odparł Fiodor. - Właśnie złożyła wizytę w naszym serwisie, zadawała pytania. Decyzja została podjęta, rozmowa telefoniczna już się odbyła. Dziś w nocy problem zostanie rozwiązany.

Fakt, że jego ludzie wyprzedzili go o krok, zaskoczył Josha Feinberga, ale i ucieszył.

- Sprawność godna pochwały - ocenił.

- Zatrudniamy wyłącznie najlepszych, najbardziej doświadczonych ludzi - odparł z dumą Fiodor.

- Myślę też, że należy się wam pochwała za zniwelowanie zagrożenia ze strony Hurleyów.

- Dziękuję. Obyło się bez komplikacji.

- Jeszcze jedna sprawa, skoro już rozmawiamy. Mamy mały problem, z którym pański doświadczony personel powinien sobie świetnie poradzić. Przykro mi tylko, że powierzam mu dwa zadania jednocześnie.

- Rozwiązywanie problemów to nasza specjalność, nie ma za co przepraszać. A o co konkretnie chodzi?

- O parę blisko zaprzyjaźnionych studentów medycyny, mężczyznę i kobietę. Stanowczo zbyt natrętnie wypytywali Sandrę Wykoff o przypadek Vandermeera. Podobno interesuje ich kwestia chorób nabywanych podczas leczenia szpitalnego, a nie powinna. Trzeba z tym skończyć. Oczywiście spróbuję zadziałać przez dziekana uczelni, ale pomyślałem, że powinien pan wiedzieć o sprawie. Kto wie, czy nie byłoby wskazane przesłanie ostrzeżenia komuś z tej parki, ale decyzję zostawiam panu. Prześlę nazwiska i szczegółowe dane.

- Zatem czekamy. A tymczasem zapewniam, że panią doktor zaopiekujemy się w należyty sposób. Jeśli chodzi o studentów, to łatwiej będzie przekonująco porozmawiać z kobietą. Doświadczenie uczy nas, że to najlepsza metoda oddziaływania na pary.

- Ufam pańskiej ocenie - odparł Josh i przerwał połączenie.

Był zadowolony i czuł coś na kształt ulgi - sprawę niesfornej anestezjolożki mógł uznać za zamkniętą. Łatwo delegować zadania, gdy ma się właściwych ludzi, pomyślał.

Uporawszy się z najważniejszym problemem, zadzwonił do dziewczynki, doktor Janet English, by zawiadomić ją o kłopotach z parą wścibskich studentów. Konwersacja była jeszcze krótsza i bardziej konkretna.

- Proszę się z nimi jak najszybciej rozmówić - zakończył Josh. Myślni był już przy telekonferencji z Genewą.

- Zajmę się tym natychmiast - zapewniła go doktor English. - Może pan uważać sprawę za załatwioną.

Rozdział 26

Wtorek, 7 kwietnia, 15.21

Sygnal nadchodzącej wiadomości tekstowej nie był głośny, ale w głębokiej ciszy panującej w pokoju wystraszył Lynn. Gdy zabrzmiał, była pogrążona w głębokim skupieniu, i to już od pewnego czasu. Zaczęła od przeczytania artykułów, które ściągnęła z Internetu i wydrukowała, potem zaś skupiła się na zdjęciach raportów anestezyjologicznych z operacji Carla, Scarlett i Ashanti. Odkrywszy pewne osobliwe detale na wydrukach, powróciła do komputera, by przyjrzeć im się w dużym powiększeniu. Tym, co odkryła, a następnie potwierdziła, była zaskakująca zgodność: owo przesunięcie klatki, które tak zaniepokoiło doktor Wykoff, zostało zarejestrowane nie tylko w raporcie anestezyjologicznym z operacji Carla, ale i z pozostałych dwóch zabiegów. Co więcej, za każdym razem wydarzyło się w tym samym momencie: w pięćdziesiątej drugiej minucie od rozpoczęcia operacji!

Lynn nie wierzyła, by coś takiego mogło być dziełem przypadku. Pochyliwszy się raz jeszcze nad wydrukami, które ułożyła obok siebie, dostrzegła coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi - kolejną zgodność, która być może umknęłaby jej i tym razem, gdyby nie fizyczne ułożenie trzech kartek w bliskim sąsiedztwie. Był to detal równie szokujący jak jednoczesne wystąpienie przesunięcia klatki podczas trzech różnych zabiegów. I w tym przypadku nie była pewna, co właściwie oznacza ów szczegół, ale wiedziała, że jego znaczenie jest niebagatelne. Nie mogła się doczekać, kiedy powiadomi Michaela o swoim odkryciu i wysłucha jego opinii. I właśnie wtedy, gdy podziwiała swoje dzieło, sygnał przychodzącej wiadomości odezwał się po raz drugi.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Lynn sięgnęła po telefon i z wciąż mocno bijącym sercem spojrzała na wyświetlacz. Spodziewała się wiadomości od Michaela, być może prośby, żeby jak najszybciej stawiała się w klinice - w końcu na co dzień to właśnie on najczęściej

pisał do niej esemesy. Ale tym razem było inaczej. Wiadomość przysłała doktor Janet English, dziekan jej uczelni! Pełna najgorszych przeczuć Lynn odczytała krótki tekst.

Panno Lynn Peirce, proszę się stawić w moim gabinecie dziś o 17.00, zaraz po zajęciach w klinice dermatologii. Z poważaniem, dr Janet English, dziekan, Uniwersytet Medyczny Mason-Dixon.

Lynn powolnym ruchem odłożyła telefon, lecz po chwili pochyliła się i jeszcze raz przeczytała wiadomość. Jej serce, które w pierwszej chwili zamarło, teraz zaczęło bić jak szalone. Pytanie brzmiało: czego mogła od niej chcieć dziekan English? Początkowo Lynn sądziła, że chodzi o opuszczone zajęcia z okulistyki i dermatologii, ale szybko uświadomiła sobie, że byłby to zdecydowanie zbyt błahy powód. Słowa „po zajęciach w klinice dermatologii” oznaczały, że - zdaniem pani dziekan - panna Peirce znajduje się tam, gdzie powinna, to jest na wykładzie.

Lynn jeszcze nigdy nie spotkała się twarzą w twarz z doktor English, choć studiowała na tej uczelni już czwarty rok. Czasem widywała ją z daleka podczas różnych uroczystości - choćby pierwszego dnia nauki, gdy dziekan wygłosiła mowę powitalną podczas tak zwanej „ceremonii białych fartuchów”. Doktor English nie cieszyła się opinią nadmiernie towarzyskiej osoby. Wszyscy wiedzieli, że woli zajmować się administrowaniem albo pracą badawczą niż bezpośrednimi kontaktami ze studentami - od tego miała przecież swego zastrępcę, dziekana do spraw studenckich.

Dość szybko zaświtała w głowie Lynn niepokojąca myśl, że to Rhodes i/lub Wykoff postanowili sprawdzić, czy aby na pewno ktoś pozwolił jej i Michaelowi zaglądać do karty Carla. Gdyby dziekan English dowiedziała się prawdy, byłaby sina z wściekłości, a wezwanie na rozmowę oznaczałoby, że wysłuchają oskarżenia o rażące naruszenie zasad. Lynn pamiętała słowa Michaela: było to przestępstwo. Czy szkoła spróbowałaby postawić ich przed sądem? Tego nie umiała odgadnąć, ale w głębi ducha wątpiła, by tak się miało stać - w końcu było to ich pierwsze nieregulaminowe zagranie. A gdyby jednak zostali postawieni w stan oskarżenia, czy to oznaczałoby koniec ich karier w służbie zdrowia? O tym także Lynn nie miała bladego pojęcia, lecz nie mogła wykluczyć i takiej ewentualności. Wzdrygnęła się, owładnięta nagłym poczuciem winy na myśl o tym, że sama wciągnęła Michaela w tę grę.

A właśnie, pomyślała. Michael. Ciekawe, czy i on dostał taką wiadomość. Czym prędzej przesłała mu esemesem pytanie. Domyślała się, że najprawdopodobniej jest jeszcze w klinice dermatologii,

ale wiedziała, że jej odpowie. Miała rację. Po paru minutach na ekranie smartfonu rozbrzmiał tekst:

Michael: *Potwierdzam. O co chodzi?*

Pospiesznie odpisała:

Lynn: *Chciałabym wiedzieć. Obawiam się, że Rhodes i Wykoff mogli nas wsypać w sprawie karty Carla.*

Michael: *Możliwe, ale wątpliwe. Prędkiej jest skrajnie wkurzona za to, że rozmawialiśmy z Wykoff.*

Lynn: *Mam nadzieję, że masz rację. Spotkajmy się w klinice tuż przed piątą. Pójdziemy razem.*

Michael: *Spoko, dziewczyno!;*)

Lynn położyła telefon na biurku, zaskoczona tym, że Michael przyjmuje wiadomość od doktor English tak spokojnie, że stać go nawet na użycie emotikony. W zaistniałych okolicznościach wydawało jej się to niestosowne, wręcz sprzeczne z jego charakterem - przecież on nigdy, do żadnej wiadomości, którą od niego dostała, nie dołączał żadnych uśmiezków. Mimo wszystko jednak poczuła się nieco rażniej. Skoro Michael podchodzi do sprawy na luzie, pomyślała, to może i ja powinnam.

Z drugiej strony, nawet w najszczęśliwszym dla nich scenariuszu - takim, że dziekan chce jedynie upomnieć ich za rozmowę z doktor Wykoff - kryło się poważne niebezpieczeństwo: od tej chwili karta Carla będzie poza ich zasięgiem i już na pewno nie uda im się go odwiedzić. Lynn zadała sobie pytanie, czy aby znowu nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków, ale nie znalazła na nie odpowiedzi. Zaraz potem przysłała jej do głowy nowa myśl: może powinna kontynuować to śledztwo w pojedynkę? Dopiero teraz widziała wyraźnie, jak wielką cenę przyjdzie jej być może zapłacić. Gdyby ktokolwiek miał ponieść odpowiedzialność za to, co razem robili, to tylko ona, na pewno nie Michael.

Spojrzała na zegar. Dochodziła piętnasta trzydzieści. To oznaczało, że na Oddziale Intensywnego Nadzoru Neurologicznego pracę rozpoczęła już popołudniowa zmiana. Nowe twarze, pomyślała Lynn. I bez trudu zdążyłabym na siedemnastą do dziekanatu. Chciała zajrzeć do karty Carla raz jeszcze, a skoro tak, to musiała to zrobić teraz, a przynajmniej spróbować. Mogła jedynie mieć nadzieję, że wezwanie do doktor English nie ma nic wspólnego z tym, że wraz z Michaeliem już kilkakrotnie złamała zasady HIPAA.

Rozdział 27

Wtorek, 7 kwietnia, 15.40

Odpuściwszy sobie prysznic i zmianę garderoby, które planowała, Lynn pobiegła do szpitala. Owładnięta lekką paranoją niepokoiła się, czy aby dziekan English nie uprzedziła personelu Oddziału Intensywnego Nadzoru Neurologicznego o jej ewentualnej wizycie, nie czekając na wynik spotkania z dwojgiem niesfornych studentów. Niestety, nie mogła się o tym przekonać inaczej, jak tylko próbując wejść na oddział.

Postanowiła, że jeśli ktoś ją spyta, co tu robi, jeszcze raz skorzysta z bajki o fakulciecie z anestezjologii. Po raz kolejny weszła do damskiej szatni, by przebrać się w chirurgiczny uniform. Miała nadzieję, że dzięki temu nie będzie od razu rzucać się w oczy.

Zatrzymała się na chwilę przed drzwiami oddziału intensywnej terapii, podobnie jak podczas poprzednich wizyt. Tym razem jednak nie dlatego, że obawiała się zobaczyć Carla, ale dlatego, że lękała się nieprzyjaznego powitania. Zebrawszy się na odwagę, wreszcie pchnęła drzwi.

Gdy zamknęły się za nią i rozejrzała się dokoła, znowu się zawałała. Na pozór nic się tu od rana nie zmieniło, otaczały ją te same dźwięki i zapachy. Jak zawsze, pacjenci byli w większości nieruchomi, w przeciwieństwie do pielęgniarek i salowych w skupieniu wykonujących swoją robotę. Kilka osób spojrzało na Lynn, ale nikt się nie zbliżył. Dodało jej to odwagi i pomogło poczuć się pewniej.

Zerknęła z daleka w stronę boksu, w którym leżał Carl. Leżał w tej samej pozycji, w której widziała go rano, a maszyna uparcie poruszała jego nogą. Pielęgniarka właśnie zmieniała mu kroplówkę. Lynn zastanawiała się, czy zaryzykować i podejść do niego, ale nie odważyła się. I tak nic by na tym nie zyskała, a mogłaby ulec emocjom, co w tym momencie nie było jej na rękę. Spojrzawszy na boks Scarlett Morrison przekonała się, że kobieta została przeniesiona, a jej miejsce zajął nowy pacjent, którym właśnie zajmował się rezydent - na

szcześnie nie Charles Stuart, co mogłoby oznaczać kłopoty.

Lynn skupiła się teraz na kontuarze pośrodku sali, za którym urzędowała zmienniczka Gwen Murphy odpowiedzialna za popołudniową zmianę. Siedziała na krześle oddziałowej i nie podniosła głowy znad papierów, gdy dziewczyna ruszyła w jej stronę. Petera Marshalla już nie było, jak zwykle o tej porze. Jakaś lekarka siedziała plecami do wejścia, pochylona nad kartą pacjenta i zajęta dyktowaniem. Lynn spojrzała na nią uważniej. Los jej nie sprzyjał: to była Siri Erikson!

Przez chwilę Lynn miała ochotę ulotnić się w pośpiechu i wrócić dopiero wtedy, gdy lekarka opuści oddział. Poranne spotkanie z nią nie należało do przyjemnych i perspektywa kolejnej konwersacji w takim stylu nie była zbyt pociągająca. Lynn była jednak świadoma tego, jak się może skończyć rozmowa w gabinecie dziekan English, która czekała ją już za godzinę - być może miała przed sobą ostatnią szansę na to, by zajrzeć do dokumentacji medycznej. Musiała zaryzykować.

Odetchnąwszy głęboko, by się uspokoić, podeszła do okrągłego kontuaru dyżurki. Uśmiechnęła się uprzejmie do przełożonej pielęgniarek, która spojrzała na nią spod uniesionych, zmarszczonych brwi. Lynn miała nadzieję, że przebranie ją uratuje, jako że studentów medycyny rzadko widywano tu o tej porze, zwłaszcza bez opiekuna. Zauważyła plaketkę na piersi pielęgniarki: Charlotte Hinson. Blondyna przy kości zapewne dobiegała czterdziestki, ale urocze piegi na nosie sprawiały, że wyglądała znacznie młodziej.

- W czym mogę pomóc? - spytała, na szczęście raczej przyjaznym niż wyzywającym tonem.

- Przyszedłam sprawdzić coś w karcie pacjenta doktora Stuarta, Carla Vandermeera - odpowiedziała półgłosem Lynn. - A konkretnie wynik proteinogramu.

- Trzeba było zajrzeć do elektronicznej karty - odpowiedziała pogodnie Charlotte. - Wszystko tam jest, widziałam w raporcie. Oszczędziłaby pani sobie wycieczki.

- I tak byłam w pobliżu - odrzekła Lynn, zmuszając się do kolejnego uśmiechu. Gdyby miała bezpieczny wgląd w elektroniczne karty pacjentów, z pewnością by to zrobiła. Na szczęście była wystarczająco dobrze poinformowana, żeby tego nie robić: może i upiekłoby się jej, gdyby zajrzała do dokumentacji Carla raz, ale kolejne wizyty zostałyby odnotowane w systemie i bardzo szybko miałyby na karku ludzi z Działu Dokumentacji Medycznej. Pliki EMR były chronione znacznie staranniej niż papierowe karty pacjentów.

Uczynna Charlotte zakręciła stojakiem na karty, który miała tuż obok siebie, ale jednocześnie z Lynn zauważyła, że przegródka numer osiem jest pusta.

- Ja mam kartę Vandermeera - odezwała się doktor Erikson, która najwyraźniej przysłuchiwała się rozmowie. Zaraz potem odwróciła się ku Lynn. - Panno Peirce, jak miło znowu panią widzieć.

- Dziękuję - bąknęła Lynn. Wszystko wskazywało na to, że nie obędzie się bez kolejnej rozmowy. - Przepraszam, że znowu pani przeszkadzam.

- Nie ma sprawy. Proszę spocząć. Przyjemnie mi się z panią rozmawiało dziś rano. Możemy omówić ten przypadek, jeśli pani chce. Poproszono mnie o konsultację w sprawie pana Vandermeera.

Zaskakujące było to, jak przyjaźnie zachowywała się doktor Erikson - zgola inaczej niż rankiem. Po krótkim wahaniu Lynn przystawiła sobie krzesło i usiadła. Właściwie nie miała wyboru, jeśli nie chciała urazić humorzastej hematolożki. Erikson położyła przed nią kartę Carla, otwartą na stronie z wynikami, na których zależało Lynn.

O czytaniu wykresu przedstawiającego stężenie białek osocza, podzielonych według wielkości i ładunku elektrycznego, wiedziała już znacznie więcej dzięki artykułowi w Wikipedii, który przeczytała niespełna godzinę wcześniej. Na pierwszy rzut oka grafika przypominała pofalowany łańcuch górski naszkicowany przez małe dziecko. Wyraźny, ostry wierzchołek widoczny w zakresie gammaglobulin dobitnie odznaczał się na tle innych, łagodniejszych krzywizn. Nie był może tak wysoki, jak u Morrison, ale dość podobny.

- Co pani o tym sądzi? - spytała doktor Erikson.

- Myślę, że to nie jest prawidłowy stan - odparła Lynn. Jako studentka medycyny wiedziała, że tezy należy uzasadniać. - Nie wiem tylko, czy już można nazwać go gammapatią - dodała.

- Uważa pani, że to zaskakujące?

- Raczej tak. Bo jeśli to gammapatią, pacjent wydaje mi się zbyt młody. Czytałam, że to problem przede wszystkim ludzi po pięćdziesiątce, a ten mężczyzna ma tylko dwadzieścia dziewięć lat, tyle samo co Scarlett Morrison.

- Ale to jeszcze nie gammapatią, a jedynie ostrzeżenie, że z czasem może ona wystąpić. Trzeba będzie go obserwować. Jeżeli ten wierzchołek będzie rósł na kolejnych wykresach, będziemy musieli zbadać szpik, żeby ocenić populację plazmocytów.

- Co będzie oznaczał taki wzrost?

- To zależy, jaki osiągnie poziom. Wierzchołek widoczny na tym

wykresie oznacza, że organizm pacjenta produkuje pewne białko. U osoby tak młodej można mówić o obecności paraprotein o nieokreślonym znaczeniu. Oczywiście możliwe jest, że to zapowiedź czegoś poważniejszego, na przykład szpiczaka mnogiego albo chłoniaka.

- Ciekawe - odrzekła Lynn, by nie milczeć. Kusiło ją, żeby wspomnieć o Ashanti Davis i o zdiagnozowanym u niej szpiczaku mnogim, ale powstrzymała się: obawiała się pytań ze strony doktor Erikson o to, w jaki sposób dowiedziała się o tamtym przypadku. - Obawiam się, że to wszystko jest nie na moją głowę. Jak pani sądzi, dlaczego organizm pacjenta zaczął produkować te paraproteiny? Rano mówiła pani, że to na pewno nie ma nic wspólnego ze znieczuleniem, z którego się nie ocknął.

- Absolutnie nie ma! - odpowiedziała doktor Erikson, tym samym tonem głębokiej irytacji, którym szafowała rano. Lynn skrzywiła się w duchu. - Jestem w stu procentach pewna, że nie ma mowy o podłożu anestezjologicznym. - Po krótkiej pauzie dodała już spokojniej: - Jestem też przekonana, że już przed operacją miał to zaburzenie białkowe, a przynajmniej skłonność do jego wystąpienia. Nikt o tym nie wiedział, bo nie istniał powód, by zlecać proteinogram. Tak niskie stężenie paraprotein byłoby zresztą całkiem bezobjawowe. Dziwię się, że znowu porusza pani kwestię znieczulenia. Czyżby ktoś propagował takie pomysły na oddziale anestezjologii?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Lynn. Była spięta. Z całą pewnością nie życzyła sobie rozmów o oddziale anestezjologii, w których toku szybko okazałoby się, że nie ma z nią nic wspólnego.

- Absurdalne skojarzenie - dodała doktor Erikson. - Ale gdyby pani usłyszała wśród anestezjologów jakieś rozmowy na temat gammadatii, chętnie o tym posłucham. Podobnie jak o ewentualnych wnioskach z pani dociekań na temat prawdziwych przyczyn śpiączki tych dwojga pacjentów.

- Naturalnie - odpowiedziała grzecznie Lynn, po raz kolejny skutecznie tłumiąc w sobie chęć podjęcia dyskusji o trzech, a nie dwóch przypadkach.

- W rewanżu postaram się informować panią na bieżąco o zmianach stanu tego pacjenta. Teraz, gdy oficjalnie udzielam konsultacji, będę uważnie śledzić stan pana Vandermeera także po jego przenosinach do Shapiro.

- Co?! - wyrwało się Lynn na tyle gwałtownie, że doktor Erikson aż podskoczyła z wrażenia.

Choć Lynn była świadoma, że prędzej czy później Carl może trafić

do Instytutu Shapiro, poczuła rozczarowanie, słysząc, że może to nastąpić już wkrótce. Wiedziała o tym, jak niewielkie są szanse odzyskania sprawności przez pacjenta w śpiączce, ale także o tym, że przenosiny do Shapiro oznaczały kapitulację neurologów - to zaś kładło kres wątpliej nadziei, której tak kurczowo próbowała się trzymać.

- Kiedy ma się to stać? - spytała, siląc się na neutralny ton.

- Zdenerwowała się pani? - odpowiedziała pytaniem Erikson, przyglądając się jej badawczo.

- Nie miałam pojęcia, że to nastąpi tak szybko - wyjaśniła Lynn, usilnie starając się zapanować nad emocjami. - Doktor Stuart, rezydent, nie wspominał mi o tym.

- Nie rozumiem dlaczego - odrzekła doktor Erikson. - To właśnie zespół neurologów zasugerował przeniesienie pacjenta, a przecież to oni o tym decydują. Jako że konsultacja pod kątem chorób zakaźnych niczego nie wykazała, nie ma powodu, żeby zwlekać. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że pacjent może trafić do Shapiro jeszcze dziś po południu albo wieczorem, a najpóźniej jutro rano. Nie zrobiono mu jeszcze gastrostomii, ale nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby wrócił tu z Shapiro na taki zabieg; to zwykła procedura.

- A jednak... tak szybko tam trafi - wyszeptała wbrew rozsądkowi Lynn.

- Pacjentom w takim stanie zapewnia się tam lepszą opiekę niż tutaj - odpowiedziała doktor Erikson. - Po to powstał Instytut.

- Czy jego rodzice już wiedzą?

- Oczywiście! - odparła hematolożka, spoglądając na Lynn pytająco. - Są informowani na bieżąco; sama widziałam ich tu kilkakrotnie. Poza tym, jak wiadomo, przyjęcie do Instytutu Shapiro to kwestia wyboru, a nie przymusu. Rodziny zwykle są za; nietrudno je przekonać, gdy się przedstawi wszystkie korzyści takiego rozwiązania.

- A co z wynikami morfologii? - spytała Lynn, by jak najszybciej zmienić temat. - Liczba limfocytów nadal rośnie? I co będzie, jeśli problem z paraproteiną nie minie samoistnie?

Lekarka nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę wpatrywała się w jej oczy tak intensywnie, że Lynn zaczęła spodziewać się najgorszego. Podejrzewała, że jakoś się zdradziła, że kolejne pytanie będzie dotyczyło tego, co właściwie łączy ją z tym pacjentem. Lecz ku jej nieopisanemu uldze doktor Erikson po prostu odpowiedziała na jej pytanie:

- Liczba leukocytów wzrosła do czternastu tysięcy; to w większości limfocyty.

- Ciekawe - odrzekła nieszczerze Lynn. Poczula nagle, że musi stąd uciec. Owszem, była załamana informacją o tym, że Carl ma trafić do Instytutu Shapiro i chciała przy nim być, ale jednocześnie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że lada chwila zostanie zdemaskowana, że jej osobiste zaangażowanie w tę sprawę przestanie być tajemnicą. Chciała uciec, ale mimo to pozostała na miejscu. Przez krótki czas dyskutowały jeszcze o funkcjach szpiku kostnego i pochodzeniu rozmaitych białek krwi, ale coraz trudniej było jej skupić się na rozmowie. Gdy tylko nadarzyła się sposobność, oznajmiła, że musi wracać na blok operacyjny, i pożegnała lekarkę.

- Proszę pamiętać, żeby się do mnie odezwać z wnioskami - zawołała za nią doktor Erikson. - A ja będę informować o stanie Vandermeera i Morrison. Oboje będą pod moją opieką w Shapiro.

Lynn pokiwała głową na znak, że słyszy, po czym w pośpiechu opuściła oddział. Pędząc głównym korytarzem, próbowała jakoś się opanować. Na samą myśl o tym, że fizycznie straci kontakt z Carlem, ogarniała ją panika. Nie zobaczy go więcej, nie będzie mogła sprawdzić, czy sprawują nad nim właściwą opiekę. Najpierw skradziono jej jego umysł i wspomnienia; teraz odbierano ciało.

Wiedziała doskonale, że tylko najbliższa rodzina ma prawo odwiedzania pacjentów w Instytucie, a i te wizyty muszą być zapowiedziane oraz krótkie. W dodatku niezbyt liczne. Krewni mogli jedynie obserwować chorych przez szklaną taflę uniemożliwiającą przenoszenie zanieczyszczeń z zewnątrz na teren ośrodka. Niektóre rodziny wносиły skargi z tego tytułu, ale z czasem i do najbardziej upartych docierało, że wszystko to robi się dla dobra pacjentów.

Lynn wzdygnęła się na myśl o tym, że Carl ma zostać zamknięty w tak nieludzkim miejscu. Ową wizytę sprzed dwóch lat pamiętała tak, jakby to było wczoraj. Jej grupę poprowadzono bardzo krótką trasą, przez salę konferencyjną i jeden z trzech pokoiów odwiedzin, do których na co dzień wpuszczano krewnych pacjentów. Oba pomieszczenia znajdowały się tuż za łącznikiem, którym można było przejść do gmachu szpitala. Salka za szklaną ścianą była niczym sceniczna dekoracja: pacjentów umieszczano na czymś, co miało udawać szpitalne łóżko, ale nim nie było: pod pościelą widać było dziwną konstrukcję. Transport chorych był całkowicie zautomatyzowany i przypominał Lynn funkcjonowanie linii produkcyjnej w fabryce samochodów.

Zapamiętała, że podczas wycieczki rolę pacjenta odgrywał mane-

kin. Mimo to demonstracja możliwości ośrodka zrobiła na studentach wielkie wrażenie. Żywych ludzi nawet nie zobaczyli. Tylne ściany pokazowej sali rozstały się nagle i automaty wwoziły manekin, który natychmiast przeniosły na niby-łóżko i przykryły kołdrą aż po szyję. Gdy tylko skończyły, cała maszyna znikła z powrotem za ścianą. Studenci dowiedzieli się, że rodziny chorych nie oglądają tych przygotowań; wchodzi do pokoi odwiedzin, gdy pacjenci leżą już w łóżkach.

Lynn i jej koledzy snuli domysły o tym, jak może wyglądać pozostała część ogromnego budynku, skoro możliwa w nim była jednoczesna opieka nad mniej więcej tysiącem osób w stanie wegetatywnym - taką liczbę podano im podczas zwiedzania obiektu. Nie poznali właściwie żadnych innych szczegółów, tylko ogólne hasła o tym, że tak niezwykle system funkcjonuje dzięki postępom w automatyce i komputeryzacji.

Po pokazie z manekinem przewodnik wycieczki poprowadził krótką sesję pytań i odpowiedzi. Lynn spytała wtedy, dlaczego rodziny decydują się na oddanie bliskich do Instytutu Shapiro, skoro wiedzą, jak bardzo będzie ograniczony kontakt z nimi. Odpowiedź była bardzo prosta: dlatego, że w Shapiro osiągnięto znacznie lepszy współczynnik przeżywalności pacjentów niż w innych ośrodkach czy szpitalach. Przewodnik dodał jeszcze, że w większości instytucji z różnych powodów umiera w pierwszym roku pobytu aż czterdzieści procent chorych, podczas gdy tutaj nie umarł w pierwszym roku jeszcze nikt, a w ciągu sześciu lat działalności - w sumie tylko dwudziestu dwóch pacjentów.

Lynn zapamiętała też, że i Michael zadał pytanie, bo jako były zawodnik ze zdziwieniem zauważył, że manekin użyty podczas pokazu miał na głowie kask żywo przypominający te, których używają gracze w futbol amerykański. W odpowiedzi usłyszał, że ów kask to supernowoczesny produkt zaawansowanej technologii, zaprojektowany specjalnie dla Instytutu Shapiro, i że wszyscy pacjenci otrzymują takie nakrycia głowy. Podobno każdy z kasków wyposażony jest w bezprzewodowy system monitorujący aktywność mózgu w czasie rzeczywistym i, co ważniejsze, zdolny do stymulowania niektórych części mózgu.

Zbliżając się do windy z głową pełną wspomnień, Lynn była jeszcze bliższa paniki. Musiała coś zrobić. Nie mogła pozwolić, by Carl utknął na zawsze w tym bezdusznym kombinacie, w dodatku poza jej zasięgiem. Pod wpływem impulsu postanowiła, że cokolwiek się stanie, i tak znajdzie sposób, żeby go zobaczyć, i to nie w takich

warunkach jak wszyscy inni krewni pacjentów, przez grubą szybę. Jeśli tu trafi, myślała, to znajdzie inne rozwiązanie, żeby być blisko niego. Będzie wiedziała, co się z nim dzieje i czy znalazł tam dobrą opiekę. Nie wiem jeszcze jak, ale wiem, że mi się uda.

Rozdział 28

Wtorek, 7 kwietnia, 16.45

- Jezu! - jęknął Michael. - Wystraszyłaś mnie jak cholera. Lynn zaszła go zniecacka od tyłu w poczekalni kliniki dermatologii i bez ostrzeżenia mocno pociągnęła w bok, z dala od uszu otaczających go ludzi. Zrobiła to akurat w chwili, gdy pisał do niej esemesa z pytaniem o to, gdzie dokładnie mają się spotkać.

- Przenoszą Carla do Shapiro - wypaliła Lynn pełnym napięcia szeptem. Przykra ewentualność zdążyła już zmienić się w jej wyobraźni w ponurą rzeczywistość.

- Dobrze już, dobrze - odpowiedział Michael kojącym tonem. Doskonale wyczuwał jej panikę.

- Wiesz przecież, co to za miejsce - dorzuciła błagalnym tonem. Teraz, gdy rozmawiała z przyjacielem, emocje, które tak się starała ukryć, zaatakowały z nową siłą.

Michael rozejrzał się dyskretnie i stwierdził, że paru z pacjentów czekających jeszcze na wizytę u dermatologa uniosło głowy i ze zdziwieniem obserwowało młodego Murzyna rozmawiającego z wyraźnie poruszoną, młodą białą kobietą.

- Chodź ze mną! - rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu, po czym chwycił Lynn pod ramię i pospiesznie po prowadził do wolnego pokoju badań, z dala od ciekawskich oczu. Klinika pomału kończyła pracę i pustych pomieszczeń było coraz więcej. Starannie zamknął za sobą drzwi.

- Musisz się opanować, dziewczyno - stwierdził, a potem położył dłonie na ramionach Lynn i spojrzał jej w oczy. - Słyszysz, co mówię? Nie wolno ci ześwirować w takim momencie. Przed nami spotkanie, musimy być w formie. Nie wiem, po co wzywa nas dziekan, ale na pewno nie po to, żeby nas poklepać po plecach.

- Ale... - zaczęła Lynn.

- Nie ma żadnego ale! Weź się w garść. Zaraz po spotkaniu zajmujemy się sprawą Shapiro, ale teraz musimy spać pośladki i zachować

spokój.

- Masz rację - zachlipała Lynn, ocierając oczy wierzchem dłoni. - Zawsze masz rację, draniu.

- No, to już brzmiało bardziej jak Lynn, którą znam. Posłuchaj: musimy opracować jakiś plan.

- A wiesz, co od niej usłyszymy?

- Mogę tylko zgadywać, tak jak i ty. Obstawiam, że polazł do niej nasz nowy kumpel, Benton Rhodes. I że już wie, że rozmawialiśmy z Sandrą Wykoff o przypadku Vandermeera. To oczywiście minimum. Ale rozsądne, biorąc pod uwagę to, ile czasu minęło.

- Sądziś, że oskarży nas o naruszenie HIPAA?

- Mam nadzieję, że nie, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale musimy przygotować sobie zgrabną historię o tym, jak to dowiedzieliśmy się w szczegółach o anestezyjologicznej tragedii Carla.

Lynn skinęła głową. Wiedziała, że Michael ma rację, i była mu wdzięczna za to, że - w przeciwieństwie do niej - potrafił zachować rozsądek. Na pewno istniał jakiś sposób na uzyskanie informacji o pacjencie bez naruszania przepisów o tajemnicy lekarskiej. Bajka o zajęciach z anestezyjologii naturalnie nie miała szans powodzenia w rozmowie z panią dziekan. Z wiadomości, którą otrzymali, wynikało jasno, że doktor English dobrze się orientuje w rozkładzie zajęć studentów czwartego roku, zatem musiała wiedzieć, że nie mają fakultetu z anestezyjologii.

- Czy ona może wiedzieć, że byliście z Carlem parą?

- Nie mam pojęcia - odparła Lynn. - Ale to możliwe; dziekan do spraw studenckich na pewno wie.

- Niby tak, ale oni się chyba ze sobą nie dogadują. Dziekan do spraw studenckich jest przyjacielski, a ona chłodna i wyniosła. Jakby pochodzili z innych planet.

- Mam pomysł - odezwała się Lynn po chwili milczenia. - Może powiem, że jeden z rezydentów z neurologii opowiedział mi o tym przypadku, żeby pokazać przykład odruchu przedśionkowo-ocznego. To nawet nie jest kłamstwo, po prostu niecała prawda. A brzmi całkiem wiarygodnie. W końcu to szpital, który nas kształci.

- Trochę to słabe - ocenił Michael. - Zwłaszcza, jeśli ona rzeczywiście wie, że byliście sobie z Carlem bliscy. Poza tym od razu pojawiłoby się pytanie, dlaczego w ogóle gadałaś z rezydentem z neurologii. Ale to nieistotne. Zawsze to jakiś plan; może dziekan go kupi. - Umilkł i spojrział na zegarek. - Prawda jest taka, że czas nam się kończy, a na takie spotkanie nie wypada się spóźnić. Panujesz nad sobą?

- Chyba tak - odpowiedziała Lynn. Wyciągnęła chusteczkę z pudełka stojącego na szafce i wydmuchała nos. - Miejmy to już za sobą.

Szybkim krokiem przeszli łącznikiem do głównego budynku szpitala. Biura administracji, w tym dziekanów, mieściły się na parterze. Przebili się przez tłum w holu głównym, a potem zniknęli za przeszklonymi drzwiami i znaleźli się w innym, cichszym świecie. Na podłogach leżały miękkie wykładziny, a ściany ozdobiono obrazami olejnymi. Minęli biura administracji szpitala i wkroczyli do strefy należącej do uczelni. Tu wyposażenie było wyraźnie skromniejsze.

Podali swoje nazwiska matronawatej sekretarce i trzy minuty przed siedemnastą usiedli na krzesłach.

- Zdążyliśmy - szepnęła Lynn.

Na spotkanie musieli jednak zaczekać jeszcze pół godziny. Nie rozmawiali. W cmentarnym milczeniu karmili własne lęki niewesołymi myślami. Oboje znali dobrze dziekana do spraw studenckich, ale z jego przełożoną nie mieli jeszcze okazji zamienić ani jednego słowa.

Lynn także próbowała się odprężyć - bo Michael wydawał jej się imponująco spokojny - ale nie potrafiła. Nawet bardziej niż zbliżające się spotkanie z doktor English nerwy szarpała jej myśl o tym, że Carl ma trafić do Instytutu Shapiro.

- Pani dziekan państwa przyjmie - oznajmiła wreszcie sekretarka, wskazując na zamknięte drzwi do gabinetu.

Zbliżyli się do nich niepewnie; Michael o pół kroku za Lynn. Spojrzeli po sobie. Wzruszyli ramionami. Michael udał, że puka do drzwi; Lynn naprawdę zapukała. Weszli, usłyszawszy zaproszenie.

Podobnie jak najbliższe sąsiedztwo, wystrój gabinetu doktor Janet English był schludny, ale daleko mu było do przepychu, z jakim urządzone pokój dyrektora szpitala. Nie było mahoniowych paneli ani fotografii w ozdobnych ramkach, ani olejnych obrazów. Prócz strefy roboczej zaaranżowano tu także kąt z wygodnymi fotelami, przeznaczony do mniej oficjalnych spotkań. Lynn i Michael stanęli przed biurkiem, ale nie widząc zachęcającego gestu ze strony pani dziekan, nie skorzystali ze stojących opodal krzeseł. Janet English właśnie kończyła podpisywać cały stos dokumentów. Po chwili uniosła głowę i widać było, że jest zirytowana. Nie poprosiła, by usiedli.

Lynn domyślała się, że dziekan English ma pięćdziesiąt parę, może sześćdziesiąt lat. Miała smagłą cerę i włosy w kolorze antracytu. Jej oczy lśniły jak zimny marmur zza okularów bez oprawek. Gdyby ktoś kazał Lynn zgadywać, obstawiałaby, że dalecy przodkowie pani dziekan pochodzili z Indii.

- Dotarła do mnie poważna skarga na was - zaczęła ostrym tonem doktor English. - Zapewne domyślacie się, jak bardzo byłam rozczarowana, gdy poinformowano mnie, że dwoje z naszych najlepszych studentów sprawia kłopoty. Studentów, pozwolę sobie dodać, korzystających z pełnego stypendium. Co gorsza, chodzi o kłopoty na tyle poważne, że dowiedział się o nich sam doktor Feinberg, dyrektor szpitala i prezes zarządu Middleton Healthcare. Był tak zdenerwowany tym, co zaszło, że osobiście zadzwonił do mnie ze skargą.

Nastała cisza. Lynn z trudem hamowała przemożne pragnienie wygłoszenia serdecznych przeprosin. Doskonale pamiętała o tym, że finansowe wsparcie uczelni było jednym z powodów, dla których w ogóle mogła studiować wymarzony kierunek. Lecz Michael, równie zależny finansowo, milczał - więc i ona milczała.

- Powiedziano mi, że wpadliście na pomysł, żeby przesłuchiwać jedną z naszych anestezjoleżek w związku z pewną delikatną i całym światem świeżą sprawą. Czy to prawda?

Lynn i Michael zaczęli mówić w tym samym momencie i umilkli. Skinęła na niego, by kontynuował. Wiedziała, że jest znacznie lepszym dyplomatą niż ona, a zwłaszcza niż ona w tym stanie: bliska rozpacz i od dawna niewyspana.

- Rzeczywiście rozmawialiśmy z doktor Sandrą Wykoff - zaczął Michael - ale to wcale nie było, jak się pani wyraziła, przesłuchanie. Po prostu spytaliśmy ją o przypadek śpiączki po rutynowym zabiegu chirurgicznym. To oczywiście tragiczna historia, ale uznaliśmy, że jako studenci możemy się z niej czegoś nauczyć.

- A nie pomyśleliście o prawnych aspektach tego pomysłu? - spytała doktor English.

Lynn poczuła, że dławiący ucisk w gardle zaczyna słabnąć. Dziekan najwyraźniej nie wiedziała, że romantyczny związek łączył jej studentkę z poszkodowanym pacjentem, a to był dobry znak. Ton jej głosu także się zmienił; był wyraźnie mniej surowy. Myśląc o tym, Lynn uświadomiła sobie nie po raz pierwszy, jak sprytny bywa Michael w takich sytuacjach. Nie uszło jej uwagi i to, że używa istic królewskiej angielszczyzny, bez cienia ulicznego dialektu.

- Jako przyszli lekarze, myśleliśmy o tym przypadku przede wszystkim z perspektywy pacjenta - odparł Michael.

- To godna pochwały postawa u studentów - przyznała doktor English - ale niestety nie można zapomnieć o innym aspekcie tej sprawy. Gdy młody, zdrowy mężczyzna zapada w śpiączkę podczas prostej operacji, straty wywołane pozwem o błąd w sztuce lekarskiej, nawet gdy do takiego błędu nie doszło, mogą być olbrzymie. Taka

sprawa mogłaby poważnie nadwerężyć reputację całego szpitala i wpłynąć na jego zdolność do niesienia pomocy tysiącom pacjentów. W dzisiejszym świecie pełnym sporów trzeba za wszelką cenę unikać pozwów w takich sprawach, a gdy się nie uda, przynajmniej minimalizować straty.

- Naturalnie rozumiemy to - zapewnił ją Michael.

- Nasi prawnicy wydali surowy zakaz prowadzenia jakichkolwiek rozmów o tej sprawie.

- Nie wiedzieliśmy o tym - odparł Michael. - Ale teraz, kiedy już wiemy, oczywiście wszystko jest jasne. Będziemy się do niego stosować.

- Jak właściwie dowiedzieliście się o tym przypadku? - spytała doktor English.

Michael i Lynn wymienili szybkie spojrzenia. Jak dotąd dyskusja przebiegała lepiej, niż się spodziewali - nie padło ani jedno słowo o naruszeniu zasad HIPAA. Teraz jednak musieli odpowiedzieć na pytanie, którego się obawiali. Michael skinął głową, dając Lynn znak, żeby spróbowała sprzedać swój pomysł.

- Rozmawiałam z rezydentem neurologii, który zajmował się tym pacjentem - zaczęła Lynn. - Zaoferował, że pokaże mi, jak działa odruch przedsionkowo-oczny, którego nigdy wcześniej nie widziałam. I właśnie wtedy poznałam szczegóły sprawy.

Doktor English nie odpowiedziała, tylko ledwie zauważalnie skinęła głową.

- I co, zobaczyła pani ten odruch, panno Peirce? - spytała po krótkiej chwili. - Był dobrze widoczny?

- O tak. Zrobił na mnie wrażenie.

- W porządku. Teraz widzę w tym wszystkim jakiś sens. Ale powiedzcie mi, proszę: czy rozmawialiście o tym przypadku z kimkolwiek innym poza doktor Wykoff? Może z kolegami?

Lynn i Michael znowu spojrzeli po sobie, pokręcili głowami i jednocześnie zaprzeczyli.

- To dobrze - westchnęła doktor English. - Jak mówiłam, to sprawa niezwykle delikatna z prawnego punktu widzenia. Proszę nikomu o niej nie wspominać! - Mówiąc to, wskazała palcem najpierw na Lynn, a potem na Michaela. - Jeżeli nie weźmiecie sobie do serca mojego ostrzeżenia i ktokolwiek dowie się od was o tym przypadku, dopilnuję, żebyście zostali wydaleny z uczelni. Nie muszę chyba wyjaśniać, jakie problemy oznaczałoby to dla was obojga, zwłaszcza że tak niewiele dzieli was od uzyskania dyplomu. Nie wiem, czy mogłabym wyrazić się jeszcze jaśniej. Mam nadzieję, że

rozumiecie powagę sytuacji?

- Oczywiście - odpowiedzieli chórem Lynn i Michael, jakby wcześniej ćwiczyli wspólne odpowiedzi.

- Doskonale. W takim razie przejdźmy do następnej sprawy.

Lynn i Michael zamarli. Byli przekonani, że wypłynęli już na spokojne wody. Nie spodziewali się kolejnej rundy.

- Pan dyrektor wspomniał mi jeszcze o czymś. Tłumacząc przychyny waszego zachowania, powiedział, że próbowaliście badać kwestię chorób nabywanych podczas leczenia szpitalnego. Czy to prawda? A jeśli tak, to czemu ma to służyć? I dlaczego właśnie teraz?

Raz jeszcze spojrzeli po sobie. Nieznaczny ruch głowy Michaela zachęcił Lynn do przejścia inicjatywy.

- Natknęłam się niedawno na artykuł w „Scientific American”, w którym przedstawiono niepokojące statystyki. Szacuje się, że czterysta czterdzieści tysięcy ludzi umiera co roku w szpitalach z powodu chorób i urazów wynikających z błędów personelu, a kolejny milion opuszcza szpitale z poważnymi problemami medycznymi, których nie mieli, zanim zostali przyjęci. Byliśmy zdumieni tymi liczbami. Wiadomo, słyszeliśmy o problemie pod czas zajęć na trzecim roku, ale nie wyobrażaliśmy sobie, że tak wielka jest jego skala. Gdy dowiedzieliśmy się o tym niedawnym zdarzeniu, uznaliśmy, że to kolejny typowy przejaw tego zjawiska, i chcieliśmy zrozumieć jego przyczyny.

I tym razem dziekan nie odpowiedziała od razu. Zdjęła okulary i potarła oczy palcami.

- Statystyki, które pani zacytowała, panno Peirce, są istotnie zatrważające - odezwała się po chwili, na powrót wkładając szkła. - Zwłaszcza zakażenia szpitalne, które w skrócie nazywamy HAI, to poważny problem. Czy wspomniano o tym w artykule?

- Nie tak dokładnie - odparła Lynn. - Statystyki nie były rozbite na poszczególne przyczyny zgonów.

- W takim razie uwierzcie mi na słowo, że zakażenia szpitalne to sedno sprawy. W skali kraju wygląda to różnie. W najlepszych instytucjach dotyczą one od pięciu do dziesięciu procent przyjmowanych pacjentów. W gorszych odsetek bywa znacznie wyższy. Czy wiecie, jaki jest wskaźnik w szpitalach Middleton Healthcare, włącznie z naszym Centrum?

Lynn i Michael pokręcili głowami.

- To wam powiem - stwierdziła z dumą doktor English. - Otóż średnio nie przekracza dwóch procent.

- Imponujące - przyznała całkiem szczerze Lynn.

Oboje z Michałem wiedzieli, że do ochrony przed zakażeniami

przykłada się tu wielką wagę. Kampanie zachęcające do częstszego mycia i dezynfekowania rąk trwały praktycznie nieustannie; regularnie kontrolowano też stan cewników, respiratorów, nawet rurek od kroplówek. Nie mówiło się jednak głośno o tym, jakie sukcesy przynoszą te działania.

- Jeżeli jako studentów interesuje was ten temat, powinniście przyjrzeć się bliżej właśnie zagadnieniu zapobiegania zakażeniom szpitalnym. Na tym polu i wy, i wasi koledzy możecie naprawdę zdziałać wiele dobrego. Nic dobrego nie wyniknie natomiast z badania pojedynczego przypadku śpiączki. Czy wyrażani się jasno?

- Oczywiście - odpowiedzieli jak zwykle jednocześnie, a także z wielką ulgą, Lynn i Michael.

- Co więcej, mogę wam nawet ułatwić zadanie - ciągnęła doktor English. - Skontaktuję się z informatykami i poproszę, żeby dali wam dostęp do danych o wypisach z naszego archiwum dokumentacji medycznej. Oczywiście pod warunkiem, że spełnicie podstawowy wymóg: żadnych rozmów z ludźmi spoza naszej społeczności, zwłaszcza z mediami, a jeśli już, to tylko za moim pozwoleniem. Rozumiemy się?

- Oczywiście - powtórzyli zgodnie.

- Mamy prawo być dumni i jesteśmy dumni z kontroli zakażeń - kontynuowała dziekan. - Lecz mimo to niektóre dane nie powinny być publikowane. Mam nadzieję, że i to jest dla was jasne.

Tym razem pokiwali głowami w milczeniu.

- To dobrze - ucieszyła się doktor English. - Dam znać dyrektorowi, że zrozumieliście, jak należy traktować ów nieszczęsny przypadek powikłanego znieczulenia i że nie będziecie kontynuować dyskusji na ten temat. Zapewniam, że sprawą zajmuje się wnikliwie oddział anestezyjologii. Jeżeli ciekawi was, jakie będą wyniki dochodzenia, prawdopodobnie uda mi się przekonać szefa chirurgii, żeby was wpuścił na odprawę, podczas której będą omawiane. Jesteście zainteresowani?

- Oczywiście - odpowiedziała Lynn.

Michael skinął głową.

- W porządku. - Doktor English wyrównała i odsunęła stertę podpisanych papierów. - To wszystko.

Nie patrząc więcej na swych gości, sięgnęła po słuchawkę, żeby polecić swojej sekretarce, by zadzwoniła do doktora Feinberga.

Lekko zaskoczeni nagłym finałem spotkania Lynn i Michael pośpiesznie ewakuowali się z gabinetu. Dopiero gdy znaleźli się z powrotem na zatłoczonym korytarzu szpitala, zwolnili nieco. Chwilę

później przybili żółwika, a potem zaczęli rozmawiać - głośno, by cokolwiek usłyszeć.

- Bułka z masłem - oceniła Lynn.

- Faktycznie! - zgodził się Michael. - Ale mogło się to skończyć inaczej. Całe szczęście, że mieliśmy przygotowaną odpowiedź na pytanie o to, skąd się dowiedzieliśmy o Carlu. To przeważyło szalę. Jak rzut za trzy punkty w ostatniej sekundzie. Brawo, dziewczyno!

- To dziwne, że ani razu nie wymieniła nazwiska Carla - zauważyła Lynn. Chwilowa euforia, która ogarnęła ją po szczęśliwie zakończonym spotkaniu z panią dziekan, zaczynała się już ulatniać.

- Ja też to zauważyłem. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że weszliśmy tam, spodziewając się masakry, a wyszliśmy z ułatwionym dostępem do szpitalnego archiwum. Spróbujemy to wykorzystać. Te zakażenia szpitalne to faktycznie gruba sprawa.

- Może i tak. - Lynn westchnęła ciężko. - Ale w tej chwili nic mnie to nie obchodzi. Chcę rozmawiać o tym, że Carl ma trafić do Shapiro - wyznała łamiącym się głosem.

- Chwila, kobieto. Zaczekaj, aż wrócimy do akademika. Jeżeli istnieje ryzyko, że mi tu zaraz puścisz beksa, to wiedz, że nie chcę, żeby się na nas ludzie gapili. Kapujesz?

Lynn kapowała. I doceniała to, w jaki sposób do niej mówił. Fakt, że ktoś tak inteligentny i wykształcony potrafił z taką łatwością przeskakiwać od oksfordzkiej angielszczyzny do ulicznego slangu, nie przestawał jej zdumiewać. Michael zresztą doskonale o tym wiedział i dlatego - specjalnie dla niej - pozwalał sobie na takie zabawy. Dla Lynn było to wyrazem przyjacielskiej bliskości.

Wiedziała też, że miał rację: była bliska utraty panowania nad sobą. W tej chwili jeszcze jakoś się trzymała, ale czuła, że może się to zmienić, gdy zaczną rozmawiać o tym, jak nieciekawie zapowiada się przyszłość Carla.

W budynku kliniki, jak zwykle o tej porze, było już niemal pusto - minęli dosłownie kilku spóźnionych pacjentów. Na zewnątrz powitał ich piękny wczesny wieczór. Słońce nad Charlestonem wciąż grzało dość mocno - od wiosennego zmroku dzieliły ich jeszcze dobre dwie godziny. Gdy oddalili się na kilkadziesiąt metrów od dziedzińca pociętego rabatami pełnymi dorodnych kwiatów, Lynn zwolniła. Podobnie jak poprzedniego dnia, nie mogła nie patrzeć na masywną, granitową sylwetę Instytutu Shapiro. Sam widok budził w niej takie emocje, że przestała się kontrolować.

- Nie mogę uwierzyć, że zamkną tam Carla - powiedziała i wybuchnęła płaczem. - Może jeszcze dziś wieczorem...

Słuchając drżącego głosu Lynn, Michael skręcił z głównej alei i poprowadził w stronę pustej parkowej ławki, na poły zasłoniętej gęstymi krzewami przed wzrokiem przechodniów. Usiedli. Nawet gdyby dostrzegł ich któryś ze studentów wracających do akademika, to nie usłyszałby, o czym rozmawiają - i dobrze, bo Lynn całkiem się rozkleiła i po chwili zanosila się głośnie płaczem. Michael milczał. Uważał, że będzie najlepiej, jeśli przyjaciółka wyrzuci z siebie emocje.

Gdy wreszcie się opanowała i odzyskała głos, spytał ją, skąd wie o rychłych przenosinach Carla do Shapiro.

- Od doktor Erikson - odpowiedziała z trudem. Głos jeszcze jej się łamał, ale pomału wracała do siebie.

- Zadzwoiła do ciebie?

- Nie. Wpadłam na nią - odrzekła Lynn. Starannie osuszyła oczy chusteczką znaną w kieszeni. - Poszłam do Carla przed spotkaniem z dziekan English. Martwiłam się, że potem już mnie tam nie wpuszczą. Pomyślałam, że to może być ostatnia okazja do spotkania z Carlem na długi czas. Poza tym chciałam zobaczyć wyniki proteino-gramu.

- Wykazały odchylenia?

- Tak. I dlatego formalnie zwrócili się do Erikson z prośbą o konsultację.

- Poważne odchylenia?

- Na razie nie. Widać tylko pik na krzywej gammaglobulin, ale odniosłam wrażenie, że doktor Erikson spodziewa się pogorszenia sytuacji. Była dla mnie całkiem miła, ale przyznam, że nadal uważam ją za dziwną, nieprzewidywalną osobę.

- Ale jakim cudem powiedziała ci o przeniesieniu Carla?

- Jakoś tak samo to wyszło w rozmowie. To naprawdę osobliwa kobieta; nie potrafię jej rozgryźć. W jednej chwili przyjacielska, w następnej wkurzona nie wiadomo o co. Może źle się czuje? Bo, szczerze mówiąc, nie wygląda za dobrze. Tak czy owak, prosiła, żebym dała jej znać, jeśli uda nam się ustalić, dlaczego Carl i Morrison zapadli w śpiączkę. Ale to nie wszystko. Mam ją zawiadomić, jeśli usłyszę, że ktokolwiek na oddziale anestezyjologii wspomina o gammapatii. Trochę mnie tym zdziwiła. W końcu dlaczego prosi o takie rzeczy mnie, studentkę? Jako lekarz mogłaby zwrócić się z tym do każdego z anestezyjologów, z Rhodesem włącznie.

- Moim zdaniem to oznacza tylko jedno: że kupiła naszą bajkę o fakultecie z anestezyjologii - orzekł Michael. - Mimo to musi mieć pewność, że nikt na całym oddziale nie będzie rozmawiał o gammapa-

tii. Nie ma takiej możliwości, żeby istniał jakikolwiek związek między znieczuleniem ogólnym a występowaniem zaburzeń białkowych.

- Nie byłabym taka pewna - odrzekła Lynn, chowając chusteczkę. - Coś mi w tej całej sprawie mocno śmierdzi, Michael.

- Ach, dajże już spokój, dziewczyno! Przecież wiesz, że leki stosowane do znieczulenia nie stymulują układu odpornościowego. Używano go w milionach przypadków i niczyj układ odpornościowy nie reagował w taki sposób. Nie istnieje taki związek, Lynn.

- Ujmę to inaczej - odpowiedziała. - Po prostu nie mam pewności. Przecież sam wiesz, że natknęliśmy się na trzy przypadki, w których znieczulenie musiało odegrać jakąś rolę.

- Wiemy na pewno tylko o jednym: Morrison.

- U Carla rozwija się gammapatia, a Ashanti musiała ją mieć, skoro stwierdzono u niej szpiczaka mnogiego. To nie może być przypadek. Dlatego mówiłam, że coś mi w tym wszystkim śmierdzi. I powiem ci więcej. Gdy już zabiorą tam Carla, to choćby mnie miało piekło pochłonać, wejdę tam i znajdę go.

- Nie pozwolą ci - odparł krótko Michael. - Nigdy nie robili z tego tajemnicy. Tylko najbliżsi krewni mają wstęp, a ty, przyjaciółko, nie należysz do jego rodziny.

- Nawet gdyby mnie wpuścili, to nie o taką wizytę mi chodzi - odpowiedziała Lynn, lekceważąco machając ręką. - Chcę tam wejść i zobaczyć, jak traktują Carla, a nie patrzeć na niego przez szybę.

- Dajże już spokój, dziewczyno! Chyba nie mówisz poważnie? Nie pozwolą ci na to i koniec.

- Mówię o włamaniu, Michael. Sam mi mówiłeś, jak łatwo tam wejść tymi drzwiami, które prowadzą do centrum operacji sieciowych. - Lynn wskazała ręką na samotne wejście do gmachu. - Pójdę tamtędy, a potem się zobaczy.

- Żartujesz, prawda? Powiedz, że żartujesz!

- Jeżeli przeniosą Carla, pójdę tam. To już postanowione. Uważam, że dam radę. Z tego, co mi mówiłeś, wnioskuję, że nie traktują kwestii bezpieczeństwa zbyt poważnie. Sam tak powiedziałeś, prawda? Pewnie nie zdarzyła im się żadna próba włamania od ośmiu lat, odkąd tylko zaczęli działać. Bo właściwie komu, na miłość boską, przyszłoby do głowy włamać się do ośrodka dla ludzi w śpiączce?

- Może i trochę odpuścili, ale...

- To całkiem logiczne.

- Rzecz w tym, że to i tak ogromne ryzyko. Szczerze mówiąc, uważam, że nie powinniśmy tego robić - stwierdził z powagą Michael.

- Jak to „my”, blada twarzy? - spytała Lynn i zaśmiała się cynicznie, naśladując Rona Metznera w dowcipie o Samotnym Jeźdźcu, który Michael przypomniał poprzedniego dnia. - To jasne, że zrobię to sama. Gdy tylko dostaliśmy dziś od pani dziekan te esemesy, zrozumiałam, że ty w ogóle nie powinienes podejmować ryzyka. I nie powinienes płacić ceny. To moja bitwa, bo Carl był moim chłopakiem. Jeśli ma być w tym jakaś logika, muszę to zrobić sama.

- Jako twój brat bliźniak, czuję się zobowiązany pilnować, żebyś nie wpakowała się w kłopoty. Pozwól, że sam zadecyduję, jakie ryzyko podejmę, a jakiego nie. Ale wiesz co? Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że przesadzam z tym niebezpieczeństwem. Kto wie, czy w najgorszym razie nie dadzą nam po łapach za włożenie na teren prywatny. Bo w końcu to tylko część pewnej instytucji, a inną jej częścią jest uczelnia, w której studiujemy. Do diabła, nasze naruszanie zasad HIPAA było znacznie poważniejszym występkiem niż ewentualne wejście na teren tej części kompleksu, do której nie powinniśmy wchodzić.

- Jeśli ześlą tam Carla, wchodzę - powtórzyła Lynn. - To już postanowione.

- W porządku, postanowiłaś sobie. A teraz powiedz mi, jak zamierzasz zrealizować ten plan.

- Do tego będę potrzebowała twojej pomocy - przyznała. - Kluczem będzie bowiem twój nowy kumpel, Władimir jak-mu-tam.

- Władimir Małakłow, mój rosyjski kumpel-programista! Ale co może dla ciebie zrobić?

- Może mi załatwić jeden z tych białych kombinezonów, w których zwykle chodzą ludzie zatrudnieni w Shapiro. Nie chcę się wyróżniać, jeśli na kogoś wpadnę, a na pewno wpadnę. Skoro facet tam pracuje, jak mówiłeś, to pewnie ma taki strój, tylko woli go nie nosić. Zresztą musi być jakieś miejsce, z którego można zabrać taki skafander, tak jak nasze stroje chirurgiczne można znaleźć w przebieralniach.

- Jak, do kurwy nędzy, mam wytłumaczyć jakiemuś Ruskowi, że potrzebny mi skafander Shapiro? - spytał Michael, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Bądź kreatywny! Powiedz, że to na bal przebierańców. Wszystko jedno. Tylko niech weźmie mój rozmiar.

- Do licha, dziewczyno - wymamrotał Michael. - To wszystko?

- Nie - odpowiedziała. - Chcę też, żebyś mi podał login i hasło Władimira.

Michael jęknął głośno, a potem zaśmiał się sarkastycznie.

- Jeśli to zrobię, moja przyjaźń z rosyjskim kolegą będzie nader krótka. Po co ci te dane?

- Pamiętasz naszą wycieczkę do Shapiro? Pamiętasz, jak się chwalili, że w ciągu sześciu lat zdarzyły im się tylko dwadzieścia dwa zgony? Chciałabym ustalić, jakie były ich przyczyny. I ilu ludzi zmarło od czasu naszej wycieczki. A przy okazji sprawdzę, ilu pacjentów udało się wyprowadzić ze stanu wegetatywnego i wypisać do domu. W jednym z artykułów, które czytałam ostatniej nocy, napisano, że aż dziesięć procent chorych udaje się wybudzić z głębokiej śpiączki i doprowadzić do takiego stanu świadomości, że mogą bezpiecznie opuścić szpital. Niektórzy nawet wracają do pełni sił. Zastanawiam się, jak wyglądają te statystyki w Shapiro. Bo jakoś zapomnieli nam powiedzieć.

- Proszę cię, tylko mi nie mów, że zamierzasz się włamać do systemu komputerowego Shapiro z własnego laptopa, korzystając z loginu Władimira! Bo jeśli to zrobisz, capną cię w ciągu paru godzin i pójdziesz siedzieć do Bennettsville.

- Spokojnie, nie jestem aż taka głupia. Użyję szpitalnego terminalu, najlepiej któregoś z Działu Informatyki. Skoro Władimir ma status admina, co zapewne ma związek z jego pracą, to system nie powinien oflagować mojego wejścia. Dodatkowo chciałabym dowiedzieć się więcej o Ashanti, sprawdzić, na ile jej przypadek przypomina sprawy Morrison i Carla.

- Może udałoby się zbadać te dane za pomocą uprawnień, które chce nam dać doktor English?

- Daj spokój! - parsknęła drwiąco Lynn. - Przecież nie udzieli nam dostępu do systemu Shapiro. Pewnie będziemy mogli jedynie przeglądać dane o zakażeniach, i to tylko w głównej bazie danych szpitala. Jeżeli mam się dowiedzieć tego, na czym mi najbardziej zależy, potrzebny mi login Władimira. Pełny dostęp.

- Rozpędziłaś się, dziewczyno. I w sumie to rozumiem. Musisz się czymś zająć, więc nie zamierzam prawić ci kazań. Ale powiedz mi jedno: nawet jeśli dostaniesz ten swój skafander Shapiro, to jak zamierzasz dostać się do budynku?

- W tym także mi pomożesz - odrzekła Lynn.

Michael przewrócił oczami.

- Po co ja w ogóle pytałem?

- Mówiłeś, że drzwi wejściowe zabezpieczono tylko prostym czytnikiem linii papilarnych, wynalazkiem sprzed dziesięciu lat. Czyli nie będzie wielkiego problemu - musisz tylko zdobyć dla mnie odcisk palca Władimira. Zrobisz to, gdy zaprosisz go do siebie, żeby się z

nim podzielić swoją kolekcją nagrań Jaya-Z. Sprawdziłam i wiem, jak można oszukać prosty czytnik, używając odrobiny lateksu i kleju do drewna. Zdumiewające, ilu ciekawych rzeczy można się dowiedzieć z Internetu. Przygotowałam już sobie potrzebne materiały.

- Na Boga! - zawołał Michael, kręcąc głową. Rozparł się wygodnie na ławce i podążając za wzrokiem Lynn, spojrzął na gmach Instytutu Shapiro. - Dobra. Załóżmy chwilowo, że to się uda. Jaki masz plan działania? Co zrobisz, gdy już się dostaniesz do środka? Będziesz wałęsać się po całym budynku, aż się zgubisz? To olbrzymia przestrzeń!

- Pracuję nad tym - odrzekła tajemniczo Lynn.

- Mówże, dziewczyno!

- Później - ucięła. - A teraz chcę ci pokazać, co jeszcze odkryłam, gdy porównywałam raporty anestezyjologiczne ze wszystkich trzech operacji. Mówię o bardzo niepokojących podobieństwach. To one tak mnie zmotywowały do działania.

- O jakich podobieństwach?

- Lepiej będzie, jeśli ci pokażę. Wydruki mam w pokoju. Idziemy!

Lynn chwyciła Michaela pod ramię i pociągnęła do pionu.

Rozdział 29

Wtorek, 7 kwietnia, 17.37

Mimo niedawnego ataku płaczu, mimo zmęczenia i ledwie czterech godzin przespanych w ciągu ostatnich trzydziestu czterech godzin Lynn była teraz, jak to określił Michael, „podjarana”. Wiedziała dostatecznie dużo o psychologii, by się domyślić, że to tylko kolejna postać fazy wyparcia, ale miała to gdzieś. Cieszyła się poczuciem, że naprawdę coś robi, a nie poddaje się biernie emocjonalnym torturom.

Zanim przedyskutowała plan włamania do Instytutu Shapiro z Michaeliem, była to wizja raczej mglista. Teraz, gdy wiedziała już całkiem nieźle, czego potrzebuje i czego oczekuje od Michaela, chciała jak najszybciej przystąpić do działania. Najpierw jednak musiała mu pokazać, co takiego odkryła, co kazało jej jeszcze bardziej podejrzliwie przyglądać się zaistniałym faktom. Pomyślała, że może Michaelowi przybędzie od tego determinacji, że dzięki temu chętniej spróbuje wyciągnąć dla niej od Władimira to, czego potrzebowała. Jej samej motywacji nie brakowało.

Lynn przekreśliła klucz i pchnęła drzwi. Michael wszedł za nią, ale przystanął na progu.

- Może powinienem włożyć hermetyczny skafander? - zasugerował, widząc nieład panujący w pokoju. Zdążył już przywyknąć do jej swobodnego podejścia do kwestii porządku, ale to, co zobaczył tym razem, tworzyło zupełnie nową jakość. Na podłodze leżały rozrzucone wydruki i książki; lawirowanie między nimi było niemal niemożliwe. Kolejne wydruki spoczywały na praktycznie wszystkich poziomych powierzchniach, dzieląc je z absurdalną mieszaniną brudnych i czystych części garderoby. Łóżko, choć wolne od balastu, było niezaścielone.

- Bardzo śmieszne - burknęła Lynn. Wciągnęła Michaela do pokoju i kopniakiem zamknęła drzwi. - Wiem, że mam tu cholerny bałagan, ale na chwilę spróbuj o nim zapomnieć! - Poprowadziła go dalej, w stronę biurka, i posadziła na krześle. Rozgarnęła papiery, by

dać mu choć trochę miejsca na blacie, po czym położyła przed nim rzędem trzy zdjęcia raportów anestezjologicznych.

- No dobra - rzekł Michael. - To czego konkretnie mam szukać?

- Pamiętasz to mrugnięcie ekranu i skok na wykresach Carla, o których mówiła doktor Wykoff? - spytała Lynn, wskazując właściwe miejsce na wydruku.

- Mówiłem, że to przesunięcie klatki - odparł Michael. - I co z nim?

Lynn wskazała mu palcem identyczne odchylenia parametrów życiowych pacjentów widoczne na pozostałych dwóch wydrukach.

- We wszystkich trzech przypadkach odkształcenie krzywych, czymkolwiek ono jest, nastąpiło w tym samym momencie: w pięćdziesiątej drugiej minucie zabiegu.

- Hej! - wykrzyknął Michael, wodząc wzrokiem od jednego raportu do drugiego. - To się nazywa odkrycie, dziewczyno - dodał, zerkając na Lynn. - Cholernie dziwne. A co ty o tym myślisz?

- Nie mam pojęcia, co myśleć - przyznała. - Ale to musi mieć jakieś znaczenie. Żałuję, że nie mogę spytać o zdanie doktor Wykoff.

- Nic z tego.

- Zgoda. Nie możemy szukać wsparcia u nikogo z anestezjologii, przynajmniej na razie. Jesteśmy zdani na siebie, jeśli chcemy odkryć znaczenie tej dziwnej korelacji. Ale to jeszcze nie wszystko. Mam dla ciebie kolejną niespodziankę.

- Co takiego? Czyżby alarm ostrzegający o spadku saturacji odezwał się w tym samym momencie?

- Nie. Blisko, ale pewne różnice jednak wystąpiły.

Przez krótką chwilę Lynn spoglądała nieruchomo na Michaela.

- No? - rzucił niecierpliwie. - Powiesz mi wreszcie czy nie?

- A nie widzisz?

- Piłka jest po twojej stronie. Drybluj, podawaj albo rzucaj!

Lynn ponownie użyła palca, tym razem po to, żeby mu pokazać niewielkie okienka w prawych rogach wszystkich trzech raportów. W każdym z nich widniały te same znaki: APARAT 37.

Michael uniósł głowę i spojrzał w oczy Lynn. Dopiero po dłuższej chwili postanowił przerwać milczenie.

- We wszystkich trzech przypadkach użyto tego samego aparatu do znieczuleń! To też musi coś znaczyć.

- Ten sam aparat i ten sam błąd w tym samym momencie trzech zabiegów. Statystycznie taki zbieg okoliczności jest po prostu niemożliwy. Może w dwóch przypadkach, ale na pewno nie w trzech.

Michael spojrzał znowu na zdjęcia raportów.

- Zgadzam się. Ale co z tym zrobimy? Powiemy komuś? A jeśli tak, to komu?

- To jest ważne odkrycie, które dowodzi, że dzieje się coś dziwnego, ale na razie nie widzę spójnego, prawdopodobnego wyjaśnienia tej sprawy. W tej chwili nie możemy zgłosić się do nikogo, jeżeli nie chcemy wkopać się na amen. Widzę tylko jedno rozwiązanie: zdobyć więcej danych z Shapiro.

- Najbardziej niesamowita jest ta zgodność czasów - stwierdził Michael, przypatrując się wykresom.

- Niesamowita to mało powiedziane - podchwyciła z zapalem Lynn. - Mówię ci, moja intuicja bije na alarm, zwłaszcza gdy łączę kwestię zgodności czasów z tym, czego dowiedziałam się z tych wydruków. - Lynn szerokim gestem wskazała na rozsypane na podłodze artykuły. - Teraz, gdy przenoszą tam Carla...

- Hola, dziewczyno! - wpadł jej w słowo Michael. - Wolnego. Pamiętaj, że jeszcze go tam nie przenieśli.

- Tak było z Morrison, a jego przypadek jest bliźniaczo podobny.

- To prawda, ale nie wybiegaj przed orkiestrę, przyjaciółko. Słuchaj, nie chcę, żeby to zabrzmiało protekcyjnie, ale jesteś w okropnym stresie! Myślę, że powinnaś coś zjeść i porządnie się prześpać, zresetować się, krótko mówiąc. Wróćmy do szpitala, zjemy porządną kolację.

- Jasne, że jestem w stresie - warknęła Lynn. - I wiem, że jestem wyczerpana. Ale nie jestem pewna, czy zdołałabym zasnąć, nawet gdybym spróbowała. Wytlumacz mi, dlaczego tak się spieszą z przeniesieniem Carla i Morrison. Na mój gust sprawy toczą się zbyt szybko. Może tak samo było z Ashanti? Ale dlaczego? Skąd ten pośpiech? Nie może chodzić wyłącznie o pieniądze. Może o lepszą opiekę? Sama nie wiem. - Lynn znowu wskazała ręką na rozsypane wydruki. - Z tych artykułów wynika, że zawsze zdarzają się pacjenci, którzy wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa budzą się ze śpiączki. Carl jest w tym stanie zaledwie od trzydziestu sześciu godzin. Po co przenosić go tak szybko? Co będzie, jeśli się ocknie w Shapiro? Czy ktoś to w ogóle zauważy, skoro wszystko jest tak zautomatyzowane? Nie wiem, czy włamując się do Instytutu, znajdę odpowiedzi na te pytania, ale czuję, że jest na to szansa. Muszę to zrobić!

Michael skinął głową. Ostatnią rzeczą, której sobie teraz życzył, było pogłębianie stresu Lynn. Dlatego nie spierał się z nią, tylko pochylił się i podniósł z podłogi najbliższej leżący tekst. Był to artykuł, który czytali razem na oddziale, zatytułowany „Gammapatia

monoklonalna o nieokreślonym znaczeniu”.

- Niech no zgadnę - odezwał się po chwili, szybko przejrzawszy znany tekst. - Uważasz, że ta cała paraproteina ma jakieś znaczenie?

- Uważam - przytaknęła. - Nie mam pojęcia jakie, ale wydaje się, że to także motyw występujący u całej trójki pacjentów. No, nie mamy jeszcze pewności, czy u Ashanti wykryto paraproteinę, ale fakt, że ma szpiczaka mnogiego, mocno na to wskazuje. Przecież szpiczak mnogi to najgorszy finał u pacjenta z gammopatią.

- Nie gniewaj się, ale mam wrażenie, że wylatujesz wyobraźnią w okolice stratosfery - stwierdził Michael. Pokręcił głową, schylając się po kolejny artykuł. Ten nosił tytuł „Przeciwciała monoklonalne”. Michael przeczytał go błyskawicznie.

- Może masz rację - przyznała Lynn. - Ale przypomnij sobie to słowo, które sam widziałeś w elektronicznej karcie Ashanti, w systemie komputerowym Shapiro: drozitumab. Pamiętasz?

- Jasne, że pamiętam.

- A pamiętasz, co to jest?

- Jasne - powtórzył Michael, spoglądając na Lynn z irytacją. Zaczynał tracić cierpliwość. Zdecydowanie potrzebowała jedzenia i snu. On także był głodny. - Co to ma być, jakiś test?

- Drozitumab to przeciwciało monoklonalne, jak sam powiedziałeś dziś rano - powiedziała Lynn, ignorując jego zachowanie. - Używa się go do leczenia niektórych nowotworów, ale nie szpiczaka mnogiego.

- Powiedziałeś, że pamiętam - powtórzył Michael.

- Gdyby podawali Ashanti drozitumab i zrobili jej proteinogram, wykazałby obecność paraproteiny.

- Pewnie masz rację. Tylko do czego zmierzasz?

- Sama nie wiem. Myślę na głos i proszę cię, żebyś spróbował tego samego.

Michael pokręcił głową.

- Trudna układanka. Zbyt wiele kawałków luzem - dodał i wrócił do lektury artykułu o przeciwciałach monoklonalnych.

- Dlaczego na pierwszej stronie elektronicznej karty pacjenta umieszczono wzmiankę o drozitumacie? - spytała Lynn.

- Już ci mówiłem, nie mam pojęcia. A ty masz? - spytał Michael, nie odrywając wzroku od tekstu.

- Nie mam - przyznała. - Ale gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że być może testują go jako lek przeciwko szpiczakowi mnogiemu.

Michael uniósł głowę, by spojrzeć w oczy Lynn.

- Sugerujesz, że działają na oślepie? Bez logicznego, naukowego uzasadnienia? Strzelają, a potem patrzą, w co trafili? Wątpliwe, przyjaciółko.

- Wiem, że nie brzmi to zbyt sensownie - zgodziła się Lynn. - Dobra, porzućmy ten trop. Może to coś prostszego? Z artykułów o przeciwciałach monoklonalnych będących podstawą biofarmaceutyków dowiedziałam się, że w ich stosowaniu występują pewne problemy. Może ktoś podawał Ashanti rozmaite postacie drozitumabu, żeby sprawdzić, która będzie najlepiej tolerowana?

- To brzmi zdecydowanie bardziej prawdopodobnie niż pomysł ze strzelaniem na oślepie. Oczywiście również oznacza to wykorzystywanie chorej w charakterze bezwolnego królika doświadczalnego. Naprawdę sądzisz, że mogą się parać czymś takim?

- Jakos nie umiem tego wykluczyć - odparła Lynn.

- Ale to nie tłumaczy problemu z paraproteiną.

- Wiem. Może z jakiegoś powodu próbują stymulować układ odpornościowy Ashanti? Układy odpornościowe Carla i Morrison już są pobudzone; wskazuje na to gorączka i produkcja paraproteiny. Innymi słowy, zachowują się, jakby były stymulowane.

- Bardzo, bardzo luźna teoria.

- Wiem, ale powtarzam ci jedno: tam się dzieje coś dziwnego. Może koncern Sidereal Pharmaceuticals wybudował Shapiro tylko po to, żeby dokonywać na jego pacjentach nielegalnych testów nowych leków? Świetnie się do tego nadają, nigdy się nie skarżą. No, przyznaj, że jest w tym jakiś diaboliczny sens. A jeśli tak właśnie się dzieje, to tym bardziej nie mogę dopuścić, żeby Carl tam trafił. Nie pozwolę, żeby na nim eksperymentowali. Nie ma mowy!

- Boże - mruknął Michael, czując, że włosy jeżą mu się na karku.

- Faktycznie upiorna wizja. Naprawdę sądzisz, że tak to mogli wykombinować?

Lynn wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, ale zawsze to jakaś myśl - odpowiedziała. - Zaoszczędziliby sporo czasu i pieniędzy, doskonaląc nowe leki w taki sposób. Drozitumab to biofarmaceutyk, czyli lek wytwarzany przez żywe komórki, a biofarmaceutyki to najnowszy krzyk mody w przemyśle farmaceutycznym. Trwa wyścig wielkich firm, każda chce jak najszybciej testować i wprowadzać nowe produkty. A przecież biofarmaceutyki to specjalność Sidereal!

- Naprawdę? - zdziwił się Michael.

- Masz, sam przeczytaj - odpowiedziała, wręczając mu jeden z

artykułów leżących na biurku, zatytułowany „Biofarmaceutyki”.

Nie czekając, aż Michael przeczyta go w swoim błyskawicznym tempie, Lynn spytała:

- Pamiętasz dokładnie, w jaki sposób wytwarza się przeciwciała monoklonalne czy biofarmaceutyki, które są w sprzedaży?

- Pewnie. Powstają z mysich hybrydom. Czytałem o tym w poprzednim artykule. Poza tym na drugim roku mieliśmy wykład na ten temat. Dlaczego pytasz?

- Bo to najważniejszy powód, dla którego potrzeba tak rozległych testów - wyjaśniła Lynn. - Jako że biofarmaceutyki wytwarza się z mysich komórek, koncerny farmaceutyczne muszą dopasowywać je do ludzkich potrzeb, zmniejszać ich działanie niepożądane. To wymaga długotrwałych prób, a zwłaszcza prób przeprowadzanych na ludziach. Pacjenci w stanie wegetatywnym nadawaliby się idealnie do tego celu, zwłaszcza gdyby ich układ odpornościowy był odpowiednio pobudzony.

- Rany - mruknął Michael, skończywszy czytać. - Nie miałem pojęcia, że rynek biofarmaceutyków jest już wart pięćdziesiąt miliardów dolarów rocznie i stale się rozwija. Naprawdę nie miałem pojęcia.

- Będzie znacznie większy. Wkrótce przekroczy sto miliardów rocznego obrotu.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak, i to z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że niektóre z biofarmaceutyków są naprawdę obiecującymi lekami, tak wynika z tekstów, które przeczytałam. Po drugie, amerykańskie firmy farmaceutyczne dyktują zabójczo wysokie ceny, wedle swojego uznania. Tu jest inaczej niż w innych krajach uprzemysłowionych. A może raczej powinnam powiedzieć: jak w cywilizowanych krajach.

Michael pokiwał głową.

- Podobnie robią z tradycyjnymi lekami - dorzucił i sięgnął po artykuł o hybrydomach.

- Właśnie! Niestety w przypadku biofarmaceutyków nie będzie inaczej, zwłaszcza że koncerny wydają mnóstwo pieniędzy na swoich lobbystów.

- Racja. Kontrolując Kongres, mogą w majestacie prawa radować obywateli Stanów Zjednoczonych.

- Jeżeli Sidereal zdobędzie przewagę na rynku biofarmaceutyków, rozwiązując kwestię działań niepożądanych, to zdominuje go i zarobi niewyobrażalne pieniądze.

Michael doczytał tekst do końca i odrzucił kartkę na bok.

- Dobra, mniej więcej wiem, do czego zmierzasz. Być może szybka, dyskretna wizyta w Shapiro byłaby najlepszym rozwiązaniem, jeśli chcemy się dowiedzieć, czy pacjenci są tam wykorzystywani w charakterze królików doświadczalnych przy testowaniu biofarmaceutyków, co wcale nie oznacza, że cię namawiam do takiej akcji. Nadal uważam, że to szalony, cholernie ryzykowny pomysł. Tymczasem jednak mamy o wiele pilniejszy problem. Co zrobić z aparatem numer trzydzieści siedem? Oddział anestezjologii powinien się o nim dowiedzieć, jeżeli jeszcze nie wie. Prawdę mówiąc, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że wie. Rzecz jest chyba zbyt oczywista, żeby mogli ją przeoczyć.

- Zgoda. Anestezjologia musi się dowiedzieć. Ale przecież ten aparat nie może być uszkodzony. - Lynn wskazała na raporty anestezjologiczne leżące na biurku. - Zwróć uwagę, że parametry życiowe trojga pacjentów były w normie od momentu przesunięcia klatki aż do nagłego spadku saturacji! Wszystkie, które monitorował aparat. Oczywiście nie zmieniła się też skuteczność znieczulenia. Pamiętaj: Wykoff twierdzi, że osobiście skontrolowała urządzenie przed operacją Carla i po niej.

Przez kilka minut przyjaciele w milczeniu przeglądali raporty anestezjologiczne, próbując zrozumieć, co to wszystko znaczy.

- Jeśli pójdziemy do Rhodesa z informacją o tym wszystkim, znowu dostanie szału - stwierdziła Lynn. - Będzie chciał wiedzieć, jak do tego doszliśmy. Co mu po wiemy, nie przyznając się do rażącego naruszenia zasad? Sądząc po jego reakcji na naszą niewinną rozmowę z doktor Wykoff, jestem pewna, że szlag by go trafił na miejscu, gdyby się dowiedział, że mamy wszystkie trzy raporty. Nie możemy do niego pójść, póki nie dowiemy się więcej.

- Słusznie - przytaknął Michael.

- Słuchaj, a może napisałbyś teraz do swojego kumpla Władimira i zaprosił go na wieczór? Naprawdę musimy działać szybko.

- Aż tak poważnie to traktujesz?

- Bardzo poważnie. Odchodzę od zmysłów na samą myśl o tym, co się będzie działo z Carlem, gdy go tam przeniosą. Potrzebny mi kombinezon i odcisk kciuka Władimira.

- Mam nadzieję, że nie będę tego żałował - odparł Michael, wyjmując telefon. Szybko wpisał wiadomość - zaproszenie na piwo i dobrą muzykę: wieczorek z Jayem-Z - i wysłał ją zamasztyrtem ruchem.

- A teraz poproszę o jego nazwę użytkownika i hasło - powiedziała Lynn, sięgając po swój telefon, by dopisać Władimira do listy

kontaktów.

Michael zasalutował, a potem posłusznie oddał jej swój smartfon, wywoławszy na ekran pożądaną informację. Lynn jeszcze przepisywała dane, gdy telefon Michaela zasygnalizował nadejście nowej wiadomości. Władimir informował, że przyjmuje zaproszenie. Zapowiedział, że przyniesie ze sobą pamiątkę z Rosji, którą obiecał Michaelowi.

- Zadowolona?

- Nie. Napisz mu jeszcze o tym skafandrze.

- Psiakrew, dziewczyno! - poskarżył się Michael, ale usłuchał. Wyjaśniając, skąd taki pomysł, wykorzystał pretekst wymyślony przez Lynn: że wybiera się z dziewczyną na bal kostiumowy. Nacisnął WYŚLIJ, po czym skierował wyświetlacz w stronę Lynn, by mogła przeczytać wiadomość.

Minęła minuta, potem druga. Wreszcie na ekranie pojawiła się nowa wiadomość: „Zajdę po stroje. Mogę się trochę spóźnić. Nie ma problemu”.

- Zdaje się, że mój rosyjski kumpel stanie na wysokości zadania - obwieścił Michael. - A teraz chodźmy na kolację.

- Niezły plan - przyznała Lynn. - Ale najpierw muszę wskoczyć pod prysznic - dodała i nie czekając na odpowiedź, pobiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

- Skoro już będziemy w szpitalu, to może zajrzemy na blok operacyjny i spróbujemy odnaleźć aparat numer trzydzieści siedem? - zawołał za nią Michael.

- Nie będzie łatwo. Mamy dwadzieścia cztery sale operacyjne, a to oznacza, że możemy mieć nawet pięćdziesiąt aparatów do sprawdzenia.

- Zapewne nawet więcej, ale nie szkodzi. Wiemy, że trzydziesty siódmy był używany w poniedziałek w sali numer dwanaście. Może nadal tam jest? Zwykle o tej porze w salach operacyjnych panuje błogi spokój. Jeśli nie znajdziemy jej w dwunastce, możemy sprawdzić w magazynku, do którego trafia zapasowy sprzęt.

- A co zrobimy, jeśli ją znajdziemy?

- Dobre pytanie. - Michael wzruszył ramionami. - Chyba chciałbym wtedy ustalić, czy był używany od czasu, gdy posłużyła do znieczulenia Carla. A jeśli tak, to czy u tych pacjentów nie pojawiły się powikłania. Będę spał spokojniej, jeśli się okaże, że nie.

- Racja! - zawołała Lynn. - Pójdę z tobą na blok operacyjny, jeśli ty pójdziesz ze mną na neurologię i do Działu Informatyki.

- Umowa stoi - oznajmił Michael. - Ale najpierw idę do siebie.

Też muszę się umyć.

- Dobry pomysł. Spotkamy się na dole.

Rozdział 30

Wtorek, 7 kwietnia, 18.31

Sandra Wykoff wyłączyła komputer. Od ponad godziny siedziała przy jednym z terminali komputerowych w pokoju anesteziologów. Właściwie nie wiedziała, co myśleć o tym, czego właśnie się dowiedziała, ale czuła, że to musi być ważne...

Wkrótce po tym, jak opuściła Dział Inżynierii Klinicznej, dostała wiadomość: Geraldine Montgomery pytała, czy Sandra mogłaby dołączyć do zespołu w nagłym wypadku - nastoletni chłopak złamał przedramię w kilku miejscach i konieczna była operacja. Z radością przyjęła propozycję, a zabieg przebiegł pomyślnie.

Mniej więcej w połowie operacji, gdy mogła na chwilę oderwać się od wskaźników, znowu rozmyślała o Vandermeerze, Morrison i Davis. Po skończonym zabiegu poszła prosto do pokoju anesteziologów i zalogowała się do sieci. Wywołała zarchiwizowane raporty anesteziologiczne Morrison i Davis, by przyjrzeć im się z taką samą uwagą, z jaką prześledziła raport Vandermeera. Miała nadzieję, że znajdzie jakieś podobieństwa prócz tego, że we wszystkich trzech przypadkach użyto tego samego aparatu, co rzuciło jej się w oczy już na samym początku. Przez ponad godzinę nic nie przykuło jej uwagi, aż wreszcie zauważyła: ten sam błąd, to samo przesunięcie klatki wystąpiło we wszystkich trzech przypadkach. Najbardziej zdumiewający był jednak fakt, że zdarzyło się to w dokładnie tym samym momencie operacji!

Patrząc w przestrzeń, Sandra zastanawiała się, jakie może być znaczenie tego odkrycia - a wierzyła, że niebagatelne. Dlaczego właśnie ten aparat do znieczuleń zachowywał się nietypowo, skoro po każdym tragicznym zdarzeniu był starannie kontrolowany? Czy chodziło o błąd w oprogramowaniu? Spece od inżynierii klinicznej twierdzili, że nie. I chyba mieli rację, skoro inne aparaty, korzystające z tego samego software'u, zachowywały się normalnie - wiedziała o tym, bo starannie sprawdziła raporty z innych jednostek, których

używała podczas ostatnich paru operacji. W żadnym nie znalazła przesunięcia klatki. Przejrzała też inne raporty z aparatu numer trzydzieści siedem - były bez zarzutu. Błędy pojawiły się tylko w tych trzech przypadkach, w których zabiegi skończyły się śpiączką pacjentów.

Powziąwszy nagle postanowienie, Sandra powstała zza biurka. Pospieszyła do szatni, żeby się przebrać w cywilne ubranie, a następnie zjechała do pomieszczeń administracyjnych szpitala. Zamierzała sprawdzić, czy Benton Rhodes już poszedł do domu, a jeśli nie, to gotowa była pokazać mu, co odkryła. Gabinet był jednak pusty.

Przez chwilę się zastanawiała, czy warto poprosić centralę telefoniczną szpitala, żeby nawiązała kontakt z doktorem Rhodesem. Wspomnienie niedawnej awantury było jednak zbyt silne; nie miała ochoty na następną. Właściwie nie wiedziała, czy jej szef nie odkrył już owej dziwnej zbieżności. Było to możliwe, a w takim przypadku niepokojenie go po godzinach pracy nie było najlepszym pomysłem. Wszyscy wiedzieli, że Benton Rhodes nie lubi, gdy zawraca mu się głowę w domowym zaciszu, kiedy nie jest to absolutnie konieczne.

- Wytrzymam do jutra - mruknęła do siebie Sandra Wykoff.

Wróciła do holu i poszła wprost do garażu. Z przyjemnością myślała o tym, że już niedługo zrelaksuje się w domu, z kieliszkiem wina. Nadal była zdenerwowana i w pewnym stopniu dręczyło ją poczucie winy - od wczorajszej katastrofy po prostu nie była sobą. Zastanawiała się nawet, czy kiedykolwiek zapomni o tym, co się stało. Starcie z Rhodesem nie pomogło jej w odzyskaniu równowagi, podobnie jak stan Vandermeera. Sandra Wykoff zawsze uważała, że skrupulatność, dbałość o najmniejsze nawet detale i nieszukanie dróg na skróty pozwolą jej unikać podobnych zdarzeń. Najwyraźniej była w błędzie.

W porównaniu z zatłoczonym holem na parterze szpitala parking wydawał się oazą spokoju. Za dnia ruch panował tu w zasadzie tylko koło piętnastej, gdy do pracy przyjeżdżała popołudniowa zmiana. Między siedemnastą a osiemnastą było trochę spokojniej, a po tej godzinie ruch praktycznie zamierał - aż do dwudziestej, kiedy to kończyły się odwiedziny u chorych. Kolejne ożywienie następowało o dwudziestej trzeciej, gdy nocna zmiana zastępowała popołudniową.

Idąc do samochodu w głębokiej ciszy pustego garażu, Sandra doskonale słyszała ostry stukot swoich wysokich obcasów na betonowej wylewce. Z niepokojem pomyślała, że jest tu całkiem sama. Rozejrzała się, mając nadzieję, że dostrzeże kogoś znajomego, nikogo nie zauważyła. Pusty garaż po godzinach pracy zawsze budził w niej lęk. Próbując zapanować nad wyobraźnią, zmusiła się do myślenia o

drodze do domu i gorącej kąpeli. Wciskając guzik pilota, by otworzyć centralny zamek w swoim bmw, zastanawiała się na tym, w jaki sposób najlepiej będzie zawiadomić Rhodesa o nowym odkryciu, by nie wywołać kolejnego ataku szału. Prawdopodobieństwo, że już o wszystkim wie, było całkiem spore - w końcu jako szef oddziału miał obowiązek szczegółowo zbadać wszystkie trzy przypadki. Gdyby jednak tego nie zrobił, teraz mógłby wyładować swoją złość na niej - na posłańcu, który przyniósł mu wiadomość o jego niewadze czy niekompetencji.

Sandra usiadła za kierownicą, zatrzasnęła drzwi i sięgnęła za siebie po pas bezpieczeństwa. W tym samym czasie nacisnęła prawą stopą hamulec, oczekując, że silnik zaraz się obudzi. Wszystko to czyniła niemal odruchowo, jak już milion razy wcześniej. Ale tego dnia już nie zapięła pasa, bo nagle serce podskoczyło jej do gardła, gdy jednocześnie otworzyły się drzwi po obu stronach samochodu: prawe z przodu i lewe z tyłu. Ułamek sekundy później do wnętrza wskoczyli dwaj potężni mężczyźni w ciemnych garniturach.

Przerażona Sandra otworzyła usta do krzyku, ale głos uwiązł w jej krtani, gdy dłoń w skórzanej rękawiczce pochwyciła ją od tyłu i zacisnęła się na dolnej połowie jej twarzy. Rozległo się tylko stłumione gulgotanie. W tej samej chwili poczuła, że owa silna ręka szarpie jej głowę w tył i dociska do zagłówka. Tymczasem napastnik siedzący na przednim fotelu pasażera wbił igłę w jej udo. Potrzebował sekundy, żeby wprowadzić do mięśnia zawartość strzykawki.

Nie mogąc oddychać, Sandra Wykoff rozpaczliwie walczyła, próbując odepchnąć dłoń ściskającą jej twarz. Nie była w stanie. Mężczyzna był zbyt silny. Ten, który siedział obok niej, wyszarpnął jej z ręki elektroniczny kluczyk i uruchomił silnik. Po kilku chwilach obraz za szybą rozmazał się, a potem zgasł. Osunęła się bezwładnie na fotel.

Darko Lebediew był zachwycony, gdy tuż przed piętnastą zadzwonił do niego Misza Zotow z informacją, że ma nowe rozkazy dla niego i dla Leonida Szubina. Nie tak dawno narzekał na brak zajęć, a teraz dostał dwa zlecenia naraz, z których jedno wymagało mokrej roboty. Drugie polegało jedynie na nastraszeniu pewnej studentki medycyny, celem przywrócenia jej rozsądku - tak przynajmniej ujął to Misza. Darko rozumiał, co ma zrobić, i dlatego tak się cieszył. Wiedział, że Leonid będzie równie uradowany.

W kwestii likwidacji pierwszego celu rozkazy były proste: kobieta

miała zniknąć, a jej samochód miał trafić - za sprawą kierowcy wyznaczonego przez Miszę - do szpitala w Kolorado, gdzie pracował jej były mąż. Tam miał zostać porzucony. Chodziło o to, żeby rzucić podejrzenia w sprawie zniknięcia ofiary na jej byłego małżonka, z dala od granic stanu. Misza wyraził jeszcze jedno życzenie: kobieta miała najpierw zostać uśpiona i dostarczona do niego na kilka godzin, a dopiero potem zlikwidowana. Podobno miał rachunki do wyrównania z tą „wyniosłą suką”.

Wraz z rozkazami Darko otrzymał też informacje, których potrzebował do zaplanowania i wykonania roboty. Poznał adres Sandry Wykoff, markę i model jej samochodu, a także położenie jej miejsca parkingowego. Poinformowano go także, że jest samotna, rzadko udziela się towarzysko i jeszcze rzadziej wychodzi z domu wieczorami. Misza wyjaśnił, że zgromadzono na jej temat mnóstwo danych, jako że została wyjątkowo starannie prześwietlona przez ochronę, zanim wybrano ją do nieświadomego udziału w programie.

Wszystkie te informacje upewniły Lebediewa, że będzie to łatwa misja, nawet jeśli - podobnie jak zadanie numer dwa, polegające na zastraszeniu - trzeba było zorganizować ją natychmiast, jeszcze tego samego dnia. Owszem, musieli działać szybko i bez przygotowania, które zwykle poprzedzało ich akcje, a tego nie lubił, zwłaszcza że mokrą robotę musiał wykonać jak pierwszą.

W ramach przygotowań do drugiego zadania Darko poprosił o pomoc jednego z Rosjan zatrudnionych w ochronie szpitala, Timura Kortiewa. Posłał go do akademika z fotografią Lynn, by pilnował dziewczyny i był w stanie wskazać jej miejsce pobytu, gdy tylko Darko skończy z Sandrą Wykoff. Liczył na to, że studentka będzie w swoim pokoju, ale wolał mieć pewność. Nie zamierzał tracić czasu i ryzykować włamania, gdyby miał jej tam nie zastać.

Przygotowując mokrą robotę, Darko i Leonid odwiedzili najpierw dom anestezjolożki: szeregowiec w North Charleston. Jak stwierdzili na miejscu, nie było to najlepsze miejsce do przeprowadzenia akcji: dom był wąski i z obu stron dzielił ściany z sąsiednimi segmentami. Ryzyko, że znajdą się świadkowie napaści, było w takich warunkach zbyt duże. Jeżeli kobieta miała zniknąć i jeśli miało to wyglądać na nagły wyjazd z własnej woli, nikt nie mógł jej zobaczyć. Odkryli właściwie tylko jeden sprzyjający ich planom detal: szklane drzwi prowadzące na tylny taras. Postanowili, że jeśli rozwój sytuacji zmusi ich do przeniesienia akcji do domu ofiary, właśnie wtedy dostaną się do środka. Nie było to jednak optymalne rozwiązanie.

Wróciwszy do szpitala, odnaleźli wóz Sandry. Zdecydowali, że

jeśli ofiara pojawi się z grupą innych osób, będą śledzili jej samochód, mając nadzieję, że może zatrzyma się raz czy dwa w drodze do domu i będzie okazja, żeby zaimprovizować atak w terenie. Okazało się jednak, że mieli szczęście: Sandra Wykoff zjawiała się w chwili, gdy parking był całkiem pusty.

- Damy ją na tylne siedzenie - odezwał się Darko po rosyjsku. - Widzisz kogoś?

- Nie - odparł Leonid, spoglądając przez tylną szybę.

- Do dzieła!

Wysiedli z samochodu, prędko przeciągnęli Sandrę na tylną kanapę i przykryli pledem. Darko usiadł za kierownicą, a gdy i Leonid zatrzasnął za sobą drzwi, wyjechali z parkingu przez automatycznie otwieraną bramę. Chwilę później zatrzymali się za białą furgonetką bez żadnych oznaczeń na nadwoziu. Leonid wysiadł.

- Zobaczmy się u Miszy - powiedział, a potem pobiegł prosto do kabiny vana. Chwilę później włączył się do ruchu i odjechał na północ. Darko podążył za nim samochodem Sandry Wykoff, która wciąż leżała nieprzytomna na tylnym siedzeniu.

Misza, podobnie jak wielu innych Rosjan zatrudnionych w Dziale Inżynierii Klinicznej, Dziale Informatyki i w ochronie Centrum Medycznego Mason-Dixon mieszkał na osiedlu odkupionym od dewelopera w całości przez Sidereal Pharmaceuticals. Było ono położone w dość odludnej okolicy na wschód od małego, satelickiego miasteczka Goose Creek. Niektórzy z lokatorów - wśród nich Misza i Fiodor - otrzymali od pracodawcy wolno stojące domy; inni - tacy jak Darko i Leonid - tylko mieszkania w kompleksie niewysokich budynków. Wszystkim prócz Fiodora nakazano pozostawić w Rosji żony i partnerki - przynajmniej na jakiś czas.

Rozdział 31

Wtorek, 7 kwietnia, 19.15

- Zaczekaj chwilę. - Michael chwycił Lynn za rękę.

Opuściwszy bufet po szybkiej kolacji, właśnie dotarli schodami na pierwsze piętro szpitala. Zamierzali odnaleźć aparat do znieczuleń numer trzydzieści siedem, głównie ze względu na Michaela. Przed sobą mieli otwarte drzwi do pokoju chirurgów, w którym najwyraźniej zebrała się większa część popołudniowej zmiany z bloku operacyjnego. Nawet w miejscu, w którym się zatrzymali, słysząc było dźwięki płynące z telewizora - personel oglądał teleturniej.

- Przykro mi, że muszę to w kółko powtarzać, ale potrzebna nam dobra wymówka, na wypadek gdyby ktoś nas spytał, co tu robimy. Studenci raczej się tu nie szwendają. Jakies pomysły?

Lynn zastanawiała się przez chwilę.

- Masz rację. I nie musisz przeproszać; cieszę się, że myślisz o takich detalach. W razie czego, powiemy, że właśnie rozmawialiśmy z panią dziekan o zakażeniach szpitalnych, co akurat jest prawdą, i że przyglądamy się sprawie z bliska. Nie musimy wchodzić w szczegóły.

- Gładko! - stwierdził z podziwem Michael. - Zdumiewające, jak szybko się nauczyłaś naginać prawdę.

- Mam wybitnego mistrza.

Michael roześmiał się, słysząc ten dwuznaczny komplement.

Uzbrojeni w nie najgorszą wymówkę, wkroczyli do pokoju chirurgów. Spośród sześciu osób tylko jedna salowa uniosła głowę, by na nich spojrzeć. Nikt nawet nie próbował ich zagadnąć: wszyscy z zapartym tchem śledzili najświeższe wiadomości, które przerwały zaplanowany program. Zamiast teleturnieju na ekranie widać było parę prezenterów wiadomości lokalnych, którzy właśnie meldowali o tym, że policja z Mount Pleasant podjęła śledztwo w sprawie okrutnego mordu, do którego doszło poprzedniego wieczoru, a który właśnie został ujawniony.

Lynn i Michael przystanęli. Upiorne detale sprawy przykuły ich

uwagę. Podobnie jak wszyscy inni, słuchali w napięciu.

Obraz ze studia zniknął, a zastąpiły go zdjęcia zrobione w terenie: młoda reporterka stała z mikrofonem przed domem na peryferiach miasta, otoczonym zadrzewionym ogrodem. W tle widać było liczne wozy policyjne i karetki zaparkowane w dość chaotyczny sposób i migające kogutami.

- Stoję właśnie przy Bay View Drive 1440 w Mount Pleasant - zaczęła swój meldunek dziennikarka. - Za moimi plecami widzą państwo dom rodziny Hurleyów. W tej chwili wiemy jedynie, że ostatniej nocy rodzina ta padła ofiarą brutalnej napaści: włamania, rabunku, gwałtu i morderstwa. Zginęli wszyscy czterej jej członkowie, w tym dwoje dzieci. Jak dotąd nie znamy szczegółów tej tragedii; poinformowano mnie jedynie, że szef policji w Mount Pleasant wkrótce wygłosi oświadczenie. Zbrodnię odkrył asystent pana Hurleya, który postanowił odwiedzić szefa w domu, gdy ten nie pojawił się w pracy. Pan Hurley był wziętym prawnikiem, pracował tu, w Mount Pleasant. Pani Hurley, nauczycielka trzeciej klasy w szkole podstawowej Charlesa Pinckneya, także nie zjawiała się w pracy, ale jej koleżanki i koledzy uznali, że to po prostu nawrót niedawnej choroby. Nieco ponad tydzień temu pani Hurley spędziła kilka dni w Centrum Medycznym Mason-Dixon z powodu zatrucia pokarmowego. Powiadomiła też dyrekcję szkoły, że podczas pobytu w szpitalu wykryto u niej chorobę krwi, i choć wypisała się na własne żądanie, nie czuła się w stu procentach zdrowa. Gdy nie przyszła do pracy, naturalną kolejną rzeczą uznano, że ma to związek z owym schorzeniem. Gail i Ron, oddaję wam głos.

Prezenterzy podjęli temat, kierując rozmowę w stronę podobieństw między ujawnioną właśnie zbrodnią a sprawą znaną z powieści *Z zimną krwią* Trumana Capote'a oraz nieco świeższego przestępstwa dokonanego w stanie Connecticut. Więcej nie dało się usłyszeć, w pokoju chirurgów rozbrzmiał bowiem nagle chór przejętych głosów.

- Dobry Boże! - jęknęła Lynn, spoglądając na Michaela. - Dokąd ten świat zmierza?

- Skoro takie rzeczy mogą się wydarzyć w Kansas czy Connecticut, to mogą i tu - odparł Michael. - Szczęście w nieszczęściu polega na tym, że wszyscy gapią się w telewizor i możemy w miarę spokojnie poszukać trzydziestki siódemki.

- Pewnie tak - zgodziła się Lynn. - Ale co myślisz o tym, że zdiagnozowano u tej kobiety chorobę krwi? Akurat w naszym szpitalu? Myślisz, że to możliwe, że chodzi o gammapatię?

- Nie można tego wykluczyć. Zakaźna gammopatia? To byłoby coś nowego!

- Próbuję traktować sprawę poważnie - powiedziała z wyrzutem Lynn.

- A ja próbuję cię trochę rozweselić. Chodź, przeberzemy się i zrobimy, co mamy zrobić. Widzimy się za pięć minut.

- Tak jest!

Lynn nie mogła przestać myśleć o tragedii w Mount Pleasant. Zawsze wytrącały ją z równowagi zdarzenia, które przypominały jej, że ludzkie istoty są zdolne do najohydniejszych zbrodni, ale w tej chwili głowę zaprzętała jej zwłaszcza wzmianka o owej chorobie krwi, na którą cierpiała zamordowana kobieta. Czy i u niej wykryto paraproteiny? Gdy Lynn wróciła do pokoju chirurgów, Michael już na nią czekał, wraz ze wszystkimi oglądając telewizję.

- Ironia losu polega na tym, że facet był prawnikiem i specjalizował się w sprawach związanych z uszkodzeniem ciała - poinformował ją szeptem.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Niewiele. Czekam na ciebie ledwie minutę, może dwie.

- Wspominali jeszcze o tej chorobie krwi u żony?

- Nie.

- Chodźmy. Mamy sprawę do załatwienia. Włożywszy ochraniacze na buty, wkroczyli na blok operacyjny. Wszystkie światła w holu były włączone, ale nie spotkali nikogo, nawet przy centralnym kontuarze - najwyraźniej wszyscy siedzieli przed telewizorem w pokoju chirurgów. Nie wykonywano ani jednego zabiegu. Mijając salę wybudzeń, Lynn i Michael usłyszeli ciche tony muzyki, ale nie zatrzymali się, żeby zajrzeć do środka. Choć mieli w zanadrzu historijkę, na wypadek gdyby kogoś spotkali, zdecydowanie woleli unikać rozmów.

- Jak się do tego zabierzemy? - spytała Lynn. - Będziemy zaglądać razem do każdej sali czy się rozdzielimy? Ty na prawo, ja na lewo?

- Najpierw chodźmy do dwunastki, stamtąd zaczniemy.

- Ciekawe, ilu pacjentów opuszcza ten szpital z diagnozą podwyższonego stężenia białek we krwi - powiedziała po chwili Lynn.

- Sam się nad tym zastanawiam - odparł Michael.

Weszli do dwunastki i włączyli światło. Aparat do znieczuleń stał pod ścianą. Lynn niespodziewanie poczuła wielkie emocje: być może właśnie to urządzenie było odpowiedzialne za tragedię Carla. Michael

podszedł do niego zdecydowanym krokiem.

- Trzydzieści siedem - przeczytał, pochyliwszy się nad tabelą serwisową.

Przez kilka chwil w milczeniu patrzyli na aparat najeżony pokrętkami, wskaźnikami, miernikami, parownikami i wyświetlaczami. Na jego tylnej ścianie zawieszono były trzy zbiorniki ze sprężonym gazem.

- No dobra - powiedziała Lynn. - Skoro już go znaleźliśmy... co teraz zrobimy?

Michael wzruszył ramionami.

- Chyba trzeba sprawdzić, czy był używany.

- Łatwizna. Wystarczy zajrzeć do dyżurki i sprawdzić w grafiku, czy przeprowadzono dziś jakieś zabiegi w tej sali operacyjnej. Prawie na pewno tak było, ale trzeba sprawdzić. Idziemy!

Za okrągłym kontuarem nie było nikogo, kto mógłby ich zatrzymać - bez przeszkód zajrzeli do rejestru i po chwili już wiedzieli: w sali operacyjnej numer dwanaście panował tego dnia spory ruch: przepuklina, spondylodeza odcinka lędźwiowego, mastektomia. Wszystko wskazywało na to, że operacje przebiegły bezproblemowo. Po krótkim pobycie w sali wybudzeń pacjenci powrócili do swoich sal.

- Zadowolony? - spytała Lynn.

- Chyba nie mam wyboru. Co teraz?

- Skoro już jesteśmy przebrani, idziemy na Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego - zarządziła. - Muszę się dowiedzieć, co z przeniesieniem Carla. Ale zrozumieć, jeśli powiesz, że nie chcesz tam iść.

- Jestem z tobą, dziewczyno. Na dobre i na złe!

Czekając na windę, zauważyli, że personel zgromadzony w pokoju chirurgów znowu ogląda teleturniej. Na piąte piętro dotarli niemal pustą kabiną - gdy wysiedli, został w niej jedynie umundurowany ochroniarz.

Podobnie jak reszta szpitala, oddział neurologii był o tej porze względnie zacisznym miejscem. O dwudziestej miały się skończyć ostatnie wizyty; już tylko w paru salach trwały pożegnania najbardziej wytrwałych gości. Kilkoro pacjentów spacerowało po korytarzach w ramach ćwiczeń, pchając przed sobą stojak z kroplówką.

Lynn i Michael nie odzywali się, póki nie stanęli przed drzwiami Oddziału Intensywnego Nadzoru Neurologicznego.

- Może trochę ci to ułatwię, jeśli pójde tam sam? - zasugerował Michael.

- To chyba niezły pomysł - przyznała. Im bliżej byli celu, tym bardziej zżerały ją emocje, a on to świetnie wyczuł.

- Dobra, zaraz wracam - oznajmił. - Spróbuj się wyluzować.

Lynn mogła jedynie przewrócić oczami - nie było mowy o tym, żeby wyluzować się w takim momencie. Gdy za Michaeliem zamknęły się drzwi, spróbowała nie myśleć o stanie Carla, skupić się na tym, co planowała zrobić z resztą wieczoru. Skoro zawiadomiła Franka Giordana, że nie musi się już martwić o kota, musiała wrócić do domu Carla. Mogła tam dotrzeć bez problemu; rano przyjechała do szpitala jeepem cherokee swojego chłopaka.

Spojrzała na zegarek. Zamierzała też zadzwonić do swojego kumpla, waszyngtońskiego architekta, żeby go spytać, czy ma jakiś pomysł, jak się poruszać po gmachu Instytutu Shapiro - jego pracownia specjalizowała się w projektach dla firm, w tym także związanych ze służbą zdrowia. Pamiętała, żeby nie zawracać mu głowy o zbyt późnej porze; był żonaty i miał dwoje małych dzieci. Lynn poznała go w college'u, spotykali się przez jakiś czas, a potem rozstali w przyjaźni. Minęło kilka lat, ale wciąż utrzymywała kontakt z Timem Cooperem.

Lynn oczekiwała, że Michael wróci po chwili i nie bardzo wiedziała, co robić, gdy jego nieobecność zaczęła się przedłużać. Czy Carl jeszcze tam jest? Łatwo było to sprawdzić. Lynn się domyślała, że Michael musiał kogoś spotkać i dał się wciągnąć w rozmowę. Nie wiedziała tylko, czy to dobrze czy źle. Próbując nie skupiać się na czarnych scenariuszach, sięgnęła po komórkę. Miała w kontaktach numer Tima, a teraz uznała, że krótka rozmowa pomoże jej uspokoić nerwy. Jak się okazało, wybrała właściwy moment: odebrał po pierwszym sygnale.

Przeszła do rzeczy po bardzo krótkiej wymianie uprzejmości. Zaczęła od pytania, czy kiedykolwiek słyszał o Instytucie Shapiro.

- No pewnie - odparł Tim. - To był nie byle jaki projekt. Wykonała go firma z Chicago, McCalister, Weiss i Peabody, specjaliści od automatyki. Na co dzień projektują zrobotyzowane fabryki dla przemysłu motoryzacyjnego, ale mają też na koncie kilka laboratoriów medycznych. Mimo to tak nowoczesny ośrodek medyczny był dla nich sporym wyzwaniem.

- Znasz może kogoś z tej firmy?

- Znam. A dlaczego pytasz?

Lynn wyjaśniła, że wkrótce złoży wizytę w Instytucie Shapiro i chciałaby wcześniej poznać rozkład pomieszczeń. Spytała, czy Tim byłby skłonny zadzwonić do znajomego i spróbować zdobyć dla niej uproszczone plany budynku.

- Z przyjemnością - odparł bez wahania Tim. - Ale mam jeszcze lepszy pomysł. O ile pamiętam, Shapiro zbudowano na terenach należących do Charlestonu, zgadza się?

- Tak.

- W takim razie, jeśli potrzebujesz planów, idź do miejskiej Komisji Budownictwa. Znajdziesz tam projekty wszystkich budynków użyteczności publicznej, w tym także szpitali, łącznie z planami wykonanymi na podstawie inwentaryzacji, już po wybudowaniu. Jeśli inwestor ich nie złoży w urzędzie, nie dostanie pozwolenia na użytkowanie. I co ważne dla ciebie, każdy może do nich zajrzeć.

- Nie wiedziałam o tym - przyznała Lynn.

- Większość ludzi nie wie - odparł Tim.

Zadowolona z uzyskanej informacji i przekonana, że Michael zjawi się lada chwila, Lynn podziękowała Timowi i zakończyła rozmowę. Nie było to trudne: wystarczyło powiedzieć, że jest w szpitalu i zaraz wchodzi na oddział intensywnej terapii. Obiecali sobie, że wkrótce pogadają. Wkładając telefon do kieszeni, Lynn niespokojnie spoglądała na drzwi. Po chwili potrząsnęła głową. Straciła resztki cierpliwości. Zrobiła krok naprzód i w tym momencie drzwi się otworzyły. Michael wrócił.

Rozdział 32

Wtorek, 7 kwietnia, 19.58

Jedno spojrzenie na zatroskaną twarz przyjaciela powiedziało jej wszystko: Carl został przeniesiony. Lynn poczuła, że gwałtownie narasta w niej fala emocji.

- Przykro mi - powiedział Michael. - Moja wina.
- Nie twoja - wyszeptała, z trudem powstrzymując łzy.
- Moja wina, że tak długo to trwało, a teraz na dokładkę przynoszę złe nowiny. Carl został przeniesiony do Shapiro mniej więcej godzinę temu. A straciłem tyle czasu, bo zatrzymał mnie nasz wykładowca neurologii z trzeciego roku. Strasznie się podniecił, gdy się dowiedział o mojej rezydenturze. Okazuje się, że neurologię zgłębiał w szpitalu Mass General w Bostonie. I nagle postanowił mi udzielić całej serii dobrych rad. Nie mogłem się urwać, przepraszam!

Lynn kiwała głową, ale w rzeczywistości nawet nie słuchała. Właściwie nie była zaskoczona tym, że podjęto decyzję o przeniesieniu Carla do Instytutu. Choć tak bardzo się starała myśleć pozytywnie, zanim do tego doszło, w głębi duszy wiedziała, że to nieunikniony krok. Nieunikniony, a jednak budzący grozę. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej ponura determinacja brała górę nad przygnębieniem.

- Chodźmy! - rzuciła nagle, przerywając Michaelowi w pół zdania. Właśnie opowiadał o tym, gdzie - zdaniem wykładowcy - powinien zamieszkać, gdy już się znajdzie w Bostonie. Nie czekając na jego reakcję, Lynn odwróciła się i odeszła. Musiał podbiec nieco, żeby ją dogonić.

- Co dalej w programie? - spytał. Zmuszony omijać pacjentów spacerujących korytarzem, miał problem z dotrzymaniem jej kroku.

- Idę do Informatyki, spróbuję się zalogować do systemu - odpowiedziała Lynn. - To jest wojna! Dowiem się więcej o Shapiro i o tym, co się tam naprawdę dzieje. Jeżeli cały ten Instytut to tylko przykrywka dla nielegalnego testowania leków, wyciągnę stamtąd Carla tak szybko, jak to będzie możliwe. Nie wiem, jak tego dokonam,

ale prędzej piekło zamarznie, niż pozwolę im zrobić z niego królika doświadczalnego.

Ostatni z odwiedzających i szpitalny ochroniarz czekali na windę - czas wizyt u chorych dobiegł końca. Michael chciał porozmawiać z Lynn, wysłuchać jej do końca, spróbować uspokoić i jakoś zatrzymać, zanim wpakuje się w poważne kłopoty, ale w tych warunkach mógł jedynie milczeć. Lynn zresztą ignorowała go chwilowo, zapatrzona w dal. Jej umysł najwyraźniej pracował na najwyższych obrotach.

Michael spodziewał się, że wysiądą na pierwszym piętrze, żeby się przebrać, a wtedy będzie miał okazję zamienić z nią parę słów, ale tak się nie stało. Doczekał się dopiero, gdy wszyscy inni pasażerowie opuścili kabinę.

- Uważam, że powinniśmy teraz wrócić do akademika i przeanalizować sprawę na zimno - oznajmił, gdy tylko zasunęły się drzwi i zostali sami. - Naprawdę musisz się wyluzować i zastanowić, Lynn, zanim zrobisz coś, za co oboje możemy oberwać. Jak dotąd, udało nam się już mocno wkurzyć dziekan English i szefa anestezjologów. Posłuchaj mnie! Przecież możemy tu wrócić, skorzystać z komputera Działu Informatyki trochę później, jeśli nadal będziesz uważała, że to konieczne. Ale naprawdę uważam, że najpierw powinnaś się opanować.

- Wracaj do akademika, jeśli chcesz - warknęła w odpowiedzi.

Winda zatrzymała się na najniższym poziomie i drzwi otworzyły się z sykiem. Lynn wysiadła, a Michael bez wahania podążył za nią.

- Nie wracam bez ciebie - oznajmił wyzywająco.

- Jak chcesz - odparła. Właśnie mijali Dział Patomorfologii i kostnicę. Zatrzymała się niespodziewanie. - A właściwie dlaczego nagle się uparłeś, żeby mi pomagać? Sam mówiłeś, że w młodości nauczyłeś się unikać ryzyka. Zamierzam po raz kolejny dokonać poważnego naruszenia zasad ustawy HIPAA, co gorsza używając do tego nielegalnie zdobytego cudzego loginu i hasła. To coś znacznie gorszego niż zaglądnienie do karty Carla, które było, jak nie omieszkałeś mi przypomnieć, przestępstwem. Sprawa jest grubego kalibru, więc... po co ci to?

- Pomagam ci, bo od niemal czterech lat zawsze sobie pomagamy.

- To się nie liczy, stary - odparowała Lynn. - Żadne z nas nigdy nie łamało prawa, żeby pomóc drugiemu. I żadne z nas o to nie prosiło. Pamiętaj, że możesz za to wylądować w więzieniu.

- Dobra, przyjaciółko. Robię to, bo naprawdę mi na tobie zależy. Rozumiem, jaki ból czujesz, tracąc Carla. Robię to, ponieważ wierzę,

że gdyby odwróciły się role, gdyby chodziło o Kiannę, zrobiłabyś dla mnie to samo.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, pogrążeni w myślach.

- Nie wiem, czy zrobiłabym dla ciebie to samo - odezwała się wreszcie Lynn, siłąc się na szczerość.

- Jak mawiała moja mama, „a mnie to tam za jedno”. Ja sam nie zgadłbym, że wpakuję się w coś takiego, a jednak ci pomagam. I jestem przekonany, że cokolwiek mówisz, jednak zrobiłabyś to dla mnie. To się nazywa zaufanie. Właśnie to nas łączy.

Znowu milczeli, mierząc się wzrokiem.

- Zgoda - powiedziała w końcu Lynn. - Może masz rację. Może bym to zrobiła. Kto to może wiedzieć? A teraz do roboty!

W tym momencie za ich plecami pojawił się ochroniarz. Wstrzymali oddech, ale mężczyzna zignorował ich całkowicie i po chwili zniknął za drzwiami biura ochrony kilka metrów dalej. Dopiero wtedy odważyli się ruszyć.

Tuż za biurem ochrony znajdowały się drzwi do pomieszczeń Działu Informatyki. Wiedzieli, że tu zawsze ktoś czuwa, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, choć nie było tajemnicą i to, że po godzinach zostawała tu jedynie szkieletowa załoga. Lynn przekreśliła gałkę. Liczyła na to, że drzwi będą otwarte - i tak właśnie było.

Choć w przestronnym pomieszczeniu biurowym nie było nikogo, podobnie jak na bloku operacyjnym włączone były wszystkie światła. Przy sześciu stacjach roboczych, które mieli przed sobą, na co dzień zasiadali informatycy. Przy jednej z nich stał nawet kubek z kawą, a obok niego leżały otwarte instrukcje jakichś urządzeń. Tylko na tym stanowisku na ekranie widać było otwarty arkusz kalkulacyjny; pozostałe monitory powitały ich szpitalnym wygaszaczem ekranu. Nawet z miejsca, w którym się zatrzymali, widać było delikatną smuzkę pary unoszącą się nad kubkiem.

- Ktoś tu pracuje - szepnęła Lynn.

- Brawo, Sherlocku - odpowiedział sarkastycznie Michael.

Za przeszkloną ścianą widać było wysokie szafy serwerów. W sąsiedniej ścianie znajdowały się drzwi do prywatnych gabinetów. Lynn podbiegła do ostatnich. Na wysokości oczu umieszczona była plakietka z napisem: Aleksander Tupolew, dyrektor działu. Lynn bez wahania otworzyła drzwi i wkroczyła do gabinetu. Michael wszedł za nią i przekreślił gałkę zamka.

- Kurwa mać, dziewczyno, co ty wyrabiasz? - spytał, wyraźnie zdenerwowany. A potem, otepiały jakby właśnie wrobiono go w napad

na bank, rozejrzał się po biurze, urządzonym nowocześnie i minimalistycznie. Na dużym biurku panował idealny porządek. Na długiej komodzie pod ścianą stało kilka terminali komputerowych. Każdy z nich wyposażono w drukarkę, przed każdym stał też fotel Aeron marki Herman Miller. - Nie mogą nas tu złapać.

- W tej chwili to dla nas najbezpieczniejsze miejsce - stwierdziła Lynn, siadając swobodnie przed jednym z komputerów. Wyjęła z kieszeni smartfon, by wyświetlić identyfikator i hasło, które dostała od Michaela. Położyła aparat na blacie, tak by widzieć ekran. - Jest dwudziesta, mamy więc niemal stuprocentową pewność, że pan Tupolew się tu nie zjawi. I bardzo wątpię, żeby ktoś zapukał do jego biura, jeśli tylko będziemy siedzieć tu jak myszy pod miotłą. Ale jeśli chcesz się zwinąć, to droga wolna, jak sądzę. Spotkamy się w akademiku.

- Zostanę - burknął Michael, po czym przyciągnął drugie krzesło.

Lynn wpisała login wml23@zmail.ru oraz hasło: 74952632237malaklow.

- Chwila prawdy - powiedziała Lynn i wcisnęła ENTER. Ku jej zadowoleniu komputer przyjął hasło: była w sieci szpitala, ze statusem administratora.

- No to zapunktowałeś - mruknął Michael. - Ale czegokolwiek chcesz szukać, rób to szybko! Byłoby słodko wynieść się stąd w cholere, zanim wróci ten, kto ma dziś dyżur w sąsiednim biurze.

Lynn skinęła głową. W ogólnym zarysie wiedziała, czego chce, ale do tej pory nie zastanawiała się nad szczegółami.

- Niech pomyślę... Na początek chcemy wiedzieć, ilu pacjentów Shapiro ma gammapatię, jak Morrison.

- Powinniśmy też poszukać więcej danych o Ashanti - zasugerował Michael. - Może się dowiemy, dlaczego podają jej drozitumab. Jeśli dotrzemy do takich danych, będziemy wiedzieli, czy rzeczywiście jest ich królikiem doświadczalnym.

- Słusznie! - Jak zwykle Michael ma rację, pomyślała Lynn.

- Sprawdźmy też statystyki zgonów w Shapiro - dorzucił.

- Pewnie. Dobrze byłoby wiedzieć, jakie były przyczyny zgonów poszczególnych pacjentów w ciągu tych ośmiu lat działalności ośrodka. I ustalić, ilu chorych wypisano. Nikt nie wpadł na to, żeby o to spytać podczas wycieczki.

- Zaczynj od Ashanti. - Będziemy mieli pojęcie, z czym mamy do czynienia. Może nawet nie trzeba będzie wchodzić do Instytutu, jeśli zdalnie ustalimy, że chodzi o nielegalne testowanie leków.

Lynn skinęła głową i szybko wpisawszy Ashanti Davis w okienku wyszukiwarki, wcisnęła ENTER. Czekali na wynik z nadzieją, która

szybko zgasła, gdy system zameldował, że nie znaleziono plików dotyczących Ashanti Davis.

Niezrażona tym Lynn powtórnie wpisała nazwisko Ashanti i dorzuciła słowa „Instytut Shapiro”. Tym razem odpowiedź pojawiła się szybciej, ale nie była taka, jakiej się spodziewali: Odmowa dostępu! Skontaktuj się z administratorem.

- Szlag! - jęknęła Lynn. - Zdaje się, że do bazy danych Shapiro można wejść tylko z terminali Instytutu.

- Sukinsyny! - wycedził Michael.

- A tak się napaliłam - dodała Lynn, zaciskając pięść w bezsilnej złości.

- Nic tu po nas. - Michael odstawił krzesło na miejsce i podszedł do drzwi. Uchylił je ostrożnie, wyjrzał, otworzył nieco szerzej i zawołał cicho do Lynn: - Horyzont nadal czysty. Bierzmy dupy w troki, póki jeszcze możemy.

- Dobra - odpowiedziała Lynn. - Ale zaczekaj sekundę - dodała, pisząc w pośpiechu. Chwilę później drukarka przy jej stanowisku ożyła i wypluła kilka kartek. Lynn wylogowała się, zebrała papiery i dołączyła do Michaela u drzwi.

- Biegniemy - zarządził.

Parę minut później, gdy znaleźli się na wysokości Działu Patomorfologii, minął ich w korytarzu potężny mężczyzna, który wysiadł z windy z torbą jedzenia z bufetu.

- Wyglądał jak bliźniak Władimira - stwierdził Michael, gdy wsiedli do kabiny. - To pewnie on ma dyżur w Informatyce. - Cholerni Rosjanie przejmują interes.

- Dobrze, że mi przypomniałeś - odparła Lynn, spoglądając na zegarek. - Masz dziś gościa.

- Nie ma problemu. Pilnowałem czasu. Co tam wydrukowałaś?

- Nie chciałam, żeby nasza wizyta skończyła się kompletną klapą. Mamy przynajmniej dane o odsetku pacjentów wypisanych z Centrum Medycznego Mason-Dixon z diagnozą gammadatii, wykrytej po raz pierwszy dopiero podczas pobytu w szpitalu.

- To wszystko?

- Nie! Zrobiłam też kwerendę w sprawie częstotliwości występowania szpiczaka mnogiego.

- I czego się dowiedziałas?

- U jednego procenta wypisanych odkryto podczas hospitalizacji paraproteiny.

- To bardzo wysoki odsetek - ocenił Michael.

- Też tak myślę, ale muszę jeszcze sprawdzić, jak to wygląda w

porównaniu ze statystykami dotyczącymi całych Stanów. Zdaje mi się, że takie dane były w artykule o gammapatii, który czytaliśmy, ale nie pamiętam liczb.

- A co ze szpiczakiem mnogim? Ile procent pacjentów wypisuje się z tym nowotworem?

- Jedną dziesiątą procenta.

- Jeden na tysiąc pacjentów wychodzi stąd ze szpiczakiem mnogim? - zdumiał się Michael. - Moim zdaniem to też o wiele za dużo.

- Wiem. Aż trudno uwierzyć - odpowiedziała Lynn. - Ale podobnie jak z gammapatią, i w tym wypadku będę musiała sprawdzić oficjalne statystyki. To nie jest powszechnie występujący typ nowotworu; tak mi się przynajmniej wydaje.

Skierowali się do pustego budynku kliniki.

- Gdy byłeś na oddziale, dowiedziałam się czegoś ciekawego. - Lynn opowiedziała Michaelowi o tym, jak zadzwoniła do Tima Coopera i usłyszała, że prawdopodobnie w Komisji Budownictwa można zdobyć szczegółowe plany Instytutu Shapiro.

- Fajnie - stwierdził Michael. Był pod wrażeniem zaradności Lynn, ale nie chciał jej zachęcać do dalszych szaleństw. Wciąż miał nadzieję, że zmieni zdanie.

- Wpadnę tam jutro rano, w drodze do szpitala - powiedziała Lynn, gdy wyszli do ogrodu. Wieczór był cichy i ciepły, wiosenny.

- Jedziesz znowu do Carla? - spytał Michael. Był odrobinę zaskoczony. Minęła dwudziesta pierwsza i wyobrażał sobie, jak zmęczona musi być Lynn.

- Nie mam wyboru - odrzekła. - Obiecałam Frankowi, że będę karmić kotkę Carla.

- Jest dość późno, ale może mogłabyś jeszcze zadzwonić do niego i powiedzieć, że zmieniłaś zdanie? Przecież on mieszka niedaleko. Na pewno nie będzie miał pretensji. To chyba nie pora na przejażdżki rowerem.

- Nie jadę rowerem, nawet go tu nie mam. Zostawiłam u Carla, a przyjechałam jeepem.

- To oznacza, że sam będę imprezował z naszym rosyjskim kolegą?

- Jeśli chcesz, mogę zostać - zaproponowała. - A potem pojedę.

- Nie trzeba - odparł Michael. - Skoro masz jechać do Carla, to lepiej wcześniej niż później. Tylko czy jesteś pewna, że chcesz znowu być sama w tym jego wielkim domu?

- Będę się czuła tak, jakbym była bliżej niego - wyjaśniła Lynn. Zatrzymała się, by spojrzeć na gmach Instytutu Shapiro. - Boże! Boli

mnie jak cholera, gdy pomyślę, że Carl tam jest. - Jej głos znowu drżał.

Michael otoczył ją ramieniem i przytulił, żeby dodać otuchy.

- Spróbuj już o tym nie myśleć. Coś wykombinujemy. Upewnimy się, że dbają o niego jak trzeba, że niczego na nim nie testują. Obiecuję!

- Dzięki, bracie - odpowiedziała cicho Lynn.

Rozdział 3 3

Wtorek, 7 kwietnia, 21.52

Darko i Leonid wrzucili szpadle na tył furgonetki. Leonid dołożył jeszcze kilof, którego używali na zmianę. Ściągnęli rękawice i kombinezony robocze, by cisnąć je do środka w ślad za narzędziami. Byli w głębi lasu, wśród drzew obwieszonych srebrzystoszarymi girlandami oplątwy. Obaj byli zmęczeni i spoceni; nie oszczędzali się przy pracy. Nie zamienili nawet słowa, żeby jak najszybciej uporać się z robotą. Znad pobliskiego bajora dobiegały głośnie skrzeki i piski aktywnych nocą zwierząt. Agresywne komary nie ułatwiły im zadania.

Znaleźli to miejsce już przed sześcioma miesiącami, doskonale wiedząc, że prędzej czy później się przyda. Zależało im na tym, żeby okolica była słabo zaludniona - bo nie potrzebowali świadków - a gleba w miarę zwarta, ale nie na tyle, by znacząco utrudnić kopanie. Bliskość gruntowej drogi była niewątpliwym atutem. Doskonały punkt położony był mniej więcej czterdzieści kilometrów na zachód od lotniska Charleston International, na terenie opuszczonej farmy, częściowo porośniętej podmokłymi lasami. Choć miejsce to dzieliła ledwie godzina jazdy od Charlestonu, było równie nieprzystępne jak ciemna strona księżycy.

Pracowali rytmicznie, przy świetle padającym z reflektorów samochodu. Gdy skończyli, ziemia wyglądała na nietkniętą; rozsypali nawet trochę nasion lokalnie występujących roślin. Wiedzieli, jak szybki jest cykl wegetacyjny w tych stronach, dlatego byli pewni, że nawet jeśli zostawią jakiś ślad, zostanie błyskawicznie zatarty. Usatysfakcjonowani swoim dziełem, wsiedli wreszcie do vana i ruszyli z powrotem w stronę domu Miszy, gdzie samochód Sandry Wykoff czekał już w garażu gotów do podróży na zachód.

Mniej więcej po kwadransie, gdy zdążyli wypalić po kilka marlboro i schłodzić kabinę klimatyzacją pracującą na pełnych obrotach, siły wróciły im na tyle, że mogli zacząć swobodną rozmowę.

- Nawet nieźle poszło to kopanie - zagał Darko, siedzący za kierownicą.

- Łatwizna - zgodził się Leonid. - Gdyby nie ta wilgotność powietrza. I te komary...

- Pamiętaj, że dla mnie to jeszcze nie koniec roboty na dziś.

- Pamiętam, ale właściwie to nie mówiłeś, o co chodzi.

- Mam postraszyć jakąś studentkę, żeby przestała się interesować nie swoimi sprawami. Do spółki z kumplem zadaje stanowczo za dużo pytań. Ale w sumie to będzie nawet przyjemność. To całkiem niezła dupa.

Leonid zarechotał.

- Zdaje mi się, że zgłosiłeś się na ochotnika. Może podzielisz się z kolegą?

- Najpierw musisz dokończyć sprawę Wykoff. Gdy wrócimy do Miszy, pojedziesz jej samochodem do jej domu. Znajdziesz jakąś torbę i spakujesz trochę rzeczy, tak żeby to wyglądało na to, że pani doktor bardzo się spieszyła.

- Znam procedurę - przypomniał Leonid.

- Gdy wrócisz z bagażem do Miszy, kierowca będzie już czekał.

Zaprowadzi wóz do Denver.

- A ty gdzie będziesz?

- Jeszcze nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że w akademiku. A może zdążę wrócić? Jeśli tak, to spotkamy się na wódce w Rooftopie. Sprawdź, czy masz już zasięg w telefonie.

Leonid wyjął i włączył komórkę.

- Mam. Na razie słaby, jedna kreska. Nie, czekaj... Już dwie. Do kogo mam zadzwonić?

- Do Timura Kortiewa. I włącz zestaw głośnomówiący.

Milczeli, czekając na połączenie. Z głośnika dobiegało brzęczenie kolejnych sygnałów. Cztery. Pięć. Leonid właśnie miał przerwać połączenie, gdy Timur wreszcie się odezwał. Był lekko zdyszany. Mówił po rosyjsku.

- Przepraszam - wysapał. - Musiałem się przemieścić, żeby móc odebrać.

- Widziałeś dziewczynę?

- Tak. Cały wieczór łąziłem za nią i jej kumplem. Nie było łatwo.

- Dlaczego? Dokąd się wybrała?

- Najpierw poszli do bufetu. Potem na górę, na blok operacyjny.

Nie mam pojęcia, co tam robili. Potem odwiedzili Oddział Intensywnego Nadzoru Neurologicznego. Ona nie weszła, tylko on.

- Wróciła w końcu do akademika?

- Nie. Byli jeszcze w Dziale Informatyki.

Darko miał wrażenie, że ostrzeżenie, które miał przekazać Lynn Peirce, nagle stało się nadzwyczaj pilną sprawą.

- Nie wiesz, czego szukali w komputerach?

- Nie wiem. Biuro było puste. Dyżurny pracownik akurat wyszedł do bufetu.

- Co dalej? Wrócili wreszcie do akademika?

- Tak, ale tylko na chwilę.

- W takim razie teraz jej tam nie ma?

- Nie. Znowu wyszła, mniej więcej pół do dziewiątej. Poszła na parking i odjechała jeepem. Musiałem w pośpiechu zarekwirować wóz ochrony, żeby jej nie zgubić.

- Jej kumpel został w domu?

- Była sama.

- Dokąd pojechała? - Darko spojrział ukosem na Leonida. Nie lubił niespodzianek, a jak dotąd wszystko, co usłyszał, było niespodzianką.

- Weszła do domu jednorodzinnego przy Church Street 591, na południowym krańcu miasta. Akurat kiedy zadzwoniłeś, próbowałem zajrzeć do środka przez okna od frontu.

- Jest sama?

- Tak sędzę. W całym domu było ciemno, kiedy przyjechała, więc na pewno nie przyszła do nikogo z wizytą. Na początku włączyła sporo świateł, ale teraz w większości okien jest ciemno.

- W porządku - mruknął Darko, uśmiechając się lekko. Zaniepokoił się na wieść, że Lynn Peirce węszy po całym szpitalu. Teraz, gdy usłyszał, że jest sama w domu, miał wrażenie, że to prezent od niej: najwyraźniej chciała mu ułatwić zadanie. - Nie wiesz czasem, czy to dom?

- Wiem. Niejakiego Carla Vandermeera.

Darko cofnął się odruchowo. Jako jeden z bliskich współpracowników Sergieja Poluszyna wiedział sporo o programie. Spodziewał się też olbrzymich zysków z akcji koncernu Sidereal, którymi obdarowywano go w ciągu minionych lat. Wiedział, dlaczego rozkazano mu zabić Sandrę Wykoff: zadawała zbyt wiele pytań na temat swojego pacjenta, Carla Vandermeera. A teraz Lynn Peirce przyjechała na noc do jego domu!

Darko nieświadomie docisnął pedał gazu. Instykt podpowiadał mu, że druga robota tego wieczoru będzie znacznie ważniejsza od pierwszej. Liczył też, że będzie się przy niej znacznie lepiej bawił niż przy kopaniu grobu w chmarze komarów gdzieś na skraju bagna.

Rozdział 34

Wtorek, 7 kwietnia, 23.11

Lynn nie mogła uwierzyć w to, co właśnie odkryła. Jak w transie odchyliła się do tyłu w fotelu stojącym przy biurku Carla i wpatrzona w sufit rozważała implikacje zdumiewających faktów. Miała wrażenie, że za każdym razem, gdy skupia się nad raportami anestezjologicznymi, znajduje w nich nowe rewelacje. Tym razem była jeszcze bardziej oszołomiona niż po południu, ale zaraz zadała sobie pytanie kontrolne: czy fenomen, który właśnie dostrzegła, może być wynikiem okresowo występującego błędu w oprogramowaniu aparatu do znieczulenia? I niemal natychmiast pokręciła głową: nie, to niemożliwe. To urządzenie wykorzystywano w niezliczonych operacjach, nawet tego dnia było ich kilka. Dlaczego błąd w programie miały się ujawniać tylko od czasu do czasu? Lynn nie umiała sobie wyobrazić takiej usterki. Może więc ktoś się włamywał do programu? Czy to w ogóle możliwe? Nie wiedziała; musiała spytać o to Michaela, on się znał na takich sprawach. Tak czy inaczej, najnowsze odkrycie jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że to, co spotkało Carla, Scarlett Morrison i Ashanti Davis, nie było ani wypadkiem, ani błędem lekarskim. Co więcej, było równie niepokojące, jak wcześniejsza obserwacja, że przesunięcie klatki zdarzyło się we wszystkich trzech przypadkach w dokładnie tym samym momencie. Wszystko razem zaś coraz dobitniej potwierdzało to, co wydawało się niemożliwe: cały ten koszmar był skutkiem czyjejs celowej działalności!

Lynn przyjechała do domu Carla mniej więcej kwadrans przed dwudziestą pierwszą. Pep była zachwycona; mruzczała tak donośnie, że Lynn rzuciła wszystko i popędziła, żeby ją nakarmić. Zająwszy się kotką, powalęsała się trochę po domu, a zaglądając do kolejnych pokoi, wciąż myślała o Carlu.

Z perspektywy czasu owe rozmyślenia wydawały jej się niezbyt dobrym pomysłem, podobnie jak sama wizyta w domu Carla. Tak jak

sugerował Michael, należało zadzwonić do Franka i poprosić, żeby jednak zajął się kotem, a to dlatego, że wieczór spędzony w tym miejscu szybko nappełnił ją przytłaczającym poczuciem osamotnienia. Każdy przedmiot przypominał jej o kochanku, którego straciła, o jego niezwyklej osobowości, nieprzeciętnej inteligencji, o jego miłości do życia, a nawet o pedantyzmie, w którym górował nawet nad Michaellem. Z zażenowaniem wspominała też wszystkie te bezsensowne sprzeczki o krzywo powieszony ręcznik kąpielowy albo bieliznę w łazience na podłodze.

Z głową pełną takich myśli z każdą chwilą coraz mocniej odczuwała jego brak, popadała w coraz większe przygnębienie. W końcu zaczęła się zastanawiać, komu właściwie jest gorzej: jej czy Carlowi? Kto wie, dokąd by ją zaprowadziło to uzalenie się nad sobą, gdyby w pewnej chwili nie dotarła do niej nowa myśl: przecież nie może się tak snuć po domu, nie po to tu przyszła! Wmówiła sobie, że musi popracować co najmniej tak samo wydajnie jak poprzedniego wieczoru. Dlatego na początek zaszła do łazienki i wzięła długi, gorący prysznic. Strumienie wody zmyły z niej emocje ciężkiego dnia. Wytarłszy się, włożyła wielki szlafrok Carla i pomaszerowała do gabinetu. Usiadła przy biurku, włączyła komputer i uruchomiła przeglądarkę internetową.

Najpierw udało jej się ustalić, u jakiego odsetka populacji udaje się wykryć nieprawidłowości białkowe albo gammapatie. Ten problem nie dawał jej spokoju, odkąd wyczytała o tym schorzeniu w karcie Morrison, a potem o jego pierwszych objawach u Carla. Jej zaciekawienie tylko wzrosło po niezbyt udanej wizycie w Dziale Informatyki, gdy dowiedziała się, u jak wielu pacjentów leczących się w Centrum Medycznym Mason-Dixon wykrywa się owe nieprawidłowości.

To, co przeczytała teraz w Internecie, zaskoczyło ją. Choć ogólna liczba zakażeń szpitalnych w Centrum była - jak słusznie zauważyła doktor English - stosunkowo niska, to liczba patologii wykrywanych we krwi pacjentów zdecydowanie przewyższała średnią. Identycznie było ze szpiczakiem mnogim. W Mason-Dixon rozpoznawano pięciokrotnie więcej przypadków obu schorzeń, niż wynosiła średnia krajowa. Lynn nie umiała sobie wyjaśnić tak wielkiej różnicy. Czy przyczyna mogła tkwić po stronie samego szpitala albo laboratorium? Nie miała pojęcia, ale postanowiła, że omówi tę sprawę z Michaellem.

Ustaliwszy jedno, szybko znalazła sobie nowe zajęcie, by nie wracać do rozmyślań o Carlu i do uzalania się nad własnym nieszczęściem: zaczęła ponownie analizować treść raportów

anestezjologicznych, które przywiozła z akademika. I właśnie one, gdy spojrziała na nie z nowej perspektywy, stały się źródłem szokującego odkrycia.

Lynn oderwała wreszcie spojrzenie od sufitu i usiadła prosto. Sama myśl o tym, że tragedia Carla może nie być wynikiem nieszczęśliwego wypadku, zmroziła jej krew w żyłach. Była wręcz niepojęta, do tego stopnia, że Lynn zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze jest przy zdrowych zmysłach. Może pod wpływem emocji zaczynała wierzyć w niedorzeczne teorie spiskowe?

Postanowiła udowodnić sobie, że jednak się pomyliła - znowu pochyliła się nad dokumentami. Miała przed sobą fragmenty wykresów funkcji życiowych pacjentów ze wszystkich trzech operacji. Uzyskała je, tnąc wykresy nożyczkami znalezionymi w szufladzie biurka (starła się przy tym nie patrzeć na pudełko z pierścieniem zaręczynowym). Segmenty, które wybrała, prezentowały ciśnienie krwi, puls, saturację oraz EKG każdego z pacjentów od momentu przesunięcia klatki aż po nagły spadek saturacji. Rozpoczynając analizę, zamierzała jedynie poszukać drobnych nieregularności w wykresach i być może stwierdzić, czy podobne zostały zarejestrowane w pozostałych dwóch raportach. Nie spodziewała się, że izolując fragmenty wykresów i zestawiając je ze sobą, dostrzeże coś, czego do tej pory nie dostrzegł nikt - nawet ona.

Szukając potwierdzenia, sięgnęła po wycinek z raportu z operacji Carla i zaczęła ciąć go na jeszcze mniejsze części, z których każda odpowiadała jednej minucie czasu znieczulenia. Gdy skończyła, ułożyła paski w pionową kolumnę, by łatwiej było je porównywać. Teraz to, co dostrzegła wcześniej, stało się jeszcze lepiej widoczne: wykres miał bez wątpienia charakter periodyczny; odczyty powtarzały się w równych odstępach czasu. Innymi słowy, wyświetlane przez maszynę dane były zapętlonym nagraniem, powtarzanym w kółko od chwili wystąpienia przesunięcia klatki aż po moment, w którym na wykresach widać było gwałtowny spadek saturacji.

Lynn wydrukowała raport z operacji Carla raz jeszcze i z minutowym fragmentem poprzedniego wydruku zaczęła szukać miejsca, z którego pochodziło nagranie. Znalazła je bez trudu: urządzenie zarejestrowało parametry życiowe z ostatniej minuty przed przesunięciem klatki - potem już tylko je odtwarzało.

Była oszołomiona swoim odkryciem. Przez chwilę siedziała nieruchomo, wręcz wstrzymując oddech. Myślała intensywnie. To, co dostrzegła, bezsprzecznie było prawdą, ale trudno było ogarnąć wszystkie implikacje tego faktu. Na razie rozumiała jedno: od

przesunięcia klatki do spadku saturacji maszyna nie monitorowała parametrów życiowych Carla. Odtwarzała jeden, niebudzący podejrzeń fragment zapisu, symulując normalny stan pacjenta i maskując to, co naprawdę działo się z jej ukochanym.

- Mój Boże! - zawołała.

Nie potrzebowała wiele czasu, by ustalić, że w przypadku Scarlett Morrison i Ashanti Davis scenariusz był taki sam.

Chwyliła za telefon i skrótem klawiszowym wybrała numer Michaela. Czuliła, że jej puls szaleje, że przyspiesza z każdym sygnałem. Spojrzała na zegar. Dochodziła dwudziesta trzecia trzydzieści. Było późno, ale Michael zwykle nie kładł się przed północą. Wyczeła cztery sygnały. Odebrał za piątym.

- Yo! - rzucił swobodnie, wiedząc, że rozmawia z Lynn. - Mój kumpel Wład pomału się zbiera. Mogę oddzwonić za chwilę?

- Musimy pogadać - odpowiedziała z naciskiem.

- Dobrze się czujesz?

- Nie jestem pewna.

- Dobrze, w takim razie: czy w tej sekundzie jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

Wyczuwała w jego głosie sarkazm, ale nie było w tym nic zaskakującego.

- Nie dosłownie, ale właśnie odkryłam coś, co mnie kompletnie rozwalilo. Tobie też urwie łeb.

- Dobra, rozumiem. Daj mi pięć minut. Odezwę się - zakończył Michael i przerwał połączenie.

Lekko wystraszona tym, jak bezceremonialnie ją potraktowano, odłożyła telefon. Uczyniła to bardzo wolnym ruchem, za to jej umysł gnał naprzód jak oszalały. Implikacje świeżo odkrytej prawdy o zabiegach Carla, Morrison i Ashanti, podczas których najwyraźniej nie doszło ani do błędu lekarskiego, ani do przypadkowego nieszczęścia, były szokujące, lecz mimo to Lynn uparcie wracała myślami do innej kwestii: badań krwi, nieodmiennie wykazujących nieprawidłowości białkowe u trojga pacjentów.

Czy gammapatia i zapętlenie raportów anestezjologicznych były ze sobą jakoś powiązane? Wydawało się to niemożliwe, ale jeśli podczas swych czteroletnich studiów Lynn nauczyła się czegoś o diagnozowaniu, to właśnie tego, że gdy u pacjenta pojawiają się na pozór niespójne, całkiem niezależne objawy, to często ich powodem jest jedna i ta sama choroba.

Do jej uszu dotarł nagle jakiś hałas - może niezbyt głośny, ale zdecydowanie obcy, niepasujący do dźwięków domu. Miała wraże-

nie, że jego źródło znajduje się gdzieś poniżej, może w salonie, a może w holu. Właściwie była to bardziej wibracja niż dźwięk niesiony powietrzem. Wstrzymała oddech, nasłuchując w skupieniu. W pierwszej chwili pomyślała, że to książka spadła z półki i wylądowała płasko na podłodze. Zaraz potem przyszło jej do głowy, że może to Pep zeskoczyła z wysoka na deski. Ale ją wykluczyła niemal od razu: kotka smacznie spała w głębokim fotelu stojącym przy kominku. Spoglądając na nią, poczuła się nieco różnie: obcy dźwięk nie zakłócił spokoju Pep. Ale nie trwało to długo.

Zamierzając nocować samotnie w wielkim starym domu, Lynn bardzo starannie sprawdziła, czy dobrze zamknęła frontowe drzwi. Odwiedziła też większość pokoi podczas swojej ponurej wędrówki, zapalając i gasząc światło w każdym z nich. O ile się nie myliła, w tej chwili jedynym źródłem światła w całym domu były dwie mosiężne biblioteczne lampy stojące na biurku. Nawet kąty gabinetu tonęły w mroku.

Nagle usłyszała kolejny dźwięk: ciche skrzypnięcie. Czy to jej wyobraźnia tak działała, napędzana stresem i strachem pobudzonym przez pierwszy, nieznaną hałas? Sekundę później nie miała już takich wątpliwości: usłyszała całą serię szybkich skrzypnięć podłogi w holu, zaraz potem następną, na drewnianych stopniach wiodących na piętro. Wzdrygnęła się ze strachu, gdy dotarło do niej, że nie jest sama. Ktoś wchodził na górę!

W panice sięgnęła po telefon i wybrała numer 911. I nagle się zawahała. W końcu i ona była tu intruzem, to nie był jej dom. Może przyszli rodzice Carla albo sąsiad z kluczem, który wiedział, co spotkało Carla, i chciał sprawdzić, dlaczego w gabinecie pali się światło?

Na nieszczęście Lynn myśli te zrodziła czcza nadzieja, a nie trzeźwa ocena rzeczywistości, a chwila wahania kosztowała ją utratę ostatniej szansy na wezwanie pomocy. W tym momencie bowiem z ciemnego korytarza wychynęła masywna postać w czarnym kombinezonie i czarnej kominiarce. Co gorsza, napastnik trzymał w dłoni pistolet automatyczny z tłumikiem. Lynn poczuła, że serce w jej piersi zamarło.

KSIEGA 3

Rozdział 35

Wtorek, 7 kwietnia, 23.31

Kilka minut po jedenastej Darko dotarł na północny kraniec półwyspu Charleston. Zaparkował furgonetkę przy South Battery. Ubrany w długi płaszcz marki Burberry, z niewielką torbą na ramię, spotkał się z Timurem, który stał na posterunku pod wielkim drzewem przy Church Street, naprzeciwko domu Vandermeera.

Obaj Rosjanie płynnie mówili po angielsku, bo podobnie jak Leonid mieszkali w Charlestonie od pięciu lat i dołożyli wszelkich starań, by opanować język. Mimo to, gdy byli sami, zdecydowanie woleli ojczystą mowę.

- W domu było ciemno, gdy przyjechałeś? - upewnił się Darko, obserwując budynek. Podobało mu się, że z boku, od strony długiej, wąskiej werandy, znajdował się rozległy ogród. To bowiem oznaczało, że przynajmniej z tej strony nie musi się obawiać wścibskich sąsiadów.

- Tak - potwierdził Timur. - Ale siedziałem w samochodzie, więc nie miałem wszystkich okien w zasięgu wzroku.

- Ktoś tam wchodził?

- Tylko ona. Z początku trochę się kręciła, zapalała i gasiła światła w pokojach, ale od godziny światło tylko w tym jednym oknie, na piętrze. - Timur wskazał kierunek, na wypadek gdyby Darko nie mógł dostrzec słabej poświaty zza ciężkich zasłon.

- Dobra robota. Przykro mi, że musiałeś się za nią nabiegać. Ale od tej chwili to już moje zmartwienie. Możesz wracać.

- Na pewno nie będę potrzebny? - W głosie Timura pobrzmiwało rozczarowanie. Darko był legendą wśród ochroniarzy i siepaczy z Sidereal Pharmaceuticals. Timur wiedział, że miałby się czym chwalić, gdyby zdarzyło mu się popracować z nim trochę dłużej i dokonać czegoś więcej niż prostej obserwacji celu.

- Nie będziesz. Chcę to zrobić sam. Zamierzam się dobrze bawić. Timur zaśmiał się i pokiwał głową.

- Kapuję. Niezła z niej sztuka.

Darko wyjął z torby rzeczy, których potrzebował, a samą torbę i płaszcz zostawił w bezpiecznym miejscu; zamierzał zabrać je w drodze powrotnej. Jako że zabudowa była w tej dzielnicy dość gęsta, zamiast posłużyć się materiałem wybuchowym, jak to najchętniej czynił, tej nocy postanowił użyć narzędzia Halligana, które poznał dopiero tu, w Stanach Zjednoczonych. Używali go głównie amerykańscy strażacy, bo świetnie się nadawał do szybkiego forsowania zamkniętych drzwi. Darko wiedział, że w zręcznych rękach jest równie skuteczne jak ładunek wybuchowy, a nieporównywalnie cichsze.

Pokonawszy pierwszą przeszkodę, drzwi frontowe, musiał się spieszyć. Szybko i możliwie cicho wspiał się po stopniach na piętro i pobiegł prosto do jedyne go oświetlonego pokoju. Lynn siedziała przy biurku, z telefonem w dłoni.

Darko zadziałał odruchowo: jednym skokiem pokonał odległość dzielącą go od kobiety, wyrwał z jej ręki smartfon, zanim zdążyła zareagować, i odrzucił go w ciemny kąt pokoju.

Lynn krzyknęła z przerażenia. Mocne uderzenie w twarz sprawiło, że głos uwiązał jej w gardle. Czując smak krwi w ustach, runęła na podłogę. Hałas i ruch obudziły kotkę, która czmychnęła przez otwarte drzwi na korytarz.

Lynn próbowała się podnieść i uciec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zanim się obejrzała, poczuła na plecach ciężar stopy, którą napastnik przygwoździł ją do podłogi. Próbowała się wyrwać, choćby po to, żeby zaczerpnąć tchu.

- Spokój! - syknął Darko. - Bo cię zastrzelę!

Lynn znieruchomiała i ucisk na jej plecach jakby osłabł.

- Odwróć się! - rozkazał Rosjanin.

Lynn usłuchała. Spojrzała na swego prześladowcę, ale nie dostrzegła wiele, poza ciemnymi oczami i pożółkłymi zębami. Początkowy atak paniki wywołany napaścią z wolna mijał; zaczynała myśleć o tym, jak przetrwać. Czy sąsiedzi usłyszeliby, gdyby zaczęła drzeć się wniebogłosy?

- Zastrzelę cię, jeśli choćby piśniesz - wycedził Darko, jakby czytał w jej myślach. A potem, bez ostrzeżenia, schylił się i szarpnął za koniec paska od szlafroka, luzując węzeł. Miękki materiał rozchylił się, odsłaniając jedną pierś.

Lynn zakryła się szybkim ruchem, jednocześnie dotykając drugą dłońią obolałej wargi, która już zaczynała puchnąć. Po chwili cofnęła rękę i zobaczyła na palcach czerwony ślad. Wiedziała, że krwawi

także z nosa.

Darko postanowił trochę ją podrażnić: sięgnął czubkiem tłumika do kołnierza szlafroka i popchnął lekko, by na powrót odsłonić pierś. Tym razem Lynn już się nie zasłoniła. Miała wrażenie, że ten człowiek uśmiecha się lubieżnie pod maską. Czy przyszedł tu, żeby ją zgwałcić? W pierwszej chwili pomyślała, że może dowiedział się jakimś sposobem o stanie Carla i postanowił splądrować jego pusty dom, ona zaś była niespodziewanym dodatkiem do łupu. Nikt prócz Michaela nie wiedział przecież, że tu przyjechała.

Zdoławszy nieco zapanować nad przerażeniem, Lynn doszła do wniosku, że jej życie zależy od tego, czy wykaże się sprytem. Może warto spróbować wciągnąć napastnika w rozmowę? Może udawać skłoną do współpracy? Zwróciła uwagę, że w jego głosie pobrzmiwał obcy akcent, ale jeszcze go nie zidentyfikowała - wydał jej się po prostu znajomy.

- Zdejmij szlafrok! - rozkazał Darko. Cofnął się o krok i opuścił pistolet.

Lynn uśmiechnęła się sztucznie, usiadła i zakryła biust.

- Po co ten pośpiech? - spytała. Spojrzała na broń. Wiedziała, że musi go skłonić, żeby odłożył pistolet - może wtedy zdołaby uciec. Gdyby zdobyła choćby niewielką przewagę, wygrałaby wyścig, bo знаła tu każdy kąt, a rozsądek podpowiadał jej, że napastnik nie.

- Nie drocz się ze mną! - warknął Darko.

- A dlaczego nie? - spytała Lynn, unosząc brwi. Stała na drżących nogach i zawiązała pasek, gromiąc się w duchu za to, że nie ubrała się po wyjściu spod prysznic. Nagość z wielu powodów czyniła ją łatwiejszym celem, podkreślała też jej bezbronność.

Spinając się mimowolnie na wypadek gwałtownej reakcji napastnika, ruszyła w stronę drzwi. Był to ruch powolny, ale pewny, z każdym krokiem bardziej stabilny. W uszach jeszcze dzwoniło jej od uderzenia.

- Stój! - rozkazał.

- Idę tylko po zimny kompres na twarz - wyjaśniła Lynn, ze wszystkich sił starając się, by jej głos brzmiał naturalnie. - Usta mi krwawią, co chyba nie będzie przyjemne ani dla mnie, ani dla ciebie. Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Odpowiedzi nie było. Znowu ruszyła w stronę ciemnego korytarza. Byle go zdezorientować, wytrącić z równowagi, pomyślała. Tak jak się spodziewała, poszedł za nią.

- Gdzie światło? - spytał.

- Niepotrzebne. Łazienka jest tutaj.

Weszła do środka i włączyła kinkiety umocowane po obu stronach lustra. Stała przy umywalce i spojrzała na swoje odbicie. Chcąc podkreślić swobodę, której wcale nie czuła, celowo nie patrzyła na napastnika. Wyczuła jedynie, że zatrzymał się na progu. Palcem wskazującym ostrożnie zbadła rozbite usta. Krew leciała z wewnętrznej części wargi, którą rozcięła o własne zęby. Krew z nosa przestała już lecieć.

- Nie jest tak źle, jak myślałam - powiedziała, puszczając strumień zimnej wody. - Chcesz skorzystać z łazienki? - Nie mogła uwierzyć, że zadaje mu takie pytanie.

Darko nie odpowiedział, ale miała wrażenie, że jest lekko zбитy z tropu.

Zmoczyła mały ręcznik i przyłożyła do obolałych ust, a potem precyzyjnie się obok mężczyzny, wyszła z powrotem na korytarz, po drodze wyłączając światło w łazience. Sporo ją kosztowały te pozory nonszalancji. Przechodząc obok intruza, poczuła odrażającą woń potu i tytoniu. Nie próbował jej zatrzymać. Ze zdziwieniem patrzył, jak kieruje się na powrót do gabinetu. Po chwili stanęli naprzeciwko siebie na środku pokoju.

- Gdzie chciałbyś sobie usiąść? - spytała, jakby Darko przyszedł do niej z przyjacielską wizytą.

Z gwałtownością, od której zabrakło jej tchu, Rosjanin pochwycił ją za kołnierz szlafroka i przyciągnął ku sobie, niemal unosząc w powietrze, tak blisko, że ich twarze dzieliło ledwie parę centymetrów. W twarz buchnął jej smród nikotynowego oddechu i potu.

- Dosyć tych pierdoł - wycedził, nie próbując ukryć złości, a potem z imponującą siłą popchnął Lynn w stronę kanapy stojącej naprzeciwko kominka, tak że zatoczyła się i uderzyła głową o jej oparcie. - Dosyć! - powtórzył Darko. - Żadnych gier.

- Jak sobie życzysz - odpowiedziała Lynn, kuląc się ze strachu. Zaskoczył ją tym pokazem siły i wściekłości. Odrobina pewności siebie, którą z takim trudem zdołała w sobie wykrzesać, w jednej chwili umarła ze strachu, a wraz z nią nadzieja na ucieczkę.

- A teraz słuchaj, suko - kontynuował Darko. Nadal trzymał w ręku pistolet, a teraz w dodatku, z palcem na języku spustowym, gestykulował nim w sposób, który budził w Lynn przerażenie. Skuliła się jeszcze bardziej, gdy do niej podszedł. Znowu czuła ten gorący, cuchnący, tytoniowy chuch.

W daremnej próbie samoobrony jeszcze mocniej wtuliła się plecami w oparcie kanapy i ciaśniej zaciągnęła poły szlafroka, obejmując się ramionami.

- Ty i twój kumpel wkurzyliście bardzo wielu wysoko postawionych ludzi - powiedział Darko. - Albo z tym skończycie raz na zawsze, albo was zabijemy.

Umilkł, ale nie cofnął się ani o krok: trwał nieruchomy, pochylony, z zamaskowaną twarzą tuż przy jej twarzy. Nie przestawał świdrować Lynn spojrzeniem ciemnych oczu, jakby rzucał jej wyzwanie, jakby chciał, żeby mu się sprzeciwiła słowem albo czynem, bo wtedy miałby powód, żeby ją w końcu zastrzelić.

Wstrzymała oddech. Zmartwiła.

- Rozumiesz, co mówię? - spytał nieco mniej groźnym tonem. A potem, po krótkiej pauzie, dodał znowu jadowicie: - Gadaj!

Znowu ją spoliczkował, tak że zadzwoniło jej w uszach.

Lynn wyprostowała się wolno i skinęła głową, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła jak zahipnotyzowana na żółte zęby, sterczące pod różnymi kątami z jego zuchwy. Bała się, że znowu ją uderzy, może nawet kolbą tego pistoletu, którym tak wymachiwał.

- Już nie jesteś taka beczelna, co? - rzucił drwiąco. - Mów albo cię zastrzelę!

Teraz dopiero się cofnął, uniósł broń i wymierzył. Lynn spoglądała wprost w wylot tłumika.

- Co mam powiedzieć?

- Powiedz, że zrozumiałaś.

- Tak. Zrozumiałam - wybąkała.

- Co robisz w tym domu?

- Przyjaźniłam się z panem Vandermeerem - odpowiedziała drżącym głosem. - Dał mi klucz. Mam tu trochę swoich rzeczy.

W tym momencie do gabinetu weszła Pep. Darko wyczuł ruch, odskoczył instynktownie i wymierzył w nowy cel. Kotka nonszalancko pomaszzerowała w stronę fotela, na którym leżała poprzednio, i wskoczyła na siedzisko.

- Czyli byłaś kochanką pana Vandermeera, tak? - podjął temat Darko, znowu patrząc na Lynn. Opuścił pistolet.

- Tak. - Czowała ulgę, nie musząc już patrzeć w wylot lufy.

- Dobra - mruknął Darko. - Kochankowie czy nie, gównu mnie to obchodzi. Od tej pory koniec z waszym prywatnym śledztwem. Żadnych kontaktów z zarządem szpitala. Zostawiacie tę sprawę i tyle. Jasne?

- Tak.

Darko wyprostował się, a potem podszedł do biurka. Choć przez chwilę mogła odetchnąć swobodniej. Przez chwilę wodził palcem po blacie, przesuując wycinki z raportów anestezjologicznych.

- Co to jest? - spytał. - Pocięłaś raport z operacji Vandermeera?

Lynn skinęła głową. Strach powrócił i zimną ręką chwycił ją za kręgosłup. Co będzie, jeśli napastnik zrozumie, do czego doszła? Czy nie dojdzie do wniosku, że nie wystarczy jej ostrzec, tylko trzeba ją uciszyć na zawsze?

- Chodź tu! - polecił.

Zbliżyła się niechętnie. Kręciło jej się w głowie, ale « jakoś udało jej się dojść biurka.

- Po jaką cholereę tak go pokroiłaś?

Lynn zawahała się, myśląc intensywnie. Wiedziała, że musi odpowiedzieć, jeśli chce uniknąć kolejnego ciosu. Z drugiej jednak strony, nie chciała zdradzić mu prawdy. Zamiast tego zaczęła więc opowiadać o tym, jak aparat do znieczuleń monitoruje stan pacjenta. Wchodziła przy tym w szczegóły, po części prawdziwe, a po części wymyślane w locie. Przez ponad pięć minut karmiła go sałatką ze słów, której nie powstydziliby się zaawansowany schizofrenik, ani razu nie wspominając przy tym o powodach, dla których sięgnęła po nożyczki.

- Dobra, wystarczy! - ryknął w pewnym momencie Darko. - Zamknij się wreszcie, do kurwy nędzy!

Znowu pchnął ją na kanapę. Usiadła, otoczyła się ramionami i skrzyżowała nogi, jakby w ten sposób mogła się przed czymś ochronić. Zauważyła, że spojrział na zegarek. Zastanowiło ją to. Popatrzyła na zegar stojący na kominku. Minęła północ. Czyżby spodziewał się kogoś jeszcze?

- Czas na powtórkę - oznajmił. - Ty i twój koleżka wracacie do grzecznego studiowania medycyny, czy to jest jasne?

Lynn skinęła głową, chociaż wcale nie wiedziała, jak Michael zareaguje na groźby rzucane przez tego szubrawca.

- Ostrzegam, że jeśli tego nie zrobicie, zabijemy was. Przekaż mu to.

Znowu skinęła głową. O, żebyś wiedział, że mu o tym powiem, pomyślała.

- Powiedz to!

- Tak!

- To teraz posłuchaj, co jeszcze może was spotkać.

Nareszcie rozpoznała jego akcent. To był Rosjanin. Teraz, gdy zidentyfikowała to brzmienie, zastanawiała się, jak mogła nie wpaść na to od razu. Mężczyzna dobrze znał angielski, ale nie uwolnił się od twardego akcentu.

- Wiem wszystko o twojej rodzinie - ciągnął Darko. - Wiem,

gdzie mieszka twoja matka, Naomi. Wiem, do którego college'u chodzą twoje siostry, Brynn i Jill. Wiem też wszystko o rodzinie twojego przyjaciela. I jeśli nie posłuchacie moich rozkazów, zabijemy ich wszystkich. Uwierz mi, zabiłem już wiele osób i uśmiercenie kilku kolejnych nie zrobi mi wielkiej różnicy. Rozumiemy się?

Krew odplynęła z twarzy Lynn. Wierzyła w każde jego słowo. Do tej pory myśl o tym, że jej rodzina czy bliscy Michaela mogą być w niebezpieczeństwie, nawet nie przyszła jej do głowy. Teraz nagle dostrzegła całą sprawę w zupełnie nowym, znacznie groźniejszym świetle.

- Nie muszę chyba dodawać, że czeka ich ten sam los, jeśli piśniesz chociaż słowo policji. Zresztą jeżeli ktokolwiek prócz twojego drogiego kolegi dowie się o naszej rozmowie, zabijemy wszystkich, których wymieniłem. Czy nadal wszystko jest dla ciebie jasne?

Skinęła głową. Nie była pewna, czy potrafi wydobyć z siebie głos.

- I jeszcze jedno - dorzucił Darko. - Gdy skończymy, opuścisz ten dom i nie wrócisz tu nigdy więcej.

- Dlaczego? - Jednak odzyskała mowę.

- Nie jesteś tu od zadawania pytań. Tak zrobisz i tyle.

- Ale muszę karmić kotkę - przypomniała sobie. Ruchem głowy wskazała na śpiącego zwierzątko.

Darko spojrział na fotel kątem oka, uniosł pistolet, wymierzył i strzelił. Rozległ się głośny syk i coś szarpnęło ciałem Pep. Zdołała jeszcze unieść łebek, zanim znieruchomiała.

- Już nie musisz.

Lynn siedziała jak sparalizowana. Nie wierząc, pomyślała dziewczyna. Ten bydlak właśnie zabił kota.

- Dostyc tego! - zawołał Rosjanin. - Pora się zabawić.

Pewnym ruchem odłożył pistolet na biurko i podszedł do kanapy. Zatrzymał się mniej więcej metr przed Lynn.

- A teraz zdejmiesz ten szlafrok.

Dreszcz przeszył dziewczynę do szpiku kości. Więc to jeszcze nie koniec, pomyślała. Bojąc się, że znowu ją uderzy, jeśli nie będzie posłuszna, bardzo wolno rozwiązała pasek i poruszyła ramionami, pozwalając, by szlafrok opadł w dół i zatrzymał się wokół jej talii, zakrywając dolną część ciała. Czyniąc to, patrzyła prosto w oczy napastnika, który mierzył ją lubieżnym spojrzeniem. Obawiała się najgorszego. Ten człowiek był całkowicie nieprzewidywalny, miał znakomity refleks i zdecydowanie górował nad nią siłą fizyczną. Gdyby tylko spróbowała się opierać, mogła się spodziewać ataku szau. I dlatego czuła się kompletnie bezradna, co było dla niej

zupełnie nowym doznaniem. W przeszłości, gdy czasem się zastanawiała, co by zrobiła, gdyby padła ofiarą napaści na tle seksualnym, wyobrażała sobie, że obroni się dzięki swojej sile, sprawności i latom uprawiania kickboxingu. Tej nocy wyzbyła się złudzeń. Intruz panował nad nią w stu procentach i najwyraźniej był tego świadomy. Musiał czuć się pewnie, skoro odłożył broń.

- Do końca! - rozkazał, opierając ręce na biodrach.

Opornie rozsunęła poły szlafroka i odrzuciła go na bok. Była zupełnie naga. Wiedziała, że na zakrytej kominiarką twarzy zbira rozkwitł szeroki uśmiech.

- A teraz zrobisz mi loda!

Rozdział 36

Środa, 8 kwietnia, 0.07

Czując wręcz obezwładniającą odrazę, Lynn pochyliła się, by zsunąć się z kanapy na kolana. Przez głowę przelatowały jej najróżniejsze myśli - może mogłaby rzucić się w stronę biurka po pistolet albo uderzyć męczyznę głową w krocze, a może nawet odgryźć mu końcówkę penisa - lecz wiedziała, że nie zrealizuje żadnego z tych planów i to z prostej przyczyny: bała się o swoje życie.

Nagle ciszę przeciął głośny krzyk, tak przerażający, że Lynn omal nie wyskoczyła ze skóry. Odruchowo zacisnęła powieki i uniosła ręce, by osłonić się przed ciosem, ale nie została uderzona, a jedynie przygnieciona: napastnik pofrunął w przód, wbijając ją w miękkie oparcie kanapy. Rozłożył ramiona na boki, by zamortyzować upadek i mimowolnie stęknął z wysiłku.

Przez parę sekund Lynn nie mogła się poruszyć, a nawet zaczerpnąć tchu, stłamszona wijącą się masą nie jednego, lecz dwóch ciał. Potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, że znalazła się pod splątanymi w morderczym uścisku, walczącymi mężczyzunami; ktoś wpadł do gabinetu i od tyłu rzucił się na Rosjanina.

Tym razem bowiem Darko dał się zaskoczyć. Był doświadczonym w boju i świetnie wyszkolonym wojownikiem, natychmiast więc się zorientował, że ma do czynienia z kimś w swojej kategorii wagowej, a może i potężniejszym. Wykorzystał swoje umiejętności, żeby uwolnić się z uścisku ramion oplatających jego pierś, a potem wraz z przeciwnikiem stoczył się z kanapy na podłogę. Sekundę później stał już na nogach, podobnie jak ten, kto go zaatakował. Zwarli się ponownie, tym razem twarzą w twarz, w niedźwiedzim uścisku. Mocno pracując nogami, przeciwnik zepchnął Darka aż pod ścianę gabinetu. Rosjanin widział teraz, że nie pomylił się w ocenie: mężczyzna był wyższy i bardziej muskularny. W dodatku czarny. Miał jednak nad nim pewną przewagę: Murzyn nie był ekspertem od sztuk walki; polegał jedynie na sile i masie swego ciała.

Lynn ze zdumieniem stwierdziła, że jej wybawcą jest Michael! Nie myśląc nawet o tym, że jest naga, zerwała się z kanapy i podbiegła do biurka. Nigdy dotąd nie miała pistoletu w dłoni, ale to nie było istotne. Chwyła broń oburącz i oparła prawy palec wskazujący na spuście. Obróciła się gwałtownie, podeszła kilka kroków do przodu i wymierzyła w walczących.

- Przestańcie! - wrzasnęła.

Zignorowali ją. Walczyli ze wszystkich sił, w zwarciu. Michael znowu zdołał zamknąć Darka w uścisku, z rękami przyszpilonymi do boków.

- Przestańcie! - krzyknęła po raz drugi, a potem strzeliła w sufit, by zwrócić na siebie uwagę. Zdumiała ją siła odrzutu. Wymierzyła w obrazek na ścianie, strzeliła ponownie i trafiła w cel. Stłumiony odgłos wystrzału oraz brzęk tłuczonego szkła sprawiły, że mężczyźni znieruchomieli. Michael zwolnił uścisk.

Darko zareagował, jak na profesjonalistę przystało. Wymierzył przeciwnikowi błyskawiczny cios karate i niemal w tym samym momencie rozbroił Lynn wysokim i mocnym kopnięciem. Trafił w broń z taką siłą, że wystrzeliła i kolejna kula utkwiała w suficie, a sam pistolet pofrunął w stronę kominka i z trzaskiem potoczył się po podłodze, gubiąc przy tym tłumik. Sekundę później Rosjanin zniknął.

Wszystko to rozegrało się tak błyskawicznie, że przez moment Lynn i Michael byli zbyt oszołomieni, by cokolwiek uczynić czy choćby wykrztusić słowo - po prostu patrzyli na siebie. On otrząsnął się pierwszy i rzucił się w pogoń za uciekającym; ona jeszcze chwilę stała nieruchomo, zaciskając zdrętwiałe dłonie.

Michael wrócił po kilkadziesiąt sekundach.

- Zwiął - wysapał zdyszany.

Lynn rzuciła mu się na szyję, rozładowując stres nagłym, niepohamowanym szlochem. Zupełnie zapomniała o tym, że jest naga.

- Spokojnie, dziewczyno!

Uwolnił się z uścisku i podniósł z podłogi pistolet. Lynn tymczasem pobiegła po szlafrok Carla wciąż leżący na kanapie.

Michael wyjął magazynek: było w nim jeszcze sporo naboji. Odkręcił resztkę oderwanego tłumika i odrzucił na bok. Broń była sprawna.

Lynn podbiegła do niego i znowu otoczyła ramionami. Tym razem stali tak przez całą minutę. Płacząc, myślała o tym, że chyba niebiosa zesłały jej Michaela. Że to cud.

- Już dobrze - powiedział kojąco tonem. Serce biło mu jak

szalone, ale oddech pomału wracał do normy.

Wreszcie Lynn odsunęła się nieco, by móc spojrzeć mu w oczy.

- Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! - powtarzała. - Skąd wiedziałeś, że mam kłopoty?

- Nie wiedziałem - przyznał Michael. - Ale nie chciałem ryzykować, zostawiając cię tu samą na noc. Słyszałem przez telefon, jak jesteś zestresowana. Oddzwoniłem, gdy tylko pożegnałem Włada, ale od razu włączyła się poczta głosowa. A wcześniej byłaś w takim stanie, że zaraz zacząłem myśleć o najgorszym, że może coś sobie zrobisz... Sam nie wiem. Ale nie zastanawiałem się długo, po prostu pobiegłem do szpitala i wskoczyłem do taksówki.

- Dzięki Bogu. Ale skąd wiedziałeś, że musisz tu wparować i go zaatakować...

- To proste: widziałem, że ktoś się włamał. Frontowe drzwi są uszkodzone.

- Ten gnój chciał mnie zgwałcić! - zawołała gniewnie Lynn, jednocześnie powstrzymując łzy. - Zdażyłeś w samą porę.

- Masz może pojęcie, kto to mógł być?

- Nie! Cały czas miał na twarzy kominiarkę. Ale powiem ci coś, co pewnie niezbyt cię zaskoczy: mówił z ruskim akcentem!

- Dlaczego uważasz, że to mnie nie zaskoczy? - zdziwił się Michael.

- Poczekaj, aż usłyszysz, po co tu przyszedł i dlaczego tak mnie nastraszył. Ale najpierw... Zabierajmy się stąd w cholerę. Nie wiadomo, czy nie wróci tu z kumplami. Wyobrażam sobie, jaki jest wściekły, że mu przerwałaś świetną zabawę. Pieprzony drań. Zmuszał mnie, żebym mu obciągnęła.

- Nie chcesz zadzwonić na policję?

- Absolutnie! To coś znacznie poważniejszego niż włamanie czy nawet gwałt. Mam ci dużo do opowiedzenia, tylko poczekaj, muszę zebrać swoje ciuchy. Chodź ze mną! Nie chcę być sama. I weź pistolet.

Lynn pobiegła do łazienki i ubrała się w pośpiechu. Michael pilnował jej z bronią w ręku.

- Jeśli tego nie zgłosimy, możemy zostać uznani za współników włamania - powiedział. - Pamiętaj o tym. A także o tym, że ten pistolet może mieć nieciekawą historię - dorzucił.

- W tym momencie nic mnie to nie obchodzi - odpowiedziała Lynn. - Widziałeś biedna kotkę Carla, tam, na fotelu? - spytała, wkładając buty.

- Nie, a co?

- Drań, zastrzelił ją całkiem bez powodu. Tak po prostu ją zabił, biedactwo!

- Pewnie chciał cię zastraszyć.

- No to mu się udało. To narcystyczny socjopata, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Chwalił mi się, ilu ludzi zabił.

- Wezwać taksówkę?

- Nie! Nie chcę tu czekać. Weźmiemy jeepa Carla. Odprowadzę go tu za dzień, może dwa. Ale zanim stąd wyjdziemy, musimy trochę ogarnąć gabinet i wynieść nieszczęsną Pep. Nie możemy zostawić żadnych śladów walki. A co z drzwiami frontowymi?

- Co masz na myśli?

- Jak wyglądają? Da się je zamknąć?

- Spadły z jednego z zawiasów, a ościeżnica jest pęknięta, bo wyłamał zamek - wyjaśnił Michael. - Ale może da się je zamknąć.

- Wystarczy, że z daleka będą wyglądały na nienaruszone.

- Zaraz, zaraz - mruknął Michael. Teraz dopiero zauważył rozbitą wargę Lynn i siniak na policzku. - Łajdak, uderzył cię! Daj, obejrzę.

Lynn machnęła ręką.

- To nic. Posprzątajmy i zabierajmy się stąd.

Rozdział 37

Środa, 8 kwietnia, 0.37

Spieszyli się, żeby jak najszybciej opuścić dom Carla. Z uprzątnięciem gabinetu nie mieli żadnego problemu. Pozbierali rozbite szkło i powiesili na ścianie ramkę z reprodukcją, zasłoniwszy dziurę w papierze na tyle, na ile się dało - trzeba było podejść całkiem blisko, żeby ją zauważyć. Po krótkiej dyskusji włożyli Pep do podwójnego worka na śmieci, z zamiarem wyrzucenia jej do przydrożnego kubła albo kontenera. Lynn nie była zachwycona tym rozwiązaniem, ale nie mieli czasu na tkliwe pożegnanie z kotem. Z frontowymi drzwiami musieli trochę powalczyć, ale gdy Lynn pociągnęła je od wewnątrz, a Michael naparł od zewnątrz, jakoś wskoczyły na swoje miejsce; wyglądały na zamknięte i nawet nieźle się trzymały. Lynn wyszła z domu tylnymi drzwiami i spotkali się przy garażu.

Drżała jeszcze na wspomnienie tego, co ją spotkało, dlatego z wdzięcznością przyjęła propozycję, by to Michael prowadził. Kilka przecznic dalej, przy placu budowy, znaleźli niepilnowany kontener na odpady. W ostatniej chwili do worka z martwą kotką dorzucili pistolet oraz złamany tłumik i pozbyli się ich z ulgą.

Gdy ruszyli na północ, Lynn zaczęła opowiadać Michaelowi, co się wydarzyło.

- Ten drań groził, że mnie zabije - powiedziała, z trudem panując nad emocjami. Na samą myśl o tym, co przeżyła, poczuła przyspieszony puls. Obróciła się w fotelu, by spojrzeć na Michaela. Po jego twarzy pełzały plamy światła z reflektorów samochodów nadjeżdżających z przeciwnika. - Prawdę mówiąc, groził, że zabije nas oboje. Michael spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Wymienił mnie z nazwiska?
- Nie z nazwiska, ale powiedział: „Ty i twój kumpel wkurzyliście bardzo wielu wysoko postawionych ludzi”.
- „Wysoko postawionych ludzi”?
- Właśnie tak. I jeszcze: „Zabijemy ciebie i twój koleżkę, jeśli

nie zostawicie śledztwa w sprawie Carla władzom szpitala i nie zajmiecie się studiowaniem”, albo jakoś tak.

- Jesteś pewna, że mówił „my”, a nie Ja”, gdy wspominał o zabiciu nas?

- Tak.

- Ta wzmianka o „wysoko postawionych ludziach” i mówienie o sobie w liczbie mnogiej sugerują, że to jakiś pieprzony spisek.

- Zgadza się całkowicie. Zdaje się, że potrząsnęliśmy gniazdem szerszeni. Ale to jeszcze nie wszystko, jeśli chodzi o moje *tete-a-tete* z tym drabem. Groził też, że zabije moją matkę i moje siostry, jeśli tylko pójdę na policję. Znał ich imiona, wiedział, gdzie ich szukać. Do tego potrzeba środków i znajomości, Michael.

- O mnie też wspomniał?

- Tak! I o twojej rodzinie! - Pokręciła głową, wciąż nie dowierzając, że to wszystko dzieje się naprawdę. Odwróciła się znowu i zapatrzyła w nocny pejzaż za przednią szybą. Zbliżali się do handlowego centrum dawnego Charlestonu. Zdziwiła się, widząc, jak wielu ludzi baluje o tej porze, w środku tygodnia. Zazdrościła im beztroskiego życia.

- I dlatego nie chcesz zadzwonić na policję?

- Między innymi. Ale także dlatego, że wykrycie całego spisku, czymkolwiek on jest, wydaje mi się milion razy ważniejsze niż przy-skrzyczenie jednego zasranego psychopaty. Myśl o „wysoko postawionych ludziach”, którzy za tym stoją, nie daje mi spokoju. To jakaś gruba sprawa i myślę, że zamieszany jest w nią koncern Sidereal Pharmaceuticals. Te ich konszachty z Rosjanami... Sam wiesz, co myślę o tej branży.

- Wiem, że nie jesteś jej fanką - odparł Michael.

- Łagodnie mówiąc. Nienawidzę firm farmaceutycznych, taka jest prawda - wyznała Lynn. W jej głosie było tyle zajadłości, że Michael spojrział na nią zdziwiony.

- Mów dalej, kobieto. Widzę, że masz z nimi poważny problem. Skąd w tobie aż taka niechęć?

- Od czego by tu zacząć? - Lynn westchnęła ciężko, patrząc na przyjaciela. - Przecież już nieraz rozmawialiśmy o tej branży i zasadniczo zgadzamy się w ocenie. Weźmy choćby hipokryzję. Koncerny farmaceutyczne chcą wmówić ludziom, że działają dla dobra publicznego, gdy są książkowym przykładem skrajnego kapitalistycznego amoku.

- Mówisz o tym, jak próbują usprawiedliwiać niebotyczne ceny leków astronomicznymi kosztami badań?

- Właśnie - przytaknęła z niesmakiem. - Prawda jest taka, że więcej pieniędzy wydają na reklamy leków niż na prace badawcze. Nie wspominając o tym, ile środków przeznaczają na lobbystów i polityków.

- Fakt, w tym zawsze się zgadzaliśmy - przyznał Michael. - Ale czuję, że chodzi ci o coś więcej.

- Wspominałam ci kiedyś, że mój ojciec zmarł, bo nie mógł sobie pozwolić na leki podtrzymujące życie?

- Nie wspominałaś - odparł Michael, poruszony. Wiedział, że Lynn, podobnie jak on sam, niechętnie opowiada o swoim dzieciństwie, ale na rozmowach o zdrowiu i medycynie spędzili tak wiele czasu, że nie spodziewał się takiego zaskoczenia. Nigdy nawet nie zahaczała o temat śmierci ojca.

- A tak właśnie było! - powiedziała z pasją, wciąż spoglądając w dal. - Potrzebował pewnego lekarstwa, żeby nie umrzeć. Musiał je przyjmować do końca życia. Niestety, kuracja kosztowała prawie pół miliona dolarów rocznie. To po prostu nieprzyzwoite.

- Naprawdę? Istnieje lek, za który trzeba tyle zapłacić?

- To biofarmaceutyk, przeciwciało monoklonalne, podobnie jak ten drozitumab. Mój ojciec stracił pracę w czasie kryzysu w 2008 roku, a wkrótce potem także ubezpieczenie zdrowotne. Umarł, ponieważ nie było nas stać na ten lek.

- Fatalnie - mruknął Michael.

- Jeszcze jak! Tak czy owak, jestem pewna, że Sidereal zaangażował się w coś nielegalnego, być może w testy na ludziach, prowadzone w tajemnicy przez Shapiro. Ale nawet jeśli tak jest, to mam wrażenie, że przesadzili z tymi groźbami, że to zbyt gwałtowna reakcja z ich strony... No chyba, że ci sami ludzie stoją za przypadkami śpiączki.

- Sugerujesz, że tym sposobem produkują sobie nowe obiekty do testowania leków? - spytał Michael, krzywiąc się z odrazą.

- Wiem, w głowie się to nie mieści, ale kto wie, do czego są zdolni? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać: trzeba wejść do Instytutu Shapiro. Jeśli nic mądrzejszego nie wymyślimy, gdy już tam będziemy, użyję terminalu w centrum operacji sieciowych, w którym raz już byłeś, żeby przejrzeć dane. I tu rodzi się pytanie: jak ci poszło wieczorne spotkanie z nowym kumplem Władimirem?

Michael zachichotał.

- Cholernie dobrze się bawiliśmy. Naprawdę, wyjątkowo pozytywny gość, ma dobre serce. I przyniósł mi pamiątkę z Rosji, jak obiecał. Koniecznie musisz ją zobaczyć. Nazywa się toto matrioszka:

piętnaście śmiesznych laleczek, jedna w drugiej, ostatnia całkiem malutka...

- Dostałeś kombinezony? - wpadła mu w słowo Lynn, zupełnie niezainteresowana rosyjskimi laleczkami.

- Bez problemu. Mamy dwa, tak jak chciałaś, z czepkami i maskami do kompletu.

- Jeden komplet wystarczy - oznajmiła. - Myślę, że powinnam pójść tam sama. Cała ta sprawa z godziny na godzinę staje się poważniejsza i bardziej niebezpieczna. A to przecież moja walka. Przez wzgląd na Carla.

- Już o tym gadaliśmy - przypomniał jej. - Temat zamknięty! Albo idziemy razem, albo nie idziemy wcale.

- Zobaczmy - odpowiedziała wymijająco Lynn. - A co z odciskiem kciuka?

- Jestem pewny, że i to się uda. Wypiliśmy parę piw i byłem ostrożny z butelkami. Odcisków nam nie zabraknie.

- Doskonale.

Zbliżali się właśnie do podjazdu na most, którym można było dotrzeć do Mount Pleasant. Spoglądając na zawieszoną nad jezdnią tablicę z nazwą miejscowości, Lynn przypomniała sobie o potwornej zbrodni, o której dowiedzieli się z telewizji podczas wizyty w pokoju chirurgów. Zamordowana kobieta była pacjentką Centrum Medycznego Mason-Dixon i wykryto u niej jakąś chorobę krwi. W zmęczonej głowie Lynn natychmiast pojawiło się skojarzenie z gammapatią.

- Jest coś jeszcze, co nie daje mi spokoju - powiedziała, próbując zebrać myśli. Nie było to łatwe; była wyczerpana i, mimo pozorów spokoju, nadal roztrzęsiona. - Chodzi o tę gammapatię. Ten temat wraca jak bumerang. Zanim ten drań się do mnie włamał, przeczytałam coś ciekawego, czego nie umiem sobie wyjaśnić. Pamiętasz te statystyki, które wydrukowałam w Dziale Informatyki, dotyczące wypisów pacjentów szpitala Mason-Dixon, u których zdiagnozowano gammapatię i szpiczaka mnogiego?

- Pamiętam, że drukowałaś statystyki, ale nie pamiętam liczb.

- Liczby tak naprawdę nie są ważne. Ważne jest to, że odsetek takich wypisów jest u nas pięciokrotnie wyższy niż średnia krajowa! Pięciokrotnie!

Michael pokiwał głową, zastanawiając się, jakie wnioski płyną z tego faktu. Milczał.

- Nie jesteś zaskoczony? - zdziwiła się Lynn, widząc brak reakcji.

- Jestem. Ale uporządkujmy fakty. Twierdzisz, że w naszym

szpitalu pięć razy częściej odkrywa się nieprawidłowości białkowe w surowicy krwi u osób leczących się z zupełnie innych dolegliwości, niż zdarza się to w innych placówkach?

- Właśnie tak. Co więcej, większość z tych pacjentów to ludzie względnie młodzi, po trzydziestce, czasem po czterdziestce, a przecież gammapatia występuje zwykle u osób w podeszłym wieku, powiedzmy po sześćdziesiątce.

- I pacjentów wypisywanych ze szpiczakiem mnogim też mamy pięć razy więcej, niż wynosi średnia krajowa?

- Tak jest.

- Dobra, w takim razie jak mi to wyjaśnisz?

- Nie umiem - zachnęła się Lynn. - Na miłość boską, przecież właśnie dlatego ci o tym mówię!

- Spokojnie, dziewczyno - odrzekł Michael pojednawczym tonem. - Pamiętaj, że gramy w tej samej drużynie.

- Przepraszam - odpowiedziała i odetchnęła głęboko, próbując się opanować.

- Czy to właśnie statystyki na temat gammapatii i szpiczaka mnogiego „kompletnie cię rozwaliły”, jak się wyraziłaś, gdy rozmawialiśmy przez telefon?

- O rany, nie! - Lynn odwróciła się gwałtownie ku Michaelowi i huknęła się zaciśniętą pięścią w czoło. - Nie do wiary, zapomniałam ci powiedzieć o najważniejszym! Raporty anestezjologiczne, które ilustrują przebieg wszystkich trzech zabiegów, są zapętlone.

Michael zerknął na nią przelotnie, żeby się upewnić, czy to nie żart.

- Zapętlone... czyli że jakiś fragment powtarza się w kółko, bez końca?

- Właśnie tak - potwierdziła wyraźnie podniecona Lynn. - Od chwili, w której na wydrukach widoczne jest przesunięcie klatki, powtarzany jest minutowy fragment zapisu sprzed przesunięcia, gdy jeszcze parametry życiowe pacjentów były w normie. To oznacza, że od przesunięcia klatki do włączenia się alarmu spadku saturacji aparat do znieczuleń w ogóle nie rejestrował sygnałów napływających w czasie rzeczywistym z czujników. Te sygnały były odcięte, a zapętlone nagranie stwarzało fałszywe wrażenie, że parametry są w granicach normy.

- To już nie przelewki - stwierdził Michael.

- Pytanie brzmi: czy to możliwe, żeby przyczyną był błąd programu?

- Nie wyobrażam sobie czegoś takiego. To musiała być robota

hakerów, ale kto miałby ją wykonać i w jakim celu? Jasna dupa!

- To wszystko musi się jakoś ze sobą łączyć - stwierdziła Lynn.
- Co masz na myśli? - spytał Michael. Skreślił na teren szpitala i wolno poprowadził wóz w stronę wielopoziomowego parkingu.
- To, co się dzieje na anestezjologii, musi mieć związek z wysoką częstotliwością diagnozowania nieprawidłowości białkowych.
- Trochę to naciągana teoria - ocenił Michael.
- Z początku też tak myślałam. Ale pamiętaj, czego się nauczyliśmy w zeszłym roku: nawet gdy objawy wydają się niepowiązane, zwykle ich przyczyną jest jedna i ta sama choroba. Intuicja mi mówi, że ta zasada sprawdzi się i tym razem. Te nieprawidłowości w składzie lub ilości białek i nieudane znieczulenia mają ze sobą coś wspólnego.

- Jeśli mają, to niestety ja nie dostrzegam tego związku.
- Ja też nie - przyznała Lynn. - Nie wiem, może zacznym świrować, ale wciąż myślę o tym, że muszę wejść do Shapiro, choćby po to, żeby pogrzebać w archiwum kart pacjentów.

- My, blada twarzy - sprostował Michael. - Jesteśmy drużyną, dziewczyno. Nie ma mowy, żebym pozwolił ci na samotną wycieczkę do Shapiro. Jeżeli to naprawdę gruba afera, to ryzyko jest poważne.

- Podejmiesz decyzję, gdy już zajdziemy tak daleko - odpowiedziała Lynn. - Na razie musimy się przygotować do przejścia czytelnika linii papilarnych.

Zostawili wóz Carla na parkingu dla odwiedzających i przeszli najkrótszą drogą przez kampus w stronę akademika, milczący i nieco przytłoczeni obrotem sprawy. Bez słowa minęli cichy i ciemny gmach Instytutu Shapiro. Oboje myśleli o Carlu, uwięzionym gdzieś w jego trzewiach. Chodziło właśnie o niego. To była sprawa osobista.

Dla Lynn takie myśli były najtrudniejsze, od razu bowiem budziły serię skojarzeń i emocji: poczucia winy, oślepiającego gniewu, bolesnej straty i świadomości zagrożenia. Odwróciła głowę, by nie patrzeć na tę złowrogą budowlę, i siłą skierowała myśli ku innym tematom.

- Zdaje się, że będę musiała spróbować poudawać trochę przykładną studentkę medycyny.

- Alleluja, kobieto! - zawołał Michael. - Jeśli mamy do czynienia z poważną aferą i przeciwnik oczekuje, że w sprawie Carla będziemy siedzieć cicho, to trzeba założyć, że ktoś będzie nas obserwował, żeby mieć pewność, czy jesteśmy grzeczni.

- Jakbym czytała Orwella.
- Mam nadzieję, że w ramach udawania zamierzasz pojawić się rano na wykładzie z okulistyki?

- Zdaje się, że nie mam wyboru.

Jadąc windą, oparli się o przeciwległe ściany kabiny i patrzyli sobie w oczy.

- Trzymasz się jakoś? - spytał Michael.
- Jestem w proszku - przyznała Lynn. - Wyczerpana i roztrzęsiona. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek była tak wykończona. Czuję się tak, jakby przejechała po mnie ciężarówka.
- Zdołasz zasnąć?
- Mam nadzieję.
- Gdybyś chciała, mógłbym poszukać pigułki nasennej.
- Poproszę. I mam jeszcze jedną prośbę.
- Wal.
- Nie pogniewałbyś się, gdybym zaciągnęła swój materac do twojego pokoju? Nie chcę być sama tej nocy.
- Nie ma sprawy, pod warunkiem że mnie nie wykorzystasz.
- Jakoś mnie to nie śmieszy po tym, co dziś przeszłam.
- Przepraszam!

Rozdział 38

Środa, 8 kwietnia, 9.22

Lynn położyła długopis na kołonoratniku. Naprawdę próbowała notować wykład, ale nie mogła się skoncentrować. Jeszcze przeżywała wydarzenia ostatniej nocy, a także to, czego się dowiedziała, analizując raporty anestetyczne. Co gorsza, wykładowca mówił jakże typowym dla nauczycieli akademickich, skrajnie monotonnym głosem, a sam temat nie wydawał się Lynn szczególnie porywający. Owszem, budowę ludzkiego oka uważała za arcydzieło, ale jako przyszły ortopeda detale krążenia siatkówkowego traktowała jako nadmierny balast wiedzy. Nawet jeśli chirurgia oka była polem szybkich i w miarę bezkrwawych bitew, trudno jej było pojąć, dlaczego Karen Washington zdecydowała się właśnie na tę specjalizację. Po czterech latach poznawania tajników całego organizmu chyba trudno się było ograniczyć do tak drobnego podzespołu.

Nie tylko gonitwa myśli utrudniała Lynn skupienie uwagi na wykładzie, lecz także senność. Sześć godzin było dla niej normalną dawką snu, ale po tym, co przydarzyło jej się w nocy, nie było mowy o normalnym śnie. Z wdzięcznością przyjęła tabletkę zolpidemu, którą znalazł dla niej Michael. Rzadko zażywała środki nasenne, była na nie bardzo wrażliwa, a gdy już się to zdarzało, nazajutrz zawsze czuła się skacowana.

Gdy ocknęła się krótko przed ósmą na swym materacu w pokoju Michaela, jej przyjaciel był już pod prysznicem. To właśnie szum wody wyrwał ją ze wspomaganego farmakologicznie snu. Nie wstała od razu; poświęciła kilka minut na poukładanie myśli i spojrzenie z dystansem na to, co się wydarzyło.

Na pierwszym roku college'u miała okazję kilkakrotnie znaleźć się w sytuacji, w której - przynajmniej teoretycznie - groziła jej napaść na tle seksualnym; przyczyną był oczywiście alkohol. Na szczęście nigdy do niczego nie doszło - aż do ostatniej nocy. Uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie była tak wdzięczna Michaelowi za jego

przyjaźń, za jego posturę i siłę. Gdyby nie przejął się tak bardzo, nie mogąc skontaktować się z nią przez telefon, gdyby nie rzucił się odważnie na intruza... Zapewne czułaby się teraz zgoła inaczej.

Zajrząwszy do zaparowanej łazienki, żeby zawiadomić Michaela, że za pół godziny będzie gotowa do wyjścia na zajęcia, zabrała butelki po piwie z odciskami palców Władimira i wróciła do swojego pokoju. Ostrożnie ustawiła flaszki na biurku i poszła pod prysznic.

W drodze z akademika do szpitala rozmawiali o paranoi, która rodziła się pomału ze świadomości, że najprawdopodobniej są obserwowani. Dla obojga każdy, kto choćby na nich spojrzal, był automatycznie podejrzany - nawet dwaj ogrodnicy porządkujący rabaty z kwiatami, którzy zerknęli na nich, nie przerywając pracy.

Przez pierwsze dwadzieścia minut wykładu Lynn robiła, co mogła, żeby się skupić, ale daremnie. Kiedy więc wykładowca wyłączył ponownie światło, żeby zaprezentować kolejną serię przezroczy - tym razem ukazujących metodę badania dna oka zwaną angiografią fluoresceinową - nachyliła się ku Michaelowi, który siedział obok niej, przy drzwiach sali.

- Wychodzę - szepnęła.
- Zdawało mi się, że się umówiliśmy! Miałas udawać przykładną studentkę.
- Za dużo myśli kłębi mi się w głowie. Nie mogę usiedzieć w spokoju ani skupić się na tym, co on gędzi. A mam jeszcze parę spraw do załatwienia.
- Właśnie tego się obawiam. Nawet nie próbuj się zbliżyć do Shapiro beze mnie, jeśli nie chcesz awantury stulecia!
- Do głowy mi to nie przyszło. Rób porządne notatki!
- Chrzań się! Sama sobie siedź i notuj. Myślisz, że ja się tu świetnie bawię? Facet próbuje nas uspić!

Lynn nie mogła się nie uśmiechnąć. Spojrzała po raz ostatni na wykładowcę, który stanął właśnie plecami do studentów i laserowym wskaźnikiem celował w detal widoczny na ekranie, wstała cicho i ruszyła ku drzwiom. Chcąc, żeby wyglądało na to, że zamierza tu wrócić, zostawiła swój notatnik na podłokietniku krzesła. Wiedziała, że nie musi mówić Michaelowi, żeby go zabrał po zajęciach.

Wyszedszy z sali wykładowej, ruszyła prosto w kierunku łazienki. Jeżeli ktoś ją obserwował, z pewnością nie nabrałby w tym momencie żadnych podejrzeń. Idąc, starała się dyskretnie rozglądać dookoła, ale nie dostrzegła nikogo, kto wyglądałby na zainteresowanego jej osobą.

Zamknąwszy za sobą drzwi, postanowiła skorzystać z toalety, a potem stanęła przed lustrem i przyszło jej na myśl, że wygląda jak

śmierć na wakacjach. Pod oczami miała głębokie cienie, a na rozbitej wardze utworzył się niewielki strup. Dostrzegła też kilka drobnych, pękniętych naczyń krwionośnych poniżej kości policzkowej - nie wyglądały źle, odkąd rano zamaskowała je lekkim makijażem. Zwilżyła kawałek papieru toaletowego, żeby pozbyć się strupa.

Uczesała się i spięła włosy - na więcej zabiegów upiększających nie było jej stać - po czym wyszła na korytarz. Na początek skrzyła z powrotem w stronę sali wykładowej, i tym razem wypatrując potencjalnych obserwatorów, ale choć w klinice panował spory ruch, absolutnie nikt się nią nie interesował. Nikt, jeśli nie liczyć tych kilku pacjentów siedzących przed gabinetami, ożywionych nadzieją, że osobą w białym fartuchu z pewnością jest młoda lekarka, która zaraz ich przyjmie.

Upewniwszy się, że nikt jej nie śledzi, Lynn ruszyła w stronę szpitala. Odkąd obudziła się tego ranka, często myślała o owym zapętleniu, które zauważyła w raportach anesteziologicznych. Wiedziała, że to ważne i że trzeba o tym kogoś zawiadomić - im szybciej, tym lepiej. Najpierw pomyślała o doktorze Rhodesie, ale szybko wyleczyła się z tego pomysłu, przypomniawszy sobie jego niedawny atak złości. Poza tym przyszło jej do głowy, że być może Rhodes, jako szef anesteziologii, może być jakoś zamieszany w tę sprawę. Prawdopodobieństwo było niewielkie, ale jednak istniało. W końcu doszła do wniosku, że najlepiej będzie powiadomić doktor Wykoff. Przemyślałszy sprawę starannie, musiała przyznać rację Michaelowi, którzy uważał, że anesteziolożka była głęboko poruszona tym, co spotkało Carla, a skoro tak, to ryzyko, że miała coś wspólnego z aferą, było praktycznie zerowe.

Wmieszawszy się w szpitalny tłum, Lynn mogła przestać się bać, że jest obserwowana - otaczała ją zbyt wielu ludzi. Zatrzymała się przy punkcie informacyjnym i na szpitalnej papeterii w krótkich słowach opisała proces zapętlenia, który udało jej się odkryć w trzech przypadkach. To było wszystko. Nawet się nie podpisała. Złożyła kartkę na pół, wsunęła do koperty i zakleiła. Na wierzchu napisała tylko: dr Wykoff.

Z kopertą w dłoni podeszła do wind. W zatłoczonej kabinie znowu naszyły ją paranoiczne myśli i w duchu skarciła się za lenistwo: mogła wejść po schodach. Jeden z pasażerów, umundurowany ochroniarz, przyglądał jej się badawczo, tak że poczuła się nieswojo. Z drugiej strony, nigdy nie czuła się swobodnie w sztucznym milczeniu panującym w windzie pełnej ludzi. Teraz jednak było gorzej niż zwykle i ucieszyła się, gdy mężczyzna nie wysiadł wraz z nią na

pierwszym piętze.

Jej plan był prosty. Zamierzała ustalić, w którym pokoju przebywa doktor Wykoff, a następnie poprosić którąś z pielęgniarek, żeby dostarczyła wiadomość. Na wszelki wypadek Lynn zdjęła nawet identyfikator z kieszonki fartucha - zależało jej na anonimowości.

Spoglądając na monitor w pokoju chirurgów, wyświetlający listę zaplanowanych zabiegów, szukała nazwiska doktor Wykoff, ale nie znalazła go. Zaczęła od początku. Nie, nie było jej na liście. Najwyraźniej na rano nie zaplanowano jej udziału w zabiegach.

Lynn zakłęta pod nosem. Do tej pory była przekonana, że wszyscy młodzi anestezjolodzy, tacy jak doktor Wykoff, codziennie asystują przy operacjach. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tego dnia jest inaczej. Postanowiła zajrzeć jeszcze do biura oddziału anestezjologii, w którym poprzedniego dnia spotkali się z doktor Wykoff. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Pokój był pusty. Przez chwilę spoglądała na przegródki na dokumenty; na jednej z nich widniało nazwisko lekarki.

Przez krótką chwilę Lynn zastanawiała się, co począć. Chciała być pewna, że ktoś dostarczy jej notatkę do rąk własnych; nie wystarczała jej nadzieja, że doktor Wykoff przypadkiem znajdzie ją wśród papierów. W końcu pogodziła się z faktami i zrobiła to, co nieuniknione: poszła do damskiej przebieralni i włożyła strój chirurga, łącznie z maską. Większość osób wkładała maskę dopiero w sali operacyjnej, ale Lynn zależało przede wszystkim na tym, żeby ukryć swoją tożsamość. Przemknęła jej przez głowę myśl, że być może jej paranoja się pogłębia, ale miała to gdzieś. Z listem w ręku wkroczyła na blok operacyjny i podeszła prosto do centralnie położonej dyżurki. O tej porze pierwsze zabiegi dobiegały już końca i przywożono nowych pacjentów. Wszyscy dookoła wydawali się bardzo zajęci.

Lynn musiała poczekać kilka minut. Wiedziała, że Geraldine Montgomery, szefowa pielęgniarek z bloku operacyjnego, to najwłaściwsza z osób, u których mogła zasięgnąć języka w sprawie doktor Wykoff, ale od pewnego czasu otaczał ją wianuszek interesantów. Spojrzała na tablicę z grafiką, w nadziei, że coś się zmieniło, ale na liście lekarzy skierowanych do zabiegów nadal nie było nazwiska anestezjolożki. Gdy wreszcie nadarzyła się okazja, Lynn zagadnęła Geraldine, mówiąc, że szuka doktor Wykoff.

- Pani i wszyscy inni - odpowiedziała ze śmiechem pielęgniarka.
- Nieobecna, nieusprawiedliwiona.

- To znaczy? - spytała Lynn, ale nie od razu dostała odpowiedź, bo Geraldine musiała kogoś zapędzić do roboty, twierdząc

podniesionym głosem, że trzeba zawieźć pacjenta do czwórki, i to szybko!

- Przepraszam, kochana - powiedziała po chwili, znowu patrząc na Lynn. - Co pani mówiła?

Lynn powtórzyła.

- Po raz pierwszy od kiedy sięgam pamięcią, doktor Wykoff nie przyszedł dziś do pracy. Łatwo się domyślić, jak bardzo to niezwykle, skoro doktor Rhodes od razu zawiadomił policję. Podobno pani doktor musiała wyjechać w pilnej sprawie rodzinnej. Spakowała torbę i zniknęła. Bóg wie gdzie. Tak się przynajmniej mówi.

Oszołomiona Lynn zgmiotła kopertę w dłoni, podziękowała Geraldine - która nie odpowiedziała, zajęta już innymi sprawami - i wróciła do szatni, żeby się przebrać. Tego się nie spodziewała. Co się stało z doktor Wykoff? Lynn chciała ją poinformować o swoim odkryciu głównie po to, żeby uciszyć wyrzuty sumienia - nie mogła dłużej milczeć. Teraz jednak, gdy anestezjolożka zniknęła w tajemniczych okolicznościach, poczuła, że traci grunt pod nogami: nie знаła nikogo innego, komu mogłaby zaufać.

Rozdział 39

Środa, 8 kwietnia, 11.02

Przybita nową zagadką - nieoczekiwanym zniknięciem doktor Sandry Wykoff - Lynn wiedziała, że jeśli zdecyduje się zostać na zajęciach w klinice okulistycznej, będzie się męczyć jeszcze bardziej niż na wykładzie. Dlatego poszła prosto na parking, wyprowadziła terenówkę Carla i ruszyła do miasta.

Fakt, że o tej porze, przy Calhoun Street, dokładnie naprzeciwko biblioteki publicznej, udało jej się znaleźć wolne miejsce parkingowe, w dodatku z parkometrem, który jeszcze odliczał opłacony przez kogoś czas, przyjęła za dobrą wróżbę. Trudno było o lepsze miejsce - biblioteka mieściła się naprzeciwko nowoczesnego i imponującego gmachu przy Calhoun 75, w którym znajdowała się siedziba Komisji Budownictwa.

Lynn pobiegła prosto do urzędu. Miała nadzieję, że znajdzie właściwe biuro jeszcze przed porą lunchu. Doświadczenie w obcowaniu z miejską biurokracją w Atlancie nauczyło ją, że to najgorszy czas, kiedy urzędnicy zaczynają tracić zdolność do skupiania się na czymkolwiek i przestają być pomocni. Wkrótce się przekonała, że niepotrzebnie się o to martwiła. Biura Komisji Budownictwa były nie tylko łatwe do odnalezienia, ale i pełne ludzi, którzy zrobili na niej jak najlepsze wrażenie - jakby rozumieli, że są tam po to, żeby pomagać. Szczególnie przyjazny był pewien łysiejący, barwnie ubrany, jowialny jegomość, niejaki George Murray. Jego wyjątkowo wydatny brzuch otaczały mocno naprężone, jaskrawoczerwone szelki. Widząc białą fartuch Lynn, domyślił się od razu, że ma do czynienia ze studentką medycyny - zaśmiał się i zachęcił ją, żeby się nie krępować, tylko od razu wygłosiła standardowy wykład na temat potencjalnie tragicznych konsekwencji posiadania chmielowego brzucha.

- Bo widzi pani, ja lubię piwko - wyznał. - Ale proszę powiedzieć, w czym mogę pomóc.

- Mój znajomy architekt powiedział mi, że przechowują państwo

projekty i plany budynków użyteczności publicznej, takich jak szpitale.

- Owszem, jeśli zostały zbudowane na terenie Charlestonu - odpowiedział George Murray i znowu się zaśmiał. - Projekt należy przedstawić do zatwierdzenia, jeśli w ogóle chce się dostać pozwolenie na budowę. Automatycznie staje się on częścią domeny publicznej. A który szpital panią interesuje?

Lynn zawahała się. Nie była pewna, ile prawdy powinna ujawnić. Ostatnią rzeczą, której sobie życzyła, było ponowne wezwanie na dywanik - do dziekan English albo kogoś z dyrekcji szpitala - gdyby dotarła do ich uszu wieść o tym, że odwiedziła Komisję Budownictwa i wypytywała o plany Shapiro. Z drugiej jednak strony, nie widziała innego sposobu.

- Instytut Shapiro - odpowiedziała, mając nadzieję, że nie będzie tego żałować. Problem polegał na tym, że gdyby nie знаła rozkładu pomieszczeń w gmachu, to ewentualna wyprawa do Shapiro mogłaby przynieść jej niewielki pożytek, być może skończyłaby się w pierwszym pomieszczeniu z dostępem do sieci komputerowej i archiwum danych medycznych. Lynn chciała mieć pewność, że będzie w stanie odnaleźć Carla, co mogło się okazać niełatwe w budynku mieszczącym ponoć tysiąc pacjentów. Znajomość terenu miała jej w tym pomóc.

- To część Centrum Medycznego Mason-Dixon - stwierdził bez wahania urzędnik. - Jakiego rodzaju plany panią interesują?

- Tak naprawdę to nie wiem - przyznała. - A jakie macie?

- Mamy projekt budowlany, projekt instalacji elektrycznej, instalacji grzewczej, instalacji kanalizacyjnej. Do wyboru, do koloru.

- Chyba najlepszy byłby ten budowlany.

- Zobaczmy, co znajdziemy w teczce - powiedział dobrotliwie George, Zniknął na kilka minut, a gdy wrócił, trzymał w rękach wielką bordową teczkę przewiazaną sznurkiem. Położył ją na kontuarze i otworzył, po czym rozsunął ułożone w niej papiery. - Pomału przechodzimy na system cyfrowy, ale przed nami jeszcze długa droga - wyjaśnił, przekładając pliki kartek. Wreszcie znalazł ten, którego szukał, spięty zszywkami wzdłuż dłuższego boku. - Oto i on. Proszę bardzo!

Lynn zaczęła przeglądać rysunki. Widywała już projekty architektoniczne i mniej więcej wiedziała, jak należy je czytać. Tym, co zaskoczyło ją najbardziej, był fakt, że choć na zewnątrz budynek nie wydawał się wysoki - wyglądał na dwukondygnacyjny - to w rzeczywistości składał się aż z sześciu poziomów, w tym czterech

ukrytych pod ziemią.

- Który z nich to parter? - spytała.

Mężczyzna obrócił projekt i pochylił się, by przeczytać napisy wydrukowane małą czcionką.

- Wygląda na to, że na poziomie ziemi jest kondygnacja oznaczona numerem pięć - odpowiedział, porównując rzut z góry z rzutem bocznym. Przez chwilę przeglądał rysunki, aż zatrzymał się na piątej kondygnacji. - Zdaje się, że przewidziano niewiele wejść do budynku. To dziwne, ale widocznie straż pożarna nie miała zastrzeżeń. Może zainstalowano jakiś cholernie dobry system przeciwpożarowy? A właściwie co to za szpital?

- Dla ludzi w stanie wegetatywnym - odpowiedziała Lynn.

Obróciła plik z projektem w swoją stronę i przyjrzawszy się piątej kondygnacji, po dłuższej chwili odnalazła łącznik z właściwym gmachem szpitala, a zaraz potem salę konferencyjną, którą odwiedziła podczas wycieczki na drugim roku. Zidentyfikowała też trzy pokoje odwiedzin oraz drzwi, którymi Michael wszedł do budynku z Władimirem. Znajdował się za nimi krótki korytarz, a przy nim pokój oznaczony na planie jako CENTRUM OPERACJI SIECIOWYCH. Tuż obok architekt zaprojektował serwerownię, a po drugiej stronie szatnię. Na razie nieźle, pomyślała Lynn.

- Co to jest stan wegetatywny? Chodzi o ludzi w śpiączce?

- Tak, chociaż tak naprawdę nie wszyscy są w śpiączce. Niektórzy zachowują cykl snu i aktywności, przez co niestety rodziny często nabierają nieuzasadnionej nadziei, że chory pewnego dnia całkiem się obudzi. Tak czy inaczej, to ośrodek dla ludzi z uszkodzeniem mózgu, które nie pozwala im zadbać o siebie nawet w najbardziej podstawowych sprawach. Trzeba się nimi bardzo troskliwie opiekować. To wielki wysiłek dla personelu.

- Okropnie to brzmi.

- I takie jest - zgodziła się Lynn. Zauważyła, że za centrum operacji sieciowych zaczyna się kolejny korytarz, a wzdłuż niego następne sale. Wiele z nich oznaczono hasłem POKÓJ AUTOMATYKI, inne - KONTROLA AUTOMATYKI. Zauważyła też kilka nieopisanych pomieszczeń. Dwie największe przestrzenie nazwano KLASTER A oraz KLASTER B - do nich także można było dotrzeć tym samym długim korytarzem. Lynn przypuszczała, że tam właśnie mieszkają pacjenci. Ashanti prawdopodobnie leżała na czwartej kondygnacji, czyli na pierwszej z podziemnych, w obrębie Klastra B.

- Jak pan myśli, co mogą oznaczać nazwy Klaster A i Klaster B? - spytała, ciekawa opinii fachowca.

- Nie mam pojęcia - odparł szczerze urzędnik. - Ale powiem pani jedno: to bardzo przestronne sale i z tego, co widzę, zużywają mnóstwo prądu.

- W porównaniu z tą otwartą przestrzenią pośrodku są dosyć wąskie - zauważyła Lynn. Miejsce, na które wskazała, miało kształt prostokąta i zajmowało praktycznie całe wnętrze budynku. Otaczał je korytarz, do którego można się było dostać od strony kłastrów.

George wyglądał na zdziwionego, gdy przyglądał się tej wielkiej przestrzeni. Obrócił projekt, ale nie znalazł nowych informacji. Pomieszczenie nie miało żadnych oznaczeń. Wreszcie pokręcił głową i rzekł:

- Nie jestem pewny, co to może być. Prawdopodobnie środkowa część sali otwartej i ku górze, i ku dołowi. Sprawdźmy, czy ciągnie się także na czwartej kondygnacji. - George przewrócił kartkę, by spojrzeć na poprzedni rysunek. - Ano właśnie. Na czwartej widać podłogę, a to oznacza, że sala sięga odtąd jeszcze trzy kondygnacje w górę, aż do dachu. Cholernie wielka. Trzy piętra od podłogi do sufitu.

Lynn przyjrzała się bliżej. Na tym rysunku widniał podpis: REKREACJA. Widać było także drzwi na obu krańcach sali. Poza tym czwarta kondygnacja niczym nie różniła się od piątej.

- Jak pan sądzi, co tam może być?

George podrapał się po łysej głowie, najwyraźniej jeszcze bardziej zbity z tropu.

- Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że sala gimnastyczna! A konkretnie: sala z boiskiem do koszykówki. Wiem, że brzmi to niedorzecznie, ale wymiary się mniej więcej zgadzają. Nie wiem tylko, po co tyle kabli w podłodze.

- Tylko po co sala gimnastyczna w szpitalu dla ludzi w śpiączce? - spytała Lynn.

- Może dla personelu? Wie pani, żeby mieli gdzie upuścić trochę pary. Sama pani zauważyła, że opieka nad tymi pacjentami to ciężki kawałek chleba.

- To możliwe - zgodziła się Lynn. - Zobaczmy jeszcze, co widać na pozostałych kondygnacjach.

Przerzuciła kartkę, by odsłonić plan trzeciej kondygnacji, łudząco podobnej do trzeciej, z identyczną, pustą przestrzenią pośrodku. Druga była taka sama, a na pierwszej znajdowała się wierna kopia czwartej, włącznie z napisem REKREACJA pośrodku wielkiej, centralnej przestrzeni.

- Dwie sale gimnastyczne? - zdumiała się.

- Jedna dla pań, druga dla panów - zasugerował George i roze-

śmiał się, żeby nie było wątpliwości, że żartuje. - A właściwie po co pani te projekty? Wybiera się pani z wizytą?

- Już tam byłam - odparła Lynn, po czym opowiedziała George'owi o wycieczce z grupą studentów. - Niestety, zobaczyliśmy tylko mały fragment piątej kondygnacji. Jak się pan domyśla, od tamtej pory zżera nas ciekawość. I dlatego w końcu postanowiłam zajrzeć do planów.

- Chciałaby pani przejrzeć jeszcze jakieś materiały z tej teczki?

- A myśli pan, że można w nich znaleźć jakąś wskazówkę co do przeznaczenia tych niby-sal gimnastycznych?

- Nie mam pojęcia - odparł George, po czym wyjął projekt instalacji elektrycznej i szybko go przekartkował. - Nie widzę tu nic na temat sal gimnastycznych, ale jedno mogę powiedzieć: ten ośrodek musi być mocno zautomatyzowany. Takie zasilanie wystarczyłoby i dla sporej fabryki! - Sięgnął po projekt instalacji wodno-kanalizacyjnej. - Fiu, fiu! Widzę, że zużywa się tam mnóstwo wody. Na wejściu użyto rur o ogromnych przekrojach. A może te wielkie sale to w rzeczywistości baseny? Żartuję, oczywiście. - George zajął teraz do planu instalacji oznaczonej skrótem HVAC. Znowu był pod wrażeniem. - Bardzo ciekawy szpital, młoda damo. Proszę, niech pani spojrzy na to!

George obrócił planszę, by mogła czytać opisy poszczególnych elementów instalacji.

- Na co właściwie patrzę? - Plan w zasadzie nie różnił się od projektu budowlanego, tyle że naniesiono nań gęstą siatkę przerywanych linii oraz symbole i opisy podobne do tych z planu instalacji elektrycznej. Niektóre były tak drobne, że musiała pochylić się nisko nad rysunkiem, żeby je odczytać: POZIOM ZERO - ODPLYW. WLOT GŁÓWNY.

- To naprawdę imponująca instalacja HVAC, obejmująca ogrzewanie, wentylację i klimatyzację - wyjaśnił George. - Proszę spojrzeć na przekroje tych kanałów wentylacyjnych, zwłaszcza w salach gimnastycznych - dodał, wskazując pulchnym palcem odpowiedni punkt na planie.

Lynn właściwie nie była pewna, co pokazuje, ale też nie miało to wielkiego znaczenia. Nie chciała jednak okazywać braku zainteresowania, bo była bardzo wdzięczna George'owi, że nie poprzestał na wręczeniu jej teczki i nie pozostawił jej samej sobie.

- Prawdopodobnie umożliwiają błyskawiczną wymianę powietrza w tych wielkich pomieszczeniach - ciągnął urzędnik. - Pracowałem kiedyś w firmie instalującej klimatyzację, zanim zatrudniłem się

tutaj. Tu oczywiście mam lepszy pakiet socjalny; nie ma pani pojęcia, jak o nas dbają...

- A po co mieliby dokonywać szybkiej wymiany powietrza w salach gimnastycznych? - zainteresowała się Lynn.

George wzruszył ramionami.

- W dobrze zaprojektowanych salach to właściwie standard.

- Czyli uważa pan, że, sądząc po rozbudowanej instalacji HVAC, te wielkie pomieszczenia naprawdę mogą być salami gimnastycznymi?

- Nie wiem, co uważam - wyznał George. - Ale widzę, że system wentylacyjny i klimatyzacyjny tego ośrodka jest połączony z systemem szpitala, gdzie znajdują się potężne agregaty chłodzące oraz rozbudowane filtry, których stosowanie w tego typu placówkach jest obowiązkowe. Założę się, że sporo dzięki temu zaoszczędzili.

- Bardzo, bardzo panu dziękuję - powiedziała Lynn. Czowała, że dowiedziała się tego, co niezbędne. - Ogromnie mi pan pomógł.

- Nie co dzień zdarza mi się pomagać tak urodziwym studentkom medycyny - odpowiedział George, mrugając do niej figlarnie.

Dobry Boże, pomyślała Lynn, ale nie odezwała się. Traktując ją protekcyjnie, George właśnie niszczył dobre wrażenie, które na niej zrobił. Miała szczerą nadzieję, że nie usłyszy za chwilę zaproszenia na drinka.

- Może chciałaby pani dostać kopię któregoś z tych planów? - dodał urzędnik, kompletnie nieświadomy swego *faux pas*.

- A mogłabym? - spytała. Wcześniej nawet o tym nie myślała.

- Oczywiście - odparł George. - Można skorzystać z kopiaarki za niewielką opłatą. Mogę to dla pani zrobić od ręki, jeszcze przed lunchem.

- Byłoby wspaniale.

- To które projekty się pani przydadzą, oprócz budowlanych?

Lynn omiotła szybkim spojrzeniem foldery instalacji elektrycznej, wodno-kanalizacyjnej i HVAC, po czym sięgnęła po ten ostatni.

- Może ten - powiedziała. W jej głowie właśnie narodził się plan awaryjny. Nie wiedziała nawet, czy zdoła się dostać do Instytutu Shapiro. Nie wiedziała, co tam zobaczy. Tylko jednego mogła być pewna: ryzyko było ogromne, a myśl o planie awaryjnym dodała jej otuchy.

- Zaraz wracam - zapowiedział George i znowu do niej mrugnął.

Tym razem nie miała mu tego za złe.

Rozdział 40

Środa, 8 kwietnia, 12.00

Drzwi Działu Inżynierii Klinicznej otworzyły się i Misza Zotow uniósł głowę. Zawsze się upierał, by jego stanowiskiem pracy był stół roboczy stojący najbliżej wejścia. Dzięki temu łatwiej mu było obserwować wchodzących i wychodzących. Choć Fiodor Rozowski nominalnie pełnił funkcję szefa działu, to Misza odpowiadał za codzienne funkcjonowanie warsztatu, dbając o to, by skomputeryzowany sprzęt szpitalny działał bez zarzutu. Wiedział, że Fiodor często zajmuje się zgoła innymi sprawami, jako że w tajemnicy pełnił funkcję koordynatora szpitalnej ochrony.

Misza odłożył lutownicę, by spojrzeć na wchodzącego. Darko Lebiediew wyglądał na zmęczonego, miał mocno zaczerwienione oczy. Zgodnie z rozkazem był ubrany w mundur szpitalnego ochroniarza, jak zawsze, gdy przychodził do szefa w godzinach pracy. Misza ostentacyjnie popatrzył na zegarek, zanim odezwał się po rosyjsku:

- Gdzieś ty się podziewał, do cholery? Przez cały pieprzony ranek próbowałem się z tobą skontaktować.

Darko opadł na stołek przy stole roboczym Zotowa, krzywiąc się przy tym, jakby coś go bolało. Podobnie jak Misza, przemówił w ojczystym języku:

- Piliśmy do późna w Vendue, poszło sporo wódki. Spotkaliśmy się z Leonidem z tymi dziewczynkami, które sprowadziliście z Rosji, żeby się zajęły anestezjologami. Skarzyły się na swoich podopiecznych, to ponoć tępaki i nudziarze. Uznaliśmy z Leonidem, że naszym patriotycznym obowiązkiem jest dobrze się z nimi zabawić. I było dobrze.

- Według Siergieja, ty i Leonid powinniście być do naszej dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nie wydaje mi się, żebyśmy was zbyt obciążali robotą.

- Przecież przyszedłem - odparł Darko, uśmiechając się

sardonicznie. Był pewien swojej reputacji oraz tego, że panuje spory popyt na jego usługi, dlatego nie zamierzał dać się zastraszyć takiemu lizusowi jak Misza.

- Jak wam poszła robota? Chyba wypadaloby zameldować, co?
- Likwidacja tej lekarki poszła jak po maśle. Bez najmniejszych problemów.

- Nie pytam o lekarkę, tylko o tych cholernych studentów - wycedził Misza. - Rozmawiałem z Timurem, wspominał o dziwnych działaniach tej pary i o tym, że dziewczyna trafiła do domu Vandermeera. Chcę wiedzieć, czy wystarczająco przemówiłeś im do rozsądku, bo Fiodor musi zdać raport dyrektorowi szpitala.

- Powiedziałbym, że poszło nie najgorzej - powiedział Darko.
- Nie najgorzej nie oznacza wystarczająco, zwłaszcza w twoich ustach, przyjacielu. Zrozumiała przekaz?

- Ostrzegłem ją. Nawet dałem parę razy po gębie, żeby zapamiętała. Ale nie nastraszyłem jej tak, jak zamierzałem.

- A to dlaczego, do cholery?
- W samym środku rozmowy zjawił się ten jej koleś i rzucił się na mnie. Co gorsza, ona przechwyciła pistolet i musiałem się ewakuować, zanim nad nią popracowałem.

Misza patrzył na Darka ze zdumieniem.

- Nie miałem wyboru - dodał zabójca. - Gdybym tam został, musiałbym sprzątnąć co najmniej jedno z nich, jeśli nie oboje. Zwinąłem się dla dobra programu.

- Może byłoby lepiej, gdybyś zabił oboje.
- Ale nie mogłem tego zrobić, nie wiedząc, czy tego życzą sobie Siergiej i Fiodor. Tak czy inaczej, zrozumiała wiadomość.

- Skąd ta pewność?
- Stąd, że nie zadzwoniła na policję. Powiedziałem jej, że zabiję jej siostry i matkę, jeśli piśnie chociaż słówko. I nie pisnęła. Gdyby to zrobiła, już byśmy wiedzieli.

- Wiesz może, po co pojechała do domu Vandermeera?
- Byli kochankami.
- Psiakrew! - warknął Misza. - Ochrona powinna była to ustalić, zanim został wybrany na obiekt testowy. Wciągnięcie w sprawę studentki medycyny to cholernie gruby błąd. Nie wykluczam, że trzeba będzie zlikwidować i ją, i jej kumpla.

- Nie ma sprawy, jeśli ty i Fiodor uznacie, że to konieczne.
- Problem polega na tym, że likwidacja pary studentów z tutejszej społeczności skończy się wnikliwym śledztwem, a czegoś takiego na pewno nam nie potrzeba.

- I dlatego ich nie zabiłem - wyjaśnił Darko.
- Porozmawiam o tym z Fiodorem - rzucił zirytowany Misza. - A tymczasem trzeba ich mieć na oku. Powierzam to zadanie tobie i Timurowi. Mam nadzieję, że ona cię nie pozna?
- Uważasz mnie za jakiegoś pieprzonego amatora?

Rozdział 41

Środa, 8 kwietnia, 12.38

- Pod ścianą jest kilka wolnych stolików - powiedział Michael, wskazując kierunek ruchem głowy. Właśnie przywitał się z Lynn, wcześniej odebrawszy wiadomość, że chciałyby się z nim spotkać w bufecie. Przyszła prosto z parkingu, na którym zostawiła jeepa. Michael z kolei przybiegł prosto z kliniki okulistycznej. Od razu zauważył, że Lynn jest czymś mocno podekscytowana.

- Widzę - odpowiedziała. - Chodźmy tam, będziemy mieli spokój.

Trzymała pod pachą dużą teczkę z szarej tektury, a w obu rękach niosła bufetową tacę. Lokal działał pełną parą; jak zawsze w porze lunchu nie brakowało klientów, a w kolejce do kasy trzeba było zaczekać co najmniej piętnaście minut. Otoczeni ludźmi, wśród których było sporo znajomych, nie rozmawiali o poważnych sprawach. Lynn miała z tym problem; musiała ugryźć się w język, żeby nie opowiedzieć Michaelowi o tym, czego się dowiedziała.

Gdy siadali przy stoliku, nagle znikąd pojawił się Ronald Metzner, który najwyraźniej obserwował ich już od kasy.

- Cześć - powiedział, stawiając swoją tacę na ich czteroosobowym stoliku. - Macie szczęście: za chwilę usłyszycie dowcip dnia. Pewnie jeszcze nie słyszeliście tego o...

- Ronald - wpadła mu w słowo Lynn. - Wiem, że trochę cię to zaskoczy, ale może później posłuchamy twojego dowcipu? Mamy z Michaeliem prywatną sprawę do obgadania. Pozwolisz?

- Ale to krótki kawał - odpowiedział Ronald niemal błagalnym tonem. - I bardzo śmieszny.

- Proszę cię - odrzekła z naciskiem Lynn.

- Dobra już, dobra - mruknął Ronald, po czym podniósł tacę i rozejrzał się za inną publicznością. - To na razie - rzucił na odchodnym.

- Nie lubię tego robić - wyznała Lynn, obserwując Ronalda,

który szedł w stronę stolików ustawionych na zewnątrz. - On się wydaje jakiś taki opuszczony.

- Wiem, co masz na myśli - zgodził się Michael.

- A teraz popatrz, co zdobyłam. - Lynn wyjęła z teczki kopie projektów. Kopiarka zmniejszyła rysunki do rozmiarów standardowej kartki papieru maszynowego. - Pojechałam do biura Komisji Budownictwa, żeby poszukać planów budynku Shapiro, i trafiłam w dziąsłkę.

Michael wziął do ręki plik wydruków związanych zszywką w lewym górnym rogu. Spojrzał na pierwszą stronę.

- Mój Boże, przydałaby się lupa.

- Rysunki są małe, ale czytelne - odpowiedziała Lynn. - Przysuń bliżej. Nie mogłam dostać kopii w pełnym rozmiarze.

Michael pochylił się nad projektem.

- Dobra, to na co właściwie patrzę?

- Pierwsze sześć stron to rzuty kondygnacji Instytutu. Z zewnątrz budynek wygląda na niewysoki: parter i piętro, ale tak naprawdę składa się z sześciu kondygnacji, cztery są pod ziemią. Ta, którą odwiedziłeś, z łącznikiem prowadzącym do szpitala, to tak naprawdę piąta kondygnacja.

- To dziwne. Ciekawe, dlaczego tak to wymyślili.

- Przypuszczam, że projektanci wyszli z założenia, iż pacjentom tego przybytku niezbyt zależy na ładnych widokach za oknem - odpowiedziała Lynn, siląc się na lekki ton. - Poza tym to bardziej wydajne rozwiązanie z punktu widzenia ogrzewania i klimatyzacji. A może nie chcieli, żeby Instytut zbytnio rzucał się w oczy? W sumie gmach i tak wygląda na potężny, zwłaszcza że tak mało w nim okien. A przecież tak naprawdę postronny obserwator nawet nie ma pojęcia, na jakiego molocha patrzy.

- Spięłaś tu więcej niż sześć kartek - zauważył Michael, przejrawszy pobieżnie całą kolekcję rysunków, by znowu pochylić się nad pierwszą stroną.

- Konkretnie dwanaście. Kolejne sześć to projekt HVAC.

- Projekt HVAC? - powtórzył Michael, uśmiechając się krzywo i niezbyt domyślnie. - Ach, no tak, właśnie tego potrzebowaliśmy.

- Nie bądź dupkiem - skarciła go Lynn. Wyrwała mu plany z ręki i położyła na stoliku. - Możesz sobie ironizować, ile chcesz, ale zapamiętaj moje słowa: to jest skarb, który bardzo nam pomoże, gdy już wejdziemy do środka.

- Jeśli wejdziemy do środka - sprostował. - Jeszcze nie pokonaliśmy nawet pierwszej przeszkody: czytelnika linii papilarnych.

- Zamierzam nad tym popracować zaraz po lunchu.
- Akurat! - prychnął Michael. - Masz zajęcia w klinice okulistycznej. Wystarczy, że rano musiałem tam siedzieć sam. I nie zamierzam też świecić za ciebie oczami na dermatologii. Nie znoszę dermatologii. A w ogóle to miałaś szczęście, że rano nikt o ciebie nie pytał.

- Dobrze już, dobrze - odpowiedziała pojednawczo. - Porozmawiajmy o tym.

- Na drzewo! Umówiliśmy się, że od tej pory będziesz grała grzeczną studentkę. Może nie wiesz, ale to oznacza, że będziesz chodzić na wykłady i do kliniki. Rozumiemy się?

- W porządku - odrzekła, kładąc dłoń na jego przedramieniu, w nadziei, że go jakoś udobrucha. - Nie spinaj się tak.

- Nie spałabym się, gdybyś była uprzejma dotrzymać słowa. Pamiętaj, że siedzą nam na karku ludzie, którzy dużo mogą.

- Dobra, wystarczy - ucięła Lynn. Przysunęła bliżej projekt leżący na stoliku i wskazała palcem na dwa duże pomieszczenia oznaczone jako KLASTER A i KLASTER B. - Moim zdaniem właśnie tu, na poszczególnych piętrach, przebywają pacjenci.

- Skąd wiesz?

- Mówiłeś mi, że na elektronicznej karcie Ashanti widziałeś nagłówek: Kłaster 4-B 32. Moim zdaniem, to jej adres w gmachu Shapiro. Spójrz tylko na rozmiary tych sal. Według mnie, Ashanti leży na czwartej kondygnacji, w Kłastrze B, łóżko 32.

- Może i tak. - Michael sięgnął po projekt i przybliżywszy go do oczu, przez chwilę studiował rozkład pomieszczeń na najniższej kondygnacji.

- Zwróciłeś uwagę na tę wielką salę pośrodku, oznaczoną jako REKREACJA?

- Trudno jej nie zauważyć, nawet na tak małym rysunku. Ale co to, u diabła, jest? Przecież trudno, żeby pacjenci Instytutu Shapiro potrzebowali rekreacji.

- Urzędnik z Komisji Budownictwa i ja też się nad tym zastanawialiśmy.

- Na wszystkich poziomach umieszczono takie sale?

- Nie, tylko na pierwszym i czwartym, ale obie są wysokie na trzy kondygnacje. Urzędnik podejrzewał, że to sale gimnastyczne dla personelu. Powiedział, że wielkością odpowiadają boiskom do koszykówki i że jedną pewnie przeznaczono dla kobiet, a drugą dla mężczyzn. - Lynn parsknęła śmiechem, choć nie było jej zbyt wesoło. - Oczywiście nie mówił poważnie. Czymkolwiek są te sale, musimy

do nich zajrzeć.

Michael skinął głową.

- Czy już możemy zjeść? Padam z głodu.

Przez kilka minut jedli w milczeniu. Lynn także była głodna, ale gdy tylko pochłonęła kanapkę, znowu się odezwała:

- Gdy wyszłam z urzędu, przypomniałam sobie nagle, że jestem w pobliżu siedziby kancelarii prawniczej ojca Carla. Pomyślałam, że zajrzę tam i zapytam, czy jest wolny.

Michael odłożył kanapkę i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Naprawdę do niego poszłaś?

- Rozmawialiśmy parę minut. Wybierał się na lunch biznesowy i bardzo dobrze, bo łatwiej mi było się urwać.

- Ja pierniczę! Co mu powiedziałaś? Czy ty w ogóle wiesz, jakie możemy mieć kłopoty w związku z tym, że nie zgłosiliśmy włamania do domu Carla? I w dodatku zatarliśmy ślady?

- Wiem, wiem. Przecież nie jestem idiotką. Powiedziałam mu, że koło północy pojechałam z tobą do Carla, żeby nakarmić kotkę, ale w domu jej nie znaleźliśmy, za to drzwi były mocno uszkodzone. I że na szczęście nic poza Pep nie zginęło. I to wszystko. Aha, wspomniałam jeszcze, że pożyczyłam samochód Carla. Pomyślałam, że powinien wiedzieć o drzwiach. Może będzie chciał je naprawić?

- Marne usprawiedliwienie dla ryzyka, które podjęłaś. Nie trzeba było mu mówić, że tam byliśmy. Co będzie, jeśli zgłosi włamanie na policję, a policja zechce nas przesłuchać? Będą kłopoty, Lynn. A może nawet więcej niż kłopoty, w tej sytuacji będziemy zmuszeni kłamać.

- Staralam się bagatelizować sprawę drzwi; zasugerowałam nawet, że to pewnie któryś z kolegów Carla je uszkodził, bo martwił się o kotkę, nie wiedząc, że to ja miałam się nią zająć. Naprawdę wątpię, żeby chciało mu się zzywać policję. Ma inne sprawy na głowie: jego syn jest w śpiączce!

- Nadal nie rozumiem, po co ryzykowałaś.

- Już ci wyjaśniam. Chciałam z nim porozmawiać o dwóch innych sprawach. Po pierwsze o Carlu. Musiałam się dowiedzieć, czy słyszał cokolwiek o tym, że u Carla wykryto jakieś nieprawidłowości w badaniach krwi.

- I co on na to?

- Nie, nikt mu o tym nie wspomniał. A to dziwne, moim zdaniem, skoro całkiem oficjalnie wezwano hematolożkę na konsultację, a jej opinia z pewnością jest dołączona do karty pacjenta. Przy okazji spytałam, czy wybiera się z żoną z wizytą do Carla. Powiedziałam, że

jeśli tylko byłaby taka możliwość, chciałabym pójść z nimi.

- A druga sprawa, o której chciałaś z nim porozmawiać?

- Zapytałam go czysto teoretycznie, co jego zdaniem powinniśmy zrobić, gdyby się okazało, że Sidereal Pharmaceuticals prowadzi nieetyczne testy nowych leków na pacjentach, bez ich wiedzy i zgody. Oczywiście nie wspomniałam o tym w kontekście Instytutu Shapiro, a tym bardziej zapętlonych raportów anestezyjologicznych, ale uznałam, że tak ogólne pytanie najlepiej będzie zadać właśnie jemu. Na początku kariery był prokuratorem okręgowym, zna wielu ludzi w wymiarze sprawiedliwości i w policji. Kto więc miałby wiedzieć lepiej, jak się zachować w takiej sytuacji? Jeżeli dzięki dyskretnej wizycie w Shapiro uda nam się zdobyć poważne dowody, możemy mieć niewiele czasu na to, żeby siedzieć na dupie i zastanawiać się, co dalej. Bo jeśli to jest tak wielka afera, jak podejrzewamy, to przeciwnik z pewnością ma plany awaryjne i wie, jak się rozprawić z takimi płótkami jak my.

- Szkoda, że nie spytałaś mnie o zdanie, zanim poszłaś do ojca Carla. Uważam, że to zdecydowanie przedwczesny ruch i ryzykowny, zważywszy na wydarzenia ostatniej nocy.

- No cóż, wybacz. Byłam w okolicy i uznałam, że warto się przygotować.

- Wiem, chciałaś dobrze - odparł Michael. - Ale tkwimy w tej sprawie razem i wołałbym, żebyś o tym nie zapomniała. I co usłyszałaś w odpowiedzi?

- Że gdyby pojawiły się poważne podejrzenia, musimy natychmiast go zawiadomić! Sidereal to międzynarodowy koncern z siedzibą w Genewie, robiący interesy we wszystkich pięćdziesięciu stanach. I dlatego ojciec Carla stwierdził, że w razie potrzeby pójdzie ze sprawą prosto do FBI i CIA.

Rozdział 42

Środa, 8 kwietnia, 23.38

- I co o tym myślisz? - spytała Lynn. Siedziała z Michaelem na tej samej, dyskretnie ukrytej ławce parkowej w wewnętrznym ogrodzie szpitalnym, na której dzień wcześniej wypłakiwała oczy na wieść o przeniesieniu Carla do Instytutu Shapiro. Tym razem w zaciszu drzew i bujnych krzewów panowała głęboka ciemność. Nawiązujące stylem do epoki wiktoriańskiej latarnie, ustawione z rzadka wzdłuż chodnika łączącego szpital z akademikiem, były zbyt odległe i zbyt słabe, by oświetlić to miejsce. Siedzieli więc bezpiecznie ukryci przed wzrokiem ciekawskich, obserwując to samo wejście do Instytutu, którym swego czasu Władimir wprowadził Michaela na krótką wizytę.

Michael spojrział na zegar na wyświetlaczu smartfona. Poświata ekranu na krótką chwilę wyłowiła z mroku jego twarz, nim zgasła.

- Siedzimy tu już ponad czterdzieści pięć minut - powiedział. - Myślę, że wystarczy. Nikt więcej stamtąd nie wyjdzie i nikt już nie wejdzie.

- Niezbyt imponująca ta wymiana personelu - zauważyła Lynn.

Krótko przed dwudziestą trzecią do budynku weszło sześć osób, a kwadrans później wyszło sześciu pracowników popołudniowej zmiany. Wszyscy mieli na sobie kombinezony. Rozmawiali ze sobą, ale z daleka trudno było rozróżnić słowa, a nawet stwierdzić, czy wypowiedziano je po angielsku.

- Zdumiewająco skromna - potwierdził Michael.

- Ciekawe, czy niektórzy pracownicy wchodzą łącznikiem między Instytutem a szpitalem - myślała na głos Lynn. - Trudno uwierzyć, żeby całą zmianę, obojętnie czy popołudniową czy nocną, tworzyło zaledwie sześć osób. Jeden człowiek na jedną kondygnację takiego gmachu?

- Niektórzy na pewno wchodzą przez szpital - stwierdził Michael. - Nie wyobrażam sobie, żeby tak skromna załoga mogła obsłużyć tysiąc pacjentów w stanie wegetatywnym, nawet przy Bóg wie

jakiej automatyzacji. To absurd.

- Absurd czy nie, to nie może być dobra opieka. Tym trudniej mi myśleć o tym, że Carl tam trafił. Nie wspominając o tym, że być może służy jako królik doświadczalny w nielegalnych badaniach.

- Ale jest i dobra strona tego systemu: gdyby całą nocną zmianę tworzyło sześć osób, to może nawet mielibyśmy szansę rozejrzeć się tam niepostrzeżenie. Gdybym miał zgadywać, to obstawiałbym, że owa jedna osoba obsługująca całe piętro siedzi sobie w sterowni i nadzoruje automatykę, a nie szuka po kątach potencjalnych intruzów. Jeśli więc nadal jesteś przekonana, że chcesz tam wejść, to właśnie teraz.

- Chyba strach cię nie obleciał?

- Nie bardziej niż w chwili, gdy wpadłaś na ten pomysł. Bierzmy nasze rzeczy i zróbmy, co mamy do zrobienia.

Wstali i przeciągnęli się - spędzili na ławce prawie godzinę. Wchodząc na ścieżkę przecinającą trawnik, spojrzeli znowu na budynek Instytutu Shapiro. Nocą jego ciemna bryła wydawała się jeszcze bardziej przytłaczająca, jak wielki grobowiec albo mauzoleum. Patrząc na nią, nie zauważyli ciemnej postaci, która wychylnęła z cienia i trzymając bezpieczny dystans, podążyła ich śladem w stronę akademika.

Popołudnie tego dnia było dla Lynn trudne, niemal bolesne. Jeśli zdawało jej się, że wykład z okulistyki to nudy, to teraz, podczas zajęć z dermatologii, przekonała się, że może być gorzej. Ale wytrwała. W pewnym momencie bardzo poważnie rozważała możliwość ewakuacji, lecz Michael wyczuł jej zamiary i szepnął:

- Nawet o tym nie myśl!

Została więc, a potem przemęczyła się jakoś w klinice.

Wieczorem, w porze kolacji, celowo wmieszali się w grupę znajomych, uznając, że to nieodzowny element udawania normalnego studenckiego życia. Przy stole Lynn pozwoliła sobie na bezceremonialną krytykę zajęć z okulistyki i dermatologii. Kilka osób, w tym Michael, przyznało jej rację. Inni wyrazili sprzeciw. Gdy okazało się, że dwie z obecnych osób wkrótce zaczynają rezydentury na oddziałach dermatologicznych, Lynn postanowiła porzucić temat.

Po kolacji pożegnali kolegów i ruszyli prosto do akademika. Spędzili tam ponad trzy godziny, krok po kroku wykonując instrukcje, które Lynn ściągnęła z Internetu, a dzięki którym zamierzali oszukać czytnik linii papilarnych u wejścia do Instytutu. Lynn zawniosła przygotowała potrzebne akcesoria: pożyczony aparat cyfrowy wysokiej rozdzielczości, klej cyjanoakrylowy, klej do drewna, dobrą dru-

karke laserową oraz przezroczystą folię.

Zaczęli od eksperymentów z własnymi odciskami palców, używając laptopa HP należącego do Michaela, a wyposażonego w czytnik linii papilarnych. Najtrudniejsze okazało się przejście z negatywu wydrukowanego tonerem na folii do pozytywu wykonanego z kleju do drewna. Eksperymentowali jednak tak długo, aż opanowali ten krok do perfekcji. Wreszcie, gdy nabrali pewności siebie, zabrali się do kopiowania odcisków kciuka Władimira. Sporządzili kilka egzemplarzy.

Gdy skończyli, zaczęli się spierać, czy aby nie powinni pójść od razu do Shapiro i spróbować, czy ich dzieło poradzi sobie z zamkiem, ale ostatecznie uznali, że trzeba poczekać - o tak wczesnej porze ryzyko było zbyt duże. Uzgodnili, że podejmą próbę po dwudziestej trzeciej, po wymianie załogi, kiedy mało kto zagląda do szpitalnego ogrodu.

Teraz, gdy zbliżała się północ, Lynn i Michael czuli rosnące podniecenie. Jechali windą w akademiku, by zabrać z pokoju Lynn potrzebny ekwipunek. Niestety, w ostatniej chwili do kabiny wbiegła grupka studentów wracających z biblioteki. Nie chcąc rozmawiać przy obcych, Lynn i Michael zacisnęli zęby i milczeli. Gdy wysiedli na swoim piętrze i znowu zostali sami, tamy puściły i w podnieceniu raz jeszcze omówili plan włamania do Instytutu.

Pierwszym punktem programu była wizyta w centrum operacji sieciowych, by wejść do bazy danych Shapiro i zebrać jak najwięcej informacji, w tym także adres, pod którym odnaleźliby Carla w tym wielkim gmachu. Następnie zamierzali dotrzeć do odpowiedniego klastra. Kolejnym zadaniem było odwiedzenie tajemniczej „przestrzeni rekreacyjnej” - albo na parterze, albo na czwartej kondygnacji, w zależności od tego, dokąd mieliby bliżej.

- Myślę, że powinniśmy działać z maksymalnym pośpiechem - powiedział Michael, gdy dochodzili do drzwi pokoju Lynn. - Biegiem. Bez ociągania się. Im więcej czasu tam spędzimy, tym większe będzie ryzyko. Rozumiesz?

- Jasne. Brzmi to rozsądnie, ale dla mnie najważniejsze jest to, żebyśmy, używając loginu Władimira, zdołali wyciągnąć z serwerów jak najwięcej informacji. Może i potrwa to parę minut, ale nie chcę, żebyś mnie wtedy popędzał. Potrzebujemy danych o śmiertelności pacjentów Shapiro od początku działalności ośrodka i o przyczynach zgonów. Musimy też dowiedzieć się, ile osób odzyskało świadomość na tyle, że można było wypisać je do domów. To ważne, bo znam statystyki i wiem, jak to powinno wyglądać.

- Chcemy też ustalić, gdzie leży Carl - dorzucił Michael.
- Oczywiście. Tym samym będziemy wiedzieli, do którego klastra musimy dotrzeć. Będziesz chciał odwiedzić Ashanti?
- Niekoniecznie.

Lynn otworzyła drzwi. Michael wszedł za nią do pokoju i przekręcił klucz.

- Dobra, myślę, że pora się przebrać w stroje wieczorowe - stwierdziła, próbując rozładować narastające na pięcie odrobiną humoru. Miała przeczucie, że jeśli dostaną się do Instytutu, odkryją coś ważnego, coś budzącego grozę, lecz jednocześnie nie mogła odpędzić myśli o tym, że jeżeli zostaną złapani, zapłacą wysoką cenę. Nie zgadzała się z Michaelem, który miał nadzieję, że co najwyżej dostaną po łapach, bo przecież są tylko nieodpowiedzialnymi studentami.

W milczeniu zrzucili ubrania i włożyli jednoczęściowe białe kombinezony Instytutu Shapiro, które dostarczył im Władimir. Gdy skończyli i spojrzeli po sobie, Lynn roześmiała się pierwsza, a Michael jej zawtórował.

- Twój jest za mały - powiedziała. - Wybacz, że się śmieję.
- A twój za wielki - odparł Michael. - Możemy być spokojni, nikt nas nie oskarży o przesadne wyczucie stylu.
- To pewne - przytaknęła Lynn.

Włożyli do kieszeni porządnie naładowane smartfony - oba mogły służyć jako latarki. Lynn spojrzała na zegarek. Minęła północ.

- Już prawie czas.
- Dobra. Skopmy im tyłki! - rzucił bojowo Michael.

Na rzucające się w oczy skafandry zarzucili długie płaszcze przeciwdeszczowe. Nie chcieli, by przypadkowo spotkani koledzy zadawali im niewygodne pytania. Zabrali też po kopercie z fałszywym odciskiem palca. W jedną z wielu kieszeni kombinezonu Lynn wcisnęła jeszcze złożony plik planów budynku.

Byli już przy drzwiach, gdy przypomniała sobie o czymś jeszcze.

- Zaczekaj moment! - powiedziała. Wróciła po chwili ze śrubokrętem w dłoni.
- Po co ci śrubokręt?
- Śmiałybys się, gdybym ci powiedziała.

Wyszli na korytarz. Zamknęła drzwi na klucz. Zwykle nawet o tym nie myślała, ale skoro zostawiła w pokoju cudzy aparat fotograficzny, wolała, żeby nikt tam nie zaglądał.

Ruszyli w stronę windy.

- Nie wtajemniczysz mnie w wielką zagadkę śrubokrętu?
- Nie. Za dobrze cię znam. Wszystko ci powiem, gdy wrócimy do

akademika.

- Jak chcesz.

Kabina była pusta.

- Trochę się denerwuję, bracie - przyznała Lynn.

- Nie ty jedna, siostró - odparł Michael.

Na parterze minęli kilka osób, skupionych w małych grupkach wokół automatów ze słodyczami. Ignorując ich całkowicie, wyszli z budynku. W gronie studentów trzeciego i czwartego roku opuszczanie akademika o takiej porze nie było niczym nadzwyczajnym. Często byli wzywani do szpitala i nikt nie pytał ich, dokąd i po co wychodzą. Było dość ciemno, ale dobrze znali krętą ścieżkę przecinającą rozległy dziedziniec Centrum Medycznego, wiodącą do budynków szpitala i kliniki. Jasne okna sprawiały, że trudno było dostrzec na niebie gwiazdy. Po lewej majaczył w mroku gmach Instytutu Shapiro.

Szli szybko, raz po raz przemierzając kałuże światła wiktoriańskich latarni, aż wreszcie dotarli do skrzyżowania chodników, mniej więcej w połowie drogi między akademikiem a kliniką. Skręcając w lewo, mogli dojść do drzwi Instytutu. W prawo krótka ścieżka wiodła w stronę kępy drzew i krzewów oraz ławki, z której niedawno oglądali wymianę pracowników. Ławki zresztą nie mogli nawet dostrzec, było zbyt ciemno.

Zatrzymali się na chwilę. Spojrzeli przed siebie i za siebie. Z lekkim rozczarowaniem dostrzegli samotną postać, która zbliżała się do nich od strony akademika. Po chwili nieznamy wkroczył w pierwszy krąg światła i wtedy zauważyli, że to umundurowany ochroniarz.

- Co robimy? - spytała zaniepokojona Lynn. Nie chcieli zwracać na siebie niczyjej uwagi, a stojąc ciemną nocą po środku wewnętrznego ogrodu centrum medycznego z pewnością właśnie to robili.

Michael wskazał na prawo.

- Wracajmy na naszą ławkę, niech sobie idzie swoją drogą. Może pomyśli, że przyszliśmy tu, żeby pogłować.

Lynn się uśmiechnęła mimo powagi sytuacji.

Dwadzieścia sekund później byli już przy ławce. Usiedli, otoczeni płataniną gałęzi. W pierwszej chwili nie mogli stąd dostrzec ochroniarza, ale niespełna minutę później pojawił się na skrzyżowaniu ścieżek i spojrzał w ich kierunku.

- Może nas zauważyć - szepnęła. - Całuj mnie! Postaraj się, żeby to wyglądało przekonująco.

Michael zamknął w uścisku potężnych ramion wąskie barki Lynn i spełnił jej życzenie. To był długi pocałunek. Oboje przymknęli oczy.

Wytrwali niemal minutę, zanim odważyli się spojrzeć ponownie

na główną ścieżkę. Ochroniarz zniknął. Odsunęli się od siebie.

- Udało się - szepnął Michael.

- Ależ poświęcenie! - rzuciła drwiąco Lynn.

- Obiecujemy sobie, że to był ostatni raz - odparł tym samym tonem Michael. - Ale chyba wypadliśmy całkiem wiarygodnie, skoro nie ośmielił się nam przerwać.

Lynn skinęła głową, ale nie odpowiedziała. Całą uwagę skupiała już na gmachu Shapiro, wyraźnie odcinającym się na tle nocnego nieba. Budził grozę do tego stopnia, że musiała walczyć z własną intuicją, która podpowiadała jej teraz coś zgoła przeciwnego niż jeszcze niedawno, w zaciszu pokoju: nie idź tam. Ale nie był to jedyny głos w jej sercu. Inna jego część domagała się, by za wszelką cenę dotarła do Carla, by przekonała się, jak jest traktowany, czy jest podmiotem, czy tylko przedmiotem. Krótko mówiąc, Lynn walczyła ze sobą.

- Dobra! - rozległ się pełen emocji szept Michaela, który najwyraźniej nie wyczuwał jej rozterek. - Załatw my to, i to jak najszybciej - dodał. Poderwał się z ławki i spojrzał na siedzącą nieruchomo przyjaciółkę. - Co jest, dziewczyno? Gotowa czy nie?

Lynn wstała. Niezdecydowanie zniknęło, zapewne pod wpływem zapachu Michaela.

- Chyba gotowa.

- To do roboty!

Ruszył tak energicznym krokiem, że Lynn musiała podbiec, żeby za nim nadążyć. Gdy dotarli do drzwi, uniósł kłapkę czytnika, trzymając na kciuku wykonaną z kleju kopię odcisku palca Rosjanina. Docisnął ją do ekranu dotykowego, ale nic się nie wydarzyło.

- Kurwa mać - jęknął. - Nie działa.

- Czekaj, wypróbuję swój - powiedziała Lynn. Pospiesznie zamienili się miejscami. Włożyła na palec swój fałszywy odcisk i przytknęła do czytnika. Znowu nic!

- Sukinkot! - wybuchnął Michael i zaraz rozejrzał się niespokojnie. Zbyt długo tu stali. Obawiał się, że lada chwila ktoś zwróci na nich uwagę - od strony ścieżki byli doskonale widoczni.

- Czekaj! - szepnęła Lynn. - Coś sobie przypomniałam: ktoś napisał, że czasem trzeba podgrzać odcisk! - Otworzyła szeroko usta i wetknęła do nich swój kciuk, uważając, by nie dotknąć zębami lub językiem gumowatej powierzchni kleju. Kilka razy odetchnęła głęboko, wydychając powietrze ustami. Po chwili ponownie przyłożyła palec do czytnika.

Rozległo się dobrze słyszalne kliknięcie. Pchnęła drzwi ramie-

niem. Ustąpiły.

- Alleluja! - zawołał cicho Michael.

Chwilę później byli już w środku, mrużąc oczy w blasku niezliczonych LED-owych świateł bielszego-od-bieli korytarza, ukrytych za mlecznymi taflami paneli sufitowych. Lynn nie traciła czasu: domknęła drzwi i znowu szczerknął zamek. Zaraz potem włożyli czepki i maski, które dostali wraz z kombinezonami.

Michael spojrział w górę i mniej więcej dwadzieścia stóp dalej, w głębi holu, dostrzegł kopułkę kamery wideo, którą pamiętał z poprzedniego pobytu w Instytucie. Wskazał ją Lynn i szepnął:

- Lepiej pozbadźmy się płaszczy!

Zdjęli je czym prędzej, zwinęli w możliwie najciaśniejszy kłębek i wcisnęli w kąt, z dala od drzwi.

Lynn spojrzała na wyjęty z kieszeni plan piątej kondygnacji.

- Niepotrzebna nam mapa - powiedział Michael. - Centrum jest prosto przed nami, po prawej stronie. Idziemy!

- Po lewej widzę szatnię - odpowiedziała Lynn, nie odrywając wzroku od wydruku, ale ruszyła za przyjacielem. - Może tam powinniśmy zostawić płaszcze? Niedobrze, że leżą w holu.

- A niech sobie leżą. Ryzyko, że wpadniemy na kogoś w szatni, jest dużo większe. A gdybyśmy musieli zacząć rozmowę, zostalibyśmy zdemaskowani, nie osiągnąwszy praktycznie niczego. Mamy kombinezony, ale w takiej sytuacji to nie wystarczy.

- Może masz rację - przyznała Lynn. Przechodząc pod kamerą, spojrzała w górę. Zastanawiała się, czy już są obserwowani. Miała nadzieję, że nie, bo gdyby było inaczej, ich wizyta skończyłaby się przedwcześnie.

Po chwili byli już przy drzwiach centrum operacji sieciowych.

Rozdział 43

Czwartek, 9 kwietnia, 00.22

Misza Zotow sływał z wyjątkowo zdrowego snu, zwłaszcza gdy w poprzednią noc spał niewiele, a dźwięk dzwonka, który wybrał w swoim telefonie, był zdecydowanie zbyt melodyjny, by szybko wyrwać go z objęć Morfeusza. Co gorsza wieczorem Rosjanin wlał w siebie znacznie więcej wódki niż zwykle. Była to jego standardowa metoda radzenia sobie ze stresem, który ostatnio był szczególnie dokuczliwy, a to za sprawą nowych zagrożeń dla programu biofarmaceutyków. Jeszcze kilka tygodni wcześniej praktycznie nic się nie działo. W ostatnim tygodniu jednak sytuacja odmieniła się dramatycznie. A zwieńczeniem wszystkich porażek była ta, na którą pozwolił sobie Darko, gdy zlecono mu, by doprowadził do porządku dwoje studentów.

Po czwartym sygnale Misza był już na tyle przytomny, by uświadomić sobie, że to telefon. Z wielkim wysiłkiem sięgnął po komórkę leżącą na nocnym stoliku. Czyniąc to, spojrzął na zegar i zaklął głośno. Zatrzepotał powiekami, żeby zetrzeć mgłę z oczu i zobaczyć, kto dzwoni. Widząc, że to Lebidiew, zaklął po raz drugi.

Przycisnął smartfon do ucha i opadł ciężko na poduszkę.

- Lepiej, żeby to były dobre nowiny - warknął po rosyjsku.
- O tak, są dobre - odparł Darko dziwnie radosnym tonem. - Bardzo nieoczekiwane, ale dobre: ci studenci sami się sobą zajęli. - Co ty wygadujesz, do ciężkiej cholery?
- Od naszej rozmowy obserwowaliśmy ich na zmianę z Timurem. Najpierw wydawało się, że zachowują się całkiem normalnie. Najwyraźniej nikomu nie powiedzieli o mojej nocnej wizycie. Ale wieczorem, mniej więcej pół do jedenastej, poszli razem do ogrodu szpitalnego i przez godzinę siedzieli w ciemności na prawie niewidocznej ławce, z dobrym widokiem na drzwi Instytutu.
- Myślisz, że je obserwowali?
- Takie odnieśliśmy wrażenie, zwłaszcza że akurat popołu-

dniowa zmiana kończyła pracę.

- No, ale w jakim sensie sami się sobą zajęli?

- Czekaj, teraz będzie najlepsze. Gdy się w końcu zabrali z tej ławki, myśleliśmy, że na dziś mają dość. I nagle, ku mojemu zaskoczeniu, Timur do mnie zadzwonił, żebym wracał, bo tych dwoje znowu polazło na ławkę. Przez chwilę się całowali, a potem podeszli prosto do drzwi Shapiro. Nie mieliśmy pojęcia, co kombinują. Ku naszemu zdumieniu, otworzyli drzwi i weszli do środka!

Misza usiadł gwałtownie, przy okazji ściągając kołdrę z dziewczyny, która towarzyszyła mu tej nocy.

- Jak to, kurwa, otworzyli drzwi?

- Nie wiemy. Najwyraźniej oszukali czytnik linii papilarnych. Co zresztą wcale nie jest trudne.

- Coś pięknego - warknął Misza. - Wygląda na to, że ryby same wskoczyły nam do łodzi.

- Wiedziałem, że się ucieszysz.

- Posłuchaj. Natychmiast zawiadom szefa nocnej zmiany ochrony. Powiedz, że zarządziłem blokadę wszystkich wejść do Shapiro, aż do odwołania. Niech włączą elektryczne rygle w drzwiach wejściowych, także tych od strony pokoi dla odwiedzających, przy łączniku ze szpitalem.

- Już to zrobiłem - odparł Darko. - Instytut Shapiro jest zamknięty na głucho, a to oznacza także zerwanie łączności we wszystkich pomieszczeniach poza centrum sterowania. Chcesz, żebyśmy tam weszli z Leonidem i zrobili porządek z tą parką?

- Nie! - odparł stanowczo Misza, gramoląc się z łóżka. - Najpierw skontaktuję się z Fiodorem. Trzeba się skonsultować z doktorem Rhodesem i doktor Erikson. Może znajdziemy sposób, żeby dodać szkodniki do naszej kolekcji.

- Daj mi znać, gdybyś zmienił zdanie po rozmowie z Fiodorem - rzekł Darko. - Leonid i ja z przyjemnością zrobimy to, co konieczne.

- Załatwione. Dobra robota!

Zotow przerwał połączenie i z listy kontaktów wybrał numer Fiodora. Parę sekund później usłyszał w słuchawce sygnał. Wiedział, że Fiodor będzie wściekły, bo nie cierpiał nocnych pobudek, ale nie martwiło go to, bo miał dla niego naprawdę doskonałe wieści.

Rozdział 44

Czwartek, 9 kwietnia, 0.33

Lynn spojrzała na Michaela, który ponad jej ramieniem patrzył na monitor. Byli w centrum operacji sieciowych. Tak jak mówił Władimir i jak się spodziewali, nie zastali tu nikogo. Lynn od razu zasiadła przy terminalu i bez trudu zalogowała się do systemu, używając loginu i hasła Władimira. Na początek wpisała nazwisko Carla. Na ekranie wyświetliła się jego strona, jak stwierdził Michael, niczym nieróżniąca się od strony Ashanti. Podobny był nawet adres: Klaster 4-B, ale z innym numerem - u Carla 64, a u Ashanti 32. Po krótkiej chwili dostrzegli jeszcze jedną różnicę: zamiast napisu DROZITUMAB +4 AKTYWNY, na stronie Carla widniał tekst ASELIZUMAB WSTĘPNIE.

- Co o tym myślisz? - spytała Lynn.
- Dobrze się składa, że są blisko siebie. Ten numer dotyczy pewnie łóżka, tak jak sugerowałaś. Możemy zajrzeć do obojga.
- Chodzi mi raczej o ten „aselizumab”.
- To chyba oznacza, że zaczęli mu podawać aselizumab, cokolwiek to jest.
- Później sprawdzimy - zdecydowała Lynn. Spieszyli się. - Możemy przynajmniej się domyślać, że końcówka „-ab” wskazuje na biofarmaceutyk. - Zamknęła okienko i zainicjowała kwerendę dotyczącą liczby zgonów zanotowanych w systemie od początku działalności Instytutu Shapiro, to jest od 2007 roku. Chwilę później na ekran
- Niewiarygodne - stwierdziła. - Myślisz, że to prawda?
- System jest dobrze zabezpieczony, dlaczego nie miałyby zawierać prawdziwych danych?
- Do licha, jeśli to prawdziwa liczba, to muszą się tu znać na robocie - powiedziała. Była pod wrażeniem, a może nawet poczuła coś na kształt ulgi. - Dwa lata temu, gdy byliśmy tu na wycieczce, mówili o dwudziestu dwóch zgonach w ciągu sześciu lat, ale wtedy

nie mieli jeszcze kompletu pacjentów. Teraz pewnie wszystkie łóżka są zajęte, a mimo to w ciągu dwóch lat przybyło tylko dziewięć zgonów. Fenomenalny wynik.

- Sprawdź, ilu jest chorych - zaproponował Michael.

Lynn odwróciła się do monitora i wpisała nowe zapytanie. System błyskawicznie podał odpowiedź: 931 pacjentów na 1200 miejsc.

- Jak widać, mają prawie tysiąc osób - powiedziała. - Jeżeli tracą mniej niż pięć rocznie, to jest to rewelacyjny wynik. Z tego, co udało mi się znaleźć w sieci, wiem, że typowa śmiertelność wśród pacjentów w stanie wegetatywnym waha się od dziesięciu do czterdziestu procent rocznie. Tutaj nie przekracza jednego procenta, jeśli dobrze liczę.

- Dobrze liczysz - potwierdził Michael. - A mówiąc dokładniej, nie przekracza pół procenta. Chciałoby się rzec: żywa reklama automatyzacji. Bo przecież opowiadali nam, że to wszystko zasługa maszyn.

- Jak powiedziałam, znają się na swojej robocie. Wynik jest szczególnie imponujący, że prawdopodobnie prowadzą tu na pacjentach nielegalne testy leków.

- Mówiłaś też, że ustaliłaś główną przyczynę śmierci chorych w stanie wegetatywnym, prawda?

- Zapalenie płuc oraz zakażenia związane z odleżynami. A wszystko przez to, że pacjenci są unieruchomieni.

- Może ograniczenie wizyt najbliższych rzeczywiście przynosi skutek? Wygląda na to, że to skuteczna ochrona dla ludzi z osłabioną odpornością.

Lynn pokiwała głową. Musiała przyznać, że Michael ma rację, nawet jeśli sama nie zgadzała się z polityką Instytutu utrudniającą jej kontakt z Carlem.

- Spróbujemy spojrzeć na drugą stronę medalu - powiedziała. - Sprawdź, ile osób się obudziło i zostało wy pisanych. Pamiętam, że najczęstszą przyczyną śpiączki są urazy, a średnio dziesięć procent chorych wraca do zdrowia na tyle, że mogą wrócić do domu.

Michael wyprostował się nagle i spojrzął za siebie, w kierunku korytarza.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Lynn. Skupiona na danych z systemu, na chwilę zapomniała, gdzie się znajdują.

- Zdawało mi się, że coś słyszałem.

Przez kilka chwil nasłuchiwali w skupieniu, wstrzymując oddech, ale jedynym dźwiękiem, który do nich docierał, był szum potężnego systemu wentylacyjnego.

- Nie słyszę niczego podejrzanego - powiedziała Lynn.
- Ja też nie - odrzekł Michael. - Widocznie wyobraźnia płata mi figle - dodał i nerwowo zerknął na zegarek. - Chyba będzie najlepiej, jeśli się stąd zabierzemy. Ktoś się w końcu zorientuje, że system mieli i wypłuka dane w samym środku pieprzonej nocy. Z prawnego punktu widzenia to, co tu robimy, jest poważniejszym przestępstwem niż samo wejście do Instytutu.

- Wiem - odpowiedziała niechętnie Lynn. - Wiem! Ale to naprawdę ważne. Jeszcze tylko kilka minut. - Znowu pochyliła się nad klawiaturą i szybko zapytała o liczbę wypisów od początku działalności Shapiro. Odpowiedź systemu była równie zaskakująca jak w przypadku zapytania o śmiertelność: zero!

Lynn spojrzała przez ramię na Michaela. Była zdumiona.

- Nie wiem, w co mi trudniej uwierzyć: w to, że mają tak mało zgonów, czy w to, że nikt nie ozdrowiał.

- Może nie przyjmują tu pacjentów po urazach?

- Nie wierzę. Jak powiedziałam, to jest główna przyczyna zapadania w stan wegetatywny. - Lynn umilkła, a potem parsknęła śmiechem, choć w danych nie było nic śmiesznego. - Mistrzowie w podtrzymywaniu życia, ostatnie łąjzy w leczeniu.

- Dobra, wystarczy - oznajmił Michael, próbując odciągnąć fotel Lynn od pulpitu.

Nie pozwoliła na to.

- Ostatnia rzecz - zapowiedziała. - Zobaczmy, jakie były przyczyny śmierci owych trzydziestu jeden pacjentów.

Spodziewam się, że na szczycie listy będzie zapalenie płuc.

Prędko wpisała kwerendę, a odpowiedź zaskoczyła ją bardziej niż informacja o braku wypisów. Przyczyną niemal połowy zgonów był szpiczak mnogi!

Lynn rozłożyła ręce.

- To nie może być prawda! Nie ma mowy!

- Faktycznie, dziwne jak cholera - przyznał Michael, ale w tym momencie myślał już o czymś innym. Znowu pociągnął za oparcie fotela, tym razem mocniej. - Koniec z surfowaniem po sieci, jeśli naprawdę chcesz odwiedzić Klaster 4-B i przestrzeń rekreacyjną, tak jak planowaliśmy! - Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi, a gdy się upewnił, że droga wolna, dodał: - Zbieraj się, dziewczyno! Rusz wreszcie dupę!

Lynn podążyła za nim na korytarz. Wciąż była oszołomiona.

- Te liczby są chyba z kosmosu! Jakim cudem śmiertelność z powodu szpiczaka mnogiego może tu być stukrotnie wyższa niż

średnia krajowa?

- Podyskutujemy sobie na ten temat, gdy stąd bez piecnie wyjdziemy - odparował Michael, zamykając prze suwne drzwi, obsługiwane konsolą umocowaną w ścianie na wysokości piersi. - Chodźmy już. Prędko, do klatki schodowej.

Przez całą drogę Lynn milczała, ale jej umysł pracował na wysokich obrotach. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi klatki schodowej, przystanąła i stwierdziła:

- Wybacz, ale dzieje się tu coś bardzo dziwnego. Mówię o szpiczaku mnogim i w ogóle o tym instytucie.

- Posłuchaj! - syknął zirytowany Michael. - Dokończmy tę wizytę, zanim pozwolimy sobie na burzę mózgow na temat znaczenia tych danych, dobrze? Bo zdaje mi się, że o czymś zapomniałaś: jesteśmy na bardzo krótkiej wycieczce na terytorium wroga. - Na moment odsunął maskę, żeby otrzeć pot z twarzy. W sztolni mieszczącej schody powietrze było gorące i wilgotne.

- W porządku, masz rację. Ale żałuję, że nie zdążyłam sprawdzić danych o występowaniu gammapatii wśród chorych. Może w drodze powrotnej zajrzemy tam jeszcze? Wystarczą mi dwie minuty.

- Zobaczymy - odparł Michael, na powrót zakładając maskę. - Oczywiście pod warunkiem, że nikt nie będzie nas ścigał.

- Nawet tak nie żartuj - zganiała go.

- Nie żartuję.

Gdy schodzili na poziom czwarty, Lynn zajrzała do planu. Zatrzymali się na krótką chwilę przy drzwiach, a wtedy pokazała Michaelowi, w którym miejscu znajdują się wejścia do Kłastr 4-B.

- Trzymajmy się jak najdalej od pomieszczenia opisanego jako „kontrola automatyki” - powiedział. - Przeczuję, że właśnie tam najłatwiej spotkać personel.

- Słuszna uwaga. To oznacza, że musimy pójść na lewo od klatki schodowej i dotrzeć do końca korytarza, a potem skrócić w prawo. Mam nadzieję, że drzwi są jakoś oznaczone. Ale jeśli nie, to trzeba będzie liczyć: interesują nas czwarte po prawej stronie, licząc od zakrętu korytarza. Michael uchylił drzwi wiodące do holu i przez chwilę nasłuchiwał. Poza niemilkącym ani na chwilę szumem wentylacji, na zewnątrz panowała cisza. Otworzył drzwi nieco szerzej i wyrzwał na korytarz, będący wierną kopią tego, którym maszerowali piętro wyżej. Był biały i rześkie oświetlony, a co najważniejsze, zupełnie pusty. Michael dostrzegł tylko jedną różnicę: na końcu brakowało drzwi prowadzących na zewnątrz.

- Spróbujmy załatwić to możliwie szybko, dobrze? Lynn dosko-

nale rozumiała, o co mu chodzi.

- Będę się trzymać o krok za tobą.

Może nie był to szalony sprint, ale poruszali się tak szybko i tak cicho, jak tylko mogli, w nieco wolniejszym tempie mijając kolejne wideokamery umocowane pod sufitem. Drzwi, które mijali, w większości były opisane. Za zakrętem znowu przyspieszyli. Nie musieli liczyć. Czarne litery bez szeryfów tworzące na drzwiach napis „Klaster 4-B” były widoczne z daleka.

- Gotowa? - spytał Michael.

- Bardziej już nie będę - odpowiedziała Lynn, mimowolnie spinając mięśnie. Wiedziała, że widok ukochanej go w tym sterylnym pustkowiu będzie dla niej nie lada wyzwaniem.

Rozdział 45

Czwartek, 9 kwietnia, 0.48

Przesuwne drzwi do Kłastry 4-B przypominały drzwi do centrum operacji sieciowych, tyle że były masywniejsze. Podobnie jak tamte, sterowane były elektronicznie, za pomocą dźwigni umieszczonej po prawej stronie. Michael przestawił ją w dół i drzwi zaczęły się otwierać.

Zanim ujrzeli wewnątrz sali, do ich uszu dobiegło zawodzenie silników elektrycznych i brzęk ciężkiej maszynierii. Aż do tej chwili odgłosy te były w stu procentach wytlumione przez ściany korytarza i grube, dźwiękoszczelne drzwi. Gdy droga do wnętrza stała otworem, Lynn i Michael ujrzeli coś, co przypominało całkowicie zmechanizowaną, wysoce skomplikowaną linię produkcyjną w fabryce samochodów, obsługiwaną przez ramiona robotów i masywny, podobny do wózka widłowego pojazd na grubych gumowych oponach, operujący nieustannie pracującym przenośnikiem taśmowym. W zasięgu wzroku nie było nikogo z personelu.

Onieśmieleni widokiem, z wahaniem weszli do środka, a wtedy drzwi z sykiem zamknęły się za nimi. Sala miała kształt prostokąta i była rozmiarów niewielkiego teatru. Sklepienie zawieszono niezwykle wysoko. Poziom hałas był taki, że musieli krzyczeć, by się porozumieć. Powietrze było gorące i wilgotne.

- To jest, kurwa, nie do wiary! - zawołał Michael.

- Scena jak z futurystycznego horroru - odkrzyknęła Lynn. Była zbita z tropu i niezbyt pewna tego, czynaprawdę chce się przekonać, co się kryje w głębi sali. - Automatyczna opieka nad pacjentem posunięta do n-tego stopnia!

- Pomyśl tylko, że mają tu jeszcze jedenaście identycznych sal! - dodał Michael, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Ścianę po prawej stronie tworzyła setka horyzontalnie ułożonych cylindrów z pleksiglasu, ułożonych w dwudziestu pięciu kolumnach po cztery sztuki. Każdy z cylindrów miał może metr dwadzieścia

średnicy i dwa metry głębokości. Oddzielone były kratownicami z metalu, szerokimi na dziewięćdziesiąt centymetrów, tworzącymi galerie, na które można było wejść po stalowych drabinkach. Wylot najniższej położonego cylindra znajdował się na wysokości pasa stojącego człowieka; najwyższy umieszczony był tuż pod sufitem. Każdy cylinder opatrzone numerem i wyposażono w ekran komputerowy na regulowanym ramieniu.

Lynn i Michael ze zgrozą spostrzegli, że w mniej więcej połowie cylindrów leżą pacjenci, nadzy, jeśli nie liczyć kasków podobnych do futbolowych - dokładnie takich, jaki widzieli dwa lata wcześniej na głowie manekina. - Nagle, przez wlot umieszczony gdzieś wysoko w ścianie po lewej stronie sali, wjechał na przenośniku taśmowym kolejny nagi pacjent w śpiączce. On także leżał na plecach i miał na głowie kask. Taśmociągi łączyły się ze sobą i krzyżowały w sposób, który przypominał system sortowania bagażu na nowoczesnym lotnisku. Pracowały z dużą szybkością i już po chwili chory znalazł się w pobliżu wystraszonych studentów. Przenośnik zwolnił nieco, rozległ się chrzęst i zgrzyt mechanizmu, a potem całe urządzenie uniosło się w górę na tyle, by pacjent mógł się zatrzymać na wysokości odpowiedniego cylindra - na samym szczycie szóstego rzędu. Teraz do pracy przystąpiły ramiona robotów: błyskawicznie podłączyły do gastrostomii rurkę z pokarmem, sprzężoną z kilkoma dodatkowymi przewodami. Gdy skończyły, chory niczym pocisk do wyrzutni został w mgnieniu oka wprowadzony do przezroczystego cylindra.

Zanim Lynn i Michael zdążyli zareagować na to, co właśnie zobaczyli, przenośnik z głośnym wyciem silnika przemieścił się w nowe miejsce, o siedem rzędów od miejsca, w które chwilę wcześniej dostarczył chorego. Tam z innego cylindra wydobyty został kolejny pacjent. Ramiona robotów natychmiast odłączyły przewody od jego ciała, a gdy był wolny, ruszył w przeciwną stronę, niesiony systemem przenośników w stronę miejsca, z którego przybył pierwszy pacjent - i tam zniknął w otworze w ścianie. Wszystko to trwało ledwie parę minut.

- Dobry Boże! - zawołała Lynn, gdy już odzyskała głos. - To jest po prostu obsceniczne. Cała ta mechanizacja... To odczłowieczenie, pozbawienie godności! Kpina ze wszystkiego, czemu ma służyć medycyna.

- Dokąd, u licha, zabierają tych pacjentów? - spytał Michael.
- Bóg jeden wie.

W tym momencie cała sekwencja rozpoczęła się na nowo - taśmociąg przywiózł nie wiadomo skąd kolejne pogrążone w śpiączce

ciało, by chwilę później zabrać inne. Przyjaciele przyglądali się temu przez krótki czas, ale to wystarczyło, żeby nabrali przekonania, że są świadkami ciągłego procesu, realizowanego dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Uważając, by nie wpaść pod wielkie koła pojazdu, w nieprzewidywalny sposób podsuwającego końcówkę przenośnika taśmowego do kolejnych komór, zbliżyli się do ostatniej kolumny pleksiglasowych cylindrów. Byli poruszeni do głębi, ale i zaciękwieni. Cylinder z dolnego rzędu nosił numer 100, nad nim znajdował się numer 99. Podeszli bliżej do setnego i zajrzeli do środka. Leżała w nim kobieta, a pod jej ciałem nieustannie pracowały rolki, których zadaniem było rozłożenie nacisku na różne punkty ciała. Na oczach Lynn i Michaela w wnętrzu cylindra włączył się system spryskiwaczy, które obmyły i zdezynfekowały pacjentkę. Głośny chłupot oznajmił uruchomienie pompy odsysającej nadmiar płynu. Przyglądając się komorze z bliska, stwierdzili, że nie leży całkiem poziomo; była nachylona może pod kątem piętnastu stopni.

- Jak w pieprzonej myjni samochodowej - skomentował Michael, z mieszaniną odrazy i podziwu. - Ktoś to cholernie dobrze przemyślał.

- Pewnie dlatego mają tak niską śmiertelność.

Na monitorze z boku cylindra można było podejrzeć stronę pacjentki w systemie. Gloria Parkman, lat trzydzieści dwa, adres: Kłaster 4-B 100; RANIBIZUMAB 3+ AKTYWNY. Poniżej ciągnęła się długa lista wskaźników funkcji życiowych. Tak potężny strumień danych mógł oznaczać tylko jedno: liczne czujniki musiały wszczepione do ciała chorej. Na ekranie wyświetlany był nawet encefalogram, odświeżany w czasie rzeczywistym.

- Hej, właśnie coś sobie przypomniałem - odezwał się Michael. - Wczoraj na wykładzie z okulistyki była mowa o tym ranibizumabie. Stosuje się przeciwko degeneracji plamki żółtej, jest dobrze tolerowany, nie wywołuje alergii.

- Skoro to uznany lek, to po co testują go na niej?

- Dobre pytanie - odparł Michael. - Może jednak istnieją jakieś działania niepożądane, o których nie wspomniał wykładowca? Tak czy inaczej, zaczynam myśleć, że po wizycie w tym przybytku więcej będziemy mieli pytań niż odpowiedzi - dodał. Stał bokiem i wsunąwszy się za cylinder, przemieszczał się wzdłuż ściany. System ruchomych rolek wywarł na nim wielkie wrażenie - najwyraźniej świetnie zapobiegał powstawaniu odleżyn, a jednocześnie masował i pobudzał krążenie. - Hej! - zawołał. - Chodź tutaj, popatrz!

Lynn stała jeszcze przy monitorze, zdumiona bogactwem danych

dotyczących procesów fizjologicznych. Przetworzenie takiej ilości informacji w czasie rzeczywistym prawdopodobnie wymagało użycia superkomputera.

Lynn wcisnęła się w ciasną przestrzeń obok Michaela. Wydawało się, że hałas jest tam jeszcze głośniejszy. Spojrzała na miejsce, które obserwował Michael.

- Na co właściwie mam patrzeć? - spytała, równie zachwycona nieustanną pracą rolek pod ciałem pacjentki.

- Na dren wprowadzony do jamy brzusznej! Jak sądzisz, do czego służy?

- Nie mam pojęcia. A ty?

- Ja też nie. Ale wygląda mi na to, że jej brzuch jest trochę wzdęty. Nie sądzisz?

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś... Rzeczywiście, widzę lekki obrzęk. Myślisz, że pompują w jej brzuch jakieś płyny? Nie byłaby to żadna nowość. Jama otrzewnej ma sporą powierzchnię, może być przecież używana do dializoterapii.

- To prawda! Może biedaczka ma problemy z nerkami. Wracajmy do monitora, zobaczymy, czy pracują normalnie.

Lynn wydostała się zza cylindra, a Michael podążył za nią. Gdy spojrzeli na monitor, przekonali się, że nerki pacjentki funkcjonują całkiem prawidłowo, produkcja moczu także była w normie. I wtedy pewien detal na liście wyświetlanych parametrów przykuł uwagę Lynn.

- To dziwne - powiedziała, wskazując palcem miejsce na ekranie. - System dokonuje pomiaru objętości płynów odprowadzanych z jamy brzusznej. To znaczy, że niczego w nią nie pompują, tylko odbierają płyn.

- W dodatku w całkiem sporych ilościach - dodał Michael, spoglądając na dane. - Zwykle przyczyną wodobrzusza są problemy z wątrobą, ale ona ich nie ma. Dziwne!

- Drugi często spotykany powód to niskie stężenie białka we krwi, ale ona ma podwyższone. Podwójnie dziwne!

- O-oo! - zawołał Michael. - Prędko, z powrotem do szczeliny!

Pojazd na wielkich kołach zbliżył się nagle, powodując swoją masą wibrację podłogi i zmuszając ich do ucieczki za cylinder numer 100. Przenośnik taśmowy ustawił się pod sąsiednią komorą, a roboty wydobyły z niej pacjenta i odłączyły pępowiny przewodów. Pojazd z przenośnikiem oddalił się równie szybko, jak wcześniej nadjechał, by wykonać kolejne zadanie.

Chwilę później, gdy wydostali się ze schronienia, Lynn zaskoczyła

Michaela wspinając się po drabinie do wyżej położonych komór.

- Lepiej już chodźmy - zawołał zniecierpliwiony Michael. - Nie wystawiamy na próbę naszego szczęścia, Lynn. Pracuje tu tyle maszyn i panuje tak szybki ruch pacjentów, że ktoś musi to wszystko obserwować przez kamery!

- Chciałam tylko sprawdzić, czy pozostali pacjenci też mają dreny w brzuchach - wyjaśniła Lynn, schodząc na dół. - W tej kolumnie wszyscy.

Michael podszedł do sąsiedniej kolumny i zajrzał do dolnej komory.

- Masz rację. Zdaje się, że każdy ma taki dren.

- To musi coś oznaczać, ale co?

- Dobre pytanie. Ale teraz naprawdę musimy już iść, dziewczyno.

- Nie wyjdę stąd, póki nie zobaczę Carla - odpowiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, powinnaś odpuścić - odparł Michael, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Oglądając Carla, nie pomożesz ani sobie, ani jemu. Wiesz, co mam na myśli?

- Nic mnie to nie obchodzi. - Ruchem barku strąciła jego dłoń, a potem pobiegła w stronę kolejnych cylindrów.

Michael wahał się przez chwilę, bo naszła go myśl, że być może lepiej dać jej chwilę spokoju, by mogła zostać sam na sam ze swym utraconym kochankiem. Szybko jednak doszedł do wniosku, że tak nie robi. To nie było odpowiednie miejsce na intymność; nie mógł też pozwolić, by Lynn się rozkleiła, a to było bardzo prawdopodobne. Michael potrafił sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby to jego Kianna była wśród pacjentów tej fabryki. Szybko dogonił przyjaciółkę i właśnie w tym momencie podnośnik z przenośnikiem taśmowym podjechał w pobliże miejsca, w którym przystanęli.

Cofnęli się gwałtownie, a potem uciekli na kładkę wiodącą ku przeciwniejszemu ścianie. Nad sobą mieli przenośnik, który przywoził pacjentów powracających do sali i ekspediował kolejnych na zewnątrz.

- Za nic nie mogę pojąć, w jakim celu nieustannie przemieszczają dokądś tych ludzi! - zawołał Michael, stając na palcach i próbując zajrzeć w wysoko położoną, ciemną dziurę, w której niknął koniec ruchomej taśmy. - I dokąd, do ciężkiej cholery - dodał po chwili. Gdy się odwrócił, by spojrzeć na Lynn, stwierdził, że znowu mu uciekła: była w połowie drogi do cylindra numer 64. Gdy ją dogonił, nie była szczęśliwa.

- Nie ma go! - zawołała z rozpaczą, z trudem przekrzykując zgiefk.

Jedno spojrzenie do wnętrza komory wystarczyło Michaelowi, by potwierdzić jej meldunek. Na monitorze wyświetlone było jednak nazwisko Carla, a to oznaczało, że właśnie tutaj leżał albo miał leżeć.

- Może to i dobrze - odkrzyknął Michael.

- Chcesz zajrzeć do Ashanti?

- Nie widzę sensu - odpowiedział bez wahania. - Powtarzam po raz dziesiąty: zabieramy się stąd.

- Zgoda - poddała się wreszcie Lynn, ale nie ruszyła się z miejsca. Pytała Michaela o Ashanti głównie po to, żeby zyskać na czasie. Nie mogła się wyzbyć irracjonalnego pragnienia spotkania z Carlem; miała nadzieję, że lada chwila tu wróci, tak jak wielu innych pacjentów, których dostarczyły przenośniki w ich obecności. Lecz jednocześnie bardziej racjonalna strona jej umysłu musiała przyznać Michaelowi rację: nie powinni tkwić dłużej w tej sali. Przez chwilę Lynn walczyła ze sobą, spoglądając przy tym na pęk kolorowych rurek i przewodów, które roboty gotowe były podłączyć do ciała Carla, by monitorować je i odżywiać. Niebieska do żyły, czerwona do tętnicy, zielona do gastrostomii, żółta dootrzewnowa...

Michael chwycił ją za ramię.

- Wiem, jak ci trudno stąd wyjść, ale jeśli go zobaczysz, nie będzie łatwiej. Musimy już iść!

- Wiem - odkrzyknęła z rezygnacją. - Ale spójrz na to. Ta żółta to dootrzewnowa! - zawołała, wskazując na pęk rurek. - Po co mu ją założyli? Na pewno nie ma wodobrzusza, za wcześniej na to.

- Pogadamy o tym, kiedy wydostaniemy się z tego cholernego piekła. Mamy sporo do przemyślenia.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy? - spytała nagle Lynn z nagłą energią i sporą domieszką przerażenia w oczach.

- Nie wiem, ale widzę, że zaraz mi powiesz. Zrób to, proszę, ale dopiero na korytarzu, gdzie przynajmniej będę cię słyszał. Ten hałas doprowadza mnie do szału.

- Dobra! - odkrzyknęła. I ona miała dość wycia silników i szczęku mechanizmów. Pozwoliła, by Michael pociągnął ją z powrotem w stronę kładki. Uczynił to w samą porę, bo znowu nadjeżdżał mobilny przenośnik. Gdy byli bezpieczni, odwróciła się, żeby mieć pewność, że to nie Carl powrócił do swojego cylindra, bo maszyna zatrzymała się przed jego kolumną, ale do swojej komory trafił pacjent numer 62.

Pobiegli do drzwi, którymi weszli do sali. Gdy zamknęły się za

nimi, w głębokiej ciszy korytarza jeszcze przez chwilę dzwoniło im w uszach.

- Chyba wiem, co tu robi ten pieprzony Sidereal - wypaliła Lynn.
- Oni nie eksperymentują na pacjentach, jak podejrzewaliśmy. Wykorzystują ich w znacznie bardziej perwersyjny sposób!

- Dobrze już, dobrze - próbował ją uspokoić Michael. - Co masz na myśli?

- Pamiętasz, w jaki sposób produkuje się leki oparte na przeciwciałach monoklonalnych, takie jak ranibizumab?

- Jasne - odparł Michael, zaskoczony nagłą pasją w głosie Lynn. Nawet jej oczy błyszczały dziko. - Z mysich „guzów”, zwanych hybridomami.

- Które są...?

- Co to ma być, do cholery, kolokwium?! Mów, co ci chodzi po głowie.

- Odpowiedz mi! Czy są hybridomy?

- Powstają z połączenia mysich limfocytów B z komórkami mysiej odmiany szpiczaka mnogiego. Dzięki temu mogą *in vivo* lub *in vitro* produkować przeciwciała monoklonalne.

- A gdzie można je wszczepiać?

- Do jamy brzusznej myszy.

- Dlaczego od koncernów farmaceutycznych wymaga spełnienia tak wielu wymogów, na drodze do humanizacji substancji leczniczych produkowanych przez myszy?

- Żeby zmniejszyć ryzyko wystąpienia niepożądanych reakcji, gdy lek zostanie podany ludziom.

Lynn patrzyła na Michaela szeroko otwartymi oczami, czekając, aż jego umysł połączy kropki tej zagadki. Prawda wisiała w powietrzu.

- Skurwysyny! - wycedził po chwili Michael, gdy fragmenty układanki ułożyły się w jego głowie w logiczną całość. Z odrazą pokręcił głową.

- Teraz wszystko się zgadza - powiedziała Lynn, równie oburzona jak on. - Wszystko, co do joty. Sidereal Pharmaceuticals i Middleton Healthcare zawarły pakt. To dlatego u tak wielu ludzi leczonych w szpitalach Middleton Healthcare wykrywa się gammapatie. To dlatego tylu mamy pacjentów ze szpiczakiem mnogim. Tu, w Shapiro, jest ich sto procent. Używają tysiąca pacjentów do wytwarzania prawdziwie ludzkich leków opartych na przeciwciałach monoklonalnych! Dzięki czemu nie muszą ich już humanizować, bo to już są ludzkie leki!

- Co gorsza, te wszystkie przypadki śpiączki podczas prostych

operacji, to także musi być ich sprawka - dorzucił Michael. - To nowa metoda pozyskiwania zdrowych i silnych ciał, które przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu produkują dla nich biofarmaceutyki... Przykro mi to mówić, ze względu na Carla.

- Obawiam się, że masz rację. - W głosie Lynn słychać było ból i gniew. Odetchnęła głęboko, żeby nie stracić panowania nad sobą. - To, że Carl jest w stanie wegetatywnym, nie jest dziełem przypadku. Obawiałam się tego od chwili, gdy odkryłam zapętlenie raportów. Teraz mam pewność. Nie mogę tylko zrozumieć, jakim cudem wcześniej tego nie dostrzegliśmy. Przecież wszystkie fakty mieliśmy podane na talerzu.

- Pytanie brzmi, co zrobimy teraz. Do kogo się zwrócimy?

- To poważna sprawa. Nie możemy pójść do nikogo, kto pracuje w Centrum Medycznym. Nie ustalimy przecież, kto jest zamieszany, a kto nie. Musimy się zwrócić do ojca Carla, a w dodatku trzeba to zrobić jeszcze tej nocy. Właściwie to... - Lynn wyjęła z kieszeni telefon komórkowy, ale gdy tylko go włączyła, przekonała się, że nie ma zasięgu. - Psiakrew! Zadzwonię do niego, gdy tylko stąd wyjdziemy.

- No to chodźmy!

- Czeka! Skoro już tu jesteśmy, muszę przynajmniej zajrzeć do tej rzekomej „przestrzeni rekreacyjnej”. To chyba najbardziej ponury żart, jaki słyszałam. Cóż może być rekreacyjnego w takim miejscu? Ale tak sobie myślę... że Carl może tam być. - Lynn wyjęła plan budynku i szybko znalazła drogę. - Już wiem. To naprawdę niedaleko, wystarczy minuta.

Rozdział 46

Czwartek, 9 kwietnia, 1.04

Misza musiał zapukać w elektronicznie otwierane drzwi do centrali sterowania, by ktoś je otworzył - ze względów bezpieczeństwa można to było zrobić jedynie od środka. Skinął na Fiodora i Bentona Rhodesa, by jako pierwsi weszli do klimatyzowanego pomieszczenia, a potem podążył za nimi. Za nim wmaszerowało do centrali pięciu mężczyzn pod bronią, w uniformach ochrony szpitala. Wszyscy pochodzili z Rosji i podlegali rozkazom Fiodora, który osobiście zwerbował ich w Petersburgu, gdy tylko mianowano go szefem ochrony szpitala. W myślach nazywał ich swoimi szturmowcami.

Technik dyżurujący tej nocy w centrali nazywał się Wiktor Garin. W przeciwieństwie do nowo przybyłych miał na sobie kombinezon używany w Instytucie Shapiro. Stał z boku, gdy pozostali stłoczyli się przed baterią czterdziestu monitorów wyświetlających naprzemiennie obraz ze wszystkich kamer zainstalowanych w ciągach komunikacyjnych oraz w pomieszczeniach na wszystkich sześciu kondygnacjach Instytutu.

Choć do obowiązków Wiktora należało śledzenie tego, co widać było na monitorach, większość czasu spędzał po drugiej stronie pomieszczenia kontrolnego, przed ekranami systemu sterującego automatyką w gmachu. To tutaj zdarzała się większość problemów. W ciągu ośmiu lat pracy w Shapiro nigdy nie doszło do włamania, a najpoważniejszymi naruszeniami procedur bezpieczeństwa były owe nieliczne przypadki, gdy pracownikom Instytutu zdarzyło się zasnąć na służbie.

Choć towarzyszył im Benton, Fiodor odezwał się do Wiktora po rosyjsku. Spytał, gdzie są intruzi i co robią.

- W tej chwili są na czwartej kondygnacji i kierują się w stronę pomieszczenia rekreacyjnego - zameldował po rosyjsku Wiktor. - Jak dotąd odwiedzili centrum operacji sieciowych, gdzie skorzystali z terminalu, żeby wejść do bazy danych. Następnie udali się do Klastra

4-B i tam spędzili większość czasu. Jak powiedziałem, zмирzają w stronę pomieszczenia rekreacyjnego - powtórzył, wskazując na monitor, na którym w tym momencie widać było dwie postacie idące korytarzem na czwartym poziomie.

- Jakiego rodzaju dane ich interesowały? - spytał Fiodor.

- Śmiertelność i wypisy chorych, a także karta jednego z nowych pacjentów.

Fiodor przekazał Bentonowi, czego się dowiedział.

- Wścibskie gnoje - stwierdził zirytowany Benton. - Co za ulga, że w końcu się ich pozbędziemy.

- Trzeba im przyznać, że są pomysłowi - rzekł Fiodor.

- Nie mam ochoty niczego przyznawać - odparował Benton. - I nie podoba mi się, że idą do pomieszczenia rekreacyjnego. Kto wie, jakie bakterie mogą tam zawlec?

- Jak pan widzi, włożyli kombinezony, czepki i maski - odparł Fiodor, wskazując na jeden z monitorów.

- Ciekawe, skąd je wzięli. I czy chociaż są sterylne - wścickał się Benton. - Będziemy tu mieli katastrofę, jeśli tych dwoje wywoła jakąś epidemię wśród naszych pacjentów. To studenci medycyny, mają kontakt z przeróżnymi chorobami. Jeżeli umrze choćby jeden pacjent produkujący cenny lek, będzie to dla firmy ogromna strata.

- Zatrzymamy ich jak najszybciej - zapewnił go Fiodor. - Całkiem prawdopodobne jest nawet to, że sami nie zdecydują się wejść do tej sali.

- Miejmy nadzieję - odparł Benton. - Ale pewne jest to, że jeśli tam zajrzą, będą w szoku i kto wie, co wtedy zrobią.

- Nic nie zrobią - stwierdził lekceważąco Fiodor. - Bo nie mogą nic zrobić. Cały Instytut jest zamknięty. Donikąd nam nie uciekną i nie mogą się posłużyć telefonami.

- Mimo to macie się nimi natychmiast zająć - rozkazał Benton. - Im szybciej, tym lepiej.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem Rosjanin. - Szczerze mówiąc, czekaliśmy tylko na pana. Przyniósł pan środek usypiający?

Benton wyjął z kieszeni dwie strzykawki ze sporą dawką midazolamu i podał mu.

- Czy to ich całkowicie unieszkodliwi?

- Bez wątpienia - zaśmiał się. - Będą nieprzytomni znacznie dłużej, niż potrzeba, by ich dostarczyć na salę operacyjną. A przy okazji: trafią do nas z diagnozą „krwiak podtwardówkowy”. Oficjalna przyczyna: uderzenie w głowę podczas włamania. Norman Philips, neurochirurg sprzyjający naszemu programowi, będzie operował. Ja

zajmę się znieczuleniem, żebyśmy mieli pewność, że nie obudzą się w trakcie.

- Chirurg jest już w szpitalu?
- Jest w drodze - odparł Benton.

Fiodor odwrócił się do swoich ludzi i wręczył strzykawkę dowódcy oddziału. Następnie po rosyjsku wydał rozkazy: przechwycić intruzów, uśpić i dostarczyć do pokoju odwiedzin A, a następnie asystować przy dostarczeniu ich do sali operacyjnej, gdy tylko będzie gotowa.

Rozdział 47

Czwartek, 9 kwietnia, 01.11

Lynn i Michael potrzebowali więcej czasu, niż się spodziewali, żeby dotrzeć do pomieszczenia rekreacyjnego. Drzwi wejściowe różniły się od pozostałych - były podobnie ciężkie jak te od Klastra 4-B, ale zamiast prostej dźwigni uruchamiającej mechanizm miały czytnik linii papilarnych, podobny do tego, który strzegł głównego wejścia. Tak jak poprzednim razem, i tu potrzebowali kilku prób, zanim zamek zadziałał, a Lynn znowu musiała ogrzać w ustach fałszywy odcisk kciuka.

Wreszcie jednak nad czytnikiem zapaliła się zielona dioda i drzwi zaczęły się rozsuwać. I tutaj pierwszym bodźcem był dźwięk: znowu mechanicznego pochodzenia, ale zdecydowanie cichszy niż w Klastrze 4-B. Potem zaś drzwi rozsunęły się szerzej i Lynn z Michałem cofnęli się o krok, wstrząśnięci tym, co zobaczyli w środku.

Sala była znacznie większa od tej, z której niedawno wyszli - jej wysokość sięgała piętnastu metrów. W ukrytych w suficie punktach świetlnych zainstalowano mocne lampy LED oraz ultrafioletowe. Wbudowano tam też istny labirynt przewodnic, pod którymi podwieszane były wielkie mechaniczne łapy o zakrzywionych szponach, konstrukcją zbliżone do tych, które widuje się czasem w salonach gier, gdzie gracz ma szansę samodzielnie wybrać sobie nagrodę. Tyle że tutaj łapy nie służyły do łowienia nagród, ale ludzi - stawały jednych i zabierały innych.

Na podłodze sali kłębił się tłum nagich pacjentów w stanie wegetywnym. Każdy z nich miał na głowie kask i, co było absolutnie niebywałe, stąpał samodzielnie upiornym, sztywnym krokiem, krążąc bez celu z kąta w kąt. Chorzy zderzali się ze sobą i ze ścianami pomieszczenia, nie próbując się osłaniać zwisającymi bezwładnie rękami.

- Dobry Boże! - zawołała Lynn. - Nie! To jeszcze gorsze niż ten cały klastr! Te kaski... to nie tylko sensory.

- Masz rację. - Michael przyglądał się temu spektaklowi jak urzeczony. - W kaskach muszą być elektrody stymulujące ośrodki motoryczne w skoordynowany sposób, umożliwiającą chodzenie.

Lynn wzdrygnęła się.

- Są jak zombie, tylko że żyją.

Tuż za otwartymi drzwiami umieszczono klatkę z drucianej siatki, szeroką na niespełna dwa metry, by pacjenci nie zbliżali się do wyjścia i nie wydostali się na korytarz. Większość pacjentów miała zamknięte oczy, ale nie wszyscy - niektórzy patrzyli przed siebie nieobecny wzrokiem i widać było, że nawet jeśli oczy coś widzą, to informacja o tym nie dociera do ich mózgów. Niektórzy mieli zamknięte usta, inni otwarte - i ślinili się obficie. Ich twarze były bez wyrazu. Żaden nie wydawał z siebie głosu, nawet gdy się ze sobą zderzali. Źródłem mechanicznego hałasu były pracujące łapy, które raz po raz przynosiły nowych pacjentów i stawiały ich w tłumie, innych zaś zabierały.

Lynn weszła do klatki, wiedziona niezdrową ciekawością. Czegoś takiego nie widziała nawet w najbardziej upiornych, koszmarnych snach. Po chwili Michael do niej dołączył. Milczeli. Nagle z rozbudowanego systemu zraszaczy umieszczonych gdzieś wysoko trysnęły strumienie wonnego płynu dezynfekującego. Ulewa nie trwała długo, ale wystarczyła, by spłoszyć Lynn i Michaela, którzy w pośpiechu wycofali się na korytarz, żeby nie zmoknąć. Pacjenci nie zareagowali w żaden sposób - kontynuowali swoją powolną, beźmyślną wędrówkę.

Studenci wrócili do klatki, by w dalszym ciągu obserwować dramat, który rozgrywał się na ich oczach. Posiadali dostateczną wiedzę z zakresu neurologii, by rozumieć, jak skomplikowaną formą aktywności - z punktu widzenia fizjologii - jest ludzki chód. Nie wystarczało stymulowanie poszczególnych mięśni. Podstawową trudnością było stymulowanie ich z właściwą siłą, a także - w przypadku mięśni wykonujących przeciwstawną pracę - we właściwych proporcjach. Samo utrzymanie pozycji pionowej było niesłychanie skomplikowane; chód był jeszcze trudniejszy i wymagał skoordynowania ruchów przez część mózgowia zwaną mózdzkiem. Stopień trudności obliczeń, których wymagała choćby symulacja chodu, wymagał wykorzystania superkomputera.

- Zatem w taki sposób utrzymują tych ludzi przy życiu - powiedział Michael, wciąż nie mogąc oderwać oczu od chaotycznego tańca ludzi o zniszczonych mózgach. - To dlatego nie mają problemów z zapaleniem płuc i krążeniem. Dopóki się ruszają, ich ciała nie ulegają

degeneracji. A ultrafiolet stymuluje produkcję witaminy D i działa antyseptycznie.

- O nie! - krzyknęła nagle Lynn, jakby w wielkim bólu.

Michael natychmiast na nią spojrział.

- Co jest?

- To Carl! - zawołała, wskazując palcem na lewo.

Michael wytężał wzrok, ale w tłumie chaotycznie poruszających się ludzi bardzo trudno było wypatrzeć znajomą twarz - chorzy przypominali mu cząsteczki zderzające się w nieprzewidywalny sposób wskutek ruchów Browna. Co gorsza, twarze bez wyrazu były do siebie zdumiewająco podobne.

- Ale gdzie? - spytał po chwili. Stał na palcach i wodził wzrokiem od twarzy do twarzy, szukając Carla.

- Zgubiłam go - odpowiedziała Lynn. Ona także miała problemy z obserwacją.

- Jesteś pewna, że to był on? - spytał Michael. - Może to wyobraźnia podsuwa ci taki obraz?

- Widziałam go! - krzyknęła gniewnie.

- W porządku. Spokojnie, dziewczyno.

- Wchodzę tam - oznajmiła z determinacją. W ogrodzeniu osadzono furtkę - stalową ramę z drucianą siatką. Była zamknięta na zwykły skobel. Lynn uniosła go i drzwi uchyliły się nieco.

Michael zdążył je chwycić, póki szpara miała ledwie kilka cali szerokości. Kilku pacjentów już uderzyło w odbezpieczoną bramkę.

- To chyba nie jest dobry pomysł - powiedział, bardzo się starając, by jego głos zabrzmiał spokojnie, ale stanowczo.

- Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. Wejść tam i odszukam go.

- W jakim celu? Gdy staniesz z nim oko w oko, będzie jeszcze gorzej, niż gdybyś zobaczyła go w którymś z tamtych cholernych cylindrów. Nie funduj sobie czegoś takiego, dziewczyno. Bądź mądra!

Lynn pchnęła furtkę mocniej, ale Michael nie puścił. Przez chwilę trwała próba sił, aż nagle jeden z pacjentów zderzył się z drucianą siatką. Zaraz też zawrócił i zniknął w tłumie, ale upiorny dotyk jego ciała wystarczył, by Michael odruchowo cofnął palce zaciśnięte na drutach. Zanim znowu chwycił za siatkę, Lynn zdążyła uchylić bramkę na tyle, że zdołała się przecisnąć do wnętrza sali. - Psiakrew, Lynn! - ryknął za nią Michael. - Wracaj W tej chwili! Oszalałaś chyba! Kurwa mać! - warknął W bezradnej wściekłości. Dociągnął furtkę nie czekając, aż któryś z pacjentów wydobędzie się na zewnątrz.

Skobel opadł pod własnym ciężarem. Michael stanął na palcach, próbując śledzić wzrokiem oddalającą się przyjaciółkę. Już prawie zniknęła mu z oczu w falującym tłumie. Przez chwilę zastanawiał się, co teraz zrobić - czekać czy pójść za nią. Właściwie nie mogło jej tu spotkać nic złego, poza szokiem emocjonalnym. Że też musiała tam wleźć, pomyślał, akurat wtedy, gdy powinniśmy uciekać stąd do wszystkich diabłów.

Rozterki Michaela dobiegły raptownego końca, gdy nagle do jego uszu dotarł stukot kroków i ludzkie głosy. Ostrożnie wychylił się na korytarz zza otwartych drzwi i ujrzał nadbiegający truchtem oddział mężczyzn w uniformach ochroniarzy.

Odruchowo cofnął się do klatki i nacisnął klawisz elektronicznego zamka - czujnik linii papilarnych zainstalowano tylko na zewnątrz, w środku zastosowano prostsze rozwiązanie. Drzwi zaczęły się zamykać, lecz nim zasunęły się do końca, czyjaś dłoń pojawiła się w szczelinie i zatrzymała je. Michael wziął zamach i potraktował palce ochroniarza solidnym kopniakiem. Rozległ się okrzyk bólu, dłoń zniknęła, a drzwi domknęły się z głośnym łupnięciem.

Sytuacja się zmieniła i Michael już nie musiał debatować nad tym, co robić. Wiedział, że zamek z czytnikiem nie będzie wielką przeszkodą dla ochroniarzy, dlatego bez wahania otworzył furtkę i ruszył mniej więcej w tym kierunku, w którym oddaliła się Lynn. W ciągu paru sekund ze wszystkich stron otoczyli go z trudem poruszający się ludzie.

Klucząc między nimi, Michael doświadczył *déjà vu*, jakby znowu był w ogólniaku albo w college'u, na boisku piłkarskim: był znacznie szybszy niż jego przeciwnicy i wiedział, dokąd zmierza, dlatego raz po raz zderzał się z nimi ze znacznie większym impetem, niż by sobie tego życzył. Fakt, że żaden z pacjentów nie upadł, zdumiał go i nappełnił podziwem. Program komputerowy, który sterował ich ruchami, musiał nieprawdopodobnie szybko i trafnie analizować bodźce zewnętrzne, a następnie reagować na nie, wysyłając do mięśni stosowne sygnały.

Oddaliwszy się na sześć, może siedem metrów od drucianej klatki, Michael zwolnił, a potem zatrzymał się i stanął na palcach. Wydawało mu się, że wypatrzenie Lynn nie będzie trudne, wszak była tu jedyną ubraną osobą, w dodatku w białym kombinezonie! A jednak wcale tak nie było, tłum był po prostu zbyt gęsty. Wszystko ma swoje dobre strony, pomyślał, bo i ochroniarzom nie będzie łatwo mnie znaleźć.

Nagle dostrzegł w oddali biały czepek Lynn i natychmiast ruszył w tę stronę. Chwilę później był już przy niej: udało jej się odnaleźć Carla

i teraz stała przy nim, otaczając go ramionami. Carl, rzecz jasna, nie reagował. Jego ręce zwisały luźno, twarz nie wyrażała żadnych uczuć, a nogi poruszały się uparcie, choć Lynn nie pozwalała mu odejść.

Michael stanął za Carlem, by spojrzeć w twarz Lynn. Miała zamknięte oczy.

- Znaleźli nas! - powiedział z naciskiem i szarpnął ją za rękę, by przywołać ją do rzeczywistości.

Gwałtownie otworzyła oczy.

- Oddział ochroniarzy ze szpitala czeka na korytarzu - dodał Michael, nie kryjąc niepokoju. - Na szczęście zdążyłem zamknąć drzwi, zanim tu weszli, ale pewnie udało im się je otworzyć.

Lynn skinęła głową, a w jej oczach Michael widział tę samą panikę, którą czuł w sercu. Puściła Carla, który natychmiast się oddalił, klucząc niczym nakręcana zabawka.

- Po drugiej stronie sali jest drugie wyjście - zawołała Lynn.

- I na pewno się spodziewają, że tam pójdziemy. Złapią nas, to pewne. Musimy zrobić coś nieoczekiwanego.

Przez szum silników napędzających mechaniczne łapy i dalekie przenośniki taśmowe przebił się zniecałkany charakterystyczny brzęk metalu uderzającego o metal: ktoś z impetem otworzył furtkę klatki. Pościg był już w pomieszczeniu rekreacyjnym.

Jak na komendę oboje spojrzeli na łapy, beznamiętnie wykonujące swoje zadanie.

- Nie, to się nie uda - powiedziała Lynn, wyczuwając, że i Michael zastanawia się w panice, czy mogliby spróbować ucieczki tą drogą. - Może przenośniki?

Wiedzieli już, że łapy odstawiają pacjentów i przynoszą kolejnych zza wysokich na dwa i pół metra barier ustawionych na obu końcach sali. Bez słowa rzucili się w prawo. Lynn podążała tuż za Michaelem, który siłą torował sobie drogę przez tłum. Z odgłosów dobiegających z tyłu wywnioskowali, że ochroniarze zauważyli ich manewr i już podążają nowym kursem.

Niesieni nadzieją, że we dwoje sprawniej przecisną się pośród błądzących po omacku pacjentów, Michael i Lynn dopadli wreszcie do bariery biegnącej wzdłuż prawej ściany sali. Wyczuwając, że pościg jest coraz bliżej, w panice poszukiwali przejścia. I znaleźli je w końcu, ale szybko stwierdzili, że przy drzwiach nie zainstalowano elektronicznego zamka - zapewne po to, by żaden z chorych przypadkiem go nie uruchomił. Dopiero gdy przyjrzeni się bliżej przesuwным drzwiom, dostrzegli zagłębienie, w które można było wsunąć palce. Lynn szarpnęła - drzwi otworzyły się dość łatwo.

Razem odepchnęli nadchodzących pacjentów, by nie wpuścić ich za barierę, po czym przeskoczyli na drugą stronę i zamknęli za sobą drzwi. Tak jak się spodziewali, znajdowali się w miejscu, w którym kończyły się - albo zaczynały - przenośniki taśmowe, jakże wygodnie oznaczone kodami kłastrów 4-B, 5-B oraz 6-B. Przy nich zaś, niczym kręgle, stali w równych szeregach pacjenci oczekujący na przeniesienie do pomieszczenia rekreacyjnego albo do cylindrów. Hałas maszyn był tu znacznie bardziej dokuczliwy niż po drugiej stronie bariery.

- Jeśli to ma się udać, powinniśmy wskoczyć na przenośnik prowadzący do Klastra 5-B - zawołała Lynn, przekrzykując łoskot pracujących mechanizmów. - Będziemy na poziomie ziemi, najbliższej wyjścia!

Michael uniósł kciuk. Czym prędzej ominęli gromadę potulnych pacjentów czekających na transport - utrzymanie ich nieruchomo w pionie było, z punktu widzenia programisty systemu, równie trudne jak skłonienie ich do maszerowania.

Prac naprzód, Lynn i Michael zwinnie ominęli ramiona robotów, które w równym tempie układały na przenośniku chorych powracających do Klastra 5-B. Maszyny zamarły na chwilę, wykonawszy kolejną sekwencję ruchów. Wydawało się, że to właściwy moment: Michael na czworaka wspiął się na przenośnik i dał znak Lynn, by podążyła za nim.

Obejrzała się przez ramię: kilku mężczyzn w mundurach właśnie sforsowało drzwi w barierze. Widząc Lynn, zaczęli krzyczeć, by się zatrzymała.

Zignorowała rozkazy i wskoczywszy na taśmę, wzorem Michaela ruszyła na czworaka w górę. Powierzchnia przenośnika była gładka i elastyczna, zapewne pokryta silikonem, co zapewniało niezłą przyczepność. Michael, który wyprzedzał ją o trzy metry, właśnie zniknął jej z oczu. Lynn pochyliła głowę i w ślad za nim zagłębiła się w tunel.

Mniej więcej dwa metry za wlotem kanał skręcał dość ostro w górę. Światła było coraz mniej. Lynn zdążyła wjechać może sześć metrów w górę, gdy nagle cała maszyneria stanęła.

- Psiakrew! - usłyszała dobiegający z góry głos Michaela. - Dlaczego to cholerstwo stanęło?

- Ochroniarze widzieli, jak wsiadałam - odpowiedziała mu Lynn. Zaczęła ostrożnie wspinać się ku Michaelowi. Czuli, że on także ruszył w górę, lecz mimo to po chwili trafiła dłońmi na jego stopy.

- Dlaczego się zatrzymałeś?

Ledwie widziała zarys jego postaci. Musieli się spieszyć. Z dołu

dobiegały stłumione głosy.

- Nie jesteśmy tu sami. Przede mną leży pacjent. Musimy ostrożnie przejść po nim. Dasz radę?

- Nie mamy wyboru. Miejsca chyba wystarczy. - Lynn uniosła rękę, żeby wyczuć sklepienie. Tunel miał w przybliżeniu okrągły przekrój, a miejsca u góry było wystarczająco dużo, by zdołali przejść nad nieruchomym ciałem chorego.

- Trudne to może nie będzie, ale na pewno cholernie nieprzyjemne.

- Damy radę - mruknęła Lynn, choć wcale nie była pewna, czy sama sobie wierzy. Właściwie nie bardzo mogła sobie przypomnieć, by doświadczyła w życiu czegoś mniej przyjemnego niż pełzanie po nagim, śpiącym pacjencie w stromym, ciemnym tunelu.

- Wybacz, bracie - szepnął Michael, następując na nieruchome ciało.

Spoglądając w prawo, obok ciemnej postaci przyjaciela, Lynn dostrzegła odrobinę światła, co mogło oznaczać, że wędrówka pod górę nie potrwa zbyt długo.

- Dobra - odezwał się Michael mniej więcej po minucie. - Twoja kolej! Po tym, jak go stratowałem, pewnie pod tobą będzie biedakowi prawie przyjemnie.

Pokonanie przeszkody okazało się fizycznie łatwiejsze, niż się Lynn spodziewała, ale psychicznie zdecydowanie trudniejsze. Robiła wszystko, by nie deptać zbyt mocno po ciele nieszczęsnego człowieka, ale nie zawsze było to możliwe. Fakt, że mężczyzna leżał na plecach, tylko pogarszał sprawę.

- Dobra - wysapała prawie bez tchu, gdy przeszła. Przez cały czas podświadomie wstrzymywała oddech.

Michael zaczął się już niecierpliwić.

- Naprzód! - rzucił natarczywym szeptem, pełznąc dalej ku górze. - W każdej chwili mogą uruchomić prze nośnik w przeciwnym kierunku.

Wspięli się w pośpiechu jeszcze o cztery i pół metra wyżej, zanim zauważyli, że taśmociąg jest coraz mniej nachylony. Z każdą sekundą było też coraz jaśniej, zwłaszcza od chwili, gdy pokonali dziewięćdziesięciostopniowy zakręt w prawo. Przebyli jeszcze trzy metry i znaleźli się w Kłastrze 5-B, będącym wierną kopią Kłastry 4-B. Z ulgą wyprostowali się i zeszli z przenośnika. W tej samej chwili taśma ruszyła - jak przewidział Michael, w przeciwnym kierunku.

Nie zwlekając, wykorzystali wsporniki przenośnika, by zejść nieco

nizej, a potem zeskoczyli na kładkę. Teraz, gdy większość maszyn wyłączono, w sali panował względny spokój i słychać było wyraźnie chłopot płynu w cylindrach, w których działały zraszacze.

Lynn i Michael pobiegli najkrótszą drogą do drzwi i upewniwszy się, że korytarz za nimi jest pusty, ruszyli w stronę wyjścia. Wkrótce minęli centrum operacji sieciowych i zdyszani zatrzymali się u drzwi, którymi weszli do budynku. Michael schylił się po leżące w kącie płaszcze przeciwdeszczowe, podał jeden z nich Lynn i czym prędzej włożył swój. Nie mieli ochoty tłumaczyć się przypadkowo napotkanym osobom ze swego wyglądu.

- Gotowa? - spytał Michael, zatrzymując dłoń na wysokości dźwignienki elektronicznego zamka.

- Bardziej niż gotowa - odpowiedziała Lynn, oglądając się przez ramię. - No, dalej! Wyośmy się stąd!

Michael trącił dźwignię i... ku ich przerażeniu, nic się nie wydarzyło. Przełączył ją w górę i w dół jeszcze kilka razy, ale bez rezultatu. W końcu docisnął ją w dolnym położeniu ze wszystkich sił - i nic. Drzwi ani drgnęły.

Lynn przycisnęła rękę do piersi i zaatakowała drzwi barkiem. Wiedziała, że mocniej nie potrafi. Wiedziała też, że to nic nie da. Michael także spróbował - bez skutku. To były naprawdę solidne stalowe drzwi. Stworzono je, by stanowiły trudną do sforsowania przeszkodę. Oboje byli tego świadomi.

Zrozpaczeni, spojrzeli sobie w oczy.

- Co teraz? - spytał Michael.

Lynn nie odpowiedziała, tylko wyszarpnęła z kieszeni kombinezonu spięty zszywką plik pomniejszych rysunków technicznych i zaczęła je w pośpiechu przeglądać.

- Prędzej, siostró - wysapał Michael. - Musimy uciekać. Jedyne nadzieje w tym, że uda nam się przebić do szpitala. Szukasz najkrótszej drogi?

W tym momencie usłyszeli dobrze znany dźwięk: gdzieś w pobliżu otworzyły się przesuwne drzwi. Nie byli pewni które, ale najprawdopodobniej te, które dzieliły korytarz od klatki schodowej.

- Tędy! - zawołała Lynn, po czym puściła się biegiem. Z każdym krokiem oddalali się od szpitala.

Michael gnał za nią, próbując argumentować, że poruszają się w niewłaściwym kierunku, ale Lynn totalnie go zignorowała. Gdy skręcili w boczny korytarz, spróbował przemówić jej do rozumu raz jeszcze. Zaraz potem usłyszeli kroki ochroniarzy - byli coraz bliżej.

Lynn znowu skręciła, tym razem w długi korytarz,

który w oddali wyraźnie się rozszerzał. Nie umiała biec szybciej; Michael trzymał się o kilka kroków za nią. Po obu stronach mijali niezliczone drzwi.

- Dokąd właściwie idziemy, do cholery? - wycharczał zdyszany Michael.

Lynn nadal milczała. W końcu zatrzymała się tak niespodziewanie, że Michael wpadł na nią. Musiał chwycić ją mocno obiema rękami, by nie wylądowali na podłodze. Wyrwała się zaraz z uścisku i przelańczyła dźwignię, a gdy tylko otworzyły się drzwi, wskoczyła do środka.

Michael podążył jej śladem. Naprawdę nie umiał odgadnąć jej planu. Zanim otworzyły się drzwi, dostrzegł na nich napis: LEKI I INNE MATERIAŁY. Obrócił się odruchowo i zamknął je za sobą, a potem rozejrzał się po wnętrzu mocno wychłodzonego pomieszczenia. Od podłogi do sufitu zastawiono je regałami, których półki ugięły się pod ciężarem, a jakże, leków i innych materiałów. Tym, co go naprawdę zdziwiło, był fakt, że Lynn zniknęła.

Michael zaczął biec środkiem pomieszczenia, rozglądając się na boki w poszukiwaniu przyjaciółki. Nie mógł POJAĆ jej zachowania. Wreszcie ją odnalazł, na samym końcu magazynu. Klęczała przed pokaźną, gęstą kratką wykonaną z metalu - szeroką na dziewięćdziesiąt centymetrów i wysoką na sześćdziesiąt - umieszczoną tuż nad listwą przypodłogową i pomalowaną na ten sam kolor co ściany. W rękę trzymała śrubokręt i pracowała w skupieniu, usuwając wkręty przytrzymujące kratkę na miejscu.

- Co ty tu robisz, u diabła? - spytał Michael. - Oni zaraz się tu zjawią i będzie po meczu.

- Ale nas tu nie będzie - odpowiedziała mu z przekonaniem Lynn.

- Sugerujesz, żebyśmy...?

- Tak, właśnie to sugeruję - wpadła mu w słowo. Wy ciągnęła ostatni wkręt i przez chwilę siłowała się z oporną kratką, utrzymaną na miejscu chyba tylko przez zaschniętą farbę na obrzeżach. - Urzędnik z Komisji Budownictwa powiedział mi, że Instytut i szpital mają wspólną infrastrukturę, w tym także instalację HVAC. A to jest kanał powrotny klimatyzacji, który powinien nas doprowadzić do szpitala.

- Nie wchodzę tam, nie ma mowy.

- Nie mamy wielkiego wyboru. - Lynn coraz bardziej nerwowo próbowała podważyć śrubokrętem krawędź kratki. Chwilę później dopięła swego: kanał wentylacyjny był otwarty. - Nareszcie - wes-

tchnęła. Oparła kratkę o ścianę i odłożyła śrubokręt.

- Jakim sposobem zamierzasz tam nie zabłądzić? - spytał Michael.

- Łatwizna - odpowiedziała. - Pójdziemy za prądem powietrza. Dobra wiadomość jest taka, że kanał będzie się rozszerzał, a nie zwężał.

- Mijaliśmy tyle pokoi... Dlaczego wybrałaś właśnie ten?

- Wiedziałam, że w magazynie leków musi być chłodniej niż w pozostałych pomieszczeniach, a to oznacza większą średnicę kanałów wentylacyjnych. I chyba dopisało nam szczęście: nie widzę tu ani jednej kamery.

Michael spojrzął na sufit, czując, że ogarnia go panika. Lynn miała rację. Kamer nie było. Schylił się i zajrzał do kanału. W porównaniu z tym, co czekało ich w tej ciasnej, ciemnej norze, wspinaczka tunelem przenośnika taśmowego wydała mu się piknikiem. Nie był nawet pewny, czy się tam zmieści.

- Musimy to zrobić, bracie - powiedziała Lynn. - Może długo potrwa przeprawa, może klaustrofobia będzie nam dokuczać, ale musimy. Wolisz iść pierwszy czy ja mam prowadzić? Ktokolwiek z nas będzie drugi, musi zamknąć kratkę.

- Ty pierwsza.

- Zgoda - odpowiedziała Lynn, próbując jednocześnie jakoś dodać sobie otuchy. Wbrew temu, jak przedstawiała to przedsięwzięcie przyjacielowi, wcale nie żywiła bezgranicznej wiary w jego powodzenie. Lecz jednocześnie wiedziała, że mają tylko dwa wyjścia: spróbować albo się poddać. Zbyt wiele ponurej prawdy poznali podczas tej wizyty, by mogła brać pod uwagę oddanie siebie i Michaela w ręce siepaczy Sidereal Pharmaceuticals albo Middleton Healthcare.

Wzięła głęboki wdech, podniosła ręce nad głowę i używając nóg, wsunęła się w głąb kanału wentylacyjnego. Wijąc się jak wąż, zaczęła przesuwać się po gładkiej, metalowej powierzchni i było to łatwiejsze, niż się spodziewała. Pokonała dwa, może trzy metry ciemnego tunelu, gdy nagle usłyszała brzęk wstawianej na miejsce kratki. Czowała, że Michael nie poszedł za nią. Nie mogąc ani zawrócić, ani nawet spojrzeć za siebie, zawołała:

- Michael, do cholery, co ty wyrabiasz?

- Montuję kratkę - odpowiedział. - A ty sprowadź piechotę morską, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ja zostaję. Kto wie, może nieprędko mnie znajdą?

- Michael! - krzyknęła tak głośno, że w metalowej ciasnocie zabolęły ją uszy. - To nie fair! Oszukałeś mnie!

- Ale z dobrego powodu. Gdyby znaleźli zdemontowaną kratkę, wiedzieliby, co wykombinowaliśmy. Nie znajdują, więc masz szansę, możesz z nimi powalczyć, choć nie twierdzę, że ci tego zazdrościć. A teraz ruszaj, dziewczyno!

- Michael - krzyknęła znowu, ale jakby ciszej. - Nie rób mi tego! Jesteśmy drużyną. Sam mówiłeś.

- Wybacz! Piłka trafiła w sam środek obręczy, koniec meczu. Powodzenia!

- Michael, proszę cię! - zawołała, ale tym razem odpowiedzi nie było. - Michael, jesteś tam?

Cisza.

- Jasna dupa - mruknęła do siebie Lynn. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie wrócić i nie otworzyć kratki kopniakiem, ale prawda była taka, że nie potrafiłaby tego dokonać. I dlatego, odetchnąwszy głęboko, zaczęła pełznąć naprzód, coraz dalej w ciasny, ciemny blaszany tunel.

Rozdział 48

Czwartek, 9 kwietnia, 3.24

Benton Rhodes wyłączył i schował do kieszeni swój smartfon. Zabijał nudę, grając w Angry Birds, ale skończyła mu się cierpliwość. Spojrzał na zegar. Minęły ponad dwie godziny, odkąd ochroniarze wyruszyli w pościg za parą studentów. Choć w miarę szybko odnaleźli i uśpili jednego z uciekinierów, drugi wciąż pozostawał na wolności, czym bardzo irytował szefa oddziału anestezjologii.

- Dość tego - powiedział Benton. Odsunął krzesło, powstał i przeciągnął się. Siedzieli z Fiodorem i Misza w centrum sterowania. Towarzyszył im Wiktor, mocno zajęty koordynowaniem poczynań personelu Shapiro, który próbował przywrócić normalny ruch urządzeń na poziomach od czwartego do szóstego.

Fiodor i Misza spojrzeli na Rhodesa. Oni także próbowali jakoś zażyć czas i podobnie jak on byli zmęczeni i spięci.

- Myślę, że powinniśmy już zacząć operować chłopaka - oznajmił Benton. - Nie ma powodu, żeby czekać na dziewczynę. Doktor Phillips jest gotów od godziny.

- Nie mamy nic przeciwko temu - oznajmił Fiodor.

- A jak sądzicie, kiedy uda się złapać tę małą? - spytał Benton. Nie umiał powstrzymać pogardliwego tonu.

- Zapewne niedługo - odparł Rosjanin. - Sprowadziliśmy więcej ludzi i zabieramy się do systematycznych poszukiwań, od szóstej kondygnacji w dół. Prawdę mówiąc, dziwię się, że wytrzymała tak długo. Pewnie znalazła jakąś kryjówkę. Zaskoczyli nas, rozdzielając się.

- Czy któryś z was może mnie zaprowadzić do pokoju wizyt A?

- Naturalnie - odpowiedział Fiodor.

Rozdział 49

Czwartek, 9 kwietnia, 4.35

Lynn czuła, że zbliża się kres tej wyczerpującej - fizycznie i psychicznie - wędrówki. Pierwsza godzina była najtrudniejsza, bo kanał był stosunkowo wąski, a w takich warunkach pokonanie niektórych zakrętów wymagało ogromnego wysiłku. Od czasu do czasu musiała przeciskać się bokiem i zginać w pół, gdy tunel skręcał zbyt ostro. Najgorsze jednak było to, że nawet gdy napotykała przeszkody z pozoru nie do przebycia, miała bolesną świadomość, że powrót jest niemożliwy. Kilka razy używała latarki w telefonie, by się rozejrzeć, ale większość trasy pokonała w całkowitym mroku. Celowo prawie nie otwierała oczu. Gdy unosiła powieki, klaustrofobia i strach brały górę nad jej determinacją. Cieszyła się w duchu, że towarzyszy jej stały i coraz silniejszy prąd powietrza, bo dzięki niemu miała pewność, że wędruje we właściwym kierunku, co było ważne zwłaszcza na skrzyżowaniach kanałów. Nie wspominając o tym, że pozwalał jej w miarę normalnie oddychać w tej ciasnocie. Nie było jej łatwo, ale z premedytacją unikała myślenia o Michaelu i losie, który mógł go spotkać.

Po godzinie pełnienia średnica kanału zaczęła się stopniowo powiększać, aż wreszcie Lynn mogła znacząco przyspieszyć, poruszając się na czworakach. Gdy poczuła, że kanał zaczyna opadać, zdołała nawet obrócić się nogami do przodu i zsunąć się w dół jak po dziecięcej zjeżdżalni - czyniła to jednak w żółtym tempie, hamując stopami, by nie zderzyć się z czymś u dołu i nie narobić hałasu.

Nieco dalej tunel znowu biegł poziomo, a stał się przy tym tak wysoki, że mogła iść zgięta w pół. Znowu przyspieszyła. Ręce rozłożyła na boki, a dłońmi wodziła po ścianach, co pomagało jej zachować równowagę w ciemności. Hałas z każdą chwilą był coraz głośniejszy, a ruch powietrza - coraz żwawszy. Domyślała się, że zbliża się do wentylatorów, zapewne wielkich i potężnych, skoro wzbudzały ruch powietrza w tak rozległym systemie kanałów. Przyszło jej nawet na

myśl, że jeśli nie będzie ostrożna, może w ciemności wpaść w łopatki kogoś z nich.

Zaniepokojona, od tej pory przez jakiś czas wędrowała z latarką w rękę, ale dość szybko uświadomiła sobie, że tym sposobem błyskawicznie rozładowuje baterię telefonu. Zmieniła taktykę: jedynym źródłem światła był dla niej podświetlony ekran. To z kolei oznaczało nowy, irytujący problem: musiała co chwilę na nowo włączać telefon.

Przeszła w ten sposób kolejne trzydzieści metrów, aż nagle kanał wentylacyjny rozszerzył się znacząco i... dobiegł końca. Na drodze Lynn stanął wielki, ciemnoszary filtr powietrza. Sądząc po hałasie i silnym prądzie powietrza, wentylatory musiały znajdować się tuż za nim.

Zaniepokojona, że filtr może oznaczać kres drogi, podeszła do niego i spróbowała uchylić go albo zdemontować, ale bez skutku. Nawet nie drgnął. W baterii telefonu pozostało niewiele energii, mimo to zamierzała włączyć latarkę, by poszukać jakiejś szczeliny na obwodzie filtra. I wtedy właśnie dostrzegła wąską smugę światła przy krawędzi po prawej stronie.

Smuga światła ciągnęła się od podłogi tunelu aż po sklepienie, co dawało nadzieję, że jest to szczelina, przez którą wymienia się cały filtr. Spróbowała raz jeszcze popchnąć go w tę stronę. Gdy napała mocniej, wreszcie ustąpił. Wysunęła go o kilkadziesiąt centymetrów, czując jednocześnie, jak przyspiesza strumień powietrza. Właśnie miała włączyć latarkę, by sprawdzić, co widać po drugiej stronie przeszkody, gdy nagle po prawej stronie, kilka stóp przed filtrem, zobaczyła kolejną, jakby węższą, pionową smugę światła.

Odżyła w niej nadzieja. Lynn włączyła latarkę i poświeciła w tę stronę. Ujrzała zarys panelu dostępowego umocowanego na zawiasach i co ważniejsze, zaopatrzonego w uchwyt także od wewnątrz. Schowała smartfon do kieszeni i zacisnęła dłoń na uchwycie. Uchyliwszy nieznacznie klapę, w szparze dostrzegła niezłe oświetlone wnętrze jakiejś maszyny.

Bardzo ją kusilo, by po prostu otworzyć właz i uciec z klaustrofobicznego wnętrza, ale zmusiła się do zachowania spokoju i cierpliwości. Ignorując bliskość wentylatorów i wibracje blaszanego tunelu, przez chwilę próbowała nasłuchiwać dźwięków dobiegających z zewnątrz, ale był to daremny wysiłek. Pomału i bezszelestnie otwierała panel coraz szerzej, rozglądając się nieustannie. Zbyt wiele przeszła, by teraz wszystko zmarnować, wpadając na kogoś przypadkowo i tłumacząc się z tego, co tu robi. Na szczęście była sama, nawet

gdy wreszcie otworzyła właz do końca.

Jako że właśnie minęła czwarta trzydzieści nad ranem, założenie, że nikogo nie spotka w maszynowni, brzmiało całkiem rozsądnie. Nareszcie wydostała się z blaszanej rury kanału wentylacyjnego i przykucnęła na podłodze. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje; miała tylko nadzieję, że otacza ją maszyna szpitalna, a nie należąca do Instytutu Shapiro.

Gdy tylko poczuła się pewniej, sięgnęła po telefon. Myślami była przy Michaelu, chciała wiedzieć, jak sobie poradził. Niestety, nadal nie było zasięgu, co nawet nie było specjalnie dziwne, jeśli rzeczywiście znajdowała się w szpitalnych podziemiach. Nie mogąc nawiązać łączności, zaczęła się rozglądać za wyjściem. Dostrzegła je szybko i już była gotowa biec w jego stronę, gdy nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest brudna. Spojrzała w dół. Niegdyś biały kombinezon był czarny na piersi, brzuchu, udach i zewnętrznej części przedramion. Nie miała pojęcia, jak bardzo brudne są kanały wentylacyjne. Podejrzewała, że jej twarz nie wygląda lepiej niż ubranie.

Nie, zdecydowanie nie chciała zwracać na siebie uwagi, także wyglądem. Rozumiejąc, że afera jest wspólnym dziełem Sidereal Pharmaceuticals i Middleton Healthcare, nie zamierzała ufać żadnym funkcjonariuszom tych instytucji, a zwłaszcza ochroniarzom. Było późno, lecz wciąż istniała spora szansa na to, że spotka jakichś ludzi, nawet jeśli będzie się starała ukrywać. Owszem, szpital zwalniał tempo pracy o dwudziestą, ale nigdy nie zasypiał. I dlatego musiała przede wszystkim zadbać o swój wygląd.

Zdarła z głowy czepek, a potem to samo uczyniła z maską, która wciąż dyndała na jej szyi. Czepek także był brudny, ale nie tak bardzo jak reszta stroju. Wrzuciła go razem z maską do kubła na śmieci i pobiegła do umywalki. Obmyła twarz i wytarła ją papierowymi ręcznikami.

Widząc, jak czarne się zrobiły, pomyślała, że miała słuszne podejrzenia względem wyglądu swojej twarzy. W pomieszczeniu nie było lustra, ale postanowiła, że umyje twarz po raz drugi. Teraz ręczniki wyglądały już znacznie lepiej, były tylko miejscami brudne. Spróbowała doprowadzić kombinezon do stanu używalności za pomocą ręczników, ale bez powodzenia. Żałowała, że zdjęła i porzuciła płaszcz przeciwdeszczowy, gdy tylko miała na to dość miejsca w kanale. Rozejrzała się nerwowo, szukając czegoś innego, choćby kombinezonu roboczego, ale niczego nie znalazła. Musiała jak najszybciej dotrzeć do którejś z damskich szatni i zdobyć czyste ubranie. Nie sądziła, by o tej porze stanowiło to wielki problem - w

salach operacyjnych na ogół panował nocą spokój, a tym bardziej bezludne były przebieganie. Wiedziała też, że w takim miejscu na pewno mogłyby skorzystać z telefonu, sygnał był tam bez zarzutu. Chciała przede wszystkim zadzwonić do Markusa Vandermeera, by czym prędzej sprowadził FBI, CIA albo nawet, jak zażartował Michael, piechotę morską. W tej chwili nie była nawet pewna uczciwości lokalnych stróżów prawa - firma Middleton Healthcare była poważnym graczem na tutejszym rynku i w tutejszej polityce.

Lynn uchyliła drzwi, w nadziei, że zobaczy znajomy, piwniczny korytarz szpitalny. Pomyliła się - najwyraźniej maszynownia instalacji HVAC należała do większego kompleksu pomieszczeń. Przed sobą miała bardziej przestronną salę, także pełną urządzeń. W tej jednak dostrzegła ludzi: technicy stali przed wielkim pulpitem sterowniczym pełnym wskaźników i pokręteł. Tam także oświetlenie było mocne, a w dominującym odgłosie był szum pracujących maszyn.

Bez większego problemu wypatrzyła w sąsiedniej sali drzwi, które niemal na pewno prowadziły na zewnątrz - W przeciwieństwie do pozostałych były podwójne. Jej podejrzenia potwierdziły się, gdy ujrzała w nich wchodzącego pracownika. Za jego plecami na ułamek sekundy ukazał się widok korytarza, który dobrze знаła.

Przez chwilę obserwowała pracujących. Wydawało się, że są skupieni wyłącznie na swoich zadaniach. Obserwowali wskazania przyrządów i od czasu do czasu notowali coś w dokumentacji. Żaden nie spoglądał w stronę głównego wejścia, póki nie zamierzał z niego skorzystać. Lynn postanowiła zaryzykować.

Szybkim krokiem - ale nie biegiem, by nie zwracać na siebie uwagi techników - przemierzyła wnętrze hali maszyn. Czowała się niemal obnażona, ale mogła jedynie pogodzić się z tym i iść dalej. Nie miała pojęcia, co powie, jeśli ktoś ją zatrzyma. Wreszcie wyszła na korytarz przez podwójne drzwi i odetchnęła z ulgą.

W biegu znowu sięgnęła po telefon, ale nadal nie miała zasięgu. Wskaźnik naładowania baterii nie przekraczał pięciu procent, więc całkowicie wyłączyła aparat. Zaczęła się wspinać na górę pierwszymi napotkanymi schodami, zadowolona, że może opuścić główny korytarz, na którym ryzyko spotkania kogoś było mimo wszystko spore. W żadnym razie nie zamierzała skorzystać windy.

Przeskakiwała po dwa, trzy stopnie, prawie nie zwalniając na półpiętrach. Minęła pierwsze drzwi i po chwili dotarła do drugiego wyjścia z klatki schodowej. Tu zatrzymała się na moment, żeby sprawdzić zasięg. Wreszcie pojawiła się jedna kreska. To nie wystar-

czyło, ale przynajmniej wiedziała, że zbliża się do celu: damskiej przebieralni na chirurgii.

Wyjście z klatki schodowej znajdowało się na pierwszym piętrze, niezbyt daleko od pokoju anestezjologów, gdzie wraz z Michaeliem rozmawiali z Sandrą Wykoff. Lynn sprintem przebiegła przez korytarz i znalazła się przy windach, gdzie zwołniała. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, ale od strony pokoju chirurgów dobiegały jakieś dźwięki - ktoś oglądał telewizję. Zatrzymawszy się przy otwartych drzwiach, zajrzała do środka.

Dwie salowe piły kawę, przeglądając gazety; pielęgniarek nie było. Lynn uznała, że to właściwy moment, żeby ruszyć dalej, i tak też zrobiła - powoli, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Poszła prosto do damskiej przebieralni, na szczęście pustej, tak jak się spodziewała.

W pośpiechu zerwała z siebie kombinezon, zwinęła w kłębek i wepchnęła na samo dno kubła, po czym przykryła innymi śmieciami. Włożyła czysty strój chirurgiczny, włączyła telefon i nareszcie stwierdziła, że sygnał jest mocny. Wybrała numer domowy Vandermeerów i wcisnęła guzik połączenia. Czekając, aż ktoś się odezwie, zerknęła na zegarek. Zbliżała się piąta rano.

Odebrała Leanne. Przeprosiwszy za telefon o tak wczesnej porze, Lynn poprosiła o chwilę rozmowy z jej mężem, wyjaśniając jedynie, że to bardzo ważna sprawa. Usłyszawszy w słuchawce głos Markusa, nie traciła czasu - w tej chwili martwiła się przede wszystkim o Michaela.

- Sidereal Pharmaceuticals nie prowadzi nielegalnych testów leków na pacjentach - wyrecytowała w pośpiechu. - To coś znacznie, znacznie gorszego. Wykorzystują pacjentów jako żywe fabryki biofarmaceutyków, wywołując u nich choroby, a nawet prowadząc do śmierci.

- Zaraz, zaraz, powoli! - odpowiedział zaspany Markus, próbując jakoś ogarnąć to, co właśnie usłyszał. - Możesz powtórzyć?

Powtórzyła - może nieco wolniej, za to z jeszcze większą pasją.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytał już przytomniej Markus. W jego głosie słyszała powagę.

- Dziś w nocy włamaliśmy się z Michaeliem Penderem do Instytutu Shapiro - odpowiedziała. - Jak wiadomo, strzegą go prawie jak skarbcza w Fort Knox...

- Oczywiście - mruknął Markus. - To dla dobra pacjentów: chcą ich chronić przed chorobami.

- To akurat może być prawda, ale tylko do pewnego stopnia. Z tego, co tam odkryliśmy, wnioskujemy, że to przede wszystkim przy-

krywka dla ich prawdziwej działalności: narażania zdrowia i życia pacjentów w celu produkowania leków opartych na przeciwciałach monoklonalnych. I nie chodzi tylko o tych, którzy z różnych stron trafiają do Instytutu. Oni celowo sprowadzają nawet pacjentów ambulatoryjnych ze szpitali Middleton Healthcare. To poważna sprawa, Markus, wielki spisek Sidereala i Middleton. Jesteśmy tego absolutnie pewni. A to jeszcze nie wszystko. Najgorsze dla ciebie i twojej żony, a także dla mnie, jest coś innego: Carl nie znalazł się w stanie wegetatywnym przypadkiem; to jest ich sprawka, a chodziło tylko o to, żeby ściągnąć go do Shapiro i zrobić z niego żywą fabrykę pewnego leku. To nie wypadek! To planowa rekrutacja!

Przez chwilę milczeli. Lynn zaczęła podejrzewać, że połączenie zostało przerwane.

- Markus, jesteś tam?

- Jestem - odpowiedział. - Próbuję jakoś to wszystko przetworzyć. W głowie się nie mieści.

- Wiem, że to straszne - zgodziła się Lynn. - Co więcej, w cały proceder zamieszanych jest mnóstwo ludzi, inaczej coś takiego nie miałyby szans powodzenia. Myślę, że oni na tym zarabiają miliardy.

- Jesteście z Michaeliem nadal w Shapiro?

- Ja nie. Namierzono nas i musieliśmy uciekać. Wydostałam się kanałami wentylacyjnymi, a Markus zatarł za mną ślad i został w Instytucie. Zakładam, że już go złapali, a mnie nadal szukają. Coś trzeba zrobić, Markus, i to natychmiast! Oni mogą go zabić.

- W porządku - odpowiedział Vandermeer. - Zaraz zadzwonię do służb federalnych, a konkretnie do FBI. Gdzie jesteś w tej chwili? Jesteś bezpieczna?

- Siedzę w damskiej przebieralni, na chirurgii, w głównym gmachu szpitala.

- Rozmawiałaś z kimś jeszcze?

- Nie. Nie wiem, komu tu można zaufać.

- Słusznie! Może spróbuj po prostu wyjść. Uciekaj.

- Mam tu samochód Carla.

- Zatem wsiadaj i jedź do nas!

- Dobrze. Ale co z Michaeliem? Co z nim będzie? - Zostawmy to w rękach odpowiednich służb. Może uda się ściągnąć na miejsce oddział SWAT. Miejscową policję wolę na razie omijać z daleka, tak na wszelki wypadek.

- I masz rację - stwierdziła Lynn.

- No dobra, nie trać czasu: jedź do nas. Zanim dotrzesz na miejsce, będę wiedział coś więcej.

Rozdział 50

Czwartek, 9 kwietnia, 05.11

Lynn schowała telefon do kieszeni, odetchnęła głęboko i spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Ucieszyła się, że nikogo nie spotkała, odkąd wyszła z tunelu wentylacyjnego: choć próbowała się umyć, na jej twarzy pozostały smugi brudu i wyglądała jak szop pracz. Wiedząc, że w końcu ktoś ją zobaczy, postanowiła zadbać o siebie, by nie budzić sensacji. Używając mydła i wkładając w szorowanie więcej siły, zdołała znacznie poprawić swój wygląd. Przeczesała włosy palcami, by doprowadzić do jakiegoś takiego porządku także fryzurę. Poddała się, gdy stało się jasne, że w tak spartańskich warunkach nie osiągnie nic więcej.

Mimo że wyglądała trochę lepiej, wolała unikać ludzi. Gdyby ktoś ją zagadnął, zamierzała odpowiadać uprzejmie, ale zdawkowo. Ze strachem myślała o tym, że będzie musiała zejść do garażu - po tym, jak pewnego dnia we wczesnych godzinach rannych jedna z pielęgniarek była tam napastowana, skierowano na parking wielopoziomowy regularne patrole służby ochroniarskiej. Lynn wiedziała już, że szpitalnych ochroniarzy musi unikać za wszelką cenę.

Wyszła z przebieralni i od razu zauważyła w dyżurce pielęgniarkę, która właśnie parzyła sobie kawę. Lynn ruszyła w stronę wyjścia do holu głównego, nawet nie zerkając w jej stronę. Patrzyła w przeciwnym kierunku, akurat na monitor zawieszony na ścianie, wyświetlający informację o zabiegu neurochirurgicznym pod kierunkiem Normana Phillipsa, trwającym właśnie w sali operacyjnej numer dwanaście. To by wyjaśniało pustki w pokoju chirurgów, pomyślała.

I nagle zatrzymała się jak wryta. Zatrzepotała powiekami w nadziei, że wzrok ją zawodzi, albowiem spostrzegła nazwisko pacjenta: Michael Pender. Rozpoznanie: krwiak podtwardówkowy. Planowana procedura: kraniotomia.

Krótki, mimowolny okrzyk wyrwał się z jej krtani. Z przerażeniem spojrzała na czas zabiegu - zaczął się o 4.58, zatem trwał już od kilku

minut!

- Nie! - wrzasnęła na tyle głośno, że wystraszyła trzy osoby, które popatrzyły na nią ze zdziwieniem. Obróciła się w miejscu, dziko wybałuszając oczy. - Nie! Nie! Tylko nie to! - krzyczała nie wiadomo do kogo.

Świadkowie przyglądali się jej szeroko otwartymi oczami, ale nikt się nie poruszył. Zamarli, podejrzewając, że jest niestabilna psychicznie.

Sekundę później Lynn gnała już w stronę wahadłowych drzwi sali operacyjnej, w Biegu wyjmując smartfona. Minąwszy je, zatrzymała się, by wywołać ostatnie połączenie i powtórzyć je. Przycisnęła aparat do ucha i znowu puściła się sprintem. Usłyszała za plecami krzyk pielęgniarki, która kazała jej się zatrzymać, bo przecież nie wolno wchodzić do sali operacyjnej. Zaraz potem drzwi ponownie uchyliły się z rozmachem i pielęgniarka pognała śladem uciekającej.

Lynn zatrzymała się tuż przed drzwiami sali numer dwanaście, z ulgą słysząc w słuchawce głos Markusa. Zdyszana opowiedziała mu, co się stało.

- Trzeba ich powstrzymać! Nie wolno im na to pozwolić! - wołała. - Michael już się nie obudzi, wiem, że tak będzie! Zrobią mu to samo, co zrobili Carlowi!

W tym momencie dogoniła ją pielęgniarka.

- Co ty wyrabiasz, do ciężkiej cholery? - spytała ostro.

Lynn zignorowała ją, skupiona na rozmowie.

- Musisz tu kogoś ściągnąć, i to natychmiast! Policję, FBI, kogokolwiek! Błagam! Sala operacyjna numer dwanaście! Trzeba ich powstrzymać!

- Halo? - ryknęła pielęgniarka, jakby pytająco, próbując wyrwać telefon z ręki Lynn. - Tu nie wolno wchodzić!

Lynn przerwała połączenie i gwałtownym szarpnięciem wyrwała się z uścisku. Przez krótką chwilę spoglądała wściekle w oczy pielęgniarki, która patrzyła na nią jak na wariatkę.

- Tylko bez awantur - powiedziała pielęgniarka, siłąc się na spokój. Wyciągnęła rękę, by chwycić Lynn za ramię i wyprowadzić z sąsiedztwa sali operacyjnej.

Lynn gwałtownie odtrąciła jej rękę, a potem obróciła się na pięcie i wbiegła do sali operacyjnej. Miała przed sobą pięć osób: uspionego już pacjenta, chirurga w masce i rękawiczkach, anestezjologa, pielęgniarkę i instrumentariuszkę. W pierwszej chwili nikt nawet nie spojrział na Lynn - zespół zajęty był rozmową. Benton i Norman gawędzili o golfie. Norman operował. Pielęgniarki rozmawiały o grafiku zabie-

gów. Dopiero gdy do sali wpadła ich koleżanka i podniesionym głosem rozkazała, by Lynn natychmiast opuściła salę operacyjną, rozmowy umilkły w jednej chwili i wszyscy spojrzeli w ich stronę.

Lynn i tym razem zignorowała polecenie. Gdy tylko spojrzała na pacjenta, straciła resztki nadziei, że to pomyłka, że chodzi o kogoś innego. Tak, to był Michael, jej najbliższy przyjaciel. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości, choć pół jego twarzy i całe ciało zostało zakryte w ramach przygotowań do zabiegu. Michael spoczywał w pozycji siedzącej, z rurką intubacyjną w ustach i plastrami na powiekach. Worek oddechowy w aparacie do znieczuleń pęczniał i kurczył się w rytm jego oddechu. Monitor pracy serca pikał miarowo. Chirurg zdążył już naciąć skórę i odsłonić czaszkę; szykował się do jej otwarcia.

Lynn bez wahania skoczyła w stronę aparatu i spojrzała na jego boczną ściankę. Było tak, jak się spodziewała: miał numer trzydzieści siedem. Wyprostowała się wolno. Pielęgniarka, która ją ścigała, raz jeszcze kazała jej wyjść, a potem poinformowała obecnych, że mają do czynienia z jakąś wariatką”.

Lynn nie zwróciła uwagi na jej słowa.

- Musisz natychmiast sprowadzić inny aparat! - zawołała do instrumentariuszki. - Ten nie działa właściwie; pacjenci się nie budzą!

- Proszę! - odezwała się błagalnym tonem ta, która tak wytrwale ją goniła. - Proszę stąd wyjść!

Benton zdążył się już pozbierać; drżącą ręką sięgnął po napelnioną strzykawkę leżącą na aparacie do znieczuleń i z wdziękiem bawołu w składzie porcelany ruszył do ataku na Lynn. Rozpędzony strącił na podłogę drugą strzykawkę leżącą na pulpicie aparatu. Widząc tę szarżę, pielęgniarka ścigająca Lynn odruchowo wypuściła jej rękę z uścisku i cofnęła się o parę kroków.

Lynn przez lata trenowała lacrosse i miała nawyki oraz instynkt sportowca: bez trudu wykonała unik, schylając się tuż pod ramieniem Bentona, po czym obiegła stół operacyjny, by od tej chwili używać go jako zapory chroniącej ją przed kolejnym atakiem rozwścieczonego anestezjologa. Gdy tylko Benton rzucał się w jedną stronę, ona umykała w drugą. Pozostając w ciągłym ruchu, raz jeszcze wezwała instrumentariuszkę, by sprowadziła inną maszynę.

- Wyjdę stąd, jeśli to zrobisz! - obiecała. - Inaczej zostanę tu tak długo, aż mnie usłuchasz!

Rozpaczliwe apele Lynn odbijały się echem od wykafelkowanych ścian.

Instrumentariuszka była zdezorientowana. Spojrzała pytająco na

Bentona, oczekując wskazówek.

- Dość tego, wzywam ochronę - oznajmiła pielęgniarka, która ścigała Lynn, po czym nie czekając na reakcję zespołu, zniknęła za drzwiami.

Doktor Norman Phillips, od dłuższej chwili sparaliżowany spektaklem, który rozgrywał się na jego oczach, w końcu się ocknął. Oddał pielęgniarce kraniotom, którego właśnie miał użyć, i odstąpił od pacjenta. Najwyraźniej gotów był poświęcić sterylność swoich rękawic i fartucha: rozłożył ręce i ruszył w stronę Lynn, by odciąć jej drogę i uniemożliwić krążenie wokół stołu operacyjnego.

Lynn nie miała nic przeciwko walce w zwarciu, ponieważ zależało jej tylko na jednym: chciała zyskać na czasie, a gdyby chirurg przestał być sterylny, przygotowania do operacji musiałyby rozpocząć się na nowo. Miała nadzieję, że w ten sposób uchroni Michaela przed najgorszym do czasu, aż przybędzie odsiecz w osobie Markusa Vandermeera albo ludzi, których uda mu się skrzyknąć. Problem polegał na tym, że nie wiedziała dokładnie, ile czasu potrzeba im na dotarcie do szpitala. Uznała więc, że za wszelką cenę powinna unikać schwytania. Domyślała się, co zawiera strzykawka, którą trzymał doktor Rhodes.

Wyobrażając sobie, że znowu jest na boisku i że gra w męskiej, a nie kobiecej drużynie, zaatakowała Phillipsa ciałem z maksymalną prędkością. Trafiła w bark i pchnęła ku górze, dokładnie tak, jak czynił to Carl na starych nagraniach z college'u, które jej pokazywał. Udało się znakomicie: neurochirurg dał się zaskoczyć i padł jak długi na posadzkę. Jednego mogła być pewna: trudno było o poważniejsze złamanie zasad sterylności w sali operacyjnej.

Benton, który skradał się ku niej od tyłu, zatrzymał się, widząc ten imponujący pokaz siły. Lynn wykorzystała okazję, by kantem dłoni z całej siły uderzyć w jego wyciągnięte przedramię. Wypuszczona z ręki strzykawka spadła na podłogę i wirując, zniknęła pod stołem operacyjnym.

Lynn przeskoczyła nad Normanem, który jeszcze nie mógł złapać tchu, i przebiegła na drugi koniec sali, gdzie zawróciła, oczekując kolejnego ataku. Benton wrócił do aparatu do znieczuleń, otworzył małą szufladkę i wygrzebał z niej kolejną strzykawkę, którą zamierzał napełnić mamucią dawką midazolamu. Phillips tymczasem zdążył wstać i właśnie sprawdzał, czy niczego sobie nie złamał.

- Przyrowadź nowy aparat! - wrzasnęła znowu Lynn w stronę pielęgniarki albo kogokolwiek, kto zechciałby jej usłuchać. - Tylko o to proszę. Jeśli podłączycie inny aparat, natychmiast stąd wyjdę.

Nie wiedziała, czy w ogóle są wskazania do przeprowadzenia operacji, ale teraz nie mogła tego ustalić. Interesowało ją przede wszystkim to, by jej przyjaciel nie był znieczulany za pomocą aparatu numer trzydzieści siedem.

- Doktorze Rhodes? - rzuciła błagalnie pielęgniarka. - To co ja mam robić?

- Nic - warknął Benton. Strzykawka była pełna, więc odrzucił na bok pustą fiolkę i gotów do walki spojrzął na Normana. Skinęli porozumiewawczo głowami i skupiając uwagę na Lynn, zaczęli obchodzić stół operacyjny w przeciwnych kierunkach, by zamknąć ją w potrzasku.

Pamiętając o udanym ataku ciałem na Phillipsa i nadal pragnąc uniknąć zwania z dwoma przeciwnikami naraz, Lynn rzuciła się w stronę Bentona. Zbliżała się z maksymalną prędkością i tak jak poprzednio, w ostatniej chwili przed zderzeniem obniżyła nieco pozycję, aby uderzyć barkiem nieco ku górze. Benton był jednak czujny: pamiętając, co spotkało kolegę, zdążył cofnąć się nieznacznie, by złagodzić siłę uderzenia. Udało mu się, lecz jednocześnie oboje stracili równowagę.

Lynn wylądowała na nim. Słyszała, jak pod jej ciężarem powietrze ulatuje ze świstem z jego płuc i jak daremnie próbuje zaczerpnąć tchu, załatwiony jeszcze skuteczniej niż Norman. Poderwała się bardzo szybko, lecz w tym samym momencie zorientowała się, że Benton jednak zdążył ukłuć ją w chwili zderzenia: niemal pusta strzykawka sterczała z jej przedramienia.

Nie miała czasu, by zastanawiać się nad tym, jaką substancją ją potraktował, w jakiej dawce i czy to wystarczy, żeby ją pokonać. Miała pilniejsze sprawy na głowie: Phillips zdążył okrążyć stół operacyjny i teraz atakował ją w podobny sposób jak ona. Był zbyt blisko, by zdążyła wyjść z kontrą, dlatego zrobiła to, co ćwiczyła setki razy, grając w lacrosse: niczym matador w ostatniej chwili po prostu odstępiała. Neurochirurg przemknął tuż obok niej, ale w ostatniej chwili zdążył chwycić się jej ubrania i tylko dlatego zdołał utrzymać się na nogach.

Wkładając w ten ruch wszystkie siły, Lynn spróbowała wyrwać się z jego uścisku, ale daremnie; co gorsza, mężczyźnie udało się pochwycić ją drugą ręką za nadgarstek. Ona także miała jeszcze wolną rękę: złapała za maskę, którą miał na twarzy, i szarpnęła gwałtownie. Ciągnęła ku sobie głowę neurochirurga, aż elastyczne taśmy pękły. Mimo to nie zwolnił żelaznego uścisku, wytrzymał.

Benton tymczasem zdołał złapać oddech i przyszedł Phillipsowi z

pomocą. Dostał kilka razy w twarz, zanim udało mu się unieruchomić wolną rękę dziewczyny. Teraz mogła walczyć jedynie nogami.

I walczyła tak zazarcie, jak tylko umiała, wymierzając im co najmniej po jednym celnym kopniaku. Mierzyła wyżej, ale trafiła tylko w nogi.

Gdy uznali, że są w stanie do pewnego stopnia zapanować nad oszalałą kobietą, zaczęli holować ją w stronę wyjścia, by ostatecznie obezwładnić ją już na korytarzu. Nie było to jednak łatwe. Lynn, choć słabła, utrudniała im to zadanie jak mogła, kilka razy skutecznie zapierając się stopami o ościeżnicę albo ze wszystkich sił wierzgając nogami. Uda miała silne; nie na darmo trenowała także kickboxing.

- Utrzymasz ją, żebyśmy mógł skoczyć po midazolam? - stęknął Benton.

- Prawdę mówiąc, nie wiem - wychrypiął Norman. - Co za jęcza! Kto to jest?

- Później ci powiem.

- Powiem ci, kim jestem! Studentką czwartego roku medycyny. A twój pacjent jest moim przyjacielem. Dajcie tu inny aparat do znieczuleń!

Benton bez ostrzeżenia zacisnął pięść i uderzył Lynn w twarz. Z jej nosa polala się krew. Cios jednak zaskoczył także Normana, który na sekundę rozluźnił uścisk. Wykorzystała okazję, by uwolnić prawą rękę i odplacić Bentonowi pięknym za nadobne: zaciśniętą pięścią uderzyła go tak mocno, że i on zaczął krwawić z nosa.

W tym momencie tuż przed trojgiem walczących otworzyły się drzwi i stanęła w nich pielęgniarka, która wcześniej ścigała Lynn. Wpadła do sali operacyjnej, a tuż za nią wbiegło pięciu szpitalnych ochroniarzy w maskach i kitlach zarzuconych na uniformy. To byli ci sami ludzie, którzy ścigali ją i Michaela w Instytucie Shapiro.

- Nie! - krzyknęła. - Nie pójdę z nimi!

- Trzeba było o tym myśleć, zanim tu wparowałaś! - odpowiedziała triumfalnie pielęgniarka.

Odsunęła się, by ekipa osiłków mogła otoczyć i pochwycić Lynn, która nadal walczyła, ale bez skutku. Po chwili była już w holu.

- Dajcie tu łóżko! - zawołał Benton. - Zaraz wracam, przyniosę środek usypiający - dorzucił, po czym wymienił z Normanem spojrzenia pełne niedowierzania i niesmaku. - Miałeś rację: co za jęcza!

To rzekłszy, pobiegł po kolejną strzykawkę i nową fiolkę midazolamu.

- Takiej kraniotomii jeszcze nie przeprowadzałem - poskarżył się

Norman, ściągnając brudne rękawiczki i fartuch. Spojrzał w głąb sali, na Michaela, który nadal siedział nieprzytomny i nieświadomy tego, co się działo.

- Nic mu nie jest?

- Nic - odparł Rhodes i machnął lekceważąco ręką. Spojrzał na monitor. - Facet jest zdrowy jak ryba.

Benton nieprzypadkowo napełnił strzykawkę dawką leku większą od standardowej. Nie życzył sobie więcej zamieszania. Gdy Phillips wyszedł do umywalni, Benton wyszedł na korytarz i stanął przy łóżku, na którym ochroniarze trzymali Lynn. Było ich pięciu i wszyscy mieli pełne ręce roboty. Upewniwszy się, że są w stanie ją unieruchomić, postanowił podać lek dożylnie. Taka dawka musiała wystarczyć, by wysłać ją do krainy marzeń na długie godziny.

- Nie życzę sobie żadnych leków! - zawołała Lynn, starając się, by zabrzmiało to władczo.

- Gówno mnie to obchodzi - odparł pogardliwie Benton.

- Czy to tak kobieta, której szukaliśmy? - spytał jeden z ochroniarzy. W jego głosie dało się wyczuć rosyjski akcent.

- Ta sama - odparł anestezjolog, zaciskając gumową rurkę na ramieniu Lynn i przemywając alkoholem skórę w zgięciu łokcia. - Teraz widzicie, dlaczego należało capnąć ją od razu, gdy dostaliście taki rozkaz.

Wiedziony nieśmiertelnym nawykiem uniósł strzykawkę na wysokość twarzy, celując igłą w sufit, i nacisnął tłok, by usunąć bąbelki powietrza. W tym momencie zauważył, że podwójne drzwi w końcu korytarza otwierają się i na blok operacyjny wkracza korowód ludzi. Odsunął strzykawkę sprzed nosa i zmrużył oczy, przyjrzeć im się bliżej. Był zaskoczony.

Zdezorientowany Rhodes patrzył, jak grupa ludzi przyspiesza i rozprasza się. Tworzyli ją w większości mężczyźni, co także było dziwne, bo większość personelu bloku operacyjnego stanowiły kobiety. Jeszcze bardziej osobliwe było to, że podobnie jak szpitalni ochroniarze, którzy przytrzymywali Lynn na łóżku, przybysze także nosili fartuchy, lecz włożyli je w niewłaściwy sposób: rozcięciem z przodu.

Im byli bliżej, tym głębsza była konsternacja doktora Bentona Rhodesa, aż wreszcie zmieniła się w strach. Albowiem z każdym ich krokiem dostrzegał coraz wyraźniej, że i oni - podobnie jak jego ludzie - nosili pod fartuchami mundury. Nie zgadzał się tylko kolor: nie były brązowe, lecz szare, jak mundury Patrolu Drogowego Karoliny Południowej. Najgorsze jednak było to, że w dłoniach trzymali

służbowe rewolwery...

Epilog

Piątek, 22 maja, 11.20

Lynn Peirce próbowała skupić się na tym, co dobre, choć była to słodko-gorzka chwila. Dzień zapowiadał się pięknie, chociaż jeszcze tydzień wcześniej prognozy przewidywały deszcz. Świetnie się zresztą złożyło, że pogoda dopisała, gdyby bowiem było inaczej, uroczysta promocja na Uniwersytecie Medycznym Mason-Dixon musiałaby się odbyć w czterech ścianach zamiast na ukwieconym i tonącym w promieniach słońca dziedzińcu. Po czterech latach ciężkiej pracy - a zwłaszcza w obliczu pamiętnych wydarzeń sprzed półtora miesiąca - słoneczny plac wydawał się znacznie bardziej odpowiednim miejscem: można było zeń podziwiać i gmach szpitala, i budynek dydaktyczny, i klinikę, i Instytut Shapiro, rozmyślając z satysfakcją o tym, że wszystkie te instytucje szczęśliwie powróciły do swej pierwotnej funkcji: altruistycznej opieki zdrowotnej.

Śledztwo, którego przedmiotem były zbrodnicze machinacje Middleton Healthcare i koncernu Sidereal Pharmaceuticals, nadal trwało i wciąż przybywało oskarżonych. Mnożyły się też pozwy o błąd w sztuce lekarskiej, wobec których firma Middleton Healthcare zmuszona była ogłosić upadłość. Zarówno w lokalnej gazecie „Post and Courier”, jak i w samym mieście, mówiło się właściwie wyłącznie o tej aferze.

Z czasem rola Lynn i Michaela w wykryciu szokującego spisku przestała być tajemnicą. Reporterzy walczyli między sobą o prawo przeprowadzenia wywiadu z Lynn praktycznie od dnia, w którym zdołała zapobiec niepotrzebnej operacji swego przyjaciela. Powszechnie nazywano ją „bohaterką”.

Lynn jednak nie myślała o sobie w ten sposób. Nie potrafiła. Nie w sytuacji, gdy tak wiele straciła i gdy wciąż poczuwała się do częściowej winy. Zamiast czuć dumę, częściej ganiła się w duchu za to, że nie odgadła wcześniej, co się dzieje wokół niej. Z perspektywy czasu żałowała przede wszystkim tego, że namawiała Carla na zabieg w

Mason-Dixon, nawet jeśli w ostatecznym rozrachunku jego tragedia doprowadziła do ujawnienia afery. Nie była zadowolona także ze swojej słabości - z tego, że wciągnęła w sprawę Michaela, który ucierpiał z jej powodu. Często wracała myślą do punktu wyjścia, żałując, że owego dnia, gdy dowiedziała się, że Carl zapadł w śpiączkę, w odruchu warunkowym pobiegła szukać pocieszenia u przyjaciela.

22 maja o 11.20 Lynn Peirce stanęła u podnóża trzech schodków prowadzących na tymczasową scenę, wzniesioną na końcu prostokątnego trawnika, na której stały trzy krzesła oraz mównica. Na jednym z krzeseł chwilowo zasiadł prowadzący imprezę, a na mównicy stał dziekan do spraw studenckich. Czytał kolejno alfabetycznie ułożone nazwiska absolwentów, a każdy z wywołanych wspinał się po stopniach i przyjmował dyplom z rąk pani dziekan. W celu przyspieszenia procedury przed sceną czekało zawsze pięćdziesięciu kolejnych studentów. Lynn była pierwsza w kolejce, bo dyplom odbierał właśnie poprzedzający ją na liście Harold Parker.

Odwróciła się, by spojrzeć na publiczność. W równych rzędach przed sceną ustawiono setki składanych krzeseł i wszystkie były zajęte. W trzecim rzędzie - jako że dwa pierwsze zarezerwowane były dla absolwentów - dostrzegła mamę, dwie siostry i czworo dziadków. Widząc, że córka na nią patrzy, mama pomachała do niej radośnie. Lynn, nieco zawstydzona, uczyniła to samo. Cieszyła się, że bliscy zjawili się w komplecie, żeby świętować jej sukces, ale jednocześnie wiedziała, że będzie jej trudniej, gdy uroczystość dobiegnie końca: poczucie osobistej straty dokuczalo jej tym bardziej, im więcej otaczało ją radości. Po tym, co przeżyła tak niedawno, nie była jeszcze gotowa na celebrowanie czegokolwiek.

- Panna Lynn Peirce - obwieścił dziekan do spraw studenckich. - Najlepsze wyniki w grupie!

Lynn weszła na scenę i stanęła przed panią dziekan. Rozległy się brawa, ktoś nawet zagwizdał przeszywająco, choć wcześniej prowadzący prosił, by oklaski zachować na koniec, gdy już wszyscy odbiorą dyplom.

- Panno Peirce - odezwała się surowo, jak zawsze, doktor English, stojąc na tyle daleko od mikrofonu, że nikt nie mógł jej usłyszeć. - Gratuluję! - dodała, rozpromieniając się niespodziewanie. Wręczyła Lynn dyplom, lecz nie wypuściła go z rąk, przypominając jej tym doktor Erikson, która była teraz jedną z głównych podejrzanych w aferze. Odkryto, że to ona udoskonaliła metodę tworzenia ludzkich hybrydom, prowadząc testy na sobie, a następnie wykorzy-

stała opracowaną technikę na dziesiątkach chorych z Centrum Medycznego Mason-Dixon i na całej populacji pacjentów Instytutu Shapiro.

- Jest takie przysłowie - ciągnęła pani dziekan - o ciekawości i piekle. Ja jednak nigdy w to przysłowie nie wierzyłam. Pani zaś, panno Peirce, utwierdziła mnie w przekonaniu, że jest ono z gruntu fałszywe. W imieniu uczelni oraz Centrum Medycznego dziękuję pani za to, co zostało odkryte dzięki pani ciekawości.

Lynn była zdziwiona. Nie spodziewała się, że usłyszy z ust doktor English coś więcej niż „gratuluję”, bo tylko tyle usłyszeli wszyscy inni studenci.

Jeszcze bardziej zaskoczyło ją jednak to, że dziekan nadal trzymała w rękach jej dyplom.

- Zadzwoiłam w pani imieniu do kilku kolegów z Północy - ciągnęła doktor English. - Choć oczywiście bylibyśmy zaszczyceni, gdyby zdecydowała się pani na rezydenturę u nas, doszły mnie słuchy, że wołałaby pani udać się do Bostonu. Jeśli rzeczywiście tak jest, zapraszam na rozmowę do mnie. - To rzekłszy, uśmiechnęła się i wreszcie wręczyła Lynn dyplom.

- Dziękuję - odpowiedziała skonsternowana dziewczyna. Gdy schodziła ze sceny, wywoływano już kolejnego studenta.

- Pan Michael Pender. Drugie miejsce w grupie. Brat bliźniak panny Peirce.

I tym razem rozległy się brawa, a także chichoty studentów rozbawionych żartem dziekana.

Lynn przystanęła na trawie i popatrzyła, jak Michael zbliża się do dziekana English. Wyglądał imponująco w długiej todze i birecie.

Przyglądała się ceremonii, lecz w głębi duszy była jeszcze oszołomiona. Nie mogła uwierzyć w to, co chwilę wcześniej usłyszała. Czyżby naprawdę miała szansę na rezydenturę w Bostonie? A jeśli tak, to czy mogła opuścić Charleston? Krótco po ujawnieniu nadużyć koncernu Sidereal Pharmaceuticals rodzice zabrali Carla z Instytutu Shapiro, ale widząc, że jego stan się nie zmienił oraz wiedząc od Lynn, jak skuteczne są tutejsze metody sprawowania opieki nad pacjentami w stanie wegetatywnym, rozważali ponowne umieszczenie go w placówce. Gdyby tak się stało, Lynn nie mogłaby go odwiedzać.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, przyglądając się, jak Michael rozmawia z dziekanem English. Trzymała w rękach jego dyplom, zapewne dziękując i jemu za udział w odkryciu afery, ale na tym się nie skończyło. Lynn zauważyła, że w pewnym momencie Michael zerk-

nę na nią ukradkiem - czyżby dziekan wspomniała mu o możliwości wyjazdu Lynn do Bostonu? Zamiast wrócić na swoje miejsce, jak przewidywał protokół imprezy, postanowiła poczekać na Michaela. Gdy zbliżał się, z dyplomem w dłoni, odniosła wrażenie, że czuje się winny. Tak dobrze go znała.

- Wspominałeś jej o tym, że chciałabym pojechać do Bostonu? - spytała bez ogródek.

- Kto? Ja? - odparł niewinnie Michael. - Ależ skąd. Po co miałbym to robić?

- Nie wiem. Dlatego pytam.

- Może dlatego, że to byłoby dla ciebie najzdrowsze? - zasugerował Michael, a potem skinął głową w stronę ich krzeseł wśród absolwentów i ruszył o krok za Lynn. - A może i dla mnie - dorzucił.

Lynn przystanęła, odwróciła się i uściśniła go mocno, a potem cmoknęła w policzek, nie dbając o to, że wszyscy na nią patrzą. Nigdy nie lubiła publicznych demonstracji. Ku jej zdziwieniu, ten drobny gest wywołał kolejną żywą reakcję studenckiej braci: brawa i gwizdy. Właściwie wszyscy już wiedzieli, jaką rolę w odkryciu zabójczego spisku odegrali Lynn i Michael. Choć sami nie uważali się za bohaterów, z pewnością byli nimi w oczach innych.

- To oni? - szepnął po rosyjsku Leonid, gdy Lynn i Michael wrócili na swoje miejsca.

- Tak - warknął Darko. Stali na samym końcu, w ostatnim rzędzie widzów. Byli ubrani może niezbyt formalnie, ale dość elegancko - w białe koszule, skórzane marynarki i dzinsy. Żaden z nich nie wpadł w sieci zarzucone przez FBI w toku śledztwa. Byli zabójcami, ludźmi od mokrej roboty, więc ich nazwiska nie figurowały w żadnych dokumentach. Nikt z oskarżonych nawet nie próbował przyznać się do znajomości z nimi, by nie pograżyć się jeszcze głębiej.

- Może po prostu ich stukniemy i zapomnimy o sprawie? - zaproponował Leonid. Żaden z nich nie uważał dwojga studentów za bohaterów. Wręcz przeciwnie.

- Bardzo bym chciał, ale musimy czekać na sygnał od Siergieja - odparł Darko. - Chodźmy stąd. Dość już się napatrzyłem.

Ruszyli w stronę parkingu. Darko nalegał, by tu przyjść, tylko po to, by utrwalić sobie w pamięci twarze tych dwojga. Poprzednie spotkanie było krótkie, gwałtowne i, niestety, nierozstrzygnięte.

- Jak myślisz, dlaczego Siergiej milczy? - spytał Leonid, gdy

wsiedli do samochodu. - Minął już ponad miesiąc.

- Ma sporo spraw na głowie. Zwłaszcza odkąd Interpol wykurzył jego i Borysa z Genewy z powrotem do Moskwy. Ale jeszcze się odezwie. I na pewno będzie miał dla nas robotę. Ta dwójka narobiła mnóstwo zamieszania, to przez nich Sidereal stracił tyle czasu - poszukiwania nowej sieci szpitali skłonnej do współpracy pewnie jeszcze potrważą. I dlatego nie wyobrażam sobie, żeby chciał tak po prostu darować im winy. Ja zresztą też nie daruję...